

Arcymistrz fantasy i SF

Siergiej  
Łukjanienko

# Spektrum

[każdy myśliwy  
pragnie wiedzieć]

Książka i Wiedza

**Siergiej Łukianienko**

**Spektrum**

**(każdy myśliwy pragnie wiedzieć)**

**Tytuł oryginalny: *Spiektr***

*(Każdy ochotnik żelajet znat')*

*Roman w siemi czastiach z siemju prołogami i odnim epilogom*

**Przełożyła Ewa Skórska**

## **Spis treści**

[Strona tytułowa](#)

[Część pierwsza](#)

[Czerwona](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[Część druga](#)

[Pomarańczowa](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[Część trzecia](#)

[Żółta](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[Część czwarta](#)

[Zielona](#)

[Prolog](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[Część piąta](#)

[Błękitna](#)

[Prolog](#)

1

2

3

4

5

Część szósta

Niebieska

Prolog

1

2

3

4

5

Część siódma

Fioletowa

Prolog

1

2

3

4

5

Epilog

Biały

# Część pierwsza

# Czerwona

## Prolog

Każdy człowiek od czasów Aleksandra Puszkina [Aluzja do poematu Aleksandra Puszkina *Eugeniusz Oniegin*, zaczynającego się od słów: „Mój zacny wujek

biedaczysko, gdy niemoc go zwaliła z nóg, szacunku żądał, oto wszystko, i cóż lepszego zrobić mógł? Niech innym to za wzór posłuży ... Lecz, Boże, jakże czas się dłuży, gdy z chorym spędzasz noc i dzień nie odstępując go jak cień!” (tłum. Julian Tuwim).] wie, że odwiedzanie krewnych w podeszłym wieku jest – no, może niezupełnie świętym obowiązkiem, ale na pewno powinnością dobrze wychowanego człowieka.

Martin sumiennie wypełniał tę powinność. I nie była to jedynie zwykła uprzejmość – on po prostu lubił te spotkania. Lubiał posiedzieć z wujkiem w kuchni przy filiżance kawy i pogawędzić o jakichś nieistotnych sprawach, albo podyskutować o problemach filozoficznych, których ludzkość jeszcze nie rozwiązała. Poza tym, te regularne wizyty dawały Martinowi jeszcze jedną, niewielką przyjemność. Problem polegał na tym, że liczni znajomi, zwracając się do Martina dodawali imię ojcowskie, czego Martin nie znosił. Jak Rosjanin może polubić tak koszarne połączenie jak Martin Igoriewicz? A wujek nie miał najmniejszego zamiaru tytułować siostrzeńca w ten sposób. W jowialnym nastroju zwracał się do Martina per „Mart”, a gdy był w złym humorze (co nie zdarzało się zbyt często), zjadliwie nazywał go „Edenem”. Wyglądało na to, że trzydzieści kilka lat temu między nim a ojcem Martina doszło do jakiejś ostrej wymiany zdań w kwestii tego imienia. Sam wujek był zaprzysięgłym kawalerem, na pytania o dzieci odpowiadał sucho: „nie mam przyjemności”, ale aktywne uczestnictwo w życiu ulubionego siostrzeńca uważał za swój obowiązek. Można powiedzieć, że wujek przegrał tylko jedną bitwę – o imię, a we wszystkich innych kwestiach zawsze stawiał na swoim. Niejednokrotnie Martin był mu za to szczerze wdzięczny. Na przykład za to, że pomysł uczenia małego Martina gry na fortepianie spalił na panewce, lub za zdobycie pozwolenia na wielodniową wędrowkę czy autostopową wycieczkę z przyjaciółmi do Petersburga. Jedyną reakcją na wszystkie próby protestów, podejmowane przez rodziców, było ciężkie spojrzenie spod brwi i pytanie: „Chcecie wychować go na mężczyznę czy na śpiewaka estradowego?” Estrady wujek nie cierpiał, a ze wszystkich śpiewaków uznawał jedynie Kobzona i Leontiewa, nieuchronnie dodając przy tym: „Za głos i charakter”.

Trzeba jednak przyznać, że przy całej surowości charakteru wujek nie był pozbawiony drobnych słabostek, które uwydatniły się w ciągu ostatnich dziesięciu lat, gdy życie na Ziemi zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni. W wujku obudziło się drzemiące do tej pory zamiłowanie do kucharzenia. Jeśli dawniej mógł przeżyć cały dzień o jajecznicy i tanim piwie, to teraz spędzał przy kuchni pół dnia, a wieczorem albo zapraszał gości do siebie, albo sam wybierał się z wizytą. Martin lubił tę słabość – szalenie uprzyjemniała spotkania z wujkiem, na przykład to dzisiejsze. Gdy Martin zadzwonił do wujka i dowiedział się, że na kolację planowana jest kaczka waja-hunyad, wstąpił do sklepu przy metrze i wybrał wino. Rzecz jasna, w tym wypadku musiało to być wino węgierskie. Niech esteci i patrioci uśmiechają się drwiąco, słysząc o węgierskim winie, niech sobie wychwalają mdły sauterne i cierpki tavel, niech rozprawiają o bukiecie massandrowskiego i węgierskiego tokaju. Martin już dawno przekonał się, że do każdej potrawy geografia i historia przyporządkowały odpowiedni akompaniament. Do gotowanych ziemniaków i śledzia nie ma nic lepszego od zwykłej wódki, do szaszłyku bastruma może być ormiański koniak (choć ugodowa dusza kaukaska zaakceptuje również wódkę), do delikatnych ostryg – białe wino francuskie, lekkie i schłodzone, a do tłustych i niezdrowych kiełbas – czeskie albo bawarskie piwo.

Martin wybrał wino bez wahania, postać chwilę w niedługiej kolejce – przed nim stały dwie emerytki, które najpierw długo wybierały kawałek szynki, a potem zażyczyły sobie, żeby go jak najcieniej pokroić – i wreszcie dotarł do zmęczonej, młodziutkiej sprzedawczynie. Kupił butelkę białego balatońskiego i butelkę czerwonego egerskiego i pogawędził chwilę z dziewczyną – był

ostatnim klientem w kolejce. Dziewczyna, sympatyczna i inteligentna, studiowała, pracując w sklepie wieczorami, żeby zarobić na wakacyjną podróż po Europie. Podczas rozmowy Martin nieomylnie wyczuł, że dziewczyna wprawdzie nie ma nic przeciwko miłej pogawędce, ale nie planuje zawierać bliższej znajomości, ponieważ jest już z kimś związana. Pożegnał się więc i wyszedł, pobrzękując butelkami, zawiniętymi w papier i schowanymi do mocnej reklamówki.

Na Moskwę spadł zmierzch. Nadchodził wieczór – pierwszy prawdziwie ciepły wieczór po długiej, mroźnej zimie, tym sympatyczniejszy, że piątkowy. Strumień samochodów ze spieszącymi za miasto moskwiczankami już się wyczerpał, zrobiło się cicho. Nieliczne dzieciaki, które zostały w mieście na weekend, jeździły po chodnikach na hulajnogach, na skwerku przed metrem niewielki jazz-band stroił instrumenty i pierwsi emeryci już siadali na ławkach, żeby posłuchać muzyki, pogadać czy potaćzyć. Stary, ośmiopiętrowy blok, w którym mieszkał wujek, stał tuż obok. Martin dotarł do niego nie po chodniku, lecz na skrót, przez zapuszczony ogród. Po drodze omal nie wystraszył zakochanej pary, obściskującej się na ławce, ale w porę usłyszał namiętny szept i zaczął iść niemal na palcach, przytrzymując przed sobą torbę z butelkami, żeby nie narobić hałasu.

Przyszedł w samą porę. Wujek otworzył mu drzwi, burknął coś, co zapewne miało być powitaniem, i pobiegł do kuchni, żeby wyjąć kaczkę z piekarnika. A Martin jak zwykle wsunął stopy w gościnne kapcie i poszedł do stołowego. Wujek mieszkał skromnie, w niewielkim, dwupokojowym mieszkaniu, ale nie miał zamiaru zmieniać lokum, oświadczając, że w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat za wcześnie myśleć o kwaterze na cmentarzu, ale za późno o przeprowadzce do większego metrażu. W sypialni – i jednocześnie gabinecie – wszystkie ściany zastawiono starymi regałami, na których stały równie stare książki, za to stołowy umeblowano nowocześnie, w stylu „hi-tech”, z mnóstwem niklowanych rurek, hartowanego szkła, obfitością sprzętu elektronicznego i francuskimi szklanymi kolumnami marki „Wodospad”, cenionymi przez znawców za brak rezonansu korpusu. Czekał na wujka, Martin pogrzebał w płytach, wybrał Bethoveena, a następnie zdjął marynarkę i usiadł przy stole.

Wujek nie kazał na siebie długo czekać. Już po minucie zjawił się z wyśmienitą kaczką – syczącą, aromatyczną, obłożoną małymi gołąbkami, które zdążyły już przesiąknąć kaczym tłuszczem. Martin zaczął z werwą otwierać butelki, łajając się za to, że nie przyszedł wcześniej – wino powinno przez pół godziny przed spożyciem pooddychać, wyzbyć się zapachu korka i roztoczyć swój aromat w całej pełni. Ale wino i tak zyskało aprobatę wujka. Zarówno gość, jak i gospodarz delektowali się kaczką, rozmawiając o rzeczach, interesujących jedynie dla bliskich sobie ludzi – o rodzicach Martina, którzy już drugi miesiąc spędzali na słonecznych plażach Kuby, o młodszym bracie Martina, który po ukończeniu jednych studiów rozpoczął drugie – dość szybko zdążył rozczarować się do zawodu prawnika i zapalać sympatią do zajadłych wrogów prawników – dziennikarzy. Rozmawiali również o samym wujku, o jego chorej wątrobie, której dzisiejsza kolacja żadną miarą nie mogła przypaść do gustu, o przeliczeniu emerytury, co było wyłącznie stratą czasu – przez to zawracanie głowy wujek nie mógł spełnić marzeń z dzieciństwa i pojechać na Madagaskar. W czasie rozmowy Martin z przyjemnością odnotował, że wujek nie traci pogody ducha, że o sobie dba i nawet zdobył się na założenie krawata do kolacji, co dla kawalera było wyczynem nie lada. Później wujek zaczął ostrożnie i delikatnie wypytywać Martina o jego pracę, licząc, że siostrzeniec się z czymś wygada. Ale Martin zachował czujność, ograniczał się do ogólników, unikając precyzyjnych odpowiedzi, nie dał się złapać na pochlebstwa i aluzje, w końcu więc zirytowany wujek zarzucił to przesłuchanie i wziął się za kaczkę.

I w tym momencie za oknami dał się słyszeć narastający huk, który zagłuszył Symfonię



Patetyczną, i latający talerz zaczął schodzić do lądowania ponad dachami domów. Dzieci krzyczały radośnie, w jakimś samochodzie włączył się autoalarm i przez pół minuty rozlegało się nieprzyjemne wycie.

Ten drobny incydent od razu spowodował zmianę tematu rozmowy. Martin i wujek zaczęli omawiać sprawy wagi państwowej, a wujek wyłożył siostrzeńcowi swoją opinię o Obcych. Mimo iż Martin doskonale ją znał, musiał tego wysłuchać po raz kolejny.

Reszta wieczoru upłynęła więc pod znakiem monologu wujka – kwestia Obcych nie była dla Martina tematem tabu, po prostu miał swoje zdanie, a nie chciał spierać się ze staruszką. Żegnając się, Martin poczuł ulgę. Dobrze jeszcze, że miał poważny pretekst – jutro rano wyruszał „w delegację”, a nie wiedział nawet, jak długo ona potrwa.

Deszcz dogonił Martina na szczycie wzgórza. Chmury płynęły bardzo nisko. Można pomyśleć, że wystarczy podskoczyć i wyciągnąć rękę, żeby zaczerpnąć dłonią szarą, moką watę. Pierwsze krople uderzyły o ścieżkę, wzbijając fontanny pyłu, ucichły na chwilę – i deszcz lunął jak z cebra.

Ścieżka natychmiast przemieniła się w błotnisty strumień. Strugi siekły kałuże, zimna woda chłostała nogi, chmury zeszyły jeszcze niżej i teraz Martin maszerował w ścianie deszczu, w szarej mgłę, w samym sercu szalejącego żywiołu. Zrobiło się zupełnie ciemno. Przez pierwsze minuty nieprzemakalna tkanina kurtki radziła sobie doskonale, ale później na ciele pojawiła się wilgoć. Spodnie przylgnęły do nóg, w butach chlupało.

Martin parł do przodu, przeklinając deszcz, który padał tu przez trzysta dni w roku, kolczaste krzewy, z powodu których ścieżka na przekór zdrowemu rozsądkowi biegła przez wzgórze, swoją pracę i samego siebie. Ścieżka rozmiękała w oczach, coraz trudniej było utrzymać równowagę. Martin już nie szedł, lecz ślizgał się, balansował, cudem ratując się przed upadkiem. Karabin przyrósł mu do pleców i wydawał się znacznie cięższy, do podeszew przy każdym kroku przyklejał się kilogram błota, a wewnątrz Martina też wszystko rozmiękło – chlupało w nosie, pluskało w gardle, mięśnie zamieniły się w mokre ciasto – nawet myśli wydawały się wodniste.

Martina ucieszyłoby teraz dosłownie wszystko – zwierzę, wyłaniające się zza krzaków, uderzenie pioruna i łoskot gromu, a nawet nieoczekiwane przeszkody, które zmusiłyby go do biegu, skoków czy czołgania. Ale w szarym deszczu nie było nic, prócz chlupiącego błota, kłujących gałązek i gęstej mgły. Mógł zrobić tylko jedno – iść bez ustanku, cały czas do przodu, wtapiając się w monotonię ulewy.

Światło nad Stacją zobaczył od razu, gdy tylko zszedł ze wzgórza. Może w deszczu był prześwit, a może chmury poszły wyżej – w każdym razie przez zacinające strugi Martin wypatrzył światło latarni. Czerwony błysk, zielony błysk, przerwa (rozbłysk w spektrum ultrafioletu) i jasne, białe lśnienie, oślepiające i hipnotyzujące niczym światło łuku elektrycznego. Martin przyspieszył kroku. Jednak nie stracił orientacji, szedł we właściwym kierunku. Godzinę później już stał przed Stacją. Zbudowany z kamiennych bloków piętrowy budynek idealnie komponował się z krajobrazem wzgórz i bagien. Kolorowe plamy okien, zasłoniętych purpurowymi roletami, jedynie podkreślały wszechobecną szarość. Na szczycie wysokiej kamiennej wieży rozbłyskiwała latarnia. Wieża przywodziła na myśl minaret i małą latarnię morską gdzieś na krańcu świata.

Na werandzie, w wiklinowym fotelu bujanym siedział, patrząc na nadchodzącego Martina, strażnik latarni i miejscowy muezin w jednej osobie – pokryta czarnym, lśniącym futerkiem półtorametrowa istota. Futro na głowie niczym nie różniło się od pokrywającej ciało sierści, jedynie wokół dużych, smutnych oczu i wypukłych warg włos był rzadszy i krótszy. Z ubrania istota miała na sobie tylko sięgające do kolan szorty.

– Witaj, kluczniku – rzekł Martin, zatrzymując się przed prowadzącymi do domu schodkami – trzema szerokimi, niezbyt wysokimi stopniami.

– Witaj, wędrowcze – odparł klucznik, wyjmując z ust fajkę. Miał przyjemny, niski głos, męski, ale z nutką kobiecej łagodności. Dawało się wyczuć delikatny akcent, który już po kilku chwilach przestawało się słyszeć. – Wejdz i odpocznij.

Teraz Martin mógł wejść. Wycierając podeszwy o krawędzie stopni i uwalniając je od płatów ciężkiego, tłustego błota, wszedł na werandę. Obok klucznika stał jeszcze jeden fotel, na stoliku –

karafka z mlecznożółtym winem i dwie szklanki. Można było uznać to za delikatne zaproszenie, ale klucznicy nigdy nie nalegali na natychmiastową rozmowę.

– Chciałbym znaleźć się w domu możliwie jak najszybciej – powiedział Martin, siadając w fotelu.

Klucznik ssał fajkę. Nawet zapach tytoniu wydawał się przyjemny, ziemski. O dziwo, klucznicy najszybciej przejęli ludzkie nałogi – szczególnie polubili wino, zaś sam pomysł palenia tytoniu wprowadził ich w zachwyty.

– Smutno tu i samotnie – odezwał się klucznik. Rytualna fraza zabrzmiała wyjątkowo szczerze – zaiste, trudno wyobrazić sobie smutniejsze i bardziej samotne miejsce niż ta wilgotna, błotnista, zimna planeta. – Porozmawiaj ze mną, wędrowcze.

– Przybyłem do tego świata dwa dni temu – zaczął Martin, jakby klucznik mógł zapomnieć ich pierwsze spotkanie. Zresztą, czy na pewno był to ten sam klucznik? – I nie przywiodło mnie tu pragnienie nowych wrażeń czy zamiłowanie do przygód. Pewien człowiek, mieszkaniec planety Ziemia, bezmyślnie popełnił zły i podły czyn. Upił się i pozwolił, aby zawładnęła nim mroczna część jego duszy. Nie wiem, od jak dawna był zazdrosny o swoją żonę, nie wiem, czy miał ku temu powody, ale tego wieczoru ich kłótnia skończyła się tragedią. Mężczyzna zabił kobietę, a potem, przerażony swoim czynem, uciekł przez Wrota.

Klucznik skinął głową i dalej kołysał się w fotelu.

– Krewni nieszczęsnej kobiety postanowili ukarać zabójcę – ciągnął Martin po chwili przerwy. – Wynajęli mnie i poprosili, żebym odnalazł tego mężczyznę. Odnalazł i sprowadził na Ziemię. Ruszyłem jego śladem i znalazłem się na tej planecie...

– We Wszechświecie jest wiele planet – powiedział klucznik, wytrząsając fajkę. – I na wielu planetach są warunki odpowiednie dla ludzi. Jak odgadłeś jego drogę?

– To nigdy nie jest łatwe – przyznał Martin. – Muszę dobrze poznać takiego człowieka, wczuć się w niego, poczuć jego marzenia i lęki, zacząć myśleć jak on. Ludzie nie zawsze wybierają swoją drogę świadomie. Czasem decydującą rolę odgrywa nazwa planety, niezwykle połączenie dźwięków, a czasem niespodziewany impuls... Bywa, że się myślę, ale tym razem los uśmiechnął się do mnie już za pierwszym razem.

Klucznik skinął głową, przyjmując wyjaśnienie.

– Znalazłem uciekiniera – kontynuował Martin. – Spodziewał się pogoni i nie zdołałem skłonić go do powrotu. Czasami pomaga rozmowa, człowiek decyduje się wrócić i przyjąć karę, która czeka go w naszym świecie. Ale ten mężczyzna nie chciał wracać. Było w nim wiele pokory, ale jeszcze więcej strachu. Oto jego żeton.

Martin wyjął z kieszeni i pokazał przezroczysty, okrągły żeton na cienkim łańcuszku. W plastiku zatopiony był mikroukład.

– Teraz wrócę do domu i opowiem krewnym kobiety, że została pomszczona – mówił dalej Martin. – Władz naszej planety o tym nie powiadomię. To, co wydarzyło się za Wrotami, ich nie dotyczy.

Klucznik zaczął nabijać fajkę. Koniuszki jego palców, pozbawione sierści, pokrywała czarna, błyszcząca skóra. Trzeba było się dobrze przyjrzeć, by dostrzec, że to nie skóra, lecz maleńkie łuski.

– Smutno tu i samotnie – wymamrotał klucznik. – Słyszałem wiele takich historii, wędrowcze.

Martin milczał dłuższą chwilę, w końcu wyjął z kieszeni drugi żeton.

– Podążałem śladami uciekiniera – powiedział. – Ten świat powitał mnie deszczem, ale żadna ulewa nie może zmyć wszystkich tropów. Zrozumiałem, że idę w dobrym kierunku, gdy znalazłem ślad jego pierwszego postępu. Później ze szczytu jednego ze wzgórz dostrzegłem dwóch ludzi – jeden był trochę z tyłu, ale już doganiał pierwszego. Zrozumiałem, że ich spotkanie grozi nieszczęściem i przyspieszyłem kroku. Niestety, spóźniłem się i wkrótce natknąłem się na ciało młodzieńca, niemal chłopca. Mógł mieć szesnaście lat. Uciekinier pozwolił mu podejść do siebie i wtedy strzelił.

– Po co? – zapytał klucznik. – Czy spodobało mu się zabijanie?

– Nie. To strach zmusił mężczyznę do naciśnięcia spustu. Spodziewał się pogoni, wiedział, że wyruszy za nim łowca. Nie myślał. Nie zastanowił się nawet, czy taki młokos może być łowcą. Zemsta jest bezpłodna, kluczniku. Zemsta nie wskrzesi zmarłych i nie przysporzy na świecie dobra. Początkowo nie chciałem zabijać uciekiniera. Ale oto stałem nad ciałem chłopca, który przeszedł przez Wrota i napotkał śmierć pod obcym niebem i obcym deszczem. Czego szukał poza granicami Ziemi? Bogactwa, sławy, miłości? Przygód? Nie wiem. Czym zdołał zapłacić za przejście? Dlaczego był tak naiwny, czemu nie zrozumiał, że na obcych planetach najbardziej niebezpieczny jest właśnie drugi człowiek? Nie wiem. Ale zrozumiałem, że nie mogę zostawić tu uciekiniera. Niegdyś w jego duszy panowały miłość i dobroć, teraz pozostał tylko strach. Gdyby można było zabić sam strach – mężczyzna nigdy więcej nie podniósłby ręki na drugiego człowieka. Ale dopóki człowiek żyje, dopóty się boi. Dlatego zabiłem uciekiniera i wziąłem jego żeton.

Klucznik nadal bujał się w fotelu i wypuszczał kłęby dymu. Wreszcie wyjął fajkę z ust.

– Rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Teraz Martin mógł wejść na piętro, zająć jeden z przeznaczonych dla ludzi pokoi, wziąć gorący prysznic i zjeść obiad. Albo od razu wrócić na Ziemię.

Martin skinął głową, nalał sobie wina i powiedział w przestrzeń, starając się, by jego pytanie zabrzmiało jak pytanie retoryczne:

– Co takiego nie spodobało ci się w pierwszej części mojej historii...

Rzecz jasna, klucznik nie odpowiedział. Rzecz jasna, Martin nie spodziewał się odpowiedzi. Dopił wino jednym haustem i wstał.

– Dziękuję za naukę kluczniku. Żegnaj.

– Doszedłeś do miasta, wędrowcze?

– Nie. Widziałem światła w dali, ale nie chciałem tracić czasu.

– To duże miasto – oznajmił klucznik. – Największe miasto Topieli. Mieszka w nim trzy tysiące ludzi i prawie dziesięć tysięcy nie ludzi. Miasto stoi nad brzegiem niedużego morza, a jego mieszkańcy zajmują się wydobyciem wodorostów. Wywar z nich jest wysoko ceniony na wielu planetach – przedłuża życie i wyostrza zmysły. W mieście wywar piją wszyscy, od mera do nędzarza, ale na innych planetach jest on dostępny jedynie ludziom bogatym i wpływowym. Oto moja historia i niechaj ona rozwieje twój smutek.

– Dziękuję, kluczniku – powiedział Martin i podszedł do drzwi. Już wchodził do budynku, ale nie wytrzymał i obejrzał się. Klucznik znowu bujał się w fotelu. Krótki, trójkątny ogon zwiisał z otworu wyciętego w oparciu.

Mimo wszystko klucznicy byli gadami – mimo sierści i ludzkiego podobieństwa do małp.

Na korytarzach Stacji było cicho i ciepło. Kamienną podłogę przykrywały maty, masywne

świeczniki z brązu dawały dziwne, niepokojące światło – spektrum było obliczone nie tylko na ludzi. Martin wszedł na piętro i zajrzał do jednego z „ludzkich” pokoi – ze zbyt ciężkimi meblami i podejrzanie niskimi krzesłami, ale mimo to wygodnego. Za to łazienkę urządono z przepychem – chociaż głęboki, okrągły basen i coś w rodzaju łaźni tureckiej w malutkiej kabince umieszczono tu bynajmniej nie dla przyjemności ludzi – widocznie dla którejś z humanoidalnych ras takie zabiegi stanowiły kwestię życia lub śmierci. Klucznicy zawsze przestrzegali swoich obowiązków.

Martin przebrał się, napaścił wody do basenu, opłukał pod prysznicem i wszedł do kabinki łaźni. W kamiennej ścianie trzeszczał ogrzewacz, a za przezroczystymi drzwiami gorąca woda napełniała basen. Martin siedział z głową opuszczoną na pierś i zamkniętymi oczami, wchłaniając ciepło całym ciałem. Przekłęty deszcz zupełnie go wykończył.

Ciekawe, jak długo pozwolono by mu odpoczywać, gdyby opowieść nie zadowoliła klucznika? Dzień? Dwa?

Być może kiedyś powodzenie się od niego odwróci. I wtedy rozparty w bujanym fotelu albo wyciągnięty na macie klucznik będzie raz po raz powtarzał: „Smutno tu i samotnie, wędrowcze”. Czym kierowali się klucznicy, przyjmując bądź odrzucając opłatę za przejście Wrotami – to do dziś pozostawało zagadką. W każdym razie stanowczo odrzucali historie zaczerpnięte z literatury pięknej, filmów czy dokumentów historycznych. Nadawały się historie, które zdarzyły się samemu opowiadającemu, albo były przekazywane ustnie. Żadnej opowieści nie dało się wykorzystać dwukrotnie, nawet w różnych Wrotach – klucznicy przekazywali sobie informacje błyskawicznie albo prawie błyskawicznie. Nie wolno było opowiadać kilku historii na zapas – tylko jedną tuż przed wejściem we Wrota. Dobrze widziane były historie wymyślane, ale wówczas klucznicy bardzo czepiali się treści i stylu opowiadania. Tragiczne czy romantyczne podobały się klucznikom znacznie bardziej niż sielankowe. Dużym powodzeniem cieszyły się opowiadki humorystyczne i kryminalne, zagadkowe oraz mistyczne. Niemal zawsze zdawały egzamin wspomnienia, ale żeby zadowolić klucznika, większość ludzi musiała opowiedzieć wszystkie interesujące wydarzenia swojego życia. Możliwe, że była to wymyślna pułapka, pozwalająca przejść przez Wrota każdemu człowiekowi. Każdemu – ale tylko raz.

Czym mógł zapłacić za przejście ten chłopiec, który leżał teraz na obcej ziemi, dwadzieścia kilometrów od Wrót?

Historią swojej pierwszej i jedynej miłości? Najprawdopodobniej.

Martin wyszedł z kabinki i zanurzył się w basenie. Po parówce łaźni gorąca woda wydawała się przyjemnie chłodna. Martin wahał się przez chwilę, ale w końcu sięgnął do ubrania, wyjął zegarek i żeton. Zegarek założył na rękę, żetonowi przyglądał się przez kilka minut. Potem dotknął kilku przycisków na zegarku i przysunął go do żetonu.

W zasadzie było to zabronione przez władze rosyjskie... czy raczej – władze zabraniały tego osobom prywatnym. Ale mimo to skanery żetonów – dla przyzwoitości udające zegarki czy laptopy – dało się bez problemu kupić na czarnym rynku.

Na małym ekraniku pojawiły się linijki tekstu. Numer, który Martinowi nic nie powiedział. Imię. Wiek. Numer ostatnich Wrót, przez które przeszedł.

Chłopak był Hiszpanem i nie miał nawet siedemnastu lat.

Martin schował żeton do kieszeni i wyciągnął się w ciepłej wodzie. Wcześniej czy później władze rozgryzą numer ze skanerem-zegarkiem i zmienią kod żetonów. A może nie?... Może czasy nieufności do kluczników i ich klientów należą do przeszłości?

Martin wyszedł z basenu, spuścił wodę i opłukał basen prysznicem. Wylał się czystym, wyprasowanym ręcznikiem i wrzucił go do kosza z brudną bielizną. Ubrał się. Nie zakładał plecaka na ramiona, wziął go za paski i poszedł do Wrót.

Ta Stacja nie cieszyła się zbyt dużą popularnością. Martin nie spotkał nikogo ani w bloku mieszkalnym, ani po pokonaniu trzech automatycznych przejść w strefie centralnej. Małą, okrągłą salkę, serce Stacji, urządzone równie ascetycznie jak całą resztę. Komputerowa konsola na niezbyt wysokim blacie stanowiła jedyną oznakę technologii. W rzeczywistości była to najbardziej prymitywna część systemu i równie bezsensowna jak lont prochowy pod dyszami rakiety czy zamek mechaniczny na klawiaturze komputera. Ale podobne hybrydy to dla ludzkości nic nowego.

Martin poczekał, aż drzwi za jego plecami zamkną się hermetycznie. Zapłonął monitor. Martin wysunął klawiaturę, przesunął kursorem po bardzo długiej liście. Większość nazw świeciła się na zielono – do tych planet człowiek miał otwarty dostęp. Żółty kolor oznaczał planety, gdzie ludzie mogli przebywać z dużym ryzykiem dla życia, w masce tlenowej, bądź też byłiby niemile widziani. Czerwony kolor sygnalizował, że w tych miejscach człowiek nie powinien przebywać – chyba że zastosuje daleko posunięte środki ochrony, albo miejscowa ludność udzieli mu pomocy. Były to zazwyczaj planety o wysokiej grawitacji, z bardzo rozrzedzoną atmosferą, takie, gdzie mieszkańcy oddychają chlorem lub powietrze przeniknięte jest ładunkami elektrycznymi, czy też polami magnetycznymi o potwornej sile, albo planety, na których materia rządziła się własnymi prawami. Martin zastanawiał się nieraz, jaki personel zostawiają klucznicy na tych planetach. Czyżby do tego stopnia ufali miejscowej ludności albo automatyce?

Ale udzielić odpowiedzi mogliby tylko klucznicy, a oni woleli zadawać pytania.

Martin wybrał na liście Ziemię. Otworzyło się drugie menu: czternaście Wrót, które miała ludzkość. Martin wybrał Moskwę. Pojawił się ostatni ostrzegawczy napis i Martin powtórnie nacisnął enter.

Monitor pociemniał i wyłączył się.

Nic się nie zmieniło.

Nic, prócz planety.

Martin podniósł plecak z podłogi i podszedł do drzwi. Za jego plecami konsola płynnie zniknęła w podłodze, ustępując miejsca archaicznemu konstrukcji z setkami kolorowych dźwigni na trzech bębnach nastawczych z czarnego ebonitu. To oznaczało, że do Wrót podchodził Obcy. I Martin przypadkowo wiedział kto.

Z geddarem zetknął się na korytarzu za drugą śluzą. Wysoka, ciężka postać, niemal ludzka twarz, tylko oczy rozmieszczone zbyt szeroko, a małżowiny uszne o zbyt regularnym kształcie półkola, jak na rysunkach małych dzieci. Geddar miał szarą skórę oraz intensywnie czerwone usta, wyróżniające się na twarzy niczym krwawa plama. Ubrany był z przepychem, w purpurę i lazur, a zza pleców wystawała rękojeść rytualnego miecza, cienkiego i wykonanego ze stopionych razem kolorowych, kamiennych nici.

Geddar pochylił głowę w krótkim pokłonie.

Martin uprzejmie skinął w odpowiedzi.

Minęli się. Geddar szedł do Wrót, do swoich dźwigni i bębnow. A Martin podążał szerokim korytarzem do wyjścia ze Stacji w Zaułku Gagarina.

Kiedyś był to jeden z najbardziej urokliwych i najcichszych zakątków Moskwy. W czasach imperium radzieckiego kręcono tu filmy prezentujące piękno stolicy. Lubiła tu mieszkać arystokracja.

Być może klucznikom również spodobało się to miejsce... Zresztą, kto odgadnie ich motywy! W każdym razie właśnie tu dziesięć lat temu upadł zarodnik Wrót, żeby po trzech dniach rozepchnąć niedbale okoliczne budynki i rozwinąć się w Stację.

Od tamtej pory nikt nie nazwałby tego miejsca cichym.

Moskiewska Stacja była jedną z największych na Ziemi. Klucznicy albo postanowili nie przejmować się architektonicznymi wymyślnościami, albo w ten sposób wyrazili swoją opinię o stołecznym budownictwie – w każdym razie Stacja była również najbrzydsza. Kilka ogromnych, betonowych kopuł, chaotycznie nagromadzone sześciany, bezładnie rozrzucone okna z ciemnymi, lustrzanymi szybami i wieża latarni – niemal stumetrowa. A przy tym wszystko z ziarnistego betonu, z idiotyczną altanką na górze, w której rozbłyskiwało światło latarni. Na dachu jednego z sześcianów znajdowało się lądowisko dla latających talerzy – klucznicy korzystali z nich rzadko, ale zawsze trzymali jedną lub dwie maszyny w pogotowiu. Wokół Stacji, na popękany asfalcie biegł wyłożony białymi płytkami pas – granica. Za nim – niezbyt wysokie kraty ogrodzenia i budki milicji. Tylko przy wejściu nie było ogrodzenia, zaś stojący tu stróże porządku nikomu nie zabraniali wejścia.

Martin stał, rozglądając się. Padał drobny, zimny deszcz, chociaż lato zaczęło się miesiąc temu. Wokół Stacji kręcili się gapie, dzieci i miejscy szaleńcy. Za to dziennikarzy, pewnie z powodu brzydkiej pogody, prawie nie było. Na deszczu mokła pikietka z hasłami: „Klucznicy do domu!”, a pewien solidny mężczyzna trzymał w rękach plakat z napisem „Galu, wróć!” Mężczyznę Martin kojarzył, on dyżurował pod Stacją trzeci miesiąc. Pojawiał się po piątej, wystawiał swój plakat, by mogły go obejrzeć obojętne ściany, o dziewiątej związał go starannie i odchodził. Chyba mężczyzna również poznał Martina, bo lekko skinął głową.

Martin odwrócił się. Kolejki do wyjścia stały przy wszystkich biurach przepustek, najkrótsza przy trzecim, wychodzącym na ulicę Siwcew Wrażek. Tam właśnie poszedł.

Młody mężczyzna sprawdzał dokumenty istocie, którą Martin widział po raz pierwszy w życiu. Humanoid miał oleście połyskliwą, szarą skórę, dwie pary rąk, ubrany był w brązowe futro i coś w rodzaju wełnianego beretu, bosi, z malutkimi, osłoniętymi przezroczystą membraną oczami. W informatorze Garnela i Czystiakowej *Kto jest kim we Wszechświecie* Martin widział już tę rasę, ale w tej chwili nie mógł sobie nic przypomnieć. To nawet dobry znak – wszystkich niebezpiecznych Obcych znał na pamięć.

– Tam jest kantor wymiany walut – tłumaczył pogranicznik. – Może pan wynająć indywidualnego przewodnika albo zwrócić się do biura turystycznego. Zna pan nasze prawo?

Obcy kiwnął.

– Proszę podpisać tu i tu...

Mężczyzna stojący między Martinem i Obcym odwrócił się, uśmiechnął się serdecznie i trochę nieśmiało, i zapytał:

– Przepraszam, pan tutejszy?

– Tak.

– Jestem z Kanady. Czy mógłby mi pan doradzić, w jakim hotelu najlepiej się zatrzymać?

Martin wzruszył ramionami i zerknął na stojących w pewnym oddaleniu agentów.

– Co dla pana ważniejsze – cena, wygoda czy lokalizacja?

Kanadyjczyk uśmiechnął się, rozłożył ręce. Nie wyglądał na milionera, zwykły obcokrajowiec w średnim wieku, średnio zamożny.

– Rozumiem. Niech pan weźmie taksówkę i jedzie do hotelu „Rosja”. Za luksus nie ręczę, ale za to niedrogo i w samym centrum.

– Dziękuję! – Kanadyjczyk był w tym euforycznym stanie, który od razu zdradza człowieka po raz pierwszy wracającego na Ziemię. – Byłem u córki, mieszka na Eldorado. Postanowiłem wrócić przez Rosję, zobaczyć przy okazji kawałek świata...

– Mądra decyzja – przyznał Martin. – Ja też często wracam przez zagraniczne Wrota.

W spojrzeniu Kanadyjczyka pojawił się szacunek.

– O, więc nie podróżuje pan po raz pierwszy?

Martin pokręcił głową.

– Czy dużo osób w Moskwie zna język turystyczny?

– Podobnie jak wszędzie. Jeden na tysiąc. Lepiej niech pan mówi po angielsku. Turystę, który przeszedł przez Wrota, wszyscy będą próbować obdrzeć ze skóry.

– Następny! – zawołał pogranicznik. Obcy już szedł do kantoru, obojętnie mijając krzątających się przewodników i cinkciarzy. Inteligentny Obcy, w dodatku praworządny.

Kanadyjczyk jeszcze raz uśmiechnął się szeroko do Martina i podszedł do funkcjonariusza.

– Dzień dobry, proszę okazać dokumenty...

Oficer przeszedł na angielski. Martin pomyślał przelotnie, że przez ostatni rok pogranicznicy podciągnęli się w znajomości języków. Niemal wszyscy znali turystyczny – czyli przynajmniej raz przechodzili przez Wrota. Poprawka – przynajmniej dwa razy. Wspólny język klucznicy dawali wszystkim korzystającym z usług ich systemu transportowego. Nawet te rasy, których system komunikacji nie opierał się na mowie, otrzymały uniwersalny język gestów, pozwalający na całkiem znośne porozumienie.

– Następny...

Kanadyjczyk niepewnie ruszył ulicą. Nieomylnie wyczuwając zysk rzucili się do niego przewodnicy i taksówkarze. Obedrą go jak nic.

– Martin Dugin, obywatel Rosji – podał dokumenty.

Pogranicznik w zadumie kartkował paszport. Wizy, wizy, wizy...

– Słyszałem o panu – powiedział. – Co miesiąc przechodzi pan przez Wrota.

Martin nie skomentował.

– Jak się panu to udaje, co? – Funkcjonariusz popatrzył Martinowi w oczy, jakby spodziewał się objawienia albo nieoczekiwanego wyznania.

– Po prostu idę. Opowiadam coś klucznikowi i potem...

Pogranicznik skinął głową.

– To wiem, byłem za Wrotami. Ale o co tu chodzi? Niektórym nie udaje się przejść nawet raz!

– Może po prostu mam gadane? – zasugerował Martin. – Nie wiem, panie oficerze. Wszystkie swoje historie opowiedziałem w odnośnych organach. Widocznie z jakiegoś powodu podobają się klucznikom.

Pogranicznik wbił w paszport wizę wjazdową.

– Witamy w domu, Martinie Dugin. Wie pan, że ma przydomek? Piechur.

– Dziękuję, wiem.



– Broń rozładowana?

– Oczywiście. – Martin poklepał się po kaburze. – Rozebrana i rozbrojona. Zwykły karabin. Poluję nim na dziki.

– Pomyślnych łowów – pogranicznik popatrzył na Martina z zainteresowaniem, ale bez wrogości. – Niech się pan zastanowi, jak się to panu udaje. Wszystkim by się przydało.

– Postaram się – obiecał Martin, przechodząc pod zielonym łukiem biura przepustek. Trzeba przyznać, że w ostatnim czasie pogranicznicy stali się jacyś lepsi. Spokojniejsi... bez tej nerwowości i podejrzliwości, jaka cechowała ich w pierwszych latach.

Szedł na piechotę jakieś dziesięć minut, coraz bardziej oddalając się od tłumu. Minął sklepy „Myśliwy” i „Podróże”, minął bazar, który powstał tu spontanicznie i zdążył się zalegalizować, gdzie handlowano wyposażeniem i artykułami z innych planet. Minął również kilka małych hoteli „dla wszystkich ras” i restauracji z kuszącymi, cudzoziemskimi nazwami, obiecującymi nieprawdopodobne dania.

I dopiero wtedy Martin złapał okazję. Kierowca zatrzymał się sam, otworzył drzwi, i nie pytając ani o trasę, ani o cenę, rzucił:

– Z podróży?

Tutaj, na zwykłej moskiewskiej ulicy język turystyczny brzmiał obco i dziwnie. Zbyt proste i miękkie dźwięki, zbyt krótkie zdania.

– Tak, właśnie wróciłem.

– Tak myślałem. Sam podróżowałem trzy razy. Myślę sobie, podwożę człowieka... daleko pan był?

Martin zamknął oczy, odchylił się na oparcie.

– Bardzo daleko. Dwieście świetlnych.

– I co tam jest?

– To samo, co tutaj. Deszcz.

Kierowca roześmiał się.

– I ja tak myślę. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Ile by człowiek nie podróżował, planety lepszej od Ziemi i tak nie znajdzie. Ja podróżowałem ot tak sobie, poszło o zakład z kumplami. Po pijaku się założyliśmy, że zdołamy przejść przez Wrota i wrócić. Mnie się udało, ale oni...

Martin milczał. Wsunął rękę do kieszeni i natrafił na żetony. Bez skanera trudno je było rozróżnić. Wieczorem będzie musiał napisać list do rodziny zabitego chłopca i wysłać przykrą wiadomość wraz z żetonem.

Martin stwierdził, że potem nie zaszkodzi się napić.

Nigdy nie wyznaczajcie ważnego spotkania na poniedziałkowy ranek. W sobotę wieczorem wydaje się, że to znakomity pomysł. Człowiek się umówi i już może skończyć rozmowę telefoniczną, by wrócić do gości. Można szczerze wierzyć, że niedziela minie w ciszy i spokoju, na niespiesznych zajęciach domowych i niedbałych kawalerskich porządkach, z leniwym wyjściem do pobliskiego sklepu po piwo i mrożoną pizzę – najbardziej paskudną drwinę Amerykanów z włoskiej kuchni. Można nawet liczyć, że niedzielny wieczór zakończy się sennym przełączaniem kanałów telewizora.

Nigdy nie obiecujcie sobie, że rzucicie palenie od Nowego Roku, zaczniecie uprawiać sport od przyszłego miesiąca i będziecie rześcy w poniedziałek rano.

– Pan Martin? – zapytał gość.

Martin zrobił dziwny ruch głową, który mógł oznaczać zarazem „tak”, „nie”, „nie pamiętam” albo „głowa mi pęka, a pan zadaje głupie pytania”.

A zwłaszcza to ostatnie.

– Chce pan proszek od bólu głowy? – zaproponował nieoczekiwanie gość i Martin popatrzył na niego z nagłym zainteresowaniem.

Na pierwszy rzut oka powód jego udręki był typowym biznesmenem z rodzaju tych, którzy zaczęli nosić krawat rok temu i jeszcze nie nauczyli się go samodzielnie wiązać. Przygarbiony, krótko obcięty, w garniturze od Valentino i koszuli od Etro. Martin świetnie wiedział, z jakimi prośbami przychodzą tacy ludzie, i już dawno nauczył się odmawiać.

Jedyną rzeczą, która nie pasowała do wizerunku gościa i przez to peszyła Martina, był zegarek. Oryginalny patek. Fakt posiadania takiego gadżetu mógł oznaczać wszystko, poczynając od nieprawdopodobnej głupoty gościa aż do wariantu najbardziej nieprzyjemnego – że mężczyzna nie jest tym, za kogo stara się uchodzić.

– Poproszę – zgodził się Martin. Gość podał mu listek z tabletkami. Martin przypomniał sobie, że takie opakowanie nazywa się blister. Ładne słowo, jakby rodem z fantastyki. „Wyjął swój wierny blister...”

– Przytulnie tu u pana – powiedział gość, czekając aż Martin rozgryzie tabletki i popije je wodą mineralną. Nic szczególnie przytulnego w pokoju nie było, zwykły gabinet w zwykłym mieszkaniu. Biurko z komputerem, dwa fotele, półki na książki i sejf w rogu. Martin nie odpowiedział na komplement, traktując go wyłącznie jako uprzejmość. – Więc to pan jest Martin.

– Na pewno widział pan moje zdjęcia – wymamrotał Martin. – Tak.

– Rzadkie imię w naszych szerokościach geograficznych – zauważył znacząco gość.

Martin zaczął wpadać w złość. Imienia nie mógł wybaczyć rodzicom. Wczesne dzieciństwo umilało mu przydomkowe „gąsior” – kreskówkę o małym Nilsie, który podróżował nad Skandynawią na gęsi. Martinie regularnie nadawano w telewizji. O tym, jak łączy się imię Martin z imieniem odojcowskim Igoriewicz lepiej w ogóle nie wspominać.

– I długościach – dorzucił Martin. – Rodzice uwielbiali *Martina Edena* Jacka Londona. Czy zaspokoilem pańską ciekawość?

Gość skinął głową.

– Chwała Bogu, że nie podobał im się Grin. Rzadkie imię jest i tak znacznie lepsze od wymyślonego, prawda?

Martin popatrzył na niego takim wzrokiem, jakby chciał powiedzieć: „Co mi głowę zawracasz, człowieku...” Ale...

– A jak mogliby mnie nazwać w takim wypadku? – zainteresował się.

– O! – gość wyraźnie się ożywił. – Jest cała masa interesujących wariantów! Drud. Sandy. Grey. Stil. Kolomb. Poza tym, pańscy rodzice mogli również pasjonować się polityką. Rewolucyjna romantyka... Proszę mi wierzyć, że Fidel Olegowicz brzmiałoby znacznie gorzej!

Martin rozłożył ręce.

– Poddaję się... Słucham pana uważnie, tajemniczy nieznajomy.

Gość nie triumfował. Wyjął z kieszeni marynarki dowód osobisty i podał Martinowi.

– Ernesto Siemionowicz Połuszkin – przeczytał półgłosem Martin. Podniósł oczy na gościa, pokiwał głową i oddał paszport. – Jakże ja pana rozumiem... Więc czym mogę służyć?

– Jest pan prywatnym detektywem, który pracuje poza granicami Ziemi – powiedział Ernesto Siemionowicz. – Zgadza się?

Martin nie wstydził się swojej pracy i jeśli ukrywał ją przed krewnymi, to wyłącznie z powodu konserwatywnych poglądów wujka i nadmiernej nerwowości mamy. Sam wolał określenie „kurier”, ale faktycznie, była to wielokrotnie opiewana i wielokrotnie wyśmiewana profesja prywatnego detektywa. I wbrew obiegowej opinii niebezpieczna nie ze względu na liczbę wycelowanych w twoje serce łuf, lecz liczbę otrzymywanych policzków, razów i wysłuchanych hysterii.

– Pozwoli pan, że coś panu wyjaśnię – rzekł Martin. – Tak się złożyło, że niektórzy ludzie umieją zagadać kluczników, a inni nie. Przypadkiem mnie wychodzi to całkiem nieźle. Dlatego wykonuję pracę najbardziej przypominającą pracę kuriera. Pańska żona wyruszyła w podróż po innych planetach? Znajdę ją i przekażę list od pana. A jeśli nie może wymyślić historii, by wrócić, stworzę ją dla niej. Pański partner w interesach mieszka na innej planecie? Mogę wystąpić w charakterze dostawcy. Przez Wrota nie można przenieść zbyt dużego ładunku, ale przecież nie handluje się wyłącznie złomem i polanami. Mogę dostarczyć dziesięć kilogramów rzadkiego lekarstwa z innej planety, mogę przewieźć przyprawy, schematy i rysunki nieznanymi na Ziemi urządzeń... Tylko proszę nie namawiać mnie, bym przeniósł narkotyki. Po pierwsze, ludzie wchodzący przez Wrota są dokładnie sprawdzani, po drugie, z zasady jestem przeciwnikiem środków psychotropowych. Może mnie pan również poprosić o znalezienie zbiegłego dłużnika lub nieuczciwego partnera w interesach, ale wtedy zastanowię się, czy się tego podjąć. Nie jestem supermanem, ani najemnym mordercą. Nie mam ochoty ryzykować życia dla czyjejś zemsty.

– A jeśli ktoś złożyłby panu taką propozycję? – spytał Ernesto, który słuchał Martina bardzo uważnie.

– To propozycja? – upewnił się Martin.

– Pytanie.

– Nie umiem odpowiadać na takie pytania – odrzekł Martin z nutką rozczarowania w głosie. – Ale mogę dać panu numer telefonu. Odbierze człowiek, który odpowie w moim imieniu.

Ernesto Siemionowicz uśmiechnął się, nie ruszając się z miejsca.

– Proszę mi wierzyć, Martinie, nie mam zamiaru składać panu takich propozycji. To była tylko ciekawość. Znam pańskich „opiekunów” i wiem nawet, dlaczego pana kryją. Mógłbym spróbować przekonać tych ludzi, ale nie jest mi to do niczego potrzebne.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy – rzekł Martin, znowu siadając w fotelu. Może z powodu

wymyślnego imienia, ze względu na pewne niuansy zachowania, w każdym razie poranny gość przypadł mu do gustu. I bardzo nie chciałby wysłuchać zawołanej propozycji odnalezienia i zabicia zbiegłego z Ziemi dłużnika. Zresztą, wieloletnie doświadczenie podpowiadało Martinowi, że do podobnych banałów nie dojdzie. Z takimi propozycjami przychodzą zazwyczaj znacznie prostsi ludzie.

Ernesto wahał się. Głęboko pod spokojną ironią i wyraźną serdecznością tkwił niepokój i zdenerwowanie. Jakby miał w zanadrzu historię smutną i wstydliwą zarazem: o niewiernej żonie, która uciekła z najlepszym przyjacielem, o bezczelnym naciągaczu, któremu pozwolił się obedrzyć, o namiętności do młodziutkiej i głupiutkiej modelki, o potrzebie posiadania bardzo rzadkiego i szalenie drogiego afrodyzjaku z planety Hanaan.

Martin czekał uprzejmie, nie poganiając gościa i nie przejawiając zainteresowania. Solidni ludzie bardzo nie lubią prosić, a teraz. Ernesto Siemionowicz znalazł się w takiej sytuacji, że chcąc nie chcąc będzie musiał wystąpić w charakterze petenta. Zresztą, musiał być silnym człowiekiem, skoro nazwisko Połuszkina nie przeszkodziło mu w życiu. Inny po osiągnięciu pełnoletniości starałby się je zmienić, a Ernesto nosił dumnie swoje nazwisko, niczym sztandar nad obłożonym fortem.

– To wszystko jest okropnie banalne – powiedział w końcu Ernesto. – Pozwoli pan?

– Tak – rzekł Martin, patrząc jak gość wyjmuje papierośnicę i zapalniczkę-gilotynkę. – Dziękuję.

Cygaro wziął z przyjemnością, choć nie uważał się za amatora tytoniowej trucizny. Ale już lepiej zapalić raz na jakiś czas cygaro, niż truć się co pół godziny papierosowym dymem.

– Oryginalna hawana – rzucił mimochodem Ernesto. – Byłem niedawno na Kubie i przywiozłem... W Moskwie można dostać jedynie podróbki...

Martin pomyślał, że tę banalną kwestię wygłaszają zazwyczaj ludzie, którzy nie mają pojęcia o cygarach, nie umieją ich przechowywać i nie wiedzą, gdzie je kupić. Ale to cygaro rzeczywiście było wysmienite – i Martin nic nie powiedział.

– Jak wspomniałem, wszystko jest szalenie banalne, Martinie. Mam siedemnastoletnią córkę. Głupi wiek, co by nie mówić. Dziewczyna ubzdurzyła sobie, żeby urządzić sobie tournée... Przeszła przez Wrota. Chciałbym, żeby ją pan odszukał i dostarczył do domu. Jak pan widzi, to wszystko bardzo proste.

– Szalenie – przyznał Martin. – I jakże banalne... Siedemnaście lat, mówi pan?

Ernesto skinął.

– Dawno opuściła Ziemię?

– Trzy dni temu.

Martin pokiwał. Trochę gorzej, niż gdyby zgłoszono się do niego natychmiast, ale jeszcze znośnie. Zresztą, przecież próbowano dotrzeć do niego już w sobotę... bez szczególnego nacisku.

– Muszę dowiedzieć się pewnych rzeczy, nim podejmę decyzję.

Ernesto nie protestował.

– Jakie ma pan stosunki z córką? – zapytał Martin.

– Dobrze – odparł bez wahania Ernesto. – Owszem, zdarzają się sprzeczki... Ale, jak sam pan rozumie, mam z głowy cały szereg zwykłych życiowych problemów. Chcesz nowe szmatki – proszę bardzo. Chcesz przez całą noc słuchać muzyki – nikt ci słowa nie powie. Gdy budowano dom, zamówiłem porządną izolację akustyczną. Czas wolny, nauka – wszystko w normie.

– Rozumiem – przyznał Martin. – A normalne relacje rodzinne? Porozmawiać od serca, pojechać do nocnego klubu, zaprosić chłopaka na noc?

– Proszę mi wierzyć, jestem dobrym ojcem – powiedział z lekką dumą Ernesto. – Pogadam, wypuszczę, pozwolę. Podyskutuję, doradzę, ale jeśli nie uda mi się przeforsować mojego zdania – pogodzę się.

– Wspaniale – rzekł Martin ze zrozumiałym niedowierzaniem. – A jaki jest stosunek córki do pańskich interesów?

– Prowadzę absolutnie legalny interes – powiedział Ernesto nie bez dumy. – Każdy poważny biznes to bagno, ale nie mam nic do ukrycia. Nie jestem bandytą handlującym narkotykami i utrzymującym nielegalne kasyna. Córka nie musi się za mnie wstydzić, jeśli o to panu chodzi.

– Czy spytała pana o radę, nim wyruszyła w podróż?

– Nie – odparł Ernesto.

– Nie wydaje się to panu dziwne?

– Nie. Rozmawialiśmy o Wrotach, wyjaśniałem Irinie, że z usług kluczników należy korzystać ostrożnie, gdy zdobędzie się doświadczenie i wiarę we własne siły. Ira nie przyznała mi racji. Lubi podróżować, a co może być lepsze niż droga przez Wrota? Szczerze mówiąc, Martinie, nie wykluczam, że za dwa, trzy dni Ira wróci sama. Ale nie chcę ryzykować.

– Będę musiał obejrzeć jej pokój, jej rzeczy osobiste – powiedział Martin.

Ernesto sposepniał, ale skinął głową.

– Opłata?

– Proszę podać sumę – odparł lekko Ernesto. – Znam pańskie stawki, nie przerażają mnie.

Do licha! Martin próbował znaleźć choć jeden racjonalny powód odmowy – i nie potrafił. Sympatyczny człowiek. Lekkomyślna córka. Dobre pieniądze. Nie ma się do czego przyczepić. I gdyby doszło co do czego, Martina nie zrozumieliby jego własni opiekunowie. Powiedzą: „Poważny człowiek, z zasadami... przydarzyło mu się nieszczęście, trzeba pomóc, Martinie”.

Wszystkie te myśli przemknęły mu przez głowę i zostały zastąpione czymś w rodzaju zakłopotania. Dlaczego miałby rezygnować z tej propozycji? Przecież zgodził się zapolować na księgowego-zabójcę, ryzykując, że zostanie postrzelony, albo splami krwią własne ręce. A teraz miałby jedynie odesłać córkę do domu.

– Powiem szczerze – rzekł Martin. – Coś mi się tu nie podoba.

Ernesto rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć – na to już nic nie poradzę.

– Czy powiedział mi pan wszystko? – zapytał Martin. – O swojej córce? O sobie?

– Wszystko, co może mieć związek z tą sprawą. Ale proszę pytać, odpowiem na każde pytanie.

Martin poddał się.

– Wezmę prysznic i napiję się kawy, dobrze? A potem pojedziemy do pana. Może pan poczekać tutaj...

– Z przyjemnością – zgodził się natychmiast Ernesto. – Przejrzę książkę... – leżąca na biurku książka Garnela i Czystiakowej otworzona była na artykule o rasie chri, podejrzewanej przez autorów o nienawiść do Obcych i ludożerstwo. Połuszkina spojrzawszy na zdjęcie przedstawiające gigantycznego homara na brzegu bagna i nawet mu powieka nie drgnęła. Martin poszedł pod prysznic.

– Smutno tu i samotnie – powiedział klucznik. – Porozmawiaj ze mną, wędrowcze.

Martin nigdy nie wymyślał historii zawczasu. Z jednej strony wynikało to z przesądów – że wymyślona historia może się w jakiś mistyczny sposób zmaterializować i trafić do innych podróżników. A z drugiej strony Martin miał wrażenie, że klucznicy cenią sobie improwizację.

– Chcę opowiedzieć o człowieku i jego marzeniu – zaczął Martin. – To był zwykły człowiek z planety Ziemia. Jego marzenie też było całkiem zwyczajne i nieskomplikowane, ktoś inny mógłby nawet nie uznać go za marzenie. Przytulny domek, mały samochód, ukochana kobieta i wspianałe dzieci. Ten człowiek umiał nie tylko marzyć, ale również pracować. Zbudował dom, i to wcale nie taki mały. Poznał kobietę, którą pokochał i która pokochała jego. Człowiek kupił samochód – żeby ruszając w drogę, można było jak najszybciej wrócić do domu. Kupił nawet jeszcze jeden samochód – dla żony, żeby nie nudziła się zbyt, gdy go nie będzie. Urodziły mu się dzieci – nie jedno, nie dwoje, lecz czwórka wspianiałych, mądrych dzieci, które kochały rodziców.

Klucznik słuchał. Siedział na kanapie w jednym z małych pokoiów moskiewskiej Stacji i uważnie słuchał Martina.

– A gdy marzenie człowieka zostało urzeczywistnione – ciągnął Martin – on nagle poczuł się samotny. Kochała go żona, uwielbiały dzieci, w domu było przytulnie, a wszystkie drogi świata stały przed nim otworem. Ale czegoś mu brakowało. I kiedyś, ciemną, jesienną nocą, gdy zimny wiatr zrywał ostatnie liście z drzew, człowiek wyszedł na balkon swojego domu i rozejrzał się. Szukał swojego marzenia, bez którego tak ciężko mu się teraz żyło. Ale marzenie o domu przemieniło się w cegły i przestało być marzeniem. Wszystkie drogi leżały przed nim, a samochód stał się tylko zespawanyymi kawałkami pomalowanego metalu. Nawet kobieta, która spała z nim w łóżku, była zwykłą kobietą, a nie marzeniem o miłości. Nawet dzieci, które tak kochał, były zwykłymi dziećmi, a nie marzeniem o nich. I człowiek pomyślał, że dobrze byłoby wyjść z tego pięknego domu, kopnąć elegancki samochód, pomachać ręką żonie, pocałować dzieci i odjechać na zawsze...

Martin odetchnął głęboko. Klucznicy lubili przerwy, ale teraz chodziło o co innego – Martin jeszcze nie wiedział, jak zakończy swoją opowieść.

– I odszedł? – zapytał klucznik i Martin zrozumiał, jak należy odpowiedzieć.

– Nie. Zszedł do sypialni, położył się obok żony i zasnął. Nie od razu, ale mimo wszystko zasnął. I starał się już nie wychodzić z domu, gdy jesienny wiatr igra z opadłymi liśćmi. Człowiek rozumiał to, czego jedni dowiadują się w dzieciństwie, a inni nie rozumieją do późnej starości. Uświadomił sobie, że nie można marzyć o tym, co osiągalne. Od tamtej pory starał się wymyślić sobie prawdziwe marzenie. Oczywiście nie udało mu się to. Ale za to teraz żył marzeniem o prawdziwym marzeniu.

– To bardzo stara historia – powiedział w zadumie klucznik. – Stara i smutna. Ale rozwiąłeś mój smutek, wędrowcze. Wejdz we Wrota i zacznij swoją drogę.

Czas wyboru planety niczym nie był ograniczony – może jedynie pragnieniem i głodem. Kiedyś Martin spędził przed komputerem ponad sześć godzin.

Teraz minęło już czterdzieści minut, a on ciągle nie mógł się zdecydować.

Wczoraj był w domu Iriny, porozmawiał z dwoma jej przyjaciółkami i śmiertelnie przerażonym chłopakiem – zwykłym siedemnastoletnim pętkiem, onieśmielonym ojcem Iriny, jej matką i chyba nawet psem – wielkim owczarkiem maltańskim.

Pies peszył Martina najbardziej. Pies należał do Iry, mieszkał w jej pokoju, występował niemal

na wszystkich zdjęciach i nagraniach wideo, które uprzejmie udostępnił mu Ernesto Siemionowicz. Pies był wielki i bojowy, i wyraźnie tęsknił za swoją panią.

Dlaczego nie wzięła go ze sobą?

Kiedy młoda, głupia dziewczyna ucieka z domu, może nie powiedzieć o tym rodzicom, ale powinna zabrać ukochanego psa! Po pierwsze, z powodów czysto pragmatycznych, naiwnie sądząc, że pies to najlepszy obrońca na świecie, a po drugie, ze względu na sentymentalne przywiązanie. Gdy się ma siedemnaście lat, stawia się zwierzęta na równi z ludźmi, a czasem nawet wyżej.

Ira nie wzięła psa.

Nie wzięła również wiszącej na ścianie pokoju kuszy – hiszpańskiej zabawki z tytanu, rzeczy drogiej i bardzo pożytecznej. Nie wzięła też karabinu, którym umiała się posługiwać i który był oficjalnie zarejestrowany na milicji.

To od razu nasuwało myśl, że pociąg Iriny do przygód był dość umiarkowany, i że ze wszystkich planet wybrała taką, gdzie nie ma potrzeby używania broni – kwitnącą, amerykańsko-europejską wspólnotę na Eldorado, miasto-kurort na Błękitnych Dalach, miasto-planetę wysoko rozwiniętych aranków, jeden ze światów-skansenów pod patronatem dio-dao, rasy ascetycznej i surowej, ale szalenie punktualnej i prawomyślnej. Czyli którąś z tych planet, które tak lubią opisywać w czasopismach typu „Vogue” czy „Pani domu”, nie żałując miejsca na kolorowe zdjęcia i zachwycony bełkot turystów...

Ale to z kolei nie pasowało do charakteru dziewczyny! Nie zamieniłaby siekierki na kijek i nie przenosiłaby się z bezpiecznego, komfortowego gniazdka, stworzonego dzięki pieniądзом ojca, na przytulną planetę. Martin pomyślał nawet przez moment, że Irina w ogóle nie przechodziła przez żadne Wrota, tylko poleciała na wyspy Bahama czy Hawaje ze swoim prawdziwym chłopakiem, którego istnienia rodzice, jak to zwykle bywa, nawet nie podejrzywali.

Ale przyjaciółki Iriny, dziewczynki równie głupiutkie i beztroskie jak sama Irina Połuszkina, z nieudawanym zachwytem i fałszywym niepokojem w głosie bardzo przekonująco opowiadały o tym, jak Irina weszła przez drzwi moskiewskiej Stacji. Irina nie wzięła ze sobą żadnych rzeczy, zadowolona się jedynie torbą z ubraniami i jakimiś drobiazgami ze sklepu „Podróże”. Dziewczęta uczciwie poczekały na przyjaciółkę te dwie godziny, które klucznicy dawali każdemu podróżnikowi na opowiedzenie historii, a Ira nie wyszła. Na obcej planecie mogłaby poprosić klucznika o wpuszczenie jej do pokoju wypoczynkowego, ale na Ziemi ten numer by nie przeszedł.

Martin przejrzał wszystkie czasopisma, które znalazł w pokoju Iry. Obejrzał wszystkie kasety, ze szczególnym uwzględnieniem tych o Wrotach i klucznikach. Złamał hasło w jej komputerze (co nie zajęło mu zbyt dużo czasu) i uważnie przejrzał e-maile, logi, naiwne wiersze i ulubione strony w Internecie. Dowiedział się mnóstwa interesujących rzeczy, włączając naturalne w tym wieku zainteresowanie seksem i dość nieoczekiwane zamiłowanie do piłki nożnej. Znalazł w najbanalniejszym miejscu – pod materacem – dziewczęcy pamiętnik, zamknięty na mały zameczek, który skapitulował przed scyzorykiem. Pamiętnik wypełniały plotki, szkice pięknych sukien, wspomnienia o pocałunkach i namiętnych zauroczeniach, długie rozmyślania o sensie życia i losach ludzkości. Każdy z takich monologów dobitnie świadczył, jaki film obejrzała, czy jaką książkę czytała ostatnio Ira.

Zupełnie normalna, sympatyczna siedemnastoletnia dziewczyna.

I żadnych aluzji, dlaczego weszła we Wrota i dokąd wyruszyła.

Martin patrzył na ekran i nie widział planety.

Rudowłosa dziewczynka z zielonymi oczami. Z zamożnej rodziny. Mądra z natury i głupia ze względu na wiek. Gdzie ją mogło zanieść?

Eldorado. Dio-dao...

Nie.

Planety, na które całymi tłumami napływali ludzie i nieładzie ze światów otwartych przez kluczników. Światy surowe i przestronne, otwarte na podbój i do nikogo nie należące, planety, gdzie można szukać złota, hodować pszenicę, postawić w lesie drewniany dom, albo zostać najprawdziwszym szeryfem. Planety, na które wrywają się chłopcy od dwunastego roku życia wżwyz.

Nie.

Cała ta egzotyka w rodzaju macierzystych planet Obcych. Postawione przez kluczników warunki nie przewidywały żadnego ograniczenia swobody przemieszczania się... ale jest wiele sposobów odstraszenia Obcych od własnej planety. Wysokie ceny na lokal i żywność, przeszkody w otrzymaniu wizy, zwykła przestępczość, na którą władze przymykają oczy...

Nie.

– Nie poszłaś na chybił trafił – powiedział Martin, patrząc na monitor. – Coś cię zaniekaowało...

Najwyraźniej coś przegapił. Jakiś drobny szczegół w charakterze dziewczynki, który sprawił, że weszła przez Wrota.

Seks? Religia? Problemy z prawem? Bez sensu. O żadnym seksie nie mogło być mowy, wiara w Boga na poziomie stwierdzenia: „Rzecz jasna istnieje pewien wyższy rozum”. Organa nie miały do Iriny żadnych pretensji.

Martin zamknął oczy, jeszcze raz przewijając w pamięci wszystkie otrzymane informacje. Irka na plaży, w panamie i z wiaderkiem, ta sama Irka przy pianinie, a tu Irka idzie do pierwszej klasy dobrego college’u.

Zatrzymał się. College. Czesne trzy i pół tysiąca rocznie. Nauka tańca, retoryki, psychologia, aikido... widelec trzymany w lewej ręce, w nosku dłubiemy prawą...

Zaawansowana nauka języków obcych. Ira uczyła się angielskiego i francuskiego, potem do tego doszły jeszcze łacina i greka, a następnie niemiecki i hiszpański...

Przez ostatnie dwa lata Irka zajmowała się najgłupszym przedmiotem, jaki można było sobie wyobrazić. Uczyła się języka turystycznego. Po co uczyć się języka, który i tak włożą ci do świadomości podczas pierwszej podróży – drobny acz przyjemny prezent kluczników? Dla szpanu? Tylko dlatego, że masz ogromne zdolności językowe?

Ciepło. Bardzo ciepło.

Martin uśmiechnął się, zaczął sunąć kursorem w górę. Rondo... Karasan... Ioll... Jezyki... Veno... Planety, na których jest wielu ludzi. Planety, na których jest wielu Obcych.

Biblioteka.

Bardzo popularna przez pierwsze dwa lata od przybycia kluczników. Planeta, na którą łąpczywie rzuca się każda rasa obdarzona dostępem do Wrót. Świat, który nie jest nikomu potrzebny. Świat, który ma tylko jedne Wrota.

Naciskając enter, Martin nie miał już wątpliwości, że zgadł.



Stacja była standardowa – duży, piętrowy budynek zbudowany z kamiennych bloków oraz wieża-latarnia. Najlepsze świadectwo, że planeta nie posiada własnej cywilizacji – klucznicy nie zatroszczyli się o architektoniczne dopasowanie budowli.

Ale jeśli na planecie Topiel równie standardowa Stacja wydawała się pusta i porzucona, tutaj tętniło życie. Na korytarzach Martin natknął się na kilku Obcych – puszystych czworonogich z czujnym drapieżnym wzrokiem i wilczą mordą, a z górnego piętra dobiegał gwar wielu głosów, widocznie podróżni, odpoczywający w sali gościnnej, prowadzili jakąś dyskusję. Za plecami Martin złowił lekkie szuranie łap, albo obutych w coś miękkiego, albo amorficznych z natury, ale nie przejął się tym. Wiedział, że na Stacji żadna istota nie odważy się i nie zdoła wyrządzić nikomu krzywdy.

Ale mimo wszystko drażniło go to otwarte śledzenie.

Wyszedł na drewnianą werandę i znalazł tam dwóch kluczników. Jeden, starszy, o siwoburym futrze, palił fajkę, opierając się o poręcz i kontemplując krajobraz. Drugi siedział przy stoliku z zastawą do herbaty i uważnie słuchał Obcego – wysokiego, barczystego humanoida o spłaszczonej głowie i potężnych, szponiastych łapach. Z ubrania Obcy miał na sobie tylko pasek jaskrawo niebieskiego materiału na biodrach. Wchodzącemu Martinowi humanoid rzucił podejrzliwe spojrzenie i kontynuował opowieść potężnym głosem:

– I ruszyłem ukwieconymi polanami, zrywając jeden kwiat po drugim, ale nie było wśród nich różowych płatków życzeń... Postanowiłem wtedy wrócić do ukochanej i pójść po swoich śladach, ale trawy zamknęły się i splątały moją drogę... Słońce weszło w antyfazę i czarne światło zalało świat... Wołałem, ale odpowiedzią była tylko cisza...

Martin z wysiłkiem uśmiechnął się do kluczników i poszedł w stronę schodów. Od Obcego płynął ostry, korzenny zapach – niepokojący i nieprzyjemny. Kolorowe rozbłyski latarni kładły się na kamiennym placu przed Stacją nerwowym stroboskopem, przebijając nawet światło południowego słońca.

– Smutno tu i samotnie, wędrowcze... – powiedział klucznik za jego plecami. – Słyszałem takie historie już wiele razy...

– Drwisz sobie ze mnie, kluczniku! – ryknął Obcy. – Opowiedziałem ci historię mojego wygnania!

– Słyszałem takie historie wiele razy... – powtórzył ze smutkiem klucznik. – Smutno tu i...

Świszczące przecinanego powietrza zmusił Martina do pochylecia się i odskoczenia do poręczy, do nóg palącego fajkę klucznika. Ciężkie uderzenie, trzask drewna, brzęk tłuczonych naczyń... Martin podniósł oczy – klucznik czyścił fajkę.

Martin odwrócił się.

Stół był rozcięty na pół, porcelanowe filiżanki leżały na podłodze. Młody klucznik ze smutkiem spoglądał na to rumowisko.

Zapalczywego Obcego już nie było.

– Nie ma się czego bać – odezwał się amator fajki do Martina. – Na terenie Stacji nikt nie może nikomu wyrządzić krzywdy.

– Przyzwyczajenie – wyjaśnił Martin, wstając. – Do widzenia.

Korzenny zapach Obcego nadal wisiał w powietrzu. Przechodząc obok rozwalonego stołu

Martin wstrzymał oddech. Latarnia nad jego głową słała w przestrzeń fale kolorowego światła.

Martin wyszedł na plac.

Stacja została zbudowana na okrągłej kamiennej wysepce o średnicy pół kilometra. Nie rosły tu żadne rośliny, szary chropowaty kamień bardziej przypominał beton niż naturalne podłoże. We wszystkie strony od kamiennej wysepki rozchodziły się wąskie kanały. Połączone ze sobą ciekami, wiły się i tworzyły zatoki, pokrywając cały świat aż po horyzont – i jeszcze dalej. Cała planeta była tylko kamieniem i wodą, martwą karykaturą Wenecji. Wysepka, na której stał Martin, stanowiła największy fragment lądu na Bibliotece. Najmniejsza wysepka miała dwadzieścia centymetrów na dwadzieścia centymetrów, zaś generalnie rozmiary wahały się od pięciu do dwustu metrów kwadratowych. Na każdej wysepce stały obeliski, oszlifowane kamienne słupy grubości ręki i wysokości półtora metra. Czasami stał tylko jeden słup. Czasem setki. Na każdym obelisku wyryto jedną jedyną literę. Liter było w sumie sześćdziesiąt dwie, ale nie wykluczano wariantu, że w skład alfabetu wchodziły również znaki przestankowe i cyfry.

Martin stał, oglądając niekończący się las kamiennych fallusów. Nigdy nie był na Bibliotece, ale niegdyś przeczytał wiele artykułów na temat tej dziwnej planety. Na pierwszy rzut oka była pełna tego uroku, który wiele osób widzi w ruinach i cmentarzach. Czyste, świeże, ale martwe powietrze. Cicho szmerząca w kanałach woda. Gdzeniegdzie na wyspach widać oznaki życia. Unosiły się lekkie opary, pomiędzy słupami naciągnięto namioty i plandeki.

Martina przeszył dreszcz – nie z zimna, bo było raczej ciepło, lecz od czającego się w obeliskach mroku. Nigdy nie mógł zrozumieć, co takiego ludzie widzą w ruinach. Martin otworzył futerał z karabinem, szybko złożył broń, odbezpieczył i poszedł w stronę brzegu, tam, gdzie przez kanał przerzucono kamienny mostek – utworzony z trzech bezceremonialnie przewróconych słupów.

I wtedy zobaczył, że z naprzeciwka idzie trzech aborygenów. Człowiek i dwóch Obcych – geddar i nie znana Martinowi fokokształtna istota, pełznąca brzegiem kanału z opuszczoną do wody płetwą. Wytężając wzrok, Martin zauważył jeszcze jednego fokoida, płynącego pod wodą.

– Pokój wam – zwrócił się Martin do tego swoistego komitetu powitalnego, zatrzymując się przed mostkiem, ale nie wypuszczając karabinu z rąk.

Geddar i człowiek popatrzyli na siebie. Chyba to właśnie oni byli tu najważniejsi – chociaż możliwe, że tę myśl nasuwał miecz geddara i śrutówka człowieka. Geddar skrzyżował ręce na piersi – poza oczekiwania, z której najwygodniej wyciągnąć miecz.

– I tobie pokój – rzekł człowiek, chudy, ale nie wycieńczony. Europejczyk, mniej więcej czterdziestoletni, miał na sobie znoszone, ale czyste ubranie – generalnie sprawiał wrażenie zadbanego. – Reprezentujemy administrację Biblioteki.

Martin skinął głową. Wiedział, że na Bibliotece nie ma rządu z prawdziwego zdarzenia – planeta nie sprzyjała organizacji życia społecznego. Ale coś na kształt władz pojawia się w każdym miejscu, gdzie zbiorą się więcej niż dwie istoty rozumne.

– Jak długo zamierza pan przebywać na Bibliotece? – odezwał się znowu człowiek.

– Tyle, ile będzie trzeba.

Mężczyzna uśmiechnął się. Martin pomyślał, że przedstawiciel administracji miałby wiele opowieści dla kluczników.

– Przestrzegamy tu pewnych zasad – mówił dalej człowiek. – Niezwykle prostych. Żadnej przemocy. Molestowanie seksualne również jest niedopuszczalne. Kradzież karzemy śmiercią. Wskazane byłoby przekazanie na fundusz społeczny części posiadanych przez pana rzeczy.

– Bóg nakazał się dzielić – przyznał Martin. Zrzucił jeden pasek plecaka, przełożył karabin do wolnej ręki i zdjął plecak. Rozwiązał go, wyjął sporą paczkę i przerzucił przez kanał do nóg geddara.

Przedstawiciele władz przyglądali mu się z zainteresowaniem.

– Koncentraty spożywcze, materiał, igły i nici, lekarstwa, tabletki suchego paliwa, bateria słoneczna, trzy ostatnie numery „Przeglądu dla podróżników” – wyliczał Martin. – Dokładnie połowa mojego wyposażenia.

Przedstawiciel administracji i geddar znowu wymienili spojrzenia. Martin z przyjemnością zobaczył na twarzy mężczyzny uśmiech. Geddar opuścił ręce. Istota przypominająca fokę wydała cichy, gruchający dźwięk, odwróciła się i delikatnie ześliznęła do kanału.

– Cieszę się, że mogę powitać doświadczonego podróżnika – rzekł mężczyzna. Wszedł na mostek i podał Martinowi rękę. – Dawid.

– Martin.

Geddar tylko skinął głową. Żeby skłonić geddara do wyjawienia swojego imienia, nie wystarczy nikły cień podziwu czy sympatii.

– Czy na Ziemi wydarzyło się coś interesującego? – zapytał niemal od razu Dawid.

Martin pokręcił głową.

– Dzięki za „Przegląd” – rzucił Dawid. – Niewiele osób wpada na to, żeby wziąć ze sobą gazety. Kim pan jest, Martinie?

– Sądzę, że można mnie nazwać adwokatem – uśmiechnął się Martin. – Albo listonoszem.

– Albo detektywem – dodał w zadumie Dawid. – Wie pan, że o panu słyszałem?

Martin pokręcił głową.

– Przypuszczam, że się pan myli.

Dawid uśmiechnął się:

– Być może. Ale radziłbym panu nie tracić czujności. Ja i mój przyjaciel – skinął w stronę geddara i Martin spiął się – znajdujemy się tutaj z własnej woli. Jeśli zechcemy, wrócimy. Ale wielu ugrzęzło tu na dobre. Jeśli rozejdzie się plotka, że na planecie pojawił się Piechur... – Dawid znacząco zawiesił głos, ale Martin nie zareagował. Szczerze mówiąc, bardziej interesował go ten geddar, który pozwalał, by człowiek określał go mianem „przyjaciela”. Tych dwóch łączyło coś poważnego...

– Jak mogę panu pomóc, Martinie? – zapytał Dawid.

– Szukam dziewczyny, która przybyła na Bibliotekę trzy dni temu – wyjaśnił Martin. – Ma siedemnaście lat. Sympatyczna, rudowłosa, mniej więcej mojego wzrostu...

Dawid skinął głową, nie słuchając do końca.

– Tak, pamiętam. Od kogoś innego zażądałbym opłaty za informacje – życie nie jest tu łatwe, zasoby są ograniczone. Ale pan jest solidnym człowiekiem i podoba mi się pan. Dziewczyna poszła na zachód – wskazał ręką kierunek.

– Co tam jest? – spytał Martin.

– Jedno z trzech osiedli, gdzie mieszkają uczeni. – Dawid prychnął. – Może zabrzmiało to śmiesznie, ale na ludność Biblioteki składają się prawie wyłącznie idioci, pragnący odkryć tajemnicę planety. Największe osiedle znajduje się tu, przy Stacji. Nazywamy je po prostu Stolicą. Mieszkają tu

siedemset trzydzieści dwie istoty rozumne. Stu czternastu ludzi, trzydziestu dwóch geddarów oraz Obcy.

Martin znowu zauważył zdumiewający fakt – Dawid podkreślił alians między ludźmi i geddami.

– Drugie osiedle, Centrum, mieści się na północy, i zamieszkuje je około dwustu istot rozumnych – kontynuował Dawid. – Jesteśmy z nimi w jak najlepszych stosunkach. Ale dziewczyna poszła do najmniejszego osiedla, Enigmy, położonej dokładnie na zachód od nas. Ludność Enigmy wynosi około stu ludzi.

Zrobił przerwę i dodał:

– Właśnie ludzi. Obcy nie są tam mile widziani. Nie podoba nam się to, ale nie chcemy konfliktu.

Martin skinął głową. Wiedział o istnieniu trzech osiedli na Bibliotece, ale rozkład sił politycznych był mu nie znany.

– Pozostała część planety jest niezamieszкана?

Dawid wzruszył ramionami.

– Tego bym nie powiedział. Są ludzie, którzy pragną odosobnienia, są szaleńcy i samotnicy... osiedlają się w pobliżu, ale prawie się z nami nie kontaktują. Żadnych band czy samotnych strzelców tu nie ma – bo chyba to interesuje pana najbardziej?

– Owszem – przyznał Martin.

– W zasadzie jest tutaj bezpiecznie – powiedział Dawid. – Jedyne formy życia na planecie to występujące w kanałach ryby, wodorosty i stworzenia przypominające raki. Żadna forma życia nie jest jadowita czy agresywna, wszystkie nadają się do spożycia... o walorach smakowych rozprawiać nie będziemy. Czasem, raz na trzy miesiące, ktoś znika bez śladu, ale jestem skłonny złożyć to na karb nieszczęśliwych wypadków. Kanały są wystarczająco głębokie, żeby utonąć, a miejscowe raki zjedzą ciało człowieka z równą przyjemnością, z jaką pan zjadłby raka.

– Jeszcze coś interesującego?

Dawid uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jak sądzę, nasze badania naukowe i dysputy raczej pana nie intrygują, mam rację? Występująca na tej planecie rasa była bardziej starożytna od samych kluczników, ale pozostały po niej jedynie kanały, wysepki i obeliski. Co kilka dni ktoś ogłasza, że rozszyfrował starożytny język i za każdym razem okazuje się, że to pomyłka. Ale mimo to nie tracimy nadziei.

– Jest pan lingwistą?

– To tylko hobby. – Dawid pokręcił głową. – Jestem biologiem i przybyłem, żeby zbadać miejscowe formy życia. Występuje tu unikatowa biocenoza dziewięciu gatunków zwierząt i trzech rodzajów wodorostów, tworząc razem wspaniałą, stabilny system. A przy tym dowolna rasa białkowa może żywić się miejscowymi formami życia. Woda w kanałach ma słony posmak, ale znakomicie gasi pragnienie. Zdarzają się deszcze, ale nie ma gwałtownych burz. Temperatura waha się od dwunastu do dwudziestu dziewięciu stopni Celsjusza.

– Sztuczny system – podsumował Martin.

– Oczywiście – Dawid rozpląnął się w uśmiechu. – Ci, którzy zasiedlali tę planetę, stworzyli warunki, pozwalające przeżyć dowolnej humanoidalnej rasie, i... odeszli? – Rozłożył ręce. – Tak czy inaczej, jeśli uda się rozszyfrować pismo na obeliskach, będzie to ogromny sukces naukowy.

Geddar, który do tej pory stał nieruchomo, pochylił się i podniósł z ziemi paczkę z wyposażeniem.

– Jeszcze dwa pytania – rzucił szybko Martin. – Jak daleko stąd do Enigmy?

– Dwadzieścia trzy kilometry. Dla doświadczonego piechura – pięć-sześć godzin marszu. Dla pana – osiem.

Martin spojrział na niebo i Dawid dodał:

– Do zachodu słońca zostały cztery godziny. Ciemność zapada niemal od razu, planeta nie ma satelitów, a powietrze jest bardzo czyste. Radziłbym panu przenocować w osiedlu. Za kawałek czekolady czy kilka torebek herbaty każda rodzina nakarmi pana wędzoną rybą i zaproponuje nocleg.

– Drugie pytanie – rzekł Martin, ignorując propozycję. – Jakie wrażenie zrobiła na panu dziewczyna, która poszła do Enigmy?

Dawid nieoczekiwanie zawahał się. Popatrzył na geddara, a ten niemal po ludzku wzruszył ramionami.

– Dziwna – powiedział w końcu. – Bardzo młodziutka. Powiedziała, że po raz pierwszy przeszła przez Wrota i ja jej wierzę. A jednocześnie zachowywała się z dużą pewnością siebie i od razu zapytała o drogę do Enigmy...

Zamilkł i dodał:

– I miała zawczasu oddzielną połowę wyposażenia. Tak jak pan, Martinie. I odniosłem wrażenie, że wszystkie pytania zadaje jedynie dla porządku... z góry znając odpowiedź.

– Dziękuję – powiedział w zadumie Martin. – Chyba zaryzykuję i wyruszę natychmiast.

Martin przeszedł przez mostek i zarzucił karabin na ramię. On i Dawid ponownie uścisnęli sobie dłonie, a geddar uprzejmie skinął głową.

I Martin ruszył w drogę.

Stolica rzeczywiście wyglądała na duże osiedle. Rozmiar wysepek sprawiał, że na jednej mogło zamieszkać jedynie kilka osób, większość ludności rzeczywiście tworzyła coś na kształt rodzin. Martin starał się iść po małych wysepkach, omijając duże, z namiotami i plandekami. Często trafiał na mosty, zbudowane z kilku obelisków. Nad niektórymi wyspami powiewały przywiązane do obelisków proporce, pełniące rolę zaimprovizowanych sztyldów – Martin zarejestrował punkt medyczny, dwa sklepiki, salon fryzjerski i jeszcze coś. Szczególnie wzruszająco wyglądał kościół ze ścianami z moskitiery.

Martin wiedział, że komarów tutaj nie było.

W niektórych miejscach szerokość kanałów dochodziła do pięciu metrów – tam zazwyczaj stawiano sieci. Sporą wysepkę z dużą zatoką wykorzystywano w charakterze plaży i kąpieliska. Najwyraźniej nagość nikogo tu nie peszyła, bo na słońcu leżały trzy korpulentne nudystki, zaś plażą szedł nagi chłopiec. W kanale obok płynęła fokopodobna istota, od czasu do czasu wyrzucając na brzeg mięczaki. Chłopak zbierał muszle do reklamówki, [Aluzja do żartobliwej piosenki, utrzymanej w atmosferze czarnego humoru, której twórcą jest aktywny członek rosyjskiego fandomu i współorganizator największego rosyjskiego konwentu ROSKON, Aleksander Uljanow zwany LAS, i zaczynającej się od słów „Nagi chłopiec siedł po plaży, zbierał sobie piękne muszle, wkładał je do reklamówki...”] nudystki przypatrywały się z ciekawością Martinowi i rozmawiały o czymś półgłosem, zaś chłopiec z zawiścią wpatrywał się w karabin, dopóki foka nie odwróciła jego uwagi długim świstem.

Biblioteka robiła dość sympatyczne wrażenie. Większość planet, kolonizowanych przez kilka ras jednocześnie, wypracowywała jakąś formę demokratycznego współistnienia. Rządy bandytów czy despotów pojawiały się na bardzo biednych albo szalenie bogatych planetach. Biblioteka była

światem minimalistycznym – nietrudno tu przeżyć, ale nie sposób się wzbogacić.

Po dwudziestu minutach marszu Martin znalazł się poza granicami osiedla. Nikt go nie wołał ani nie zatrzymywał. Być może z powodu karabinu, a może dlatego, że Dawid i geddar utrzymywali w stolicy wzorowy porządek. Z jednej strony Martinowi szło się teraz łatwiej, z drugiej trudniej – tutaj nie było mostów. Wąskie kanały trzeba było po prostu przeskakiwać – chropowaty kamień wysepek pozwalał na bezpieczny rozbieg, szerokie należało omijać. Dawid przecenił trochę szybkość Martina, ale Martin się tym nie przejmował.

Nie ma nic przyjemniejszego od spokojnej wędrówki po obcej planecie, pod warunkiem że nie musisz obawiać się niespodziewanego ataku drapieznika, czy równie nieoczekiwanego strzału w plecy. Martin, doświadczony podróżnik, nie tracił czujności, rozglądał się na boki, ale nie bał się. Kamienne obeliski były zbyt wąskie, żeby ktokolwiek mógł się za nimi zaczaić. W wodzie kanałów mieszkwały fokoidy, czy inna forma życia rozumnego, ale stworzenia wodne są zazwyczaj usposobione pokojowo. Znacznie bardziej niepokoił Martina cel wędrówki – osiedle ludzi-szowinistów.

Dziwna sprawa. Aby zakończyć międzynarodowe konflikty, Ziemia potrzebowała tylko jednego – kontaktu z Obcymi. Wszystkie podejrzania i cała wrogość została niemal od razu przeniesiona na zębatych, łuskowatych, kudłatych czy śliskich kosmitów. Wyjątek stanowili klucznicy – ich spokojna potęga budziła powszechny szacunek. Jakie lęki targały ludzkością w pierwszych dniach kontaktu – zwłaszcza po ataku jądrowym amerykańskich wojsk lotniczych na statek macierzysty! Ale klucznicy nawet się nie zająknęli na temat tego przykrego incydentu, pozwalając prezydentowi Stanów Zjednoczonych na wygłoszenie przeprosin oraz ukaranie pospiesznie mianowanych strzelców. Mało tego, klucznicy pomogli oczyścić skażony teren i podarowali lekarstwa na chorobę popromienną. Z tą samą pobłażliwą obojętnością przybysze traktowali terrorystów, którzy przez kilka lat próbowali niszczyć Stację. Niebagatelny wpływ na stosunki ludzi z klucznikami miała również „opłata za wynajem”, regularnie płacona krajom, na terytorium których mieściły się Wrota. Można oczywiście oburzać się bezceremonialnie zaanektowanym fragmentem Moskwy, zepsutym widokiem na Statuę Wolności, poważnie zredukowanym ogrodem Kensington, przesuniętą w bok tysiącletnią pagodą w Pekinie, ale trzeba przyznać, że podczas budowy Stacji nie było ani jednej ofiary.

Poza tym, klucznicy rozsądnie nie tknęli żadnej świętości religijnej, zaś udostępnione przez nich technologie położyły kres głodowi, kryzysom energetycznym i kilku nieprzyjemnym chorobom. Klucznicy nie wchodzili w spory prawne – po prostu wzięli to, czego potrzebowali – czternaście działek w najważniejszych miastach Ziemi – i uczciwie płacili za to, co wzięli. W zamian żądali jedynie, by dostęp do Stacji zapewniono wszystkim chętnym. Opłata za przejście przez Wrota i podróż na inną planetę była niezmiennie ta sama – ciekawa opowieść. Nic poza tym! Kontakty oficjalne ograniczone do niezbędnego minimum. Żadnego eksportu, prócz drobnych zakupów artykułów spożywczych i tytoniu. Ze swojej strony klucznicy dawali tylko to, co uważali za stosowne. Nic nie mówili o sobie. I taką politykę stosowali na wszystkich planetach, do których dotarły ich gwiazdoloty.

Po jakimś czasie ludzie przestali reagować na kluczników. Przywykli do nich jak do zjawiska atmosferycznego, nauczyli się nie dostrzegać niewygód i cenić korzyści – ponieważ tych ostatnich było znacznie więcej.

Ale pozostałe rasy to już zupełnie inna kwestia. Wśród Obcych zdarzały się cywilizacje zacofane oraz bardziej rozwinięte niż ludzka. Niemal wszyscy byli ciekawscy i chcieli popatrzeć na inne światy. I na nich właśnie wylewała się cała wrogość ludzi do Obcych – czasem otwarta i usprawiedliwiona, a czasem irracjonalna i skryta.

Martin przyzwyczał się do myśli, że szowiniści wolą żyć na Ziemi, czy w nielicznych ziemskich koloniach. Szowiniści, którzy osiedlili się wśród Obcych – to zjawisko dziwne i nielogiczne. Tym bardziej, iż byli to ludzie wykształceni, dążący do odkryć naukowych i odgadnięcia tajemnic Wszechświata! Miłośnicy przygód i karierowicze nie mieli czego szukać na Bibliotece, raję dla ludzi bezinteresownych, wyznawców wykrystalizowanej wiedzy akademickiej. Co za pomysł – uczone-szowinista, naukowiec-fanatyk, badacz-ksenofob! W zasięgu ręki jest niesamowita tajemnica – cywilizacja kluczników. Jest mnóstwo mniejszych zagadek, jak choćby Biblioteka. Dlaczego nie badać wszystkich zagadek razem?

Rozmyślając w ten sposób, Martin bynajmniej nie cierpiał na idealizm – który w jego zawodzie jest cechą rzadką i fatalną w skutkach. Zdarzało się już, że spotykał bardzo inteligentnych faszystów, zdarzało mu się widywać ludzi ciemnych i prostych, o ogromnej wyrozumiałości i tolerancji. Ten wewnętrzny monolog był jedynie relaksem dla umysłu i sposobem zachowania spokoju ducha. Od dawna wiadomo, że ostra krytyka cudzych wad sprawia, że sami stajemy się do nich skłonni, podczas gdy naiwne zdumienie pomaga ich uniknąć.

Dwie godziny później Martin postanowił się rozebrać. Zdjął i schował do plecaka podkoszulkę, od mocnych turystycznych spodni odpiął nogawki, przemieniając je w przydługie szorty. Buty zostawił – żłobkowana podeszwa dobrze trzymała w czasie skoku. Martin nie miał najmniejszej ochoty pośliznąć się i uderzyć głową o najbliższy obelisk, powiększając grono zaginionych bez wieści. Przy okazji zrobił sobie przerwę i zjadł obiad – suchary z żytniej mąki, twardy, słodkawy szwajcarski ementaler popity wodą z kanału. Woda faktycznie była słonawa, ale przyjemna w smaku – jak dobra mineralna. Obeliski już nie drażniły i nie budziły cmentarnych skojarzeń, stały się normalną częścią krajobrazu. Nieopodal plusnęła w kanale wielka ryba z żółtym brzuchem, która albo postanowiła łyknąć powietrza, albo pogapić się na przybysza. Martin przesunął palcem po ścianie kanału, zeszkrobał trochę zielonych wodorostów i spróbował. Nie były smaczne – zbyt stęchłe i słone, ale nie budziły wstrętu. Wiedział, że na Bibliotece pędzi się z wodorostów jakiś alkohol, ale z jakich konkretnie? Może wykorzystywano te bure taśmy, którymi porosło dno kanału, a może te drobne, puszyste listki, swobodnie dryfujące po wodzie. Tak czy inaczej nie należało spodziewać się eksplozji oszałamiającego smaku – w przeciwnym razie na Ziemię eksportowano by tutejsze napitki. Możliwe, że nawet to wzięła pod uwagę ta nieznana rasa, która przemieniła planetę w ogromny pomnik.

Martin był ciekaw, czy klucznicy wiedzą cokolwiek o budowniczach Biblioteki, ale wiedział, że odpowiedzi i tak nie znajdzie, więc porzucił daremne rozmyślania. Niewykluczone, że planetę stworzyli sami klucznicy – na przykład dla żartu. Przecież nikt nie wiedział, co kieruje klucznikami, ciągnącymi przez całą galaktykę swoją sieć transportową. Może spaczone poczucie humoru? Chęć obserwacji latających pomiędzy gwiazdami dzikusów oraz ich daremnych prób zrozumienia tego, co się dzieje? Wersja dobra jak każda inna.

Martin uważał się za praktyka i nie zagłębiał się w czcze rozmyślania, tylko sprawdził kierunek z kompasem i ruszył dalej. Słońce chyliło się ku zachodowi i wkrótce schowało się za horyzontem. Niemal od razu zapadła ciemność. W powietrzu planety prawie nie było pyłu, który zapewniłby normalny zmierzch. Martin zatrzymał się na pierwszej napotkanej wysepce, rozbił namiot i rozpałił pod kociołkiem maszynkę spirytusową. Kubek gorącej zupy grochowej z torebki, wzbogaconej pokruszonymi sucharami, kubek gorącej herbaty cejlońskiej, niezbyt wysublimowanej, ale cierpkiej i aromatycznej – to wszystko, czego potrzebuje przed snem zmęczony wędrowiec.

Zasypiając (na wszelki wypadek z karabinem pod ręką), Martin rozmyślał o dziewczynie

o imieniu Ira, która tak pewnie zachowywała się na obcej planecie. I na krótko przed zapadnięciem w sen, Martin zdołał wreszcie sformułować tę nieprzyjemną myśl, dręczącą go przez ostatnią dobę.

W pokoju Iry Połuszkinej nie zobaczył nic, co mogłoby go wprowadzić w zdumienie. W jej dzienniku i listach znalazł jedynie to, co spodziewał się znaleźć w dzienniku i listach siedemnastoletniej dziewczyny. Tata-biznesmen, o rzadkim na tych szerokościach geograficznych imieniu Ernesto, bardzo dokładnie opisał swoją córkę.

Ale takie rzeczy się nie zdarzają.

Nigdy!

Martin z sykiem wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, wyrzucając irytację. Jednak go nabrali. Jeszcze nie wiedział, w którym miejscu i w jaki sposób, ale teraz był zdecydowany wyjaśnić tę sprawę do końca.

I z tą myślą szanującego się człowieka, Martin zasnął.



Wyłaniające się zza horyzontu słońce zastało Martina na pakowaniu rzeczy. Zegarek, niezawodny „Casio-tourist”, który przestawił na czas Biblioteki od razu na Stacji, obudził go przed świtem. Gdy rozwidniło się zupełnie, Martin już szedł dalej. Niespieszny krok, rozbieg, skok przez kanał... niespieszny krok, rozbieg... Cień Martina leżał teraz przed nim, strasząc ryby w kanałach i służąc za prosty punkt orientacyjny. Wkrótce cień ściągnął się, podpełził do nóg Martina i chłopak coraz częściej porównywał kierunek z kompasem. Według jego oceny, osiedle powinno być tuż-tuż.

Enigma pojawiła się przed nim zupełnie niespodziewanie. Osiedle było bardzo małe – najwyżej dwadzieścia namiotów, ustawionych blisko siebie, po kilka na jednej wysepce. Dwie kobiety, ubrane w długie perkalowe sukienki, wrzucały do ogniska suche brykiety sprasowanych wodorostów. Nad ogniem wisiał kociołek z jakąś strawą. Na pojawienie się przybysza kobiety zareagowały spokojnie – jedna z nich zajrzała do dużego, pomarańczowego namiotu, coś powiedziała i wróciła do pracy.

Martin podszedł do kobiet. Ludzi na Bibliotece cechowała brązowa opalenizna, ale wyglądało na to, że te kucharki są smagłe z natury. Martin pomyślał, że w ich żyłach płynie krew północnoamerykańskich Indian.

– Pokój wam! – powiedział Martin, podnosząc ręce w powitalnym geście.

– I tobie pokój – odparła jedna z kobiet, uśmiechnęła się i wskazała głową namiot. – Wstąp do dyrektora, wędrowcze. A może jesteś głodny?

Martin pokręcił głową i wszedł do dyrektora. W namiocie było nieoczekiwanie chłodno – przyjemny drobiazg po palącym słońcu. Podłogę pokrywały suche wodorosty prawdopodobnie te same, które palono w ognisku. W kącie czarnowłosa dwulatek bawił się kolorowymi, plastikowymi kostkami, ale Martin wydał mu się znacznie ciekawszą zabawką – z palcem w buzi malec wpatrywał się w przybysza.

Dyrektor siedział na rozkładanym plastikowym krześle przed ogrodowym stolikiem. Przed nim stał włączony notebook, na podłodze leżały zapisane i pokryte wydrukami kartki. Dyrektor, mniej więcej czterdziestoletni, miał na sobie jedynie szorty. Budową ciała przypominał raczej lekkoatletę niż naukowca, ale w małe klawisze komputera uderzał z dużą wprawą.

Na przybysza dyrektor popatrzył z taką samą nieukrywaną ciekawością, jak dziecko. Nie włożył wprawdzie palca do buzi, za to odchylił się niebezpiecznie na kruche oparcie krzesła i czekał.

Martin milczał i uśmiechał się.

Widząc, że to jednak on będzie musiał zacząć rozmowę, dyrektor wstał i wyciągnął rękę:

– Klim!

– Martin! – wykrzyknął równie energicznie Martin i od razu poprawił się: – Tfu! Martin!

Chwilowe stropienie dyrektora zastąpił donośny śmiech. Mężczyzna uściśnął mocno dłoń Martina, gestem proponując, by obaj usiedli na podłodze. Martin docenił to – w namiocie stało tylko jedno krzesło i raczej pełniło rolę symbolu władzy. Usiedli w kucki naprzeciwko siebie. Dziecko po cichu zaczęło chodzić dookoła nich, oglądając Martina ze wszystkich stron.

– Jesteś przecież Rosjaninem, prawda? – zapytał Klim. – Widziałeś starą komedię „Operacja Y”?

– Widziałem – przyznał Martin.

– A pamiętasz, jak Szurik poznaje dziewczynę i zamiast powiedzieć, że nazywa się Szurik,

przedstawia się jako Pietia? – Klim zachichotał. – Kompletna głupota, a jakie śmieszne, nie?

Martin dyplomatycznie skinął głową.

– Tak – wymamrotał Klim. – Przyznaję, że analogia nie do końca odpowiednia, ale jednak...

Niedawno przybyłeś?

– Wczoraj wieczorem – odparł Martin.

– I od razu ruszyłeś do nas – Klim pokiwał głową. – Nie jesteś naukowcem, co?

– Uniwersytetów nie kończyłem – podchwycił jego ton Martin. – Trzy klasy gimnazjum.

Klim skrzywił się.

– Daj spokój, wyższe wykształcenie masz wypisane na czole. Humanistyczne, rzecz jasna... – zamyślił się. – Ale jakie? Nie lekarz... nie dziennikarz, nie filolog... coś zupełnie głupiego.

Psycholog? Nie...

– Wydział literatury – odparł Martin.

– A niech mnie! – zdumiał się Klim. – Prozaik w poszukiwaniu fabuły? Epokowa powieść „Tajemnice Biblioteki”?

Martin zdecydował się grać w otwarte karty.

– Prywatny detektyw.

– Z licencją?

– Tak. Pokazać?

Klim zamachał rękami.

– Po co? Wierzę ci na słowo. Powiedz mi lepiej, co spodziewasz się tu znaleźć? Jaskinię faszystów? Gniazdo ludzi szowinistów? Dom wypoczynkowy dla stukniętych uczonych?

– W Stolicy powiedziano mi, że wasze osiedle nie przyjmuje Obcych – rzekł wymijająco Martin. – To faktycznie nasuwa pewne przypuszczenia...

– Porozmawiajmy otwarcie – rzekł Klim, gwałtownie zmieniając ton dyskusji. – Nie jesteśmy psychopatami, pokrzykującymi o czystości ludzkiej rasy. Szanujemy Obcych. Ale Biblioteka to klucz do starożytnej wiedzy. Rasa, która go posiada, zdoła wznieść się wyżej niż klucznicy. Dlatego odłączyliśmy się od innych badaczy. To ludzkość musi znaleźć rozwiązanie tajemnicy.

Po chwili zastanowienia Martin zapytał:

– A gdy ludzkość przewyższy kluczników, jak będziecie traktować Obcych?

Klim skrzywił się:

– Po co dzielić skórę na niedźwiedziu? Zresztą i tak to nie my będziemy decydować... Ale jestem pewien, że ludzkość nie zacznie gnębić czy poniżać innych ras. Pokojowe współistnienie, handel, pomoc humanitarna... Ale nie mogę ręczyć, co w odwrotnej sytuacji zrobią Obcy. Pan może?

Martin pokręcił głową.

– No właśnie. Zapewniam pana, że nie jesteśmy faszystami. Jedyne przejawiamy ostrożność. A teraz, gdy już, mam nadzieję, osłabiłem pańskie uprzedzenia, niech mi pan powie, szanowny panie detektywie, co pana sprowadza na Bibliotekę?

– Dziewczyna o imieniu Irina – rzekł Martin.

Twarz Klima wykrzywiła się, jakby Martin przypomniał mu o czymś nieprzyjemnym i wstydliwym. Dyrektor nawet odwrócił wzrok, zauważył dziecko, zbliżające się do wydruków, odwrócił je w przeciwnym kierunku i dał lekkiego klapsa. Upewniwszy się, że chłopczyk zrozumiał

i ruszył w stronę przeciwną do drogocennych dokumentów, znowu spojrzął na Martina:

– Czyżby to niepokieszony mąż opłacił poszukiwania?

– Tajemnica zawodowa – rzekł Martin. – Ojciec.

Klim westchnął.

– To musi być żelazny człowiek. Bohater. Podziwiam.

– Aż tak źle? – zapytał ze współczuciem Martin.

– Dziewczyna zjawiała się u nas trzy dni temu – odparł Klim. – Spodziewałem się zwykłych problemów... młodziutka, ładna dziewczyna, a mężczyzn mamy, rzecz jasna, więcej niż kobiet... Porozmawiałem z nią, pogadałem z naszymi... ale pod tym względem wszystko było w porządku. Oczywiście, trochę za bardzo kręci pupą, ale specjalnie nie prowokuje... Niestety, jak to mówią, przyszło z zupełnie innej strony. Przegadała wszystkich uczonych i jej kształty nie miały absolutnie nic do rzeczy.

– Czyżby na gruncie naukowym? – zachwycił się Martin.

– Otóż to. Dziewczyna rozbiła w pył dwie z trzech teorii, uważanych za najbardziej perspektywiczne... Jeśli to pana interesuje, chodziło o teorię wspólnego równania Wszechświata i słoneczny cykl odczytu...

Martin uniósł brwi.

Na twarzy Klimy pojawił się cierpiętniczy wyraz profesora fizyki, który wyjaśnia nastoletniemu synowi prawa Newtona.

– Język Biblioteki jest pismem fonetycznym – powiedział. – I problem nie polega nawet na tym, że nie możemy z całą pewnością dopasować symboli na obeliskach do tych czy innych głosek. Problem zasadniczy brzmi: jak te litery łączą się w słowa, a słowa w zdania. Teoria cyklu słonecznego proponuje rozpoczęcie odczytu od wschodniego obelisku, by następnie, gdy jego cień wskaże kolejny obelisk, dodać nowy znak, popatrzeć na cień rzucany przez drugi obelisk...

– A jak słońce będzie w zenicie, postawić kropkę – odpowiedział uprzejmie Martin.

Klim burknął:

– Wszystko jest znacznie bardziej złożone, ale zasadniczo ma pan rację... Zaś teoria wspólnego równania Wszechświata głosi, że język Biblioteki to w rzeczywistości symbole, które we wspólnym równaniu opisują wszystkie prawa Wszechświata. Nazywa się to również równaniem Boga. Dziewczyna rozniosła te teorie w pył. Poparła tylko mniemanie, że język Biblioteki jest bliski językowi turystycznemu. Wie pan, ile jest w nim liter?

Martin zamyślił się. To zabawne, ale znajomość języka turystycznego wcale nie oznaczała znajomości jego gramatyki. Po prostu każdy, kto przeszedł przez Wrota, zaczynał mówić turystycznym.

– Tak samo zastanawiałoby się dziecko, które już bardzo dobrze mówi, ale jeszcze nie umie czytać i pisać – powiedział Klim. – Można nauczyć się intuicyjnie, nie zastanawiając się nad tym. Ale wydzielić i usystematyzować wszystkie głoski języka, dopasować je do liter – to już przedmiot badania naukowego.

Martin podniósł ręce i powiedział językiem migowym, składając dłonie z odsuniętymi na dziewięćdziesiąt stopni kciukami:

„Ale my umiemy czytać i znamy gramatykę. Język migowy to właśnie alfabet turystycznego”.

„Słusznie – odpowiedział rękami Klim. – To tak naturalne, że się nad tym nie zastanawiamy.

W języku turystycznym jest czterdzieści siedem liter, trzydzieści znaków przestankowych i dwa liczebniki: zero i jeden, kod dwójkowy”.

Dziecko popatrzyło podejrzliwie na dorosłych i niegłośnie, ostrzegawczo ryknęło.

– Nie lubi, gdy ludzie posługują się turystycznym migowym – poskarżył się na głos Klim. – Rozumie rosyjski i angielski, turystyczny też. Ale migowego jeszcze nie. Urodził się tutaj. Nie przechodził przez Wrota.

– Więc na czym polega problem? – wzruszył ramionami Martin. – Nawet dla mnie, kompletnego profana, jest jasne, że język Biblioteki wiąże się z turystycznym. I pewnie każdy gest ma swój odpowiednik w znakach na obeliskach?

– Ale znowu pojawia się kwestia kierunku odczytu – wyjaśnił dyrektor. – Próbowaliśmy czytać położone obok siebie obeliski, próbowaliśmy różne kierunki i kombinacje... Nie wychodzi nic sensownego. Bełkot dziecka, pseudomowa psychicznie chorego człowieka. A Irina oznajmiła, że zna metodę deszyfracji. Teraz większość mieszkańców naszego osiedla ruszyła wraz z nią na „punkt dwanaście” – to ta duża wyspa, trzy kilometry stąd, na północ.

– A pan został? – zdumiał się Martin. – W czasie gdy, być może, dokonuje się wielkie odkrycie...

– Zasugerowaną przez Irinę metodę odczytu obelisków bez zbędnego rozgłosu wypróbowałem już dwa lata temu – oznajmił dyrektor. – To nieskomplikowana korelacja pomiędzy powierzchnią wyspy i liczbą znaków na obeliskach... Bez efektów.

– Nie powiedział jej pan o tym – rzekł w zadumie Martin. – Cóż... Być może słusznie. Należy studzić niezdrowy zapał.

– Niech pan ją stąd zabierze – jęknął Klim. – Proszę! Jeśli pan chce, podpowiem panu kilka interesujących historii dla zapłacenia klucznikom.

Martin popatrzył dyrektorowi w oczy:

– Naukowa zawiść?

Klim pokręcił głową.

– Nie. Dziewczyna jest bez wątpienia utalentowana. Jej negacja równania Boga była bardzo błyskotliwa. Ale powinna się jeszcze uczyć. I to nie tutaj, w towarzystwie fanatyków i psychopatów, gdzie obeliski podniecają umysły... Dzisiaj Irina przekona się, że jej teoria to bzdury. Nie da się złamać, zacznie wymyślać nowe podejścia... i utonie w morzu materiałów, zacznie czołgać się po skałach z taśmą, utonie w bezpłodnych sporach i wzajemnych urazach. Niech ją pan zabierze, Martinie! Wydorosłeje i wróci – żeby odkryć tajemnicę Biblioteki.

Martin podał dyrektorowi rękę:

– Umowa stoi. Jest tylko jeden problem – czy zechce ze mną pójść? Nawet, jeśli ją zwiążemy i zaniemiemy do Stacji... Wie pan równie dobrze jak ja, że klucznicy wpuszczają przez Wrota wyłącznie ochotników.

– Pomożemy jej – uśmiechnął się Klim. – Teraz cały nasz zgodny kolektyw wróci razem z Iriną. Wszyscy będą źli, złośliwi, drwiny posypią się jak grad. Szczególnie postarają się ci, których zdążyła obrazić. Jeśli to nie wystarczy, ja, na mocy swojej władzy, każę jej opuścić osiedle... i nazwę ją idiotką. Dziewczyna ma temperament – odejdzie.

Martin nie wiedział, czego w słowach Klimy było więcej – szczerego niepokoju o utalentowaną dziewczynę, która chciała wziąć na swoje barki ciężar ponad siły, czy zawiści uczonego, który

wyczuł potężnego rywala. Ale Biblioteka naprawdę nie była planetą dla rozpieszczonej siedemnastoletniej smarkuli. Za pięć lat po kamiennych wysepkach snułaby się półnaga, ciężarna kobieta z dwójką dzieci u boku. Wszystkie tajemnice starożytnych języków od dawna by jej nie interesowały. Na wszystko jest swój czas. W młodości trzeba się uczyć, szaleć, walczyć z niesprawiedliwościami i wstrząsać podstawami świata... grzebanie w piasku w poszukiwaniu drogiego okruchu wiedzy to przywilej wieku dojrzałego.

– Tymczasem zapraszam pana na obiad – powiedział Klim. – Próbował pan już miejscowej zupy rybnej?

...Na obiedzie zebrali się wszyscy mieszkańcy osiedla, którzy nie wyruszyli z Iriną, by odkrywać tajemnicę Wszechświata: Klim i dwie Indianki-kucharki (Martin miał nieodparte wrażenie, że obie są żonami dyrektora), dziesięcioro maluchów i dwóch staruszków, najwidoczniej opiekujących się dziećmi pod nieobecność rodziców.

– Tak właśnie żyjemy – powiedział wesoło Klim. – To swego rodzaju komuna. A cóż można zrobić? Brak zasobów ludzkich nieuchronnie prowadzi do wypaczenia form organizacji społecznej.

Dzieciom Martin rozdał po kawałeczku czekolady – starsze natychmiast zjadły łakocie, młodsze próbowały czekoladę z obawą. Jeden maluch rozplakał się, śliniąc się na czekoladowo.

– Brakuje słodczy – przyznał z westchnieniem Klim, pierwszy podnosząc łyżkę do ust. – Usiłujemy przygotowywać melasę z grzybieniów... Ale nie ośmielimy się zaproponować panu degustacji. Słodocze i chleb to nasz największy problem.

Martin rozdał dorosłym gazety, zawahał się i rozdzielił pomiędzy zebranych połówki sucharów. Niektórzy w milczeniu gryzli rzadki specjał. Staruszkowie ssali suchary w skupieniu, ostrożnie maczając je w rybim bulionie.

A zupa naprawdę była bardzo smaczna! Gęsta, zawieszista, z kawałkami ryb i mięczaków, i chrzęszczącymi w zębach jak kapusta pasmami wodorostów. Martin zjadł dwie miski, podziękował kobietom i podarował im torebkę czarnego pieprzu i drugą mielonej papryki.

Klim tylko pokręcił głową.

– Martinie, niech mi pan powie, jak często podróżuje pan między światami? Z tego co pamiętam, jest pan trzecim człowiekiem, który wpadł na to, żeby zabrać przyprawę.

– Bardzo często – przyznał się Martin. – Jeśli ktoś odprowadzi mnie do Stacji, oddam wam resztkę moich zapasów – gdy już klucznicy przyjmą moją historię.

– Na pewno odprowadzimy – uśmiechnął się Klim. – Listy też pan zabierze?

– Zabiorę – skinął Martin.

Obdarowane przyprawami Indianki przyniosły trzylitrową butelkę i nalały do kubków mętnego, opalizującego płynu – niedużo, po pięćdziesiąt gramów. Martin przyglądał się, jak pije Klim – jednym haustem, zagryzając kawałkiem ryby. Powąchał napitek – bimber pachniał rybą i spirytusem, ale prawie nie czuło się odcieni siwuchy. Napił się – wodorostowy samogon sparzył podniebienie, gorącym kłębkim przetoczył się po przewodzie pokarmowym, ale pozostawił niespodziewanie przyjemny, świeży posmak.

– Wyczuwam nutę mięty i anyżku... – zauważył ze zdumieniem Martin.

Klim uśmiechnął się z dumą:

– Wprawdzie to nie koniak, ale da się wypić. Nie znaleźliśmy tylko substytutów tytoniu...

Martin pokornie wyjął paczkę mocnych francuskich papierosów. Dorośli mieszkańcy Biblioteki błyskawicznie rozdrapali gitane'y – niektórzy po jednym papierosie, a inni, z przepaszającym uśmiechem, po dwa lub trzy. Nastolatek, który sięgnął po papierosa, dostał po łapach.

Martin też zapalił. Wolałby wprowadzić cygaro, trzymane w plecaku na szczególne okazje, ale nie chciał drażnić ludzi.

– Przyjdzie czasem człowiek do Stacji, poczeka, aż klucznik fajkę zapali... – odezwał się skrzypiącym głosem jeden ze staruszków – podejdzie, żeby porozmawiać... I mówi, co mu ślina na język przyniesie, żeby tylko trochę dymu powąchać... Dobrze chociaż, że klucznicy są cierpliwi, słuchają długo... czasem nawet winem poczęstują...

– Ale tytoniu to nigdy nie proponują – zauważył ze smutkiem drugi staruszek.

– Nawet marihuanę czasem palą – zauważyła młodsza Indianka i popatrzyła wymownie na Martina.

Martin nie podjął tematu.

Wypili jeszcze dwa razy po pięćdziesiąt gramów i Martin z uśmiechem odstawił kubek. Nikt nie nalegał, zresztą miejscowym też zupełnie wystarczyło. Dzieci rozbiegły się. Jedne poleciały chlapać się w kanałach, inne bacznie pilnowały maluchów. Dorośli, wszyscy prócz Klimy, zaczęli chaotyczną rozmowę. Znali siebie nawzajem i swoje opowieści od dawna, ale teraz liczył się tylko jeden słuchacz – Martin. Dowiedział się, że drugi staruszek nazywa się Louis, jest Francuzem, fizykiem, który wyruszył na Bibliotekę po stracie żony, żeby resztę swoich dni przeżyć, przynosząc korzyść nauce. Drugi staruszek okazał się Niemcem, filologiem. Indianki, również filologowie, były siostrami i, tak jak myślał Martin, żonami Klimy. Godzinę później Martin miał wrażenie, że spędził na Bibliotece kilka lat. Najbardziej interesujące historie – o nocnym łowieniu ryb, bimbrze, który się wylał, o geddarze, który (poszło o zakład) zrabował obelisk swoim mieczem i o szaleńcu, który zjawił się na Bibliotece w poszukiwaniu nieistniejących „starożytnych technologii”, zaczęły się powtarzać. Siostry wszczęły długi, nudny spór o znaku przestankowym, który należało odczytać: „Mówię ironicznie, nie traktujcie zbyt poważnie moich słów”.

– O, wracają nasi – powiedział w pewnym momencie Klim.

Martin wstał i popatrzył na północ.

Rzeczywiście szli. Około stu ludzi – mężczyźni i kobiety, nastolatki i dzieci. Zabawnie było przyglądać się temu pochodowi, który niczym kolumna rozciągnął się na jakieś sto metrów. Ponad tłumem co chwila pojawiały się czyjeś głowy – ludzie przeskakiwali przez kanał. Wyglądali niczym tłum obłąkanych tancerzy, trenujących przed występem grupowym, albo jak zmęczeni biegacze w czasie biegu z przeszkodami.

– A gdzie jest nasza Ireczka? – spytał drwiąco Klim, stając obok Martina. – O! Jest! Idzie przodem. Co prawda, teraz już chyba na tarczy.

Martin też zauważył Irinę i wpatrywał się w nią ze zrozumiałą troskliwością. Irina była wyższa, niż wynikało to z filmów wideo i zdjęć. Rude włosy, które na Ziemi spadały jej na plecy, teraz były krótko obcięte. Ubranie miała proste i racjonalne – sportowe buty, zielone szorty i ciemnoszara koszulka. A przecież nosiła takie eleganckie sukienki...

Ale najbardziej zainteresowała go twarz Iriny. Od razu było widać, że dziewczyna poniosła miazdzącą klęskę. Zaciśnięte usta, skupione spojrzenie i hamowane łzy... i jeszcze ten dystans pomiędzy nią a resztą kolumny... Najlepsze świadectwo utraty pozycji bożyszczka.

– Jednodniowy król – Klim najwidoczniej myślał o tym samym.

– A raczej jednodniowa księżniczka...

– Księżniczka na ziarnku grochu – podsunął Martin. – Mam nadzieję, że nikt jej nie pobił?

Klim prychnął oburzony:

– Przyznaję, że ludzie trochę tu dziczeją, ale nadal pozostają ludźmi kulturalnymi!

W pobliżu osiedla ludzie zaczęli się rozchodzić. Ktoś poszedł do namiotu, niektórzy przystanęli w pewnym oddaleniu. Kilka osób z minami winowajców podeszło do Klima – oto ci, którzy zdradzili swego przywódcę, spieszyli zmyć grzech.

Irina też od razu podeszła do dyrektora. Zatrzymała się tuż przed nim i wypaliła:

– Wiedziałeś, że się myłę!

Martin ocenił zarówno temperament dziewczyny, jak i ton, którym wygłosiła swoje oskarżenie.

– O nic nie pytałaś – odparł zimno Klim. – Czy nie okazałaś, że już dawno skostniały nam mózgi? Że tylko ty jedna znasz prawdę? No cóż, po prostu nie chciałem ci przeszkadzać. No i co? Jakieś sukcesy?

Przez chwilę dziewczyna stała nieruchomo, mierząc dyrektora niezadowolonym spojrzeniem. Martin westchnął cicho. To nie były pojedynki dla Iriny, brakowało jej doświadczenia: prowadzenia wojny podjazdowej, intryg, obrony prac dyplomowych i licencjackich, obalonych oponentów i przyciągniętych stronników – krótko mówiąc, tego wszystkiego, co tworzy potężny pień naukowego drzewa, na którym mogą zazielenić się nieśmiałe listki wiedzy.

– Pan mnie zabił – powiedziała cicho Ira. W jej oczach rozbłyły łzy.

Klim zrobił krok do przodu, ujął drżącą Irinę za ramiona i zupełnie innym tonem powiedział:

– Irino, jesteś mądrą dziewczyną. Znalazłaś bardzo ciekawe korelacje. Jeśli ktoś może odkryć zagadkę Biblioteki – to właśnie ty. Ale nie da się pokonać rzeki jednym skokiem. Trzeba nauczyć się pływać.

Martin zaklaskał w myślach. Zbita z tropu Irina od razu straciła chęć do walki i patrzyła na dyrektora, jak skarczone dziecko. Klim czule, po ojcowsku pogładził ją po głowie, mówiąc dalej:

– Napiszę list do przewodniczącego katedry języków obcych MGU, profesora Papiernego. To mój stary przyjaciel. Poproszę, żeby przyjął cię bez żadnych egzaminów. Zresztą, egzaminy nie powinny sprawić ci żadnych trudności. Irino, bardzo bym chciał, żebyś dołączyła do nas, i za pięć lat będziemy na ciebie czekać w tym samym miejscu. Wierzysz mi?

Irina skinęła głową, nie odrywając wzroku od Klima. A on przez cały czas tak samo łagodnie mówił:

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak szybko zleci te pięć lat... i jak wiele zdołasz osiągnąć, zasilając swoją pamięć całą wiedzą zdobytą przez ludzkość...

Klim na chwilę przytulił Irinę i pocałował ją w czoło. Martin zauważył, że ręka dyrektora drgnęła na plecach dziewczyny i mimowolnie, już zupełnie nie po ojcowsku, zaczęła sunąć w dół, do pupy.

Klim opamiętał się szybko, odsunął Irinę od siebie i powiedział z uśmiechem:

– Mamy gości! To jest Martin, właśnie przybył z Ziemi... i chce z tobą porozmawiać.

Dziewczyna odruchowo zrobiła krok w stronę Martina. Trzeba przyznać, że swoją część zadania Klim załatwił bezbłędnie.

– Dzień dobry, Irino – powiedział Martin. Serdecznie, ale bez uśmiechu czy pokazowej

sympatii. – Twój ojciec prosił, żeby cię odwiedzić.

Ira milczała, marszcząc w skupieniu brwi. Jej oczy połyskiwały wilgocią, ale łzy nie płynęły. Za plecami Iriny Klim beształ naukowców:

– Sieci nie wyciągane od wczoraj, cóż to, stęskniliśmy się za zdechłymi rybami? Katrin, twój mały ma biegunkę, już trzy razy biegał do kanału toaletowego. Wszyscy, którzy chcą wysłać list na Ziemię, mogą przyjść do mnie po papier. Najwyżej jedna kartka na osobę!

Być może, Klim nie był wybitnym uczonym, ale nie można było odmówić mu talentów administratora. Tłum powoli rozchodził się, życie osiedla wracało do normy.

– Nie będę cię namawiał do powrotu – mówił tymczasem Martin. – Ale wydaje mi się, że rada Klimy była dobra. Jeśli zechcesz jej posłuchać, pomogę ci z opowieścią dla klucznika...

Irina westchnęła. Uśmiechnęła się lekko, patrząc na Martina, i w jej spojrzeniu Martin dostrzegł znacznie więcej zrozumienia sytuacji, niż można by się spodziewać po nastolatce. Powiedziała:

– Ja...

I wtedy w kanale obok plusnęła woda. Martin odwrócił się i zobaczył wynurzonego do połowy fokoida. Czarna mokra skóra zalśniła w słońcu. Gwałtowny wymach silnej płetwy, coś małego świsnęło w powietrzu...

Irina Połuszkina drgnęła, wyprężyła się jak od uderzenia prądem i umilkła. Z otwartych ust popłynął cienki strumyczek krwi, dziewczyna, nadal wyprostowana, upadła na wznak. Martin drgnął, widząc zakrwawiony grot, wbity w jej szyję przy siódmym kręgu.

Fokoid z pluskiem zanurzył się w wodzie.

W chwilę później wybuchło straszne zamieszanie. Krzyczeli dorośli, płakały dzieci, a w rękach Klimy pojawił się pistolet – dyrektor już biegł wzdłuż kanału, strzelając do wody. Jedna z Indianek pochyliła się nad Iriną. Druga, z wielkim kuchennym nożem w ręku, przeskoczyła przez kanał i pobiegła – najprawdopodobniej do punktu, obok którego fokoid będzie musiał przepłynąć. Martin pobiegł za nią i to był słuszny wybór.

Fokoid mknął kanałem z gracją typową dla stworzenia wodnego. Za nim, niczym dym, ciągnął się ciemny ślad – jedna z kul Klimy znalazła swój cel. Martin odczekał chwilę, pozwalając ręką przywyknąć do ciężaru remingtona, a potem otworzył ogień.

Trafił za trzecim razem – tak jak celował, w płetwę. Fokoid zakręcił się w miejscu, wygiął się, jakby chciał ugryźć zranione miejsce. Indianka jednym ruchem zrzuciła sukienkę, pochyliła się do skoku, ujęła wygodniej nóż i zerknęła pytająco na Martina.

Martin pokręcił głową. Poczekał, aż fokoid zacznie płynąć dalej i trafił go w drugą płetwę.

Kilka minut później, gdy broczący krwią Obcy został wyciągnięty na kamienie, Martin zarzucił karabin na plecy, wyciągnął z pochwy na goleniu kindżał i pochylił się nad rannym.

– Masz tylko jedną szansę, żeby przeżyć – warknął. – Powiedzieć wszystko – natychmiast!

– Zwariowałeś, Martin? – zapytał ponuro Klim. Przystawił pistolet do podrygującej głowy fokoida i nacisnął spust.

Martin odskoczył, starł z twarzy krwawe bryzgi. Nagle przypomniały mu się słowa dziewczyny: „Pan mnie zabił!”

– To był jedyny świadek! – wykrzyknął, sięgając po karabin. – Nie chciałeś, żeby zaczął mówić?

Klim westchnął, wsunął lufę pistoletu do wody, zmywając krew. Fokoid z rozwaloną głową



leżał na brzegu. Pachniało prochem i krwią.

– On nie umie mówić. To pies, Martinie.

– Co?

– Nie wiesz, co to jest? To zwierzę, khannan! Geddarowie trzymają je, jak my trzymamy psy, są trochę bardziej inteligentne, umieją posługiwać się przedmiotami. Klucznicy pozwalają zabierać ze sobą oswojone zwierzęta, więc geddarowie sprowadzili khannany tu na Bibliotekę. Na suchych planetach nie mogą żyć, ale tutaj mają idealne warunki, pomagają łowić ryby, bawią się z dziećmi...

Martin ochłonął i zabrał ręce z broni, mamrocząc: – Wybacz... ja...

– Myślałeś, że Klim, zły dyrektor osiedla, zabił dziewczynę cudzymi rękami... płetwami? – Klim splunął do wody. – Dobrze, zapomnijmy o tym. Nie dałoby się go przesłuchać.

Martin popatrzył na wysepkę, gdzie nad leżącą Iriną pochylali się mieszkańcy, i pobiegł do nich, sam nie wiedząc, po co.

Ludzie rozstąpili się przed nim. Dziewczyna żyła jeszcze, ale konała. Kamienie pod nią zalane były krwią, w sennych oczach czaiła się pustka. Oddychała ustami, z których nadal sączyła się krew. Martin z przerażeniem dostrzegł w gardle ostry koniec szpikulca. Przebił jej on język na wylot. Przykucnął, dotknął czoła Iriny w bezsensownej próbie ukojenia strachu przed śmiercią.

Ale w oczach nie było strachu, lecz irytacja i nadsycenie. Najmocniejszy. Ostatni.

– Wynocha! – wrzasnął ktoś nad jego uchem, odganiając ciekawskie dzieciaki. Irina próbowała coś powiedzieć, ale oczywiście nic z tego nie wyszło. Na wykrzywionej bólem twarzy pojawił się jakiś szalony, zawzięty upór i Martin poczuł słaby dotyk jej ręki. Popatrzył na palce dziewczyny, które mozolnie, z determinacją układały się w litery.

Zdażyła pokazać sześć liter i jedną cyfrę, nim ręce odmówiły jej posłuszeństwa, a oddech ustal.

Martin przycisnął ucho do piersi dziewczyny, próbując usłyszeć bicie serca. Ciało Iriny było ciepłe i sprężyste. Młode, zdrowe, piękne ciało... To była tak straszna, idiotyczna, bezsensowna śmierć, że Martin odskoczył od Iriny jak oparzony.

Irina Połuszkina, lat siedemnaście, przyszła chluba ziemskiej lingwistyki, nie żyła.

Klim podszedł i popatrzył na dziewczynę:

– Khannan cisnął zaostrzony rybi grzbiet. Bardzo twarda kość, sami wykorzystujemy ją do pracy...

– Zdołałby sam zrobić ostrze? – spytał Martin, nadal klęcząc nad martwą dziewczyną.

– Oczywiście. Płetwy khannana są bardzo zręczne, na końcach dzielą się na rudymentarne palce. Rybę zjadł, grzbiet wyszlifował na kamieniach. Za tysiące lat to będzie bardzo rozumna rasa.

– Ale dlaczego? – Martin podniósł oczy na Klimę, obrzucił spojrzeniem milczący tłum. – Czy te stworzenia atakują ludzi?

Klim pokręcił głową.

– Nigdy dotąd nie zdarzyło się coś podobnego. Nigdy. Ale kilka khannanów zgubiło się albo uciekło... Mogły zdziczeć.

– I zaatakować dziewczynę, stojącą w tłumie ludzi? – Gdyby sytuacja nie była tak tragiczna, Martin roześmiałby się. – Klim, on się zachowywał jak najemny zabójca! Jak poszczuty pies... Ktoś go nasłał!

Klim rozłożył ręce i mruknął:

– Mogą nazywać nas faszystami, ale od dzisiaj zabijemy każdego khannana, który zbliży się do osiedla...

Martin wstał. Tak bardzo żał mu było dziewczyny... Jeszcze nigdy tak dokumentnie nie zawałił powierzonego zadania.

– Pochowamy ją – rzekł Klim. – Mamy specjalny kanał... Tu inaczej nie można, Martin...

Martin skinął głową. Klim zawahał się i dodał:

– Zazwyczaj ubranie i rzeczy zmarłych dzielimy między siebie, ciągle wszystkiego brakuje, ale jeśli chcesz je zabrać...

– Przejrzę jej rzeczy – powiedział Martin. – Część na pewno zabiorę dla rodziców, a resztę... – popatrzył na bose stopy stojącej obok niego Indianki. – Rozumiem. Postępujcie zgodnie ze swoimi zwyczajami.

Martin nie miał ochoty patrzeć, jak ci ludzie, szczerze przeżywający śmierć Iriny, będą ją rozbierać. Jeszcze większy wstręt budziła myśl, że to piękne ciało, które kwadrans temu budziło we wszystkich mężczyznach jednakowe emocje, zostanie bezwstydnie obnażone. Na jego policzku pozostało ciepło dziewczęcej piersi, szokujące ciepło martwego ciała...

Martin odszedł na bok, ale nie wytrzymał i odwrócił się.

Na szczęście mężczyźni nie zbliżali się do Iriny. Zostały tylko kobiety, które zbiły się w ciasny krąg. Nie trwało to długo – w czyichś rękach mignęły szorty w kolorze khaki, w innych białe figi, z tłumu wysliznęła się kobieta z zakrwawioną koszulką. Podeszła z nią do kanału i zaczęła pracować.

Przez głowę Martina przepłynęła leniwa myśl, że w tym podziale majątku jest coś z kanibalizmu. Jednak Martin zbyt dobrze wiedział, jak trudno przeżyć na obcej planecie i zachować ludzkie oblicze. Odwrócił się, przysiadł nad kanałem i zaczął zaciekle szorować ręce i twarz, ścierając pękiem wodorostów wspomnienie o żywym i martwym ciele na swojej skórze.

– Martin... – to była Indianka, już w sportowych butach Iriny. Na jej mokrej dłoni leżał żeton podróżnika i łańcuszek z małym, srebrnym krzyżykiem. – Trzeba to oddać rodzicom.

– Nie, w tym trzeba pochować – zaprotestował Martin, patrząc na krzyżyk, ale od razu zamilkł. – Dobrze. Dziękuję.

– Nie gniewaj się na nas – poprosiła Indianka.

– Nie gniewam się.

Po chwili podszedł Klim. Usiadł obok, popatrzył na Martina ze smutkiem.

– Czy Irina coś powiedziała?

Martin zrzucił plecak, sięgnął do bocznej kieszeni po mydło. I pokręcił głową.

– Ani jednego dźwięku.

Do Stolicy Martin dotarł po zapadnięciu zmroku. Pomogła mu latarnia – wprawdzie nieustające rozbłyśki drażniły, ale były doskonałym punktem orientacyjnym. Pewnie, że nie jest łatwo zasnąć, gdy kolorowe błyski przebijają się nawet przez zamknięte powieki, ale do wszystkiego można przywyknąć. Zresztą, latarnia dawała jeszcze jedną korzyść, którą Martin docenił, dochodząc do namiotowego miasta – zastępowała oświetlenie uliczne. Jak się już człowiek przyzwyczaił, można było całkiem znośnie poruszać się w świetle tego czerwono-zielono-białego stroboskopu. Martin nie musiał oszczędzać baterii, ale zgasił latarkę, żeby się nie wyróżniać.

Nocą całe osiedle wydawało się bardziej ożywione niż za dnia. Między namiotami prześlizgiwały się cienie tych Obcych, którzy prowadzili nocny tryb życia, poza tym wielu ludzi wolało spać w czasie upalnego dnia. Na niewielkiej wysepce, na której wszystkie obeliski zostały bezlitośnie przewrócone, Martin zobaczył najprawdziwszą dyskotekę. Grzmiał odtwarzacz, tańczyła młodzież – ludzie i nieludzie. Szarpane ruchy, gwałtowny rytm i rozbłyśki latarni zlewały się, dając dziką, hipnotyczną scenę.

Martin postać chwilę, przyglądając się tańczącym, potem ruszył dalej. Szedł plażą, na której niedawno opalały się nudystki. Kobiety jakby zapadły się pod ziemię, za to nad wodą siedziało dwóch potężnych mężczyzn, którzy chichotali, rozmawiając. Do Martina doleciało:

Nieźle było, Lowa, co?

Nieco dalej, na wysepce, na której oszczędzono obeliski, ktoś grał na gitarze i śpiewał po hiszpańsku – o galeonach, piratach i sztormach. Martin zatrzymał się i posłuchał chwilę.

Życie Stolicy tętniło.

Co szkodziło Irinie Połuszkinej zostać w tym osiedlu? zresztą, kto mógł zaręczyć, że to uratowałyby ją przed zabójcą?

Martin nie miał najmniejszych wątpliwości, że atak był świadomy... na ile w ogóle mówić można o świadomości khannanów. Ktoś napuścił tę półrozumną istotę na dziewczynę. Wydał rozkaz i zabił ją – pewniej, niż gdyby nacisnął spust. Być może khannan wiedział, że nie ma szans, by się uratować, ale nie mógł nie posłuchać rozkazu.

Kto? Po co? Wystarczyło odpowiedzieć na jedno z tych pytań, a wszystko wyjaśniłoby się samo. Ale Martin nie znał odpowiedzi.

Jedyną osobą, która mogła mieć motyw – i to bardzo wątpliwy – był Klim. Ale założenie, że rozkaz wydał dyrektor pociąga za sobą nieuniknione pytanie – jak udało mu się oswoić i wytresować khannana? Jeśli zaś zleceniodawcą zabójstwa był geddar, żyjący w Stolicy, pojawiała się kwestia motywu. Strach, że dziewczyna odgadnie tajemnicę Biblioteki? To z kolei nie pasowało do zachowania geddarów. Wprawdzie geddarowie nie nosili mieczy na pokaz, ale nigdy nie używali innej broni.

W rzeczach dziewczyny nie znalazł nic ciekawego. Trochę ubrań, dwa czekoladowe batony, schowane wśród czystych chusteczek i skarpetek, kilka czystych notatników i pudełko ołówków.

Zgadywanie nie miało sensu, ale Martin nie przerywał tego bezpłodnego zajęcia. Dwa uczucia – smutek i zdraśnięta ambicja – chłostały go bardziej niż jakikolwiek kontrakt.

Martin wybrał namiot, w którym paliło się słabe światło i z którego dobiegała rozmowa, i podszedł do zasłoniętego wejścia. Odchrząknął, ale nikt nie zareagował. Stukanie w materiał wydało mu się głupie, wołanie gospodarza – niezręczne. W końcu Martin zauważył przed drzwiami

mały, miedziany dzwoneczek i zadzwonił.

Zasłonę odsunęła wysoka, chuda kobieta, o topornej, męskiej twarzy. Za jej plecami Martin zauważył stojącego w kącie chłopca – widocznie jego przyjście przerwało jakąś lekcję wychowawczą.

– No? – spytała ostro kobieta.

Chłopak w kącie zaczął skomleć jak mały psiak. Kobieta warknęła, nie odwracając się:

– Nie wyj, bo znowu dostaniesz. Czego pan chce?

Martin speszył się. Nie lubił być świadkiem scen rodzinnych – pewnie dlatego, że praca prywatnego detektywa ciągle zmuszała go do grzebania się w cudzych brudach.

– Przepraszam... Jestem tu od niedawna – zaczął Martin. – Chciałbym znaleźć Dawida, przewodniczącego administracji Biblioteki...

– Nie głosowałam na niego – powiedziała ponuro kobieta, ale mimo wszystko wyszła z namiotu i wskazała ręką kierunek. – Tam.

Wypłwiały, czerwony namiot, obok niego niebieska flaga na słupie.

– Przepraszam, ale dlaczego pani na niego nie głosowała? – nie mógł się powstrzymać od pytania Martin.

Kobieta obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem.

– A co to pana obchodzi?

Chłopak w namiocie znowu jęknął i kobieta zdecydowanie weszła do namiotu, nie zapominając zasłonić za sobą wejścia.

Nie doczekawszy się na odpowiedź, Martin poszedł we wskazanym kierunku. Chciał jak najszybciej wydostać się z Biblioteki, ale najpierw musiał odwiedzić Dawida. Choćby po to, żeby zabrać listy na Ziemię – zasada dobrego tonu każdego podróżnika.

Dawid nie spał. Siedział przed kanałem na stworzonej z obelisków ławce i czytał przy świetle małej latarki jakąś powieść w papierowej okładce. Miał na sobie szerokie spodniki i marynarkę na opalonym ciele. Na widok Martina w milczeniu przesunął się i zamknął książkę.

– Ciekawa? – zapytał Martin. Obejmująca się para na okładce zdradzała powieść kobiecą lepiej niż jakiegokolwiek streszczenie.

Dawid wzruszył ramionami:

– Nieszczęśliwie. Ale pliki mi obrzydły, a papierowych książek mamy bardzo mało. Coś się stało?

– Dlaczego pan tak myśli?

Dawid westchnął:

– Mój Boże, Martinie, niech pan sobie daruje te detektywistyczne wstawki... Wrócił pan sam. A nie robi pan wrażenia człowieka, który łatwo rezygnuje. Coś się stało dziewczynie?

– Nie żyje.

Dawid zaklął półgłosem i pokręcił głową:

– To jakieś brednie. Zdarzają się tu nieszczęśliwe wypadki, nie...

– Została zabita.

Martin i Dawid patrzyli na siebie przez jakiś czas. W końcu Dawid skinął głową:

– Wiedziałem, że wcześniej czy później ci nienormalni...

– Irinę zabito na moich oczach. I nie zrobili tego mieszkańcy Enigmy.

Na twarzy Dawida zagrały mięśnie szczęk.

– Martinie, niech pan przestanie się na mnie gapić i sączyć informacje po kawałku! Nie opowiada pan bajek klucznikom! Na tej planecie ja reprezentuję cywilizowaną władzę...

– Zabił ją khannan. Rzucił dzirynt, zrobiony z rybiej ości. Dziewczyna miała uszkodzony kręgosłup, przebitą krtani i język. Nie mogła nawet nic powiedzieć.

Szczerze mówiąc, Martina najbardziej interesowała reakcja Dawida. Nietrudno oddać na swojej twarzy zdumienie, znacznie trudniej ukryć ulgę.

Ale na twarzy Dawida nie odbiło się zupełnie nic. Jak przystało na poważnego człowieka, kierującego tysiącem rozumnych istot z różnych planet.

– Sądzi pan, że chodziło o to, by nie pozwolić jej mówić? – zapytał Dawid.

– Możliwe. Nie jestem zorientowany, jak zwykle khannany zabijają ludzi.

– Khannany nie zabijają ludzi – wycedził Dawid. – Kadrach!

Z namiotu wychynął geddar – w luźnych pomarańczowych spodniach i z mieczem za plecami. W półmroku bardzo przypominał człowieka, jedynie brak pępka i sutków zdradzał w nim Obcego.

– Słyszałem – powiedział krótko geddar. – Khannan nie powinien zabijać ludzi.

– Nie powinien czy nie może? – próbował uściślić Martin.

Geddar nie odpowiedział od razu – jakby zastanawiał się, czy warto omawiać tę kwestię z nieznanym. Wreszcie pokręcił głową:

– Nie powinien. Wszystko jest możliwe, ale nie wszystko powinno się zdarzyć. Khannany to towarzysze, przyjaciele, łowcy.

– Ochroniarze? – dopytywał się Martin.

– Nie. Khannan może wszcząć walkę, jeśli jego przyjacielowi grozi niebezpieczeństwo, ale khannan, który sam zaatakował istotę rozumną, powinien zostać zabity.

– Nie tylko geddara? Każdą istotę rozumną?

Na twarzy geddara pojawił się cień pogardy.

– Oczywiście. Ich rozum bliski jest przebudzeniu, są znacznie inteligentniejsze od waszych psów. Gdybyśmy pozwolili im zabijać istoty rozumne, byłaby to klęska dla naszej rasy. Żaden geddar nie pozwoli khannanowi atakować ludzi.

– Jest jeszcze jedna możliwość – zasugerował ostrożnie Martin. – Wydać rozkaz, wiedząc, że khannan zginie.

Geddar milczał tak długo, iż Martin zdążył pożałować swoich słów. Ale w końcu geddar odezwał się:

– Istnieje taka możliwość. Geddar mógł wydać rozkaz, mając pewność, że khannan umrze. To przestępstwo, ale możliwe.

– Tylko geddar? Czy człowiek albo istota innej rasy może oswoić khannana?

– Może – odparł geddar bez wahania. Na jego twarzy pojawiła się ulga. – To się zdarza. Wielu chce mieć przyjaciela khannana, więc przywozimy szczenięta.

– Będziecie musieli znaleźć tego, kto wydał rozkaz – powiedział Martin. Nie wydawał poleceń, jedynie konstatował fakt. – To trudne?

– Khannan może mieć tylko jednego pana – wyjaśnił geddar. – Jeden pan nie może mieć więcej niż jednego khannana. Są bardzo zazdrosne. Jeśli komuś zginął khannan, jest winien... – Geddar pokręcił głową i wyciągnął nieoczekiwany wniosek: – Trudno będzie znaleźć zabójcę.

– Dlaczego? – zdumiał się Martin. – Gdyby przeliczyć...

– W naszym osiedlu jest sto trzydzieści khannanów – powiedział z przekonaniem geddar. – W centrum jeszcze osiemnaście. Nasze zbiorę i przeliczę w ciągu godziny. Jutro będziemy wiedzieć, czy wszystkie khannany w innym osiedlu są na swoim miejscu. Ale tylko głupi zabójca wysłałby swojego khannana na śmierć.

Zamilkł na chwilę, następnie podsumował:

– Nie sądzę, by zabójca był aż tak głupi. Myślę, że wszystkie khannany są na miejscu.

– Zdarzało się, że khannany uciekały? – zapytał Martin. – Może dziki...

– Może istnieje dzikie osiedle ludzi czy innych istot rozumnych – odparł geddar. – Ale oni nie będą mieć khannanów.

– Khannany nie mogą się rozmnażać – wyjaśnił Martinowi Dawid. – Planetę geddarów mogą opuszczać tylko osobniki jednej płci.

Martin miał straszną ochotę zapytać, czy ta reguła dotyczy tylko khannanów, czy rozciąga się również na geddarów, ale rozsądnie stłumił ciekawość i zamiast tego zapytał:

– Skąd w takim razie wziął się khannan zabójca?

– Wszystko jest możliwe – odpowiedział filozoficznie geddar. – Ale nie wszystkiego można się dowiedzieć.

Geddar wycofał się w cień – i od razu zniknął wśród obelisków.

– Super, nie ma co – mruknął Martin. – Spokojna, przyjazna planeta. Żadnej niebezpiecznej formy życia. I nagle zwierzę z innej planety, pojawiające się nie wiadomo skąd, zabija niewinną dziewczynę!

– Będzie pan miał nieprzyjemności? – zapytał ze współczuciem Dawid.

– W tym, co się stało, nie ma mojej winy – powiedział Martin po chwili zastanowienia. – Dziewczyna jeszcze nie zdecydowała, czy pójdzie ze mną, czy nie, i nie zdążyłem oficjalnie wziąć jej pod ochronę. Jeśli rodzice dziewczyny zechcą to sprawdzić, przyślą tu swojego detektywa. Ale żal mi Iriny. Taka bezsensowna, głupia śmierć... Co pan o tym myśli?

Mężczyzna popatrzył na niego ironicznie:

– A co ja mogę myśleć? Jeśli dziewczyna rzeczywiście była bliska rozwiązania zagadki Biblioteki, faktycznie mogli się znaleźć nieżyczliwi. Myśli pan, że my tu prowadzimy spokojne, akademickie życie? To zwykły bajzel! Pijackie burdy – i to przy minimalnej produkcji alkoholu! Bójki w procesie dochodzenia prawdy naukowej, z poważnymi obrażeniami ciała. Gwałt, przemoc, różnorakie perwersje... zwykłych orgii już nawet nie próbuję zabraniać. Gry hazardowe, przy czym w ostatnim czasie najmodniejsza jest gra na życzenia, które są albo poniżające, albo niebezpieczne. Że już nie wspomnę o pospolitym wandalizmie... – Dawid znacząco poklepał dłońią kamienną ławkę. – O religijnych sporach i intrygach...

– Wczoraj odmalował mi pan znacznie sympatyczniejszy obrazek – zauważył Martin.

Dawid nie skomentował.

– Może warto poinformować Ziemię, że Biblioteka nie jest takim bezpiecznym i spokojnym miejscem, jak się ludziom wydaje? – podsunął Martin. – Może wtedy nie będą się tu rwały młode

i głupie dziewczyny...

– Nie jest pan przecież młokosem? – zapytał sarkastycznie Dawid. – Skąd więc ta naiwność?... Taka informacja tylko zaostriżyłaby apetyty! A przecież wszystko, co się tu dzieje, jest efektem bezcelowości naszej pracy! Przychodzą do nas inteligentni, uczciwi, pracowici ludzie. Tłuką się przez kilka lat jak ryba o lód, a do rozwiązania zagadki jest równie daleko jak na początku. Chyba nie muszę panu tłumaczyć, co się potem dzieje? Proszę mi dać klucz do rozszyfrowania zagadki, a następnego dnia wszyscy zaczną pracować do upadłego!

– Nie jestem lingwistą – powiedział Martin. – Jeśli nawet dziewczyna znalazła rozwiązanie, zabrała je ze sobą. Ale sądząc z tego, co widziałem, jej teoria została obalona w pięknym stylu.

– Pewnie próbowała powiązać język Biblioteki z turystycznym? – domyślił się Dawid. – A kierunek odczytu skorelować z wielkością wysepek lub ilością obelisków? Co na to Klim, ten zarozumiały administrator, wypędzony z uniwerku za defraudację? Pewnie też sprawdził tę hipotezę?

Teraz z kolei Martin nie odpowiedział.

– Klim przeczekuje tu, aż jego sprawa karna ulegnie przedawnieniu – kontynuował Dawid, coraz bardziej się ekscytując. – Skupił pod swoimi skrzydłami utalentowanych uczonych, zorganizował im przyzwoite warunki bytowe i czeka na dywidendy. Nic dziwnego! O ile prościej kierować samymi tylko ludźmi! Nie trzeba rozstrzygać rodzinnej kłótni czteropłciowej rasy, w której osobnik żeński-primo odmówił seksualnych stosunków z osobnikiem męskim-secundo, zrzucając winę na brak księżycy na Bibliotece, regulującego normalny cykl małżeński! A problemy z aprowizacją? Podstawą pożywienia rasy oulua są mięczaki, zawierające mangan, niezbędny oulua do normalnego funkcjonowania! Oni pożerają je w ogromnych ilościach! A te mięczaki lubią wszyscy, z tutejszej fauny właśnie one są najsmaczniejsze! Wyżarli wszystkie w promieniu pięciu kilometrów... Więc ja albo muszę skazać oulua na choroby i śmierć, albo żądać od siedmiuset dwudziestu pięciu istot rozumnych rezygnacji z drobnych radości życia na rzecz siedmiu tępych Obcych!

– Coraz lepiej rozumiem waszą planetę – powiedział poważnie Martin.

Dawid wyszczerzył zęby w uśmiechu. Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął paczkę papierosów i podsunął Martinowi.

– Niech pan pozwoli, że ja pana poczęstuję – powiedział Martin wyciągając gitane'y.

– Wraca pan do domu? – zapytał ze zrozumieniem Dawid.

– Poczekam na pańskiego przyjaciela i pójdę. Też uważam, że znalezienie zabójcy graniczy z cudem, ale posiedzę i poczekam – żeby mieć czyste sumienie.

Przez jakiś czas palili w milczeniu, przyglądając się rozbłyskom latarni. Obok nich przebiegło dwudziestu czy trzydziestu ludzi i Obcych, którzy z okrzykami: „Kanałówka! Wszyscy na kanałówkę!” powskakiwali do szerokiego kanału, otaczającego wyspę ze Stacją.

Dawid i Martin bez słowa obserwowali amatorów kąpieli, płynących powoli z prądem. Niektórzy trzymali w rękach butelki.

– Bawią się, jak mogą... – skomentował Dawid. – Byłem na kilku planetach, Martinie. I widziałem wystarczająco dużo dziwnych rzeczy, żeby khannan, atakujący dziewczynę, nie wydał mi się zagadką. Nawet, jeśli był to khannan znikąd.

Martin popatrzył uważnie na Dawida.

– Pamiętam, jak ożył satelita planety Galel – mówił dalej Dawid. – Zrzucił kamienną skorupę

i załśnił w promieniach błękitnego słońca niczym bombka choinkowa, zawieszona na zielonym niebie. Na białej powierzchni pojawiły się czarne i czerwone szczeliny, potem rozbłysnął strumień światła, idący obok planety, ale tak silny, że widoczny nawet w pustce – słup białego światła o promieniu tysiąca kilometrów. Aborygeni krzyczeli. Według ich legend księżyc to jajo smoka, które kiedyś obudzi się i ocali cały świat. Klucznicy wybiegli ze Stacji i patrzyli na niebo. Satelita popłynął, zmieniając orbitę... a na niebie kołysały się odłamki kamiennej skorupy. Potem pod naszymi nogami zadrżała ziemia, obudził się stary wulkan na horyzoncie... i wypluł słup czerwonego ognia aż do samego nieba. Nie przesadzam – do samego nieba, prosto w odchodzący księżyc! Klucznicy wrócili na Stację, a ja stałem i patrzyłem w niebo. I wydawało mi się, że nadchodzi koniec świata. Potem zrozumiałem, że satelita rozpędza się i promień fotonowy uderzy w planetę. Wysoko w stratosferze płonęło rozrzedzone powietrze... jakby ktoś zalał pół nieba malinową farbą.

Dawid zaśmiał się i lekko speszony dorzucił:

– To było takie piękne! Nie uwierzyłyby pan, Martinie! Piękne!

– Wierzę.

– A potem wszystko znikło – powiedział Dawid. – Starodawny siatek fotonowy już miał zwrócić zwierciadło w stronę planety, gdy satelita znikł. Znikł również wulkan, jakby wyrwany z górskiej grządki. Ziemia trzęsła się jeszcze przez kilka godzin, ale klucznikom udało się powstrzymać kataklizm.

– Słyszałem, że na miejscu zniszczonego statku stworzyli ośrodek masy – powiedział Martin. – Zapuscili na orbitę satelity niewielką czarną dziurę.

– Dowiedzieliście się, co to właściwie było?

Martin pokręcił głową.

– Nie sądzę, żeby to był statek Starożytnych, zbyt prymitywna technologia. Zresztą, ja nie wierzę w starożytne rasy... – Dawid wrzucił niedopałek do wody, gdzie wielka tłusta ryba połknęła go błyskawicznie. – Klucznicy wyprzedzili wszystkich... i to oni są jedynymi prawdziwymi Starożytnymi. Najprawdopodobniej, gdy klucznicy pojawili się na Galei, miejscowa cywilizacja była już dość rozwinięta i posiadała bazę na satelicie, którą klucznicy przegapili. Być może mieszkańcy planety zdziczeli i żyli się z ofiarowanymi cudami przybyszów. Niewykluczone, że nas to też kiedyś czeka. A ci, którzy żyli na satelicie, nie poddali się, wydrążyli satelitę od wewnątrz, stworzyli gigantyczny statek z napędem fotonowym... I próbowali uciec, odrodzić swoją cywilizację przy innej gwiazdzie...

– A czym był wulkan, który strzelał do statku?

– System ochronny kluczników.

– To nie w ich stylu – pokręcił głową Martin. – Oni wolą ciche zniknięcia. Ale z drugiej strony, to wersja równie dobra jak każda inna.

Dawid skinął głową.

– Na pewno... ale od tamtej pory wołałem planety, które nie mają księżyców.

Roześmieli się – prawidłowa reakcja ludzi, żywiących do siebie szacunek.

– Jednak pójdę. – Martin wstał. – Nie będę czekał na pańskiego przyjaciela. Ma pan pocztę na Ziemię?

– Tak. – Dawid zerwał się, skoczył do namiotu i po chwili wrócił z potężną paczką. – Mam tu listy, dyskietki... żetony tych, którzy zginęli... i trochę próbek dla uniwersytetu... może być? To



najwyżej trzy kilo...

W jego głosie pojawiły się delikatne, proszące nutki.

– Nie ma sprawy – skinął głową Martin.

Uścisnęli sobie ręce i Martin poszedł w kierunku Stacji. Na werandzie nie było nikogo, ale Martin szedł pewnym krokiem człowieka, któremu wyznaczono spotkanie na konkretną godzinę.

I klucznik pojawił się. Wyszedł na werandę, przymknął za sobą drewniane drzwi, usiadł w fotelu i zaczął zapalać fajkę. Miał na sobie szlafrok frotte – albo zmarzł, albo właśnie wstał z łóżka.

Martin zatrzymał się przed schodkami.

Klucznik dmuchał, ssąc fajkę i raz po raz pstrykając zapalniczką. W końcu fajka zadymiała się równo i klucznik z zadowoleniem usiadł wygodnie w fotelu. Popatrzył na Martina i w jego spojrzeniu była albo serdeczna ironia, albo lekkie rozdrażnienie.

– Witaj, kluczniku – powiedział Martin.

– Witaj, wędrowcze – skinął klucznik. – Wejdz i odpocznij.

Martin wszedł i usiadł naprzeciwko klucznika. Pomilczał chwilę, po czym powiedział:

– Chciałbym opowiedzieć ci pewną historię.

– Smutno tu i samotnie, wędrowcze – rzekł klucznik. – Porozmawiaj ze mną, wędrowcze.

Martin przymknął oczy. Nie wiedział jeszcze, o czym będzie mówił. Zawsze najlepsze okazywały się te historie, których zakończenia nie znał do ostatniej chwili. Martin wiedział teraz tylko jedno – za chwilę zacznie mówić o...

– Rodząc się, człowiek niesie w sobie świat – powiedział Martin. – Cały świat, cały wszechświat. On sam jest wszechświatem. A wszystko, co jest wokół, to tylko cegielki, z których składa się jaźń. Mleko matki, które karmi ciało, powietrze, kołyszące błonami bębenkowymi, niejasne obrazy, rysowane na siatkówce oka przez fotony, przenikający do krwi odżywczy tlen – wszystko nabiera realności dopiero wtedy, gdy staje się częścią człowieka. Ale człowiek nie może brać, nie dając nic w zamian. Fekaliami i łzami, dwutlenkiem węgla i potem człowiek znaczy swoje ślady w nieistniejącym wszechświecie. Żywy, płaczący wszechświat pełźnie przez iluzoryczny świat, przemieniając go w świat rzeczywisty.

Klucznik milczał, ssąc fajkę. Martin nabrał powietrza:

– I człowiek tworzy swój wszechświat. Tworzy z siebie, ponieważ tylko on jest rzeczywisty. Człowiek rośnie i zaczyna oddawać coraz więcej. Jego wszechświat rośnie z wypowiedzianych słów, uścisków dłoni, obtartych kolan, iskierek w oczach, śmiechu i łez, tego, co zostało zniszczone, i tego, co zostało zbudowane. Człowiek oddaje swoje nasienie i rodzi dzieci, człowiek tworzy muzykę i oswaja zwierzęta. Dekoracje wokół stają się coraz bardziej wyraziste, ale nie staną się rzeczywiste, dopóki człowiek nie stworzy wszechświata do końca – oddając mu ostatnie ciepło ciała, ostatnią krew serca. Przecież świat musi zostać stworzony, a człowiek nie ma z czego stworzyć światów. Tylko z siebie.

Klucznik odłożył fajkę.

Martin czekał.

– Rozwiałeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Martin skinął klucznikowi i wstał.

– Można uznać, że każdy jest wszechświatem – odezwał się znowu klucznik. – Można przyjąć, że jest tylko literą w krótkiej historii wszechświata. To niewiele zmienia, Martinie. Czy stajemy się po śmierci wszechświatem, czy tylko literą na obelisku, co to za różnica dla zmarłego?

Martin odwrócił się. Najszybciej, jak mógł.

Klucznika już nie było, tylko słabo dymiła zapomniana fajka.

Zresztą, co za różnica? Czy klucznik siedzi w fotelu, czy przeniósł się o tysiące lat świetlnych, co za różnica, skoro klucznicy nie odpowiadają na pytania?

Ale Martin mimo wszystko powiedział:

– Dziękuję, kluczniku.

# Część druga

# Pomarańczowa

## Prolog

Człowiek, goniący za przyjemnościami życia, czy mówiąc w sposób wyszukany – sybaryta, zawsze niezwykle poważnie traktuje kwestię jedzenia. Jest pewien urok w kolacji w restauracji – klasycznej, nieco staromodnej, ze sztywnymi od krochmalu białymi obrusami, porcelaną i kryształami, częstą zmianą srebrnych sztućców i dyskretnymi kelnerami, broń Boże nie kelnerkami: niestała i humorzasta kobieca ręka nie powinna być obecna przy narodzinach i serwowaniu jedzenia! Mniej eleganckie zakłady również mają swój klimat: pstrokate, kraciaste serwety, syczące za niedomkniętymi kuchennymi drzwiami rondle... Tu uśmiechnięci młodzi ludzie podadzą wam coś oryginalnego i tradycyjnego, tu spędzicie miło czas w otoczeniu urzędników, wiecznie spieszących się prawników i hałaśliwych turystów, przyrośniętych do swoich kamer i aparatów. Zdecydowanie odrzucamy zakłady zbiorowego żywienia typu fast food, niezależnie od ich cudzoziemskiej nazwy i niezależnie od „smakowitości” plastiku, nakładanego na jednorazowy talerz. O, nie! Jeśli poważnie traktujecie swoje zdrowie, jeśli cenicie sobie chwile kulinarnych przyjemności, bułka z kotлетem jest na z góry straconej pozycji!

Ale mimo wszystko prawdziwą miarą kulinarnych przyjemności, alfą i omegą sybaryty, pozostaje przygotowany własnoręcznie obiad domowy. Dopiero wtedy staje się jasne, czy jesteś dygoczącym stworzeniem, narosłą na nie wymagającym żołądku, czy też masz pełne prawo komenderować owym żołądkiem oraz hołubić go, nie pozwalając lenistwu, apetytowi i sokom trawiennym wtargnąć w proces przygotowywania posiłku!

Dziś wieczorem Martin podejmował wujka u siebie w domu. Zdarzało się to niezbyt często, wujek był sędzią sprawiedliwym, lecz srogim, i Martin nieco się denerwował. Czasu miał mało, na Ziemię wrócił dopiero rano i dlatego musiał zdać się na improwizację. Po dokonaniu przeglądu lodówki wpadł w przygnębienie i zaczął przemyślać o nabyciu w pobliskiej restauracji kaczkę po pekińsku i podaniu jako tworu własnych rąk. Ale myśl o tak niegodnym postępku obudziła w Martinie taki wstręt, że szybko pokonał chwilową słabość i postanowił walczyć do końca.

Wyjął z zamrażalnika syberyjskie pielmienie – to niezbyt wyszukane danie w umiejętnych rękach mogło okazać się prawdziwym delikatesem. Jakże poniżono prawdziwe pielmienie sprowadzając je do rozmiękłych kawałków ciasta i subproduktów, marznących w celofanowych paczkach na prosektorskich półkach supermarketów! Nie wiercie fałszywym uśmiechom wiecznie głodnych bohaterów reklam, którzy kostki rosółowe gotowi są zjeść na surowo! Nie dajcie się nabrać na zapewnienia o ręcznym lepieniu – współczesnym maszynom rosną manipulatory z korpusu. A jeśli nawet lepiono je ręcznie – czy widzieliście te ręce?

Nie, nie i jeszcze raz nie!

Prawdziwe pielmienie należy przygotowywać samemu, albo z wybranymi przyjaciółmi i domownikami. Najlepiej użyć do farszu trzech rodzajów mięsa, ale to nie jest konieczne. Znacznie ważniejsze jest zachowanie równowagi przypraw. Szczególnie ostrożnie należy postępować z aromatycznym czarnym pieprzem, nieco więcej swobody pozostawia papryka, choć prawdziwi znawcy nie dodają jej w ogóle. Zioła, którymi szczerze obdarza mieszkańców Moskwy i Petersburga mołdawska matka-ziemia, będą doskonałą bazą, jeśli zaś mieszkacie w europejskiej części Rosji, wiosną zatroszczcie się o odpowiednie rozsady na działce. Mieszkańcy Syberii mają łatwiej – wystarczy, że wyjdą do ogrodu czy przejdą się do najbliższych cedrów i już otwiera się przed nimi istna skarbnica przypraw. A jeszcze łatwiej jest tym, którzy w dzieciństwie nigdy nie obrzucali się śnieżkami, lecz mieszkają w Azji lub na Krymie – oto prawdziwa wolność! Tam

wszystko, co tylko nie jest trucizną, może być przyprawą. I pod żadnym pozorem, w żadnym wypadku, nie nadużywajcie gotowych mieszanek, zwłaszcza produkcji polskiej i francuskiej! Powiedzcie mi, co na Boga, mogą wiedzieć Polacy czy Francuzi o naszych pielmieniach?

Martin lubił pielmienie, ciasto wyrabiał z przyjemnością, wkładając w to duszę, słuchając mamrotania telewizora (właśnie leciały wiadomości), zaś pielmienie lepiał przy dobrej muzyce klasycznej. Rock nadawał pielmieniom zbytnią ostrość kształtu, a pop prowadził do powstawania pielmieni-potworków, przypominających wszystkich swoich krewnych jednocześnie – uzbeckie manti, tatarskie jeczpoczma i dziwaczne włoskie ravioli.

A przecież wszyscy świetnie wiedzą, że najważniejszą cechą dobrych pielmieni jest sprężyste, smaczne ciasto. W tym ciastowym woreczku mięso powinno się gotować – niczym w łaźni wodnej – we własnym gęstym bulionie. I hańba tym pielmieniom, które rozerwały się w czasie gotowania czy bezlitośnie oblepiły mięso ciastem, sprawiając, że drogocenny bulion wypływa do garnka...

Martin nakrył stół zwyczajnie, w kuchni, do dwóch misek nałożył gęstej śmietany, prawdziwej, rosyjskiej śmietany, a nie europejskiej imitacji z zagęszczaczami, ulepszaczami, antyoksydantami i innymi truciznami. Ketchup schował jak najgłębiej, choć bowiem sam czuł do niego słabość, bał się słusznych drwin wujka. (idy na klatce schodowej huknęły drzwi starej windy, Martin, instynktownie wyczuwając nadejście wujka, wrzucił pielmienie do wrzątku i wyjął z lodówki butelkę wódki „Rosyjski standard” [Jedna z najdroższych i najlepszych rosyjskich wódek] – jedynej, na którą pozwalała wujkowi jego chora wątroba. Nie było to pół litra, co nieuchronnie pociągnęłoby za sobą kontynuację, ani litr, na co mogą pozwolić sobie ludzie młodzi i beztroscy. Było to zero siedem, jak przystało na kulturalnych, mało pijących Rosjan, którzy nie mają zamiaru siedzieć do późnej nocy i straszyć sąsiadów pieśniami chóralnymi.

Wujek docenił pielmienie. Wprawdzie nie spieszył się ani z jedzeniem, ani z wydawaniem sądów, co trochę speszyło Martina, ale gdy tylko skończył pierwszą porcję, zerknął znacząco na garnek i Martin musiał szybko przygotować następną.

Potem była rozmowa, raczej przyjemna, choć czasem dość głośna. Omówili piłkę nożną (Martin nie był zajadłym kibicem, ale cieszył się z nieoczekiwanych sukcesów reprezentacji), porozmawiali o ostatniej opłacie, uiszczonej przez kluczników, za dzierżawę technologii syntezy jedzenia z drewna, która rzeczywiście pozwalała na ostateczne rozwiązanie problemu głodu, ale jednocześnie przysporzyła masę kłopotów. Wujek nawet nieprzyjemnie zaskoczył Martina prymitywnymi opiniami o ograniczeniu urodzeń w krajach Afryki i Azji. Wprawdzie zdania „królikom też zwyczajnie zabraniają planowania urodzeń” i „teraz to już na pewno pozłazą z palm, skoro można jeść drzewa” – wujek, zawstydzony przez siostrzeńca, zgodził się wycofać, ale od sensu wypowiedzi się nie odciał.

Martinowi udało się sprowadzić rozmowę na inny, spokojniejszy tor, a wtedy zadzwonił Zenka, że właśnie jest niedaleko i mógłby na chwilę wpaść.

Martin ucieszył się z wizyty młodszego brata, a wujek, chociaż jego ulubieńcem był Martin, również wyraźnie się ożywił. Bojowo nastawiony, urządził kuzynowi prawdziwe przesłuchanie: dlaczego tak rzadko dzwoni i jeszcze rzadziej zagląda, po jakie licho zaniósł go na dziennikarkę i czy przypadkiem nie pogodził się z Olgą.

Na wszystkie pytania młodszy brat dał sensowne odpowiedzi, jedynie Olgę wspominał długo i o pogodzeniu mówił bez przekonania – czyli mówiąc dosadnie – kłamał jak adwokat. Ale wujek był dzisiaj w dobrodusznym nastroju i postanowił nie zauważać kłamstw.

Martin wrzucił do wrzątku świeże pielmienie i wyjął z lodówki drugą butelkę zero siedem,

ponieważ był nie tylko kulturalnym i mało pijącym, ale również mądrym i przewidującym Rosjaninem. Pielmienie kończyły się, została już tylko jedna skąpa porcja, ale zarówno wujek, jak i Zenka już się najedli i nie żądali więcej, całkowicie usatysfakcjonowani rosyjskim „standardem”, ogórkami małosolnymi i cienkimi plastrami pieczonego mięsa. Martin nieco odsunął się od rozmowy, z przyjemnością słuchając paplaniny Żenki i replik wujka, zdumiewając się złośliwością i tym poczuciem humoru, jakie pojawia się u niektórych starych ludzi po przejściu na emeryturę.

Gdy zbliżała się północ, wujek poczuł się zmęczony i zaczął się zbierać. Zdecydowanie odmówił przenocowania u Martina, odprowadzenia sobie nie życzył, zaś taksówki nie zamawiał z zasady, twierdząc, że przejdzie te pięćdziesiąt metrów do ulicy i tam już złapie okazję, porządnie na tym zaoszczędzając. Martin próbował protestować, ale potem uzmysłowił sobie, że przy skrzyżowaniu powinien stać patrol milicji, który po zauważeniu podpiętego emeryta powinien wsadzić go do taksówki i surowo polecić kierowcy, by dostarczył staruszka pod sam blok. Dlatego też Martin uspokoił się, pożegnał się z wujkiem i wyjął z lodówki niewielką, półlitrową butelkę wódki – ponieważ był nie tylko kulturalnym, mądrym i przewidującym młodym Rosjaninem, ale również leniwym, co sprawiało, że jeśli już wybierał się na zakupy, to zawsze robił zapasy produktów. Ale brat wyjął pudełko dobrych cygar, zauważając, że one wymagają innego akompaniamentu.

Dziesięć minut później, po sprzątnięciu do zlewu brudnych naczyń, bracia usiedli w pokoju gościnnym z ciężkimi, szerokimi szklankami glenorange, piętnaście lat trzymanego w beczce po maderze, i zapalili cygara, słuchając zespołu „Piknik”, który obaj bardzo lubili.

„Piknik” śpiewał o tym, że od razu widać, że z kogoś będą ludzie, ponieważ jest amatorem gazu rozweselającego. Martin nie podzielał tak prostych metod diagnostycznych, ale kiwał nogą w takt muzyki, a przy słowach „to szczęście dla jednego na stu” nawet zaczął cichutko śpiewać.

– Czym się teraz zajmujesz, Mart? – zapytał Żenka, wodząc w powietrzu cygarem, jakby próbował kreślić dymne litery.

– Różnymi głupotami – przyznał się Martin. Brat, jako jedyny z rodziny, był wtajemniczony w rodzaj jego zajęć. O szczegółach rozmawiali rzadko, czasem tylko omawiali zabawne i bezpieczne dla wszystkich historie.

– Prowadzisz jakąś poważną sprawę? – nie dawał za wygraną brat.

– Kończę. Prawie skończyłem. Nic poważnego. Dziewczyna uciekła z domu i głupio zginęła na obcej planecie.

– A co zostało niedokończone? – nalegał Żenka.

Po chwili zastanowienia Martin zdecydował, że może opowiedzieć bratu część historii.

– Dziewczyna zdążyła mi coś powiedzieć. To znaczy, mówić już nie mogła i pokazała gestami turystycznego. Myślę, że to drobiazg, ale postanowiłem sprawdzić do końca. Nie chcę iść do jej rodziców, dopóki nie zdobędę całkowitej jasności.

– Pytali mnie o ciebie – powiedział nieoczekiwanie Żenka. – Pewien człowiek... niby przypadkowa rozmowa... ale tak się składa, że coś o nim wiem. Pracuje w organach.

– Menda? – zapytał bez specjalnego zdziwienia Martin. Ernesto Połuszkina mogły obserwować struktury ochrony porządku.

– Urząd bezpieczeństwa.

– Czego oni ode mnie chcą? – obruszył się Martin. – Obrok płacę, szpiegostwem się nie zajmuję, a jak spotkam się z czymś interesującym – melduję!

Obrokiem Martin nazywał wymyślone historie, które mogły spodobać się klucznikom. Dzierżący władzę nieoficjalnie radzili tym wszystkim, którzy byli dobrzy w opowiadaniu historii klucznikom, żeby wymyślali trzy, cztery historie w ciągu roku na potrzeby państwa. Za te historie nawet płacono i Martin, nie szukając wykrętów i przewyciężając lenistwo cztery razy do roku ucziwie siadał przy biurku i klecił coś odpowiedniego. Ponieważ historie przyjmowano z wdzięcznością i żywym zainteresowaniem, ale nie domagano się ich zbyt natarczywie, Martin doszedł do wniosku, że niektórych opowieści dało się użyć, a inne zostały przez kluczników odrzucone. Jak to w życiu. Raporty Martin pisał nieregularnie, ale jeśli stan faktyczny na jakiejś planecie zdecydowanie odbiegał od danych w informatorach i prasie, wysyłał informację do uniwersytetu badań galaktycznych, struktury formalnie społecznej, a tak naprawdę rządowej.

– Nie mam pojęcia – powiedział Zenka, pijąc whisky. – Ale wydawało mi się, że interesuje ich twoje obecne zajęcie. Żebyś tylko nie wdepnął w politykę!

Martin już miał powiedzieć coś złośliwego i pouczającego, w rodzaju „nie ucz ojca dzieci robić”, ale w porę uświadomił sobie, że akurat w tej kwestii młodszy brat przegonił go już dawno i mógłby odczytać mu kilka prelekcji. Ogólnie rzecz biorąc Zenka był szalawila i hultaj, ale w stosunkach z płcią piękną – skupiony, poważny i skazany na sukces. Dlatego Martin uciał temat:

– Nie mam zamiaru w nic wdeptywać, bracie. Za to już dawno powinienes przestać być wiecznym studentem i wdepnąć w jakąś pracę.

Po tak zdradzieckim ciosie, Zenka nadał się i więcej nie moralizował. Trzeba było drugiej szklaneczki whisky, żeby pokój między braćmi został zawarty, a rozmowa potoczyła się swoim trybem.



Martin wrócił na jeden dzień na Ziemię, nie tylko ze względu na dawno zaplanowane spotkanie z wujkiem, ale również z powodu konieczności uzupełnienia zapasów. Oczywiście, gdyby czas miał zasadnicze znaczenie, Martin mógłby ruszyć w drogę z Biblioteki. Ale zadanie, które miał przed sobą, wymagało pewnych przygotowań i Martin zdecydował się stracić jedną historię na powrót.

Martin zostawił sobie remingtona – choć nie miał zamiaru polować, a do samoobrony karabin się nie nadawał, zaś z arsenału, trzymanego w gabinecie, dodał do wyposażenia jedynie rewolwer – pewny, kompaktowy Smith&Wesson, model sześćdziesiąty, krótka pięciocentymetrowa lufa, pięć nabojów w bębunku, mały kaliber – broń nadawała się tylko do krótkiej strzelaniny na bliski dystans. Wprawdzie niezbyt często, ale takie przypadki jednak się zdarzają i wtedy rewolwer jest znacznie użyteczniejszy od karabinu.

Martin uzupełnił również swoje zapasy „przetargowe”. Sól była niemal na wszystkich planetach, ale cukier i słodocyce stanowiły doskonałą walutę wymienną. Tytoń, pieprz, lekarstwa, kilka talii kart, świeży „Przegląd”... W zasadzie tych przygotowań nie cechowało nic szczególnego. Przed południem Martin był już gotów do drogi, ale przeciągnięta do trzeciej w nocy posiadówka odbijała się teraz pewną ociężałością psychiczną.

Dzwonek telefonu dogonił Martina w drzwiach. Już miał sięgnąć po słuchawkę, ale widząc, że wyświetlacz podaje numer Połuszkina, nie odebrał. Albo Połuszkin dowiedział się o jego powrocie, albo dzwonił na chybił trafił... W każdym razie Martin nie miał ochoty się teraz tłumaczyć.

Zamknął drzwi i zaczął schodzić po schodach.

Czasami Martin odnosił wrażenie, że stosunek kluczników do opowieści zależy również od samego opowiadającego. Od jego nastroju... przekonania... ciekawości wymyślonej historii... od bardzo dziwnych czynników. Na przykład, na pusty żołądek było znacznie łatwiej otrzymać dostęp do Wrót niż po smakowitym obiedzie i kuflu piwa.

Martin był teraz trochę głodny, ale za to bolała go głowa.

I to nie pozostało bez efektu.

– „Czyżby? – spytała kobieta. – Sądziłam, że zrozumiał pan wszystko pierwszego wieczoru” – zakończył swoją historię Martin i zamilkł w oczekiwaniu na werdykt.

– Smutno tu i samotnie – powiedział klucznik. – Słyszałem wiele takich historii, wędrowcze.

To była już druga historia odrzucona przez klucznika. A najgorsze, że historie wydawały się Martinowi niezłe, z interesującą fabułą, z charakterem i morałem. Zupełnie dobre opowiadania!

Klucznik czekał – naprawdę smutny i samotny, jeden z wielu smutnych i samotnych kluczników w moskiewskiej Stacji. Martin westchnął. Grzebiąc w pamięci, przypominał sobie i odrzucał historie przeczytane, zasłyszane, takie, które przydarzyły się jemu samemu, bądź spotkały jego znajomych.

Klucznik czekał.

– Moja historia jest o ciekawości – powiedział wreszcie Martin. – To interesująca cecha, nie sądzisz?

Oczywiście, klucznik nie odpowiedział. Oczywiście, pytanie Martina było retoryczne.

– Z ciekawości ludzie robią rzeczy dziwne i niebezpieczne. Pandora otworzyła powierzona jej puszkę, żona Sinobrodego zajrzała do pokoju, do którego nie wolno jej było zaglądać, a uczeni

rozszczepili atom. Gdzie nie spojrzeć, ta właśnie ciekawość jest przyczyną wszelkich nieszczęść. I jeśli w starożytności niebezpieczeństwo groziło jedynie najbardziej ciekawskim, to w ciągu ostatnich stu lat – całej ludzkości. Jeden ciekawski uczone staje się bardziej niebezpieczny od całej armii żołnierzy. Pomyślałem nawet, że natura spostrzegła to i dała całą wstecz. Ludzie stają się coraz mniej ciekawi świata, przestali interesować się nauką. Ludzie polubili to, co jest zwykłe i swojskie. Seriale telewizyjne, w których wszystko z góry wiadomo. Książki, w których wszystko jest jasne od razu. Jedzenie, które nie jest interesujące ani ze względu na kolor, ani na zapach czy smak. Wiadomości, w których nie ma nic niespodziewanego. Jakby wrzucono wsteczny bieg – dosyć tej ciekawości, dosyć myślenia i szukania! Powstrzymaj się – lub zgiń!

Klucznik patrzył na Martina w zadumie.

– Żyjemy z przewidywalnymi kobietami, nasi przyjaciele opowiadają nam kawały z brodą, nasz Bóg spętany jest dogmatami. A nam się to podoba. Ale wiesz, kluczniku, niedawno widziałem dziewczynę, którą zgubiła ciekawość, i pomyślałem – Martin popatrzył klucznikowi w oczy – czy rzeczywiście wszyscy oduczyli się ciekawości? A może to ja wrzuciłem wsteczny dla samego siebie? Może to ja się zatrzymałem i wmówiłem sobie, że zatrzymał się cały świat? Niemal oduczyliście nas ciekawości, kluczniku. Jaki sens uczyć się i odkrywać, skoro jutro podarujecie nam coś gotowego? Jaki sens ma sięganie do gwiazd, skoro nie ma tam nic nowego? Zastanowiłem się nad tym i nie spodobała mi się odpowiedź. I zdecydowałem – niech żyje ciekawość! Wiedza to wspaniała rzecz! Wiele smutku – oto właściwa zapłata!

Klucznik milczał i Martin instynktownie zrozumiał, że historia nie została przyjęta. Dlatego pochylił się nad stołem do klucznika i powiedział:

– I wiesz, co jest w tym najważniejsze, kluczniku? Że ciekawości nie ma! Nie ma takiej cechy czy właściwości u istot rozumnych. Ciekawością nazywamy intuicję, próbę wyciągania wniosków z niewystarczających danych. Pragniemy formalizować, znajdować logiczne wyjaśnienia, a jeśli wyjaśnień nie ma, mówimy: „to ciekawe” i dajemy sobie zezwolenie na postęпки dziwne, niepotrzebne i niebezpieczne. Ciekawość to tylko wygodne wyjaśnienie. Nic więcej!

– Smutno tu i samotnie... – zaczął klucznik.

– Nie skończyłem jeszcze mojej historii – przerwał mu Martin. – Nawet jej nie zacząłem. To był tylko wstęp.

Po raz pierwszy w życiu Martinowi wydawało się, że w oczach klucznika pojawiło się rozdrażnienie.

– Opowiadaj więc.

– Żyła sobie we Wszechświecie rasa, którą pozostałe istoty rozumne nazwały klucznikami – zaczął Martin. Nagle ogarnęła go wściekłość, nie na klucznika i nawet nie na samego siebie za to, że nagle okazał się niezdolny do opłacenia drogi. Krystalicznie czysta wściekłość, nie zwrócona na nikogo konkretnego. – I ta rasa miała interesujące hobby – latała przez galaktykę na potężnych, czarnych gwiazdolotach i na każdej napotkanej planecie budowała Stacje łączności hiperprzestrzennej. Opłatą za korzystanie z tych Stacji była jedynie interesująca historia – bo w żaden inny sposób klucznicy nie mogli się rozerwać. A na planecie Ziemia żył sobie chłopiec, który nazywał się Martin Dugin, i jak każdy mądry chłopiec miał marzenie – odgadnąć wszystkie tajemnice galaktyki. Ni mniej, ni więcej, tylko właśnie wszystkie. I spotkali się kiedyś na świecie mądrzy klucznicy i ciekawski chłopiec. Klucznicy nudzili się, jak zwykle. A chłopiec, jak przystało na chłopca w jego wieku, uważał się za najmądrzejszego we Wszechświecie. I on pomyślał: czy

klucznikami powoduje ciekawość? Przecież już sobie ustaliliśmy, że żadnej ciekawości nie ma. Czyżby klucznicy rzeczywiście liczyli, że usłyszą coś nowego i ważnego? To by znaczyło, że nie chodzi tu o same historie, lecz o ludzi, którzy te historie opowiadają. Widocznie są w galaktyce jakieś tajemnice, ważne, straszne i niedostępne dla kluczników. Ci, których klucznicy przepuszczają na inne planety, powinni te tajemnice odgadnąć. A ci, których klucznicy nie wpuszczają z powrotem, są bliscy rozwiązania zagadek. I teraz całe ich życie upłynie tam, gdzie mogą być przydatni dla kluczników!

Klucznik zaczął kasłać. Kasłał tak długo, że Martin zrozumiał: kosmata, łuskowata istota dławi się ze śmiechu, próbuje się opanować – i nie może.

– Rozwiąłeś... rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swoją drogę.

Martin wstał z fotela i wymamrotał:

– Zdziałało? No i pięknie...

Klucznik przestał się śmiać, a w czarnych oczach nie było nawet cienia rozdrażnienia.

– Dziesiątki ras, setki planet, tysiące hipotez. Jedni mówią, że kradniemy dusze, inni, że wykorzystujemy wędrowców jako pożywienie, jeszcze inni, że po prostu sobie drwimy. Ale twoja wersja jest bardzo świeża, dziękuję. Rozwiąłeś mój smutek.

– Nigdy nie mówicie, czy nasze historie mają dla was jakiś sens, czy nie. I nigdy nie powiecie – mruknął Martin.

– Zzera cię ciekawość? – zapytał klucznik. – Przecież ciekawość nie istnieje – dopiero co mówiłeś o tym z takim przekonaniem.

– Nie ma pustej ciekawości – uciał Martin. – Nie ma ciekawości bezcelowej. Jeśli interesują nas wasze motywy, to tylko dlatego, że wyczuwamy fałsz. Niedomówienie. Zagrożenie. Przegapiony zysk.

Klucznik nic nie powiedział i Martin poczuł lekki triumf. Ale gdy zamykał drzwi, klucznik znowu dostał ataku śmiechu i to zniweczyło całą radość złudnego zwycięstwa.

– Nawet jeśli zwyczajnie się wygłupiacie – mruczał Martin, idąc korytarzami – nawet jeśli obstawiacie, kto dłużej utrzyma się na obcych planetach, nawet jeśli transmitujecie to w jakiejś swojej telewizji – leję na to!

Dochodząc do najbliższych Wrót – w moskiewskiej Stacji było ich sześć – Martin ochłonął. Oczywiście, z punktu widzenia klucznika – wszechpotężnego i niemal nieśmiertelnego – zachowanie i domysły człowieka są bardzo zabawne.

Poza tym, Martin wcale nie był pewien, że nie ma czystej ciekawości, że zawsze stoi za nią intuicja, zysk czy strach. Ale z drugiej strony, jaki pożytek ma dziecko z rozebranej na części zabawki? Ciekawość i tyle. Być może podobnie jest z klucznikami: bawią się żywymi zabawkami i są trochę zmartwieni, gdy zabawki się psują.

W myślach Martin odnotował, że to niezła wersja. Skoro kluczników tak interesują domysły na temat motywów ich zachowania, można by to wykorzystać i opowiedzieć historię o klucznikach – dzieciach supercywilizacji, które wypuszczono w kosmos, żeby się pobawiły. Jak wszystkie dzieci, klucznicy są ciekawscy, okrutni i wolą słuchać niż odpowiadać na pytania...

Może z tego wyjść niezła historia...

Martin zaczął pogwizdywać i niedużą kolejką w poczekalni przed Wrotami wcale go nie

zmartwiła. Skinął głową poważnej kobiecie w średnim wieku, siedzącej na sofie z ogromną kraciastą torbą. Mój Boże, czy to odradza się zawód handlarzy – na nowym poziomie? A może kobieta jedzie, żeby odwiedzić krewnych, a w torbie ma podarki? Martin nawet wymienił uprzejmy uścisk ręki z mężczyzną, który palił w kącie nad wielką misą-popielniczką. Zdenerwowany mężczyzna kopcił papierosa za papierosem – od razu widać, że nowicjusz. Dla towarzystwa Martin wyjął papierosa i wypalił połowę.

W korytarzyku, prowadzącym do Wrót, rozległ się brzęk. Ktoś duży i ciężki przeszedł obok poczekalni do wyjścia. Kobieta rzuciła Martinowi zdenerwowane spojrzenie i poszła do Wrót. Minutę później brzęknęło znowu, mężczyzna rzucił niedopałek, wziął torbę i ostro zapytał Martina:

– Jak to jest... bardzo nieprzyjemnie?

– Nic pan nie poczuje – uspokoił go Martin.

Mężczyzna stał przed Wrotami dość długo, widocznie nie mógł się zdecydować. Wreszcie rozległ się kolejny brzęk i korytarzem poszedł chłopak o szczęśliwej twarzy człowieka, który się nieźle nadenerwował. Martin minął drzwi śluzy i wszedł do okrągłej sali Wrót. Pośrodku świecił się spokojnie terminal komputerowy.

Martin wziął myszkę i przesunął kursorem po liście.

Oto Biblioteka. A to Ioll. A to Cortik.

A tu jest jego cel.

Preria 1 i Preria 2.

Dwie planety, podobne do siebie jedynie pod względem dominującego w okolicach Wrót typu krajobrazu. Preria 1, dawno temu zasiedlona przez Obcych, nie interesowała Martina. Do niedawna nie interesowała go również ludzka kolonia Preria 2, mimo że była na dobrej zielonej liście...

Ale palce umierającej Iriny zdążyły pokazać nazwę właśnie tej planety...

Co uważała za takie ważne, ważniejsze od swojej śmierci? Dlaczego błagała Martina, by wyruszył na Prerię 2 – bo przecież jej słowa nie mogły być niczym innym, jak właśnie prośbą, by odwiedzić tę planetę!

Być może Martinem kierowała intuicja, być może jedynie wyśmiana ciekawość. Ale nacisnął enter, odwrócił się i wyszedł z sali – już nie na Ziemi.

Gorąco i dużo kurzu – to pierwsze wrażenia Martina, gdy zamknęły się za nim drzwi Stacji.

Klucznik siedział na werandzie z bosymi nogami na drewnianym stole. Przed nim w kryształowym dzbanku skrzyła się kostkami lodu prawdziwa domowa lemoniada, na tacy stały graniaste szklanki.

– Mogę? – zapytał Martin. Klucznik skinął głową, Martin nalał sobie pełną szklankę i upił łyk. Lemoniada miała przyjemny smak, lekko kwaskowy i orzeźwiający, dobrze, że klucznicy nie uznają żadnej chemii. Ze szklanką w rękach Martin podszedł do poręczy i oparł się o nią, popijając napój.

Przed nim rozpościerała się Preria 2.

Początkowo równina wydawała się Martinowi wypalona, potem zrozumiał, że wysoka trawa, która szczelną szczecinę pokrywa step, ma po prostu pomarańczowy kolor. Pasące się w oddali stado łaciatych, czarno-białych krów, spokojnie szczypało pomarańczową trawę.

Niebo również było pomarańczowe. No, może nie do końca pomarańczowe, raczej brudnożółte, w każdym razie tarcza słońca nie od razu rzucała się w oczy. Ale chmury były zwyczajne, białe.

– Pomarańczowe niebo, pomarańczowe pole – wymamrotał Martin. – Co za kretyn nazwał tę planetę Prerią? Powinna się nazywać Pomarańczowa!

Klucznik w milczeniu poruszał palcami nóg i uśmiechał się.

– Do widzenia – powiedział uprzejmie Martin. Klucznik skinął głową.

Schodząc z werandy, Martin złożył karabin, zarzucił go na ramię i ruszył, omijając stado krów. Kowbojów przy stadzie nie zauważył, ale w pewnym momencie z wysokiej trawy wyłonił się chłopiec-pastuch i popatrzył z uwagą na Martina.

Martin pomachał mu ręką i podszedł. Chłopak wyglądał na mądralę, a informacje jeszcze nikomu nie zaszkodziły.

– Dzień dobry, mister! – powitał go chłopiec. Wyglądał na mniej więcej czternaście lat, miał ogniście rudą czuprynę – w tonacji prerii i nieba, bose nogi, a ubrany był w dżinsy i kraciastą koszulę.

– Dzień dobry – odparł Martin. – A dlaczego mister?

– Tak jest u nas przyjęte – wyjaśnił chłopiec. – Przybył pan na Prerię na zawsze?

Martin zarejestrował w pamięci to zdanie. „Na zawsze” to rzadkie pytanie. Zazwyczaj pytają: „Na długo?”

– Nie sędzę. Jak wyjdzie.

– Szuka pan kogoś? – pytał dalej chłopiec. Martin pokręcił głową.

– Już nie. Trzymaj!

Rzucił chłopcu cukierka, zawczasu przygotowanego w kieszeni. Chłopiec przyjął poczęstunek z radością, ale ugryzł tylko połowę, resztę starannie zawinął i schował do kieszeni. Pochłaniając podarek z Ziemi powiedział:

– Niech pan pyta.

– Daleko stąd do miasta? – Martin uśmiechnął się i postanowił nic tracić czujności wobec tego chłopca.

– New Hope jest pięć mil stąd na południe – chłopiec pokazał ręką. Martin nic tam nie zobaczył i chłopiec wyjaśnił: – Miasto leży na nizinie. Tam płynie rzeka Pomarańczowa, tu nie ma się po co osiedlać, braknie wody.

– Specjalnie pędzisz stado do Stacji?

Chłopiec uśmiechnął się i skinął głową.

– Dużo ludzi mieszka w mieście?

– Ponad osiemnaście tysięcy – oznajmił z dumą chłopiec. – I jeszcze półtora tysiąca nie ludzi.

– Co jest ciekawego w mieście?

– Dobry ten cukierek – powiedział w zadumie chłopiec.

Martin pogroził mu palcem, ale rzucił jeszcze jednego.

– Dwa kościoły i dom modlitewny, stadion, merostwo, oddział gwardii narodowej, dwie szkoły, fabryka odzieży, dwunastu rzeźników, sześciu piekarzy, kino, szpital, cztery apteki, supermarket, gazeta, teatr, typografia, lotnisko, garaż z warsztatem samochodowym... – zaczął wyliczać chłopak.

– A hotel? – zapytał Martin.

– Jest hotel „Dylichans” i zajazd „Mustang”. Myślę, że bardziej spodoba się panu hotel.

Martin wyjął trzeciego cukierka.

– Ale się dzisiaj objem – ucieszył się chłopiec. – Należę do pana, proszę pytać.

– Co możesz powiedzieć o planecie?

– No... – chłopak wygiął się, podskoczył na jednej nodze, pocierając piętą kolano. – A o czym tu powiadać? Planeta Preria, trzy kontynenty, jeden zamieszkany, dwa miasta i osiedla, złoża ropy i metali kolorowych... tego uczą już w pierwszej klasie.

– Miejskowa forma życia?

– Na preriach mieszkają zieloni Indianie – powiedział bardzo poważnie chłopiec. – Polują na pomarańczowe bizona.

– Bez wygłupów – powiedział znacząco Martin.

Chłopak prychnął.

– Sam pan zobaczy, w mieście. Są trochę tępi, ale spokojni i pozwalamy im przychodzić do miasta.

– Zielonoskórzy? – sprecyzował Martin.

– Bardzo lubią zielony kolor – wyjaśnił chłopiec. – Kupują zielony materiał i szyją sobie ubrania. A tak to wyglądają normalnie, żółci.

– Kto jest najważniejszy w mieście?

– Mer – powiedział poważnie chłopiec. – Jest jeszcze szeryf i komendant wojskowy, więc niech pan bez potrzeby nie strzela, bo pana złapią i powieszą! Mamy tu bardzo surowe prawa, na pojedynki trzeba brać zezwolenie.

– Mój Boże, przecież to istny raj dla dzieci... – wymamrotał Martin. – Że też jeszcze wszyscy chłopcy z Ziemi tu nie uciekli?

Chłopiec słuchał słów Martina z zainteresowaniem, ale – podobnie jak klucznicy – nie odpowiedział.

– Ostatnie pytanie – rzekł Martin, dając chłopcu jeszcze jednego cukierka. – Jakie pieniądze są w użytku?

– Dolary Prerii – chłopiec zawahał się, ale mimo wszystko wyjął z kieszeni monetę i podał Martinowi. – Takie.

– Mogę popatrzeć? – Martin wziął metalowy krążek i przyjrzał mu się uważnie.

Ho, ho! Moneta była srebrna – miała odcisnięty numer, jak banknot! Więc informator Waltersa nie kłamał.

– To prawda, że pieniądze są tylko na Ziemi i na Prerii? – zapytał chłopiec, nie odrywając spojrzenia od monety. Nie wyglądał na to, by urodził się na Prerii, być może przybył tu jako bardzo mały chłopiec.

– Nieprawda. Jest jeszcze sześć planet, gdzie ludzie wypuszczają swoje pieniądze... – odparł Martin, nadal oglądając monetę. – Ale te wasze wyglądają bardzo poważnie.

– W górach jest kopalnia srebra – wyjaśnił chłopiec.

– To dużo? – zapytał Martin, oddając monetę.

– Aha – chłopiec skinął głową. – Jeden drink to dziesięć centów. Nocleg w hotelu – dolar. Oczywiście w porządnym pokoju.

– Czy będąc w mieście, powinienem zameldować komuś o swoim przybyciu? – spytał Martin.

– Szybko pan łapie – chłopiec błysnął białymi, szczerbatymi zębami. – Niech się pan pokaże szeryfowi, on to doceni.

– Dzięki, synu – kiwnął głową Martin. – Pójdę popatrzeć na ten wasz New Hope. A ty się nie krępuj, rób swoje.

– Czego niby miałbym się krępować? – nastroszył się chłopak.

Martin uśmiechnął się.

– Zadzwoń do szeryfa i zamelduj mu. Wstąpię do niego za dwie godziny.

Chłopak zacisnął wargi i odprowadził Martina obrażonym spojrzeniem. Dopiero gdy Martin odszedł na sto kroków, chłopiec znowu położył się w trawie i wyjął z kieszeni dzinsów radiotelefon.

Preria 2 słynęła jako jedna z najbardziej udanych ziemskich kolonii. Wersja oficjalna brzmiała, że zamieszkują ją samotnicy-entuzjaści, ale tajemnicę poliszynela stanowił fakt, że Preria 2 to supertajny projekt rządowy Stanów Zjednoczonych. Przez ostatni rok planeta szła w kierunku ogłoszenia swojej niezależności. Być może coś się poplątało w projektach Amerykanów, a może właśnie formalna niezależność wchodziła w ich plany.

W każdym razie Martina taka planeta ciekawiła znacznie bardziej. Planety kurorty są zabawne; planety, na których wydobywa się coś egzotycznego i cennego – pożyteczne, ale planeta, gdzie ludzie próbują stworzyć enklawę ziemskiej cywilizacji – to sprawa wyjątkowa, szczególna.

Klucznicy nigdy nie wtrącali się do miejscowej polityki. Ich wymagania ograniczały się do udostępnienia Wrót wszystkim, ale na Prerii nie dochodziło do jakichś szczególnych skandali. Miejscowych „Indian” koloniści nie krzywdzili, do Obcych odnosili się nieufnie, ale tolerancyjnie. Jeśli ludzkość miała szanse na serio zakotwiczyć się na innej planecie, Preria nadawała się do tego idealnie.

Srebrne monety z numerem! Coś niesamowitego! Martin uśmiechnął się, maszerując po stepie. Dlaczego nie używali banknotów? Metalowe pieniądze jako symbol Dzikiego Zachodu przeniesionego o sto parseków od Ziemi?

Bardzo możliwe.

Z lekkim zdumieniem Martin pomyślał, że rosyjska żarliwość albo opadła ostatecznie od czasów Gumilowa, albo z zasady nie jest kierowana na zewnątrz. No bo gdzie jest planeta Nowy Murmańsk? Gdzie są ci młodzieńcy o kasztanowych włosach, orzący ziemię innych planet? Pewnie stoją w pikietach przed moskiewską Stacją, albo maszerują z ogolonymi karkami na starannie ignorowanych przez władze poligonach. Co za przekleństwo wisi nad naszym narodem! Jak religijność, to z krzywdą dla zdrowego rozsądku, jak wolność – to od razu pogrom i pożoga, jeśli wiara – to z zawziętością kastrata, a jak świętowanie – to z kacem przez tydzień. Czasem Martinowi wydawało się, że nie bez kozery klucznicy umieścili w Rosji aż trzy Stacje – w Nowosybirsku, Moskwie i Krasnodarze. „Ofiarowane” pieniądze rzeczywiście przeobraziły kraj, wytrąciły nacjonalistom grunt spod nóg, narzuciły na kraj niemal europejski welon sytości i szczęśliwości. Urzędnicy, nie nadążając z rozgrabieniem wszystkiego, co spadało z nieba, musieli podzielić się z narodem.

Gdzie ten duch, który prowadził Kruzenszterna i Lisianskiego, Bellingshausena i Łazariewa, Przewalskiego, Keyserlinga i Inostrancewa?

[Kruzensztern Iwan F. (1770-1846), żeglarz ros. admirał; w latach 1803-1806 kierował pierwszą ros. wyprawą dookoła świata na statkach „Nadzieźda” i „Newa” (przy p. tłum.).

Lisianski Jurij (1773-1837) żeglarz ros. w wyprawie dookoła świata Kruzenszterna dowodził „Newą” (przy p. tłum.).

Łazariew Michaił P. (1788-1851), ros. żeglarz, admirał; uczestnik trzech wypraw morskich dookoła świata; 1819-1821 wraz z żeglarzem ros. F. F. Bellingshausenem brał udział w wyprawie na morza antarktyczne; 1827 dowodził eskadrami w bitwie z flotą turecko-egipską pod Navarino (przy p. tłum.).

- Brak nam Inostrancewów – mruknął Martin, chociaż wiedział, że przesadza. Nie chodziło o cechy charakteru narodowego. W końcu największą siłę narodu rosyjskiego zawsze stanowili rozliczni Waregowie i podobnie rzecz się miała z amerykańskim. Problem tkwił gdzie indziej. Chodziło o coś mistycznego, manichejską nieakceptację życia, przechodzącą w nienawiść do życia, uwielbienie zwyrodnienia i skąpstwa. Czyżby to była wina klimatu? Gdyby klucznicy podarowali Rosji urządzenia kontroli pogodowej, na pewno mają coś takiego...

Martin splunął na pomarańczową trawę. Klimat nie ma tu nic do rzeczy. Właśnie na surowej Syberii żarliwy duch jeszcze żyje. Może Sybiracy coś wymyślą? Martin słyszał o grupie mieszkańców Krasnojarska i Nowosybirsk, którzy wyruszyli na jakąś zimną, wilgotną, ale bardzo przyszłościową planetę. Trzeba by tam zajrzeć... Przy okazji.

A na razie Martin stał na pomarańczowym stepie i patrzył na New Hope, największe miasto Prerii 2, ulubionej planety Amerykanów. Dolina rzeki Pomarańczowej miała jakieś dziesięć kilometrów szerokości, nie przypominała Missisipi i nie była zbyt malownicza, ale za to nadawała się do żeglugi. Pod miastem była przystań, gdzie stał – no nie, trzymajcie mnie! – drewniany parostatek! Samo miasto stanowiło przedziwną mieszaninę chat z desek i bali, jakby żywcem przeniesionych z westernów, i całkiem współczesnych domów z cegły. Maszty anten i szklane pęcherze helikopterów na małym lotnisku, rzeka, prom, step – wszystko to podniecało i ekscytowało. Aż się chciało wyrwać z kabury wiernego colta, osiodłać gorącego żrebca i pogalopować po pylistej drodze, strzelając w niebo i pociągając tequilę z butelki.

– Do diabła! – zawołał Martin, sam nie wiedząc, czy w jego głosie więcej jest zachwyty, czy wrogości. – Czy wyście poszaleli, jankesi?

Postał tak chwilę, przyglądając się miastu, potem wyjął z kieszeni aparat fotograficzny i zrobił kilka ujęć. Tak tylko, do prywatnego albumu. Trzeba będzie uprzedzić fotografa, że pomarańczowy kolor nieba jest miejscową specyfiką, bo mu się włos na głowie zjeży po wywołaniu filmu.



Martin spełnił obietnicę daną chłopcu-pastuchowi i przede wszystkim odwiedził biuro szeryfa. Gdy znalazł się w mieście, ogarnęło go dziwne uczucie – miał wrażenie, że otaczają go ożywione dekoracje, urzeczywistnione fantazje rekwizytora. Wszystko było absolutnie rzeczywiste – i mamusie, spacerujące ze swoimi pociechami na skwerach przy głównej ulicy, i drewniane chodniki w zaułkach – główną ulicę pokryto mimo wszystko, asfaltem – i harcujący po asfalcie jeźdźcy z karabinami na ramieniu. Sto lat temu Hollywood stworzyło swoje mity, a teraz te mity zaczęły tworzyć historię. Za szklaną witryną kędzierzawi chłopcy cierpliwie czekali, aż im nałożą lody do wafelka, parostatek przy przystani wypuścił kłęb dymu i ryknął przeciągle, z baru „Wolność” wytoczył się pijany mężczyzna w typie kowbojskim, poklepał się po kaburze, sprawdzając, czy rewolwer jest na swoim miejscu i wdrapał się na pokorną, melancholijną kobyłę. Brakowało tylko muzyki Ennio Morricone i Człowieka Bez Imienia z cygarem w zębach. Polem Martin pomyślał, że otaczający go świat jest zbyt sztuczny nawet jak na Hollywood. Bardziej pasowałby tu Andriej Mironow [(1941-1987) – aktor ros. postać Johnny'ego Firsta zagrał w filmie Człowiek s bułwara Kapucynów.] W roli starego Firsta, który z projektorem i pudełkiem filmu przybył, żeby leczyć kowbojskie dusze.

Ale na ulicach było cicho i spokojnie, nikt nie wymachiwał bronią, nikt nie pokrzykiwał. Przechodnie witali się z Martinem i on uprzejmie odpowiadał na powitania, już wiedząc, że w jego umyśle ozywają kinowe sztampy i mimo woli naśladuje to Andrieja Mironowa, to Clint Eastwooda.

Szeryf – krępy mężczyzna w sile wieku – czekał na niego na werandzie niedużego, piętrowego domku, upodobniając się do klucznika. Ręce wsunął za pas, dwulufowy chromowany rewolwer trzyma na wierzchu, gwiazda błyszczy na piersi. Martin zatrzymał się, pożałował, że nie ma harmonijki i zaczął pogwizdywać melodię Morriconego.

Szeryf splunął na drogę i mruknął:

– Dowcipniś... z Ziemi?

Martin skinął głową.

Szeryf obejrzał Martina spode łba, jakby wszyscy nowo przybyli budzili w nim poważne zastrzeżenia, i zapytał:

– Dziennikarz? Detektyw?

– Detektyw – przyznał się Martin.

Szeryf niespiesznie zszedł z werandy, roztaczając silny zapach smażonej cebuli i ledwie uchwytny – drogiej wody kolońskiej.

– Preria 2 jest terytorium suwerennym. Ale nie popelnisz błędu, orientując się na prawa Ameryki.

Martin skinął głową.

– Teraz ci się wydaje, psiamać – kontynuował szeryf – że jesteś w westernie. Ale przegoń tę myśl, psiamać. Bo kula, którą tu możesz zarobić, okaże się bardzo prawdziwa – i wcale nie celuloidowa.

– I ludziom naprawdę się to podoba? – zapytał Martin, robiąc nieokreślony ruch głową.

Szeryf wyszczerzył się.

– A co myślisz, że urządziliśmy przedstawienie na twoją cześć? Kogo szukasz i jak się nazywasz, psiamać?

– Nazywam się Martin, psiamać. Nikogo nie szukam... a raczej... nie wiem, kogo właściwie szukam. Zanim mój klient zginął na Bibliotece, zdążył podać nazwę waszej planety. Mam nadzieję, że znajdę tu jakiś ślad... Ale jaki – tego nie wiem.

W oczach szeryfa mignął błysk zainteresowania. Co by nie mówić, żyjąc w samym środku hollywoodzkiego mitu, zaczyna się szanować prawa gatunku. Tajemnicza historia z nieżyjącym klientem zagrała idealnie.

– Właż – burknął szeryf.

Za drewnianymi ścianami kryło się bardzo współczesne biuro. Światło elektryczne, komputer, drukarka i kopiarka, solidna radiostacja i całkiem niezły ekspres do kawy. Szeryf przede wszystkim nacisnął guzik ekspresu, a potem klapnął na fotel i utkwiał wzrok w Martinie.

– Zapali pan? – Martin wyjął z kieszeni plecaka dwa cygara w aluminiowych gilzach.

– Nie odmówię – powiedział szeryf, z przyjemnością biorąc cygaro. – Uprawiamy tu tytoń... ale smak ciągle nie ten, ciągle nie ten...

Przesunął cygarem przed nosem, wciągnął powietrze, stęknął. Nie zapalał cygara, położył je na biurku i zasłonił z wierzchu dłonią, jakby odcinając się od prezentu. Zapytał:

– Więc czego właściwie szukasz? I jakich problemów mam się po tobie spodziewać?

– Nie wiem – wzruszył ramionami Martin. – Dziewczyna umierała, nie mogła nawet mówić... zdążyła tylko pokazać gestami: „Preria 2”. Widocznie musiało to dla niej być ważne.

– Odwiedzała kiedyś naszą planetę?

– O ile wiem, nigdy.

Szeryf rozłożył ręce.

– No to pokaż to zdjęcie, jakżeś taki mądry.

Martin wyjął zatopione w plastiku zdjęcie, podał szeryfowi. Ten wpatrzył się w portret Iriny i jego twarz zaczęła powoli purpurowieć.

– Kpiny sobie urządzasz? – zapytał w końcu.

– Zna ją pan?

Szeryf otworzył gruby dziennik w skórzanych okładkach i przeczytał:

– „Piątek, dwunasty października, Irina Połuszkińska, Rosja”. Siedziała tu, na twoim miejscu! Roztropna dziewczyna, najpierw przyszła do mnie, jak się należy.

– Ach tak? – Martin wyglądał na stropionego. – Nie wiedziałem.

I zrozumiał, że na Bibliotece nie zapytał nawet, kiedy właściwie przybyła Irina. W piątek? A może w sobotę?

– Przedstawiła się, wypytała mnie o planetę... uprzejma, grzeczna dziewczyna... – szeryf chyba uwierzył Martinowi. – I co, tak od razu odeszła? Wydawało mi się, że planuje trochę u nas pobyc.

Martin rozłożył ręce i spytał:

– Czym konkretnie się interesowała?

– Indianami – prychnął szeryf. – I ruinami.

– Jakimi ruinami? – Martin stał się czujny.

– Trzy miesiące temu, na przedgórzach, nieopodal kopalni srebra, tropiciele znaleźli jakieś ruiny. Albo dawne miasto Indian, albo... – szeryf nie dokończył, widocznie nie chciał mówić przy Martinie banałów. – Krótko mówiąc, żadna rewelacja. Powiadomiliśmy o znalezisku Ziemię,

przybyło trzech uczonych. Do dziś tam kopią, ale jakby mniej zadowoleni. Wszystko bardzo stare, zniszczone, głównie mury, czasem trafiają się kawałki skorup. Zdawało mi się, że dziewczyna się tam wybiera. A ona odeszła...

Szeryf zamyślił się.

– Kontaktowała się tutaj z kimś? – zapytał Martin.

– To nie wioska, tylko duże miasto – zauważył surowo szeryf. – Dwadzieścia tysięcy dusz i codziennie przybywa prawie tuzin nowych!

Szeryf nie dzielił mieszkańców na ludzi i nie ludzi, co spodobało się Martinowi, ale już po chwili dodał, psując całe wrażenie: – I jeszcze pięta się kilkuset Indian. Jak tu wszystkich upilnować?

– Rozumiem – mruknął Martin. – No cóż, to ślepa uliczka. Ale jeśli nie ma pan nic przeciwko, spróbuję się dowiedzieć, z kim kontaktowała się Irina.

– Brak sprzeciwu – burknął szeryf. – Wprawdzie nie wiem, co to da, skoro dziewczyna nie żyje, ale życzę powodzenia.

Wstał, wyciągnął rękę, dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca. Martinowi to nawet pasowało, chciał gdzieś posiedzieć w spokoju i wszystko przemyśleć. Już w drzwiach dogoniły go słowa szeryfa:

– Hej, Martinie z Rosji... Nazywam się Glen.

Martin skinął mu głową, uśmiechnął się i wyszedł.

Teraz, gdy przedśmierne słowa Iriny znalazły wyjaśnienie, nic nie trzymało Martina na Prerii 2. Było jasne, że najpierw Połuszkina wyruszyła na Prerię, mając zamiar odkryć tajemnicę starożytnych ruin. Ale po rozmowie z szeryfem trzeźwo oceniła swoje szanse i zamiast dłużyć w ziemi, postanowiła odkryć tajemnicę Biblioteki, więc wróciła na Stację.

Logiczne?

Jak najbardziej.

Martin mógł pójść za jej przykładem. Mógł też przenocować w miejscowym hotelu i wyruszyć od razu następnego dnia. Bez względu na to, jak długo będzie to odkładał, w końcu musi przekazać Ernesto Połuszkiniowi tragiczną wiadomość.

Ale coś nie pozwalało Martinowi postąpić w tak oczywisty i logiczny sposób.

Najpierw poszedł do Pierwszego Narodowego Banku Prerii 2. Pod czujnymi spojrzeniami dwójki ochroniarzy, Martin porozmawiał z urzędnikiem, dowiedział się, że ziemskich pieniędzy w obiegu nie ma, ale ewentualnie można użyć zobowiązań kredytowych „stałego rządu” Prerii 2 w Nowym Jorku – taki eufemizm na oznaczenie ambasady. Oczywiście Martin nie miał takich zobowiązań, więc posłuchał rady urzędnika i poszedł do miejskiego supermarketu. W dziale finansowym stanął w niedużej kolejce – posępni poszukiwacze złota przyszli z ciężkimi, skórzanymi sakiewkami, tęga, pewna siebie kobieta przyniosła dwie skrzynki jakichś owoców i suszone zioła, inteligentny młodzieniec, handlarz bydła, długo spierał się o cenę za wołowinę. Martin, gdy przyszła jego kolej, wyłożył na stół część tytoniu, przypraw i słodyczy, aspirynę, prezerwatywy, żarówki do latarki, talie kart i świeże numery „Przeglądu”. Zaproponowana cena absolutnie go satysfakcjonowała – mógł spokojnie przeżyć na Prerii kilka tygodni. Niewykluczone, że chodząc po mniejszych sklepikach sprzedalby swój towar z większym zyskiem, ale nie było takiej potrzeby.

Gdyby ktoś zapytał Martina, po co szykuje się do długiego pobytu na Prerii 2, nie uzyskałby

sensownej odpowiedzi. Martin przysięgałby, że lubi żyć w komforcie, co jest niemożliwe bez wypchanego portfela, rozwodziłby się nad etyką zawodową prywatnego detektywa, która wymaga od niego sprawdzenia wszystkich kontaktów Iriny Połuszkinej w New Hope, a nawet przyznałby się, że chce przyjrzeć się lepiej życiu dużej kolonii ludzkiej, czego w ciągu dwóch dni nie udałoby mu się zrobić.

Prawdziwa przyczyna była znacznie bardziej prozaiczna.

Martin nie mógł w żaden sposób wyrzucić Iriny Połuszkinej z głowy. Myślał o niej, wracając z Biblioteki, częstując wujka pielnieniami, pijąc z bratem whisky i wyruszając na Prerię 2. Pierwszy i ostatni raz coś takiego zdarzyło się Martinowi w młodości, gdy będąc chłodnym i rozczarowanym życiem młodym człowiekiem (jak przystało na normalnego dziesiętnastolatka), nagle się zakochał. I to jeszcze jak! Z cierpieniem, łzami w poduszkę, nocnymi wędrówkami pod oknami śpiącej smacznie dziewczyny, nudnymi, wielogodzinnymi rozmowami przez telefon i słodkimi marzeniami o samobójstwie. I wtedy właśnie zrozumiał, z dziką pasją i zakłopotaniem, że o przedmiocie swojego uczucia myśli bez przerwy – siedząc na nudnych wykładach, pijąc piwo z przyjaciółmi, jadąc metrem i zasypiając.

Ale wszystko mija i Martin zaczął myśleć o przedmiocie słodkich mąk coraz rzadziej, potem miał kilka przelotnych, nie zobowiązujących romansów, na życie zaczął patrzeć jeszcze bardziej sceptycznie i podejrzliwie, ale z miłością na wszelki wypadek już nie igrał. Teraz Martin unikał płomiennych namiętności, wzdragał się na widok kobiet-wampów w dowolnym wieku, a młodziutkich dziewcząt, gotowych zakochać się do szaleństwa, bał się jak ognia.

Oczywiście, były w jego życiu związki czy zauroczenia, jedne trwały latami, inne zaledwie kilka godzin. Martina pociągały kobiety poważne, w średnim wieku, doświadczone, zadowolone ze swojego życia rodzinnego, ale uważające kochanka za tak niezbędny atrybut rodziny, jak mąż, dziecko i przytulna kuchnia z doniczkami kwiatów na parapecie. Martin nie miał wprawdzie zamiaru iść w ślady wujka i zostać starym kawalerem, ale nie spieszył się z założeniem własnej rodziny i nigdy nie patrzył na swoje partnerki pod kątem zeniaczki. Wręcz przeciwnie – wystarczyło, żeby kolejna pasja próbowała stworzyć w jego mieszkaniu przytulne gniazdko, zbyt często skarżyła się na męża czy podarowała kochankowi z okazji kolejnego święta jedwabny krawat (przedmiot bez wątpienia bardzo intymny), by Martin szybko i delikatnie kończył związek.

A już na pewno Martin nie miał zamiaru robić tego, co wielu mężczyzn – to znaczy znaleźć młodziutką dziewczynę i wychowywać sobie przyszłą żonę. Takie eksperymenty kończą się sukcesem jedynie w przypadku szacownych pisarzy czy słynnych dyrygentów, popularnych showmanów czy biznesmenów wielkiego kalibru. W rozsądnie myślącym mężczyźnie piętnastoletnia różnica wieku powinna budzić usprawiedliwiony strach i zwątpienie we własne siły.

Ale fakt pozostawał faktem, mimo że Martin go nie uznawał. On przez cały czas myślał o Irinie. Myślał z natrętnością, która zaczęła go niepokoić. I najrozsądniejszym sposobem, by wygnać te wspomnienia, była kontynuacja śledztwa.

Martin wyruszył do hotelu „Dyliżans”, poleconego przez młodego pomocnika szeryfa, i był z niego bardzo zadowolony. Pokoje wprawdzie nieduże, ale przyjemne, w stylu country, z mocnymi meblami miejscowej produkcji, czystą pościelą i radiem – telewizja w New Hope, na szczęście, jeszcze się nie pojawiła. Było już prawie południe, ale Martina nakarmiono bezpłatnym śniadaniem, smaczną jajecznicą, świeżym chlebem, żółtym masłem i gorzkawą herbatą z miejscowych ziół. Napój ten spodobał się Martinowi najbardziej – czuło się w nim coś przestronnego, wolnego, nieokiełznanego. Martin postanowił zabrać ze sobą na Ziemię nieco tych ziół, o ile wystarczy mu

pieniędzy.

Wzmocniony, Martin wyruszył na przechadzkę. Pogoda była piękna, przypominająca babie lato pod Moskwą, może ze względu na delikatne ciepło, a może ze względu na obfitość pomarańczy i żółci wokół. Gdziekolwiek dumnie rosły ziemskie drzewa, a przed domkami zieleniły się obowiązkowe trawniki. Jednak miejscowych roślin nie peszyło takie sąsiedztwo i nie miały zamiaru ustępować.

Martin szedł krokiem spacerowym, pozornie bez celu, ale tak naprawdę wczuwał się w Irinę Połuszkina. Podobnie jak wtedy, gdy z listy planet wybrał Bibliotekę, spośród tutejszych atrakcji obejrzenia wybierał takie, które mogłyby zainteresować Irinę. Podeszedł do parostatku, zerknął na rozkład – parostatek odpływał następnego dnia rano. Ale w duszy nic mu nie drgnęło i Martin zdecydował, że najwidoczniej poranne wycieczki nie pociągały Iriny.

Kilka niedużych sklepów odpadło w przedbiegach, teatr również został odrzucony. Szczerze mówiąc, Martin poważnie podejrzewał, że pod tą niewinną nazwą kryje się zwykły dom publiczny.

Ale na przedmieściach, przed barem „Miejsce przedostatniego spoczynku”, Martin przystanął. Może zaintrygowała go ta zabawna nazwa, a może nietypowa dla baru szyba witryny, za którą ustawiono całą kolekcję pluszowych misiów? Nie zastanawiając się nad tym zbyt długo, po prostu wszedł do środka.

Przy dużej dozie dobrej woli bar można było wziąć za kowbojski saloon. Drewniane meble w stylu country, pociemniałe ze starości stoły i mocne, odporne na bójki krzesła... Butelek nad barem niewiele, ale coś tam stało. Martin dostrzegł włączony telewizor i wytrzeszczył oczy: skąd tu transmisja meczu baseballowego, w dodatku ze stadionu wypełnionego tłumami? Ale szybko zrozumiał, że to nagranie, puszczane w celu stworzenia klimatu. Normalna sprawa w koloniach. Gości siedziało niewiele, ale Martin dostrzegł kilku osobników w kapeluszach z szerokimi rondami i rewolwerami przy pasie. Starszawy barman był posępny i nieogolony. Martin podeszedł do lady i uśmiechnął się serdecznie:

– Dzień dobry.

– Dobry, dobry – przyznał barman, spoglądając na Martina bez szczególnego zainteresowania. – Sto metrów dalej jest cmentarz.

– Tak źle wyglądam? – zdumiał się Martin.

Barman westchnął.

– Jest pan nowy w tym mieście. Za chwilę zamówi pan piwo, a potem zapyta, czemu bar ma taką dziwną nazwę. Wyjaśniam – ponieważ dalej jest cmentarz, tu jest miejsce przedostatniego spoczynku.

– Brzmi logicznie – zauważył Martin. – Piwo?

Barman w milczeniu napełnił z kranu potężny kufel i zerknął na Martina – w jego oczach pojawiło się zawstydzenie i smutek.

– Tylko lager. Ciemne nauczą się warzyć za miesiąc.

– Lubię jasne – powiedział Martin. – I wcale nie martwi mnie egzotyczny smak.

Z ciekawością badacza barman obserwował Martina, który przełknął pierwszy ostrożny łyk.

– Smaczne – zawyrokował Martin po kilku sekundach.

Barman uniósł brew.

– Jęczmień raczej miejscowy... – zastanawiał się na głos Martin. – Ale chmiel to już chyba z Ziemi?

Twarz barmana rozjaśniła się lekko.

– Chmiel będziemy mieli za trzy miesiące. Uprawialiśmy, ale Indianie... – machnął ręką.

– Zaatakowali i spalili plony? – zdumiał się Martin.

– Zjedli – wyjaśnił ponuro barman. – To koczownicy, rozumie pan? Szła ogromna horda... Miasto ominęli, ale pola... Nie potrafią pojąć, że rośliny mogłyby do kogokolwiek należeć. Nie mają pojęcia o rolnictwie.

Martin ze współczuciem pokiwał głową. Piwo było słabiutkie, ale poza granicami Ziemi rzadko spotyka się nawet takie.

– Część zjedli, część podeptali – skarżył się dalej barman. – Od jęczmienia i pszenicy zdążyliśmy ich odgonić, kartofli nie zauważyli. Ale chmiel, kukurydzę i pomidory straciliśmy. Teraz stawiamy ogrodzenie.

– Jak wyglądają tubylcy? – zapytał Martin. Barman w milczeniu skinął głową i Martin obejrzał się.

Tubylec siedział w odległym kącie baru. Na pierwszy rzut oka wyglądał jak człowiek: żółtoskóry, skośnooki, z długimi splecionymi w warkoczyki włosami. Ubrany był w jaskrawozielony sarong i sandały splecione ze skórzanych pasków. Spojrzenie Martina tubylec wytrzymał ze stoickim spokojem, niczym prawdziwy Indianin. Przed nim stał prawie pusty kufel piwa i jakaś prosta przekąska w rodzaju chipsów.

– To Jim – powiedział barman. – Mieszka u nas od dość dawna. To dobry Indianin, ucywilizowany. Pomaga mi w gospodarstwie, w zamian dostaje jedzenie. Jak trzeba gdzieś skoczyć, coś podać albo przynieść, też można mu zaufać. Indianie są generalnie bardzo pracowici.

Po chwili dodał:

– Alkohol działa na nich normalnie. Sami produkują... kumys. Proszę sobie nie myśleć, że my ich tu rozpijamy.

– Dlaczego miałbym tak pomyśleć? – zdumiał się Martin.

Barman westchnął.

– Nie jest pan Amerykaninem, więc od razu pomyśli pan: przyszli Amerykanie na obcą ziemię i zaraz złączą rozpijać Indian. Mam rację?

– Coś w tym jest – uśmiechnął się Martin. Barman mu się podobał, nie mógł tylko zrozumieć smutku w jego oczach. – Przepraszam za to obcesowe pytanie, ale czy ma pan jakieś problemy?

Odpowiedzią było długie westchnienie.

– A co, jest pan specjalistą od rozwiązywania problemów?

– No... – zawahał się Martin.

– Dobrze – powiedział nieoczekiwanie barman. – Wydaje mi się, że jest pan wystarczająco doświadczonym człowiekiem. Niedaleko stąd jest magazyn whisky, ale nie mogę tam pójść, bo zajęła go banda Krzywego Johna. Proszę mi przynieść skrzynkę whisky, a dam panu bardzo pożyteczny artefakt.

– Że co? – zapytał Martin, czując, że ktoś tu traci rozum.

– Nie lubi pan gier komputerowych, co? – westchnął znowu barman. – Żartuję, dobry człowieku. Niech pan o tym zapomni. Nie ma tu żadnego magazynu, żadnej whisky i żadnego Krzywego Johna.

– To o co chodzi? – dopytywał się Martin, ostatecznie zbity z tropu.

– Lubię swoich klientów – wyjaśnił barman. – Lubię swoją pracę. Wierzy mi pan?

Martin skinął głową.

– I proszę spojrzeć, co muszę proponować swoim gościom? – powiedział dramatycznie barman.

– Miejscowe piwo! Jęczmienną whisky, która nie jest żadną whisky, tylko bimbrem pospolitym! Mam dwie skrzynki alkoholu z Ziemi, ale kto może sobie na to pozwolić? Kto poprosi, żeby zrobić mu drinka? Kto zamówi „Próbie ucieczki”

[Aluzja do tytułów utworów rosyjskich pisarzy sf, znanych i nie znanych polskiemu czytelnikowi: *Próba ucieczki* A. i B. Strugackich, *Pierścień mroku* Nika Pierumowa, *Wilcza natura* Władimira Wasiljewa, *Szklane morze* i *Linia marzeń* Siergieja Łukjanienki.]

to poprosi o „Pierścień mroku” czy „Wilczą naturę”? Nawet banalny gin z tonikiem, nawet „Szklane morze” na Prerii jest niesłychanym luksusem. To okropne, młody człowieku! W tym tygodniu jeden gość zamówił „Linie marzeń”. Tak się ucieszyłem, że mam chardonnay buisseau, grenadinę i grappę... a on to wszystko zalał samogonem!

– Pan nie jest Amerykaninem – stwierdził Martin. – Pan jest z Odessy!

– Z Chersonu, młody człowieku – oznajmił z godnością barman. – To nie Odessa, to znacznie lepiej! A pan skąd?

– Moskwa.

– Jaki ten wszechświat mały – zauważył barman filozoficznie, ściskając dłoń Martina. – W czym mogę pomóc?

Martin wyjął zdjęcie i pokazał barmanowi.

– Widziałem – rzekł barman, zerkając na zdjęcie. – Kiedy ona przychodziła?... W piątek? A może w sobotę?

– W piątek – powiedział Martin.

– Nie, raczej w sobotę – zastanawiał się na głos barman. – A może w niedzielę? Wie pan, co panu powiem? Proszę pogadać z tym mężczyzną, który siedzi przy oknie. Dziewczyna długo z nim rozmawiała.

Mężczyzna przy oknie był niewysokim człowiekiem około czterdziestki. Jarmułka, niedbale zsunięta na kark, nie zakrywała szlachetnej łysiny, prezentując wysokie czoło myśliciela i znaczną część ciemienia. Mężczyzna był chudy, ale żylasty, miał na sobie wytarte dzinsy i koszulę z jasnobrązowego zamszu. Jeśli barman robił wrażenie człowieka smutnego, to mężczyzna w jarmułce wydawał się koncentracją galaktycznego cierpienia. Cywilizacja musiała mu się poważnie narazić i mężczyzna najwyraźniej nie spodziewał się po otoczeniu niczego dobrego. Do pasa miał przypiętą ogromną kaburę z wielkim, niklowanym rewolwerem, na stole stała opróżniona do połowy butelka „bimbru pospolitego”. Mężczyzna właśnie szykował się, żeby pociągnąć następny łyk: krzywił się, przypatrywał podejrzliwie szklance, odwracał się i wahał napój ze wstrętem, ale w końcu – mimo wszystko – wypił. Fakir, położony siłą na łożu z gwoździ, zniósłby męki z równie stoickim spokojem.

– Jak się nazywa? – zapytał Martin.

– Tego to akurat nikt nie wie – uśmiechnął się barman. – Proszę z nim porozmawiać, może właśnie panu powie?

Martin kiwnął głową w podzięcie, wziął swoje piwo i podszedł do kowboja, który nadal trawił porcję alkoholu.

– Można?

– Siadaj – mruknął ponuro kowboj. Napelnił szklanekę po brzegi i podsunął Martinowi.

Na jakież poświęcenia musi być przygotowany prywatny detektyw!

Martin starał się nie wahać. Wprawdzie wygląd tajemniczego mężczyzny stanowił antyreklamę trunku, ale chyba w barze nie sprzedawaliby trucizny?... Wypił jednym tchem i błyskawicznie popił piwem.

Rzeczywiście, z całą pewnością nie była to whisky. Zwyczajny bimber, choć, trzeba przyznać, dobrej jakości, nie gorszy od rosyjskiego.

– Dobra, opowiadaj – mężczyzna najwidoczniej uznał, że Martin przeszedł próbę pomyślnie.

– Nazywam się Martin...

– A ja nie mogę podać swojego imienia – odparł ze smutkiem kowboj.

– Dlaczego?

– Zabiją mnie. Od razu.

W spojrzeniu łysego kowboja było tak głębokie przekonanie, że Martin postanowił się nie spierać.

– Jak pan sobie życzy. Szukam dziewczyny...

– Pokaż – kowboj wyciągnął rękę, wziął zdjęcie, przyglądał mu się przez kilka sekund. – Widziałem ją. Miła dziewczyna. Bardzo miła i sympatyczna. Trochę rozmawialiśmy.

– Rodzice tej dziewczyny wynajęli mnie, żebym ją odnalazł – wyjaśnił Martin. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, o czym rozmawialiście?

– A czy to będzie w porządku? – zastanowił się kowboj. – Skoro dziewczyna opuściła dom...

– Ona nie żyje – rzekł Martin. – A ja próbuję jedynie dowiedzieć się czegoś o ostatnich dniach jej życia, łaskawy panie...

Kowboj pokręcił głową:

– Dlaczego barman jest tak przekonany o moim rosyjskim pochodzeniu?

– Dlatego, że sam jest Rosjaninem? – zasugerował Martin.

– Proszę nie rozśmieszać moich mokasynów! – kowboj machnął ręką. – W wieku pięciu lat wyemigrować z Ukrainy i uważać się za Rosjanina! Ale dobrze, może się pan do mnie zwracać, jak się panu żywnie podoba. Pan, senior, mister...

Nalał do szklanki trochę alkoholu i podsunął Martinowi, a sam wziął butelkę.

– Za dziewczynę. Pokój jej duszy.

Nie było innego wyjścia, trzeba znowu wypić. Martin pomyślał przelotnie, że jeśli kowboj utrzyma takie tempo, to on, nieprzywykły do takich trunków, zwali się pod stół, zanim zdąży się czegokolwiek dowiedzieć.

– Jak zginęła? – zapytał kowboj.

– Przypadek – powiedział Martin po chwili wahania. – Atak dzikiego zwierzęcia...

Kowboj pokręcił głową.

– Nie do wiary... Poznaliśmy się w sobotę. Widzę, że dziewczyna siedzi znudzona nad piwem, to podszedłem, zagadałem...

Martin postanowił nie poprawiać kowboja. Jego rozmówca tymczasem ciągnął z rozmarzeniem:

– Fajna dziewczyna. Pomógłbym jej, ale jaki tam ze mnie pomocnik, tylko nieszczęście bym na nią ściągnął... Planowała zbadać te ruiny przy kopalni srebra. Próbowałem ją zniechęcić – widziałem to rumowisko, nic szczególnego. Ale ona miała jakiś sprytny pomysł, twierdziła, że te ruiny tak naprawdę w ogóle nie są ruinami.



– Jak to? – zdziwił się Martin.

Kowboj wzruszył ramionami.

– Ja też nie rozumiałem. Dziewczyna śmiała się, mówiła, że udało jej się przechytrzyć kluczników – widocznie przeszła przez Wrota dzięki jakiejś głupiutkiej historii – a potem powiedziała, że wszyscy jesteśmy ślepi i że wkrótce zmieni się cały świat.

– Ileż musieliście wypić... – wymamrotał Martin. Opowieść kowboja nie zrobiła na nim większego wrażenia: w wieku siedemnastu lat zazwyczaj marzy się o przemianie wszechświata. Co prawda Irina wydała mu się bardziej powściągliwa...

– Ona – kufel piwa – odparł kowboj. – Jestem bardzo dobrym rozmówcą. Kobiety i dzieci mi ufają.

– Mówiła coś jeszcze?

– Też chce pan zmienić świat? – uśmiechnął się mężczyzna. – Nic takiego, różne głupstwa. Chyba miała ochotę powiedzieć więcej, ale się powstrzymywała. Takie tam... – popatrzył w okno. – O! Patrz!

Obok baru powoli przejechał mikrobus. Widząc w oknach twarze dzieci, Martin zaczął się zastanawiać nad koniecznością istnienia szkolnego autobusu w takim małym miasteczku, ale kowboj rozwiązał jego wątpliwości:

– Wiozą ze szkoły dzieci farmerów... Ira, jak go zobaczyła, roześmiała się i mówi: „Autobus? Pewnie miejski?” Mówię, że niby tak, techniki tu mało, z ropą też problemy... A ona na to: „Otóż to!” i to z takim triumfem, jakby zrobiła jakieś odkrycie.

Martin odprowadził autobus wzrokiem i wzruszył ramionami:

– Dziękuję. Więc widział pan Irinę tylko raz, w sobotę?

– W niedzielę – powiedział twardo kowboj. – Właśnie wróciłem z kościoła. – Zabrzmiało to tak, jakby z baru wychodził tylko raz w tygodniu, na nabożeństwo niedzielne. – Wtedy właśnie przyszła. Przedwczoraj też ją widziałem, ale przelotnie, pomachaliśmy sobie rękami, nawet nie rozmawialiśmy.

Martin popatrzył na kowboja z niedowierzaniem.

– Myli się pan. Przedwczoraj Irina zginęła.

– Czyli widziałem ją na krótko przed śmiercią – stwierdził niewzruszenie kowboj. – Pewnie wyruszyła do ruin, widocznie nie udało mi się jej zniechęcić. Zapytaj tego Indianina. On jej pokazywał drogę.

Po chwili milczenia Martin wstał. Kowboj patrzył na niego kpiąco, jakby wyczuł nie wypowiedziane niedowierzanie. Martin podszedł do Indianina i skinął głową:

– Pokój tobie, Jim.

– I tobie pokój – skinął głową Indianin. Mówił dość dobrym turystycznym, chociaż od razu było słychać, że uczył się go sam.

– Widziałeś tę kobietę, Jim? – zapytał Martin, wyjmując zdjęcie. Spotykał już rasy, które nie potrafiły skojarzyć zdjęcia z oryginałem, ale tubylcy Prerii byli wystarczająco podobni do ludzi.

Indianin popatrzył na zdjęcie i kiwnął głową. – Tak.

– Kiedy?

– Przedwczoraj zaprowadziłem ją do starego miasta – powiedział Indianin. – Rozstaliśmy się

w południe.

Martin nieczęsto miał okazję jeździć konno. Zresztą, czy wielu współczesnych ludzi posiadało tę umiejętność? Ale na Prerii konie stanowiły podstawowy środek transportu. A dwa helikoptery i dwie cessny na pasie startowym, słuszna duma kolonistów, nie były uważane za środki transportu publicznego. Spotykało się sporo samochodów, głównie z silnikiem diesla, ale przeważnie ludzie jeździli konno. Widocznie w tutejszej ropie było zbyt mało lekkich frakcji, żeby zaspokoić kapryśne silniki spalania wewnętrznego. Martin i tak był w szoku, jak udało się kolonistom przeciągnąć przez Wrota taką ilość techniki. Przenosili elementy w plecakach, a składali już tutaj, na miejscu? Najprawdopodobniej. A ile opowieści zostało opowiedzianych, ile odbyto podróży, żeby kolonia zdobyła samoloty. A wieża wiertnicza, zresztą, co tam wieża – choćby najzwyczajniejsza piekarnia! Martin przypomniał sobie narzekanie wujka, wielkiego miłośnika literatury, na twórczy zastój, który poraził zarówno rosyjskich, jak i zachodnich pisarzy w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Przyczyna była oczywista: wszyscy mniej lub bardziej utalentowani pisali historie dla kluczników i przeszli na utrzymanie różnych poważnych korporacji. Jednych przekonały pieniądze, innych patriotyczne odezwy rządów... Zaś książki pisali tylko autorzy niekończących się seriali fantasy i powieści kobiecych. Historie przez nich wymyślane wyraźnie nie interesowały kluczników.

Ale bez względu na to, jak bardzo wrzał chłostany dolarem patriotyczny entuzjazm amerykańskich pisarzy, nie zdołano zapewnić Martinowi samochodu do wynajęcia. Jedyne w mieście stajnia wynajmująca konie zaproponowała mu do wyboru cztery spokojne kobyły, ale nawet one nie zyskały aprobaty Martina. Wspominając swoje rzadkie próby jazdy wierzchem, pokręcił głową i odmówił wynajmu konia.

Do ruin Martin wyruszył na piechotę. Indianin Jim znowu miał okazję wystąpić w charakterze przewodnika, całkowicie go to urzędują. Z tego, co wiedział Martin, aborygeni Prerii niemal nie korzystali z koni, woleli używać ich jako zwierząt jucznych. Przyczyna była niezwykle banalna – istoty, których zazwyczaj używali w charakterze mułów, miały bardzo kościsty grzbiet, podejrzaną naturę i próbę osiodłania odbierały jako agresję.

Pieszce wędrowki nigdy nie męczyły Martina, tym bardziej na tak gościnnej planecie. Spacer po pomarańczowej trawie to sama przyjemność, skórę muskał ciepły wietrzyk, można było wdychać korzenne aromaty i całym sobą czuć, że jest się nieprawdopodobnie daleko od Ziemi i Słońca, na planecie, gdzie całe ludzkie społeczeństwo to zaledwie trzydzieści tysięcy dusz, a w dodatku jest się jednym z niewielu, którzy regularnie pokonują granicę między codziennością i przygodą!

– Jim, jesteś pewien, że prowadziłeś do ruin właśnie tę dziewczynę? – zapytał Martin, gdy przeszli przez drewniany most i zaczęli się wspinać na prawy, łagodniejszy brzeg rzeki.

Tutaj też stały domy, widocznie miasto miało budować się w tym kierunku, ale Martin czuł, że już opuszczają granice cywilizacji.

– Jest podobna – odpowiedział ostrożnie Indianin.

– Powiedziała, że jak się nazywa?

– Irina Połuszkińska – powiedział Indianin bardzo wyraźnie i prawidłowo. Zdaje się, że tubylcy mieli niesamowite zdolności językowe.

Martin westchnął i porzucił temat. Ktoś się mylił. Albo on – biorąc dziewczynę, która zginęła na Bibliotece za Irinę... Ale przecież w jego mieszkaniu leżał jej żeton! Poza tym, skąd takie podobieństwo? Albo mylili się – a może kłamali? – bezimienny kowboj i Indianin...

Oczywiście, można było przyjąć ciekawszy wariant. Irina miała siostrę bliźniaczkę, o której pan Połuszkina albo nie wiedział, albo nie uznał za konieczne wspomnieć. Dziewczyny wyruszyły w podróż razem, wybrały dwie różne planety... i powiedziały, że nazywają się Irina Połuszkina...

Martin westchnął na myśl o tej prześlicznej wersji, przypominającej meksykańskie telenowełe i romantyczne powieści dla dam w średnim wieku. Nie było sensu snuć domysłów. Jim zapewniał, że zaprowadził Irinę do uczonych, badających ruiny. Do ruin zostało najwyżej pięć godzin marszu, jakieś trzydzieści kilometrów... i to nie takich jak na Bibliotece, ze skokami po kamieniach. Normalna przechadzka po stepie...

– Jim, lubisz ludzi? – zapytał.

– Nie wiem, nie próbowałem – odparł lakonicznie Indianin. Martin popatrzył na niego zaskoczony. Indianin uśmiechał się.

– Do licha, w życiu bym się nie spodziewał usłyszeć tu starych kawałów! – wykrzyknął Martin.

– Lubię dowcipy – odpowiedział z godnością Jim. – Ludzie umieją się cieszyć. Tak, lubię ludzi. Kiepski ze mnie piechur. Trudno mi koczować z moimi. W jednym miejscu łatwiej.

Martin, którego utrzymanie narzuconego przez Indianina tempa kosztowało sporo wysiłku, tylko pokręcił głową.

– Mieszkanie z ludźmi jest lepsze – dokończył Jim. – Ludzie mają dobre jedzenie. I smaczne piwo.

Zawahał się i dodał tajemniczym szeptem:

– A niektóre kobiety lubią kochać się z Indianinem!

Martin aż stęknął ze zdziwienia. Chociaż... co w tym dziwnego? Pod względem fizjologii aborygeni Prerii są bardzo podobni do ludzi. Wspólne potomstwo jest niemożliwe, w końcu to różne genotypy, ale seks... poza tym, nie można powiedzieć, żeby Indianin wyglądał odpychająco. Martin na przykład nie miałby nic przeciwko uprawianiu seksu z Japonką czy Chinką, taka perspektywa nawet go pociągała. Dlaczego mieszkańcy Prerii, wychowani w liberalnym społeczeństwie, mieliby unikać aborygenów?

– Dobrze, że tak się zbliżyliście z ludźmi – powiedział. – A z Obcymi?

– Niektórzy są dziwni – odparł Jim. – Niektórzy – zmarszczył nos – mają bardzo brzydki zapach. Gorszy niż woda kolońska szeryfa. Ale może być.

– A klucznicy?

Jim nie odpowiedział, tylko przyspieszył kroku. Jego sarong powiewał, owijając się wokół chudych, żyłastych nóg.

– Jim, nie lubisz kluczników? – uściślił Martin.

– Oni... – Jim wahał się, jakby szukał odpowiednich słów. – Oni są inni. Nie tacy jak wszyscy.

– Boisz się ich? – zasugerował Martin. – Ale czy oni...

– Jim nie boi się kluczników. Nikt z nas się ich nie boi – rzekł ostro Indianin.

– To dlaczego nie chcesz o nich mówić?

To pytanie wyraźnie rozjątrzyło aborygena. Nie zatrzymał się, ale teraz z kolei zwolnił kroku. I powiedział coś, co zdumiało Martina:

– Lubisz mówić o złych rzeczach? O tym, że boli cię żołądek, o brzydkiej pogodzie, o złośliwym żarcie?

– Ale dlaczego klucznicy mieliby być źli? Przybyli na różne planety, postawili Wrota i teraz możemy podróżować bardzo daleko...

– Wiem, co to jest planeta – oznajmił z dumą Jim. – Wiem też, że światło od mojego słońca leci do twojego słońca dwieście osiemdziesiąt i pół roku...

Martin już miał odruchowo poprawić Jima, ale uświadomił sobie, że rok Prerii 2 wynosi czterysta trzydzieści ziemskich dób. Jim miał absolutną rację. I dlatego Martin powiedział:

– Przecież lubisz ludzi? A tylko dzięki klucznikom mogliśmy przybyć na waszą planetę.

– Wszystko powinno być inaczej – uciał Jim. Zamilkł. Nie odezwał się już ani słowem, mimo że Martin bardzo starał się ponownie nawiązać rozmowę.

Antypatia aborygenów do kluczników sięgała korzeniami do ich religii. Martin trochę o tym czytał. W ich kosmogonii występował motyw bogów, którzy przybyli z gwiazd – pojawiający się niemal we wszystkich prymitywnych kulturach Wszechświata. Jeśli wierzyć aborygenom, przybysze owi nauczyli ich rozpalać ogień i oswajać bydło, wytyczyli trasy wędrówek, wykopali studnie, pokonali kryjące się w głębi ziemi złe duchy... Standardowy zestaw usług. A następnie, w ramach opłaty za okazane usługi, bądź też dla pomnożenia listy dobrych uczynków, umieścili swoje nasienie w miejscowych kobietach i wrócili na swoje gwiazdy, obiecując, że wrócą, gdy tubylcy będą tego godni. W domyśle – wówczas tubylcy wraz z przybyszami będą żyć pośród gwiazd – wolni i syci.

Nic więc dziwnego, że na przyście kluczników na Prerię 2 aborygeni zareagowali z entuzjazmem, a gdy klucznicy odmówili występowania w roli starożytnych bogów, tubylcy byli bardzo rozczarowani.

Martin szanował każdą obcą wiarę, nawet tak prymitywną, i dlatego przestał zadreć Jima pytaniami. Po prostu siedł, zachwycając się krajobrazem. Przed nimi majaczyły niewysokie wzgórza, pewnie to właśnie w nich kryła się srebrna żyła. Z tyłu, po wyteżeniu wzroku można było dostrzec rozbłyśki latarni na Stacji.

Do obozu archeologów dotarli pod wieczór.

Sześć okrągłych, pomarańczowych namiotów niemal zlewało się z krajobrazem. Na Ziemi kolor namiotów pomagał je odnaleźć, tutaj ułatwiał zamaskowanie. Namioty stały w kręgu wokół ogniska, nad którym wisiał bulgoczący kociołek. Nieco z boku Martin zobaczył małe prymitywne szalasy z wyprawionych skór – też pomarańczowo-burych. Troskliwie przykryty brezentem dżip jakby podkreślał ważność zebranych tu ludzi.

Kilkudziesięciu półnagich aborygenów (każdy miał na sobie choćby kawałek zielonego materiału) w skupieniu kopało ziemię. Łopaty, kilofy, nosidła – żadnych maszyn oczywiście nie było. Tubylcy nie wyglądali jednak ani na zmęczonych, ani na wyczerpanych. Na widok Martina i Jima przerwali pracę, wymieniając jakieś kpiące uwagi.

Archeologów wcale nie było trzech, tylko siedmiu. Widocznie mówiąc o trzech uczonych, szeryf miał na myśli specjalnie przybyłych z Ziemi. Czterech mężczyzn w sile wieku, dwie młode dziewczyny i dama w średnim wieku o męskich rysach twarzy, do której słowo „kobieta” pasowało z trudem. Zjawienie się Martina wyraźnie ich zainteresowało – przestali kopać w ziemi i podeszli do przybyłych.

– Pokój wam! – Martin powitał uczonych serdecznym uśmiechem.

Iriny Połuszkinej wśród archeologów nie było, co go szczerze ucieszyło. Łatwiej uwierzyć w powszechny spisek czy obłąd, niż spotkać sobowtóra człowieka, który zginął na twoich oczach.

– Pokój! – odpowiedziała kobieta. Wprawdzie głos też miała gruby, męski, ale mimo to jej zachowanie było ujmujące. – Kto, skąd, na jak długo?

– Martin Dugin, Rosja, Ziemia, nie na długo – odpowiedział Martin tym samym tonem. – Co słychać?

– Turysta? – skonstatowała kobieta ze zdumieniem, ale bez rozdrażnienia. – Cóż, zapraszamy. Szkoda, że akurat skończyliśmy na dzisiaj – z przyjemnością wręczyłabym panu pędzelek i pincetę!

Żartobliwej groźbie towarzyszył mocny uścisk dłoni.

– Anna – przedstawiła się. – A to moja drużyna: Piotr, Zygmunt, Roj, Gabriel, Regina, Chou.

Martin przeczekał wszystkie powitania, standardowe uśmiechy i uściski, zaś Anna bardzo serdecznie objęła Jima, co przypomniało Martinowi słowa przewodnika o „pewnych kobietach”. Jim wydawał się bardzo zadowolony z siebie i nieobecność Iriny wcale go nie peszyła.

– A gdzie jest Ireczka? – rzucił Martin jakby od niechcenia.

Jego słowa wywołały powszechną wesołość.

– Więc przyszedł pan po nią? – zawołała Anna. – No proszę! A mówiła, że będą jej szukać. Pewnie jest pan prywatnym śledczym?

Martin skrzywił się i skinął głową.

– Ireczka niezagrzała u nas miejsca, wróciła do miasta – powiedziała już poważnie Anna. – Dzisiaj rano. Widocznie się minęliście.

– Ach, do miasta – skinął głową Martin. – Rozumiem...

Uśmiechnięte twarze zaczęły go drażnić. Więc jednak był to czyjś koszmarny żart. Ale czyj? Po co?

– Wie pan, ma pan szczęście – odezwał się Gabriel. – Niedługo będę jechał do miasta, żeby uzupełnić zapasy. Namawiałem Irinę, żeby poczekała do wieczora, ale gdzie tam...

Machnął ręką, budząc nowy wybuch śmiechu. Chyba Irina zdążyła pozostawić po sobie wrażenie osoby bardzo upartej.

– Więc jeśli nie interesują pana nasze wykopaliska, chętnie podwiozę – ciągnął wesoło Gabriel.

– Interesują, oczywiście... – powiedział kwaśno Martin.

– Pewnie powiedzieli panu w mieście, że marnujemy czas? – przejęła inicjatywę Anna. – Chodźmy!

Ujęła go mocno pod ramię i Martin, chcąc nie chcąc, poszedł za nią do wykopów.

– Widzi pan? – Anna machnęła ręką. – To główny pierścień. Stała tu świątynia, albo coś w tym stylu, bardzo ważna dla miasta. Niemal identyczna struktura jest we wszystkich znanych wykopaliskach.

– Myślałem, że to pierwsze miasto odkryte na Prerii? – zdziwił się Martin.

– Na Prerii 2 tak – Anna uśmiechnęła się triumfalnie. – Ale zniszczone miasta o podobnej architekturze odnaleziono na osiemnastu planetach.

Przez chwilę Martin przetrawiał tę nowinę, w końcu zapytał:

– Więc jednak Starożytni?...

Entuzjizm Anny od razu zgasł.

– Tego nie wiemy... Niestety, wszystko, co mamy, to bardzo zwyczajne odłamki ceramiczne i całkiem zwyczajne ściany, rzadko artefakty z brązu czy żelaza... I nic, co świadczyłoby o jakiejś

wyższej technologii. Te ściany mają około sześciu tysięcy lat. Niewiele rzeczy jest w stanie przetrwać tak długo. Tutaj są unikatowe warunki, niska aktywność sejsmiczna, suchy klimat... a mimo to ściany są niemal rozwalone.

Martin zerknął na ruiny z mimowolnym szacunkiem.

– Czemu nikt nie wie o waszym znalezisku? – zapytał. – Osiemnaście identycznych starożytnych miast na różnych planetach – to przecież sensacja!

– Tak pan myśli? – spytała sceptycznie Anna. – Na turystach takie ruiny nie robią wrażenia. Wojskowych również nie interesują. A informacje krążą od dawna, proszę sobie poczytać „Wiadomości Archeologiczne”. Nikomu niepotrzebne odkrycie – i nic więcej.

– Ale przecież to świadectwo łączności między planetami! – nie wytrzymał Martin. – Tego, że wszystkie rasy galaktyki mają wspólne korzenie...

Anna prychnęła pogardliwie.

– Korzenie... kogo interesują takie korzenie? Gdybyśmy odkopali blaster albo gwiazdolit, krzyczałyby o tym wszystkie brukowce... Poza tym, istnieje teoria, że rozwój cywilizacji humanoidalnych po prostu przebiega w podobny sposób, stąd podobieństwo odnalezionych miast. Pośrodku okrągła świątynia, od której spiralnie rozchodzą się ulice...

Przez jakiś czas Martin słuchał Anny, oglądając wystające z ziemi ściany. To prawda, ich wiek robił wrażenie... ale, niestety, tylko wiek. Martina znacznie bardziej interesowało, co skłoniło tych poważnych, sympatycznych ludzi do kłamstwa na temat Iriny.

– No i jak, przekonałam pan? Zostanie pan na tydzień? – spytała Anna.

Martin uśmiechnął się przeproszająco i pokręcił głową.

– W takim razie zapraszam na kolację, potem Gabriel odwiezie pana do miasta – zaproponowała kobieta. – Przecież nie będzie pan sam wędrował przez step? Jim przenocuje u nas, ma tu wielu przyjaciół.

– Oczywiście – odpowiedział Martin, udając, że bardzo interesują go aborygeni, składający łopaty na stertę.

– Przy okazji... – Anna zaczęła szukać czegoś w licznych kieszeniach luźnej wiatrówki. – Jak spotka pan Irinę, proszę jej to przekazać...

Martin drgnął, gdy na jego dłoni spoczął żeton podróżnika.

– Zdejmowanie żetonu to zły znak – powiedziała bardzo poważnie Anna. – W tamtym namiocie mamy prysznic, Ira zostawiła tam żeton. Proszę jej powiedzieć, żeby go nigdy nie zdejmowała...

Bez żadnego skrępowania Martin podsunął żeton do zegarka i włączył tryb skanowania.

Numer identyfikacyjny. Wiek. Imię i nazwisko. Numer ostatnich Wrót.

Z wyjątkiem ostatniego punktu, wszystko identyczne z żetonem, który został na Ziemi, w mieszkaniu Martina.

Landrover mknął po stepie jak po autostradzie, tylko raz szarpnął. „Koło wpadło w norę” – wyjaśnił Gabriel. Martin nie zauważył tu żadnych zwierząt, ale istniało spore prawdopodobieństwo, że w tym rozwiniętym ekosystemie występują jakieś miejscowe odpowiedniki susłów.

– Sympatyczna dziewczyna – mówił Gabriel. – Tylko strasznie niecierpliwa. Przyszła do nas z ciekawym pomysłem... interesuje to pana?

– Oczywiście – odparł Martin, obracając w rękach żeton Iriny.

– No więc, Ira uważa, że między położeniem Stacji i starożytnymi miastami jest pewna zależność. Myśl nie jest nowa, już Becker szukał takich reguł, tylko brakowało mu danych. Irina miała ciekawy pomysł – odległość od ruin do Stacji powinna zależeć od średnicy planety. Policzyliśmy – zależność jest, ale bynajmniej nie jednoznaczna. Należałoby poważnie nad tym popracować. Być może wprowadzić jeszcze jeden czynnik – powierzchnię kontynentu, na którym położona jest Stacja. Być może uwzględnić liczbę Stacji na planecie, ich wzajemne relacje... Wystarczyłoby poszukać ruin na innych planetach, choćby na Ziemi, i gdyby udało się odnaleźć kilka nowych miast... Krótko mówiąc, sam pan rozumie. Temat bardzo interesujący, wspaniale sobie z Ireczką podyskutowaliśmy, nawet jej się u nas spodobało...

Gabriel wzruszył ramionami.

– A potem zabrała się i poszła? – rzucił Martin.

– Tak. Powiedziała, że nie zamierza spędzić młodości na liczeniu i kopaniu. Że cieszy się, że podsunęła nam nowy pomysł... Ale moim zdaniem po prostu zdenerwowała ją pomyłka z ołtarzem czy, jak sądziła, radiolatarnią.

– Radiolatarnią?

– Hmm... – Gabriel wzruszył ramionami. – W centralnej części każdej odnalezionej świątyni archeolodzy znajdują puste miejsce. Panuje pogląd, że tam mieścił się ołtarz, zbudowany z drewna albo jakiegoś innego, nietrwałego materiału. No więc Irina wysnuła hipotezę, że w rzeczywistości tam znajdował się jakiś agregat, swego rodzaju gwiazdna radiolatarnia, na którą orientowali się klucznicy i lądowali na planecie.

– Ale przecież nie znaleziono żadnych artefaktów?

– Tutaj Irina miała dwie hipotezy – odparł Gabriel. – Pierwsza: po spełnieniu swojej roli latarnia ulegała autodestrukcji; druga: radiolatarnia została potajemnie usunięta przez kluczników. Ponieważ jakiś związek pomiędzy położeniem ruin i Stacją faktycznie istnieje, wersja jest prawdopodobna mimo całej swojej fantastyczności. Ale Irina była pewna, że promieniowanie latarni pozostawi jakieś ślady, radiację, spowoduje zmiany w strukturze gruntu, albo coś w tym rodzaju. Sprawdziliśmy te ruiny i nie znaleźliśmy żadnych śladów.

– To jeszcze nie znaczy, że Ira nie ma racji – zauważył Martin. – Latarnia mogła zostać zbudowana z zastosowaniem nieznannej technologii.

– Oczywiście – przyznał Gabriel. – Ale dziewczyna bardzo się zdenerwowała. Powiedziała, że potrzebne są niepodważalne dowody, a skoro nie możemy ich dostarczyć, wykopaliska nie mają sensu...

– Jakie dowody? Komu potrzebne?

Gabriel wzruszył ramionami.

– Proszę zapytać Irę. Ona przez cały czas nie mówi wszystkiego, rozumie pan?

Dżip zjechał do rzeki wyjeżdżoną drogą.

Gabriel wjechał na parking otoczony drutem kolczastym i stanął obok ogromnej ciężarówki. Ochroniarz w budce popatrywał na nich ze znudzeniem.

– Wracam jutro rano – oznajmił Gabriel. – Jeśli mimo wszystko zdecyduje się pan do nas przyłączyć... – powiedział i uśmiechnął się sympatycznie jak człowiek, który żyje swoją pasją, ale nie wymaga, żeby otoczenie ją podzielało.



To, co robił teraz Martin, było głupotą – szukał zmarłego wśród żywych.

Ale w jego kieszeni leżał żeton Iriny Połuszkinej, a ludzie, raczej godni zaufania, twierdzili, że dziewczyna żyje. Ponadto w praktyce Martina zdarzały się najróżniejsze rzeczy. Byli ludzie, którzy inscenizowali własną śmierć. Bywało też na odwrót – człowiek od dawna nie żył, ale rodzina nie chciała w to wierzyć i żądała kontynuacji poszukiwań, wynajdując idiotyczne, acz przekonujące dowody. I Martin szedł teraz ulicami New Hope, zaglądając do barów i restauracyjek. Trafił nawet na budkę telefoniczną i, zachwycony postępem, zadzwonił do „Dyliżansu” i „Mustanga”. Irina się tam nie zjawiała.

O zachodzie słońca, gdy przy głównej ulicy zapaliły się urokliwe, „staroświeckie” latarnie, Martin dotarł do „Przedostatniego miejsca spoczynku”. W gardle mu zaschło, miał ogromną ochotę na piwo, niechby nawet miejscowe, na soczysty kawałek mięsa, przypieczonego na ruszcie. Chciał sięść na twardym krześle i wyciągnąć zmęczone nogi.

Martin pchnął drzwi i wszedł do saloonu.

Barman ukraińskiego pochodzenia nadal tkwił za ladą, ale już się nie nudził – nalewał piwo, pokrzykiwał na kelnerkę, kursującą między kuchnią i salą, i zajmował się całą prozą barmańskiego życia. Gości było sporo – ludzie, kilku Obcych i nawet dwóch Indian. Martin poszukał wzrokiem wolnego miejsca i znalazł je obok małego, łysego kowboja, który nie chciał zdradzić swojego imienia.

A po drugiej stronie smutnego kowboja siedziała Irina Połuszkina we własnej osobie. W szarych dżinsach i szarym podkoszulku, opiętym na piersiach, ze związanymi w koński ogon włosami i w jakiejś zabawnej, chłopięcej czapce z daszkiem.

Cała i zdrowa, i nawet z kuflem piwa w ręku.

O dziwo, pierwszym uczuciem Martina była ulga. Dziewczyna żyła, więc jego zadanie nie skończyło się klęską. W rozmowie z jej rodzicami nie będzie musiał odwracać wzroku, opowiadać o idiotycznym zbiegu okoliczności i swojej bezsilności.

Potem Martin poczuł rozdrażnienie. Wyglądało na to, że Irina Połuszkińska prowadziła jakąś chytrą grę, i jego zadanie wyszło poza ramy „znaleźć i sprowadzić do domu”.

– Dobry wieczór, Irino – rzekł Martin, siadając przy stoliku. Dziewczyna popatrzyła na niego z zainteresowaniem, ale bez szczególnego podniecenia.

– Cześć. Znamy się?

– Owszem, poznaliśmy się kilka dni temu – oznajmił Martin, przyglądając się Irinie. Dziewczyna zmarszczyła czoło i podniosła oczy ku sufitowi, usilnie próbując sobie przypomnieć, skąd może znać tego człowieka.

– No widzi pan, wszystko z nią w porządku – powiedział z nieukrywaniem zadowoleniem łysy kowboj. – Cała i zdrowa.

– Przepraszam, ale nie mogę sobie przypomnieć – przyznała się w końcu Irina. – Gdzie się spotkaliśmy, Martinie?

– Na innej planecie – Martin próbował włożyć w te słowa maksimum sarkazmu. – Rozumiem, że nie może pani tego pamiętać.

Irina przygryzła wargi, strzeliła oczami w stronę kowboja i westchnęła.

– Aha... U aranków?

– Co – u aranków? – nie rozumiał Martin. – A... Nie, widzieliśmy się na Bibliotece.

Sytuacja stawała się coraz bardziej intrygująca. Błyskotliwa wersja z bliźniaczkami trzeszczała w szwach. Chociaż... zdarzają się przecież trojaczki...

– Na Bibliotece... – Irina skinęła głową. – Oczywiście. I jak poszło z rozszyfrowaniem?

– Nie lepiej niż tutaj – oznajmił ze złośliwą satysfakcją Martin. – Pomysł nie był zły, ale trzeba jeszcze dużo pracować, uczyć się, eksperymentować...

Im dłużej przyglądał się Irinie, tym bardziej zlewały się te dwie postacie – Ira z Biblioteki i Ira z Prerii 2. Ten sam charakter, identyczny sposób prowadzenia rozmowy, marszczenia czoła i baczego spoglądania na niewygodnego rozmówcę.

– Kim pan jest? – spytała Irina. – I czemu mnie pan śledzi?

– Jestem prywatnym detektywem – odpowiedział z godnością Martin. – Pani rodzice prosili, żeby panią odszukać i dowiedzieć się, czy wszystko w porządku.

– Tylko odszukać i dowiedzieć się? – Irina stała się czujna.

– Jeśli się uda, również namówić do powrotu – uśmiechnął się Martin. – Jeśli trzeba – pomóc. Irino... rodzice się denerwują i to normalne. Jestem dwa razy starszy od pani, ale proszę mi wierzyć – mam te same problemy.

– Muszę jeszcze załatwić pewne sprawy – odpowiedziała Irina, uśmiechając się uroczo. – I w najbliższym czasie nie planuję powrotu do domu. Co teraz? Zaciągnie mnie pan siłą?

Martin pokręcił głową.

– Nie zaciągnę. Iro, kto był na Bibliotece?

Dziewczyna uśmiechnęła się. Triumfalnie i przekornie, jak dziecko, któremu udało się przechytryć dorosłego. – Ja.

– Pani siostra?

– Nie, ja.

– Ireczko – powiedział łagodnie Martin. – To niemożliwe z jednej prostej przyczyny. Dziewczyna podobna do pani jak dwie krople wody i podająca się za Irinę Połuszkina zmarła na moich rękach.

Uśmiech zniknął z twarzy Iriny powoli i niechętnie. – To kłamstwo...

Martin pokręcił głową.

– Zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Atak zwierzęcia.

– Atak zwierzęcia? Na Bibliotece? – wykrzyknęła Irina ze zrozumiałym niedowierzaniem. – Pan kłamie! Tam...

– Rasa geddarów przywozi na Bibliotekę zwierzęta domowe. Jedno z nich zdziczało i... – Martin zamilkł.

Ira drgnęła i popatrzyła na łysego kowboja, który słuchał rozmowy z żywym zainteresowaniem. Kowboj zapytał natychmiast:

– To w końcu kogo tam zabili?

– Dziewczynę, podobną do Iry jak dwie krople wody – powtórzył Martin. – Nie nalegam, żeby Irina wracała na Ziemię. Ale chciałbym wiedzieć, co mam przekazać jej rodzicom. Że jest cała i zdrowa i raczy się piwem na Prerii 2? Czy że ją pochowano w kanałach Biblioteki i tamtejsze raki kończą obgryzanie jej kosteczek?

Ira drgnęła jak od uderzenia, ale nic nie powiedziała. Za to łysy kowboj westchnął smętnie:

– Więc to tak... cóż, tak też bywa. Na Bibliotece nie takie rzeczy się zdarzają...

Martin wyjął z kieszeni żeton i podał dziewczynie:

– Proszę. Zostawiła go pani w obozie archeologów, w kabinie prysznicowej. Anna prosiła, żeby pani oddać.

Irina wyciągnęła rękę i w milczeniu wzięła żeton.

– Dokładnie taki sam leży w moim mieszkaniu na biurku – dodał Martin. – Zdjąłem go z ciała martwej Iriny. Wziąłem również srebrny krzyżyk. Pani też taki ma?

Irina milczała.

– Proszę mnie dobrze zrozumieć – ciągnął Martin. – Nie mam najmniejszego zamiaru ciągnąć panią do Wrót siłą. Nie zamierzam również odbierać pani tajemnic. Ale widziałem panią martwą, a teraz widzę panią żywą. Poza tym, wspomniała pani o arankach. Czy na ich planecie również jest Irina Połuszkina?

– Nie mogę panu zaufać – powiedziała twardo Irina. – Przepraszam, ale to nie pańska sprawa.

– Po części moja. Obiecałem, że panią znajdę, ale wykonałem zadanie w dwustu procentach i odnalazłem panią dwukrotnie. To mnie niepokoi, Irino.

– Napiszę list do rodziców – oznajmiła nieoczekiwanie Ira. – Dobrze? Dostarczy go pan ojcu i odbierze swoje honorarium. Pasuje?

– Obawiam się, że ta odpowiedź mnie nie zadowala – pokręcił głową Martin. – Irino, włączyła się pani do jakiejś niebezpiecznej i dziwnej gry. Proszę mi zaufać!

– Niby z jakiej racji? – zapytała poważnie dziewczyna. – Nie wiem, kim pan jest. Nie wiem nawet, kto zabił... tamtą dziewczynę na Bibliotece. Chce pan list do rodziców czy nie? Innej odpowiedzi nie będzie.

Martin odetchnął głęboko. Niespodziewanie zapragnął przełożyć Irinę przez kolano i dać jej parę klapsów. Albo uderzyć ją w twarz. Sam był wstrząśnięty swoją agresją. Skoro dziewczyna nie chce wyjawić swojej tajemnicy, kimże on jest, żeby nalegać?

– Dobrze – powiedział Martin, by odsunąć te niedzenteleńskie i natrętne pragnienia. – Jak pani sobie życzy, Irino. Proszę napisać list i zostawię panią w spokoju.

– Martin dobrze mówi – zauważył kowboj. – Ireczko, posłuchaj go... Coś tu u ciebie nie gra.

– Dziękuję za radę – odparła lodowatym tonem Irina i wyjęła spod stołu torbę. Martin drgnął na widok znajomego notesu. Dziewczyna wyrwała z niego kartkę i zaczęła zamazywać, nie oszczędzając miejsca, pisać krótką notatkę.

Martin i kowboj popatrzyli na siebie. W oczach kowboja mignął smutek i pogodzenie się z życiem.

– Te kobiety – zauważył filozoficznie. – Napijesz się whisky, Martinie?

Martin pokręcił głową. Popatrzył w okno, na zalaną zimnym elektrycznym światłem ulicę.

Rozmowa z Irą potoczyła się nie tak, jak chciał.

Faktycznie, te kobiety... Ledwie wyjdą z wieku dziecięcego, a już stają się mistrzami świata w uporze.

Nikt w barze nie zwracał uwagi na rozgrywającą się scenę, czy raczej – usiłował nie zwracać uwagi. Amerykanie są pod tym względem bardzo taktowni. W Europie ludzie również szanują cudzą „prywatność”. Martin przypomniał sobie, jak kiedyś nieopodal Barcelony, w czasie szczególnie gorącej i dusznej sjeisty, pił drinka w klimatyzowanej poczekalni dworca. Czekał na pociąg – również wygodny, klimatyzowany, z czystymi siedzeniami i muzyką klasyczną sączącą się z głośników. W pewnym momencie do małej sali weszła dziewczyna – najwyraźniej turystka, nieprzyzwyczajona do morderczego upału. Zrobiła kilka kroków, wyróciła oczami i upadła na podłogę.

W Rosji wzbudziłoby to niezdrową sensację, ale w cywilizowanej Europie ludzie zachowywali się nad wyraz uprzejmie, starannie omijali dziewczynę, która zatarasowała przejście, uśmiechali się, jakby przepaszając, że jej przeszkadzają. Ze względu na irytujące cechy swojego rosyjskiego charakteru, Martin nie uszanował prawa dziewczyny do wypoczynku na betonie, wytrząsnął z drinka kostki lodu, natarł dziewczynie skronie i kark i ułożył ją wygodnie na swoich kolanach, a następnie zwymyślał Bogu ducha winnego kasjera, który przecież nie mógł nic zobaczyć ze swojego okienka... Dziewczyna nazywała się Edda, przyjechała z Niemiec i kilka dni później wyznała Martinowi, że pierwsze, co chciała zrobić po otwarciu oczu, to wezwać policję. Ale na szczęście do tego nie doszło – po udarze słonecznym nie miała siły krzyczeć.

I teraz Martin zastanawiał się, jak by niezauważalnie dla gości baru uderzyć Irinę w pewien punkt, a gdy ona straci świadomość, zanieść ją na Stację. Niestety! Nawet, gdyby wszyscy wokół, włączając łysego kowboja, nagle stracili wzrok i tak nic by z tego nie wyszło. Klucznicy przepuszczali ludzi indywidualnie. Wprawdzie pozwalali przejść przez Wrota dzieciom razem z rodzicami, ale Irina nie wyglądała na małą dziewczynkę, niezdolną do opowiedzenia własnej historii, a Martin nie nadawał się do roli ojca.

– Za rzadko dostawałaś w dzieciństwie – nie wytrzymał w końcu.

Ira popatrzyła na niego i uśmiechnęła się:

– Mylisz się. Wcale nie dostawałam. Nie złość się, szpiclu. Bierz list i spadaj na Ziemię. Mój tatuś sypnie ci kaski.

Zacząła starannie składać list, potem grzebać w torbie w poszukiwaniu koperty. Widocznie nie chciała, żeby Martin przeczytał te kilka linijek. Zirytowany Martin utkwiał wzrok w oknie.

Świeciły latarnie. Jakieś muszki roily się wokół światła, zupełnie jak na Ziemi. W stronę saloonu szło ulicą jeszcze kilku gości...

Martin przyjrzał im się uważniej.

Nie spodobało mu się, w jaki sposób szli. Ludzie nie idą takim krokiem po to, żeby napić się whisky.

Martin zerknął na swój karabin, oparty o ścianę obok stolika, potem znowu popatrzył na mężczyzn.

Czterech.

Jeden w średnim wieku, rumiany, gruby, krótko ostrzyżony, ze szczoteczką wąsów nad wargą. Drugi smagły, raczej młody, ale z wyraźnym śladem siwizny na włosach. Trzeci starannie ogolony, z zebranymi w ogon długimi włosami, zaś czwarty, najstarszy, wysoki, trochę przygarbiony, z brodą i baczkami.

Dziwne towarzystwo.

Szczególnie nie spodobał się Martinowi fakt, że każdy z nich miał w ręku broń.

– W waszym mieście często dochodzi do strzelaniny? – zapytał łysego kowboja.

Kowboj pokręcił głową.

– To teraz dojdzie – powiedział Martin, wskazując głową okno. Jego rozmówca odwrócił się i zmarł.

Tamtych czterech stanęło w pewnej odległości od saloonu. Siwy niedbale podniósł dwulufowego obrzyna, wycelował ponad dachem budynku. Martin wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

Huknął strzał.

Przez kilka sekund nic się nie działo. W kącie baru nadal szumiał telewizor, pokazując stare mecze baseballowe, stukwały kufle, głosy gości zlewały się w jednolity szum. Potem dźwięki zaczęły cichnąć – płynnie, spokojnie. Ostatnim dźwiękiem było mruczenie telewizora – barman sięgnął po pilota i włączył pauzę.

Wtedy właśnie otworzyły się drzwi saloonu. Przedwcześnie posiwiał mężczyzna zajrzał do środka i powiedział:

– Najlepszych best regardów, panowie! Prosimy o wybaczenie, ale potrzebny jest nam jeden człowiek, który ukrywa się w środku. Niech wyjdzie, a wszystko będzie w porządku.

Nikt nie powiedział ani słowa. Martin wpatrywał się w karabin. Powinien zdążyć, facet trzymał obrzyna ze znajomością rzeczy, ale był rozluźniony, jakby nie spodziewał się oporu...

– Kim jesteście? – wykrzyknął oburzony barman.

Młody człowiek pokręcił głową:

– Ta sprawa was nie dotyczy, my jedynie wykonujemy swoje obowiązki. Zaczekamy trzy minuty – uśmiechnął się – a potem wejdziemy.

Drzwi zakołysały się na zawiasach, mężczyzna wycofał się. Martin widział przez szybę, że jego

towarzysze stali pięć, może sześć metrów od drzwi, absolutnie przekonani, że ofiara sama do nich wyjdzie.

– Irino, zna pani tych ludzi? – zapytał Martin. Sam nie wiedział, dlaczego był pewien, że przyszedli po nią. Ale przestraszona Ira tylko pokręciła głową.

– Spokojnie, proszę państwa, spokojnie, już dzwonię do szeryfa! – krzyknął barman, jakby goście saloonu wpadli w panikę. Ale wszyscy siedzieli spokojnie, wymieniając zdezorientowane spojrzenia. Chyba nikt nie miał zamiaru odgrywać tu klasycznej sceny z westernów pod tytułem „Strzelanina w saloonie”. Siedziało tu ze dwudziestu uzbrojonych mężczyzn, dziesięciu Indian i milczący, surowy geddar z nieodzownym mieczem za plecami, ale nikt nawet nie dotknął broni.

– Ciężko im będzie nas stąd wykurzyć – powiedział Martin, sprawdzając karabin. – Można by spróbować zdjęć jednego przez okno...

– Proszę nie strzelać – powiedział łysy kowboj. Dopił swoją whisky i wstał chwiejnie. – To pana absolutnie nie dotyczy...

Barman już odkładał słuchawkę – chyba jego rozmówca wyjaśnił mu sytuację, nie czekając na pytania. Mieszkaniec Ukrainy obrzucił gości zakłopotanym spojrzeniem i powiedział niepewnie:

– Proszę państwa... to łowcy nagród i rzeczywiście mają nakaz... kogo oni szukają?

– Mnie – powiedział mały kowboj, kołysząc się. – Przepraszam, już wychodzę.

Martin złapał go za rękę i zapytał, kierowany nieoczekiwanym impulsem:

– Jest pan pewien? Mógłbym...

Kowboj pokręcił głową:

– Nie, to tylko mój problem. Ale dziękuję za propozycję... Ireczko...

Pocałował dziewczynę w rękę, podszedł do baru i poprosił:

– Niech mi pan zrobi szybko drinka, tylko mocnego!

Barman przełknął ślinę. Chyba chciał zaprotestować, ale widocznie uznał, że należy uszanować ostatnie życzenie skazańca. Zapytał tylko:

– Może być „Waterlinia”? [Kolejna aluzja do książek rosyjskich autorów sf, tym razem do utworu Aleksandra Gromowa]

Zirytowany kowboj machnął ręką. Barman rzeczywiście się spieszył. Nalał do szklanki gęsty sok wiśniowy i uzupełnił wódką „Stolicznaja”. Kowboj wypił jednym haustem, wyjął portfel, rzucił niedbale na ladę i poszedł do drzwi.

– Martinie, nie możemy pozwolić... – zaczęła Irina, wstając.

Martin chwycił ją za rękę:

– Przepraszam, ale to ja odpowiadam za twoje bezpieczeństwo... w pewnym stopniu. Nie wypuszczę cię.

Dziewczyna popatrzyła mu w oczy – i bezsilnie opadła na krzesło.

– Kim on jest? Czemu go ścigają? – zapytał Martin. – Mam wrażenie, że znasz go lepiej ode mnie.

– Nie wiem... to dobry człowiek... – odparła stropiona Irina. – Niewiele mówił o sobie...

Martin skinął głową i odwrócił się do okna. Siedzieli wystarczająco daleko od drzwi, żeby nie musieć obawiać się zbłąkanej kuli, a Martin bardzo chciał dowiedzieć się, czym skończy się ta sprawa. Zawód łowcy nagród, ścigającego przestępców w całej galaktyce, był oficjalnie zalegalizowany w Stanach Zjednoczonych, kilku innych krajach i na większości planet-kolonii. Sam

Martin od czasu do czasu występował w podobnej roli.

Bez względu na to, jakie przestępstwo popełnił łysy kowboj, Martin mógł teraz jedynie obserwować ostatni akt tragedii i mieć nadzieję, że będą przestrzegane reguły gry i łowcy pozwolą kowbojowi poddać się. A jeśli nie... Martin ujął karabin. Zdażył polubić tego smutnego mężczyznę.

Ofiara już szła na spotkanie myśliwym. Mały kowboj zatrzymał się, patrząc na czwórkę mężczyzn i niespodziewanie trzeźwym głosem zapytał:

– Tylko czterech?

– Zdażyliśmy pierwsi... – rozległ się głos grubasa. – Znasz nas... Chodźmy.

Martin ze szczerego serca poradził kowbojowi, by usłuchał, ale ten odpowiedział:

– Odejdę sam.

– Too twooja decyzja – powiedział brodaty łowca, jękając się lekko.

I wtedy się zaczęło.

Kowboj, który do tej pory stał rozluźniony, nagle skoczył w bok, w stronę pustego stalowego koryta, stojącego przed drzwiami saloonu na wysokich podpórkach – albo rzeczywiście planowano kłaść tu paszę dla koni, albo postawiono je w charakterze dekoracji – i zaczął strzelać. Martin nawet nie zauważył, kiedy w rękach kowboja pojawił się rewolwer.

Upadł długowłosa mężczyzna, ledwie zdażywszy wystrzelić kilka razy ze swojego pistoletu. Upadł wąsaty grubas – miał automat, ale długa seria odbiła się od koryta, za którym zdażył skryć się kowboj. Młody z siwymi skrońmi też już strzelał po zręcznym przeładowaniu śrutówki, ale kowboj uchwycił odpowiedni moment, wyłonił się ze swojej kryjówki i oddał kilka strzałów. Martin gotów był przysiąc, że dopiero trzecia kula w głowę powaliła łowcę nagród, który do tego momentu stał i celował. Najdłużej trzymał się brodacza – strzelał z podrzutu, z karabinu powtarzalnego. Trzymał go jedną ręką, a drugą wyciągnął zza paska granat i zręcznie wrzucił do koryta. Martin pokonał odrętwienie, chwycił Irinę za ramiona i pochylił się, by się schować, ale zdażył zauważyć, że odrzucony granat wrócił pod nogi brodacza.

Rozległ się huk, brzęk tłuczonego szkła, a potem zapadła cisza.

Martin wysunął się spod stołu, dziwiąc się przelotnie, że szyby ocalały.

Ocalał również mały kowboj. Siedział na brzegu koryta i ładował rewolwer. Martin pomyślał, że wystarczył mu jeden bębenek.

– Twardziel – zauważył Martin. – Wszystko w porządku, Irino?

– Aha – odezwała się dziewczyna, również wychodząc spod stołu. Dobrze chociaż, że nie miała do Martina pretensji o tę samowolną akcję ratowniczą.

Martin podszedł do drzwi i zawołał: – To ja, Martin! Nie strzelaj!

– Ja generalnie nie lubię strzelać – odparł kowboj.

Martin wyszedł i obrzucił spojrzeniem pole bitwy. Odłamki pocięły słup latarni i rozbiły plafon – stąd brzęk tłuczonego szkła. Ale żarówka świeciła nadal, zalewając trupim światłem cztery zakrwawione, nieruchome ciała.

– Nieźle – ocenił Martin. – Jesteś cały?

– Prawie – odparł filozoficznie kowboj. Chyba jednak oberwał i to nie raz – był zalany krwią, ale na nogach trzymał się pewnie, jakby wywietrzał z niego cały alkohol. – Ale to nic nie zmienia. Przyjdą inni.

Martin zawahał się, nie wiedząc, co robić. Ten człowiek był przestępcą, ale Martin nie wiedział, o co go oskarżają i nie miał nakazu aresztowania.

– Powinieneś opuścić planetę – poradził.

– Wiem – odparł kowboj, wydlubując z zamszowej koszuli niewielki odłamek. – No proszę, jednak mnie drasnęło...

Za plecami Martina stanęła Ira. Na widok kowboja wydała cichy okrzyk i podeszła do niego szybkim krokiem.

– Trzeba opatrzyć panu rany...

– Dziewczyno, lepiej trzymaj się ode mnie z daleka... – uśmiechnął się niewesoło kowboj, ale Irina i tak wyjęła z kieszeni pakiet opatrunkowy. Proszę, jaka przewidująca. Martin westchnął, zastanawiając się, czy Ira nie zmieni swojej decyzji po tym, co się stało, ale nie miał zbytnich złudzeń. Już prędzej wyruszy w drogę z małym kowbojem, dziewczęta w jej wieku lubią takie romantyczne sytuacje.

W tym samym momencie z ciemności wyłonił się jeszcze jeden człowiek. Średniego wzrostu, wątlej budowy, o inteligentnym wyglądzie, ale również z rewolwerem w rękę.

– Nie odejdziesz stąd – powiedział półgłosem, celując w kowboja.

– Ty też? – zapytał zaskoczony kowboj. Widocznie się znali.

– Ja też – przytaknął inteligent, naciskając spust.

Łysy kowboj wygiął się nieprawdopodobnie, wyciągnął rewolwer z kabury i zaczął strzelać. Kule łowcy nagród już szarpały jego ciało, Martin widział tryskające z pleców kowboja krwawe strzępy, ale ten nadal strzelał. A pomiędzy nich wbiegła Irina z rozłożonymi rękami i okrzykiem: „Nie strzelajcie!”

Martin nie zdążył nawet podnieść karabinu – wszystko stało się zbyt szybko i niespodziewanie. Gdy wreszcie zaczął celować – nie było już do kogo.

Kowboj i Irina leżeli obok siebie, inteligentny łowca nagród – nieco z boku, na granicy ciemności i światła.

– Psiakrew... – mruknął Martin, podbiegając do Iriny. Dziewczyna była martwa... a raczej właśnie w tym momencie umierała. Trzy kule weszły w plecy, dwie w pierś. Na wargach pojawiła się krew, z oczu powoli odchodziło życie. Uczucie deja vu było tak silne, że Martin aż bał się jej dotknąć. Pochylił się nad kowbojem – ten jeszcze żył, patrzył ze smutkiem i żalem, coś szeptał. Martin pochylił się, przytrzymał umierającemu głowę i usłyszał:

– To... to ja... trafiłem... dziewczynę?

– Nie – skłamał bez wahania Martin. – Łowca.

W oczach kowboja mignęła ulga.

– Wszystko jedno... – wyszeptał. – Po co ona... Ja umieram, Martinie...

– Leż spokojnie – polecił mu Martin. – Zaraz wezwą lekarza.

– Niech napiszą, że... na mogile... że tu leży... – zaczął szybko oddychać, drgnął i obwisł bezwładnie.

Martin wstał. Na rękach miał krew. W duszy pustkę.

Jak to? Dlaczego tak głupio? Zbiegły przestępca, z którym zaprzyjaźniła się Ira, ci cholerni łowcy nagród i ta idiotyczna strzelanina...



A on też dobry! Odprężył się, wypuścił podopieczną spod kontroli!

– Nie ruszaj się, rzuć broń, ręce za głowę! – krzyknął ktoś z tyłu i Martin poznał głos szeryfa. No oczywiście, kawaleria amerykańska... Jak zwykle w samą porę...

Martin podniósł ręce bez sprzeciwów, zaś absolutnie niepotrzebny cios pod żebra przyjął z męczeńskim uśmiechem.

Wypuścili go dopiero rano. Brzęcząc kluczami, Glen otworzył kratę celi, w której Martin spędził noc i burknął:

– Chodźmy...

Widząc, jak szeryf się zachowuje i jak spokojnie odwraca się do niego plecami, Martin zrozumiał, że oczyszczono go z zarzutów.

Wyszli z krótkiego korytarza, podzielonego kratami na cztery cele. Wszystkie puste, widocznie na Prerii 2 przestępczość była niewielka. W swoim gabinecie Glen, sapiąc głośno, zdjął Martinowi kajdanki i zapytał:

– Masz jakieś pretensje?

– Jako obywatel czy jako detektyw? – zapytał Martin.

– Wy, Rosjanie, wszyscy jesteście stuknięci – skrzywił się szeryf. – A co za różnica?

Martin uśmiechnął się.

– Jako obywatel – mam. Jako detektyw – nie. Na pańskim miejscu zrobiłbym dokładnie to samo.

Szeryf przez jakiś czas próbował zrozumieć, w końcu pokręcił głową.

– Dobrze, nie masz, to nie masz. Będziesz pisał skargę?

– Nie – pokręcił głową Martin. – Przecież mówię, że pretensji nie mam.

Glen machnął ręką.

– Siadaj... detektywie.

Usiedli przy biurku, szeryf włączył ekspres do kawy, ale przycisk z pstryknięciem wyskoczył z powrotem. Szeryf zaklął, zadzwonił i zażądał przyniesienia wody. Weszła nieładna, młoda kobieta i nalała do ekspresu wody z karafki.

Martin cierpliwie czekał.

– Nie strzelałeś, moi chłopcy sprawdzili lufy – szeryf powiedział Martinowi to, o czym ten próbował go poinformować już wcześniej. – I żadnego związku z tymi łobuzami nie masz. Więc ludność Prerii 2 nie ma do ciebie pretensji.

– Kim oni byli? – zapytał Martin.

Glen nabzdyczył się – przez pół nocy żądał od Martina odpowiedzi na to samo pytanie – a potem niechętnie przyznał:

– Zawodowi łowcy nagród. Mieszkali na Ziemi, działali w interesach kolonii... zwyczajna sprawa. Najpierw zjawili się u mnie, przedstawili nakaz... wszystko było w porządku...

– Nie mógł ich pan powstrzymać? – spytał Martin. – Pięcioro uzbrojonych zawodowców... wpadli wieczorem, na posterunku żywego ducha...

Glen spurpurowiał.

– Nie osądzam pana – powiedział łagodnie Martin. – W efekcie okazało się, że to pan miał rację – sytuacja rozwiązała się z najmniejszymi stratami.

Z szeryfa jakby spuszczone powietrze. Nalał kawy Martinowi i sobie, potem wyjął podarowane dzień wcześniej cygaro i zapalił.

– Kto wie, jak się to wszystko mogło potoczyć... – westchnął. – Kowboj... Do diabła

z kowbojem! Nawet nie chcę wiedzieć, co on tam nawyprawiał! Dwa lata mieszkał na Prerii i z nikim się nie zaprzyjaźnił. Dziwak! Ale szkoda dziewczyny... I co to za przykład dla ludzi... Jeszcze, nie daj Boże, cała ta kowbojska egzotyka zacznie się u nas w pełnym wymiarze! Przeklęte Hollywood!

Martin pokiwał głową.

– No i jak w końcu, pomyliłeś się co do dziewczyny, nie? – stwierdził szeryf. – Mówiłeś, że zginęła na Bibliotece...

Martin stał się czujny i dlatego odpowiedział rozdrażnionym, niemal agresywnym tonem:

– Ja się nie pomyliłem! To jej rodzice rozwiedli się piętnaście lat temu, a dziewczynki-bliźniaczki podzielili między siebie. Jedna córeczka mamie, jedna tacie...

– Psiamać! – powiedział z uczuciem szeryf.

– I nie powiedzieli dziewczynkom, że są jednojajowymi bliźniaczkami – ciągnął Martin, łapiąc natchnienie. – No i doczekali się! Dziewczyny dowiedziały się o sobie, spotkały się, zaprzyjaźniły... i postanowiły ukarać rodziców. Mądre dziewczyny i nic dziwnego, że miały wielkie plany... Postanowiły odkryć wszystkie tajemnice Wszechświata. Jedna wyruszyła na Bibliotekę, żeby rozszyfrować tajemnicę obelisków, druga na Prerię – pogrzebać w ruinach. Planowały spotkać się na jakiejś trzeciej planecie, za tydzień.

– Ho, ho, ale optymistki... – zauważył szeryf.

– Otóż to właśnie – skinął głową Martin. – Mam wrażenie, że nad dziewczynami zawisło fatum. Jedną zabiło wściekłe zwierzę, drugą – przypadkowa kula.

– Niektórzy ludzie nie powinni opuszczać Ziemi – przytaknął szeryf. – Chryste Panie... Nie zazdroszczę ci, stary.

– Jak sobie pomyślę, co będę musiał opowiedzieć ich rodzicom, sam sobie nie zazdroszczę – westchnął Martin.

Przez kilka minut w milczeniu pili kawę, potem szeryf wyjął butelkę i nalał odrobinę whisky do małych, srebrnych kieliszeków, mówiąc nie bez dumy:

– Własna produkcja...

W sumie rozstali się jak przyjaciele. Martin nie wypominał szeryfowi tych kilku ciosów, które oberwał na dobranoc, Glen nie przypominał Martinowi wykrzyczanych w ferworze przesłuchania obietnic. Oddano mu wszystkie rzeczy i szeryf zasugerował nawet, że razem pójdą do hotelu, by Martinowi zwrócono pieniądze za opłacony pokój. Martin tylko machnął ręką, rezygnując z propozycji.

Już w drzwiach szeryf zaproponował Martinowi, jakby mimochodem, podwiezienie do Stacji – zupełnie przypadkiem jego pomocnik wybierał się w tym kierunku. Martin podziękował, uściślił sobie dłonie i rozstali się, zadowoleni z siebie.

Nikt nie prosił Martina, żeby dostarczył listy na Ziemię, tutaj ufano wyłącznie własnej służbie pocztowej. Za to zioła, z których parzono miejscowy ekwiwalent herbaty, sprzedano mu z przyjemnością, nie nakładając żadnego cła. Wolność handlu była tu rzeczą świętą.

Martina szalenie interesowało, jakie stanowisko w rzeczywistości piastuje szeryf i dla kogo pracuje – CIA czy FBI? Ale zadawanie takich pytań byłoby co najmniej nierozsądne, zwłaszcza dla detektywa, który zaważył proste zadanie.

Niech sobie Amerykanie udają, że kolonia na Prerii 2 jest absolutnie niezawisła i istnieje na

własne ryzyko. To ich sprawa. Poza tym, są również takie kolonie, na których przeważającą część ludności stanowią Rosjanie. I nawet jeśli sprawy idą tam lepiej niż dobrze, to i tak wiadomo, że znaczna część mieszkańców nosiła w przeszłości pagony.

Potężny landrover dowiózł Martina do Stacji w ciągu pół godziny. W pobliżu nadal pasło się niewielkie stado, zmienił się tylko obserwujący je chłopak-pastuch. Ciekawe, czy byli to nieoficjalni pomocnicy szeryfa, czy też coś w rodzaju kółka „Młodych przyjaciół szeryfa”?

– Jeśli rodzice dziewczyny zechcą odwiedzić grób – powiedział krzepki mężczyzna, którego szeryf wysłał razem z Martinem – będziemy radzi ich przybyciu.

Zabrzmiało to cynicznie, ale Martin wiedział, że chłopak szczerze przeżywa śmierć młodej, ładnej dziewczyny.

– Przekażę – powiedział Martin.

– U nas rzadko zdarzają się takie rzeczy – ciągnął chłopak. – Czasem zjawi się jakiś idiota, który chce galopować po stepie i postrzelać we wszystkie strony. Ale szybko uczymy go rozumu.

– Nie martw się – powiedział Martin – jeszcze wszystko przed wami. Strzelaniny i galopy, grabież pocztowych dylizansów i ataki Indian. Wszystko się zacznie, gdy tylko liczba mieszkańców przekroczy sto tysięcy.

Chłopak poczuł się trochę urażony i burknął:

– Indianie są nastawieni pokojowo, jesteśmy w dobrych stosunkach...

Martin wziął plecak i wyszedł z samochodu. W głowie wirowały mu najróżniejsze myśli, ale na pierwszy plan wysuwała się ta o gorącej kąpieli.

– Do domu? – zapytał Martina pomocnik szeryfa.

– Jasne – skłamał dziarsko Martin i poszedł na werandę.

Ten klucznik musiał być abstynentem... a może na Prerii 2 klucznicy wprowadzili prohibicję? Jeśli wczoraj pił lemoniadę, dzisiaj miał w dzbanku sok, świeżo wyciśnięty z pomarańczy.

Martin nie odmówił zaproponowanego uprzejmie napoju, wypił szklanekę soku, zapalił i posiedział chwilę, zbierając myśli. Klucznik patrzył na niego serdecznie, rozparty w wiklinowym fotelu, i wydawało się, że gotów jest czekać na opowieść choćby do wieczora.

– Zawsze lubiłem patrzeć w cudze okna – zaczął wreszcie Martin.

Klucznik poruszył się, siadając wygodniej, nalał sobie pełną szklanekę soku, dorzucił z termosu kilka kostek lodu.

– Nie zaglądać, a właśnie patrzeć – ciągnął Martin. – Ludzie przywykli sądzić, że ich dom to twierdza. Nie lubią bezceremonialnych gości. Być może was też trochę nie lubimy – zjawiliście się bez zaproszenia i nie przyszło wam do głowy, żeby poprosić o to, na co chętnie wyrazilibyśmy zgodę... Każda twierdza ma swoją flagę. I chociaż naszymi flagami są jedynie zasłony w oknach, mimo wszystko są to flagi. Dla przechodnia, który podnosi wzrok, przechodząc ulicą. Dla mieszkańców domu naprzeciwko. I nawet dla tych, którzy siedząc w swoich oknach, wsuwają lornetkę w szparę zasłon... Flagą może być wszystko. Tiul firanek i eleganckie rolety. Metalowe żaluzje i grube zasłony. Choinka, narysowana na szybie pastą do zębów przed Bożym Narodzeniem, kwiaty w doniczkach albo pluszowa zabawka na parapecie. Akwarium z rybkami albo wazonik z zasuszoną różą. Nawet brudna szyba, za którą widać oberwane tapety i gołą żarówkę na kablu, również jest flagą. Białą flagą kapitulacji wobec życia... Lubię miasta, gdzie ludzie nie boją się

podnosić flag. Zazwyczaj to obce miasta... W Rosji zbyt długo oduczano nas posiadania własnych flag. A ja lubię, gdy ludzie nie boją się być z siebie dumni. Lubię oddawać honory cudzym flagom.

Zamilkł, zaczerpnął oddechu i ciągnął, patrząc na klucznika:

– I ciekaw jestem, jak inni postrzegają moją flagę. Czasem stawiam na parapecie starą, piękną lampę z matowym abażurem i włączam ją na całą noc. Niech ludzie, którzy będą przechodzić obok, na widok światła pomyślą, że ktoś siedzi i czyta pasjonującą książkę, walczy z opornym twierdzeniem, kocha się albo czuwa przy łóżku chorego dziecka. Najważniejsze, żeby nikt nie domyślił się, że nie mam swojej flagi.

Martin zamilkł, nalewając sobie soku.

Klucznik poruszył się w fotelu i wymamrotał sennie:

– Rozwiałeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swoją drogę.

Martin, który wcale nie miał zamiaru tak szybko kończyć opowieści, zakrztusił się sokiem. Ale ukrył zmieszanie, skinął głową i powiedział:

– Dziękuję, kluczniku. Wydaje mi się, że czeka mnie długa droga. I wcale nie jestem pewien, że skończy się na planecie aranków.

– Flagi, zamki, mury i głębokie fosy... – mamrotał klucznik. – Nie jest źle, gdy flagi jeszcze nie ma. Najważniejsze, że się jej szuka.

Martin poczekał chwilę, ale klucznik milczał. Skinął głową i podszedł do drzwi.

– Znam jedną jedyną rasę w galaktyce, która nie potrzebuje flag – odezwał się niespodziewanie klucznik. – Aranki to wysoko rozwinięte i pod każdym względem sympatyczne istoty, ale nie rozumieją zwrotu „sens życia”. Nie mają religii ani pojęcia Boga. Posiadają instynkt samozachowawczy, ale nie boją się śmierci. Mają znakomite poczucie humoru, są humanitarni, ciekawi i czarujący, ale żaden z przedstawicieli tej rasy nie zastanawia się nad sensem życia. Nigdy. Rozważają samo pojęcie jako interesujący fenomen, właściwy innym rozumnym formom życia, ale nie mają kompleksów z powodu swojej ułomności.

Klucznik odczekał chwilę i dodał:

– A w oknach ich domów nie ma zasłon.

Martin postać przy drzwiach jeszcze kilka minut, ale klucznik nie powiedział już ani słowa.

Wanna to jednak wspaniałe wynalazek.

Martin leżał w kamiennym basenie prawie godzinę, na przemian dolewając gorącej wody, włączając hydromasaż i puszczając zimne strugi, przyjemnie łaskoczące rozgrzane ciało. W pokoju znalazł kilka książek, pozostawionych przez jakąś dobrą duszę – tomik Stevensona po francusku, *Ciemne aleje* Bunina po angielsku. Zdumiony takim zestawieniem, Martin wziął Bunina. Po angielsku czytało się go ciężko, ale oczy, stęsknione za widokiem liter, i tak się cieszyły.

Słowa klucznika z jednej strony obudziły czujność Martina, z drugiej wprawiły go w zakłopotanie. Słyszał już wcześniej o unikatowych właściwościach psychiki aranków, ale doświadczenie kontaktów z tą rasą nie budziło myśli o jakiegokolwiek ułomności. Każda żywa istota zadaje sobie pytanie o sens życia, większość z nich ma jakieś uczucia religijne. Jak można żyć, nie mając celu, nie widząc w życiu jakiegoś globalnego, wszechświatowego sensu?

W swoim czasie Martin zastanawiał się nad tą kwestią, próbował nawet znaleźć sens życia dla samego siebie, ale wkrótce wpadł w przygnębienie. Przecież nie znajdzie go w sztuce kulinarnej! Ani

w podróżach po galaktyce przez Wrota, uprzemie udostępnione przez kluczników. Może w miłości? Ale teraz Martin nie był zakochany, co go absolutnie urządziło. Być może sens życia tkwił w ambicji, w pragnieniu zdobycia sławy, zapisania się na kartach historii? Ale wówczas musiałby być albo prawdziwym geniuszem, albo zarozumiałym bałwanem, przekonanym o swej genialności. W życiu wiecznym, obiecwanym przez religię? Martin, chociaż zaliczał się do wierzących, traktował tę perspektywę bardzo sceptycznie. Miał bardzo głębokie wątpliwości co do własnej prawości i nie żywił szczególnych nadziei na zachowanie osobowości w świecie pozagrobowym – wszystkie religie, jeśli odrzucimy średniowieczne wizje raju, obiecywały jedynie tę czy inną formę rozpląnięcia się w abszolucie.

Martin nie był w stanie sformułować sensu własnego istnienia i głęboko zazdrościł arankom, którzy nie przeżywali takich dylematów. Nieźle się urządzili! Być może właśnie dlatego uznaje się ich za najbardziej rozwiniętą rasę we Wszechświecie – zaraz po klucznikach?

W końcu odrzucając bezpłodne filozofowanie, Martin wyszedł z wanny, wytarł się ręcznikiem i nago, żeby ciało odpoczęło i odparowało, usiadł przy stole. Kawalek papieru, długopis – co jeszcze może być potrzebne człowiekowi do oceny sytuacji?

Najpierw Martin narysował dwa kółka i podpisał je „Irina 1” i „Irina 2”. Potem przekreślił kółka i obok narysował trzecie, z napisem „Irina 3” i postawił znak zapytania.

Na tym etapie Martin zamyślił się głęboko.

Biblioteka. Preria. Arank.

Trzy planety. Pierwsze dwie kryły pewne starożytne artefakty, które Irina chciała zbadać. Ale świat aranków był starożytny sam w sobie i jego mieszkańcy na pewno dawno temu zbadali zagadki własnej planety. Po co Irina miałaby tam wyruszyć?

Nad zasadniczym pytaniem: jakim cudem Irina Połuszkina, sztuk jedna, przemieniła się w trzy rozkapryszone dziewczuchy, na razie się nie zastanawiał. Wersji z siostrami-bliźniaczkami, przedstawionej szeryfowi, oczywiście nie brał na poważnie, prędzej posądzałyby kluczników... Skopiowanie dziewczyny pewnie nie nastęrczałoby im problemów... tylko po co?

A już najbardziej niepokoiły Martina te dwie śmierci. Na razie traktował je jako irytujące zbiegi okoliczności, ale czuł instynktownie, że kryje się za tym jakiś system, mroczny, nieprzyjemny i nie poddający się ludzkiemu rozumowi.

Martin westchnął i narysował na schemacie kwadracik, którym, dla kaprysu, oznaczył samego siebie. Kwadracik nie miał większego wyboru – albo wyrusza na Ziemię (Martin poprowadził grubą kreskę w dół kartki), żeby złożyć raport Ernesto Połuszkinowi, albo odwiedza planetę aranków, tam szuka hipotetycznej Iriny Połuszkinej numer trzy i stara się odgrodzić ją od wszelkich możliwych niebezpieczeństw, ewentualnie namawia ją do powrotu do domu, bądź skłania do podpisania oświadczenia, w którym Ira stanowczo tegoż powrotu odmawia.

Myśl o takim dokumencie przypomniła mu o liście Iriny, jaki dziewczyna napisała na dziesięć minut przed śmiercią. Szeryf badał ten list bardzo uważnie, a potem zgodził się oddać go Martinowi – dla rodziców dziewczyny. Teraz Martin przeczytał krótką zapiskę, krzywiąc się i walcząc z wrażeniem, że ktoś tu sobie z niego kpi.

*Drodzy rodzice! – pisała Irina. – U mnie wszystko w porządku, czego i wam życzę. Miły młody człowiek – czy to nie bezczelność ze strony siedemnastoletniej smarkuli?! – przekazał mi od was pozdrowienia i zapytał, czy nie mam zamiaru wracać. Nie mam. Wszystko idzie zbyt dobrze, żeby to*

*teraz przerywać. Jak się czuje Homer, czy nie tęskni za mną? Pocałujcie go ode mnie, już wkrótce dostanie smakowitą kosteczkę. Na tym kończę mój list, wasza kochana Irinka.*

Martin nie uważał się za eksperta od stosunków rodzinnych, ale prośba pocałowania psa w połączeniu z drwiącym tonem listu i podpisem „wasza kochana Irinka” wprowadziła go w konsternację. Wyglądało na to, że dziewczyna miała rodziców za psi pazur, uważała, że wszystko ujdzie jej płazem i generalnie była osobą dość oschłą.

Ale z drugiej strony, ten obraz nijak nie łączył się z okrzykiem: „Nie strzelajcie!”, rozpaczliwym rzucaniem się pod grad kul i próbą powstrzymania strzelaniny. Może list był efektem rodzinnych sporów? Może Ernesto sprzął ukochaną córeczkę albo w jakiś inny sposób przejawiał swoją władzę, co w wieku siedemnastu lat jest bardzo poważnym powodem do obrazy...

Martin westchnął, zakleił kopertę i schował ją do plecaka – razem z żetonem Iriny. Tym razem nie brał krzyżyka. Irinę obiecano pochować po chrześcijańsku.

– Nie ma co, za mało cię lali w dzieciństwie – powiedział Martin w zadumie. I przyłapał się na tym, że rozmawia z Iriną nie jak ze zmarłą, lecz tak, jakby miał głębokie przekonanie, że wkrótce spotkają się znowu.

Cóż, w takim razie nie ma sensu tego odkładać.

Martin ubrał się, brudne skarpetki i bieliznę wyrzucił – przecież nie będzie ich ze sobą nosił w poszukiwaniu pralni. Zastanowił się, czy nie przespać się kilka godzin, rekompensując sobie nocne niewyspanie, ale widocznie we krwi płynęło za dużo adrenaliny – zupełnie nie chciało mu się spać.

Poszedł do Wrót.

# Część trzecia



**Žolta**

## Prolog

Czy człowiek tego chce, czy nie, powinien mieć jakieś słabostki, pozwalające mu na odpoczynek od codziennej krzątaniny. Surowy polityk, który ugrzązł w intrygach i zdradach, hoduje rybki i płacze, gdy chorują na martwicę płetw. Zblazowany lowelas starannie przechowuje zdjęcie koleżanki z klasy, która nigdy nie spojrzała w jego stronę, ponury mizantrop rozpływa się nad wózkiem z noworodkiem, nudny i niepozorny urzędnik ukrywa w sobie głęboką wiedzę o kulturze ujugurskiej czy indonezyjskiej sztuce ludowej.

Swoje zamiłowanie do smacznego jedzenia Martin uważał za słabostkę tylko do pewnego stopnia. Wszyscy lubią smacznie zjeść. Weźmy, dajmy na to, jakiegoś świętego, który wiódł pustelniczy tryb życia i umartwiał ciało chlebem i wodą. Nawet on przed śmiercią zaleje się łzami i uderzy w lament: grzeszyłem obżarstwem, przedkładałem chleb pszeniczny nad żytni, wolałem wodę ze źródła niż wodę z rzeki...

Martin nie uważał się za świętego, nie miał zamiaru umartwiać ciała i z lubością oddawał się ulubionemu zajęciu. Z podróży wynosił nie tylko wrażenia i ruloniki klisz (aparaty cyfrowe były jego zdaniem, profanacją sztuki, tylko srebro godne jest utrwalić chwilę), ale również całe mnóstwo przepisów kulinarnych.

Niespecjalnie cenił kuchnię azjatycką, w tym również słynną chińską, a jednak bezwarunkowo kapitulował przed kaczką po pekińsku i kurczakiem w sosie pomarańczowym. Bardzo poważne wątpliwości budziła w nim również gastronomia zaoceaniczna – słynne indyki w sosie czekoladowym, powszechnie znane naleśniki z syropem klonowym, a zwłaszcza mieszanka fenyloalaniny i kwasu ortofosforowego, zwana potocznie colą. Do kuchni meksykańskiej Martin był nastawiony znacznie bardziej przyjaźnie i czasem przygotowywał mięso z migdałami i guacamole.

Ale za ukoronowanie sztuki kulinarnej Martin uważał kuchnię europejską, łaskawie zaliczając do Europy całą Rosję wraz z Syberią i Dalekim Wschodem. Co mogłoby się równać z prawdziwym węgierskim gulaszem? Nie, nie mówimy o tej żałosnej mieszaninie ziemniaków i mięsa, podawanej w rosyjskich restauracjach, lecz o gęstej, ostrej zupie, przesyconej aromatem papryki i słodkiego pieprzu, palącej podniebienie i rozgrzewającej ciało...

Oto, dlaczego wychodząc na Aranku ze Stacji 6, Martin zatrzymał się, pociągnął nosem i rozejrzał. Jego powonienie zastanowił nie zapach obcej planety, bo na Aranku już był. W powietrzu unosił się zapach papryki!

Stacja 6 znajdowała się w centrum jednego z największych tutejszych miast. Wedle ludzkich miar – była to niemal ogólnoplanetarna stolica. Wokół Stacji wznosiły się wieżowce o zwykłych, niemal ziemskich kształtach, w powietrzu sunęły bezgłośnie małe aparaty latające, zaś chodniki jechały pod nogami, rozwożąc licznych przechodniów, spieszących gdzieś w swoich sprawach. Miasto aranków wyglądało jak wizja ziemskiego futurysty, budząc wspomnienia radzieckiej fantastyki lat sześćdziesiątych i marzenia o gwiazdolotach, Wielkim Pierścieniu i świetle Południa.

Ale teraz Martin nie interesował się obcą architekturą. Nawet nie odwrócił się, żeby popatrzeć na Stację, zbudowaną w najlepszych tradycjach aranków – z metalu, szkła i betonu. Martin pokornie przeszedł szybką i uprzejmą kontrolę graniczną. Policjant-arank wbił mu w paszport wizę (arankom strasznie podobała się „zabawa” w straż graniczną) i z uśmiechem zalepił lufę karabinu i rewolweru kawałkami czegoś, co szalenie przypominało przeżutą gumę do żucia. Odblokować lufę można było

wyłącznie za pomocą specjalnego rozpuszczalnika, zaś strzelanie z zapieczętowanej broni równało się rozerwaniu lufy. Dopiero po tej procedurze Martinowi pozwolono wyjść poza ogrodzenie. Martin opędził się przed sterczącymi przed Stacją przewodnikami, wydostał się z tłumu, niemal tak samo pstrokaty jak w Moskwie...

...I z radością zauważył małą restauracyjkę „Smak Ziemi”, stojącą naprzeciwko Stacji. Właśnie stamtąd płynęły czarujące zapachy.

Nie było nic dziwnego w tym, że arankowie pozwolili na stworzenie u siebie ziemskiej restauracji. Arankowie byli humanoidami, przypominającymi ludzi zarówno zewnątrz, jak i pod względem fizjologii. Istoty humanoidalne stanowiły niemal jedną trzecią wszystkich ras kosmosu, jedni przypominali ludzi mniej, jak na przykład geddarowie, innych ciężko było odróżnić od ziemian – jak mieszkańców Prerii 2 czy aranków. Nic więc dziwnego, że ziemską kuchnię przypadła im do gustu.

Restaurację wypełniali arankowie – zarówno mężczyźni w kolorowych chałatach, jak i kobiety w opiętych trykotach i luźnych bluzach. Zmiany w modzie aranków wyrażały się głównie w rozwiązaniach kolorystycznych, absolutnie nie wpływając na krój ubrań. Zresztą, może pod wpływem egzotycznego wystroju ziemskiej restauracji kilku mężczyzn nosiło marynarki i spodnie, a kilka kobiet suknie i pantofle na wysokich obcasach. Zawsze to kulturowa ekspansja ludzkości...

Zjawienie się Martina spowodowało ogólne ożywienie. Dopóki siedł przez salę w poszukiwaniu wolnego stolika, goście zdążyli go obejrzeć, obgadać, powitać... i zostawić w spokoju.

Podszedł kelner – ziemianin, młody mężczyzna w klasycznym stroju kelnera. Pomógł Martinowi znaleźć stół i wręczył mu kartkę z napisem: „Dla gości z Ziemi zniżka 50%”. Martin zerknął na ceny w menu i wzdrygnął się, pojmując mądrość właścicieli zakładu. Musiał szybko omówić z kelnerem kwestię barteru.

Dwie stugramowe torebki z papryką wzbudziły zauważalne zainteresowanie kelnera. Przez kilka minut on i Martin dyskutowali, próbując uzgodnić cenę, w końcu Martin zorientował się, że kelner bierze go za ostatniego frajera i chce obedrzeć ze skóry. Martin wyciągnął portfel i demonstracyjnie pokazał kartę kredytową aranków – srebrzysty, metalowy dysk, jaki mu został z poprzedniej wizyty na Aranku.

Kelner od razu stracił ferwor, podwoił cenę na przyprawę, przyjął zamówienie i poszedł. Martin uśmiechnął się – karta była prawie pusta i na obiad nie starczyłoby z pewnością...

Serwowane w restauracji dania były interesującym efektem kompilacji ziemskich przypraw i miejscowych artykułów spożywczych. Dostarczanie mięsa i warzyw z Ziemi było oczywiście nierealne. Kilka kartofli i papryczek na ogromny kocioł gulaszu, trochę buraków do zupy z miejscowych warzyw oraz pozycja szczególna: prawdziwy ziemski kurczak! Ale za taką cenę, że tańszy byłby zakup całego strusia lub sklonowanie ptaka dront. Albo arankowie nie pozwalali hodować kur na swojej planecie, albo kury się tu nie zaadaptowały...

Kucharze musieli nieźle się nakombinować, przygotowując potrawy według ziemskich przepisów z miejscowych produktów, z dodatkiem ziemskich przypraw. Stąd dominacja kuchni węgierskiej i meksykańskiej – pieprz występował tu w roli wizytówki ziemskiej sztuki kulinarnej.

Przyniesiono gulasz. Martin spróbował pierwszą łyżkę i z aprobatą skinął głową. Smak był niezwykły, ale przyjemny. Również miejscowe piwo – Martin nie odważył się kupić piwa przywiezionego z Ziemi – okazało się całkiem niezłe. Dobrze się składa, że słabe napoje alkoholowe

wymyśliły wszystkie rasy humanoidalne. Czasem w oparciu o mleko, czasem na bazie roślin, ale żadna cywilizacja nie zdołała obejść się bez alkoholu.

Również miejscowy chleb (robiony „na ziemskich drożdżach!”, jak podkreślono w menu) był bardzo smaczny. Martin z przyjemnością zjadł obiad, potem, widząc na stole popielniczkę, zapalił cygaro.

Odnalezienie Iriny na Aranku nie powinno nastręczać większych trudności. Cywilizacja na tej planecie przypominała świetlany komunizm nie tylko ze względu na futurologiczne miasta i serdeczność ludności. Wiele usług oferowano bezpłatnie – również gościom planety. Służby informacyjne mogły błyskawicznie udzielić informacji o miejscu pobytu dowolnej istoty rozumnej na planecie – zarówno aborygena, jak i gościa. Martin nie wątpił, że gdyby miał teraz pod ręką terminal informatorium i zadał pytanie o samym sobie, otrzymałby odpowiedź: „Znajduje się w restauracji »Smak Ziemi«, współrzędne...”

Był tylko jeden problem – czy na Aranku rzeczywiście przebywa trzecia Irina Połuszkina. A jeśli tak – czy żyje i czy nie stała się jeszcze ofiarą nieszczęśliwego wypadku...

Martin przyłapał się na tym, że po prostu boi się znaleźć terminal i zadać pytanie. Boi się, że znowu się spóźnił.

Szybko dojadł gulasz, zapłacił, a raczej przyjął na swoją kartę pewną liczbę jednostek płatniczych – cena za paprykę minus wartość obiadu.

I wyruszył na poszukiwania terminalu.

Martin uważał się za technokratę i urbanistę, urodził się i dorastał w megapolis. I szczerze życzył Ziemi kontynuowania tej drogi rozwoju.

Ale mimo wszystko miasta aranków budziły w nim lekkie osłupienie. Może dlatego, że był nieprzyzwyczajony? Martin gubił się na ruchomych chodnikach, jego uwagę odwracały śmiałe rozwiązania architektoniczne, łamiące wszelkie wyobrażenia człowieka o wytrzymałości materiałów i architekturze. No bo po co ustawiono półkilometrowy wieżowiec na słupach? Pod wieżowcem mieściła się zielona polanka, podświetlona lampami dziennego światła i ogrodzona, żeby nikt przypadkiem nie wszedł. A w drugim cyklopowym budynku znajdował się ogromny prześwit, przez który przelatywały maszyny latające. Technika aranków stoi na nieprawdopodobnie wysokim poziomie, ale człowiekowi takie zaufanie do techniki wydaje się czymś nienaturalnym.

Niewykluczone, że to właśnie dlatego tylko nieliczni ludzie ryzykowali osiedlenie się na tej gościnnej planecie. Nieludzkie podejście aranków do środowiska nie tylko robiło wrażenie, ale również przerażało.

W końcu Martin zobaczył pomieszczenie informatorium publicznego, przypominające przestronną budkę telefoniczną w stylu europejskim, dla niepełnosprawnych. Rzecz jasna, na Aranku od dawna nie było żadnych inwalidów i w informatorium stał po prostu wygodny, obszerny fotel. Martin usiadł w nim z przyjemnością i zamknął drzwi – szyby budki od razu pociemniały, oddzielając go od świata. Terminal, widocznie ze względu na bliskość Stacji, był dwujęzyczny i reagował na turystyczny. A może arankowie przestawili na dwa języki wszystkie swoje automaty?...

– Chciałbym się dowiedzieć – powiedział Martin do matowego ekranu informatorium – czy na Aranku znajduje się dziewczyna z Ziemi, Irina Połuszkina.

Maszyna odpowiedziała bez wahania:

– Brak danych o Irinie Połuszkinej, człowieku płci żeńskiej z Ziemi.

Martin miał spore doświadczenie z wyszukiwarkami internetowymi i wiedział, jak ważne jest prawidłowe sformułowanie pytania. Wyjął zdjęcie Iriny – nieco już wytarte – odwrócił w stronę monitora i zapytał inaczej:

– Czy na Aranku znajduje się ta istota rozumna?

– Zbyt mało danych do przeprowadzenia dokładnej analizy. Po wyłączeniu zmiennych czynników wyglądu zewnętrznego z prawdopodobieństwem dziewięćdziesięciu dwóch procent podobnie wyglądają następujące istoty rozumne... – oznajmiła maszyna i na ekranie wyświetlił się długi rząd nazwisk z małutkimi zdjęciami.

Martin westchnął – kobiece twarze rzeczywiście przypominały twarz Iriny. Zakładając, że ludność Aranku wynosi dziesięć miliardów i jeśli odrzuci się „zmiennie czynniki wyglądu zewnętrznego”, takie jak kolor oczu, włosów, odcień skóry albo figurę, można uzyskać kilka tysięcy sobowtórów Iriny.

– Nowe pytanie – oznajmił po zastanowieniu Martin. – Ile osób płci żeńskiej i pochodzenia ziemskiego przybyło na Arank w ciągu ostatnich siedmiu dni według ziemskiej rachuby czasu?

Krótką przerwę i stanowczą odpowiedź:

– Czterdzieści dwie osoby.

– Zdjęcia – zażądał Martin.

Na ekranie pojawiły się małe portrety wszystkich przybyłych. Martin przebiegł je wzrokiem, uśmiechnął się i wskazał palcem jedno ze zdjęć:

– Powiększenie.

Portret Iriny Połuszkinej wypełnił cały ekran. Cóż, w pewnym sensie maszyna miała rację, wspominając o „zmiennych czynnikach”. Irina przefarbowała włosy na czarno.

– Kto to jest? – zapytał po prostu Martin.

– Na kontroli granicznej Stacji 3 osoba ta podała nazwisko Galina Groszewa i oznajmiła, że jest z planety Ziemia – powiedziała maszyna. – Wiek ocenia się na szesnaście-dwadzieścia lat. Cel przybycia na Arank – turystyczny.

– Gdzie znajduje się teraz ta osoba? – zadał pytanie Martin.

– Odpowiedź na to pytanie może być osobistą tajemnicą Galiny Groszowej – odparła surowo maszyna. – Proszę umotywować swoje zapytanie. Uprzedzam o włączonym wykrywaczu kłamstw.

Po zastanowieniu Martin powiedział:

– Rodzice tej dziewczyny prosili mnie, żebym ją znalazł i dowiedział się, czy wszystko z nią w porządku. Niepokój o los młodego osobnika, wydane na świat, jest naturalną cechą ludzkich rodziców. Wypełniając prośbę rodziców dziewczyny, chciałbym się z nią spotkać i dowiedzieć, czy nie ma problemów z powrotem na Ziemię. Nie mam zamiaru niepokoić jej ani doprowadzać do emocji negatywnych.

– Mówi pan prawdę – orzekło informatorium. – Pańskie zapytanie zostało uznane za umotywowane, ale informacja o dokładnym miejscu pobytu istoty rozumnej jest usługą płatną.

– Dobrze.

– W ciągu ostatnich dwóch dni Galina Groszewa znajdowała się w centrum badań globalnych, położonym w mieście Tyriant. Oto mapa.

Spod ekranu z szelestem wysunęła się plastikowa mapka.

– Dziękuję – powiedział Martin.

– Osiem jednostek rozliczeniowych – przypomniała maszyna. Martin położył kartę kredytową na czytniku i na ekranie zamigotały cyfry przeprowadzanej transakcji.

– Miło było panu pomóc – powiedziała fałszywie maszyna.

Martin zabrał kartę kredytową i mapę, otworzył drzwi i pogwizdując wesoło wyszedł na zewnątrz. Zerknął na mapę. Arankowie nie używali wprawdzie pisemnego turystycznego i legendę wydrukowano w języku aranków, którego Martin nie znał, ale znaczki-piktogramy dawały się zrozumieć bez trudu. Należało dotrzeć ruchomymi chodnikami do przystanku jednoszynowej kolei wiszącej, następnie na lotnisko, później samolotem do Tyriantu, trasa do centrum badań globalnych...

Komu w drogę...

Martin zdążył oddalić się od informatorium na dwadzieścia metrów, gdy budka eksplodowała.

Zresztą, eksplozja to zbyt duże słowo. Budka drgnęła, sklęsała i zaczęła się topić niczym kawałek masła na rozgrzanej patelni. Po dwóch sekundach z informatorium pozostał jedynie plastikowy pagórek, z którego sterczało oparcie fotela i przekrzywiony monitor, oblepiony zdeformowanym plastikiem. Martin wyobraził sobie, jak siedzi w tym fotelu, i zrobiło mu się słabo.

Reakcja przechodniów była bardzo naturalna. Część oddaliła się pospiesznie, a kilku ciekawskich, przeciwnie, podeszło bliżej. Martin przełknął kulę w gardle i zaczął się powoli cofać.

– Przepraszam, czy będę miał słuszość, zwracając się do pana w języku turystycznym? – rozległ się z tyłu dziecięcy głosik. Martin obejrzał się z obawą, ale za nim rzeczywiście stał chłopiec, mniej więcej ośmioletni. Wyglądał jak dobrze wychowane dziecko z czasopisma dla wzorowych rodziców – staranna fryzura, mała błękitna czapeczka i czyściutki chałat w kolorze kanarkowym, spod którego wystawały noski długich, czerwonych butów. Martin zastanawiał się przez chwilę, kogo ten chłopiec bardziej przypomina – Nieznajkę czy małego Muka – i zawyrokował, że Nieznajkę – długie rzęsy, migdałowe oczy i smągła cera, nie mówiąc o ubraniu, przywodziły na myśl arabski koloryt.

– Tak, mówię w języku turystycznym – odparł Martin.

Usatysfakcjonowany chłopiec skinął głową i mówił dalej:

– Tak właśnie pomyślałem. Wygląda pan na mieszkańca Ziemi – świadczy o tym strój i pewne szczegóły zachowania. Proszę mi powiedzieć, czy nie zostawił pan w kabinie bomby termicznej?

Martin pokręcił głową.

– W takim razie był to zamach na pana – zdecydował chłopiec. – Tak? Albo ktoś próbuje pana zastraszyć. Czy ma pan wielu wrogów?

Martin uznał, że najlepiej będzie zaprzeczyć.

– Chodźmy stąd – zaproponował chłopiec. – Wkrótce przybędzie policja i zaczną panu zadawać pytania. Chce pan na nie odpowiadać?

– Nie – odparł stanowczo Martin.

– To chodźmy – powtórzył chłopiec i podał mu rękę.

Przypadkowy obserwator mógłby pomyśleć, że to Martin prowadzi chłopca za rękę. Ale w rzeczywistości chłopiec prowadził Martina. Szybko przecięli pasy ruchomych chodników, weszli do jakiejś dekoracyjnej bramy między budynkami, znaleźli się na równoległej ulicy i stanęli przed kawiarnią. Przy stolikach pod kolorowymi parasolami siedziało kilka osób.

– Czuję się bardzo niezręcznie – powiedział chłopiec – ale nie mam karty kredytowej i nie mogę pana zaprosić. Ale może mimo wszystko usiądziemy?

– To ja zapraszam ciebie – rzekł Martin, któremu kręciło się w głowie od stopionej kabiny informatorium i pojawienia się tego nad wiek rozwiniętego dziecka.

– Nie, nie – pokręcił głową chłopiec. – Jedzenie dla dzieci jest bezpłatne. U was jest inaczej?

– U nas wszystko jest inaczej – wyznał ponuro Martin, siadając przy stoliku. – Co najwyżej mamy równie bezczelnych terrorystów.

Chłopiec wdrapał się na krzesło, a Martin z wysiłkiem stłumił pragnienie udzielenia mu pomocy. Nie wiadomo, jak takie dziecko przyjmie pomoc dorosłego. Na przykład to, co powiedział Martin o terrorystach, chłopiec potraktował jako obrazę:

– Ależ nie! To naprawdę zupełnie wyjątkowy przypadek! Zdecydowałem się pana zaczepić tylko dlatego, że byłem mimowolnym świadkiem!

Martin odetchnął głośno:

– Mały, czy u was wszystkie dzieci są takie mądre?

W oczach chłopca pojawił się smutek.

– No co pan... Ja jestem jednym z trzystu najinteligentniejszych dzieci planety. Co prawda, plasuję się pod koniec listy. Przepraszam, zapomniałem się przedstawić. Nazywam się Gatti. To

zdrobniała forma imienia i pomoże pokonać niezręczność. Tak?

– Martin.

Gatti z poważną miną podał Martinowi rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

– To ludzki zwyczaj? – upewnił się chłopiec. – Trochę mi się myli, w galaktyce jest tyle rozumnych ras...

Do stolika podszedł kelner. Nie znał turystycznego, ale Gatti wystąpił w charakterze tłumacza i zamówił sobie lody, a Martinowi kawę z koniakiem. Kawa była wprawdzie miejscowa, ale w smaku rzeczywiście przypominała ziemską, a w jej skład wchodził stymulujący alkaloid, niewykluczone, że kofeina. Koniak, czy raczej jego miejscowy odpowiednik, Gatti zasugerował Martinowi sam:

– Jest pan teraz w szoku i niewielka ilość mocnego alkoholu panu nie zaszkodzi.

Martin skinął głową, postanawiając zdać się na bieg wydarzeń. Zapytał tylko:

– Powiedz mi, Gatti, czy znalazłeś się tam przypadkiem?

Chłopiec spieszył się i odwrócił wzrok:

– Nie. Obserwowałem pana od chwili, gdy wyszedł pan ze Stacji. Przepraszam.

– Po co?

– Mam zadanie – wyjaśnił chłopiec. Gdyby powiedział: pracuję dla służb specjalnych Aranku, Martin też by uwierzył. Ale chłopiec ciągnął: – Jutro mamy seminarium o ksenopsychologii i chciałem przygotować wykład o zachowaniu humanoida, który po raz pierwszy znalazł się na naszej planecie.

– Pomyliłeś się, byłem już na Aranku – odparł Martin. – Co prawda w innym mieście.

– Zrozumiałem to już, zachowywał się pan bardzo pewnie... – westchnął Gatti. Zerknął na futerał z karabinem i zapytał: – To broń?

– Tak.

– Laserowa?

– Nie, na pociski. Jest zaplombowana. Powiedz mi, przyjacielu, co się stało z kabiną informatorium?

– Sądzę – zaczął chłopiec – że pod wpływem temperatury około dwóch tysięcy stopni molekuly polimerów straciły...

– Nie o to pytam. Skąd wzięła się taka temperatura? To bomba? A może ktoś strzelał?

– Trudne pytanie – westchnął chłopiec. – Myślę, że ktoś strzelał. Lasery bojowe są w stanie wygenerować promień termiczny wystarczającej mocy. Początkowo pomyślałem, że to atak z satelity, ale kabina znajdowała się pod daszkiem budynku, który nie uległ zniszczeniu. Widocznie strzelec siedział w tamtym wieżowcu...

Martin odwrócił się i popatrzył na ścianę z metalu i szkła – to był ten budynek z dziurą w środku, przez którą przelatywały maszyny latające.

– A może strzelano z flaura?... – zastanawiał się dalej chłopiec. – Wówczas bardziej wyglądałoby to na próbę zastraszenia niż na poważny zamach. Więc jednak ma pan wrogów?

– Już powiedziałem, że nie – uciał Martin. – Nie więcej niż każdy człowiek. A już na pewno nie na waszej planecie!

Kelner przyniósł Gattiemu lody – miseczkę z kolorową masą, zaś Martinowi zwykłą filiżankę



kawy i kieliszek gęstego, bursztynowego płynu.

– I mimo to sprawa wygląda poważnie – ciągnął chłopiec, gdy kelner odszedł. – Potrzebuje pan pomocy?

– A możesz mi jej udzielić? – Martin postanowił się niczemu nie dziwić.

Chłopiec uśmiechnął się zakłopotany:

– Co też pan, ja jestem jeszcze dzieckiem! Ale mogę poprosić rodziców, żeby panu pomogli. Mój tata jest szanowanym obywatelem, pracuje w merostwie i mógłby zapewnić panu ochronę.

– A jaki ty masz w tym interes? – zapytał podejrzliwie Martin, jakby nie rozmawiał z niewinnym dzieckiem z nieprawdopodobnie cywilizowanego świata, lecz ze starym łajdakiem z dzikiej planety.

– Po pierwsze – zaczął chłopiec, wcale nie zdziwiony pytaniem – nasze narody znajdują się w przyjacielskich stosunkach, a ten incydent jest bardzo nieprzyjemny i chciałbym go jakoś zatrzeć. Po drugie, wydaje mi się, że jest pan dobrym człowiekiem – mam zdolność do empatii i bardzo rzadko myślę się w ocenie ludzi... a obowiązkiem dobrych istot rozumnych jest pomaganie sobie nawzajem. Czyż nie? Po trzecie, chociaż ten motyw nie jest dominujący, jeśli uda mi się panu pomóc i opowie mi pan o swoich przygodach, mimo wszystko będę mógł przygotować wspaniały wykład na seminarium o ksenopsychologii.

– Gatti... – odezwał się Martin po chwili milczenia. – Nie mógłbyś mówić trochę prościej? Jak... jak dziecko?

– Ale przecież świetnie mnie pan rozumie? – zdumiał się chłopiec. – Aha! Peszę pana?

– Trochę – przyznał Martin. – Zresztą, to nieistotne. Mów jak chcesz. Jestem gotów przyjąć twoją propozycję, ale nie mogę obiecać, że dużo ci opowiem.

Gatti uśmiechnął się radośnie:

– Wspaniale! Dokończę tylko lody, bardzo lubię. A potem pójdziemy do mojego ojca i opowiemy o wszystkim.

Martin skinął głową i wypił koniak jednym haustem. Koniak był smaczny.

Na ile mógł się zorientować Martin, stanowisko pana Lergassi-kana, ojca Gattiego, odpowiadało czemuś w rodzaju pomocnika mera albo ministra przy władzach megapolis. Wielki, luksusowy gabinet na jednym z najwyższych pięter, osobisty hangar (przez przezroczystą ścianę widać flajer), siedząca w gabinecie sympatyczna sekretarka i kilku młodych ludzi – referentów, a być może ochroniarzy. Martin rozpaczliwie próbował przypomnieć sobie coś na temat ustroju społecznego Aranku, ale z pamięci wylaniały się wyłącznie jakieś brednie. Mimo istnienia rządu ogólnoplanetarnego, władze megapolis posiadały ogromne pełnomocnictwa – w ich gestii były nie tylko same miasta, ale również okoliczne tereny. Czyżby echo poprzedniego ustroju państwowego? Cóż, wówczas ten uśmiechnięty mężczyzna w skromnym, szarym chałacie rzeczywiście był ptakiem wysokich lotów.

– Oburzająca historia – rzekł Lergassi-kan, po wysłuchaniu rzeczowej, niczym raport gorliwego pracownika, opowieści syna. – Sprawdzę, co już wiadomo.

Martin usiadł w fotelu naprzeciwko urzędnika i cierpliwie czekał. Lergassi-kan nie korzystał z żadnego terminalu, położył na karku sprężysty łuk słuchawek emitera falowego i zamarł. Martin z powagą pokiwał głową. Nawet na Aranku bezpośredni kontakt z siecią komputerową nie był w powszechnym użyciu – wymagał ogromnej koncentracji uwagi, samokontroli i dyscypliny. Pewnej

ziemskiej korporacji udało się kupić od aranków tę technologię, ale już wkrótce okazało się, że zwykły terminal i klawiatura są znacznie wygodniejsze.

– Cóż za rozpusta! – powiedział z emfazą Lergassi-kan, zdejmując emiter. Popatrzył surowo na syna, który, stając na palcach, z zainteresowaniem zaglądał w papiery leżące na stole ojca. – Kergatti-ken! Przynajmniej ty zachowuj się przyzwoicie!

Nie speszony chłopiec odsunął się od stołu i zapytał:

– Co to takiego: małżeństwo prewencyjne?

– To rozpusta, na którą nie pozwolimy – odpowiedział krótko urzędnik i znowu przeniósł spojrzenie na Martina. – Jako przedstawiciel władzy miejskiej składam panu moje najszersze przeprosiny. Rzeczywiście próbowano dokonać na pana zamachu. Strzelano z flaera, wynajętego na dziesięć minut przed zamachem. Ponieważ komputer flaera zepsuto, nie znamy cech terrorysty. Nie udało się również pobrać jego zapachu, ktoś wylał w kabinie pół butelki perfum. Broń została porzucona na miejscu zajścia, zaraz ją panu dostarczą...

– Słucham? – nie zrozumiał Martin. Lergassi-kan ze zdumieniem uniósł brwi.

– Przecież on jest z innej planety... – przypomniał chłopiec.

– No to co? – zmarszczył brwi urzędnik. – Ach tak, rzeczywiście... Jako poszkodowany, wobec którego przejawiono maksimum wrogości, otrzymuje pan prawo do majątku przestępcy, jego honoru, własności intelektualnej, potomstwa i partnerów seksualnych.

– Surowo tu u was – zauważył Martin.

– Naturalnie – przyznał Lergassi-kan. – Rzecz jasna, ma pan prawo zrezygnować z tej części kompensaty, która jest panu niepotrzebna. Bo po co panu na przykład zła sława? Ale jeśli przestępca zasłynął jako działacz kultury albo filantrop, otwierają się przed panem ogromne perspektywy... Pamiętam, był taki przypadek, gdy wynalazca...

– Tato – powiedział cicho Gatti.

– Tak, tak, przepraszam – urzędnik skinął głową. – A więc, na razie możemy zaproponować panu jedynie wyrzuconą przez przestępcę broń termiczną. To wyjątkowy przypadek. Jako osoba pochodzenia obcoplanetarnego, nie może pan posiadać broni o wysokim stopniu zaawansowania technicznego. Ale prawa osobiste stoją ponad prawami państwowymi... Wypiszę panu zezwolenie.

– Co powinienem zrobić, panie Lergassi-kan?

– Bez takich ceremonii – skrzywił się urzędnik. – Jest pan przyjacielem mojego syna, a więc również moim. Proszę zwracać się do mnie po prostu Lergassi. Jaki ma pan problem, Martinie?

– Ciągle ten sam – przypomniał Martin. – Próbowano mnie zabić. Boję się o swoje życie.

– Rozsądne podejście – skinął głową Lergassi-kan. – Mogę zaproponować panu uzbrojoną ochronę. Wprawdzie tylko na terenie naszego miasta i okolicy, ale to takie piękne miejsca! Jeziora lacwickie, wodospad Adano, gdzie do dziś odbywają się wspaniałe, starożytne ceremonie, skały wapienne, stary poligon atomowy, brzeg morza ze słynnymi w całej galaktyce kurortami...

– Muszę wyruszyć do innego miasta – przyznał się Martin. Urzędnik skrzywił się:

– Do jakiego konkretnie?

– Do Tyriantu.

Lergassi-kan westchnął:

– Co za nieudany wybór! Są miasta, w których mógłbym panu pomóc, ale Tyriant... – skrzywił

się. – Jest pan pewien, że chce pan odwiedzić tę kloakę?

– Przybyłem z Ziemi w poszukiwaniu dziewczyny, która znajduje się właśnie tam – powiedział Martin. – Więc bez względu na wszystko będę zmuszony wyruszyć do Tyriantu.

Lergassi-kan popatrzył na syna i pokiwał pouczająco palcem:

– Gatti! Oto jeden z przykładów właściwego zachowania, jakie daje nam życie. Miłość, silniejsza od strachu i instynktu samozachowawczego! Nie mnie sądzić, czy decyzja naszego gościa jest słuszna, ale ty powinieneś zapamiętać ten czyn!

– Tak zrobię, tato! – skinął głową chłopiec.

– Co mógłbym dla pana zrobić... – zastanawiał się na głos Lergassi-kan. – Broń... hmm, niezły pomysł... robi pan wrażenie dzielnego człowieka... Zdarzało się już panu zabijać istoty rozumne?

Martin drgnął, ale odpowiedział uczciwie: – Tak.

– Znakomicie! Oczywiście, nie mówię o samym fakcie, lecz o pańskiej umiejętności obrony. Rekompensata pieniężna od miasta? Czy jest to niezgodne z pańskimi zasadami moralnymi?

– Nie – powiedział Martin.

– Gatti! – urzędnik znowu odwrócił się do chłopca. – Oto kolejny przykład godnego zachowania! W sytuacjach krytycznych istota rozumna powinna odrzucić tradycyjne normy moralne i skupić się na przetrwaniu!

– Zapamiętam, tato – kiwnął chłopiec.

– Co jeszcze?... – zastanawiał się dalej Lergassi. – Ochrona w mieście... A jeśli spróbują dokonać zamachu w samolocie? Dobrze. Wyruszy pan w absolutnej tajemnicy i zupełnie sam.

– Chciałbym pojechać z Martinem... – wtrącił się Gatti.

– Nie zgadzam się! – urzędnik pokręcił głową. – Rozumiem, że to niezwykle ciekawa i pouczająca przygoda, ale będziesz dla naszego gościa ciężarem.

Chłopiec popatrzył błagalnie na Martina i ten musiał udać, że nie rozumiał.

– To chyba wszystko... – podsumował Lergassi-kan. – Cóż, cieszę się, że mogłem panu pomóc, drogi gościu!

Audjencja dobiegła końca i Martin wstał. Ale w tym momencie coś pociągnęło go za język:

– Proszę mi wybaczyć ciekawość, panie Lergassi... ale czy mógłbym zadać osobiste pytanie?

– Oczywiście – uśmiechnął się urzędnik.

– Nasze rasy są zbliżone pod względem fizjologicznym, ale różnią się aspektami psychologicznymi...

Lergassi-kan skinął głową:

– Proszę mi powiedzieć – ciągnął Martin – czy rzeczywiście byłby pan gotów pozwolić swojemu synkowi na wyprawę do innego miasta wraz z nieznanym przybyszem z innej planety, na którego poluje nieznany przestępca?

– Więc chce go pan wziąć ze sobą? – zdumiał się Lergassi-kan. – Cóż, wydaje mi się, że mógłby to być początek wspaniałej przyjaźni...

– Nie, nie! – zaprotestował Martin, widząc ożywienie chłopca. – Uważam, że to było nierozsądne i niegodne zachowanie! Ale naturalny strach o życie i bezpieczeństwo...

– A... – skinął głową Lergassi-kan. – Oczywiście, bardzo bym się denerwował, Gatti to mój jedyny syn. Ale aspekt poznawczy takiej przygody przewyższa ewentualne ryzyko. Dlatego w grę

wchodzi już tylko pańska wygoda.

Martin pokręcił głową:

– Chyba źle się wyraziłem... Otóż każdy ziemski rodzic, jeśli tylko jest w pełni władz umysłowych, próbuje odgrodzić swoje potomstwo od najmniejszego, nawet hipotetycznego niebezpieczeństwa...

– Życie jest pełne niebezpieczeństw – odparł filozoficznie Lergassi-kan. – Psuje się automatyka fliera i spada pan z ogromnej wysokości. Wyrusza pan na polowanie – i zwierzę okazuje się sprytniejsze od pana. Lekarze nie zdążyli rozpoznać zmutowanego szczepu bakterii – i już pan nie żyje. Po co zamartwiać się hipotetycznymi zagrożeniami? Trzeba unikać realnych problemów!

– Lergassi, niech mi pan powie, czy rzeczywiście wasza rasa nie zna pojęcia „sens życia”? – zapytał ostrożnie Martin.

Lergassi-kan roześmiał się. Cichutko zachichotała sekretarka. Referenci chyba nie znali turystycznego, bo popatrzyli na szefa ze zdumieniem. Nawet nabzdyczony Gatti wesoło chichotał.

– Martinie... – Lergassi-kan położył dłoń na jego ramieniu. – Robi pan standardowy błąd, tak charakterystyczny dla wielu ras... Życie samo w sobie jest sensem i istotą istnienia. Czym wobec tego jest sens życia?

– Sensem sensu? – zasugerował Martin. – Przepraszam, jeśli pana uraziłem...

Jego słowa spowodowały nowy atak śmiechu. Sekretarka śpiewnym głosem przekazała referentom rozmowę i teraz trójka potężnych mężczyzn, siedzących na kanapie pod ścianą, bezskutecznie próbowała powstrzymać śmiech.

– Ależ nie, Martinie, co też pan... – wykrztusił Lergassi-kan. – Wcale mnie pan nie uraził. Zapewne wydaje się panu, że nasza rasa jest w jakiś sposób ułomna? Że jesteśmy pozbawieni czegoś ważnego, intrygującego?

Stropiony Martin skinął głową.

– A nam się wydaje... – zaczął Lergassi-kan, odwrócił się do syna i polecił: – Zatkaj uszy i nie podsłuchuj!

Chłopiec posłusznie zatkał uszy i Lergassi-kan kontynuował:

– A nam się wydaje, że to właśnie wy jesteście ułomni. Że to wy macie coś zbędnego i wstydliwego jak członek, który wyrósł na czole.

– I nawet nie interesuje was, jak to jest: żyć z takim guzem na głowie? – zapytał Martin, już trochę zły.

– Myślę, że bardzo niewygodnie – odpowiedział z uśmiechem Lergassi-kan.

Przez całą drogę na lotnisko Martin zastanawiał się nad rozmową z Lergassi-kanem. Urzędnik wyposażył go we flajer i oddał mu do dyspozycji referenta w charakterze pilota i ochroniarza jednocześnie. Gatti, który postanowił odprowadzić ziemianina, nie krył urazy i nie zaczynał rozmowy.

Za słowami Lergassi-kana o sensie życia stała nie tylko psychologia jego rasy. Aranków można by uznać za dziwaków, gdyby nie przesuwające się pod flajerem cudowne miasto – jedno z wielu miast Aranku. Miasto, w którym sąsiadują ze sobą ogromne budynki i dzikie parki; miasto, w którym większość potrzeb obywateli zaspokajana jest bezpłatnie; miasto, w którym przestępstwa są rzadkie, a mieszkańcy serdeczni wobec przybyszów... Nawet próba zamachu nie zmieniła stosunku Martina do tej rasy.

Dlaczego ziemianie uważają się za lepszych od tych spokojnych, pewnych siebie, szczęśliwych braci w rozumie? Ze względu na tysiącletnie rozmyślanie o sensie życia? Ileż krwi przelała ludzkość w imię tego sensu, podczas gdy arankowie budowali swój świat... Ze względu na religijność, pozwalającą wierzyć w Boga i rozmyślać o niepojętym? Tylko gdzie są efekty tej religijności...

Byłoby prościej, gdyby arankowie okazali się czerstwi duchowo i pozbawieni emocji. Byłoby łatwiej, gdyby nie znali miłości i współczucia, nie umieli przyjaźnić się i marzyć... Ale oni byli równie emocjonalni jak ludzie! Technokraci odnajdywali na planecie aranków urzeczywistnienie swoich marzeń, naturyści zachwycali się bezkresnymi przestrzeniami dzikiej natury oraz patriarchalnymi obyczajami regionów rolniczych, uczeni zazdrościli arankom wspaniałych laboratoriów, komuniści krzyczeli, że Arank to planeta zwycięskiego komunizmu, a miłośnicy przygód stawiali za wzór ich program kosmiczny. Nawet izolacjoniści i ksenofobi wszelkich maści z aprobatą wypowiadali się o tej ostrożności, z jaką arankowie traktowali dary kluczników...

Czy to znaczy, że historia wszystkich innych cywilizacji w galaktyce jest pomyłką? I tylko niezastanawiający się nad sensem życia arankowie zdołali ten sens odnaleźć? Było w tym coś z rzymskich stoików i greckich cyników... arankowie jakby pozostali w okresie szczęśliwego i beztrudnego dzieciństwa, gdy człowiek jeszcze nie wierzy we własną śmierć, nie zadaje sobie pytań o przyszłość i nie wspomina przeszłości, gdy w całej pełni korzysta z chwili obecnej...

– Gatti – odezwał się Martin. Siedzący między nim i pilotem chłopiec spojrzał na niego pytająco. – Skoro pasjonujesz się ksenopsychologią, słyszałeś zapewne o istnieniu religii?

– Naturalnie – ożywił się chłopiec. – Wiara w Stwórcę wszystkiego, co istnieje, to bardzo interesujący fenomen i jest właściwa wszystkim rasom, prócz kluczników, o których nie ma żadnej informacji, oraz naszej cywilizacji, która jest w pewnym sensie unikatowa.

– I co ty na to?

– To bardzo ciekawe – zapalał się Gatti. – Ponieważ wiara jest ściśle związana z pojęciem sensu życia, nasza rasa nigdy nie miała własnej mitologii. Podchodząc do tego problemu z naukowego punktu widzenia, jesteśmy zmuszeni przyznać zasadniczą niepoznawalność danej kwestii. A ponieważ ten problem nie posiada rozwiązania, zagłębianie się w niego jest niepotrzebne. Dla większości ras wiara stanowi potężny czynnik psychoterapeutyczny i wychowawczy, dlatego też jest zjawiskiem pozytywnym.

– A ty sam nie wierzysz w Boga, w życie po śmierci?... – zaczął Martin.

– Jeśli umrę, ale nadal będę istnieć jako osobowość, kwestia rozwiąże się sama z siebie –

wyjaśnił spokojnie Gatti.

– Być może właśnie dlatego warto wierzyć... – Martin zawahał się, dobierając słowa – na wszelki wypadek? Jeśli okaże się, że Bóg istnieje, będziemy wygrani!

– Owszem, ten pomysł przychodził mi do głowy – przyznał pobłaźliwie Gatti. – Ale problem polega na tym, że istnieje bardzo wiele religii. Nawet na waszej planecie, prawda? Chrześcijaństwo, islam, buddyzm, gaczczer...

– Gaczczer to religia geddarów – poprawił sucho Martin.

– Ojej, znowu mi się pokręciło... – spieszył się Gatti. – Ale skoro religii jest tak dużo i każda twierdzi, że jest tą jedynie słuszną, pojawia się problem wyboru. Znacznie niebezpieczniej byłoby popełnić błąd w wyborze, niż w ogóle nie wierzyć w Boga, prawda? Przecież każda religia jest znacznie bardziej agresywna wobec heretyków niż wobec ludzi niewierzących. Tak?

– Tak – przyznał ponuro Martin.

– Dlatego w ogóle nie zagłębam się w tę kwestię – dokończył Gatti. – Byłoby przykro przez całe życie wierzyć w Allacha i przestrzegać odnośnych obrzędów, a po śmierci znaleźć się bosymi piętami na ostrzu miecza TajGeddara! Albo przyjąć chrześcijaństwo...

– Wystarczy, zrozumiałem ogólny sens – przerwał Martin.

– Uraziłem twoją wiarę? – domyślił się Gatti. – Przepraszam – zamyślił się na chwilę, po czym przymilnie zapytał: – Martinie, a może opowiedziałbyś mi coś więcej o swojej religii? Postaram się zrozumieć, naprawdę!

Martin roześmiał się mimo woli:

– Sprytny jesteś, mały. Ale i tak nie wezmę cię ze sobą.

Gatti nadał się i zamilkł na dłużej. I dopiero, gdy flajer wyleciał poza granice megapolis, powiedział:

– I tak jesteś moim przyjacielem. Nauczę cię posługiwać się bronią termiczną, chcesz?

Referent zerknął na chłopca i mruknął:

– Tylko nie odbezpieczaj.

Martin rozwinął podłużną paczkę, którą wręczono mu w biurze Lergassi-kana. Broń termiczna przypominała pistolet z bardzo długą lufą, albo obrzyn z podpiłowaną kolbą. Absolutnie hermetyczna, jakby zrobiona z jednego kawałka szaroniebieskiego metalu, miała szeroki spust, migoczący czerwono-biały wskaźnik, owalny guzik na magazynku, a otwór lufy zaciągnięty metalową membraną.

– To bezpiecznik – wyjaśnił Gatti, nie dotykając przycisku palcem. – To spust. Broń generuje drgania o wysokiej częstotliwości, nagrzewające dowolną materię z odległości dwóch kilometrów. Cel powinien znajdować się w polu widzenia, dowolna przeszkoda, nawet szkło czy gałęzie drzew, zatrzyma energię i zostanie uszkodzona jako pierwsza. Wskaźnik pokazuje pozostały czas pracy broni. Teraz zostało tu ładunku... – zamyślił się – na jakieś dwie, trzy minuty.

– Da się regulować moc wystrzału? – zapytał Martin.

– Pięciostopniowa regulacja w zależności od siły naciśnięcia spustu. Wyczujesz palcem, jak spust pokonuje kolejne poziomy...

Gatti spokojnie wsunął palec w kabłąk i nacisnął spust. Martin zamarł z przerażenia – lufa była odwrócona w stronę chłopca.

– O, właśnie tak – wyjaśnił spokojnie chłopiec. – Słyszałeś ciche pstryknięcia?

– Ty idioto! – wrzasnął Martin. – Po co naciskałeś spust?!

Pilot drgnął i popatrzył na niego zdumiony. Gatti też wydawał się stropiony.

– Ale przecież bezpiecznik nie jest naciśnięty! Przecież widziałem!

– Raz do roku strzela nawet nie nabita broń! – krzyczał dalej Martin, pospiesznie zawijając karabin w płachtę miękkiego plastiku.

– Jak to? – Gatti był wstrząśnięty.

Martin popatrzył z wyrzutem na pilota.

– No niechże mu pan wyjaśni! Mógł spalić i siebie, i pana!

Referent wyglądał na speszonego. Popatrzył na Gattiego, potem zerknął na Martina, w końcu uśmiechnął się niepewnie:

– Ale przecież bezpiecznik nie był wciśnięty?... Gatti jest rozsądnym dzieckiem i wie, czym grozi wystrzał z broni termicznej.

– Do tego stopnia ufacie swojej technice? – zapytał Martin przygnębiony. – Ale przecież... jakikolwiek przypadek...

– Zabezpieczona broń nie strzela – powiedział Gatti łagodnie, jakby uspokajał chorego. – Tam jest wielopoziomowa, absolutnie bezpieczna blokada. Zapewne źle to wyjaśniłem. Tak?

– Tak – powtórzył Martin ulubione słówko chłopca. Łatwiej było się zgodzić niż wyjaśniać temu dziecku ziemski stosunek do broni, wynikający zapewne z niezrozumiałego sensu życia i innych ludzkich bredni. Spocony ze strachu, zestresowany Martin nie odezwał się aż do lotniska. Jego towarzysze, wyraźnie zdumieni incydentem, również milczeli.

Najpierw przeprowadzono Martina przez salę rejestracji, bardzo przypominającą te na największych ziemskich lotniskach. Następnie kupiono mu bilet na zwykły lot pasażerski – nie do Tyriantu, lecz do innego miasta – przeprowadzono przez kontrolę. Ponieważ na Aranku odprowadzający mogli wejść nawet do samolotu, Gatti i referent towarzyszyli Martinowi aż na pas startowy, gdzie, nie umawiając się, odciągnęli Martina od autobusu.

Szli chyba z kilometr, ignorując schodzące do lądowania samoloty, przy czym Martin musiał przez cały czas powtarzać sobie, że arankowie nie są pozbawieni instynktu samozachowawczego. Na jednym z pasów stał mały samolocik z wąskimi skrzydłami i otwartymi drzwiami.

– To służbowy samolot merostwa – wyjaśnił referent. – Dostarczy pana do Tyriantu... Cóż, powodzenia w walce o miłość!

W głosie referenta było jednocześnie zrozumienie, współczucie i zachwyt. Martin postanowił nie wyprowadzać mężczyzny z błędu i mocno uściśnął mu dłoń.

– Może jednak... – zaczął żałośnie Gatti.

Martin uśmiechnął się, poklepał chłopca po głowie i wszedł przez luk, który zamknął się za jego plecami. Z malutkiej, nie oddzielonej od pomieszczenia dla pasażerów kabiny pilotów wysunął się poważny arank w podeszłym wieku i łamanym turystycznym – widać, że uczył się sam – powiedział:

– Proszę siadać, startujemy!

W samolocie było tylko sześć foteli – ogromne, masywne, które mogłyby wzbudzić zazdrość ziemskich pasażerów pierwszej klasy – i niewielki stolik między nimi. Martin wrzucił plecak i karabin na półkę na bagaż, usiadł przy iluminatorze i pomachał ręką odprowadzającym. Gatti stał ze smutną miną, trzymał referenta za rękę i chyba pochlipywał. Referent pomachał Martinowi dłonią

i zaczął coś poważnie tłumaczyć chłopcu.

Martin odchylił się na oparcie fotela i zamknął oczy. Pakunek z bronią termiczną położył na siedzeniu obok.

Samolot nabierał rozpędu. W odróżnieniu od flajerów, które utrzymywało w powietrzu jakieś pole i które mogły latać tylko nad miastami, samolot był bardziej tradycyjny. Taki sobie „zwykły” samolot z turboodrzutowym silnikiem naddźwiękowym...

– Jak oni mogą żyć bez sensu życia? – mruknął Martin. – No jak?

Ale jeśli nawet gdzieś był ten, który mógłby mu odpowiedzieć, to nie lubił tego robić bardziej niż klucznicy.

Miękkie pchnięcie – samolot podskoczył, wzbijając się w niebo. Pół minuty później ziemia została daleko w dole, a po kilku minutach niebo stało się nienaturalnie gładkie i tak niebieskie, jak tło niezaprogramowanego kanału z napisem „sygnał-zero” w dobrym telewizorze. Martin pomyślał, że ta analogia ma głębszy sens – niebo rzeczywiście nie dawało arankom żadnych sygnałów... Potem niebieski został zastąpiony granatem, granat czernią i Martinowi wydawało się, że widzi gwiazdy. Chwilę później wiedział już, że to nie złudzenie. Gdzieś z tyłu samolotu uspokajająco huczał silnik.

– Można wstać! – oznajmił wesoło pilot, wychodząc z kabiny.

Martin zerknął przez jego ramię – pilot był tylko jeden, i w kabinie nie było teraz nikogo. Ster kołysał się lekko, przeprowadzając jakieś manewry.

Zapewne, gdyby Martin wyjaśnił pilotowi swój stosunek do techniki w ogóle i bezpieczeństwa w szczególności, pilot wróciłby za stery – wyłącznie z szacunku do gościa z innej planety, który nie przywykł ufać technice.

– Dziękuję, to był bardzo łagodny start – powiedział uprzejmie Martin. – Gdzie tu jest toaleta?

Gdy wrócił z kabiny w ogonie (tam umieszczono nie tylko toaletę, ale również prysznic i niewielką wnękę z podejrzanie szerokim i miękkim łóżkiem), pilot kończył serwowanie obiadu. Na stole pojawiły się różne potrawy i butelka miejscowego wina, a nawet nieduży, szklany świecznik, którego trzy knoty płonęły czerwonym, zielonym i niebieskim płomieniem.

– Bardzo sympatycznie – przyznał Martin. – Dziękuję.

– Długi lot – wyjaśnił pilot. – Trzy godziny. Tyriant... – zastanowił się. – Najbardziej daleki punkt.

– Na drugiej półkuli? – domyślił się Martin. – Ależ interesująco trafiłem...

Znajomość języka obcego to wielka siła. Znając język, zaczynasz rozumieć mentalność obcego. Niektóre rasy nie lubiły, gdy obcy uczyli się ich mowy, za to sami chętnie studiowali inne języki.

Arankowie nie byli ani nazbyt ostrożni, ani nietolerancyjni wobec innych ras. Na Ziemi sprzedawano samouczki ich języka, organizowano kursy... Martin wiedział, że ich język nie należy do szczególnie trudnych, a wielu ludzi chwaliło go za surową logikę struktury i przejrzystą gramatykę.

Niestety, język turystyczny, który otrzymywał każdy podróżnik, przechodząc przez Wrota, nie dał żadnemu z języków szans na rangę galaktycznego esperanto. Wprawdzie był skomplikowany, ale nie trzeba się było go uczyć...

– Przejdę przez Wrota – mówił Martinowi pilot, beztrąsko popijając wino. – Obowiązkowo. Można się nauczyć, można mówić. Rozmawiać ze wszystkimi. To dobrze.



– Nie boi się pan, że nie znajdzie pan historii, umożliwiającej powrót? – zapytał Martin. Z pierwszą historią sytuacja była niemal identyczna w przypadku wszystkich ras – klucznicy bardzo cenili autobiografie.

Pilot przez jakiś czas marszczył brwi, w końcu powiedział:

– Nie, nie boję się. Można wybrać ciekawą planetę. Patrzeć, mówić, myśleć. Myśleć i znowu myśleć. Historia będzie.

– To prawda – skinął głową Martin. Pierwsza podróż poza granice własnej planety dostarczała zwykle sporo wrażeń, a przekształcenie ich w opowieść nie stanowiło większego problemu. Problem polegał tylko na wyborze ciekawego miejsca – zwłaszcza, że interesujące planety są z reguły niebezpieczne...

Ale przecież arankowie nie boją się niebezpieczeństw, które jeszcze się nie wydarzyły...

Samolot leciał już ponad dwie godziny. Przelatywali nad oceanem, Martin przyglądał się archipelagowi małych wysp, tysiące kilometrów od kontynentu. Pilot próbował wyjaśnić, z czego słynie ten archipelag, ale zabrakło mu słów. Martin zrozumiał tylko, że bardzo dawno temu był tu kontynent, a teraz nad wodą widać tylko szczyty gór. Cóż, każda szanująca się planeta powinna mieć swoją Atlantyde...

Stopiona kabina informatorium już niemal zatarła się w pamięci. Być może filozoficzne podejście aranków do życia było zaraźliwe – Martin postanowił nie zawracać sobie głowy niezrozumiałym niebezpieczeństwem. Poza tym, dysponował teraz naprawdę potężną bronią, no i będzie znacznie ostrożniejszy... Chociaż, co mu po ostrożności, jeśli śmierć może nadejść z flaura, lecącego w odległości dwóch kilometrów? Pozostawała tylko nadzieja, że Martinowi udało się zatrzeć ślady i nieznany wróg stracił trop.

Po jakimś czasie pilot przeprosił Martina i wrócił do kabiny. Martin sam nie wiedział, czy się z tego cieszyć, czy nie – biorąc pod uwagę ilość wypitego przez pilota wina. Zresztą, wyglądało na to, że lądowanie przeprowadzał automat, a rola pilota ograniczała się do zadań stewarda.

Samolot schodził do ziemi bardzo szybko, dopiero pięćdziesiąt metrów od powierzchni silnik zawył z wysiłkiem i lot się wyrównał. Przesunął się betonowy pas, ukazał się startujący liniowiec – rozdęte cielsko bez iluminatorów. Samoloty startowały i lądowały bez chwili przerwy, srebrzyste cygara płynęły w powietrzu, niczym ławice ryb w ogromnym akwarium.

Zdaje się, że Tyriant, tak pogardliwie nazwany przez Lergassi-kana kloaką, wyróżniał się godną pozazdroszczenia komunikacją powietrzną.

Dopiero w pobliżu granic miasta (Martin skorzystał ze zwykłego – o tyle, o ile jest to możliwe na Aranku – mikrobusu), przyczyna kpin z Tyriantu stała się zrozumiała.

Tyriant był miastem przemysłowym, może nawet największym ośrodkiem przemysłowym planety – Martin nie miał pod ręką ani wiernego przewodnika „Le Petit”, ani przestarzałego, choć solidnego informatora Garnela i Czystiakowej. Rzecz jasna, arankowie bardzo dbali o ekologię i nadciągającymi się wzdłuż drogi budynkami fabryk nie wisały chmury dymu, ale w powietrzu czuło się leciutki kwaskowaty zapach, na samej granicy dostępnych człowiekowi wrażeń zmysłowych. Martin rozsiadł się wygodnie w szerokim, miękkim fotelu, patrzył na fabryki i myślał o Irinie Połuszkinej.

Czego ona tu szuka? Ośrodek badań globalnych... Co tu może robić siedemnastoletnia dziewczyna?

Co tylko zechce.

Nie należy zapominać, że ta dziewczyna znajdowała się jednocześnie na trzech planetach. Nie

wolno zapominać, że dwie Iriny zginęły – nawet jeśli te śmierci wydawały się bezsensowne i głupie. Nie powinno się zapominać, że... – Martin zmarszczył brwi – zniknięciem Iriny interesuje się na Ziemi urząd bezpieczeństwa publicznego.

Przez chwilę Martin zapragnął dać sobie spokój. Wrócić na Ziemię, oddać Ernesto żetony, opowiedzieć o wszystkim – w tym również o nieudanym zamachu na swoje życie – i stanowczo odmówić dalszych poszukiwań. Połuszkini coś zataił – tego Martin był już teraz pewien – a klient, który zataił przed detektywem ważną informację, automatycznie przestaje być klientem.

Ale coś powstrzymywało Martina. Może niepokój o dziewczynę? Bez względu na stopień bezczelności czy rozpущenia, siedemnastoletnie dziewczęta nie zasługują na przypadkowe kule czy kościane szpikulce...

A może Martina popychał ów świąd, znany jedynie zacofanym rasom, zastanawiającym się nad sensem życia? Gdzieś obok niego żyła tajemnica. Prawdziwa tajemnica, jedna z tych, które trafiają się raz w życiu i to wyłącznie szczęściarzom.

Martin nie uważał się za szczęściarza. I nie miał zamiaru przegapić największej przygody swojego życia.

W Rosji takie miejsca noszą miano miasteczek akademickich. Za biegnącym w dal żywopłotem (który mimo swego sympatycznego wyglądu nie pozostawiał żadnych nadziei na samowolne przeniknięcie na teren „miasteczka”), kryły się budynki – niewysokie, pozbawione piętna gigantomanii korpusy instytutów naukowych, parki, krzewy, nawet coś na kształt aquaparku... W każdym razie, obserwując teren ze szklanego pawilonu przejścia, Martin nie znajdował innej analogii. Baseny, zjeżdżalnie wodne... nieźle się żyje tutejszym pracownikom naukowym...

– Nie ma żadnej możliwości wpuszczenia pana – oznajmił ochroniarz po dokładnym przestudiowaniu swoich instrukcji. To już trzeci arank, który próbował rozwiązać jego problem, i pierwszy, który znał turystyczny. Pozostali zarozumiale próbowali porozumieć się z Martinem gestami.

– Ależ ja szukam mojej ukochanej! – Martin powtórzył legendę, która tak świetnie zadziałała na Lergassi-kana.

Ale miejscowi arankowie albo byli mniej sentymentalni, albo nie pozwalali sobie na zbytne odprężenie w godzinach pracy.

– To niemożliwe – powiedział z westchnieniem ochroniarz. – Zakłóci pan przebieg prac naukowych. Proszę przyjść wieczorem, a dostęp zostanie otwarty.

Organizm Martina twierdził z całą stanowczością, że właśnie jest wieczór. Może nawet noc. Albo wczesny ranek. Cóż, zmiana stref czasowych jest nieunikniona zarówno na Ziemi, jak i na Aranku...

Podobnie jak biurokraci, ten wspaniały podgatunek istot rozumnych wykształcił się we wszystkich znanych Martinowi cywilizowanych rasach. Za szczyt biurokracji uważał on dio-dao, ale ci przynajmniej nie byli humanoidami – z tego względu Martin stosował wobec nich taryfę ulgową.

– Dobrze – powiedział Martin. Przyłapał się na tym, że upór aranka tylko go rozjątrzył, budząc w nim hazard mieszkańca Moskwy, który poznał biurokrację we wszystkich jej przejawach, kształtach, a nawet zboczeniach. – Zrozumiałem. Nie może mnie pan wpuścić aż do wieczora.

Ochroniarz od razu rozluźnił się i uśmiechnął. Walka była wygrana – a przynajmniej on tak uważał.

– Właśnie.

– Proszę mi powiedzieć, w jakim wypadku mógłbym wejść w dzień? – zapytał Martin, już odwracając się do wyjścia.

– Cóż... istnieją różne pilne czy ekstremalne sytuacje, związane z witalnymi potrzebami organizmu, ważnymi informacjami... – oświecił go arank.

Przez kilka sekund Martin walczył z pokusą poinformowania aranka, że umiera na ostry przypadek zatrucia spermą i Galina Groszewa jest mu niezbędna jako najbliższa kobieta ziemskiej rasy.

Ale istniało spore prawdopodobieństwo, że ochroniarz uprzedzi Galinę o celu jego przybycia, co znacznie skomplikowałoby znajomość.

Mógł też powiedzieć, że wiara Martina i Galiny wymaga natychmiastowego przeprowadzenia jakiegoś religijnego rytuału. Na przykład, zanieśienia wspólnej modlitwy do Iwana Płowca: starożytnego patrona wszystkich, którzy utrzymują się na powierzchni wody. Na ziemskich –

hiszpańskich – biurokratów zadziałało to kiedyś doskonale.

Ale ochroniarz mógł nie być aż tak wykształcony, jak młody Gatti, a wówczas trzeba by długo wyjaśniać, co to takiego religia.

Dlatego Martin wybrał najprostsze wyjście.

– Wspaniale! – powiedział. – W takim razie niech pan zapomni o tym, co przed chwilą powiedziałem.

Wstrząśnięty ochroniarz zamrugał oczami:

– Jak mógłbym zapomnieć?

– To taka przenośnia – uśmiechnął się Martin. – Otóż wcale nie chodzi mi o Galinę Groszewą. Znacznie ważniejsze jest to, że odkryłem tajemnicę starożytnych ruin, rozrzuconych na wszystkich planetach naszej galaktyki.

Ochroniarz otworzył usta ze zdumienia, ale nic nie powiedział.

– I muszę natychmiast skonsultować się w tej sprawie z koleżanką Groszewą – ciągnął Martin. – Proszę się z nią połączyć i powiedzieć, że człowiek, który przybył z planety Preria 2, pragnie omówić z nią kwestię korelacji między położeniem Stacji kluczników i starożytnych ruin. Może pan również wspomnieć o pustce na miejscu tak zwanych ołtarzy. Pilnie potrzebuję dyskusji naukowej, która wspomże mój twórczy wysiłek umysłowy!

Ochroniarz wyjął telefon. Ku zdumieniu Martina rozmowa przebiegała w języku aranków, choć było słychać, że arank buduje proste zdania i co jakiś czas powtarza poszczególne kwestie. No, no!

– Pani Groszewa czeka na pana w swoim laboratorium – oznajmił ochroniarz, chowając telefon.

Martin uniósł brwi. Proszę, proszę! W swoim laboratorium! To już nie to samo, co skakanie po kamiennych wysepkach przez kanały!

– Proszę wziąć przewodnik.

Martin wziął mały przezroczysty dysk, w którym strzałka wirowała swobodnie, jak w niesprawnym kompasie. Ochroniarz pochylił się nad terminalem, dotknął jakichś klawiszy na panelu sensorycznym i strzałka w „kompasie” gwałtownie zawirowała, rejestrując kierunek. Martin nie wytrzymał i odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, ale strzałka nie uległa prowokacji i wróciła do prawidłowego położenia.

– Proszę nie zbaczać z drogi – rzekł ochroniarz. – Pańskie miejsce pobytu będzie rejestrowane na pulpicie. Proszę nie nawiązywać żadnych rozmów, chyba że ktoś pana zaczepi.

– Tak jest – powiedział wesoło Martin.

– A broń – dodał ochroniarz, zerkając na ekran – proszę zostawić tutaj. Nie mam pojęcia, jak udało się panu otrzymać zezwolenie na broń termiczną, ale na terenie ośrodka i tak nie będzie panu potrzebna.

Być może w celu podtrzymania kondycji fizycznej, a może z innych, choćby estetycznych względów, na terenie ośrodka badawczego nie było ruchomych chodników. Dróg nie było w ogóle, nie położono nawet ścieżek, a sprężysta, soczyście zielona trawa nie ugiwała się pod nogami.

– Bardzo odporna trawa – zauważył z uśmiechem Martin. – Nawet wiatr jej nie zgina...

Szedł tak z dziesięć minut, od czasu do czasu zerkając na przewodnik. Gdy tylko zbaczał z kursu o więcej niż piętnaście stopni, urządzenie piszczało cicho. Martin pamiętał instrukcje ochroniarza i nikogo o nic nie pytał, chociaż zobaczył po drodze całe mnóstwo ciekawych rzeczy.

W małym zagajniku ujrzał scenę, która wzruszyłaby Platona: starszawy, siwowłosy arank opowiadał coś grupce młodzieży. Wystarczyłoby zamienić im fartuchy na chitony i można kręcić film o życiu w starożytnej Grecji.

Okazało się też, że aquapark, który Martin miał teraz szansę obejrzeć z bliska, wcale nie jest miejscem rozrywki, lecz potężną, choć niezrozumiałą konstrukcją badawczą. To, co płynęło w rowach, nie było wodą, lecz połyskującym metalicznie niebieskim płynem. Od czasu do czasu rowami toczyły się przezroczyste pęcherzyki metrowej średnicy, wewnątrz których kłębiła się biała mgła. W basenie pęcherze zatrzymywały się i pękały, wypuszczając jakiś gaz. Po terenie aquaparku snuło się ze trzydziestu aranków, zdaniem Martina, zupełnie bez sensu.

Przechadzka po terenie ośrodka okazała się bardzo interesująca i rozpalila w Martinie ciekawość. I gdy przewodnik pisnął, i wyłączył się przed drzwiami jednego z budynków, Martin był nieco rozczarowany.

W porównaniu z okolicznymi budynkami, laboratorium Galiny Groszewej nie robiło większego wrażenia. Parterowy domek z dachem wyłożonym zieloną dachówką, kilka okien i brak jakichkolwiek dobudówek technicznych, choć między niektórymi budynkami wznosiły się ogromne warsztaty, wysokie wieże, hangary i inne atrybuty poważnej nauki.

Czyżby Irina zajmowała się tutaj przelewaniem różnobarwnych płynów z probówki do probówki? A może garbi się nad starożytnym manuskrypcem, rozwiązującym wszystkie zagadki Wszechświata?

Martin zastukał. Poczekał chwilę i uchylił drzwi – nie były zamknięte.

W długim białym korytarzu było pusto i cicho.

– Halo, gospodynie, macie gości! – zawołał zawadiacko Martin.

Bez efektu.

Oczyma wyobraźni Martin zobaczył Irinę, spokojnie dyndającą na sznurze. Albo zastygłą z wytrzeszczonymi oczami, z probówką ze stworzoną przez siebie trucizną w martwej ręce. Albo zmasakrowaną przez szalonego robota, który postanowił pojąć wszystkie tajemnice galaktyki...

Martin wyjął z futerału nóż – w zasadzie nieprzeznaczony do walki, ale w umiejętnych rękach dość przydatny. Zrzucił na progu plecak, zdjął zaplombowany karabin... Ech, gdyby dało się wydłubać tę „gumę” z lufy...

I ruszył korytarzem, otwierając po kolei wszystkie boczne drzwi.

Kuchnia. Czysta i przytulna.

Sypialnia. Niezaścielone łóżko.

Jasne. Czyli Irina również tu mieszkała. Bardzo wygodne rozwiązanie.

Dwa pokoje zajmowały laboratoria. Jedno z probówkami i termostatami, zupełnie jak w fantazjach Martina, drugie z przyrządami i komputerami, a nawet działającą tokarką – ostrze wirowało jak szalone, sunąc po skomplikowanym łuku wokół zamocowanego elementu. Martin z zainteresowaniem przez chwilę obserwował tokarkę.

Wszystko pięknie, ale tutaj Irinki też nie było.

Kolejny pokój również miał jakiś związek z nauką, ale jaki – to już otwarta kwestia. Czarne lustra, z których zrobiono ściany, wchłaniały światło. Z sufitu na środku pokoju na cienkich linkach zwisała biała tarcza dwumetrowej średnicy.

Zdegustowany Martin zamknął drzwi – ten pokój sprawiał wyjątkowo nieprzyjemne wrażenie.

I dopiero na końcu korytarza, za szczytowymi drzwiami, Martin spotkał Irinę Połuszkina.

To był gabinet. Bardzo solidny gabinet, z rodzaju tych, które od razu budzą chęć do pracy. Potężne szafy z książkami, monumentalne drewniane biurko, a na nim – ogromny monitor, komputer, lampa z zielonym kloszem i okrągłe akwarium z kolorowymi rybkami. Na podłodze miękkie dywany. Za oknem – niewielki kwitnący sad, zasłaniający sąsiednie budynki. Wszystko takie akuratne, że Martin poczuł się trochę niezręcznie i zrobiło mu się wstyd za swój wygląd, zwłaszcza za ściskany w rękę nóż.

Ira Połuszkina stała przy oknie i patrzyła na Martina. Czekwała. Widocznie na korytarzu umieszczono jakieś niewidoczne kamery.

– Martin – powiedziała dziewczyna. To nie było ani powitanie, ani pytanie. To była konstatacja faktu.

– Dzień dobry, Iro – odparł Martin. Schował nóż, uśmiechnął się przepaszająco. – Przepraszam, trochę zaniepokoił mnie... wystrój wnętrza.

Irina Połuszkina wyglądała wspaniale. W prostej, białej sukience z kołnierzykiem i krótkimi rękawami wyglądała jak sympatyczna, młoda dziewczyna, która wybiera się na spacer z rodzicami... Martin uśmiechnął się mimo woli.

– Martinie – powiedziała Irina. – Proszę mi powiedzieć, czemu mnie pan prześladuje?

– Nie mam pojęcia, skąd pani zna moje imię, Irino – rzekł Martin – ale coś się pani pomyliło. Nie prześladuję pani. Jestem zwykłym prywatnym detektywem, który został wynajęty, żeby panią odnaleźć i zapytać, czy nie potrzebuje pani pomocy.

– Kto pana wynajął? – spytała w napięciu Irina.

– Pani ojciec. Jeśli moja osoba nie jest tu mile widziana – odejdę. Ale błagam, niech pani napisze do rodziców choćby krótki list! Proszę im wyjaśnić, dlaczego nie chce pani wracać, powiedzieć, że wszystko z panią w porządku!

W oczach Iriny pojawił się cały ocean rozczarowania. Uśmiechnęła się krzywo i zapytała:

– A co z Prerią 2?

– A, to już moje pytanie – zaprotestował Martin. – Wprawdzie to nie moja sprawa, ale kim była tamta dziewczyna? I kim pani jest?

– Co się z nią stało? – zapytała Irina, nie zwracając sobie głowy odpowiedzią na jego pytanie.

– Udało jej się wziąć udział w kowbojskiej strzelaninie. Próbowwała rozdzielić wrogów... i dostała po kilka kul od każdego z nich – odparł twardo Martin.

Twarz Iriny nie drgnęła. Ona wiedziała już o śmierci Iriny z Prerii 2.

– Chce pan powiedzieć, że to nie pan ją zabił?

Martin wytrzeszczył oczy:

– Z jakiej racji? Jestem detektywem, rozumie pani? Nie jestem najlepszym człowiekiem pod słońcem, nie zawsze żyję w zgodzie z prawem i zdarzało mi się już strzelać... ale nie zabijam młodych dziewcząt, nawet takich, które są wobec mnie nieprzyjemne!

– A były?

– Były – skinął głową Martin. – Kpiono ze mnie. Ironizowano. Może to pani nazwać, jak pani chce.

Irina odsunęła się od okna, usiadła przy ogromnym biurku i Martin zauważył, że do otwartej

szuflady biurka schowała coś, co trzymała w zaciśniętej pięści.

A niech to! Więc był o włos od śmierci!

– Jeśli mówi pan prawdę, to proszę mi wybaczyć – powiedziała Irina. – Ale wiem tylko, że był pan z... z Iriną w chwili jej śmierci.

– Owszem i to dwukrotnie – burknął Martin. – Pozwoli pani, że usiądę?

Dopiero w tym momencie udało mu się wyprowadzić Irinę z równowagi.

– Jak to... dwukrotnie?

– Biblioteka. Dziewczyna o imieniu Irina Połuszkina zginęła. Atak dzikiego zwierzęcia – wyjaśnił Martin, siadając naprzeciwko Iriny.

– Tam nie ma dzikich zwierząt! – obruszyła się Irina.

– Są, a raczej było – przynajmniej jedno. Zdziczały khannan, przywieziony na Bibliotekę przez geddarów. Zaatakował... – Martin zawahał się i twardo dokończył: – zaatakował panią. Umarła pani na moich rękach, zdążywszy powiedzieć tylko „Preria 2”. Mogłem uznać swoją misję za zakończoną, a jednak wyruszyłem na Prerię. Chciałem się dowiedzieć, co łączy Irinę z tą planetą. I tam znowu spotkałem panią.

– To nie byłam ja – zaprotestowała słabo Irina. W jej oczach pojawił się strach.

– Pani! To była pani, właśnie pani! Albo pani kopia – co za różnica? Rozmawiałem z panią, dostałem list do rodziców i wtedy wywiązała się ta idiotyczna strzelanina. Próbowала pani ochronić małego, łysego kowboja, z którym zaprzyjaźniła się pani w czasie swojego pobytu na planecie...

– Małego łysego kowboja?... – spytała Ira z nutką paniki w głosie.

– Tak! Małego! Łysego! Kowboja! Rosjanina z pochodzenia! Jak sądzę, nie spała z nim pani, ale zaprzyjaźnił się. I próbowała go pani ochronić przed łowcą nagród. W efekcie pani zginęła. Ale przedtem zapytała mnie, czy nie spotkałem pani na Aranku. I dlatego – Martin rozłożył ręce i już spokojniej dokończył – dlatego jestem tutaj. Może w końcu czegoś się dowiem?

– Jak pan się tu dostał? – zapytała Irina.

– Z problemami – zauważył gorzko Martin. – Strzelano do mnie, gdy tylko pojawiłem się na planecie. Ale udało mi się przeżyć.

– Byłam pewna, że jest pan zabójcą! – wykrzyknęła Irina, a w jej głosie zabrzmiała jednocześnie pokora i wyzwanie. – Jak udało się panu tu dotrzeć...

– Spotkałem dobrych ludzi... to znaczy aranków... przyleciałem prywatnym samolotem.

Irina rozejrzała się bezradnie, potem przysunęła sobie klawiaturę i zaczęła coś pisać.

– Czy otworzy się pode mną loch pełen jadowitych żmij? – zapytał Martin.

– Niech pan będzie cicho, właśnie próbuję pana uratować – wymruczała Irina. – Boże... jaka ze mnie idiotka.

– A więc zamach był dziełem pani rąk? – zapytał Martin.

– To mój przyjaciel... asystent. Jeden z asystentów. Gdy dowiedzieliśmy się o wydarzeniach na Prerii... – Irina zamilkła. – Uznaliśmy, że jest pan najemnym zabójcą. Moi przyjaciele wyruszyli do wszystkich Stacji na Aranku i tam na pana czekali.

– Dziękuję, że zmieniła pani o mnie zdanie – powiedział Martin.

– Jeszcze nie zmieniłam – Irina w milczeniu wzięła ze stołu kartkę, zgmiotła i rzuciła w Martina. Zrobił odruchowy unik, ale kulka upadła, dolatując jedynie do środka stołu. – Rozdziela nas pole

siłowe – wyjaśniła Irina. – Myślałam, że mnie pan zaatakuje.

– Dom wariatów – warknął Martin ze złością. Zmrużył oczy i poruszył głową, próbując dojrzeć dzielącą ich barierę. Nic nie było widać.

– Niech się pan postawi w mojej sytuacji – wymruczała Irina.

– Niech mi pani cokolwiek wyjaśni, to spróbuję – obiecał Martin.

Dziewczyna nadal majstrowała przy terminalu, w końcu pokręciła głową.

– Niedobrze, jego telefon nie odpowiada...

– Czyj?

– Tego, który do pana strzelał. Przy okazji... miał pana tylko przestraszyć... ostrzec...

– Świetnie mu wyszło – przyznał Martin. – Co pani robi na Aranku, Irino?

Dziewczyna zawahała się, ale w końcu dała spokój terminalowi i spojrzała na Martina.

– Szukam tego, co nie istnieje.

Widocznie na twarzy Martina odbiła się cała jego antypatia do łamigłówek, bo Irina natychmiast dodała:

– Widzi pan, Martinie, istnieje pewna teoria... z pogranicza teologii i psychologii... Wie pan już, że cywilizacja aranków jest na swój sposób unikatowa?

– Wiem – powiedział Martin. – Rozumiem, że szuka pani u nich duszy?

Irina zaczerwieniła się, ale odpowiedziała wyzywająco:

– Tak. Może się pan śmiać, ale próby znalezienia składowej rozumu są prowadzone nieprzerwanie.

– Jakież sukcesy? – zapytał rzeczowo Martin.

– Nie, ponieważ nie wiadomo, czego właściwie szukać. Ale istnieje teoria, że arankowie są istotami rozumnymi, pozbawionymi duszy.

Martin był zachwycony:

– Ireczko, dostała pani na swoje badania kościelne błogosławieństwo, czy to prywatna inicjatywa?

– Prywatna – odparła Irina i poczerwieniła jeszcze bardziej.

– No i jak? Doszła pani do czegoś?

– Nie udało nam się znaleźć różnicy pomiędzy żywymi istotami – odparła Irina. – Możliwe, że los uśmiechnie się do nas w czasie badania umierającego aranka... a raczej podczas porównania umierającego aranka i umierającego człowieka.

– Ma pani już zgłoszenia ochotników? – dopytywał się Martin.

– Owszem, mamy umowę z miejscowym szpitalem. Arankowie są bardzo tolerancyjni w kwestii badania nieboszczyków.

– Wielu ludzi leczy się w tym szpitalu?

Irina milczała.

– O, czyżby to mnie miał przypaść w udziale zaszczyt bycia królikiem doświadczalnym? – zapytał Martin.

Ira odwróciła wzrok.

– Proszę pozwolić mi się domyślić – ciągnął Martin. – Widziałem tu taki dziwny pokój



z lustrzanymi ścianami... To detektory, prawda? Rejestrują wszystko, co się tylko da. Chciała pani umieścić tam umierającego aranka i zbadać, co stanie się w chwili jego śmierci, a następnie powtórzyć eksperyment z umierającym człowiekiem. I gdyby w momencie śmierci zarejestrowano jakieś, dajmy na to, promieniowanie, to by znaczyło, że dusza uleciała. Tak?

– Gdyby mnie pan zaatakował... – wyszeptała Irina.

– To pani, bezpiecznie osłonięta polem siłowym, strzeliłaby do mnie, starając się ranić śmiertelnie. Następnie odciągnęłaby mnie pani do laboratorium i włączyła przyrządy...

Martin wzdrygnął się. Patrzył na Irinę w nadziei, że usłyszy jakieś zaprzeczenie. Irina milczała.

– Co za podłość... – pokręcił głową Martin. – Przepraszam, ale mam spore wątpliwości, czy pani osobiście posiada duszę.

– Sądziłam, że jest pan zabójcą! – powtórzyła Irina. – Zawodowym zabójcą, którego na mnie nasłano.

– I niby kto miał mnie nasłać? – zapytał złośliwie Martin. – Pani rodzice?

Irina energicznie pokręciła głową.

– Dlaczego jest was trzy? – kontynuował przesłuchanie Martin.

– Jest nas więcej... Myślę, że siedem – Irina uśmiechnęła się przepaszająco.

Im dalej, tym gorzej! Martin poruszył się na krześle i zapytał:

– Tyle, ile grzechów śmiertelnych?

– To grzechów nie jest dziesięć? – zdziwiła się Irina.

– Jak na osobę, zajmującą się poszukiwaniem duszy, posiada pani dość skąpą wiedzę – zauważył Martin po chwili milczenia.

– Jestem uczonym, a nie teologiem! – oburzyła się Irina.

– Nie jest pani żadnym uczonym, Irino! – Martin podniósł głos. – Naukowiec nie zarzuca interesującej hipotezy tylko dlatego, że nie można od razu jej udowodnić! Naukowiec przede wszystkim pracuje! A pani... pani galopuje po galaktyce i tryska fontanną surowych pomysłów! Kim pani jest?

Trzeba przyznać, że Martin potraktował dziewczynę dość bezwzględnie. Ale niewiele osób zachowałoby kamienny spokój na wieść, że przeznaczono im rolę królika doświadczalnego.

– Próbuję uratować galaktykę! – Teraz to Irina podniosła głos. – Nic pan nie rozumie, wdepnął pan w to przypadkiem, więc niech pan nie pogarsza sytuacji... Adeass, nie!

Martin odwrócił się – w drzwiach stał niewiele starszy od Iriny arank i mierzył w pierś Martina z broni termicznej.

– Czy pole siłowe jest włączone? – zapytał arank.

– Nie strzelaj, Adeass! – Irina zerwała się. – On nie jest zabójcą! To pomyłka!

– Przeleciał całą planetę, żeby cię odnaleźć. Dowiedziałem się też, że jest zawodowym najemnikiem i zdarzało mu się zabijać istoty rozumne – powiedział Adeass, nie podnosząc głosu.

– Jestem prywatnym detektywem i chronię niewinnych, ale czasem muszę się bronić! – zawołał szybko Martin. – Niech mnie pan najpierw wysłucha, a potem podejmie decyzję, Adeassie!

– Pole włączone? – zapytał tym samym rzeczowym tonem Adeass.

– Adeassie, ja mu wierzę! On jest niewinny! – Irina zrobiła krok w stronę aranka i zatrzymała się, jakby wpadła na niewidoczną przegrodę. – Stój!

– Włączono – uśmiechnął się arank.

W następnej sekundzie Martin zerwał się, kopniakiem posyłając krzesło w twarz aranka. Adeass nacisnął spust i krzesło zapłonęło oslepiającym białym płomieniem. Powietrze w gabinecie zrobiło się suche i gorące, jak w saunie. Arank zwrócił broń w stronę Martina.

Nie było czasu do namysłu. Arank stał zbyt daleko, żeby się na niego rzucić, więc Martin chwycił ze stołu akwarium i rzucił w Adeassa – w tym samym momencie, gdy ten wystrzelił.

Szklane odłamki przeleciały przez pokój, wbijając się w książki, ściany i żywe ciała. Martin zdążył się odwrócić i wcisnąć głowę w ramiona, chroniąc szyję. Dobrze zrobił – w plecy wbiło mu się kilka szkieł. Gabinet, a raczej jego połowę wypełniła gorąca para, sauna błyskawicznie przemieniła się w rosyjską łaźnię-parówkę. Arank zaczął krzyczeć – eksplodujące akwarium było bliżej niego niż Martina i w twarz Adeassa buchnęła rozpalona para.

Martin skoczył na wroga. Uderzył go w rękę, wytrącając mu broń termiczną, i podciął nogi, przewracając na podłogę. Irina krzyczała przenikliwie. Pole siłowe zniknęło z trzaskiem i para rozplynęła się po całym pokoju. Było łatwiej oddychać.

– Okazałeś się silniejszym przeciwnikiem – powiedział arank. Jego źrenice dziwnie pulsowały... Martin obrzucił Obcego szybkim spojrzeniem i drgnął. Długi odłamek szkła wbił się Adeassowi w lewą stronę piersi.

Z tego, co wiedział Martin, osobniki z sercem umieszczonym bardziej z prawej strony zdarzały się na Aranku równie rzadko, co na Ziemi. Wstał i pokręcił głową. Było mu żal nieszczęsnego chłopaka. Bez względu na wszystko.

– Adeass-kan, nie trzeba było strzelać – wyszeptała Irina, pochylając się nad arankiem. – Trzymaj się, wezwę pomoc...

– Za późno... umieram... – wyszeptał arank. – Irina-kan, praca z tobą była bardzo ciekawa...

Martin wzdrygnął się.

– Osierdzie zostało przecięte, mózg umrze za jakieś trzy minuty – oznajmił spokojnie arank. – Dowiedz się, czy mam duszę... – uśmiechnął się nagle. – I jeśli okaże się, że tak – pomódl się za mnie do waszego Boga.

– Adeass!

– Zanieś mnie do sali z detektorami – głos aranka słabł. – A to ostatni prezent...

Podniósł rękę i Martin zobaczył w jego dłoni mały, metalowy przedmiot. Mały przedmiot z małą lufą, wycelowaną w Martina...

Sekunda rozciągnęła się w wieczność. Martin patrzył na wąski kanał lufy i zastanawiał się, jaka będzie śmierć.

– Nie! – Irina nagle ścisnęła mocno dłoń aranka. – Nie...

– Czemu... – wyszeptał arank i zamknął oczy. Ręka bezwolnie opadła, mały metalowy przedmiot, prawie wcale nie przypominający broni, potoczył się po podłodze...

Irina wstała. Była blada jak chusta, ale jej głos brzmiał twardo:

– Proszę mi pomóc!

– Co? – nie zrozumiał Martin.

– Słyszał pan, co on powiedział? Mamy tylko kilka minut! To ostatnia wola umierającego!

W jej głosie brzmiała niespodziewana siła i szczerzy smutek. Martin postanowił na razie nie

zaprzątać sobie głowy szklanymi odłamkami w plecach. We dwójkę przenieśli aranka do pokoju z czarnymi lustrami i położyli na białej tarczy. Wybiegli na korytarz, Irina zamknęła drzwi, przesunęła dłonią po ścianie – otworzył się ekran.

– On jeszcze żyje – wyszeptała Irina. – Mózg umiera, ale on nadal żyje...

Ściana zawibrowała delikatnie. Irina zerknęła na Martina i wyjaśniła:

– Wszystko w porządku, pola siłowe są włączone. Teraz ten pokój jest odizolowany od całego Wszechświata. Na tyle, na ile jest to w ogóle możliwe. Jeśli istnieje technologia, zdolna schwytać duszę, schwytemy ją.

– Najpierw niech mi pani wyjmie szkło z pleców – mruknął Martin.

– Proszę się odwrócić.

Martin ze stoickim spokojem wytrzymał kilka sekund bólu. Irina wyjmowała szklane igły, nie szczczędając ani jego, ani siebie. Po jej palcach też spływała krew...

– Nikt nie oskarży pana o zabójstwo... wszystko, co się tu wydarzyło, zostało zarejestrowane na taśmie – powiedziała Irina, jakby nie zauważając swoich zakrwawionych rąk.

– Dziękuję – odparł Martin. Był wstrząśnięty cynizmem, z jakim Irina planowała badanie ostatnich chwil życia przyjaciela.

– To już koniec. Umarł – oznajmiła Irina, zerkając na ekran. – Poczekamy jeszcze kilka minut... żeby się upewnić.

– Czy pani w ogóle ma jakieś uczucia? – nie wytrzymał Martin. – I po co go pani powstrzymała? Niechby strzelił – miałaby pani swojego umierającego człowieka.

– On strzelił – powiedziała Irina, patrząc na ekran.

– Jak to? – Martin poczuł chłód. – Jak to strzelił?

Irina w milczeniu pokazała mu dłoń, z której, niczym połyskliwa drzazga, sterczał cienki metalowy szpikulec.

– Tam jest trucizna, zabijająca w ciągu dziesięciu minut po dotarciu do krwiobiegu – wyjaśniła Irina. – Zasłoniłam lufę dłonią.

– Pani oszalała!

– Zapewne – Irina uśmiechnęła się z goryczą. – Zaraz wyniesiemy ciało i ja zajmę miejsce Adeass-kana. Naciśnie pan ten przycisk, wszystko jest zautomatyzowane. Jeśli między moją śmiercią a śmiercią aranka będzie jakaś różnica, na ekranie pojawi się informacja. Zna pan ich język?

Martin pokręcił głową.

– Przełączę na turystyczny...

– Irino, niech pani wezwie lekarza!

– Antidotum nie istnieje – wyjaśniła spokojnie Irina. – Może mi pan wierzyć.

Martin popatrzył jej w oczy i zrozumiał, że dziewczyna nie kłamie.

– Irino, dlaczego jest was siedem? Gdzie pozostałe?

– Nic panu nie powiem – odparła twardo dziewczyna. – Nie powinien się pan w to pchać, sam pan widzi, do czego to prowadzi...

– Irino, ja muszę...

– Nic pan nie musi, Martinie – Irina wzruszyła ramionami. – Ja sama wdepnęłam w to przypadkiem. Niczego nie rozumiałam i narobiłam głupstw, a teraz jest już za późno, żeby się

wycofać. Niech pan w to nie wchodzi. Niech mi pan wybaczy i nie powtarza moich błędów.

– Wybaczam pani – powiedział Martin i poczuł, że mówi absolutnie szczerze. – Głupia dziewczyno, coś ty narobiła!

Irina zachwiała się, jakby chciała się przytulić do Martina i odchyliła się. W jej oczach pojawił się strach.

– Czuję coś... a przecież obiecali, że to będzie bezbolesne... Martinie, błagam pana, niech mi pan pomoże! Ma pan rację, beznadziejny ze mnie uczony... Ale proszę mi pomóc doprowadzić ten eksperyment do końca!

Wynieśli ciało aranka i dziewczyna zajęła jego miejsce na białej tarczy. Martin zamknął drzwi i nacisnął przycisk na ścianie.

Znowu zawibrowały ściany, izolując pokój. Martin stał i czekał, aż Irina umrze. Zajęło to nie dziesięć minut, lecz kwadrans i przez ostatnią minutę dziewczyna cicho jęczała.

Następnie komputer oznajmił, że żadnych znaczących różnic pomiędzy śmiercią aranka i śmiercią człowieka nie zarejestrowano.

Trzecia hipoteza naukowa Iriny Połuszkinej upadła równie błyskotliwie, jak dwie pierwsze.

Martin zaniósł ciało dziewczyny do sypialni, przeniósł tam również martwego Adeass-kana.

A później poszedł do gabinetu i po krótkiej walce z terminalem wezwał ochronę.

Bez względu na opinię Lergassi-kana o Tyriancie, w miejscowym merostwie ojciec Gattiego zachowywał się niezwykle uprzejmie.

Martin siedział z boku i czekał, aż ceremonia powitania dobiegnie końca. Dwóch urzędników – Lergassi-kan i jego tyriancki kolega – trzymali się za ręce i rozpływali w wyszukanych komplementach. W każdym razie takie wrażenie odniósł Martin – rozmowa toczyła się w języku aranków. Na zakończenie Lergassi-kan i jego kolega ucałowali się i z zadowolonymi minami usiedli w fotelach.

Martin czekał.

– Zapraszam do nas – powiedział wesoło Lergassi-kan. – Wszystko w porządku, nie jest pan już podejrzany.

Martin wymacał powietrze przed sobą i przekonał się, że odgradzające go od świata pole siłowe zniknęło. Podeszedł do Lergassi-kana, usiadł obok i zapytał:

– A o co byłem podejrzany?

– O bezprawne posiadanie broni termicznej – wyjaśnił Lergassi-kan. – Pańskie zachowanie w laboratorium zostało uznane za właściwe zaraz po obejrzeniu taśm.

Martin skinął głową. Cóż, nie miał pretensji do miejscowej policji. Nawet nie przedstawiono mu zarzutu, tylko bardzo stanowczo poproszono o pozostanie w Tyriancie do czasu wyjaśnienia wszystkich szczegółów zdarzenia.

– Bardzo smutna historia – powiedział Lergassi-kan, klepiąc Martina po ramieniu. – Pogoń za wiedzą prowadzi czasem do utraty zasad moralnych... na Ziemi jest inaczej?

– Dokładnie tak samo – wyznał Martin.

Lergassi-kan pokiwał głową. Zapytał o coś swojego kolegę, ten zaś odpowiedział w turystycznym:

– Oczywiście, to byłoby nieuprzejme z naszej strony... Martinie, został pan uznany za stronę poszkodowaną na skutek działań Adeass-kana. Otrzymuje pan prawo do jego żony... – na ekranie pojawił się obraz sympatycznej, krótko ostrzyżonej kobiety, córki – komputer pokazał uśmiechającą się szczęśliwie dwuletnią dziewczynkę, oraz majątku, włączając flaer sportowy i dom za miastem. Do Adeass-kana należały również cztery prace naukowe, tytuł mistrza walki wręcz i puchar w zawodach strzeleckich. To wszystko przechodzi na pana.

Arank zamilkł, z wyraźną ciekawością czekając na odpowiedź Martina.

Martin westchnął i pokręcił głową, próbując się uśmiechnąć:

– Wydaje mi się, że tytuł mistrza walki wręcz i puchar nieszczególnie pomogły Adeass-kanowi. Rezygnuję z nich. Oczywiście, zrzekam się również jego żony, córki... oraz całej własności ruchomej i nieruchomości – na rzecz wdowy i dziecka.

Obaj urzędnicy skinęli głowami i uśmiechnęli się. Widocznie właśnie takiej decyzji oczekiwali.

– Co się zaś tyczy prac naukowych nieboszczyka – ciągnął Martin – proszę przekazać je konsulowi rosyjskiemu.

Arankowie popatrzyli na siebie. Tyriancki urzędnik zerknął na ekran i powiedział:

– Nie sądzę, żeby technologia przetwarzania włókna monopolimerów trójwęglanu na coś się wam przydała, w każdym razie w ciągu najbliższego półwiecza. Niezbędne są odpowiednie moce produkcyjne i technologie. Ale to pańskie prawo...

– Oczywiście – przyznał Martin. – Tym bardziej, że owe technologie mogą się przydać wam. I my z przyjemnością je wam sprzedamy.

Obaj urzędnicy zachichotali radośnie.

– Sam widzisz – zwrócił się do swojego kolegi Lergassi-kan – że to bardzo rozsądny człowiek. Wspaniała decyzja! Martinie, nie sądzę, by wasze państwo szczególnie się wzbogaciło, Adeass-kan nie był, niestety, geniuszem, ale co nieco zyskacie – choćby na utrzymanie konsulatu.

– Rad jestem, że mogę przysłużyć się mojemu państwu – powiedział skromnie Martin.

Lergassi-kan pogroził mu palcem.

– Tę mowę wygłosi pan przed swoim rządem. Cóż, cieszę się, że tak mądrze rozporządził pan swoimi prawami. Proszę pokwitować przyjęcie prac naukowych i formalną rezygnację z całej reszty.

Martin podpisał kilka blankietów, a następnie, na prośbę Lergassi-kan, wygłosił do kamery krótką przemowę dla wdowy. Wyjaśnił, że jego odmowa w żaden sposób nie wiąże się z jej osobą, że jest wstrząśnięty walorami jej urody i zaletami charakteru, ale nie chce swoją obecnością przypominać o tragedii.

– Rzecz w tym – wyjaśnił Lergassi-kan – że prawo o przejęciu partnerów seksualnych wywodzi się z klasycznej sytuacji trójkąta i współzawodnictwa z powodu kobiety czy mężczyzny. Rezygnując z pani Adeass poniżyłby ją pan i zadał ciężki cios psychiczny. A przecież nie czuje pan do niej antypatii?

– Najmniejszej – przyznał Martin. – Ale sądzę, że ona do mnie czuje, i gdybym nawet zgodził się zostać jej mężem, natchmiast zażądałaby rozwodu.

– Tak by właśnie było – skinął głową Lergassi-kan. – A potem musiałby pan płacić alimenty na utrzymanie jej córki. Pańska decyzja była nader rozsądna!

Wszedł młody chłopak z tacą. Postawił przed zebranymi filiżanki, kilka małych czajniczków oraz miseczki ze słodyczami.

– Proszę skosztować tej herbaty – poradził Lergassi-kan. – Piłem ziemską herbatę i jestem w stanie porównać. Ten napar jest najbliższy jej pod względem smaku.

Martin wypił odrobinę aromatycznego naparu ziołowego. Musiał przyznać, że smak miał całkiem niezły.

– Co mamy zrobić z ciałem pani Groszewej? – zapytał urzędnik z Tyriantu.

– Połuszkinej. Przybyła tu pod cudzym nazwiskiem. Nazywa się Irina Połuszkina i należy pochować ją zgodnie z ziemskimi zwyczajami – nie kremując.

– To jest możliwe – zgodził się wielkodusznie urzędnik. – To będzie osobliwość ośrodka problemów globalnych. Mamy w mieście jednego człowieka, wyznającego ziemski kult religijny – zerknął na ekran. – Nazywa się ksiądz. Może być?

Martin wzruszył ramionami.

– Mysie, że w sumie tak. On wam podpowie, jak powinno się to odbyć.

– W pogrzebie wezmą udział współpracownicy pani Iriny – skinął głową urzędnik. – Zdołała zainteresować swoją ideą szerokie grono młodzieży... Szkoda, że hipoteza upadła.

– Wolałby się pan dowiedzieć, że różnicie się od innych ras? – zapytał Martin.

Arankowie popatrzyli na siebie.

– Szczerze mówiąc – westchnął Lergassi-kan – gdyby okazało się, że pani Irina ma rację, byłoby to dla nas szalenie nieprzyjemne. Zapoznałem się z jej teorią... i przeraziłem się. Powodzenie eksperymentu oznaczałoby istnienie czegoś dla nas niepojętego... generalnie niepojętego...

– Boga? – podsunął Martin.

– Tak, właśnie Boga. I wyszłoby na to, że jesteśmy jedynymi istotami we Wszechświecie pozbawionymi duszy – urzędnik rozłożył ręce. – Ładne odkrycie, prawda?

– Owszem, mało przyjemne – przyznał Martin. – Ale nie sądzę, żeby Irina miała najmniejszą szansę na sukces. Nie rozumiem nawet, jak wpadła na pomysł takiego eksperymentu – jej własne wyobrażenia religijne były szalenie powierzchowne.

– Tak czy inaczej, cieszę się, że się pomyliła – powiedział Lergassi-kan. – A w każdym razie na obecnym etapie rozwoju nauki możemy uznać jej teorię za błędną.

– A gdyby eksperyment się udał? – zapytał Martin. – Gdyby przyrządy zarejestrowały w momencie śmierci Iriny jakąś zmianę... gdyby z jej ciała wydzieliła się jakaś substancja, nieistniejąca u was?

Arankowie znowu popatrzyli na siebie.

– Rozumiem – rzekł Martin. – Możecie nie odpowiadać.

– Naszym obowiązkiem wobec rasy byłoby utajnienie tego odkrycia – powiedział Lergassi-kan – za wszelką cenę. Wybacz, Martinie. Postaralibyśmy się zachować pańskie życie, ale musielibyśmy odizolować pana... na przykład na jakiejś tropikalnej wyspie.

– A potem musielibyśmy zakończyć nasze własne istnienia – dodał urzędnik Tyriantu. – W celu wykluczenia ryzyka przecieku informacji. Zresztą, jaki byłby sens istnienia, gdybyśmy wiedzieli, że nasze życie jest skończone, podczas gdy pozostałe rasy są nieśmiertelne?

– Dość egoistyczne – skinął Martin. – Ale rozumiem wasze obawy. Biedna Ireczka. Nawet się nie zastanawiała, jaki szok może wywołać jej odkrycie.

Dopili herbatę i jeszcze trochę porozmawiali o najróżniejszych sprawach – od pogody do perspektyw stosunków przyjacielskich Ziemi i Aranku. Martin dostał żeton Iriny – już trzeci w jego „kolekcji” i zrozumiał, że pora się żegnać. Poprosił Lergassi-kana, by przekazał pozdrowienia Gattiemu i opowiedział mu o tym, co się stało. Lergassi-kan i jego kolega, który się nie przedstawił, pożegnali go serdecznie i poprosili, żeby Martin jak najczęściej bywał na Aranku.

Martin obiecał.

Stacja kluczników w Tyriancie została zbudowana w stylu wielkomiejskim. Piramida ze szkła i metalu, sunące po przezroczystych ścianach ogniki i migocząca na wysokości stu metrów latarnia – niezbyt potrzebna na tak cywilizowanej planecie, ale z uporem stawiana przez kluczników na każdej Stacji.

Martin wszedł do jednego z wejść po ruchomej spiralnej pochylni. Przed wejściem owiało go ciepłe, przyjemnie pachnące powietrze, zaś sunące w półprzezroczystej podłodze wskaźniki świetlne skierowały Martina do wolnego klucznika. Tutaj, w dużej i ożywionej Stacji, ogromną salę zastawiono, niczym w restauracji, małymi dwuosobowymi stolikami. Przy każdym stoliku siedział znudzony klucznik i czekał na zajmującą historię.

Martin podszedł do fotela, obok którego w matowej płytce podłogi wirował wskaźnik, ludzaco podobny do plemnika, usiadł wygodnie, popatrzył w smutne oczy klucznika i zaczął swoją historię:

– Dawno, dawno temu żył sobie człowiek...

– Zawsze lubiłem ten początek – powiedział z aprobatą klucznik i podsunął Martinowi czystą szklanekę i butelkę wina.

Martin nalał sobie wina i mówił dalej:

– Żył sobie człowiek, a potem, jak to zwykle bywa, umarł. Po śmierci popatrzył na siebie i bardzo się zdziwił. Jego ciało leżało na łóżku i zaczynało się powolutku rozkładać, a została mu tylko dusza. Golotka, przezroczysta – od razu było widać, co i jak. Człowiek stropił się – bez ciała czuł się dziwnie i niezręcznie. Wszystkie jego myśli pływały w duszy jak kolorowe rybki. Wszystkie wspomnienia leżały na dnie duszy – tylko brać i wspominać. Były wśród nich piękne i dobre, były takie, które przyjemnie wziąć w ręce. Ale były również takie, od których człowiekowi włos się jeży, złe i nieprzyjemne. Próbował wytrząsnąć z duszy brzydkie wspomnienia, ale nie udało mu się. Wobec tego postanowił położyć na wierzchu te, które podobały mu się najbardziej – jak pierwszy raz się zakochał, jak opiekował się swoją starą, chorą ciocią, jak płakał, gdy zdechł mu pies, i jak ucieszył go świt, który zobaczył w górach pod długiej, przerażającej burzy śnieżnej.

I człowiek poszedł wyznaczoną mu drogą.

Bóg spojrzał przelotnie na człowieka i nic nie powiedział. Człowiek pomyślał, że Bóg w pośpiechu nie zauważył innych wspomnień: jak zdradził swoją ukochaną, jak się cieszył, gdy ciotka zmarła, zostawiając mu w spadku mieszkanie, jak po pijanemu kopnął łaszącego się psa, jak gryzł w ciemnym, zimnym namiocie schowaną czekoladę, gdy jego głodni przyjaciele spali, i wiele innych rzeczy, których nie chciał pamiętać. Człowiek ucieszył się i wszedł do raju, ponieważ Bóg nie zamknął przed nim Wrót.

Minął jakiś czas, trudno powiedzieć jak długi, ponieważ tam, dokąd trafił człowiek, czas płynął zupełnie inaczej niż na ziemi. I człowiek wrócił do Boga. „Czemu wróciłeś? – zdumiał się Bóg. – Przecież nie zamykałem przed tobą Wrót raju”. „Panie – powiedział człowiek – jest mi źle w twoim raju. Boję się zrobić choćby krok – tak mało dobrego jest w mojej duszy. Boję się, że wszyscy widzą, jaki jestem zły”. „Więc czego chcesz ode mnie?” – zapytał Bóg, ponieważ to on był stwórcą czasu i miał go wystarczająco dużo, by odpowiedzieć każdemu. „Jesteś wszechmocny i miłosierny – rzekł człowiek – widziałeś moją duszę na wylot, ale nie zatrzymałeś mnie, gdy próbowałem ukryć moje grzechy. Zlituj się nade mną, zabierz z mojej duszy całe zło, które w niej jest!” „Spodziewałem się zupełnie innej prośby – rzekł Bóg. – Ale uczynię to, o co prosisz”.

I Bóg wyjął z duszy człowieka wszystko, czego ten się wstydził. Wyjął pamięć o zdradach i chciwości, tchórzostwie i podłości, kłamstwach i oszczerstwach, lenistwie i pożądaniu. Ale zapominając o nienawiści, człowiek zapomniał o miłości, zapominając o swoich upadkach, zapomniał również o wzlotach. Dusza stała przed Bogiem zupełnie pusta – bardziej pusta niż wtedy, gdy człowiek przychodzi na świat...

Martin napił się wina.

Klucznik wzruszył ramionami i rzekł:

– Smutno tu i samotnie, wędrowcze. Słyszałem wiele takich historii...

– Jeszcze nie skończyłem – odparł Martin. – Dusza stała przed Bogiem zupełnie pusta – bardziej pusta niż wtedy, gdy człowiek przychodzi na świat. Ale miłosierny Bóg z powrotem włożył w nią to, co ją wypełniało. I wtedy człowiek znowu zapytał: „Cóż więc mam czynić, Panie? Jeśli dobro i zło



są we mnie tak związane, to dokąd mam iść? Czyżby do piekła?” „Wracaj do raju – rzekł Stwórca – albowiem nie stworzyłem nic prócz raju. Piekło sam nosisz w sobie”.

Martin popatrzył na klucznika. Klucznik obracał szklanę w rękę.

– Smutno tu i samotnie... – powiedział.

– Nie skończyłem – powtórzył Martin. – „Wracaj do raju – rzekł Stwórca – albowiem nie stworzyłem nic prócz raju. Piekło sam nosisz w sobie”. I człowiek wrócił do raju. Ale minął jakiś czas i znowu stanął przed Bogiem. „Stwórco – powiedział człowiek. – Jest mi źle w twoim raju. Jesteś wszechmocny i miłosierny, zlituj się nade mną, wybacz mi moje grzechy!” „Spodziewałem się zupełnie innej prośby – rzekł Bóg – ale zrobię to, o co prosisz”.

I Bóg wybaczył człowiekowi wszystkie jego złe uczynki, i człowiek wrócił do raju. Ale minął pewien czas i on znowu powrócił do Boga. „Czego chcesz tym razem?” – zapytał Bóg. „Stwórco! – zakrzyknął człowiek. – Jest mi źle w twoim raju. Jesteś wszechmocny i miłosierny, i wybaczyłeś mi. Ale ja sam nie mogę sobie wybaczyć. Pomóż mi!” „Właśnie tej prośby się spodziewałem – odparł Bóg. – Ale to jest kamień, którego podnieść nie potrafię”.

– Chciałbym się dowiedzieć, co stało się później – rzekł klucznik.

– Ja również – przyznał Martin. – Ale to jest ten kamień, którego ja nie potrafię podnieść.

Klucznik skinął głową.

– Rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swoją drogę.

– Dziękuję. – Martin dopił wino i wstał.

– Poznanie życiowej filozofii aranków zrobiło na tobie wrażenie – klucznik uśmiechnął się blado.

Martin wzruszył ramionami.

– Oczywiście. Ale cieszę się, że oni też mają duszę.

– A nie chciałbyś dla odmiany rozpatrzyć wersji, że to wy nie macie duszy? – zainteresował się klucznik.

Martin pokręcił głową.

– Nie. To bardzo przykra wersja.

Klucznik uśmiechnął się.

– Twoja wiara zawiera przekaz o czasach prehistorycznych, gdy Synowie Boży zstępowali z niebios i brali sobie za żony ludzkie kobiety, które rodziły im dzieci. To zakłopotало wielu teologów, ponieważ Synami Bożymi nazywano wyłącznie aniołów, a przyjęto uważać, że aniołowie nie mają płci. A jednak to ciekawa kwestia – czy potomstwo ludzi i aniołów miałoby płęć.

– Chciałbym usłyszeć twoją wersję – powiedział ostrożnie Martin.

Klucznik uśmiechnął się tylko.

– Czy ktokolwiek kiedykolwiek usłyszy od was odpowiedź choćby na jedno pytanie? – wykrzyknął Martin.

Klucznik uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Martin nie od razu wyruszył na Ziemię. Przede wszystkim wyspał się – głowa mu ciążyła, aż dziw, że klucznik przyjął wymyśloną na poczekaniu historię. Obudził się przed świtem, przegryzł coś i usiadł przy oknie, patrząc na Tyriant nocą.

W górze płynęły różnokolorowe iskry flaeerów, świeciły się okna wieżowców. Reklam nie było,

co bardzo się Martinowi podobało. Otworzył okno i wciągnął ciepłe, czyste powietrze. Z dołu, z ulicy dobiegał śmiech i czyjeś wesołe głosy. Życie nie zamierało tu nawet na chwilę. Jeśli Tyriant uważany jest tu za kloakę, jak wyglądały inne miasta? Martin był na Aranku już drugi raz i ciągle tak niewiele widział i wiedział...

A w niebie, ledwie widoczne w światłach iluminacji, migotały odległe, obce gwiazdy. Na jednych już był, na innych jeszcze zdąży być, a na niektóre nie trafi nigdy...

Martin czuł ucisk w piersi i gorycz – taką gorycz, jaką czuje się po największych fiaskach i niepowodzeniach. Jego pogoń za Iriną Połuszkina dobiegła końca. Wszystkich gwiazd i tak nie odwiedzi. Każda planeta, włączona do sieci transportowej kluczników, była pod jakimś względem niezwykła. Gdzie mogą być pozostałe cztery Iriny? Na starożytnej planecie Galeł, gdzie biolog Dawid ujrzał ożywionego satelitę? Na obłąkanych planetach dio-dao? Na pustej, martwej planecie, gdzie niestrudzeni uczeni wykopali kolejny artefakt? Jak znaleźć wspólny mianownik między ćwiczeniami lingwistycznymi na Bibliotece, wykopaliskami archeologicznymi na Prerii 2 i poszukiwaniem duszy na Aranku?

Wszystkich planet nie da się odwiedzić.

A najsmutniejsze było to, że teraz Martin nie miał już wątpliwości – nad Irą Połuszkina zawisło jakieś fatum – trzy śmierci pod rząd, trzy głupie śmierci nie mogły być zbiegiem okoliczności.

A będą jeszcze cztery.

Zresztą, skąd pewność, że pozostałe cztery Iriny nadal żyją?

Martin popatrzył na żeton. Cóż, pora udać się z raportem do Ernesto Połuszki. Nie zdołał wykonać zadania, ale nie sądził, żeby jego wykonanie było w ludzkiej mocy.

Martin siedział przy oknie do rana, wdychał powietrze obcej planety i myślał o klucznikach, arankach i Irinie Połuszkinej.

Gdy Martin wrócił do Moskwy, również była noc. Skoki po galaktyce były cięższe niż przeloty z jednej strefy czasowej do drugiej – zmieniało się powietrze, zmieniała się grawitacja... Szarpany rytm nocy i dnia był w sumie najmniejszym złem.

Smętny pogranicznik sprawdził jego dokumenty i wbił wizę wjazdową. Tym razem nie padło standardowe pytanie „jak się panu udaje tak często podróżować?” Przynajmniej tyle.

Martin miał do tego stopnia wszystkiego dość, że nie wybierał taksówki, tylko wsiadł do pierwszego lepszego samochodu przy Stacji i bez targowania się zapłacił żadaną sumę. Uradowany kierowca przez całą drogę zabawiał go ostatnimi ziemskimi nowinami.

W nowinach nie było nic ciekawego. Fanatykiem piłki nożnej Martin nie był, polityką nie interesował się z zasady, a kolejny spadek dolara w stosunku do euro raczej go cieszył.

Przed kłatką Martin długo szukał klucza, znalazł go na samym dnie plecaka, nie tam, gdzie go włożył, pakując się. Widocznie poprzekładali mu rzeczy w czasie rewizji na Aranku. A może podczas rewizji na Prerii 2? Nie ma co, udała mu się ta podróż...

Gdy Martin znalazł się wreszcie w mieszkaniu, przede wszystkim poszedł się wykapać. Po kąpieli włożył szlafrok i zerknął na swoje odbicie w lustrze. Wypisz-wymaluj arank... jeszcze tylko tiubietejka na głowę... a może tiubietejki noszą tam tylko dzieci? Martin zastanowił się i doszedł do wniosku, że dorośli arankowie obchodzili się bez nakryć głowy...

Z łazienki Martin poszedł do kuchni, zrobił sobie prostą, niemal plebejską kanapkę – z chleba, sera i kiełbasy, posmarował słodką burżuazyjną musztardą, zalał wrzątkiem torebkę zielonej, aromatyzowanej jaśminem herbaty i poszedł do gabinetu. Ponieważ i tak nie chciało mu się spać, więc postanowił odebrać pocztę, pogrzebać w Internecie, dowiedzieć się, co myślą poszczególne wyznania o obecności duszy u kosmitów (Martin niejasno pamiętał, że chrześcijanie, a zwłaszcza prawosławni, podchodzili do tej kwestii z dużą ostrożnością). Mógł również włączyć jakąś grę strategiczną i do rana zajmować się rozwiązywaniem globalnych problemów, prowadzić wojny kosmiczne, tworzyć i niszczyć korporacje, kolonizować obce planety... Krótko mówiąc, prowadzić normalne życie normalnego człowieka i zapomnieć o siedmiu Irinach i arankach, którzy nie zastanawiają się nad sensem życia.

Ale w gabinecie czekała Martina niespodzianka.

Niespodzianka siedziała w fotelu dla klientów, była płci męskiej, miała czterdzieści lat i wyglądała dość niepozornie. Ten nie zwracający uwagi wygląd najlepiej świadczył o tym, że gość, zgodnie z zasadami Feliksa Edmundowicza, ma chłodną głowę, ręce – na cześć Dzierżyńskiego i Botkina – czyste (bo umyte), a serce – zgodnie z regułą wielkiego czekisty (i fizjologią) – gorące.

– Dobry wieczór – powiedział Martin i usiadł w swoim fotelu przy biurku. Nieproszony gość nie protestował, ba, nawet uśmiechnął się przepaszająco i rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „Nic nie poradzę, taka praca...”

– Witam z powrotem, Martinie – rzekł mężczyzna. – Proszę się do mnie zwracać Juriju Siergiejewiczu.

– Wedle życzenia, Juriju Siergiejewiczu – zgodził się Martin obojętnie. – W czym mogę pomóc?

– Przepraszam, że zakłócam panu odpoczynek – przeprosił gość – ale...

Martin rzucił okiem na czerwoną legitymację, ale nie miał zamiaru jej otwierać. Podczas jego

nieobecności w mieszkaniu włączony był alarm, nawet teraz na ścianie mrugało czerwone oko czujnika ruchu. Skoro ochrona nie przyjechała, to znaczy, że ktoś serdecznie poprosił milicję, żeby nie przeszkadzać.

– Wie pan, czym spowodowana jest moja wizyta? – zapytał gość.

– Pozwoli pan, że wysłucham pańskiej wersji? – odpowiedział pytaniem Martin.

Jurij Siergiejewicz nie kłócił się.

– Irina Połuszkina. Zajmował się pan poszukiwaniem jej.

– Zgadza się – skinął głową Martin. – Zajmowałem. Do dzisiaj.

– Ależ my absolutnie nie chcemy, żeby rezygnował pan z poszukiwań! – zaniepokoił się Jurij Siergiejewicz.

– To wcale nie z pańskiego powodu. Po prostu moje zadanie jest już skończone.

– Znalazł ją pan! – ucieszył się gość.

– W pewnym sensie. Jutro rano jadę do jej rodziców.

Jurij Siergiejewicz skinął głową:

– Doskonale! Ale najpierw niech mi pan wszystko opowie.

– To łamanie moich praw jako prywatnego detektywa – zauważył Martin.

Gość stropił się.

– Martinie... No, co też pan, jak słowo daję... czy naprawdę musimy pana zatrzymać i pokazać nakaz o wszczęciu śledztwa? Czy muszę szukać na pana materiałów kompromitujących, przypominać drobne psoty z podatkami i kontrabandą, wytoczyć panu sprawę o przekroczenie granic samoobrony... nieustannie ociera się pan o ten artykuł. Ma pan konto walutowe w zachodnim banku, prawda? A to już pachnie kryminałem. Pliki umów z klientami trzyma pan pod szyfrem? Kolejny artykuł. Praw jest wiele, Martinie, znajdzie się coś na każdego. Jak będzie trzeba, to nawet Ławra beknie z kodeksu karnego. I proszę zauważyć – wszystko absolutnie zgodnie z prawem!

Martin wysłuchał cierpliwie do końca i powiedział:

– Nie rozumiem mnie pan. Nie odmawiam współpracy. Zauważyłem tylko, że dzieląc się poufnymi informacjami, łamię prawa mojego klienta. A tego bardzo bym nie chciał.

– Trzeba było tak od razu – uśmiechnął się Jurij Siergiejewicz. – Łamanie własnych zasad, nawet w drobiazgach, nigdy nie jest przyjemne. Chciałoby się żyć na świecie, w którym zło zostało wytrzebione i w którym triumfuje dobro... ale jest pan rozsądnym człowiekiem i zawsze chętnie zgadzał się pan na współpracę.

– Posłusznie – poprawił Martin.

– Słucham? – nie rozumiał Jurij Siergiejewicz.

– Posłusznie, a nie chętnie. To różnica. I to właśnie dlatego, że jestem rozsądnym człowiekiem. Ma pan włączony dyktafon?

– Tak – skinął głową gość. – Proszę opowiadać.

– Nie sędzę, żeby ta sprawa zainteresowała wasze biuro – powiedział Martin. Na twarzy Jurija Siergiejewicza pojawił się lekki uśmiech. – Ernesto Siemionowicz Połuszkin, świetnie prosperujący biznesmen, zwrócił się do mnie z prośbą o pomoc. Dostępne mi źródła twierdzą, że nie ma na swoim koncie żadnych kryminalnych sprawek... Wiem, wiem, na każdego znajdzie się paragraf... Jego córka uciekła z domu. Dziewczyna ma siedemnaście lat, przeszła przez moskiewskie Wrota i już nie

wróciła. Początkowo uznałem sprawę za całkiem banalną...

Martin rzeczowo, bez zbędnych szczegółów, opowiedział Jurijowi Siergiejewiczowi o swojej wizycie na Bibliotece, o śmierci Iriny, decyzji sprawdzenia Prerii 2, o drugiej Irinie, kolejnej idiotycznej śmierci, o podróży do aranków... Jurij Siergiejewicz słuchał z wzrastającym zainteresowaniem, w pewnych momentach ze smutkiem kiwał głową, w innych zadawał pytania.

Martin opowiedział o otrzymanej od aranków broni termicznej i oddał ją gościowi wraz z napisanym jeszcze na Aranku oświadczeniem do organów spraw wewnętrznych. W oświadczeniu Martin szczegółowo opisał okoliczności otrzymania broni i podkreślił, że sam z niej nie strzelał.

– Jest pan bardzo przewidujący – zauważył z zadowoleniem Jurij Siergiejewicz. – Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zabiorę broń.

– I zostawi mi pan pokwitowanie – dodał Martin.

– Oczywiście.

Zdobycz nie wywołała żywiołowej radości i Martin domyślił się, że broń termiczna trafiła już na Ziemię, została dokładnie zbadana i okazało się, że nie da się jej produkować na obecnym poziomie ziemskiej technologii.

– A co pan myśli o tym, co się stało? – zapytał Jurij Siergiejewicz, gdy Martin zakończył swoją opowieść.

Martin milczał, próbując ująć swoje przemyślenia w precyzyjne sformułowania.

– Wydaje mi się, że Irina Połuszkińska jakimś cudem otrzymała dostęp do tajnych informacji, dotyczących Biblioteki, Prerii 2, Aranku i najwidoczniej kilku innych planet. Jakieś opracowanie odpowiednich instytucji. Być może znajdowała się tam również metoda, umożliwiająca skopiowanie siebie w kilku egzemplarzach. Irina jest dziewczyną ambitną i niegłupią, ale jednocześnie powierzchowną, taki słomiany ogień. Wybrała te planety, gdzie spodziewała się osiągnąć błyskotliwy sukces. Niestety, nie sposób rozwiązać zagadek Wszechświata od pierwszego podejścia. W tak zwanym międzyczasie wyszło na jaw, że tajne informacje zniknęły – Martin uśmiechnął się – i pan zainteresował się mną.

– Prawie wszystko się zgadza – skinął głową Jurij Siergiejewicz. – Pozwoli pan, że podzielę się z panem jednym szczegółem – my nie wiemy, jak można rozmnożyć się do siedmiu sztuk.

– Ach tak? – wymamrotał Martin. – Cóż, w takim razie dziewczynie udało się dokonać przynajmniej jednego odkrycia.

– Ma pan jakieś domysły, jak mogła to zrobić? – zapytał gość.

– Być może jest to sprawka kluczników. Przecież nie wiemy nawet, na jakiej zasadzie działają Wrota. Być może nasze ciała są kopiowane i rekonstruowane na innej planecie? Wtedy zrobienie nie jednej kopii, lecz siedmiu – czy nawet siedmiuset siedemdziesięciu siedmiu – nie stanowiłoby większego problemu.

– W sieci kluczników znajduje się w chwili obecnej czterysta dziewięć planet – burknął Jurij Siergiejewicz. – Chociaż... wcale nie mamy pewności, że podali nam całą listę... Jak można namówić kluczników, żeby rozmnożyli klienta?

– Nijak – Martin pokręcił głową. – Oni nie odpowiadają na pytania. Mogą opowiedzieć coś interesującego, czy nawet podarować jakąś ciekawą zabawkę, ale to zawsze ich własna inicjatywa. Widocznie skopiowanie dziewczyny, która nie potrafiła zdecydować, na jaką planetę wyruszyć, uznali za zabawne.

– Bydlaki! – zaklął Jurij Siergiejewicz. Martinowi wydawało się, że niezadowolenie gościa spowodowane jest bardziej uporem kluczników niż okrutnym eksperymentem z młodziutką dziewczyną, ale wolał tego nie precyzować. – Martinie, a co pan powie o tych... – gość zawahał się – o tych trzech śmierciach?

– Być może nawet zabójstwach – skinął głową Martin. – Nie wiem. Z pozoru wyglądało to na przypadek. Jeśli za zabójstwami rzeczywiście ktoś stoi, to nie jesteśmy w stanie go zdemaskować.

– Klucznicy – zasugerował w zadumie Jurij Siergiejewicz. – Oni dali życie, oni je odebrali... Pan na pewno nie ma z tym nic wspólnego?

– Proszę przeczytać jeszcze raz zeznanie Klima – nie wytrzymał Martin.

– Skąd pan... – zdenerwował się Jurij Siergiejewicz, ale opanował się szybko i pokręcił głową: – Jest pan znacznie inteligentniejszy, niż chce pan pokazać.

– Pan również – burknął Martin. I po co denerwował czekistę? Ale się wykazał inteligencją...

Jurij Siergiejewicz westchnął i powiedział – z tą szczerością, pod którą prawie zawsze kryje się drugie dno:

– Ależ ja panu wierzę... Jest pan normalnym, porządnym facetem. Nie ma pan nic szczególnego na sumieniu. Więcej takich jak pan, a szybciej dogonilibyśmy Europę. Nikt nie ma zamiaru pana prześladować... A za informacje dziękuję...

Zakręcił się na fotelu, ale nie spieszył się z wychodzeniem, starannie odgrywając wahanie. Martin poskromił swój zbyt szybki język i czekał.

– Martinie, gdzie należałoby szukać czterech pozostałych dziewcząt?

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział Martin. – I właśnie dlatego postanowiłem zrezygnować z poszukiwań. Gdyby było wiadomo, jakie zagadki zawierała ta baza informacji, która wpadła w ręce Iriny, można by zawęzić krąg poszukiwań. A tak... czterysta dziewięć planet, mówi pan? Zostało jeszcze czterysta sześć.

– W bazie były informacje o wszystkich planetach – powiedział Jurij Siergiejewicz z takim rozdrażnieniem, że Martin mu uwierzył. – Na tym właśnie polega problem. W galaktyce jest tyle niezbadanych rzeczy, że wystarczy wskazać palcem dowolną planetę, by znaleźć jakiś cud. Był pan na planecie Topiel?

– Tak – skinął głową Martin.

– Słyszał pan o gerilongu?

Martin zastanowił się.

– To ten wywar z wodorostów? Podobno wydłuża życie...

– Właśnie. Wydłuża życie... Doświadczalna grupa myszy żyje już sześć lat. U naczelnych rezultat nie robi aż takiego wrażenia, ale można osiągnąć dziesięć lat aktywnej starości. Proszę zwrócić uwagę – aktywnej! Odnawia się potencja, zwiększa się aktywność plemników, pojawia się owulacja, wyostrza wzrok... Rosną zęby! Zęby i włosy! Wraca świeżość emocji, rosną zdolności twórcze... Laureaci nagrody Nobla otrzymują gerilong razem z czekiem. Ale nie chodzi nawet o to... Ludzie, którzy biorą gerilong, zaczynają widzieć w ultrafioletowej części spektrum i słyszeć długofalowe promieniowanie radiowe!

– Ho, ho! – zachwycił się Martin.

– To jest jawna informacja, jedynie pogrzebana w czasopiśmie naukowych. Ludzie zaczynają słyszeć fale radiowe, nie tylko szum, ale również umieją go rozkodować. Słyszą muzykę, głos

spikera... a przy tym nie ma żadnych widocznych zmian. Czy łowią te fale mózgiem? I tak jest na każdej planecie. Wystarczy, żeby była planeta, a zagadki same się znajdują.

Jurij Siergiejewicz zamilkł na chwilę, potem dodał:

– Słusznie pan sądzi, że Irina otrzymała dostęp do informacji. Nie ma pan racji pod innym względem. To nie było tajne, lecz zwykłe opracowanie – zebrano wszystkie plotki, odkrycia, rewelacje, wszystkie publikacje z czasopism popularnych i naukowych, potem przeprowadzono wstępny odsiew i odrzucono wierutne brednie. W ten sposób powstał dokument „DSP”, który wcale nie był ściśle tajny. Nie musi pan sobie łamać głowy nad jego zawartością. Znaczną część archiwum znajdzie pan w pierwszym lepszym brukowcu.

– Rozumiem – powiedział Martin. – Pana nie interesują te tajemnice, które próbuje rozwiązać Irina.

Jurij Siergiejewicz skinął głową.

– Jeśli domyśle się, jak Irinie udało się skopiować samą siebie, powiadomię pana.

Gość położył na stole wizytówkę – tylko imię i numer telefonu – ucisnął Martinowi dłoń i w milczeniu wyszedł z gabinetu. Martin zauważył, że nie włączał światła w przedpokoju. Oto prawdziwy profesjonalista z doskonałą pamięcią wzrokową!

Martin posiedział chwilę, zastanawiając się nad tą rozmową, westchnął, przypominając sobie nie wypróbowaną broń termiczną i wziął się za sprawdzanie poczty.

# Część czwarta



# Zielona

## Prolog

Szlachta – prawdziwa szlachta, z rozległym drzewem genealogicznym i oznakami arystokratycznego zwyrodnienia, a nie amerykańscy milionerzy, którzy kupili sobie tytuły, czy też rosyjscy złodzieje skarbu państwa – zawsze znała się na dobrej kuchni.

Przeglądając połyskliwe strony książek kulinarnych, łatwo uwierzyć w piękne kłamstwa. Na przykład w to, że carowie i bojarzy na Rusi od wieku wieków jedli tylko i wyłącznie bliny z kawiolem, wymyślnie faszerowane gęsi, pierogi i białego łososia. Dlatego też zamięłowanie Piotra do kaszy perłowej nie dawało się wyjaśnić niczym innym, jak tylko dziwactwami i chorobą wielkiego monarchy.

Więc teraz nowo powstała „szlachta” je potrawy smaczne, ale ciężkie i tłuste, nie wyobraża sobie spędzenia wieczoru bez alkoholu, naiwnie tłumacząc sobie, że bogacze na Rusi zawsze tak jedli i wszystko było w porządku, żyli długo i szczęśliwie.

Co za niebezpieczna pomyłka, grożąca rozstrojem żołądka, otłuszczeniem wątroby i jakże nieerotycznymi fałdami na ciele!

Nie należy mylić potraw świątecznych, dających radość oczom i żołądkowi, na które można pozwolić sobie od czasu do czasu, z codziennym jedzeniem, korzystnym dla zdrowia, a przy tym równie smacznym i uroczystym. Prawdziwa arystokracja znała tę prawdę i dlatego dożywała sędziwej starości.

Martin stał przy kuchni i gotował sobie ryż na śniadanie.

Nie wszyscy lubią ryż. Nic dziwnego. Już od dzieciństwa sukcesywnie się go nam obrzydza – gorzkiemu zawodzeniu przedszkolaków wtórują kwaśne miny uczniów, mocne przekleństwa prostych żołnierzy i tępa beznadzieja pogodzonych ze swym losem ojców rodzin, dojadających nieapetyczne danie za kapryśne maluchy. Zlepiona, kleista, wygotowana biała papka to zaiste przykry i godny pożałowania widok. Może wprowadzić obudzić w duszy pewne ciepłe uczucia – na przykład, głębokie współczucie dla narodów Azji Południowo-Wschodniej, żywiących się ryżem od rana do wieczora. Ale nic więcej. Rozgotowany ryż nie jest ani zdrowy, ani smaczny.

Nie lepiej przedstawia się sytuacja z ryżem paczkowanym, czy też ryżowymi płatkami błyskawicznymi. Ale one zostały zepsute, zanim się do nich zabraliśmy, i my już im krzywdy nie zrobimy.

Taki ryż jest nam stanowczo niepotrzebny!

Martin odmierzył dwieście mililitrów ryżu – zwykłego, demokratycznego gatunku, dostępnego każdemu pracującemu człowiekowi. Taki ryż ma lekką skłonność do zlepiania się w czasie gotowania, którą można łatwo przezwyciężyć, jeśli gotowało się go prawidłowo.

Martin gotował ryż prawidłowo.

Wsypany do rondelka ryż zalał trzystoma mililitrami wrzątku – oczywiście nie była to kranówka, lecz woda niegazowana z normalnej, pięciolitrowej butli. To tylko tam, na pylistych ścieżkach odległych planet, Martin gotów był pić wodę nawet z kałuży. W domu nie można się tak opuszczać! Tej reguły przestrzegali angielscy dżentelmeni, wyruszając do kolonii, by nieść brzemię białego człowieka i zazwyczaj żyli długo i cieszyli się dobrym zdrowiem – jeśli tylko nie umierali na dyzenterię.

Martin przykrył ronderek ciężką, szczelnie przylegającą pokrywką, i postawił go na silnym ogniu. Zostawmy elektryczne kuchenki Amerykanom, którzy zdążyli już przywyknąć do syntetycznego

jedzenia!

Ryż gotował się na silnym ogniu dokładnie przez trzy minuty. Martin pilnował, żeby pokrywka nie podskakiwała i nie wypuszczała cennej pary. Ale ronderek był porządny i trzymał ciepło.

Po trzech minutach Martin zmniejszył ogień i ustawił czas na siedem minut. Ryż uspokoił się i teraz zaczął gotować się na serio.

Przez ostatnie dwie minuty Martin pozwolił mu popyrkać na słabiutkim ogniu, który nie rozgrzewał, a jedynie utrzymywał temperaturę.

Dwanaście minut to przecież nie wieczność, prawda?

Wyłączając ogień, Martin nie zdjął rondla z kuchenki i nie podniósł pokrywki. Bez pośpiechu zaparzył zieloną herbatę, bardzo korzystną dla ludzi palących, nie wysypiających się i prowadzących burzliwy tryb życia. Poza tym, zielona herbata znacznie lepiej harmonizuje z ryżem niż czarny napar, który przyjęto pić w „cywilizowanym” świecie.

Proces parzenia herbaty, zwłaszcza zielonej, nie jest szczególnie skomplikowany. Bierzesz dobrą wodę pitną, czajniczek o słusznym kształcie i rozmiarze, płuczesz go wrzątkiem, a następnie wsypujesz herbatę – jedna łyżeczka dla każdego i jedna dla czajniczka. Parzysz przez określony czas – to bardzo ważne, by nie pozwolić herbacie, szczególnie zielonej, zaparzać się zbyt długo. I pijesz.

Ale herbata jest znacznie bardziej kapryśna niż kawa, i wiele zależy od tego, kto ją szykuje. Prócz obowiązkowych składników, do czajniczka należy dodać odrobinę duszy. Wtedy dopiero wychodzi naprawdę dobry napój. Niektórzy znajomi Martina używali tego samego gatunku herbaty, zalewali go tym samym wrzątkiem i mierzyli czas z zegarkiem w rękę, a jednak nie potrafili uzyskać boskiego naparu! Taka jest surowa proza życia. Cóż, w takim wypadku należy pić liptona i nie marzyć o niczym więcej...

Martin pozwolił ryżowi postać dokładnie dwanaście minut, dopiero wtedy podniósł pokrywkę. Z uśmiechem, jakby witał starego znajomego, popatrzył na sypki, a jednocześnie dobrze ugotowany ryż. Wziął kawałek masła śmietankowego, położył na wierzchu i starannie rozmieszał – specjalnie uważając, żeby właśnie mieszać, a nie rozcierać czy rozgniatać.

Teraz można już było przystąpić do posiłku.

Uśmiechając się radośnie – nie zawsze udawało mu się spożyć śniadanie w spokoju – Martin zjadł talerz ryżu, sam siebie poprosił o dokładkę i sam sobie na nią pozwolił. Wypił kubek aromatycznej, jaśminowej herbaty, nalał drugi i odwrócił się do okna, żeby, rozkoszując się napojem, obserwować życie podwórka.

Na dworze było pochmurno. W ostatnich latach pogoda się zepsuła – i niektórzy nie omieszkali obwinie o to kluczników. Zimy stały się cieplejsze, lata bardziej upalne, ale czerwiec już chyba na zawsze został miesiącem dżdżystym i chłodnym.

Wprawdzie teraz deszcz jeszcze nie kroił, ale już szykował się, żeby spaść. Kilkoro ponurych dzieci stało przy huśtawkach. Młoda mama spacerowała z wózkiem, przyglądając się badawczo grupce małolatów – jakby zawczasu dobierała swojemu dziecku przyszłych przyjaciół zabaw. Przed dom wyszły staruszki, skrupulatnie przeliczyły się nawzajem i zajęły wysiedziane ławki. Starszawy sąsiad z klatki obok otworzył garaż i uważnie obejrzał swojego muzealnego zaporozca. Siedzący w oknie Martin przyłączył się do tego przeglądu – lubił ludzi z pasją, nawet jeśli nie podzielał ich namiętności. Sąsiad długo i w zasadzie bez potrzeby rozgrzewał silnik zabytku, potem wyjechał z garażu, zrobił kółko na podwórku i zatrzymał się. Miłosnym gestem przetarł szyby, zamknął kłódkę, otworzył sąsiedni garaż i wyjechał nowym fiatem.

Martin pił herbatę i cieszył się życiem.

Za dziesięć minut miał zadzwonić do Ernesto Połuszkina i umówić się na spotkanie.

Za dziesięć minut Martina czekała długa i ciężka rozmowa, która na dobre zepsuje mu humor. Był na to przygotowany.

Ale na razie pił herbatę, z delikatną czułością patrząc na młodą mamę – wózek już otoczyły ciekawskie maluchy i kobieta coś im z zapałem opowiadała.

Do telefonu zostało jeszcze dziesięć minut.

Składając podobne wizyty, Martin za każdym razem czuł się winny. Nie lubił hysterii i łez, bezmyślnych i niesprawiedliwych oskarżeń, a nade wszystko nie lubił własnej bezsilności. Nie można pocieszyć człowieka, który już wie o stracie swoich krewnych czy bliskich.

Dlatego Martin poszedł do Ernesto Połuszkin z kamienną, ale smutną twarzą. Mówił krótko i zwięźle, na samym początku przekazując wiadomość o siedmiokrotnym skopiowaniu Iriny.

Biznesmen wysłuchał jego historii ze stoickim spokojem – powieka zaczęła mu drgać dopiero wtedy, gdy Martin opowiedział o pierwszej śmierci jego córki.

W trakcie opowieści Martin wyjmował turystyczne żetony i kładł je na stole. Każdy żeton opatrzył metką: Biblioteka, Preria, Arank... Kończąc opowieść, Martin zrozumiał, że nie był to najlepszy pomysł – z jego zachowania Ernesto Siemionowicz mógł wywnioskować, że Martin ma w kieszeni wszystkie siedem żetonów. Ale biznesmen nie oburzał się, nie krzyczał, nie próbował pobić detektywa, tylko słuchał, słuchał, słuchał...

– Gdzie są pozostałe cztery... – odezwał się w końcu, przerwał, ale mimo wszystko dokończył: – cztery Iriny?

– Nie wiem – Martin pokręcił głową. – Nie wiem, Ernesto Siemionowiczu. Przykro mi. I nie jestem w stanie przeszukać wszystkich planet w galaktyce.

Połuszkin milczał. Obracał w rękach żetony. Po raz kolejny przeczytał krótki list od Iriny z Prerii 2. Zmarszczył brwi – coś w tym liście wyraźnie go niepokoiło. W końcu zapytał:

– A więc rezygnuje pan z dalszych poszukiwań?

– Ta sprawa wyszła daleko poza ramy naszej początkowej umowy – powiedział ostrożnie Martin. – Poza tym, zainteresował się nią urząd bezpieczeństwa.

Ernesto Siemionowiczowi znowu drgnęła powieka.

– Wiem – wycedził niechętnie.

Martin czekał, ale nie poproszono go o relację z rozmowy z tajniakiem. Ernesto Połuszkin był bardzo opanowanym człowiekiem.

– Zataił pan przede mną część informacji – powiedział Martin, nieco ośmielony. – Bardzo istotną część. W ręce pańskiej córki wpadł służbowy dokument bezpieki, w którym wymieniono wszystkie znane ludzkości zagadki galaktyki. Właśnie dlatego Irina uciekła z domu...

Połuszkin popatrzył na Martina i detektyw gotów był przysiąc, że dostrzegł w jego oczach wzgardę. Ale głos Ernesto Siemionowicza brzmiał spokojnie i uprzejmie.

– Nie mam do pana pretensji, Martinie. I proszę mi wybaczyć, że nie wspomniałem o dossier. Nie byłem pewien, czy Irina w ogóle je czytała. A o takich rzeczach lepiej nie mówić... bez potrzeby. Przepraszam.

Zakłopotany Martin wzruszył ramionami:

– Dobrze, rozumiem. Przykro mi, że nie zdołałem... uratować dziewcząt.

– Więc odmawia pan dalszej współpracy? – zapytał znowu Połuszkin.

Martin skinął głową.

– W jaki sposób chce pan otrzymać swoje wynagrodzenie? Gotówka, czek, przelew na rachunek?

– Gotówka, oczywiście – odparł Martin.

– Ruble, dolary, euro?

– Najlepiej euro. Albo ruble.

– Chwileczkę.

Zasłaniając szerokimi plecami wmurowany w ścianę sejf, Ernesto Siemionowicz otworzył masywne metalowe drzwiczki. Zaszleściły banknoty.

Paczka, która znalazła się na stole przed Martinem, była bardzo gruba. Martin popatrzył pytająco na Połuszkina.

– Tu jest trzy razy więcej niż było w umowie – oznajmił sucho Połuszkina. – Przecież wykonał pan swoje zadanie potrójnie.

– Dziękuję... – Martin zastanawiał się przez chwilę, ale w końcu zdecydował, że pieniądze słusznie mu się należą.

– Powodzenia.

Martin opuścił gabinet rozdarty wewnątrz. Połuszkina nie ruszył się z miejsca, tylko krzyknął w stronę korytarza:

– Laryso, proszę odprowadzić gościa!

Surowa gospodyni w sile wieku zjawiała się błyskawicznie i zaprowadziła Martina do drzwi. Mieszkanie Połuszkina całkowicie odpowiadało jego statusowi – trzysta metrów powierzchni i dwa poziomy – więc Martin nie odrzucił pomocy. Widać było, że gospodyni wie, kim on jest, że bardzo martwi się losem Iriny, ale nie powiedziała ani słowa. Nieźle wykształcona.

Pod drzwiami siedział smętny maltańczyk, który bardzo starannie obwąchał Martina – może wyczuł ledwie uchwytny zapach Iriny?

– Nie martw się, Homer – powiedział Martin, przypominając sobie list Iriny. Rzecz jasna, powiedział to bardziej do gospodyni niż do psa. – Twoja pani wróci i da ci smaczną kosteczkę.

– Nazywa się Bart, a nie Homer – powiedziała kobieta, poklepując psa po karku i popatrzyła na Martina z wdzięcznością. Detektyw dał jej do zrozumienia, że są jakieś szanse na powrót Iriny – kobieta to doceniła.

– Bart, mówi pani? – mruknął Martin, zakładając buty. W mieszkaniu Połuszkiny, wbrew europejskim zwyczajom, zmuszano gości do zmiany obuwia. I słusznie – moskiewskim ulicom daleko jeszcze do czystości europejskich. – Do widzenia.

Gospodyni skinęła głową, zamykając się w sobie. Pies szczeknął smętnie.

– Bart – powiedział Martin do siebie, gdy zatrzasnęły się drzwi windy. – Ha! A wielki ślepiec nie ma tu nic do rzeczy.

Martin lubił amerykański serial *Simpsonowie*, uważał go za amerykańską refleksję i podświadomy protest przeciwko poprawności politycznej i bigoterii, więc rozumiał pochodzenie psiego imienia.

Trudniej mu było pojąć, jak Irina mogła się pomylić, i nazwać swojego psa imieniem starszego, a nie młodszego Simpsona.

A Ernesto Połuszkina? Czy on również zapomniał, jak brzmi imię psa?

A może używano obu imion?

A może w niewinnym liście był ukryty sens, zrozumiały tylko dla wtajemniczonych?

– Mój kontrakt jest zakończony – powiedział do siebie Martin, poklepując kieszeń marynarki z grubą paczką banknotów. – Może być Homer, Bart, a nawet Liza.

Winda zatrzymała się na parterze.

Konsjerż – barczysty mężczyzna w średnim wieku i oczach zawodowego zabójcy – popatrzył uważnie na Martina. Martin kiwnął mu głową, podobnie jak wtedy, gdy wchodził do budynku. W odpowiedzi otrzymał leciutkie skinienie. Były specnazowiec, może nawet żołnierz Alfy – w takim domu nic nie powinno człowieka dziwić – uznał Martina za człowieka niegroźnego, ale mimo wszystko godnego szacunku.

Na dworze Martin stał kilka minut pod daszkiem, ze smutkiem rozmyślając o pozostawionym w domu parasolu – w czasie rozmowy z Ernesto Połuszkinem rozpadał się deszcz. I to jeszcze jaki deszcz... Chodniki pokryły się kałużami, niebo zasnuły ołowiane chmury, gdzieś w oddali błyskało się, ale na razie bezgłośnie. Miasto wyglądało na wyludnione.

Martin nie miał najmniejszej ochoty wychodzić na deszcz, ale co mógł zrobić? Próbować wezwać taksówkę przez komórkę? Będzie musiał długo czekać, w końcu nie on jeden jest taki mądry, teraz ludzie bardzo polubili jazdę samochodem...

– Niech pan weźmie – powiedział ktoś z tyłu. Martin nie usłyszał, jak otwierały się drzwi.

Z wdzięcznością przyjął z rąk konsjerża porządny, męski parasol – z wielką kopułą, drewnianą rączką i drutami z poliwęglanu. Parasol Martina był znacznie gorszy...

– Jak mam oddać?

Ochroniarz machnął ręką.

– A jak pan chce. Może pan zatrzymać. Rok temu ktoś zostawił go w windzie.

Martin westchnął, wyobrażając sobie ludzi, którym nie chciało się wrócić po taki parasol. Zresztą, istnieje przecież taka choroba jak skleroza...

– Dziękuję. Wygląda na to, że będzie lało ze dwie godziny.

Ochroniarz zerknął na niebo, zastanowił się i powiedział:

– Na półtorej, nie więcej. Ale leje jak z cebra... psa by nie wygonił.

Martin uśmiechnął się i zapytał, czując się jak ostatni drań:

– Proszę mi powiedzieć, na psach też się pan tak dobrze zna jak na pogodzie?

Konsjerż trochę się spiął:

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Patrząc na mnie, trzymał pan rękę w kieszeni... Ma pan kliker zamiast breloczka?

Zdumiewające, jak uśmiech potrafi przeistoczyć nawet najsurowsze twarze!

– Zgadza się! – Ochroniarz zademonstrował kliker. – Mam trzy psy. Też tresujesz w ten sposób psy?

– Tresowałem. Pies mi zdechł... – powiedział Martin, przemilczając fakt, że spokojny i добродuszny retriever, należący jeszcze do jego rodziców i z uporem nie poddający się żadnej tresurze, zdechł ze starości ponad pięć lat temu. – Byłem tutaj u pewnych ludzi... – wskazał głową na wejście – mają fajnego psa i zastanawiałem się, czy sobie takiego nie sprawić...

– Owczarek maltański? – Ochroniarz uśmiechnął się. Widocznie na monitorze w jego kantorku widać było nie tylko wejście do klatki, ale również wszystkie piętra. – Bart to fajny pies, ale z takim maltańczykiem jest kupa zawracania głowy. I w ogóle, cała ta egzotyka jest bez sensu. Weź sobie

owczarka kaukaskiego, jeśli nie boisz się trudności. Zawsze to łatwiejsza rasa.

– Bart? – sprecyzował Martin.

– Tak, pies się nazywa Bart. To z jakiejś kreskówki.

Martin i ochroniarz wypalili po papierosie, omawiając zalety i wady różnych ras i zgodzili się, że owczarek maltański to pies dla bogatych snobów albo fanatyków rasy. Martin obiecał, że zastanowi się nad kaukazem, wpisał do komórki telefon klubu miłośników tej rasy i pożegnał się serdecznie z ochroniarzem.

Wszystko się zgadzało i nikt nie próbował namieszać mu w głowie. Pies nazywał się Bart. Innych psów Połuszkinowie nie mieli – tę informację również udało się bez trudu wyciągnąć z ochroniarza.

– To nie moja sprawa – mruzczał Martin, idąc do metra. Łapanie okazji w taką pogodę równało się zachlapaniu błotem spodni i butów. – Nie moja sprawa. Sami sobie jedzcie swoje smaczne kosteczki.

Ale przez cały czas miał przed oczami twarz Iriny w chwili, gdy dziewczyna zacisnęła dłońią lufę pistoletu.

Mimo całej przewagi papierowych książek nad plikami tekstowymi, w codziennym użytkowaniu znacznie wygodniejsze są encyklopedie multimedialne. Martin lubił położyć się na kanapie z przewodnikiem czy Garnelem-Czystiakową, oglądając zdjęcia znajomych miejsc i pejzaże nieznanymi planet, czytając opisy – te prawdziwe, wątpliwe, oraz wyraźnie omyłkowe czy przestarzałe. Jeszcze trzy lata temu sądzono, że na Eldorado nie zdarzają się huragany, aborygenów Tropy uznawano za rozumnych, a oułua przeciwnie – za zwierzęta. Ale mimo wszystko w czytaniu papierowej książki była snobistyczna przyjemność i niepowtarzalne doznanie, podobne do obejrzenia sztuki w Teatrze Bolszoi czy posiadania płótna któregoś z pieriedwiżników na ścianie.

[Pieriedwiżnicy, ros. malarze i rzeźbiarze zgrupowani w Towarzystwie Objazdowych Wystaw Artystycznych (Towarzystwo pieriedwiżnych chudożestwiennych wystawok). Grupa powstała w 1870 r. w Petersburgu, z inicjatywy I.N. Kramskoj, G.G. Miasojedowa, W.G. Pierowa, N.N. Gay'a i in. Pieriedwiżnicy uprawiali sztukę realistyczną, propagując rodzimą tematykę rodzajową, pejzaż i portret, będącą wyrazem demokratycznych i patriotycznych nurtów ówczesnej kultury ros. Do najwybitniejszych przedstawicieli należeli m.in.: I. Riepin, I. Lewitan, I. Kramskoj, W. Surikow.]

Ale teraz Martinowi nie chodziło o pochlebienie swojej pysze. Włączył więc komputer, wrzucił idiotyczną, obliczoną na profanów *Encyklopedię światów* i wprowadził hasło „Bart”.

Nic interesującego encyklopedia nie znalazła. Martin bez zastanowienia wrzucił w wyszukiwarkę słowo „Homer”.

Rezultat był ten sam.

Martin poszedł do kuchni, przygotował sobie filizankę mocnej kawy – rozpuszczalnej, bo nie odpoczywał, lecz pracował – wrócił do komputera, zapalił papierosa i w zadumie wpatrzył się w ekran, czekając na olśnienie.

Co Irina chciała powiedzieć, zmieniając imię psa?

Homer nie pasuje. Bart też.

A gdyby tak wziąć żonę Homera?

Martin wprowadził imię „Marge”.

Encyklopedia radośnie wyrzuciła hasło.

– Psiamać! – wykrzyknął Martin pod adresem owczarka maltańskiego, bohaterów kreskówki, oraz wszystkich encyklopedii świata.

Ze względu na charakter swojej pracy, Martin bywał na wielu planetach. O kilku innych trochę wiedział. Ale o Marge słyszał po raz pierwszy. Widocznie ta planeta nigdy go nie zainteresowała.



Martin kliknął hasło, otwierając je. I powtórzył swój okrzyk w znacznie mocniejszej formie.

Imieniem „Marge” encyklopedia nazywała ojczyznę dio-dao, doskonale Martinowi znaną pod miejscową nazwą „Fuckyou”. Nie trzeba być mędrce, by dojść do wniosku, że anglojęzyczni obywatele zaczęli nazywać ją inaczej. Zwłaszcza w popularnej encyklopedii, przeznaczonej między innymi dla dzieci i purytanów.

Rzeczywiście: w hasle znajdowała się krótka adnotacja drobnym drukiem, że planeta posiada kilka nazw w miejscowym narzeczu, jednak twórcy encyklopedii wybrali najbardziej dźwięczną. Zainteresowany tą kwestią Martin sięgnął do Garnela i Czystiakowej, i tam, również w uwagach, przeczytał, że w popularnych angielskich informatorach świat dio-dao nazywany jest „Marge” – co w języku dio-dao oznacza po prostu planetę. Martin miał wrażenie, że kiedyś już czytał te uwagi, a potem szczęśliwie o nich zapomniał.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad podobnymi problemami lingwistycznymi, z którymi ludzkość zetknęła się na długo przed kontaktem z klucznikami. Nic dziwnego, że pierwszy bułgarski kosmonauta, dzielny Kakałow, w Związku Radzieckim nazywany był Iwanowem, zaś w szkołach Azerbejdżanu nie uczą o twórczości wielkiego niemieckiego poety Goethego (po rosyjsku Giote) – ponieważ w azerbejdżańskim giote znaczy dupa...

No cóż, Marge to Marge. Z dio-dao Martin tak czy inaczej rozmawiał w języku turystycznym i żadne niepotrzebne asocjacje się nie pojawiały.

Porzucając te językowe dygresje, Martin zaczął się zastanawiać nad dwoma kwestiami: czy dobrze odgadł i co powinien teraz zrobić z tą informacją? Na pierwsze pytanie Martin bez wahania odpowiedział twierdząco. Ireczka chciała dać do zrozumienia rodzicom, na jakiej planecie znajduje się jej kolejna kopia. A co dalej?... Zadzwoić do Połuszkina i opowiedzieć mu o planecie Marge? Zadzwoić do Jurija Siergiejewicza i zapracować na reputację usłużnego informatora?

– Na razie nie jestem niczego pewien – powiedział Martin sam do siebie, zamykając encyklopedię. – To tylko moje domysły.

Na Fuckyou był dwa razy – za pierwszym razem na początku swojej kariery i z tej podróży wyniósł jak najgorsze wrażenia, za drugim – dwa miesiące temu. Ta wizyta okazała się znacznie przyjemniejsza. Martin zdołał wykonać zadanie – odnaleźć kobietę, która wybrała tak radykalny sposób rozvodu i namówić ją do powrotu na Ziemię. Mało tego, udało mu się również zaprzyjaźnić... no dobrze, zaprzyjaźnić to zbyt wielkie słowo, ale zakumplować z jednym z aborygenów.

Co upraszczało wiele spraw...

Martin otworzył kalendarz i zadumał się. W kontaktach z dio-dao czas należało traktować bardzo poważnie.

Chyba miał szansę zdążyć.

– I po co ja, głupi, zagadałem do psa? – zapytał sam siebie Martin i poszedł pakować plecak. Filizankę z nie dopitą kawą wstawił do zlewu, papierosa zgniótł bezlitośnie i wrzucił do kosza na śmieci.

Mógł zdążyć, ale liczyła się każda godzina.

– Smutno tu i samotnie – powiedział klucznik. – Słyszałem wiele takich historii, wędrowcze.

Martin skinął głową. Nie obiecywał sobie zbyt wiele po pierwszej historii, którą sprzedał

klucznikowi. Zwykła zabawna historyjka o niewidomym niewidzialnym człowieku. Jeszcze kilka lat temu Martin próbowałby pociągnąć tę historię dalej, wycisnąć z niej, co się da. Czasem klucznicy zadowalali się przeciętnym dowcipem. Może teraz stali się bardziej czepialscy?

Martin westchnął i nalał sobie herbaty. Ten klucznik nie pił alkoholu.

– Byłem niedawno na Aranku – zaczął. – Interesująca planeta. Arankowie nie rozumieją, co to sens życia i wcale się tym nie przejmują. Nie mogę przestać o nich myśleć, kluczniku. Są prawie tacy jak my. Bracia w rozumie. Nawet ich wady nas nie peszą – bo to takie same wady jak nasze. Arankowie mają wszystko... prócz sensu życia. My, dla porównania, nie mamy nic. Sens życia znalazło niewielu ludzi. Rozmyślając o arankach, przypomniałem sobie pewnego ziemskiego młodzieńca, kluczniku. Rósł jak każdy w miarę inteligentny chłopiec. Wariował i śmiał się, zdarzało się też, że bał się i płakał. A kiedy przyszedł czas, żeby wejść w wiek młodzieńczy, chłopiec po raz pierwszy pomyślał: na czym polega sens życia? Ponieważ był odczytany, zaczął szukać sensu w książkach. Te książki, które mówiły, że sens polega na tym, by oddać życie za sprawę czy ojczyznę, odrzucił od razu. Śmierć, nawet najbardziej heroiczna, nie może stanowić sensu życia. Potem chłopcu przyszło do głowy, że sens życia tkwi w miłości. Książek, które o tym mówiły, też było sporo, i wierzenie im było znacznie łatwiejsze i przyjemniejsze. Chłopak postanowił, że koniecznie musi się zakochać. Rozejrzał się dookoła, wybrał odpowiednią dziewczynę i zdecydował, że jest zakochany. Być może chłopiec umiał przekonywać samego siebie, a może po prostu przyszedł jego czas, ale rzeczywiście się zakochał. I wszystko było dobrze, dopóki miłość nie odeszła. Do tego czasu chłopiec stał się młodzieńcem, ale wszystko przeżywał równie szczerze, jak w dzieciństwie. Doszedł do wniosku, że była to niewłaściwa miłość i zakochał się znowu. A potem jeszcze raz i jeszcze – gdy miłość raz po raz przemijała. Gdy mówił kocham, wierzył w swoje słowa. Ale miłość gasła i młodzieniec w końcu uwierzył, że tak się po prostu dzieje. Wtedy zdecydował, że sens życia jest w talencie i zaczął szukać w sobie choćby najmniejszego talentu. Ponieważ wiedział już, że prawdziwą miłość można rozpałcić ze słabej iskry, postanowił wyhodować w sobie talent. I znalazł w sobie malutkie ziarenko talentu i zaczął je w sobie hodować, troszczyć się o nie i otaczać je opieką, tak samo, jak robił to z miłością. I udało mu się. Pokochano go za jego dzieła, stał się potrzebny ludziom, w jego życiu znowu pojawił się sens. Ale minął jakiś czas, młodzieniec stał się dorosłym mężczyzną i zrozumiał, że zyskał sens swoich umiejętności, ale nie sens swojego życia. Zaczął szukać sensu życia w przyjemnościach, ale cieszyły tylko jego ciało i stały się sensem jedynie dla żołądka. Szukał sensu życia w Bogu – ale wiara cieszyła jedynie duszę i tylko dla niej stała się sensem. A dla tego czegoś małego, żalostnego, naiwnego, co nie było ani ciałem, ani duszą, ani talentem – właśnie dla tego, co stanowiło istotę człowieka, sensu nie znalazł. Próbował robić wszystko naraz – kochać, wierzyć, cieszyć się życiem i tworzyć. Ale sensu życia i tak nie znalazł. Mało tego, mężczyzna zrozumiał, że wśród nielicznych ludzi, szukających w życiu sensu, nikt nie zdołał go znaleźć.

– Czy sens twojej historii polega na tym, że życie pozbawione jest sensu? – zapytał klucznik.

Martin pokręcił głową. – Nie.

– Kiedyś opowiedziałeś historię o człowieku i jego marzeniu – rzekł klucznik. – Nie znajduję zbyt dużej różnicy między tymi historiami.

– To dlatego, że jesteś bliski wszechpotędze – wyjaśnił Martin. – Ty masz sens życia, ale nie masz miejsca dla marzeń. Arankowie mają marzenia, ale nie mają sensu życia. A ludzie... ludzie mają jedno i drugie.

– Czy cieszą cię, Martinie, marzenia, których nie możesz zrealizować, i sens, którego nie możesz

znaleźć?

– Ciesz się, że umiem marzyć i szukam sensu.

– Ruch jest wszystkim – powiedział w zadumie klucznik. – Twoje opowiadanie nie jest skończone, Martinie.

– Ono nie może być skończone – odrzekł Martin. – Nigdy.

Klucznik pokręcił głową.

– Każda historia ma swój finał. Smutno tu i samotnie, wędrowcze.

Martin westchnął, ale klucznik mówił dalej:

– Ale zaliczę twoją historię – warunkowo. Wejdź we Wrota i kontynuuj swą drogę. Ale jeśli następnym razem nie zdołasz zakończyć tej historii, Wrota nie otworzą się przed tobą.

Martin osłupiał. Pokręcił głową i zapytał głupio:

– Zaliczasz historię, która ci się nie spodobała?

Klucznik milczał.

– I jeśli nie opowiem jej finału, nie zdołam wrócić z Marge?

Klucznik milczał.

– Chcesz, żebym dał ci odpowiedź, której nie znalazł do tej pory żaden człowiek?

Klucznik nalał sobie herbaty.

Martin wstał. Obejrzał pokój – jeden z licznych pokoi moskiewskiej Stacji.

Być może widzi go po raz ostatni. Właśnie dostał bilet w jedną stronę. Przecież historia, którą bez zastanowienia opowiedział klucznikowi, nie ma zakończenia!

Martin popatrzył na klucznika.

Klucznik podniósł wzrok i uśmiechnął się.

– Opowiem ci finał tej historii – powiedział Martin. – To będzie na planecie dio-dao i przede mną usiądzie inny klucznik. Ale wiem, że będę opowiadać go tobie. Do widzenia, kluczniku.

– Do widzenia, Martinie – rzekł klucznik. – Szukaj swojego sensu.

W poczekalni siedziało sporo ludzi, a powietrze było siwe od dymu. Niemal wszystkie fotele i kanapy były zajęte. Jedną sofę okupowała grupa młodych chłopaków, rozmawiających ze sobą w łamanym rosyjskim, z domieszką równie łamanego jidysz. Martin znał dobrze ten typ – to była jedna z ostatnich idiotycznych pasji młodzieży. Siedzący w przeciwnym rogu mężczyzna o charakterystycznie żydowskim wyglądem z taką determinacją nie patrzył w stronę młodzieży, że było jasne – nieźle mu się od nich oberwało. Oczywiście w sensie przenośnym – na terenie Stacji nikt nie mógł wyrządzić nikomu krzywdy fizycznej. Sądząc po spiętych twarzach innych podróżników, młodzieńcy dali się we znaki wszystkim.

Martin w milczeniu stanął przy popielniczce i zapalił.

Młodzi ludzie od razu zwrócili na niego uwagę. Jeden z chłopaków wstał, podszedł i gestem poprosił Martina o papierosa i zapalił.

Martin nie zaczął rozmowy.

– Niech mi pan powie, mój drogi – powiedział głośno chłopak – czy zna pan Błękitne Dale?

– Owszem, byłem na tej planecie – odrzekł sucho Martin.

– I rzeczywiście panu dały? – zapytał chłopak, nieumiejętnie naśladowując żydowski akcent.

– Młody człowieku, niech pan wreszcie skończy tę błazenadę! – nie wytrzymał Żyd.

Chłopak odwrócił się do niego uradowany:

– Co pan mówi? Jest pan antysemitą? A może błękitnym? [w Rosji jest to jedno z określeń homoseksualisty]

Towarzystwo na sofie radośnie zarżało. Ci chłopcy próbowali dać się we znaki otoczeniu w dwóch kwestiach – Żydów i homoseksualistów.

Żydami oczywiście nie byli.

Mężczyzna wstał i zaczął szybko iść w stronę chłopaka. Wyglądał na wystarczająco mocnego, żeby obić szczeniakowi mordę... Ech, gdyby to nie było na Stacji... zresztą, gnojek miał tu trzech kumpli... Martin zatrzymał mężczyznę dwa metry od rozweselonego chłopaka, ujął go mocno za rękę i poprosił:

– Niech się pan poczęstuje papierosem.

– Nie palę. – Mężczyzna odpowiedział nie od razu, nie odrywając od chłopaka nienawistnego spojrzenia.

– To niech pan zapali – nalegał Martin. – Proszę mi zrobić tę uprzejmość. Jakakolwiek agresja fizyczna na Stacji doprowadzi do pańskiego zniknięcia. Nie wiem, gdzie pan zniknie, ale nikt nigdy pana nie zobaczy.

Mężczyzna przełknął ślinę. Skinął głową. Wziął od Martina papierosa i obaj podeszli do popielniczki.

– To wy jesteście pedziami? – wygłupiał się dalej chłopak.

Do Martina nie od razu dotarło, co się właściwie dzieje. Chłopak prowokował. Prowokował Martina, Żyda, i wszystkich tych, którzy czekali na swoją kolej do przejścia przez Wrota. Towarzystwo bardzo chciało zobaczyć, jak ktoś znika.

– Na terenie Stacji agresja jest zabroniona – powtórzył Martin raczej samemu sobie niż młodemu gnojekowi i jego ofiarom.

– Wstyd – powiedział krótko mężczyzna, zaciągając się nieumiejętnie. – Jest mi za nich wstyd.

– Niech się pan nie wstydzi – poprosił Martin. – I nie obraża. Należałoby im raczej współczuć. Przecież w końcu będą musieli stąd wyjść i prędzej czy później trafią na kogoś, kto nie zrozumie ich specyficznego poczucia humoru. A na planetach-koloniach panują dość proste reguły.

– O czym wy tam gadacie, cioty? – dopytywał się chłopak.

– Widzi pan, zaczyna się powtarzać – zauważył Martin. – Podobny styl zachowania istnieje również w Internecie, gdzie różne typki nie boją się dostać po mordzie. Teraz tym chłopcom wydaje się, że znaleźli sobie nowe miejsce do bezpiecznych drwin z otoczenia – Stację. Ale za wejście na Stację trzeba płacić. Zabawa słowami w niczym im nie pomoże.

– Więc jesteście antysemitami – powtórzył tępo chłopak. – Tak?

Martin popatrzył na niego uważnie. Chciał zrobić to, co robił zwykle w czasie pracy, gdy patrząc na zdjęcie klientów, próbował wyobrazić sobie duszę człowieka, jego świat wewnętrzny, jego marzenia. Sens jego życia. Słabe miejsca, kompleksy. Wszystkie te małe, niewidoczne sprężynki, które poruszają człowiekiem.

Udało mu się.

Zaczął mówić. Tak, jakby mówił do klucznika, przekonując go o wartości wymyślonej przed

chwilą historii.

Ale teraz musiał przekonać tego chłopaka.

Martin nie powiedział ani jednego niecenzuralnego słowa. I nawet nie bawił się słowami – czego tamten zapewne się spodziewał.

Ale chłopak spurpurowiał, wysyczał coś niezrozumiałego, zamachnął się...

Do twarzy Martina doleciał poryw wiatru od pięści. Sama pięść zniknęła, podobnie jak jej właściciel.

Trójka na kanapie zamarła przerażona.

– Tak to właśnie wygląda – wyjaśnił uprzejmie Martin. – Nie słyszycie ostrzeżeń. O wszystkim uprzedzono was na samym początku... mooo droodzy.

– Do diabła – na czole starszego mężczyzny wystąpiły krople potu. – Do diabła...

– Na jego miejscu mógł się znaleźć pan – zauważył Martin. – Albo ja.

– Podpuścił go pan – powiedział cicho mężczyzna.

– Owszem – przyznał Martin. – Ale wydaje mi się, że całkowicie słusznie.

– Ty draniu! – wrzasnął jeden z kumpli „znikniętego”, nieoczekiwanie tracąc akcent i zapominając o kaleczeniu słów. – Ty bydlaku, ty gadzie!

– Uderz mnie – zachęcił go Martin.

– Znajdziemy cię, bez względu na to, gdzie pójdziesz! – krzyczał chłopak, podskakując śmiesznie na kanapie. Wstać się nie odważył.

– Fuckyou – powiedział Martin. – Czyli Marge. Ojczyzna dio-dao. Serdecznie zapraszam. Ale bierzcie pod uwagę, że według ich praw zabójstwo osobnika dojrzałego płciowo nie jest przestępstwem. A ja zawsze przestrzegam miejscowych praw.

– Jest pan gotów ich zabić? – zapytał cicho Żyd. Chyba mimo swojego gniewu, nie życzył chłopakowi takiego końca i teraz nie wiedział, jak zachować się wobec Martina.

– W obronie własnej – tak – przyznał się Martin.

– W zabójstwie wroga nie ma nic wstydliwego – dobiegło od drzwi. Martin odwrócił się.

W drzwiach stał geddar. Wysoka postać, uszy-półkola, rozmieszczone zbyt daleko oczy, ciemnoszary kolor skóry... Ciężko jest rozróżnić Obcych, ale Martinowi wydawało się, że ta twarz jest mu znajoma.

– Spotkaliśmy się już? – spytał Martin.

– Biblioteka – powiedział krótko geddar i Martin poznał go ostatecznie. Kadrah, przyjaciel Dawida. Oczywiście fakt, że Martin znał imię geddara, nie dawał mu podstaw do wymawiania go na głos i Martin tylko skinął głową.

– Tak, pamiętam cię.

Szeleszcząc pomarańczowo-niebieskim strojem, geddar podszedł do Martina miękkim krokiem. W sali zapanowała cisza – umilkli wszyscy – i młodzi dowcipnisie, i zwykli podróżni.

– Gdy obrażają cię słowami, nie warto wyciągać miecza – ciągnął geddar. – Należy zabić wroga słowami. To ci się udało. Jestem pełen podziwu.

– Nikt nie wie, co się dzieje z tym, który znika – rzekł Martin.

– Dla Wszechświata on jest martwy – odparł geddar, po ludzku wzruszając ramionami. – Zabić też można na wiele różnych sposobów... Musimy porozmawiać.

– Znacicie się? – zapytał po cichu Żyd. – To przecież geddar!

Chyba nie rozumiał z rozmowy ani słowa, najwyraźniej szykował się do przejścia Wrotami po raz pierwszy i jeszcze nie znał turystycznego.

– Tak – odparł Martin. – Powodzenia. Myślę, że ci chłopcy nie będą już nikomu przeszkadzać.

– Musimy pójść tam, gdzie nikt nas nie usłyszy – oznajmił geddar.

W ogólnej ciszy Martin i Obcy wyszli z poczekalni. Martin w milczeniu ruszył za Kadrahem, który szedł pewnym krokiem. Mogli wprawdzie zająć jeden z pokoi gościnnych, ale Kadrah zaprowadził Martina do toalety, jednej z wielu na Stacji, i zapytał:

– Nie peszy cię wybór miejsca rozmowy?

Martin rozejrzał się. Cztery kabiny, rozdzielone niesięgającymi sufitu ściankami, przy czym dwie wyraźnie nie przeznaczone dla ludzi. Dwa pisuary. Dziwne urządzenie, które mogłoby się przydać istocie, załatwiającej potrzeby fizjologiczne przez otwory w szeroko rozstawionych rękach... albo mackach.

Życie bywa zdumiewająco różnorodne i pomysłowe we wszystkich swoich przejawach.

– Nie – odparł Martin. – Prowadzenie ważnych rozmów w toalecie to stara tradycja kryminalistów i powieści szpiegowskich.

– Szanuję tradycje – skinął głową Kadrah. Martin był wprawdzie zdania, że geddarowie nie tyle szanują tradycje, co żyją nimi, ale nic nie powiedział. – Wiele wysiłku kosztowało mnie odnalezienie cię na Ziemi – kontynuował Kadrah. – A gdy znalazłem, omal nie straciłem. Dobrze, że moskiewska Stacja jest tak przepelniona.

– Słucham bardzo uważnie – powiedział Martin.

– To był mój khannan – oznajmił po prostu Kadrah. – Ten, który zabił dziewczynę.

Geddarowie mogli palić. Tytoń działał na nich inaczej niż na ludzi, ale również był słabym narkotykiem. Martin poczęstował Kadraha papierosem i teraz palili w toalecie, jak uczniowie, którzy zerwali się ze sprawdzianu.

– Khannany są przedrozumne – tłumaczył geddar. – Istoty przedrozumne ubóstwiają swoich panów. Nie mogą ich zdradzić. Mogą zginąć – w ich świadomości nie ma jeszcze rozumienia śmierci jako końca istnienia – ale nie zdradzić!

– Jak psy – skinął głową Martin.

– Wasze psy są na granicy przedrozumności – poprawił Kadrah. – Widzieliśmy je. My żyjemy z khannanami na jednej planecie od dziesiątków tysięcy lat. A przecież mogło się zdarzyć tak, że one otrzymałyby rozum, a my jego załączki.

– To dlaczego twój khannan zabił dziewczynę?

– Ktoś stał się dla niego nowym bogiem. – Na twarzy Kadraha pojawił się uśmiech. Martin nie miał wątpliwości co do kryjących się za tym uśmiechem uczuć. – Ktoś zmusił go do postąpienia wbrew wszystkim przykazaniom.

Teraz z kolei uśmiechnął się Martin. Zwierzę-odstępca, które złamało przykazania swojego osobistego boga...

– Nie wiem, kto byłby zdolny do czegoś takiego... – stwierdził Kadrah.

– Wiesz – zaprotestował Martin.

Na twarzy Kadraha pojawiło się cierpienie.

– Tak, wiem. Wybacz mi kłamstwo. Wiem, kto byłby do tego zdolny. Ale klucznicy nie odpowiedzieli na moje pytanie.

– Oni nie odpowiadają nikomu – przytaknął Martin. – Faktycznie, tylko oni byli w stanie poszczuć twojego khannana na Irinę...

– Honor wymaga ode mnie zemsty – powiedział cicho Kadrah. – Obiecałem khannanowi ochronę i dobrobyt. Nie dotrzymałem swoich obietnic i muszę dokonać zemsty. Ale klucznicy są o tyle silniejsi od narodu geddarów, o ile ja jestem silniejszy od mszyc. Nie mam szans.

Martin rozłożył ręce. Już dawno doszedł do wniosku, że na Bibliotece – a może również na Prerii 2 i na Aranku – bez kluczników się nie obešlo. Ale nikt nie jest w stanie zmusić kluczników do udzielenia odpowiedzi, nikt nie zdoła zastraszyć ich czy oszukać.

– Co wobec tego postanowiłeś? – zapytał Martin.

– Na Stacji jestem bezsilny – oznajmił spokojnie Kadrah. – Ale poza Stacją klucznicy nie są wszechmocni. Jeśli to oni zabili dziewczynę cudzymi rękami, można spróbować z nimi walczyć. Powiedz mi, Martinie, dlaczego później podróżowałeś po Wszechświecie? Czego szukałeś?

Martin zawahał się i opowiedział Kadrahowi o siedmiu egzemplarzach Iriny Połuszkinej. Geddar skinął głową:

– Tak właśnie przypuszczałem.

– Dlaczego?

– Nie wyglądałeś na człowieka, który zakończył poszukiwania.

Martin wzruszył ramionami:

– Mogłem zajmować się różnymi sprawami...

– Ja na mojej planecie zajmuję się poszukiwaniem zaginionych, karaniem tych, którzy złamali przykazania i wychowaniem młodych – rzekł geddar.

– Jesteś prywatnym detektywem? – zdumiał się Martin.

– Jestem detektywem – skinął głową geddar, opuszczając przymiotnik „prywatny”. – Detektywem, nauczycielem młodzieży i katem.

Martin spodziewał się zobaczyć na jego twarzy uśmiech, ale nie doczekał się. Kadrah mówił absolutnie poważnie.

– Po raz pierwszy spotykam kolegę po fachu z innej planety – rzekł geddar. – Jestem szczęśliwy, że mogliśmy się poznać.

Geddar wyciągnął rękę, Martin uścisnął ją ochoczo i rzekł:

– Jak nauczanie młodzieży wiąże się z pracą detektywa i kata?

– Dobrocią wychowują kapłani TajGeddara – wyjaśnił Kadrah. – Ja wychowuję złem. Opowiadam młodym o losie tych, którzy złamali przykazania, wyjaśniam, jak my wykonujemy swoją pracę. Czują drżenie, a potem z radością słuchają o dobroci.

– Całkiem rozsądnie – przyznał Martin. – A więc zrozumiałeś, że moje śledztwo nie jest zakończone i podążyłeś za mną?

– Tak. Przybyłem na Ziemię, ale spóźniłem się. Znowu wszedłeś przez Wrota. Gdy wróciłeś, chciałem przyjść do twojego domu, ale obserwowali go wasi kaci.

– To nie kaci – uspokoił go Martin. – To... to coś w rodzaju detektywów-wychowawców.

Geddar skinął głową.

– Ludzie godni szacunku. Dobrze, że ich nie zabiłem... i dobrze, że dziewczyna żyje, a poszukiwania nie zostały zakończone. Martinie, proszę cię o łaskę.

– Jaką? – zapytał szybko Martin. Wiedział, że pod tym słowem geddar może rozumieć bardzo różne rzeczy.

– Zostań moim przyjacielem.

– Po co? – dociekał Martin.

– Khannan został wykorzystany, żeby przeszkodzić ci zabrać tamtą kobietę na Ziemię. Bez względu na to, czy przestępcą był klucznik, czy ktoś inny, bał się powrotu kobiety. A ty powiedziałeś, że kobieta jednak żyje. Jeśli uda mi się ją uratować, zemsta zostanie dokonana.

Geddar zamilkł, czekając na odpowiedź.

W zasadzie Martin nie miał większego wyboru. Geddar zaproponował mu przyjaźń. Że Kadrah jest bardzo postępowym geddarem, który nie gardzi przyjaźnią ludzi, Martin zorientował się już na Bibliotece. Gdyby Martin odmówił przyjęcia jego przyjaźni, automatycznie stałby się jego nieprzyjacielem. Wrogiem. A mieć za swoimi plecami obrażonego geddara, gotowego mścić się nawet na klucznikach, to nie to samo, co mieć za wrogów trzech ziemskich chuliganów.

Zwłaszcza że geddar słyszał, iż Martin wybiera się na Marge i wiedziałby, gdzie go szukać...

– Jestem dumny, że mogę być twoim przyjacielem – powiedział Martin.

– Kadrah Sagan Taj Sarah – powiedział geddar i objął Martina.

Nietrudno domyślić się, jak należało teraz postąpić.

– Martin Igoriewicz Dugin – odrzekł Martin, obejmując Obcego. Geddar pachniał potem.



– Ta przyjaźń nie płynie z serca, lecz została zawarta w imię spełnienia obowiązku – wygłosił geddar, odsuwając się. – Kajam się za to, obwiniam się o to, ale będę postępował tak, jak prawdziwy przyjaciel.

– Ja również przyjąłem twoją przyjaźń powodowany nie głosem serca, lecz strachem – przyznał się Martin. – Obwiniam się o to, ale będę dla ciebie prawdziwym przyjacielem.

– Obaj jesteśmy winni i to dobrze – skinął geddar. – TajGeddar zważy nasze grzechy, uznaje za równe i wybaczy nam.

– Obaj jesteśmy winni i to dobrze – powtórzył Martin. – TajGeddar zważy nasze grzechy, uznaje za równe i wybaczy nam.

Kadrah sposepniał.

– Powtarzasz moje słowa.

– Powtarzasz moje słowa – rzekł Martin. Geddar wyraźnie na coś czekał.

– Powtarzasz moje czyny? – zasugerował Martin. Geddar wybuchnął śmiechem.

– Martinie, to już nie należy do rytuału! Nasze przyrzeczenie skończyło się obietnicą odrzucenia tego, co jest teraz i zostania prawdziwymi przyjaciółmi. To wszystko. Cała reszta to zwyczajna rozmowa!

Martin uśmiechnął się krzywo.

– Skąd mogłem wiedzieć? W końcu nie co dzień geddarowie nawiązują przyjaźń z ludźmi. Wiem tylko, że wasze społeczeństwo bardzo poważnie traktuje symbole i przysięgi.

– Nie tak bardzo, jak mogłoby się wydawać – nie zgodził się geddar. – Odpocznijmy przed drogą czy wyruszymy natychmiast?

– Wyruszymy natychmiast – powiedział Martin. – Przecież udajemy się do dio-dao. Istnieje szansa, że mój przyjaciel jeszcze żyje...

– Do dio-dao? – Geddar był wstrząśnięty. – To nie najlepsza rasa we Wszechświecie, ale skoro trzeba...

– Przecież mówiłem o dio-dao, gdy wszedłeś do poczekalni – przypomniał Martin.

– Mówiłeś w swoim języku. Nie znam go – geddar wzruszył ramionami.

Jako pierwszy z drzwi Stacji wyszedł Martin. Geddar kroczył za nim, uznając Martina za przewodnika.

Na planecie Marge powitała ich zima.

Podróżując po Wszechświecie, łatwo zapomnieć o istnieniu pór roku. Tak się złożyło, że te ziemskie kolonie, które odwiedzał Martin, mieściły się na planetach o ciepłym czy nawet gorącym klimacie. Na Ziemi Martin zazwyczaj spędzał zimę w „ciepłych krajach” – w Jałcie, na południu Francji, w Maroku, wracając do zziębniętej Moskwy tylko na dwa tygodnie – od Bożego Narodzenia do Bożego Narodzenia. Podobnie jak wielu rosyjskich inteligentów, Martin z przyjemnością obchodził święta świeckie, prawosławne i katolickie.

Ale ten komfortowy tryb życia miał również swoje wady.

– Wiedziałaś, że na tej planecie jest tak zimno, że zamarza woda? – zapytał geddar.

Martin pokręcił głową.

– Zapomniałem. Byłem tu dwukrotnie, ale za każdym razem w lecie...

Kadrah otulił się swoją pomarańczową szatą, którą również dobrze można było uznać za wielowarstwową kurtkę. Martin wolał nie porównywać swojego ubrania i stroju geddara pod względem komfortu termicznego.

– Zaraz znajdziemy sklep z ubraniami – uspokoił swojego nowego przyjaciela.

– Wiara grzeje lepiej niż tkanina – odparł Kadrah. – To właśnie jest planeta dio-dao?

Martin skinął głową.

Stacja na Marge była zbudowana zgodnie z miejscowymi tradycjami architektonicznymi – kopuły na palach, połączone ze sobą galeriami. Stację otaczało wysokie ogrodzenie z czarnego kamienia, zostawiono jedynie dwa otwory wejścia i wyjścia. Niskie brudnozielone niebo, zasnuwane szarymi chmurami jakby nakrywało Stację od góry. Ogrodzenie całkowicie zasłaniało miasto – dio-dao nie lubili wieżowców.

– Idź za mną – poinstruował geddara Martin. – Patrz, co będę robił i rób to samo.

– Jeśli twoje czyny obrażą Taj Geddara – nie powtórzę ich – ostrzegł geddar.

– TajGeddar, Chrystus oraz Mahomet są im zupełnie obojętni – machnął ręką Martin. – Dio-dao cechuje ogromna tolerancja. Nie o to chodzi. Rzecz w tym, że są biurokratami.

– Wiem – skinął Kadrah.

– Jeszcze nie wiesz – uśmiechnął się Martin. – To trzeba poczuć na sobie. Chodźmy.

Kopuły kontroli celnej i granicznej zajmowały znacznie więcej miejsca niż Stacja kluczników. Oczywiście dio-dao musieli spełnić jedyne żądanie kluczników i umożliwić swobodne przemieszczanie się przez Wrota wszystkich chętnych. Ale tubylcy mieli swoje prawa i wymagali ich surowego przestrzegania.

– To posterunki graniczne? – zdumiał się geddar, gdy wyszli poza ogrodzenie i skierowali się do kopuł. Świeży śnieg chrząścił pod nogami, nie widać było żywego ducha, ale na oszronionym słupie granicznym połyskiwała kamera obserwacyjna. Najwyraźniej nie należało zbaczać z drogi.

– Posterunki, hotel, sklep, przytułek dla ubogich – skinął głową Martin.

– Po co tu hotel i przytułek? – geddar błyskawicznie łowił najbardziej podejrzane punkty.

– Myślisz, że wielu przybyszom udaje się przejść formalności graniczne w ciągu jednego dnia? – uśmiechnął się Martin.

Geddar nic nie powiedział, tylko jego półkoliste uszy skurczyły się na moment. Wyglądało to strasznie, ale Martin wiedział, że jest to reakcja analogiczna do szeroko otwartych oczu i świadczy o zdumieniu.

W pierwszej kopule, za rzędami stołów w kształcie podkowy, czekało na gości dziesięciu urzędników dio-dao. Było ciepło, grała niezwykła, ale przyjemna muzyka, pachniało olejkiem aromatycznym – w miedzianych trójnogach pod ścianami palono pachnidła.

– Szczęśliwej pory doby, szanowni – powiedział Martin i skłonił się. – Życie!

Geddar starannie powtórzył jego powitanie.

– Życie – odpowiedzieli zgodnie dio-dao.

To nie była rasa humanoidów. Książka Garnela i Czystiakowej ostrożnie określała ich jako „wyprostowanych pseudotorbaczy”. I rzeczywiście – dio-dao przypominały ziemskie kangury, miały jednak lepiej rozwinięte przednie łapy, a zamiast sierści – brązową, jakby mocno opaloną skórę.

Kształt zębów nie pozostawiał wątpliwości, że dio-dao byli wszystkożerni. Ubrania nie odrzucali, ale w pomieszczeniach nosili tylko krótkie spódniczki, zasłaniające organy płciowe. Długie, futrzane kurtki były starannie rozwieszane na stojakach pod ścianami.

– Do mnie – polecił krótko jeden z dio-dao.

Martin i Kadrah wzięli od niego dwie grube broszury i przezroczyście długopisy kapilarne, wypełnione pomarańczowym atramentem. Dio-dao był w ostatnim stadium ciąży i wolał nie wstawać bez potrzeby.

– Pomogę mojemu przyjacielowi wypełnić ankietę – powiedział Martin. – To nie jest zabronione?

– Nie jest – potwierdził urzędnik po zastanowieniu. Nawet język turystyczny, w ustach wszystkich istot rozumnych brzmiący niczym ojczysty, u tego dio-dao miał dziwny, metaliczny akcent. – Ale ankietę musi zostać wypełniona jego ręką. Stół numer sześć.

Martin zaprowadził Kadraha do stołu numer sześć. Usiedli obok siebie, Martin z westchnieniem otworzył broszurę.

– Gdzie jest ankietę? – zapytał Kadrah.

– Oto i ona – Martin klepnął broszurę. – Wypełnij uważnie, bo można zrobić w niej tylko cztery poprawki. Drugi egzemplarz wydadzą ci za sporą opłatą.

Geddar wysyczał przez zęby jakieś przekleństwo i otworzył broszurę. Zaczął czytać i niemal natychmiast popatrzył zaskoczony na Martina:

– Po co to?

– Masz na myśli pierwsze pytanie? – upewnił się Martin. – Po prostu odpowiedz.

– Po co? – powtórzył z naciskiem geddar.

– Jeśli osiągnąłeś dojrzałość płciową, masz prawo do swobodnego poruszania się po planecie. Jeśli nie, dostaniesz przewodnika-wychowawcę, oczywiście za solidną opłatą.

– A drugie pytanie? – zapytał czujnie geddar.

– Naturalne potrzeby fizjologiczne na tej planecie można załatwiać jedynie w specjalnych pomieszczeniach. Maksymalny czas dotarcia do najbliższej toalety wynosi tu trzy i pół godziny. Stąd pytanie – czy jesteście w stanie nie załatwiać się w ciągu trzech i pół godziny?

– Po co to wszystko? – geddar rozszerzył nieco swoje pytanie.

– Pytania szokujące i denerwujące specjalnie umieszczono na pierwszych ośmiu stronach – wyjaśnił Martin. – Żeby dowiedzieć się, na ile opanowany i spokojny jest turysta.

– Odpowiem na wszystkie pytania – zdecydował geddar. – Ale twierdzą, że dio-dao są nienormalni.

– Będzie tam również pytanie, czy uważasz rasę dio-dao za niespełna rozumu – uspokoił go Martin. – Lepiej odpowiedz, że tak. I generalnie bądź szczery. Dio-dao stworzyli tę broszurę nie po to, żeby zamknąć przed kimkolwiek swoje planety.

– Tylko po co?

– Żeby wiedzieć, czego się po kim spodziewać – uśmiechnął się Martin. – Możesz oznajmić, że ich nienawidzisz, ale jeśli twoja nienawiść nie przejawia się w czynach, dio-dao nie będą mieli nic przeciwko tobie. Oni nie nakładają na turystów żadnych ograniczeń. Po prostu chcą wiedzieć o przybyszach jak najwięcej.

Następna godzina upłynęła w milczeniu. W ankiecie nie trzeba było dużo pisać, przeważnie wystarczyło zaznaczyć właściwą odpowiedź. Od czasu do czasu zaskoczony Kadrah pytał Martina: „A jeśli nie wiem, jaka jest długość moich jelit?” Albo: „Nie znam liczby partnerów seksualnych mojej matki, co powinienem odpowiedzieć?”

W pierwszym przypadku Martin poradził odpowiedzieć: „krótsze niż sto metrów”, a w drugim „nie mniej niż 1”.

Dwie godziny później Martin uprzejmie poprosił dio-dao o wodę. Przyniesiono im tacę z dzbanem czystej wody, dwoma plastikowymi kubeczkami i talerzykiem ciemnoszarych „nitek”.

– Dobra rzecz – powiedział Martin, wkładając do ust porcję „nitek”. – To nie tylko jedzenie, lecz również lekki stymulator.

– Przecież o to nie prosiłeś? – zapytał podejrzliwie geddar.

– Niepodanie jedzenia w odpowiedzi na prośbę o wodę oznaczałoby brak szacunku wobec gościa.

Geddar prychnął.

– Najśmieszniejsze jest to, że oni rzeczywiście nas szanują – oznajmił Martin. – Na swój sposób. Właśnie, mięso na tej planecie należy jeść jedynie w ostateczności i tylko porządnie ugotowane lub usmażone. Zbyt dużo związków czynnych biologicznie.

Po następnej godzinie wypełnianie ankiet zostało zakończone. Kadrah szedł niemal łeb w łeb z Martinem i zrobił tylko dwie poprawki – najpierw zawahał się przy odpowiedzi: „Kiedy zamierza pan umrzeć?”, a drugi raz przy punkcie: „Czy byłby pan w stanie zjeść istotę rozumną, nie mając innego źródła pożywienia?” Na drugie pytanie Kadrah na początku odpowiedział „nie”, ale idąc za radą Martina zmienił odpowiedź na „nie wiem”.

– Mimo wszystko uważam, że to kpina – powiedział geddar specjalnie głośno, ważąc na dłoni wypełniony Talmud.

– Pomyśl o tym, że trzy miesiące temu tych dio-dao nie było jeszcze na świecie – odparł Martin, wskazując głową niewzruszonych urzędników. – I zastanów się nad tym, że za trzy miesiące już ich nie będzie. Istoty o tak krótkim okresie życia muszą się trzymać ściśle określonych norm zachowania.

Kadrah lekko się speszył.

Oddali ankiety i krótkim korytarzem poszli do następnej kopuły, gdzie uważni celnicy zbadali całe ich wyposażenie. Nie było żadnych pretensji, ale wszystko – aż do ostatniej torebki herbaty w plecaku Martina i do najmniejszego orzecha w torbie Kadraha – zostało policzone, przepisane i wprowadzone do deklaracji. W kopiach deklaracji Martin i Kadrah zostali zobowiązani do notowania wszystkich przedmiotów wykorzystanych do użytku własnego oraz handlu. Wydano im również solidnie wyglądające dokumenty – tymczasowe paszporty, obowiązujące na terytorium dio-dao. Utrata dokumentu groziła karą pieniężną oraz deportacją na teren Stacji.

Trzecia kopuła była najprostsza. Grupa lekarzy pragnęła poznać ich wrażliwość na różne metody badania, zrobiła im zdjęcia rentgenowskie i skanowanie ultradźwiękowe. Przeprowadzenia gammoskopii i endoskopii Martin i Kadrah stanowczo odmówili.

Dio-dao nie nalegali.

Niemal wszyscy Obcy mieli brzuszki – mniejsze lub większe, niektóre torby już się otwierały i z nich od czasu do czasu połyskiwały ciekawskie oczka dzieci. Martin spodziewał się od Kadraha kolejnego naiwnego pytania – na przykład, czemu pracuje tu tyle osobników płci żeńskiej. Ale

Kadrah milczał. Widocznie wiedział, że dio-dao to hermafrodyty.

Hotel i przytułek dla ubogich nie były im potrzebne – całkiem szybko poradzili sobie z formalnościami.

Ostatnia kopuła była centrum handlowym – Martin sprzedał te ze swoich towarów, które interesowały dio-dao, przede wszystkim kolorowe widokówki z krajobrazami Ziemi oraz paprykę. Nawet Obcy interesują się rzadkimi przyprawami. Kadrah sprzedał część orzechów, stanowiącą jego pożywienie. Z tego co Martin wiedział, rosnące tylko na planecie geddarów orzechy rzeczywiście były bardzo cenione w całej galaktyce, nie ze względu na walory smakowe, lecz nieograniczony termin przechowywania i ogromną wartość odżywczą. Ponadto nadawały się do wykorzystania przez każdą białkową rasę. Wyższe wskaźniki mogły mieć tylko produkty syntetyczne – ale to, co sztuczne, nigdy nie jest lepsze od tego, co naturalne.

Z pieniędzmi dio-dao w kieszeniach, towarzysze wyszli poza linię graniczną. Kadrah mimo wszystko kupił sobie futrzaną kurtkę, rozsądnie postanawiając nie liczyć wyłącznie na siłę ducha. Martin stwierdził, że wystarczy mu własne ubranie, założył jedynie sweter pod kurtkę.

– Zabawna architektura – oznajmił Kadrah, rozglądając się.

Martin podzielał jego ironię. Ściemniło się, sypał drobny śnieg, widoczność była kiepska, ale bez trudu dało się uchwycić ogólną ideę miasta. Kopuły na niezbyt wysokich palach, czasem połączone przejściami, czasem stojące oddzielnie – najwyższy budynek był wielkości trzypiętrowego ziemskiego bloku. Wąskie zaułki wymoszczono sześciokątnymi, kamiennymi płytami. Przed każdym domem stała mała latarnia.

– Minimalizm – przyznał Martin. – Myślę, że to również związane jest z krótkim okresem ich życia.

– Znam właściwości ich rasy – odpowiedział sucho Kadrah. – Nie sądz, że jestem kompletnym ignorantem, przyjacielu. Ale mimo to nie rozumiem, jak udaje im się istnieć i rozwijać swoją cywilizację.

– Zrozumiesz – uspokoił go Martin. – Musimy gdzieś przenoćować, Kadrahu.

– W hotelu?

– Jest bardzo drogi – przyznał się Martin. – Nawet hotel przy Stacji byłby tańszy. Ale mam znajomego wśród dio-dao. Jeśli jeszcze żyje...

– W takim razie chodźmy bez zwłoki – zgodził się szybko Kadrah. – On może umrzeć w każdej chwili, tak?

– Tak – przyznał Martin. – W drogę.

To była mała, skromna kopuła – typowe mieszkanie samotnego dio-dao. Ta krótko żyjąca rasa nie lubiła się wiązać i tylko nieliczni zakładali rodziny.

– To chyba tutaj – powiedział Martin, oglądając skomplikowany ornament geometryczny na drzwiach. – Nie mają zwyczaju nadawać ulicom nazw ani numerować domów, ale...

– Takie reglamentowane społeczeństwo i nie mają numeracji? – zdumiał się geddar.

– Może właśnie dlatego? – odpowiedział pytaniem Martin. – Tak, to chyba jednak tutaj.

Pociągnął za wystający ze ściany drewniany drążek i za drzwiami odezwał się gong.

– Jeśli nawet twój przyjaciel umarł, jego syn powinien cię znać – zauważył Kadrah.

– To co innego. Byłoby znacznie lepiej, gdyby się jeszcze nie urodził. Wtedy stał się przyjacielem rodu. Tym, który znał kilka pokoleń.

Czekali dość długo – trzy, może cztery minuty. Ulicą przeszło kilku dio-dao otulonych w futrzane kurtki. Na obcych zerkali z wyraźnym zainteresowaniem, ale nie zadawali pytań.

– Mroźno... – zauważył Martin, drepcząc w miejscu. – No... gdzie jesteś...

Drzwi otworzyły się.

Stojący na progu dio-dao był stary. Nawet w domu nosił długą, futrzaną narzutkę, widocznie marzył. Ale luźna narzutka nie zdołała ukryć ogromnego brzucha, spoczywającego na niskim wózku, który pchał przed sobą.

– Cieszę się, że mogę cię zobaczyć, Urodzony Jesienią – rzekł Martin. – Żyj!

Powiedział to i zdumiał się, że jego głos drży ze wzruszenia. Krótka znajomość z dio-dao nie prowadziła i nie mogła prowadzić do przyjaźni. Jak zaprzyjaźnić się z istotą, której długość życia wynosi pół roku?

– Uwierz mi, ja też się cieszę, że cię widzę, Martinie – rzekł dio-dao. – Żyj! – I wyciągnął obie ręce.

Martin bez wahania podszedł do Urodzonego Jesienią i objął go. Ciężki brzuch dio-dao podrygiwał między nimi, jakby nienarodzona istota też chciała popatrzeć na Martina.

Kopułę rozdzielono na dwie połowy. W mniejszej dio-dao spał, większa służyła za salon, kuchnię i łazienkę jednocześnie. Toaletę od reszty pokoju odgradzał jedynie drewniany parawan. Wyposażenie było proste, niewyszukane i obliczone na dziesięciolecie.

– Chciałem nazwać go Urodzony Zimą – rzekł Urodzony Jesienią. Powoli podchodził do stołu, zabawnie przy tym podrygując. Młode osobniki dio-dao rzeczywiście mogły skakać jak ziemskie kangury, ale ciąża dawała o sobie znać. Na wózku obok brzucha stał dzbanek z gorącą herbatą i jakieś jedzenie w miseczkach. – Ale teraz zmieniłem zdanie. Jego nowe imię brzmi – Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. Zgadzasz się, synku?

Narzutka zakołysała się i z fałd wyłoniła się mała, puszysta główka – przy urodzeniu dio-dao były pokryte sierścią, która wypadła im dopiero przed rozpoczęciem dojrzałości płciowej. Stropione dziecko popatrywało to na Martina, to na Kadraha.

– Nie krępuj się – rzekł Urodzony Jesienią. – Odpowiedz.

– Tak, rodzicielu – odpowiedział cichutko mały dio-dao. I głowa znowu skryła się pod narzutką.

– Zna turystyczny? – wykrzyknął Martin. – Przeszedłeś przez Wrota w czasie ciąży?

– Nie, podzieliłem się pamięcią języka – odpowiedział z uśmiechem Urodzony Jesienią. – Pomóż mi, Martinie...

Ustawili na stole dzbanek i miseczki, a potem Urodzony Jesienią oddalił się do części kuchennej po resztę poczęstunku. Martin nie narzucał swojej pomocy, to mogłoby obrazić dio-dao.

– Czas mojego osobistego życia dobiega końca – powiedział Urodzony Jesienią, wyjmując coś z szafeczek. – Sądzę, że skończy się tej nocy. Ale cieszę się, bardzo się cieszę, że mogłem cię znowu ujrzeć, żyjący dziesięciolecia...

Martin poczuł, że ma gułę w gardle. Chciał coś powiedzieć, ale nie wiedział, co.

Zamiast niego odezwał się Kadrah.

– Wybacz moją obcesowość, Urodzony Jesienią, ale czy mogę zadać ci obraźliwe pytanie?

– Tak – odparł po prostu dio-dao.

– Czy proces rozmnażania musi być związany ze śmiercią rodzica?

– Ciało mojego syna oddziela się ode mnie powoli – odparł Urodzony Jesienią. – I nasza rasa od dawna ma wystarczająco dużo żywności, żeby dzieci nie musiały kontynuować tradycji kanibalizmu. Ale gdy on się urodzi – zegar mojego życia zatrzyma się.

– Więc to mechanizm biologiczny? – dopytywał się Kadrah. – Może to kwestia jakichś hormonów czy enzymów... Gdyby dało się je odnaleźć...

– A czy wy znaleźliście mechanizmy sprawiające, że się starzejecie? – zapytał Urodzony Jesienią. – Dlaczego wasze ciało starzeje się, niedołącznie, umiera?

– Ale gdybyś nie zaszedł w ciążę... – wymamrotał Kadrah.

– Mógłbym żyć kilka dni dłużej. Tydzień... może miesiąc?... – w głosie dio-dao pojawiła się wątpliwość. – Istnieją pewne zioła i lekarstwa... Od tysięcy lat nasz naród szuka tajemnicy długowieczności. Wielcy uczeni i bohaterowie rezygnowali z rozmnażania się, kazali się wiązać, gdy nastawała Noc Spełnienia, albo usuwali narządy płciowe. Nic nie pomaga. Taka jest nasza natura, geddarze.

– Raz w życiu organizm dio-dao produkuje trzy komórki jajowe i porcję spermy – wyjaśnił Martin. – Okres, kiedy możliwe jest poczęcie, nosi miano Nocy Spełnienia. Dziesięć-dwanaście godzin seksu. Burza hormonalna, której praktycznie nie można się oprzeć. Ale jeśli dio-dao nie znajdzie partnera... albo zdoła się powstrzymać... osiągnie tylko tyle, że jego ród wymrze. Alternatywa nie istnieje.

– Nie chciałbym zyskać miesiąca życia za cenę śmierci mojego rodu i mojej pamięci – rzekł Urodzony Jesienią, wracając do stołu. – Miałem bardzo ciekawe życie... Smakowała ci ta ryba, prawda, Martinie?

– Tak, dziękuję. – Martin wziął talerz z jego rąk. – Żyjesz już sześć miesięcy, Urodzony Jesienią?

– Sześć miesięcy i osiem dni – skinął dio-dao. – Mój syn mnie rozumie, stara się nie spieszyć... Podzieliłem się z nim wszystkim, czym mogłem. Ciekawi go świat... to bystry malec.

– A czas spędzony w ciele rodzica nie jest doliczany do długości życia? – sprecyzował Kadrah.

– Zwykle nie – Urodzony Jesienią uśmiechnął się. – To, kiedy rodzic zacznie dzielić się z dzieckiem pamięcią, zależy tylko od niego. Wielu zostawia wszystko na ostatnią chwilę. Ja zacząłem niemal w dniu poczęcia.

– Dziwne i przerażające... – powiedział Kadrah. – Wybacz moje słowa, dio-dao, próbuję wyobrazić sobie, jak to jest – otrzymać pamięć swoich przodków jeszcze w ciele matki... być jednocześnie jednostką i częścią nieskończonego rodu...

– Pamięć przekazywana jest wybiórczo – wyjaśnił Urodzony Jesienią, siadając obok Martina na niskiej sofie. – Staram się oddać synowi to, co było najlepsze i najciekawsze w moim życiu, ale pozostawiam mu również pamięć o błędach, wątpliwościach i niepowodzeniach... to przecież także część mojego życia. Wiesz, że możemy oddać swoim dzieciom połowę pamięci?

Kadrah skinął głową.

– We mnie jest połowa pamięci mojego rodzica – kontynuował Urodzony Jesienią. – Jedna czwarta pamięci dziada. Jedna ósma pradziada – i tak do początku czasów. Pamięć najodleglejszych przodków nie zachowuje ich słów i czynów, jedynie odbłyśki emocji. Kiedyś z mojej pamięci również zostanie tylko błysk. Możliwe, że będą to moje dzisiejsze uczucia. Nie wiem. Nie mamy władzy nad tym, jaka część pamięci przodków zostaje przekazana dziecku, a ono nie będzie w stanie rozporządzać moją. Ale chciałbym, żeby potomkowie zapamiętali mnie szczęśliwego. Gdy wracam do pamięci przodków, wydaje mi się, że byli szczęśliwi zawsze, przez całe życie. To jest jak delikatne ciepło, sączące się z ciemności wieków. Dobrze jest pamiętać radość i widzieć, że ciebie też zapamiętają. Jestem ogniwem w łańcuchu pokoleń. Jestem czymś więcej niż jednostką. Jestem rodem. I jestem szczęśliwy.

Kadrah pokręcił głową, jakby się z tym nie zgadzał. Ale nic nie powiedział.

Urodzony Jesienią wziął dzbanek, nalał herbatę do kielichów. W smaku naparu nie było nic z ziemskiej herbaty, ale Martin z przyzwyczajenia nazywał go tym słowem, podobnie jak każdy ziołowy napój dowolnej planety.

– Cieszę się, że mogę was gościć – odezwał się Urodzony Jesienią. – Ale nie jestem na tyle naiwny, by sądzić, że mój żyjący długo przyjaciel Martin po prostu chciał mnie odwiedzić w dniu mojej śmierci. I tym bardziej wątpliwe jest, że dumny geddar – dio-dao uśmiechnął się, łagodząc ironię swoich słów – przybył tu, żeby zgłębiać właściwości naszej biologii. A więc – jak mogę wam pomóc?

Martin i Kadrah popatrzyli na siebie. „Dumny geddar” najwyraźniej czuł się niezręcznie, że musi prosić umierającego o pomoc.

– Umieram i tego nie da się zmienić – dodał Urodzony Jesienią. – Rozmowa z wami to radość moich ostatnich godzin. Ale jeśli zdołam wam jakoś pomóc, będę zachwycony. Mówcie.

– Pamiętasz, jaki jest mój zawód? – zapytał Martin.

– Najemny policjant – skinął głową Urodzony Jesienią.

– Powiedzmy. Niedawno, tydzień temu – Martin zawahał się, zbyt późno rozumiejąc, jak niezręcznie brzmi to sformułowanie w rozmowie z istotą żyjącą pół roku – poproszono mnie, abym odnalazł dziewczynę, która przeszła na Ziemi przez Wrota...

– Wasi partnerzy płciowi posiadają rozum i wolną wolę? – zdumiał się dio-dao.

– Oczywiście.

– Ach, wybacz, pomyliłem was z geddarami... – Urodzony Jesienią uśmiechnął się.

Martin zerknął na Kadraha. Geddar poczerwieniał, zaczął szybciej oddychać – ale nie protestował.

– A więc, wyruszyła w drogę... – kontynuował cierpliwie Martin.



Opowiedział dio-dao o trzech śmierciach Iriny, o tym, że dziewczyna otrzymała dostęp do listy zagadek Wszechświata, o swoim domyśle na temat planety Marge, o geddarze, który dołączył do niego w imię zemsty na klucznikach...

To ostatnie zainteresowało Urodzonego Jesienią najbardziej.

– Jeszcze nikt nigdy nie zdołał zemścić się na klucznikach – zauważył. – Być może to dobrze. Jeśli interesy kluczników zostaną naruszone – jaka będzie ich reakcja? Są w stanie zniszczyć całe planety, a nikt nie zna ich zasad moralnych. Może za postępek jednego osobnika ukarzą całą rasę?

– Muszę się zemścić – odpowiedział bardzo poważnie geddar. – Każdy geddar zrozumie mnie i nie będzie osądzał.

– Bardzo lekko rozporządzasz losem swojego gatunku biologicznego – zauważył dio-dao.

– Jeśli mój honor zależy od siły wroga, jakie mam prawo nazywać go honorem? – powiedział chłodno geddar. – Poza tym, nie wiemy dokładnie, czy klucznicy są zamieszani w te wydarzenia. Jeśli nie, ratując dziewczynę nie narazimy się im. A jeśli tak... to muszę pomóc Martinowi.

Urodzony Jesienią skinął głową – albo uznał argumenty Kadraha, albo nie chciał się dłużej spierać – i poprosił:

– Przynieś mi telefon, Martinie. Jest w sypialni.

Martin przyniósł mu telefon – ciężki aparat z masywnego, ciemnobrązowego plastiku, przywołującego z pamięci słowo „ebonit”, na długim kablu w gumowej izolacji. Telefon nie miał słuchawki – lejek mikrofonu i głośnik zamocowano na oddzielnych przewodach, nie było też przycisków ani tarczy.

– Ludzka konstrukcja telefonów jest wygodniejsza – zauważył Kadrah. – Mikrofon i głośnik połączone są razem i...

– Wiem – skinął Urodzony Jesienią. – Gdy ten telefon nie będzie się już nadawał do użycia, zostanie zastąpiony przez nowy model. Ale na razie działa – więc po co go wymieniać? Każda rzecz, stworzona w celu zastąpienia starej, która jeszcze nie dosłużyła do końca, to czas skradziony z czyjegoś życia.

Kadrah skłonił głowę, jakby przyznając słuszność tej racji.

– A jak zbudowane są wasze telefony? – zapytał Martin.

– Nijak – przyznał się geddar. – Dopiero niedawno doceniliśmy możliwości, jakie daje elektryczność.

Urodzony Jesienią powiedział coś do mikrofonu, potem powtórzył zdanie.

– Do tej pory łączycie się za pomocą centrali telefonicznej? – znowu nie wytrzymał Kadrah. – Istnieje coś takiego jak wybieranie tonowe...

– Za pomocą komputera – przerwał mu dio-dao. – Od siedemnastu pokoleń.

– A telefony pozostały? – sprecyzował Kadrah. – Nauczyciście swoje komputery rozumieć mowę tylko po to, żeby zachować stare aparaty telefoniczne?

– Uznano, że tak będzie wygodniej – skinął głową Urodzony Jesienią.

Martin przysłuchiwał się temu dialogowi z zainteresowaniem. Mimo wszelkich absurdów swojego ustroju społecznego, wymyślnych ceremonii i dziwacznych praw, pod wieloma względami geddarowie byli bliscy ludziom. Z przyjemnością przejmowali – czy też usiłowali przejmować – zdobycze techniczne ludzkości. Osiągnięcia aranków podobały im się jeszcze bardziej, ale zdecydowanie nie odpowiadało im ich postrzeganie świata.

Dio-dao byli zupełnie inni.

Krótkie życie nie przeszkadzało im rozwijać nauki. Ojciec-uczony przekazywał wiedzę swojemu synowi i badania szły swoim torem. Zawodowa wiedza ojca przechodziła w spadku na jedno z dzieci, które musiało – a nawet chciało – kontynuować zawód ojca. Jego bracia – zwykle dio-dao mieli dwójkę albo trójkę dzieci – mieli większą swobodę wyboru, ale bardzo często również oni podtrzymywali rodzinną tradycję.

Ale dio-dao nie spieszyli się z wprowadzaniem swoich osiągnięć naukowych w życie. W wielu domach był telewizor, ale niektórzy uznali, że nie ma potrzeby posiadania go. Dio-dao rozwijali kosmonautykę i startujące raz na kilka lat statki zdążyły odwiedzić wszystkie cztery planety ich systemu gwiazdowego, ale nikt się tym przesadnie nie ekscytował. Z usług kluczników dio-dao korzystali bez wahania, założyli kilka kolonii, ale ekspansja postępowała niespiesznie, jakby dio-dao robili komuś przysługę, zasiedlając puste planety. Od stu lat działały u nich reaktory jądrowe, ale znaczną część energii nadal produkowały elektrownie i stacje termiczne. Dio-dao opracowali absolutnie bezpieczny, ekologicznie czysty i bardzo potężny reaktor termojądrowy, ale na razie nie przystąpili do jego budowy. Komputer w domu stanowił niesłychaną rzadkość, ale istniejące maszyny przewyższały nie tylko ich ziemskie odpowiedniki, ale nawet komputery aranków.

Gdy życie jest tak krótkie, pośpiech nie ma sensu.

Jeśli nie zdążysz znieść jednej koszuli – czemu miałbyś zawracać sobie głowę modą?

Dio-dao byli niezmiernie dalecy od ludzi, ale Martin potrafił ich zrozumieć. Geddarowi było trudniej.

Urodzony Jesienią zaczął rozmawiać przez telefon w języku turystycznym – albo z uprzejmości, albo żeby uniknąć tłumaczenia – zbędnej straty czasu.

– Żyj, Myślący Długo. Mówi Urodzony Jesienią. Tak, jeszcze żyję. Zapewne dzisiaj w nocy, dziękuję. Odwiedził mnie przyjaciel z innej planety, człowiek Martin. Tak. On prosi o pomoc mnie, a ja proszę ciebie. Mniej więcej siedem dni temu mogła przybyć do nas człowiek-kobieta, jej imię Irina Połuszkina? Czy tak było?

Przerwa w rozmowie była bardzo krótka. Urodzony Jesienią popatrzył na Martina i powiedział:

– Miałaś rację, ona jest u nas. Dziękuję, Myślący Długo. Kiedy kobieta-człowiek przekroczyła granicę i gdzie jest teraz? Tak długo? Tak? Tak szybko? Dziękuję, Myślący Długo. Zegnaj.

Urodzony Jesienią odłożył mikrofon i głośnik, i stwierdził:

– Kobieta Irina przechodziła kontrolę pograniczną trzy dni. Ma problemy z koncentracją, Martinie.

– To się zgadza – przyznał Martin.

– A następnie wyruszyła do Doliny Boga.

– Co to takiego?

– Miejsce odprawiania naszego kultu religijnego – wyjaśnił niewzruszenie dio-dao.

– W dziewczynie wyraźnie obudziło się zainteresowanie religią – mruknął Martin. – U aranków szukała duszy, teraz zajęła się waszą teologią... Nie znam waszej wiary, Urodzony Jesienią. Kiedyś mówiłeś, że szanujecie cudzą religię, ale nie opowiadałeś mi o swojej.

– Ja ci mogę powiedzieć – odezwał się nieoczekiwanie geddar. – Wcale nie są tacy tolerancyjni. Są politeistami i wierzą we wszystkich bogów jednocześnie. Mnie to wkurza.

– To nie tak – powiedział krótko Urodzony Jesienią.

– W takim razie popraw mnie – wyszczerzył zęby Kadrah.

– Wierzymy w Boga jedyne, Stwórcę Wszechświata – odparł dumnie Urodzony Jesienią. – Ale uważamy Boga za nieokreślonego.

– Niepoznawalnego? – uściślił Martin. – To przecież jest w każdej religii...

Urodzony Jesienią pokręcił głową.

– Nie. Właśnie nieokreślonego. Uważamy, że Bóg stanowi finalny etap rozwoju życia rozumnego we Wszechświecie. Upraszczając... – zawahał się. – Otóż w odległej przyszłości istoty rozumne przestaną być ograniczone swoimi ciałami. Wszystkie rozumne rasy staną się jednolite i jednocześnie różnorodne w wyborze kształtu swojego istnienia. Nie tracąc indywidualności, oddzielne umysły połączą się, tworząc nadświadomość, nie skrepowaną ramami przestrzeni i czasu. To właśnie będzie Bóg: Stwórca wszystkiego, alfa i omega, początek i koniec, jedność i wspólność. On wchłonie w siebie cały byt. On stworzy Wszechświat.

Kadrah prychnął pogardliwie. Martin odchrząknął:

– Ale każda religia przedstawia Boga inaczej...

– Dlatego, że Bóg jest nieokreślony – potwierdził Urodzony Jesienią. – Bóg istnieje, stworzył świat, jest wieczny i stoi poza czasem. Ale dla nas – żyjących w czasie – Bóg jest nieokreślony. Jeśli zatriumfuje wiara ludzi – Bóg stanie się człowiekiem, takim, jakim postrzegacie go wy. Jeśli rozprzestrzeni się wiara geddarów – to będzie ich Bóg.

– A jeśli zwycięży ideologia aranków... – Martin zawiesił głos.

– Wówczas Boga nie będzie – skinął głową Urodzony Jesienią. – Zrozumiałeś!

– Bzdury – wymruczał Kadrah. – Bóg jest i ja to wiem. I cień, rzucony przez jego światłość – prorok TajGeddar, żył w naszym świecie tysiąc lat temu. Bóg jest zbyt wielki, żebyśmy mogli go pojąć i dlatego przyszedł TajGeddar, zrodzony światłem, cień na ścianie bytu, geddar i Bóg, dostępny naszemu rozumieniu. Tworzył cuda, zarejestrowane przez świadków, jego przepowiednie sprawdzały się i nadal się sprawdzają. Jest tylko Bóg i TajGeddar – jego cień!

Urodzony Jesienią przytaknął:

– Owszem, jest Bóg geddarów i TajGeddar, jego cień. Miecz TajGeddara oddzielił przestrzeń od czasu i porządek od chaosu. Miecz TajGeddara przecina nić naszego życia i po ostrzu jego miecza ruszymy w nowy byt. Ale jest również Bóg ludzi – i syn jego przyszedł na ziemię, jest Bóg ołua i ciepłe wody jego syna...

– Powstrzymaj się – wykrzyknął Kadrah. – Możesz wierzyć w dowolne brednie, ale nie pozwolę ci bluźnić!

– Milczę – powiedział Urodzony Jesienią. – I tak zrozumieliście już ogólny sens.

– A czy istnieje wasza własna wiara? – zapytał Martin. Urodzony Jesienią skinął głową.

– Owszem. Właśnie ją wam zaprezentowałem.

– Nie – Martin pokręcił głową. – Przedstawiłeś nam filozoficzne podstawy waszej wiary. Zrozumiałem, że dopuszczacie słuszność każdej religii. Ale przecież wierzyliście w coś przed pojawieniem się kluczników, Wrót i Obcych?

– Oczywiście – powiedział Urodzony Jesienią po chwili wahania. – Naprawdę interesują cię szczegóły? Czyżbyś chciał przyjąć naszą wiarę?

– Nie za bardzo – przyznał się Martin. – To znaczy, bardzo mnie to interesuje, ale teraz nie będziemy tracić czasu. Z przyjemnością dowiem się wszystkiego później. Wytłumacz nam tylko, czym

jest Dolina Boga?

– To wielka dolina w górach, gdzie mieszczą się świątynie największych religijnych kultów galaktyki – wyjaśnił z uśmiechem Urodzony Jesienią. – Bardzo proste, jak widzisz.

– Możesz podpowiedzieć mi, po co wyruszyła tam Irina?

Przez jakiś czas dio-dao zastanawiał się, w końcu powiedział:

– Być może zdecydowała się przyjąć jakąś rzadką wiarę? Jeśli kontakt z wyznawcami danej wiary jest utrudniony, najwygodniejszym sposobem jest wyruszenie do Doliny Boga.

– Więc są tam również kapłani kultów? – zdumiał się Martin.

– Oczywiście. Bogowie nie żyją w pustych świątyniach.

– Taak... – mruknął Martin. Po Irinie Połuszkinej można się było spodziewać każdego, najbardziej niespodziewanego postępu, ale nie ostrego ataku religijności. – A inne możliwości?

– Może zaczęła pasjonować się teologią – zasugerował Urodzony Jesienią. – Dolina Boga to najlepsze miejsce do badania różnych wyznań.

– Musimy się tam udać – powiedział posępnie Kadrah do Martina. – Nie podoba mi się to, przyjacielu. Bardzo mi się to nie podoba.

– Dlaczego?

– To... – Kadrah zawahał się. – To zbyt bliskie herezji. Dio-dao, powiedz, czy w tej... dolinie... stoi jelec TajGeddara?

– Jelec to wasza nazwa świątyni? – sprecyzował Urodzony Jesienią. – Jeden z moich przodków badał wasz naród, ale to było dawno i zachowałem jedynie okruchy wiedzy... Jest na pewno. Nie byłem tam, ale w Dolinie Boga ma siedziby ponad siedemset kultów religijnych.

Kadrah z sykiem wypuścił powietrze, oparł podbródek na dłoniach i zagłębił się w myślach.

– Skomplikowana sytuacja... – westchnął Urodzony Jesienią, gładząc brzuch. – Powiedz, Martinie, czy ty również będziesz zszokowany, widząc w Dolinie Boga wyznawców twojej wiary?

– Czy to dio-dao? – zapytał Martin.

Urodzony Jesienią skinął głową.

– W jakimś stopniu będę – przyznał się Martin. Wyobraził sobie, jak kangur ubrany w riasę stoi przed ołtarzem i poczuł się kompletnie zbity z tropu. Zerknął na Kadraha. – Oczywiście, nie rzucę się na nich z mieczem, pokrzykując o świętokradztwie...

Kadrah westchnął ciężko:

– Przyjacielu, nie musisz mnie przekonywać do tolerancji. Jestem w stanie zaakceptować wiele rzeczy, ale istnieje granica, której przekroczyć nie zdołam. Jeśli zobaczę, że dio-dao wypaczają naszą wiarę, drwią z czynu TajGeddara i parodiują nasze święte obrzędy... Obowiązek znajdzie się ponad tolerancją i wyrozumiałością.

– Uwierz mi – rzekł cicho Urodzony Jesienią – że w Dolinie Boga nikt nie drwi z obcej wiary. To, co zobaczysz, może ci się wydać dziwne lub obraźliwe, ale jeśli zadasz sobie odrobinę trudu i zagłębisz się w to, co widzisz, twój gniew opadnie.

– Dobrze – skinął głową Kadrah. – Spróbuję być obiektywny. Jak mamy się dostać do tej doliny?

– Sami tam nie dotrzecie, potrzebujecie przewodnika – powiedział Urodzony Jesienią. – Myślę, że pomoże wam Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. Synku?

Z wycięcia narzutki wysunęła się mała główka. Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela powiedział speszony:

– Słyszę, rodzicielu. Pomogę obcym dotrzeć do Doliny Boga. Ale prawie nie mogę już dłużej czekać.

Ręka Urodzonego Jesienią czule pogłaskała puszystą główkę dziecka.

– Wiem, synku. Wytrzymaj jeszcze kilka minut. Nadszedł czas twoich narodzin.

Główka kiwnęła i zniknęła w torbie. Martin wzdrygnął się – nie uszło to uwadze dio-dao.

– Nie potrzebuję pomocy przy porodzie, Martinie – pospieszył z zapewnieniem Urodzony Jesienią – ale jeśli będziesz ze mną w tej chwili – sprawisz mi przyjemność. Jeśli potem pomożesz mojemu synowi pochować moje ciało – oddasz mi ogromną przysługę.

– Pomogę – powiedział Martin. Poszukał odpowiednich słów i wymamrotał: – Wiesz, jestem dumny ze znajomości z tobą. Teraz będzie mi czegoś brakować.

Urodzony Jesienią skinął i uśmiechnął się.

– Pomóż mi dojść do sypialni. Słabnę.

Martin pomógł Urodzonemu Jesienią – dio-dao rzeczywiście zaczął się chwiać. Tracił siły niemal w oczach. Przed ciężką zasłoną, oddzielającą sypialnię od reszty mieszkania, Urodzony Jesienią przystanął i odwrócił się:

– Żegnaj, geddarze. Żyj i pamiętaj.

– Żegnaj dio-dao – powiedział Kadrah. Widać było, że ten wielki, mocny, agresywny, dumny geddar czuje się bardzo niewyraźnie. W obliczu spokojnie umierającego dio-dao, w noc śmierci i narodzin, wszystkie zasady geddara wydawały się naiwne i nie na miejscu, niczym dziecięca zabawa żołnierzami na środku pola bitwy.

Przyjście na świat Tego, Który Doczekał Się Na Przyjaciela wcale nie było takie łatwe, jak próbował przedstawić to Urodzony Jesienią. Cięża trwała dłużej niż powinna i torba dio-dao stała się zbyt mała dla dziecka. Głowa wychodziła na zewnątrz bez problemu, ramiona również, ale już korpus nie chciał przejść. Urodzony Jesienią znosił ból bardzo dzielnie, a może to wybuch hormonów sprawił, że stał się mniej wrażliwy na ból, ale w pewnej chwili Martin pomyślał, że będzie musiał wziąć nóż i poeksperymentować u Obcego z cesarskim cięciem.

Ale Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela mimo wszystko poradził sobie sam.

Przez kilka minut mały dio-dao – nie większy od ludzkiego pięciolatka, odpoczywał na łóżku obok rodzica. Urodzony Jesienią szeptał coś i czule gładził syna, nadal połączonego z nim pępowiną. Być może nawet teraz mogli wymieniać się pamięcią, ale Martin nie odważył się o to zapytać.

Pępowina odpadła sama. Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela wytarł się mokrym ręcznikiem i siedział przy rodzicu, dopóki ten nie umarł. Dopiero potem odwrócił się do Martina.

– Wezmę prysznic i zjem coś – powiedział. – Czy potem pomożesz mi pochować ciało?

Martin kiwnął głową. Ta rozmowa z nowo narodzonego osobnikiem, absolutnie samodzielnym, trochę go przerażała.

Na szczęście, dzięki postępowi cywilizacji dio-dao dzieci nie musiały już zjadać ciał rodziców.

Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela przeszedł do salonu, skinął Kadrahowi i udał się pod prysznic. Geddar pozostał niewzruszony, w każdym razie nie dał nic po sobie poznać i to Martina cieszyło. Gdy mały się mył, Martin zawiązał ciało Urodzonego Jesienią w cienki całun, zrobiony nie z materiału, lecz z mocnego, szarego papieru. Próbował zamknąć oczy dio-dao, ale one uparcie wpatrywały się w przyszłość, która zatrzymała się raz na zawsze.

– Nawet nie wiem, co powiedzieć – wymamrotał Martin. – Cóż... byłeś świetnym kumplem... nie człowiekiem oczywiście i nawet nie mężczyzną, tylko hermafrodytą... ale w tamtej akcji trzy miesiące temu bardzo mi pomogłeś... i poczucie humoru miałeś fajne... i lubiłeś ludzi...

Martin zamilkł, ale nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

– Odejdź w pokoju – zakończył, zasłaniając twarz Urodzonego Jesienią. – Niech ci ziemia lekka będzie.

...Godzinę później, gdy po zaspokojeniu pierwszego głodu młody dio-dao zdecydował się przystąpić do pogrzebu, Martin przekonał się o naiwnym antropomorfizmie swoich słów. Dio-dao nie grzebali swoich zmarłych, więc Martin i Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela – nawet tak młody osobnik okazał się silny fizycznie – zanieśli ciało na przedmieścia miasteczka. Kadrah w milczeniu szedł za nimi, nie proponując pomocy, ale z ciekawością wszystko obserwując. Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela znalazł w ogrodzeniu wąską furtkę, zamkniętą na mocną zasuwę, on i Martin wynieśli ciało za płot, położyli na ziemi i wrócili.

I niemal od razu za płotem zaczęła się krzątanina i dało się słyszeć ohydne mlaskanie.

– Co tam jest? – zapytał Martin, walcząc z torsjami.

– Bydło – wyjaśnił krótko Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. Popatrzył na Martina i skinął głową: – Tak jest, oddajemy ciała naszych martwych zwierzętom. Umieramy zbyt często, by wykorzystać pełny obrót organiki i zakopywać ciała w ziemi jako nawóz.

– Potem jecie te zwierzęta?

– Nie, one stanowią karmę dla większego bydła – odparł młody dio-dao. – Co za różnica, geddarze? Ty jesz ziola i orzechy, które wyrosły na ciałach twoich przodków. My jemy mięso, wykarmione ciałami naszych prarodziców.

Ku zdumieniu Martina, geddar nie spierał się.

– Życie jest okrutne – rzekł tylko Kadrah.

– Bardziej okrutna jest tylko śmierć – potwierdził Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela.

Wrócili do domu Urodzonego Jesienią, który od teraz miał być domem Tego, Który Doczekał Się Na Przyjaciela i położyli się spać, ponieważ było już po północy i wszyscy byli zmęczeni.

Ale Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela jeszcze coś przekąsił.

Martin źle spał. Kilka lat temu przeczytał zajmujący artykuł jakiegoś psychologa, który badał podróżujących Wrotami. Prócz wyliczenia tradycyjnych problemów, wykrytych u zajadłych turystów, czyli depresji, dezorientacji w czasie i przestrzeni, nastrojów samobójczych i impotencji, zwiększonej agresji i nieadekwatnego odbioru intonacji i gestów, psycholog dawał swoje rady. Najważniejszą z nich było robienie tygodniowych, a jeszcze lepiej miesięcznych przerw między odwiedzaniem kolejnych planet. Z wyraźną naganą autor wyrażał się o tych, którzy wędrują z planety na planetę, nie wracając na Ziemię. Zaś psychiczne przeciążenie, spowodowane odwiedzeniem trzech różnych światów w ciągu tygodnia, autor uważał za niemożliwe do wytrzymania przez ludzki mózg.

Psycholog oczywiście przesadzał, jak każdy dobry lekarz. Lepiej wystraszyć pacjenta, niż napęłnić go fałszywym optymizmem. Martin wystarczająco długo włóczył się po Wszechświecie, więc mógł się uważać za lepiej przygotowanego od większości podróżników.

Ale sen był ciężki i pełen koszmarów. We śnie Martin razem z Tym, Który Doczekał Się Na Przyjaciela szykował świąteczny obiad z Urodzonego Jesienią. Zmarłego dio-dao należało posypać przyprawami, zawinąć w folię i zapiekać bezpośrednio na łóżku. Kadrah stał obok i zadawał pytania – czy Martin nie dodaje przypadkiem za dużo przypraw, czy mięso starego dio-dao będzie wystarczająco miękkie. Potem, nie wiadomo dlaczego, Kadrah zainteresował się kwestią koszerności Obcego, a w jego zachowaniu pojawiło się coś ze stylu chuliganów-prowokatorów.

A potem zjawiała się Irina Połuszkina. Była blada, poruszała się powoli, a gdy podeszła bliżej, Martin zrozumiał, że dziewczyna nie żyje. Na jego dramatyczne pytanie, jak do tego doszło, Ira odpowiedziała, że próbowała zobaczyć Boga, a takie próby nie prowadzą do niczego dobrego.

Ale do uroczystej kolacji usiadła razem ze wszystkimi i gdy Martin odmówił jedzenia, zaczęła nieoczekiwanie mocno potrząsać go za ramiona, domagając się natychmiastowego przystąpienia do koszmarnego posiłku...

Martin obudził się i zobaczył nad sobą Tego, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. Kadrah również wstał i właśnie się mył. Na stole stało przygotowane śniadanie. Pachniało smażonym mięsem.

– Wstawaj, musimy ruszać w drogę – powiedział Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. – Pociąg do Doliny Boga odchodzi za godzinę.

– Będziesz nam towarzyszył? – zapytał Martin, otrząsając się ze snu.

– Przecież mówiłem, że bez przewodnika nie traficie.

– Nie ty mówiłeś, tylko twój ojciec – mruknął Martin. – Urodzony Jesienią, a nie Ten, Który

Doczekał Się Na Przyjaciela.

Dio-dao uśmiechnął się.

– Przez pierwsze kilka dni po narodzinach ciężko oddzielić własną pamięć od pamięci rodzica... Masz rację, mówił o tym mój rodzic, ale ja się z nim zgodziłem.

– Rzeczywiście – Martin skinął głową, wstając. On i Kadrah spali na podłodze – z zaproponowanego łóżka obaj, nie umawiając się, zrezygnowali.

– Przy okazji, możesz nazywać mnie po prostu Di-Pi – powiedział Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. – Będzie mi miło.

– A geddar? – zapytał od razu Martin.

– Niech również zwraca się do mnie w ten sposób – rzekł Di-Pi po chwili wahania.

W ciągu nocy mały dio-dao trochę podrosł i teraz był wzrostu ośmioletniego dziecka. Dzieciństwo dio-dao nie trwało długo, zresztą, czy można nazwać dzieciństwem okres fizycznego wzrostu? Istota ludzkiego okresu dorastania polega nie na zwiększaniu rozmiarów ciała czy pojawieniu się drugorzędnych oznak płciowych. Dzieciństwo to przede wszystkim poznawanie świata, a przecież dio-dao poznał świat jeszcze przed swoimi narodzinami...

Usiedli do śniadania. Di-Pi zaserwował smażone mięso z gęstym, ostrym sosem, coś w rodzaju miękkiego sera i przypominające fasolę duszone warzywa. I herbatę – dużo mocnej i słodkiej herbaty.

Mięso jadł tylko dio-dao.

– Już wszystko wiem – powiedział Di-Pi, zjadając kolejną porcję. – Kobieta wyruszyła do Doliny Boga zwykłym pociągiem. To niedrogi i wygodny sposób podróżowania, ale dość wolny – pociąg przybędzie na miejsce dopiero dziś po południu. My pojedziemy ekspresem i znajdziemy się w dolinie późnym wieczorem. Kobieta nie będzie miała zbyt wiele czasu, żeby popełnić jakieś głupstwo.

– Jakie głupstwo? – zapytał czujnie Martin.

– Długo nad tym myślałem – rzekł skromnie Di-Pi. – Mój rodziciel zbyt przejmował się swoją śmiercią, żeby poważnie zastanowić się nad tym problemem. A ja chyba zrozumiałem cel Iriny.

– No to mów! – zachęcił go Martin.

– Powiedziałaś, że kobieta otrzymała listę zagadek Wszechświata – zaczął dio-dao. – Podobne listy mają rzecz jasna wszystkie cywilizacje i wszyscy próbują owe zagadki rozwiązać. Ale kobieta Irina próbuje dokonać jakiegoś odkrycia w pojedynkę, a to oznacza, że potrzebuje szybkiej i jednoznacznej odpowiedzi na konkretne ogólne pytanie. Zastanówmy się, czym zajmowała się do tej pory. Po pierwsze – rozwiązanie zagadki Biblioteki. To rzeczywiście bardzo ważna kwestia. Być może była to planeta kluczników, być może jakiejś zaginionej rasy, tak czy inaczej obeliski przechowują starożytne tajemnice. Może historię Wszechświata. Może jakieś objawienie. Ale język Biblioteki stawiał opór i kobieta się wycofała. Drugą zagadką, jaką próbowała rozwiązać, była zagadka starożytnych świątyń na planetach, które odwiedzili klucznicy. To również bardzo istotna kwestia. Gdyby w świątyniach rzeczywiście znajdowały się nieznane artefakty, oznaczałoby to, że klucznicy nie odwiedzają planet na chybił trafił, lecz idąc za sygnałami z tych świątyń. Co z tego wynika? Istnienie starożytnej cywilizacji-pramatki? Wspólne korzenie wszystkich rozumnych ras? Funkcjonowanie w zamierzchłej przeszłości sieci transportowej, analogicznej do Wrót kluczników? Bardzo interesująca, globalna informacja... Szkoda, że nadal nie mamy rozwiązania. Trzecią planetą, którą odwiedziła kobieta Irina, był Arank. Wielka tajemnica, bez wątplenia mogąca dokonać



przewrotu w filozofii. Czy istnieje niematerialny nośnik rozumu, czy istnieje dusza, a więc życie po śmierci? Niestety, Irina zaprzeczyła sama sobie, próbując metodami fizycznymi odnaleźć to, co mistyczne... Czwarta planeta – nasza. Jej zasadniczą unikatowość widzę – podobnie jak mój rodzic – w nieokreśloności Boga.

Kadrah zakręcił się na krześle, ale nic nie powiedział.

– A więc, co chce osiągnąć Irina na naszej planecie? – ciągnął Di-Pi. – Rozwiązać zagadkę zagadek! Dowiedzieć się, i to nie na poziomie wiary, lecz faktów, czy Bóg istnieje! W jaki sposób? Jedną z cech wszystkich wielkich religii jest to, że istnienia Boga, nawet przejawiającego się w cudach, nie da się udowodnić. Albo cud jest przekonujący tylko dla pojedynczego osobnika i nie sposób go udokumentować, albo może być wyjaśniony naturalnymi przyczynami, albo sięga tak daleko w przeszłość, że nie sposób go sprawdzić. Czy Syn Boży chodził po ziemi? Czy geddarom jawił się TajGeddar w ciele? To kwestia nie nauki, lecz wiary.

Martin zauważył, że Kadrah gotów jest wybuchnąć, i szybko wtrącił:

– To naturalne. Gdyby istnienie Boga dało się przekonująco udowodnić, odbierałoby to istotom rozumnym wolną wolę... a w każdym razie jej sporą część.

– Oczywiście – skinął głową dio-dao. – My również nie możemy przedstawić przekonujących dowodów swojej religii. Owszem, przechowujemy pamięć przodków, ale z każdym pokoleniem odchodzi ona coraz dalej... Na kogo patrzę, gdy widzę – oczami mego odległego przodka – starego dio-dao na szczycie skały? Być może na Niosącego Nadzieję, proroka, który dotknął bóstwa. A może to jedynie zwykły obserwator, czekający na oddziały wroga... albo pastuch, wypatrujący zabłąkanego stada. W mojej pamięci jest tylko krótka chwila. Moi potomkowie w ogóle nie zobaczą tej skały i tego starca. To znaczy, że kobieta wybierze do swoich celów tę religię, która udostępnia wierzącym jednoznaczne dowody istnienia Boga.

– Doprawdy? – zapytał ironicznie Martin. – Religia, zdolna czynić cuda na zamówienie, zawojowałaby Wszechświat.

– Sprawdźmy to – powiedział spokojnie Di-Pi. – Gdy już znajdziemy się w Dolinie Boga, wstąpimy do instytutu teologii, podamy cel naszej wizyty i poprosimy o radę.

– Jakie to wszystko proste – prychnął geddar – Przybędziemy, poprosimy, zobaczymy. Wychodzi na to, że wasi uczeni wiedzieli o istnieniu takiej możliwości, ale nie próbowali przeprowadzić eksperymentu?

– Zobaczymy – uśmiechnął się dio-dao. – Chodźcie, przyjaciele. Do odjazdu pociągu zostało dwadzieścia minut.

Jest coś zdumiewająco zabawnego w podobieństwie różnych ras. Martin mógłby przysiąc, że najśmieszniejszą rzeczą na świecie jest mały czajniczek dogari, zobaczony niegdyś w kosmicznym zajeździe. Sporo radości sprawiała mu również telewizja Obcych – w każdym razie tych ras, które miały telewizję. A kosmiczne reklamy (niektóre cywilizacje również zapadły na tę chorobę) od wielu lat gwarantowały mu wyśmienitą zabawę.

Pociąg dio-dao był zachwycająco bezsensowny – nie sam z siebie, lecz przez kontrast z miejscowymi drogami.

Wierni swojej zasadzie – zanim zamienisz stare na nowe, sprawdź, czy starego nie da się zmodernizować – dio-dao zachowali na planecie sieć transportową zbudowaną tysiące lat temu. Starożytne droginajpierw wyoszczono kamieniami, potem zabetonowano, a w końcu wyposażono

w trzy szerokie szyny – z metalu lub zdumiewająco mocnego drewna. Sto lat temu po tych szynach jeździły parowozy, później zastąpione przez błyszczące lokomotywy o napędzie elektrycznym. Teraz przed kopolami dworca czekał na nich ekspres, jakiego nie powstydziliby się arankowie.

Trzy długie, półprzezroczyste wagony w kształcie cygara nie stały na szynach, lecz wisiały nad nimi, połączone przejściami z przezroczystego materiału, przypominającego pomięty celofan. Widocznie wszystkie wagony miały silnik, bo niczym się od siebie nie różniły. Przed szeroko otwartymi drzwiami każdego z nich stali dio-dao w czarnych narzutkach.

Szyny były drewniane.

Kadrah zatrzymał się i powiedział:

- On wisi w powietrzu.
- Tak – potwierdził Di-Pi.
- Pole magnetyczne? – zapytał geddar z nadzieją.
- Antygravitacja.

Geddar wypuścił z sykiem powietrze i potrząsnął głową.

- Słyszałem, ale nie wierzyłem... umiecie kontrolować grawitację? Tak jak arankowie?
- Inaczej, ale umiemy – odpowiedział z godnością dio-dao. – Pospieszmy się, przyjaciele.

Di-Pi okazał konduktorowi przy drzwiach ostatniego wagonu jakieś dokumenty, Martin i Kadrah pokazali swoje tymczasowe paszporty. Formalności było zdumiewająco mało – zaledwie kilka pytań, dotyczących preferencji kulinarnych i wytrzymałości na przeciążenie. Następnie człowiek i geddar otrzymali ankiety do wypełnienia w podróży (ankieta mogła mieć najwyżej osiem stron), i pozwolono im wsiąść do wagonu.

Wszystko świadczyło o tym, że dio-dao nie podróżowali pociągami na duże odległości. Brakowało tu przedziałów, tym bardziej kuszetek. Szerokie przejście przez środek wagonu, a wzdłuż niego odwrócone do siebie fotele, niezbyt wygodne dla humanoidów. Ściany wagonów zrobione jakby z mętnego, przydymionego plastiku, gdzieś umieszczono okna. Podłogę pokrywała włochata wykładzina. Wnętrze utrzymano w odcieniach beżu i brązu, nawet plafony lamp miały bladobrązowe szkło.

– Tak właśnie będziemy podróżować – oznajmił Di-Pi. – Czujcie się jak w domu, przyjaciele!

Martin rozejrzał się zaskoczony. Wyglądało na to, że są jedynymi pasażerami.

– Ten wagon przyczepiono specjalnie dla nas – wyjaśnił stropiony dio-dao. – Wybaczcie mojemu narodowi, są bardzo serdeczni wobec Obcych, ale starają się unikać zbyt bliskich kontaktów. Być może, jeśli w innych wagonach zabraknie miejsc, ktoś się do nas dosiadzie...

– Ile cię to kosztowało? – zapytał Martin wprost.

– Dużo – przyznał Di-Pi, odwracając wzrok. – Nie przejmuj się. To mój obowiązek. Poza tym zapowiada się ciekawa przygoda.

– Mieliśmy dużo szczęścia, że Urodzony Jesienią był twoim przyjacielem – pokiwał głową Kadrah. – Dziękuję, mały dio-dao.

„Kangur” skłonił się.

– Kiedy ruszamy? – zainteresował się Martin. Geddar delikatnie poklepał go po ramieniu.

– Żartujesz, przyjacielu? Rozejrzyj się!

Martin spojrzał w okno.

Ruchu nie czuło się absolutnie, ale wagon już mknął nad szynami, a prędkość rosła z każdą chwilą. Jakieś trzysta kilometrów na godzinę... może trochę więcej.

– Ty, Który... Di-Pi, powiedz mi, po co ten pociąg w ogóle trzyma się szyn? – zapytał Martin. – Przecież wcale ich nie dotyka!

– Dla bezpieczeństwa – wyjaśnił dio-dao. – Na przykład po to, żeby nie wjechać w drzewa, nie musieć uważać na nierówności terenu, duże zwierzęta i nieostrożnych przechodniów.

– Nie prościej byłoby wznieść się wyżej, piętnaście metrów nad ziemię?

– Nie przepadamy za lataniem – przyznał się Di-Pi.

– Ale w kosmos przecież latacie – nie ustępował Martin.

– To zupełnie co innego – rzekł dio-dao. – Zupełnie co innego!

Do rozmowy włączył się Kadrah:

– Na ich planecie nie ma ptaków i latających owadów, przyjacielu. Rasa dio-dao cierpi na lęk wysokości.

– Wiesz co, Kadrahu? Mam wrażenie, że wiesz o dio-dao nie mniej niż ja, ale twoja wiedza jest bardzo jednostronna. Ty dostrzegasz wyłącznie negatywy.

Kadrah zaśmiał się cicho.

– Mam nadzieję, że nie obrazi to naszego małego przewodnika, ale to prawda. Gdy klucznicy przybyli na naszą planetę i geddarowie zaczęli poznawać Wszechświat, długo szukaliśmy rasy, z której można brać przykład. Było nam wszystko jedno, czy będą to humanoidy, czy inne, bardziej wyszukane formy życia. Ale stało się tak, że najbardziej polubiliśmy ludzi i aranków. O innych rasach wiem przede wszystkim to, co przeszkadza we współpracy i przyjaźni.

– Nie jestem urażony – rzekł dio-dao. – Ani ludzie, ani tym bardziej geddarowie nie są naszymi ulubionymi rasami, co nie oznacza, że nie robimy wyjątków. Zjedzmy coś, dobrze, przyjaciele? Przed nami długa droga.

Pociąg mknął na północ. Znajdowali się na południowej półkuli planety i z każdą godziną na zewnątrz robiło się coraz cieplej. Zniknęły śniegi, pojawiły się kamieniste równiny, potem porośnięte niskimi krzakami pola, najwyraźniej uprawne. Ciężkie ołowiane chmury ustąpiły miejsca burej zieleni nieba, która przeszła w przejrzysty, zielonkawy błękit. Od czasu do czasu za oknem migwały niewielkie osiedla, trzy razy pociąg zatrzymywał się przed wielkimi miastami.

Do ich wagonu przez całą drogę nikt nie wsiadł.

Di-Pi jadł niemal bez przerwy. Martin zaczął odnosić wrażenie, że dio-dao rośnie w oczach – wystarczy odwrócić wzrok na minutę, a on wydłuża się o kilka centymetrów. Ta rasa nie miała ani dzieciństwa, ani starości. Martin niejednokrotnie słyszał porównanie ludzkiego życia do spalania, ale życie dio-dao nie płonęło – ono wybuchowało.

Na dworze robiło się coraz cieplej.

Plantacje krzewów zostały zastąpione przez pola, później pojawiły się pastwiska, po których chodziły dwunogie zwierzęta, przypominające stojące na tylnych nogach krowy. Całe życie na Marge toczyło się w oparciu o tę samą zasadę – wszystkie zwierzęta żyły najwyżej pół roku, wszystkie rosły w torbach i otrzymywały pamięć po przodkach.

Smutna planeta...

Martin usiadł wygodniej w fotelu, zamknął oczy i spróbował się zdrzemnąć. W fotelu

naprzeciwko dio-dao, pogryzając coś przypominającego chipsy, czytał książkę – zwykłą, papierową, bardzo podobną do ziemskich.

– Co czytamy? – nie wytrzymał Martin. Dio-dao chyba nie lubił tracić czasu. Nic dziwnego, jeśli Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela będzie chciał pójść śladami ojca, będzie musiał bardzo szybko zapoznać się z licznymi kodeksami dio-dao.

– Wziąłem powieść na drogę... – speszył się Di-Pi. – To beletrystyka. Wymysł.

– O czym? – zainteresował się Martin. W czasie poprzedniej wizyty, skupiony na przestrzeganiu praw i obyczajów, nie miał okazji zainteresować się kulturą dio-dao.

– To opowieść o pewnym dio-dao. Pragnący Więcej, bo tak brzmi jego imię, chciał żyć długo i podpisał pakt z diabłem. Żeby zachować młodość, musiał co pół roku zabić i pożreć jakiegoś młodego dio-dao. Dzięki temu ulegał odmłodzeniu i mógł uchodzić za własnego syna. Ale pracownik policji, Pamiętający Przeszłość, zaczął go podejrzewać podczas pewnego przypadkowego spotkania... On z czcią przechowywał pamięć przodków i zdołał rozpoznać przestępcę, z którym walczył jeszcze jego ojciec i dziad...

Dio-dao zamilkł i spytał speszony:

– Pewnie istotcie żyjącej dziesiątki lat taka fabuła wydaje się dość naiwna?

– Ależ dlaczego? – nie zgodził się Martin. – W naszej literaturze są podobne wątki, tylko przestępcy nie pragnęli długiego życia, lecz nieśmiertelności.

– Ciężko to sobie wyobrazić – powiedział w zadumie Di-Pi. – Opowiedz mi o jakiejś ludzkiej książce na ten temat.

Martin zastanowił się i zaczął opowiadać o *Portrecie Doriana Graya*. Dio-dao okazał się wdzięcznym słuchaczem. Gdy Martin opisał, że portret nieszczęsnego Doriana zaczął się starzeć zamiast niego, w oczach Di-Pi pojawiły się łzy. Finał przyjął wprawdzie ze stoickim spokojem, ale wyraźnie był wstrząśnięty.

– Bardzo głęboka filozofia – powiedział. – Bardzo. Czy tę książkę tłumaczono na turystyczny?

– Nigdy nie słyszałem, żeby jakąkolwiek książkę przetłumaczono na turystyczny.

– Szkoda – rzekł z przekonaniem Di-Pi. – Wstrząsająca historia! Zapewne jej twórca cieszył się powszechnym szacunkiem i był nauczycielem moralności?

Martin zawahał się:

– Jak by ci to powiedzieć... Szczerze mówiąc, właśnie z szacunkiem i moralnością miał spore problemy... Sądzę, że trudno byłoby ci zrozumieć tę sytuację, ale...

Na szczęście dio-dao zajął się nie życiem Oscara Wilde'a, lecz nowymi opowieściami na interesujący go temat. Martin opowiedział mu *Jaszczura*, który zrobił nieco mniejsze wrażenie, a następnie przeszedł do literatury fantastycznej.

Tu już dio-dao przeżył lekkie załamanie nerwowe. Ze spokojem przyjmując koncepcję literatury pięknej i fikcji literackiej, kompletnie nie mógł zrozumieć, czym jest wymyślona przyszłość. W jego rozumieniu można pisać historie wyłącznie o przeszłości. Nie potrafił sobie wyobrazić przyszłości jako poligonu fantazji. Bardzo ostrożnie, poczynając od fantastyki „bliskiego celownika” i przywołując apokryficzny przykład z młotkiem na energię atomową, Martinowi udało się przekazać mu istotę ziemskiej literatury fantastycznej.

– Ale przecież takie historie zwykle się nie sprawdzają! – spierał się Di-Pi. – Czy któryś z ziemian przewidział przyjście kluczników?

Martin wzruszył ramionami.

– To na czym polega ich wartość? To przecież zwykła strata czasu!

Martin nie odważył się powiedzieć, że czasem ludzie nie wiedzą, co zrobić z czasem, i wypełniają swoje życie gramami, książkami, filmami czy bezsensownym hobby.

– Ależ nie, to rozszerza granice odbioru świata – wyjaśnił. – Czytając o jakimś wariancie przyszłości, człowiek widzi jego plusy i minusy, i może podjąć pewne kroki, by go urzeczywistnić bądź też, żeby go uniknąć.

Di-Pi zamyślił się głęboko.

– Poza tym, wymyślona przyszłość pozwala człowiekowi lepiej zrozumieć problemy teraźniejszości. Podobnie jak w literaturze pięknej – dobił go Martin.

– Muszę to przemyśleć – skinął głową dio-dao. – Coś w tym jest. Wydaje mi się, że wy lubicie tego typu książki, ponieważ macie nadzieję, choćby niewielką, że dożyjecie wymyślonej przyszłości. Nam jest trudniej. My wiemy, kiedy umrzemy. Żyjemy niedługo... stosunkowo niedługo, oczywiście, ale mimo wszystko...

Zamilkł, odkładając swoją książkę.

Martin mimo wszystko postanowił się zdrzemnąć.

Wieczorem, gdy się obudził – wyjątkowo rześki i wypoczęty – pociąg mknął nad morzem. Niebo zasnuły ciemnoszare chmury, w oddali rozbłyskiwały błyskawice, pod dnem wagonu kipiała woda.

– No tak, po co na morzu szyny – mruknął Martin, patrząc w okno.

– Zwykle pociągi jadą wzdłuż brzegu, ale ekspresy antygravitacyjne skracają sobie drogę – wyjaśnił dio-dao. – Martinie, spieszę donieść ci nowinę. Postanowiłem zostać pisarzem!

– Naprawdę? – ucieszył się Martin. – Nie wątpię, że to poważna decyzja.

– Bardzo poważna – przyznał dio-dao. – Będę trochę pracował w policji, żeby przekazać swoją wiedzę i wiedzę przodków jednemu z moich synów. Ale urodzę dwóch albo trzech i jeden z nich zostanie pisarzem fantastą. Będzie uczył mój naród o przyszłości, która kiedyś nastanie.

Martin z przyjemnością patrzył na podekscytowanego dio-dao. Zdumiewające! Udało mu się podarować obcej rasie nowy zawód!

– Wiem już, o czym będzie moja książka – kontynuował Di-Pi.

– Za dziesięć lat – zrobił uroczystą przerwę – dokonane zostanie wielkie odkrycie, które pozwoli dio-dao żyć kilkadziesiąt lat, a przy tym rozmnażać się co pół roku! Początkowo wszyscy z zachwytem przyjmą genialny wynalazek. Ale wkrótce planetę dotknie ostry kryzys gospodarczy. Powrócą głód i kanibalizm. Rząd zostanie zmuszony do wprowadzenia ograniczeń i prawo do długiego życia otrzymają tylko nieliczni. Ze zdobyciem licencji na długie życie będą wiązały się straszne intrygi i przestępstwa. Główny bohater to młody dio-dao, który nazywa się Uskrzydłony Marzeniem. O, posłuchaj...

Di-Pi wziął z sąsiedniego fotela gruby zeszyt w niebieskiej okładce, otworzył na pierwszej stronie – Martin ze zdumieniem zauważył, że zeszyt został zapisany co najmniej w jednej czwartej – i zaczął czytać:

– „Uskrzydłony Marzeniem witał jesień już po raz drugi. Dzisiaj były jego urodziny – dokładnie dwa lata temu opuścił ciepłe i spokojne wnętrze rodzicielskiej torby...”

Di-Pi zawiesił znacząco głos i powiedział:

– Wyobrażam sobie, jaki szok przeżyje czytelnik po lekturze tego fragmentu!

– Słusznie, zaskakujący początek to gwarantowany klucz do sukcesu – przyznał Martin.

– Termin *urodziny* podpowiedział mi szanowny geddar – przyznał się Di-Pi. – Pierwotnie było: „Planeta już dwukrotnie dokonała obrotu wokół słońca od dnia, gdy Uskrzydłony Marzeniem...” i tak dalej. Wydaje mi się, że nowe, niespodziewane terminy spowodują zwiększenie dynamiki, wzbudzą zaufanie do akcji.

– Niewykluczone – skinął Martin i zerknął na Kadraha, który uśmiechał się z zadowoleniem.

– A to moje ulubione miejsce – dio-dao przewrócił kilka stron. – „Trawa. Niebo. Spokój. I nic więcej... »Nic« to dziwne słowo. Nic nie znaczy, a tak lubimy je wypowiadać. Nienawidzimy samej myśli o nicości, która nastąpi wcześniej czy później, i tak łatwo wypowiadamy to słowo. Nic. Tylko motylek traw przed oczami, jedynie płynące chmury... Chmury nie wiedzą, czym jest nic. Białe na niebieskim. Para w pustce. Kłęby dymu – dymu naszej wiary. Gdy jesteś mały, budujesz czarodziejskie zamki z białej mgły... Nic. Można wstać, a można leżeć w wysokiej trawie. Czy coś się zmieni? Nic. Para wodna... H<sub>2</sub>O... Więc czemu tak bardzo nie chce się wstawać z intensywnego zapachu traw, z tej sekundy dzieciństwa, którą otrzymaliśmy niczym nieoczekiwany podarunek? Przecież to nic, to tylko para, tylko H<sub>2</sub>O... biały woal na obliczu nieba, nieśmiałe kreski kredy na czarnej tablicy...

Dzieciństwo odeszło, lecz pozostały przepływające ponad ziemią chmury. One nie wiedzą, że dorosłeś. Są takie same, jak rok temu. Wydoroślałeś, zestarzejesz się, umrzesz, a chmury będą tak samo płynąć nad ziemią i mały chłopiec będzie tak samo leżał w trawie, bezmyślnie wpatrując się w niebo, nie wiedząc, że jego chmury płynęły również nade mną, nie wiedząc, że każde marzenie powtarza się od wieków... Nic. Ale dopóki chmury płyną po niebie, żyją. Jestem tym chłopcem, który patrzył w niebo tysiąc lat temu. Jestem tym starcem, który uśmiechnie się do nieba za tysiąc lat. Żyję wiecznie! Będę żył zawsze! H<sub>2</sub>O – to, z czego zrobione są chmury i oceany, moje ciało i soki traw. Jestem wodą i ogniem, powietrzem i ziemią. Jestem wieczny dopóty, dopóki chmury płyną ponad ziemią. Trawa... niebo... spokój... Składam podziękowanie temu niebu. Tej trawie. Tym chmurom. Tej wieczności, która ofiarowana jest każdemu. Wystarczy osiągnąć nieba...”

– Ależ ty jesteś poetą, Di-Pi – rzekł Martin ze zdumieniem.

Brązowa skóra dio-dao leciutko poróżowiała.

– Staram się. Jeden z moich przodków był twórcą opowieści, część jego pamięci nadal żyje w moim umyśle. To pomaga.

– A na czym będzie polegała istota twojej powieści? – zapytał Martin.

– Jak mogłeś zrozumieć z tego fragmentu, Uskrzydłony Marzeniem pojmie, że długie życie nie czyni istoty rozumnej szczęśliwszą, i że on wcale nie jest lepszy od swoich przodków, którzy żyli jedynie pół roku.

– Rozumiem – skinął głową Martin.

– Nie jestem przekonany co do tej idei – przyznał Di-Pi. – Ale w przeciwnym razie czytelnikowi zrobi się bardzo smutno.

– Masz rację – rzekł Martin. – Większość ziemskich pisarzy dochodzi do podobnego wniosku. Szkoda im czytelników... no i siebie, oczywiście.

Di-Pi sposepniał.

– Jeszcze się zastanowię. Możliwe, że zakończenie będzie inne.

– Brzeg – powiedział półgłosem Kadrah. – Zbliżamy się do brzegu.

Planeta geddarów wypełniona jest morzami i oceanami, więc trudno było podejrzewać Kadraha o lęk przed wodą, ale Martinowi wydawało się, że w głosie nowego przyjaciela usłyszał ulgę. Wstał, przeciągnął się i popatrzył przez okno.

W oddali wznosiły się góry.

– Jesteśmy prawie na miejscu – oznajmił Di-Pi. – Droga od brzegu do gór zajmie nam pół godziny. Wobec tego jeszcze coś zjem... – powiedział, ale zawahał się, a potem wziął swój zeszyt i napełnił pusty długopis.

– Nie, lepiej jeszcze trochę popiszę. Martinie, podaj mi paczkę białkowych „nitek”.

Zima została daleko za nimi. Nawet wieczorem i nawet w górach było ciepło. Martin zdjął kurtkę i został w samej koszuli, Kadrah rozwiązał ubranie, a Di-Pi zrzucił płaszcz. Pod spodem miał tylko przepaskę biodrową.

Dworzec stał na kamienistym płaskowyżu, tuż przed Doliną Boga. Malutkie miasto, które mogło mieć najwyżej pięć tysięcy mieszkańców, przytuliło się do kolei. Wśród zwykłych kopuł Martin zauważył budynki o innej architekturze i poczuł w piersiach przyjemne ciepło. Więc mieszkali tu również przedstawiciele innych ras, także ludzie! To naprawdę było wyjątkowe miejsce.

– Są tutaj geddarowie – rzekł Kadrah, który widocznie myślał o tym samym. – Najlepiej będzie, jak się rozdzielimy. Ja poproszę o radę swoich, Martin pogada z ludźmi, a ty, Di-Pi, idź do teologów dio-dao.

– To dobra myśl – przyznał Di-Pi. – Widzicie wejście do doliny?

Widzieli. Mniej więcej kilometr od miasta, gdzie górskie szczyty rozstępowały się, jakby przecięte doliną, na niebie wyginał się tęczyowy luk. Dla dio-dao, miłośników stonowanych odcieni i niskich budowli, była to dość niezwykła konstrukcja.

– Tam jest ochrona – kontynuował dio-dao. – Ale można wejść bez przeszkód o każdej porze dnia i nocy. Trzeba tylko zostawić broń.

– Nie zostawię moich mieczy – zareagował gwałtownie Kadrah.

– Miecze możesz wnieść – uspokoił go Di-Pi. – To przecież element twojego kultu religijnego. Spotkamy się przed łukiem... Za godzinę?

– Za dwie – poprosił Martin. – Myślę, że będzie jeszcze jasno.

– Dobrze, za dwie – zgodził się Di-Pi. – Spróbujemy dowiedzieć się wszystkiego o kobiecie Irinie i o tym, jaką religią mogłaby się posłużyć.

– Trzeba również sprawdzić hotele – przypomniał Martin. – Będziesz mógł?

Di-Pi skinął głową. Rozdzielili się. Martin skierował się do kamiennego, piętrowego budynku, noszącego wyraźne piętno ziemskiej architektury, Kadrah poszedł zdecydowanym krokiem w stronę długiego, drewnianego baraku, zwieńczonego wieżyczką, a dio-dao ruszył w stronę stojących nieco z boku kopuł, zbyt dużych jak na pomieszczenia mieszkalne.

To miasteczko bardzo różniło się od typowych osiedli dio-dao. Martin spotkał kilku Obcych – parę długonogich, straszących pióra sheali, posępnego, przysadzistego humanoida o twarzy drapieżnika, którego współplemieniec tak nieopatrnie groził klucznikom na Bibliotece. Z sheali Martin przywitał się w turystycznym języku migowym, z humanoidami również wymienił pozdrowienia. Nawet zapalczywy drapieżnik wydał mu się uprzejmy – na obcych planetach wszyscy przybysze instynktownie garną się do siebie.

W mieście widać było również inne ślady galaktycznych kultur.

W witrynie jednego ze sklepików wśród różnych niezwykłych dań Martin dostrzegł dwie puszkę mielonki, puszkę skondensowanego mleka i pastę z kabaczków produkcji rosyjskiej. Nad wejściem jednej z kopuł wisiało ogłoszenie, które w języku turystycznym obiecywało: „Strzyżenie piór, sierści, włosów i pazurów. Pielęgnacja łusek i kopyt. Polerowanie i hodowanie rogów. Profesjonalnie i niedrogo!”

Martin stwierdził, że warto byłoby zaryzykować i zrobić sobie manicure oraz ostrzyć się na



obcej planecie. W końcu takie właśnie przygody nadają życiu smak.

Ale na razie musiał znaleźć ziemian, więc ominął kopułę i podszedł do budynku.

Intuicja nie zawiodła Martina. To był ziemski dom, zbudowany z czerwonej cegły, z dachem pokrytym dachówką, szerokimi oknami i wygodną loggią na pierwszym piętrze. Przed domem rozpościerał się mały ogródek, w którym Martin z rozczuleniem zobaczył szczypiorek, czerwieniejące pod folią inspektów pomidory i – o cudzie nad cudami! – kilka kwitnących jabłoni!

A na ławce przed wejściem, z robótką w rękach siedziała pogodna staruszka z siwymi lokami, ubrana w jaskrawożółtą suknię. Popatrzyła na Martina przez grube szkła okularów, uśmiechnęła się i wstała.

– Dobry wieczór, Frau – przywitał się Martin. Czuł się niezręcznie. Jego znajomość niemieckiego ograniczała się do kilku zwrotów, które przypadkiem utkwiły mu w pamięci.

– O, dobry wieczór, Herr! – odpowiedziała staruszka. – Przepraszam, jestem Holenderką i od dawna nie mówiłam po niemiecku... Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że przejdę na turystyczny? Nazywam się Elza.

– Ależ proszę bardzo! – ucieszył się Martin.

– Klaus! – zawołała starowinka. – Klaus, mamy gościa!

Z otwartego okna pierwszego piętra wyłoniła się łysa głowa staruszka. Na widok Martina Klaus rozjaśnił się w uśmiechu i znikł z okna.

– Proszę, proszę, niech pan siada – zakrzętała się staruszka. – Jakie wiatry przywiały pana na Fuckyou?

– Podróżuję... z przyjaciółmi – zaczął nieporadnie Martin. – Właśnie wysiadłem z pociągu. Szukamy dziewczyny, która wyruszyła do Doliny Boga...

– Obawiam się, że nie będę mogła panu pomóc – zmartwiła się szczerze staruszka. – Nie mamy tu ani jednej dziewczyny. Ale w mojej mikrofalówce dochodzi wspaniała strucla, więc jeśli usiądzie pan na chwilę i zechce się napić herbaty...

– Z przyjemnością – powiedział Martin, któremu rzecz jasna wcale nie chodziło o struclę.

Przyszedł Klaus. Radosny i podekscytowany, pospiesznie wycierał wymazane farbą ręce. Martin uściskał mu dłoń, a staruszek natychmiast wyjaśnił, że jest malarzem, mieszka tu od siedmiu lat, ponieważ to miejsce przynosi mu natchnienie, teologią się nie interesuje, ale bardzo mu miło, że może porozmawiać ze współplemieńcem.

Słowo „współplemieniec” zabrzmiało bardzo szczególnie – uroczyście i majestatycznie zarazem.

Martin zapytał, ilu ludzi mieszka w miasteczku i z przyjemnością usłyszał potwierdzenie swoich domysłów – przebywał tu włoski botanik, eksperymentujący z tutejszymi roślinami, amerykański socjolog, badający społeczeństwo dio-dao, chińska para, prowadząca sklepik, zakład fryzjerski i pralnię dla Obcych, małżeństwo pochodzenia arabskiego i młody Japończyk, ukrywający się na Fuckyou przed prześladowającą go yakuzą.

Rosjan, jak słusznie przypuszczał Martin, nie było. Wywiad cierpiał na chroniczne braki finansowe, a rosyjska Cerkiew prawosławna nie odważyła się pójść w ślady Watykanu i wysłać do Doliny Boga choćby „botanika”.

Martin nie miał ani czasu ani ochoty na zawieranie znajomości ze wszystkimi przedstawicielami ziemskich wywiadów i religijnych konfesji, w zupełności zadowalała go para Holendrów,

reprezentująca Unię Europejską.

– Zapewne wiele dowiedzieliście się państwo o tym miejscu? – zapytał Martin przy herbacie. Stół nakryto w ogrodzie przed domem, strucla była smaczna, a herbata mocna i aromatyczna. – W dolinie rzeczywiście oddaje się cześć wszystkim znanym religiom?

– Wszystkim znaczącym religiom – uściślił Klaus.

Martin skinął głową.

– Chodzi o to, że jestem prywatnym detektywem – przyznał się detektyw.

Staruszkowie pokiwali głowami z takim zapałem i zrozumieniem, że Martin nie miał żadnych wątpliwości – nie uwierzyli mu.

– Dziewczyna, która tu przybyła, zainteresowała się teologią – powiedział Martin, beztrąsco splatając prawdę i kłamstwo. – I chce udowodnić istnienie Stwórcy. Do tego celu potrzebna jej religia, dzięki której zdoła uzyskać jawny i niekwestionowany cud. Do kogo mogła się zwrócić?

– Hmm... Nasza wiara najwyraźniej odpada – powiedział w zadumie Klaus. Mimo że Martin wydał mu się osobnikiem ze wszech miar podejrzanym, poruszona kwestia wyraźnie go zaintrygowała. – Pozwoli pan, że przyniosę tytoń...

– Ależ proszę się częstować moim! – zaproponował hojnie Martin, otwierając plecak. Gdy wyjął paczkę holenderskiego Mac Barrena, twarz Klause rozjaśnił szczerzy uśmiech. Zaproponował Martinowi gościnną fajkę i już po chwili mężczyźni rozkoszowali się aromatycznym tytoniem. Elza dołączyła do nich po zastanowieniu, przynosząc z domu malutką fajkę z długim cybuchem. Staruszka siedziała cicho jak myszka, ale widać było, że słucha rozmowy bardzo uważnie.

– Cud, cud... – zastanawiał się na głos Klaus. – Widzi pan, nawet dziwna wiara dio-dao odrzuca powtarzalność i przewidywalność cudów. Możliwość uzyskania cudu po wypełnieniu tego czy innego rytuału jest sprzeczna z dowolną religią, sprowadza ją do poziomu szarlatanerii czy magii. Stwórca nie może być mechanizmem, który po określonej modlitwie wiernych wykona określone działania. Mojżesz otrzymał od Boga łaskę i dar czynienia cudów, ale tylko dla spełnienia woli bożej. Chrystus mógł dokonywać cudów, ale będąc Bogiem, ograniczał sam siebie... Gdyby posłuchał prośb apostołów, objąłby panowanie w Judei... w buddyzmie nie możemy liczyć na cud, jeśli zaś mowa o islamie...

– Ma pan rację, ziemskie religie się do tego nie nadają – przerwał mu Martin. – Ale dziewczyna uważa, że w jakiejś wierze znalazła lukę. Jestem pewien, że teraz jest w Dolinie Boga i namawia jakichś kapłanów, by jej pomogli. Nie mam czasu, żeby przeszukać całą dolinę... poradźcie mi coś, proszę!

Klaus i Elza popatrzyli na siebie.

– Bardzo sympatyczny młody człowiek – zauważyła Elza. – Jest pan chrześcijaninem?

Martin skinął głową.

– Może jednak zdołasz mu pomóc, Klaus? – zasugerowała Elza.

– Choć odrobinę?

Jak na malarza Klaus całkiem niezłe orientował się w teologii. Zastanawiał się przez kilkanaście minut, w końcu powiedział:

– Gaczczer.

– Słucham? – wykrztusił Martin, omal nie rozlewając herbaty.

– Wiara geddarów – wyjaśnił Klaus. – Występuje w niej postać mesjasza, TajGeddara, który...

– zamyślił się. – Nie można powiedzieć, że jest bogiem, ale jest czymś więcej niż prorokiem... Powiem tak: TajGeddar to ta część... nie, nie część... ta strona Stwórcy, którą może postrzec człowiek... chciałem powiedzieć – geddar. To jakby model, analogia, projekcja...

– Zrodzony przez światłość, cień na ścianie bytu... – wymamrotał Martin. Ze spojrzenia, jakim obrzucił go Klaus, wywnioskował, że jego szanse, by zostać uznanym za prywatnego detektywa, spadły do zera.

– No widzi pan... sam pan wszystko rozumie – uśmiechnęła się Elza.

– Mam przyjaciela, geddara, nieco mi opowiedział... – usprawiedliwiał się Martin.

Nie uwierzyli mu.

– Ale czy wiara geddarów zawiera przewidywalność cudu? – zapytał Martin.

– Ich religia jest wystarczająco młoda i aktywna – odparł Klaus.

– Geddarowie są spętani bardzo skomplikowanym kodeksem wzajemnych oddziaływań, ich społeczeństwo jest bardziej zhierarchizowane niż japońskie. Te wszystkie kodeksy, wzajemne obowiązki i zależności, częściowo rozprzestrzeniają się na ich kontakt z Bogiem. Istnieje kilka obietnic TajGeddara, które należą do podstaw wiary geddarów. Na przykład, każdy kapłan TajGeddara, który zginął w imię potwierdzenia słuszności swojej służby i głębi swojej wiary, zostanie wskrzeszony w nowym ciele.

Martin uśmiechnął się sceptycznie.

– I to natychmiast – dodał znacząco Klaus.

– Słyszałem, że w historii geddarów były wojny religijne – powiedział Martin. – Ale nie obilo mi się o uszy nic o masowych zmartwychwstaniach.

– Nic dziwnego – pokiwał głową Klaus. – Zazwyczaj wyjaśnia się to, jak się pan pewnie domyślił, niewystarczającą wiarą umarłych. Ale obiecane jest natychmiastowe wskrzeszenie cielesne, zaś geddarowie twierdzą, że takie wypadki miały miejsce i to niejednokrotnie.

Martinowi zrobiło się słabo.

– Dziewczyna może przyjść do świątyni i poprosić, żeby złożono ją w ofierze w imię TajGeddara – wymamrotał – na pewno już na to wpadła...

– A potem okaże się, że jej wiara była niewystarczająca – uśmiechnął się Klaus. – Właśnie tak się to zwykle dzieje.

– Jest jeszcze rytuał u chri... – powiedziała Elza, krzywiąc się.

– I co, czy po ostatnim rytuale kamień zaczął się unosić? – parsknął sarkastycznie Klaus. – A może jeszcze tańce z ogniem sheali?... Nie. Jeśli dziewczyna naprawdę chce przeprowadzić pokazowy eksperyment, to tylko na geddarach. Rezultat negatywny niczego nie da, ale pozytywny... – uśmiechnął się wieloznacznie, ale od razu sposepniał i pogrążył się w zadumie.

– Pójdę już – powiedział Martin, wstając. – Dziękuję za poczęstunek...

– Jest pan pewien, że musi pan tam iść? – zapytał nieoczekiwanie Klaus.

– Sądzi pan, że to niebezpieczne?

– Nie wydaje mi się, żeby istniało zagrożenie fizyczne – wyjaśnił Klaus. – Ale w planie duchowym...

– W takim razie przyjmijmy, że właśnie próbuję uniknąć zagłady duchowej – rzekł Martin.

W połowie drogi do wejścia do Doliny Boga, Martin pożałował, że nie zostawił u europejskich szpiegów plecaka i karabinu. I tak niełatwy bieg utrudniało dodatkowo rozrzedzone powietrze.

Do tęczowego łuku Martin dobiegł spocony i zdyszany, przeklinając cygara, fajki oraz obzarstwo we wszystkich jego przejawach. Poza tym czuł, że przez pogawędkę przy herbacie zapomniał o zrobieniu jednej bardzo ważnej rzeczy i teraz pojawiło się ryzyko złamania miejscowych zwyczajów. Martin tak się spieszył, że nie obejrzał porządnie łuku, dostrzegł tylko, że „tęcza” została zbudowana z jakichś materiałów syntetycznych i zawiera nie siedem kolorowych pasów, ale co najmniej trzydzieści.

Kilku dio-dao wyszło z kopuły i stało teraz przed łukiem, czekając na Martina.

– Nie wolno wchodzić z bronią – powiedział jeden z Obcych, przyglądając się badawczo karabinowi w futerale.

Martin w milczeniu zrzucił na ziemię plecak, karabin i wysypał z kieszeni wszystko, włączając szwajcarski scyzoryk.

– Teraz jesteś czysty i możesz wejść – powiedział ten sam dio-dao.

Martin pokręcił głową i zapytał, czując się jak bohater świńskiego dowcipu i doskonale wiedząc, że nie ma innego wyjścia:

– Czy w waszej kopule jest toaleta?

Po raz pierwszy w życiu Martin miał okazję wywołać tak masowy wybuch homeryckiego śmiechu. Ci z dio-dao, którzy nie byli ciężarni, skulili się ze śmiechu, pozostali trzęśli się ostrożnie, przytrzymując ciężkie brzuchy. Z niektórych toreb wysunęły się główki maluchów.

– To... to dlatego tak biegleś? – zapytał dio-dao. – Tak?

– Przestrzegam waszych kretyńskich zwyczajów! – wykrzyknął Martin. – Macie tu kibel czy nie?

– Chodźmy – skinął głową dio-dao, nadal chichocząc. – Chodź, pielgrzymie...

Minutę później, już wybiegając z kopuły, Martin wywołał nową falę hysterii. Nawet gdyby szedł niespiesznym krokiem i tak niczego by to nie zmieniło.

– Czy przez łuk przechodziła kobieta mojej rasy? – zapytał. – Dziś, kilka godzin temu?

Kilku dio-dao, którzy zdołali opanować śmiech, pokiwało głowami.

– Dokąd poszła? – na wszelki wypadek zadał pytanie Martin.

– Kobieta pytała o drogę do jelca TajGeddara – usłyszał. Jego podejrzenia sprawdziły się.

Martin podszedł do łuku – i z przerażeniem popatrzył przed siebie.

Dolina miała jakieś dziesięć kilometrów długości i trzy szerokości, a całą tę przestrzeń zapełniały wymyślne budowle i wyszukane konstrukcje. Oczy rozpaczliwie szukały czegoś znajomego w tej obfitości kształtów, najlepiej złotych główek cerkwi albo przynajmniej katolickich katedr, minaretów, budynku pagody czy synagogi. Ale wzrok napotkał tylko okrągłą kamienną budowlę pośrodku sztucznego bagna, ciągnącą się ku niebu iglicę, zwieńczoną srebrzystymi strzałami, koło wyciągu nad kopalnią, gigantyczny posąg, przedstawiający wymachującego kleszczami homara, spiralnie zawinięty akwedukt, po którym leniwie płynęła woda oraz ogień płonący w olbrzymiej misie. Mniejsze budowle nikły w wieczornym zmierzchu.

– Gdzie jest ten jelec? – wykrzyknął Martin.

Dio-dao podszedł do niego i bez słowa pokazał coś po prawej stronie. Martin podążył wzrokiem za jego dłonią i zobaczył wyrastającą ze zbocza góry budowlę, przypominającą

stylizowaną, zbudowaną z kamienia pięść. Pięść ścisnęła coś w rodzaju jelca, z którego zamiast ostrza bił w niebo wąski promień światła.

– Ale dosłownie... – mruknął Martin. – Dziękuję, dio-dao.

I pobiegł, pozwalając strażnikom doliny wyśmiać się do woli.

Dolina Boga ożywała o zmierzchu – tak się złożyło, że wiele ras witało i żegnało słońce mistycznymi rytuałami. Płomień w ogromnej czaszy zaczął zmieniać kolor i pulsować, jakby wspomagany powietrzem z gigantycznych miechów. Zaczęły działać fontanny. Nad ponurą budowlą, pozbawioną drzwi i okien, wzbilo się w niebo i zakołowało stado ptaków, rozmiarem przypominających gołębie, a ubarwieniem – kolibry.

Dźwięki!

Dudnienie niewidocznych bębnow, jęk wtórujących im gongów. Przenikliwy ryk trąb, pisk klawesynu, agonie skrzypiec i brzęk strun. Odległe głosy dzwonów, organów z piskliwą fisharmonią w tle, płacz rozbijanego szkła i huk turbin...

Głosy!

Nieśmiałe i dumne, czułe i groźne, błagalne i stanowcze, błogosławiące i przeklinające, głosy w tysiącach języków, głosy, sprawiające, że żołądek podchodził do gardła, głosy świdrujące czaszkę, budzące niepokój i ból...

Zapachy!

Słodki aromat kadzideł, gorzki dym palonych ziół, ohydny smród płonącej materii organicznej... zapachy odurzające, pobudzające, przenikliwe, uspokajające, znajome i obce człowiekowi... zapachy naturalne, chemiczne, równe, niczym linia, nieuchwytnie i pomieszane jak rozplywająca się w powietrzu plama...

Dio-dao w drzwiach świątyń i kaplic!

Dio-dao w płaszczach i sutannach, narzutkach i garniturach, piórach i skórach, obnażeni i wymalowani, znieruchomiali i wirujący w rytm dziwnego tańca, krocący i podskakujący, przyglądający się Martinowi i wznoszący oczy ku niebu...

Martin biegł między świątyniami po wąskich betonowych drózkach, rozwidlających się i zmieniających kierunek. Jelec TajGeddara był coraz bliżej, ale drogę do niego zagrażał kanał, w którym stali nadzy dio-dao, płucząc dłonie w wodzie. Martin wskoczył do zimnej wody i przeszedł w bród niezbyt głęboki, sięgający mu do piersi kanał. Dio-dao przyglądali mu się bez słowa.

Wspinając się po kamienistym zboczu – w górę nie prowadziły żadne dróżki – Martin podbiegł do wejścia świątyni. Zamiast drzwi była tu zasłona z cienkich, metalowych nici. Za drżącą zasłonką płasały czerwone rozbłyski światła, stamtąd też dobiegały głosy – i to w języku turystycznym!

– Stójcie! – krzyknął Martin, wbiegając do świątyni geddarów. Stójcie!

Wszyscy i tak stali. Dwóch dio-dao w strojach geddarów – niczym ożywiona karykatura, zjadliwa, ale całkiem udana – oraz ludzka kobieta – Irina Połuszkińska, całkiem naga, ze stertą ubrań pod nogami. W rękach dio-dao błyskały miecze geddarów, wytopione z ceramicznych nici. Cały ten obrazek żywo przypominał Martinowi okładkę jakiejś kiepskiej książki fantastycznej, po raz kolejny eksploatującej wątek „pięknej i bestii”.

– Zostawcie ją! – krzyknął znowu Martin i dopiero wtedy zauważył, że Iriny nikt nie trzyma, a dio-dao ujęli miecze nie za rękojeści, lecz za ostrza. Jeśli tylko nie mieli zamiaru obić dziewczyny

rękojeściami, Irinie nic nie groziło.

– Jesteś zdenerwowany i rozszczępiony – powiedział bardzo spokojnie jeden z dio-dao, przenosząc spojrzenie na Martina. Jego miecz wsunął się do pochwy za plecami. – Co cię niepokoi?

– Nie słuchajcie tej dziewczyny, to, co wymyśliła, jest głupie – powiedział szybko Martin, podchodząc do Iriny.

– Martinie, nie prosiłam pana ani o radę, ani o pomoc! – wykrzyknęła gniewnie Irina.

Martin wcale nie był zdumiony, że dziewczyna go poznała. W milczeniu chwycił ją za rękę, odciągnął od dio-dao na kilka kroków i powtórzył:

– Jej propozycja to pomyłka. Nie wolno...

– Skąd wiesz, co zaproponowałam?

– A skąd ty wiesz, kim jestem? – sparował Martin. Dziewczyna przygryzła wargę i Martin ponownie zwrócił się do kapłanów: – Dziewczyna trochę się pospieszyła, TajGeddar nie ożywi jej i...

– Oczywiście, że jej nie ożywi – przytaknął dio-dao w lazurowej szacie. Skinął głową swojemu towarzyszowi ubranemu w strój w kolorze sałaty i ten odszedł na bok. – Nikt nie miał zamiaru jej zabijać. Uspokój się. Policz w myślach do dwunastu, powtarzając po każdej cyfrze „Taj!”

Martin posłuchał rady dio-dao, choć wydawała mu się wyjątkowo głupia.

„Jeden – Taj! Dwa – Taj!”

Do Iriny dopiero teraz dotarło, że stoi nago przed mężczyzną swojej rasy. Szarpnęła się, ale Martin trzymał ją mocno. Wtedy Ira wyprostowała się, niczym młoda fotomodelka, bez skrepowania pozująca do „Playboya”. Dobrze zrobiła – nie ma nic śmieszniejszego niż naga kobieta, próbująca zasłonić się dłońmi.

„Trzy – Taj! Cztery – Taj!” – liczył w myślach Martin, rozglądając się. Z jego mokrego ubrania na mozaikową kamienną podłogę ściekała woda, ale dio-dao uprzejmiem nie zwracali na to uwagi.

Wnętrze świątyni geddarów wydawało się nieduże. Niemal okrągła sala, ściany udrapowane czerwonym aksamitem, żadnego ołtarza czy obrazów, jedynie na kopule niewysokiego sufitu Martin dostrzegł malowidła, ale tak abstrakcyjne, że ciężko było odgadnąć, co właściwie przedstawiają. Jakieś błyski, cienie, niejasne sylwetki...

„Pięć – Taj! Sześć – Taj! Siedem – Taj!”

Martin jeszcze mocniej zacisnął rękę na nadgarstku dziewczyny. Spojrzał jej w oczy. Dziewczyna wytrzymała to spojrzenie i odpowiedziała wzgardliwym machnięciem rzes.

„Osiem – Taj! Spuścić lanie! Dziewięć – Taj! I żadnych słodczy! Dziesięć – Taj! Jedenaście – Taj! Zabrać wszystkie kosmetyki! Dwanaście – Taj!”

– Dlaczego jesteś naga? – zapytał Martin i ze złośliwą przyjemnością zauważył, że dziewczyna zaczerwieniła się.

– Kobieta nie ma prawa przebywać ubrana w świątyni TajGeddara – odpowiedział po cichu dio-dao w lazurowym stroju. – Kobieta w ogóle nie ma prawa nosić odzieży... Rozebrała się na nasze żądanie. Nie martw się, jesteśmy związani obietnicą czystości i nie możemy posiadać twojej kobiety.

– Nie jestem jego kobietą! – krzyknęła Irina, ale dio-dao nie zwrócili uwagi na jej słowa. Nic dziwnego. Wiara geddarów, którą wyznawano w tej świątyni, pozostawiała kobietom niezwykle mało praw.

– Jakiej czystości? – nie wytrzymał Martin. – Posiadacie pamięć przodków – czyżbyście chcieli umrzeć, nie przekazując jej potomkom?

– Służba TajGeddarowi jest niedostępna dla kobiet. Ale my nie jesteśmy kobietami, lecz hermafrodytami – oznajmił dumnie kapłan. – Służba TajGeddarowi zabrania cielesnej bliskości. Ale my zapładniamy sami siebie, a tego Księża TajGeddara nie zakazuje.

Martin wypuścił głośno powietrze. No tak, to było możliwe. I niemal na pewno stanowiło straszliwe zboczenie w moralności dio-dao.

Ale ci szaleńcy służyli Bogu geddarów i zachowywali się jak geddarowie.

– Ira, weź ubranie, wyjdź i poczekaj na mnie na zewnątrz – poprosił Martin.

– Nie! – odpowiedziała ostro Irina.

Martin nie nalegał. Nagle wyobraził sobie, jak wychodzącą z jelca Irinę chwyta grupa na wpół obłąkanych dio-dao i ciągnie, na przykład, do płonącej czaszy.

– Czego od was chciała? – zapytał Martin.

– Ta nieszczęsna – powiedział ze współczuciem dio-dao i dłoń Iriny drgnęła – chciała poddać się próbie TajGeddara. Prosiła, by pozwolono jej umrzeć w jego imię, by mogła zmartwychwstać zgodnie z pradawną obietnicą TajGeddara.

– Ale wy odmówiliście i nie pomogliście jej – odgadł Martin.

– Oczywiście – skinął głową dio-dao. – Obietnica TajGeddara nie rozciąga się na kobiety. Samice nie mogą być kapłanami.

Martin zaczął się śmiać. Irina obrzuciła go nienawistnym wzrokiem, dio-dao czekali w milczeniu, a Martin śmiał się coraz głośniej. A to dopiero polityczna poprawność! A to dopiero równouprawnienie! Zanim zaczniesz eksperymentować z obcą filozofią i religią, upewnij się, że posiadasz wszystkie niezbędne „akcesoria”!

Martin śmiał się do momentu, gdy Irina zaczęła płakać. Cicho, niemal bezgłośnie. Kwalergard, dziewczyna Durowa, z której natrząsał się pułk huzarów...

– Przepraszam, Irino... – uspokoił się wreszcie Martin. – Wybacz. Ale biegłem tu jak idiota... bałem się, że znowu znajdę cię martwą...

– Jesteś głupi! – krzyknęła Irina, patrząc na niego gniewnie i nie przestając płakać. – Ciągłe mi tylko przeszkadzasz!

– Tak? I gdzie niby tak ci przeszkodziłem? – oburzył się Martin. – Na Bibliotece, gdy postrzeliłem twojego zabójcę? Na Aranku, gdzie twój przyjaciel omal mnie nie zabił? A może na Prerii 2, jak skoczyłaś pod kule? Łapiesz się to za jedną tajemnicę, to za drugą, chcesz od pierwszego kopa rozwiązać zagadki, z którymi ludzkość zмага się od wieków! Czego ci brakuje? Jesteś młoda, ładna, mądra, więc czemu zachowujesz się jak idiotka?... Jak nawiedzona feministka...

– Nic nie rozumiesz – wyszeptała Irina, gryząc wargę. – Czasu jest coraz mniej, a wy wszyscy nic nie rozumiecie...

Martin poklepał ją uspokajająco po ramieniu i przyłapał się na tym, że wcale nie ma ochoty uspokajać dziewczyny, tylko...

– Irino, zrobmy tak. Wyjdziemy stąd i wszystko mi opowiesz – poprosił. – Dobrze? Uwierzę ci. Słowo honoru. I pomogę – sama widzisz, że z TajGeddarem nic ci nie wyszło i że ja nie mam z tym nic wspólnego. Dobrze?

Dziewczyna niechętnie kiwnęła głową.

– Świetnie – uśmiechnął się Martin. – Zorientujemy się, ile mamy czasu i co trzeba zrobić.

Jestem pewien, że wszystko się uda.

Odwrócił się do dio-dao i pokłonił:

– Dziękuję wam, kapłani TajGeddara! Dziękuję za pobłażliwość wobec samicy mojej rasy.

– Ona nie miała żadnych szans – powtórzył kapłan. – Cud zmartwychwstania ofiarowywany jest tym, którzy wierzą w TajGeddara, a nie naukowcom-fanatykom, idącym na śmierć, by zaspokoić ciekawość badacza.

– Logiczne – skinął Martin. – Czy wobec tego możemy odejść? Nie obraziłem was swoim nagłym wtargnięciem? Czy kobieta nie uraziła waszych uczuć?

– TajGeddar jest bezlitosny wobec zła, ale pobłażliwy dla błędów – na twarzy dio-dao pojawił się uśmiech. – Idźcie i nie pozwólcie, by wasz umysł rozszczepiał się. Oddzielajcie dobro od zła, ale cztery razy pomyślcie, zanim coś uczynicie.

– Teraz będę myślał dwanaście razy... – uśmiechnął się Martin.

Chyba w końcu los się do niego uśmiechnął...

Skinął Irinie i dziewczyna niezręcznie, nie nachylając się, lecz przykucając, zebrała wszystkie swoje rzeczy. Martin odwrócił się taktownie, ale gdy tylko Irina wyprostowała się, znów mocno chwycił ją za rękę.

– Zegnajcie, czcigodni – powiedział Martin, ruszając w stronę wyjścia. – I wybaczcie, że tak nabłociłem.

I wtedy stało się to, czego Martin już przestał się bać.

Metalowe nici zasłony brzęknęły cicho i wszedł Kadrah. Jego twarz była niemal biała – zdumiewające, że szara skóra może tak poblednąć.

– Wszystko w porządku, Kadrahu, zdążyłem – powiedział szybko Martin.

Geddar tylko skinął głową i przesunął po nagiej dziewczynie obojętnym spojrzeniem. Wszedł na środek sali i powiedział cicho:

– Błuznierstwo.

Martin jęknął w myślach, ale tylko w myślach – nie mógł teraz okazać nawet cienia wątpliwości.

– Kadrahu, oni nie są niczemu winni! – wykrzyknął.

Dio-dao w lazurowym stroju podszedł do geddara i rzekł:

– Cały jesteś gniewem, mój bracie! Pozwól, że oczyszczę twoją duszę.

– Shakrin-khan! – krzyknął Kadrah, jego ręka uniosła się do rękojeści miecza i od razu opadła. Kadrah jakby oklapł, skłęśł. Odwrócił się do Martina i martwym głosem przetłumaczył: – Psie gówno. Wybacz mi, przyjacielu. Mówiłem, że są granice, których przekroczyć nie zdołam. Lepiej będzie, jak wyjdiesz.

– Co cię rozszczepiło, bracie mój? – zapytał łagodnie kapłan.

Kadrah zaśmiał się złowieszczo.

– Co mnie rozszczepiło? Miecz TajGeddara w mojej duszy! Widzę zło, stoję w nim i oczyszczę je!

Łagodny głos dio-dao nappełnił się gniewem.

– Uważaj, nauczycielu! Nie ma tu nierozumnej młodzieży, która czeka na lekcję! To jelec



TajGeddara, cienia od światła!

– Rozumiesz kolory, przeczytałaś Księgę TajGeddara, kupiłaś sobie miecz, ale to nie czyni cię jeszcze geddarem! – wyszczał Kadrah. – Stoisz w pogańskiej kaplicy, drwisz z mojej wiary, depczesz cię TajGeddara!

– Rozumiem język strojów, znam księgę, sam wykonałem swój miecz! – głos dio-dao rozlegał się niczym grom. Obcy wyprostował się, był teraz wyższy od Kadraha. Od razu stało się jasne, że jest ciężarny. – To prawdziwy jelec TajGeddara, stworzony w imię jego i ku chwale jego, i cię TajGeddara spoczywa na moich ramionach! Czy nie powiedział TajGeddara, że tylko geddarom niesie on prawdę? „Wszyscy są niegodni, by mi służyć, i każdy ma prawo mi służyć”!

– „Dająca życie nigdy nie stanie pod cieniem moim, niosąca życie nie wejdzie do jelca miecza mego”! – sparował Kadrah. – Jesteś brzemienna!

– Nie jestem kobietą! – warknął dio-dao. – Jestem kapłanem trzeciej nici miecza, imię moje brzmi Korgan i żyję na chwałę TajGeddara!

– Jesteś gorsza od kobiety, albowiem posiadasz fałszywy rozum! – wrzasnął Kadrah. – Jesteś brzemienna, jesteś hermafrodytą, jelec został zbrukany!

– Odetnij swój gniew, Kadrahu!

– Shiidan! – zawył Kadrah i wyciągnął miecz.

Teraz już Martin jęknął na głos, wziął Irinę pod pachę i przeniósł ją do najodleglejszego kąta świątyni.

Geddara Kadrah i dio-dao o imieniu Korgan stali naprzeciwko siebie. Korgan również wyciągnął miecz. W jego spojrzeniu widać było szczerą wściekłość niesłusznie oskarżonego.

Teraz już ani Kadrah, ani Korgan nie zaprzęтали sobie głowy prowadzeniem rozmowy w języku turystycznym. Zresztą, rozmowa nie trwała długo.

– Ash garrza-hra Taj, anzar Shiidan, Kadrah! – wykrzyknął kapłan i Martin pomyślał, że nazwanie geddara po imieniu było największym błędem dio-dao, ostatnią kroplą, przepełniającą czarę gniewu Kadraha. „Fałszywy” kapłan nie miał prawa rozmawiać z geddarem jak równy z równym...

– Ash Shiidan-khan! – warknął Kadrah.

Irina poruszyła się w objęciach Martina i powiedziała cicho:

– To koniec... skoro nazwał go psem diabła...

Miecze skrzyżowały się.

Być może przyjmujący kapłaństwo geddarów dio-dao rzeczywiście doskonale władał bronią. Być może faktycznie posiadał tajemną sztukę splatania miecza z roztopionych kamiennych nici.

Ale w starciu z profesjonalnym katem geddarów nie miał żadnych szans. Dio-dao w ogóle nie korzystali z broni siecznej – woleli broń obuchową i miotającą, w rodzaju buław czy proc.

Już w trzecim wypadzie Kadrah wybił dio-dao miecz z ręki i zamarł na chwilę, odprowadzając spojrzeniem odlatujący pod ścianę miecz – jakby zdumiony, że nie udało mu się go przeciąć. Bezbronny Korgan nie próbował uciekać – podrzucił dumnie głowę, patrząc prosto w oczy geddara, a jego usta szeptały coś bezdźwięcznie...

Miecze brzęknęły, przecinając powietrze i krew zalała lazurowy strój dio-dao. Martin miał wrażenie, że początkowo Kadrah chciał odciąć kapłanowi głowę, ale w ostatniej chwili rozmyślił się i zadał dwa ciosy w pierś. Widocznie była to bardziej haniebna śmierć, taka, na jaką zasługuje

„pies diabła”.

– Twój jelec został oczyszczony, TajGeddarze! – wykrzyknął Kadrah. Dwoma szybkimi ruchami wytarł miecze o odzież Korgana i schował je do pochew. Na drugiego kapłana, który zastygł z boku, w ogóle nie zwracał uwagi. Może dlatego, że tamten nie był ciężarny.

– Coś ty narobił, Kadrahu... – wyszeptał Martin, wstając. – Coś ty narobił...

Geddar spojrzał na niego surowo:

– Wybacz, przyjacielu. Powinieneś być odejść. Musiałem ukarać zhańbienie jelca.

Podszedł do Martina i Iriny, podał dziewczynie rękę.

– Wstań. Jestem przyjacielem Martina i cieszę się, że mogłem cię uratować.

– Zabójca – wyszeptała Ira. – Okrutny zabójca!

Geddar westchnął i zabrał rękę.

– A jednak wasze samice nie są do końca rozumne – powiedział sucho. – Wyprowadź ją stąd, Martinie, i ubierz. Ja muszę pomodlić się w oczyszczonej świątyni.

Martin nie odpowiedział. Patrzył na ciało Korgana, które przestało być nieruchome.

Z zakrwawionych fałd kapłańskiego stroju wysunęło się dziecko.

Całkiem malutkie – gdyby to był ludzki malec, Martin dałby mu dwa, najwyżej trzy lata.

Za dzieckiem ciągnęła się gruba pępowina, pulsując w szalonym rytmie, drżąc niczym mocno naciągnięta struna. Szeroko otwarte oczy dziecka wpatrywały się nieruchomo w Kadraha.

Jakby wyczuwając to spojrzenie, Kadrah odwrócił się, podniósł ręce do mieczy i opuścił je bezwolnie.

– Świątynia została zhańbiona na zawsze... – wyszeptał.

Na widok dziecka Irina wstała i krzyknęła, zasłaniając twarz rękami. Widok był faktycznie niesympatyczny.

Dziecko uniosło się na silnych, tylnych łapach i w zadumie przeniosło wzrok na pępowinę. Pulsowanie ucichło. Wyglądało to tak, jakby przez niebieskawą linię przeciskano do ciała dziecka duże grudki.

W końcu usta małego dio-dao otworzyły się i słaby głos powiedział:

– Spełniła się obietnica TajGeddara... Zginałem i zostałem wskrzeszony w nowym ciele.

Kapłan w stroju w kolorze sałaty padł na kolana.

– Nie zmartwychwstałeś! – ryknął Kadrah. – Wcisnąłeś swoją pamięć w ciało dziecka! Znowu drwiesz sobie z wiary! – wrzasnął i wyszarpnął miecz z pochwy.

– Nie waż się!

Nim Martin zdążył zareagować, Irina podniosła z podłogi miecz kapłana. Próbował ją złapać, ale ręce ześliznęły się po nagiej skórze i dziewczyna mu się wymknęła, a Martin pośliznął się na zalany krwią kamieniu i upadł. Cios Iriny był nieumiejętny i niezgrabny, jakby machała pałką, i geddar oczywiście poczuł zawisłe nad głową ostrze. Odwrócił się i wyszczerzył zęby. Martin pomyślał, że geddar świetnie nad sobą panuje – Kadrah nie zaatakował Iriny, jedynie zasłonił się mieczami przed jej klingą.

Miecz kapłana ześliznął się po głowniach Kadraha i przeciął jedną z nich przy samej rękojeści. Ostrze weszło geddarowi w ramię, rozcinając ubranie i ciało.

– Mamusiu... – wyszeptała Irina, wypuszczając miecz z rąk.

Klinga sterczała z ramienia geddara, płynęła krew. Geddar patrzył w zadumie na ranę i swój przecięty miecz. Rozłożył dłoń i garda z odłamkiem ostrza upadła na podłogę.

– Ja nie chciałam... – szepnęła Irina.

– Byłaś jedynie mieczem TajGeddara... – powiedział geddar i padł na kolana.

– Wybacz mi! – wykrzyknęła Irina, pochylając się nad Kadrahem. – Wybacz!

Martin widział to, co stało się chwilę potem i nic nie mógł zrobić.

Nogi Iriny pośliznęły się na krwi, dziewczyna zachwiała się i pochyliła nad geddarem...

...a ten nadal trzymał w ręku drugi miecz.

Na plecach Iriny pojawiło się niewielkie zgrubienie, które rosnąc szybko w końcu pękło, wypuszczając na wolność ostrze miecza i trochę krwi. Dziewczyna jęknęła słabo.

– Nie... – jęknął geddar. Resztką sił zdjął Irinę ze swojego miecza, popatrzył błagalnie na Martina i szepnął: – Nie chciałem tego zrobić!

Ślizgając się na krwi i już nie próbując wstać, Martin podczołgał się do nich na kolanach i wziął Irinę z rąk geddara.

– Pomóż mi... – szepnęła dziewczyna.

Martin zacisnął dłonią pulsującą ranę. Na pomoc było już za późno. Klinga geddara przebiła serce.

– Są nas... jeszcze trzy – powiedziała Irina patrząc mu w oczy i jakby odgadując niewypowiedziane myśli. – Przynajmniej... jedna... powinna... klucznicy... nie są w stanie...

– Gdzie one są? Gdzie one są, Ira? – krzyknął Martin.

– Szukaj... na... – wyszeptła dziewczyna. Odkasznęła – jakoś tak cicho, kulturalnie – i zamknęła oczy.

– Zawiodłem cię, przyjacielu – powiedział geddar. On również umierał, krew ciągle chlustała z rany. – Są silniejsi... wykorzystali mnie i mój gniew. Jestem winny.

Mała postać dio-dao podeszła do nich. Nowo narodzony kapłan popatrzył ze smutkiem na dziewczynę i spytał cieniutkim głosem:

– Czy ona potrzebuje obrządku TajGeddara?

Martin pokręcił głową, kołysząc na kolanach nieruchome ciało. Dio-dao odwrócił się do umierającego geddara.

– Serce TajGeddara jest miłosierne... przyjmij swój los, Kadrahu.

Kłęczący Kadrah kołysał się lekko i Martin miał wrażenie, że geddar w przystępie wściekłości rzuci się na nowo narodzonego dio-dao. Ale Kadrah zapytał tylko:

– Wybaczysz mi... Korganie?

– Tak, jak przykazał TajGeddar – zapiszczał dio-dao i położył dłonie na zakrwawionych ramionach geddara.

Martin podniósł Irinę, wstał i poszedł do wyjścia. Słabnący Kadrah kłęczał przed nowo narodzonym dio-dao, który mówił coś w języku geddarów. Czasami Kadrah odpowiadał, czasem kręcił głową. Młody kapłan ukląkł obok Kadraha, wkładając mu w ręce swój miecz.

Brzęknęła metalowa zasłona.

– Chodźmy, Martinie – rozległo się z tyłu. – Oni zajmą się ciałem.

Martin odwrócił się. Za jego plecami stał mały Di-Pi, patrzący z żalem na umierającego Kadraha i martwą Irinę.

– On uwierzył – wymamrotał Martin, wychodząc z jelca. – Uwierzył!

– Zbyt późno wskazano mi drogę... Kapłan zginął i zmartwychwstał? – zapytał ze smutkiem Di-Pi.

Martin kiwnął. W głowie miał mętlik.

– Nie istnieją cuda niepozostawiające wolności wyboru – powiedział cicho Di-Pi. – A jeśli nawet istnieją... nie pochodzą od Boga.

– O czym ty mówisz, Di-Pi? – nie rozumiał Martin.

– Przykazanie o natychmiastowym wskrzeszeniu to dogmat geddarów – odparł Di-Pi. – Nie należy interpretować go zbyt dosłownie w przypadku dio-dao. Takie rzeczy zdarzały się już w naszej historii.

– Zdarzały się? – wykrzyknął Martin. – Więc jesteście w stanie przekazać dziecku całą swoją świadomość? Zeskanować całą osobowość?

Di-Pi skinął głową.

– Nie da się tego zrobić na zawołanie – pokusa byłaby zbyt silna, ale to się zdarzało. Czasami. Jeśli umierający był pewien, że jego życie jest ważniejsze od przedłużenia rodu. Jeśli ma to ogromne znaczenie. Jeśli niemowlę nie jest do końca rozwinięte i nie posiada własnej osobowości. Bardzo dużo tych „jeśli”, Martinie!

– Cudu nie było – wyszeptał Martin, sam nie wiedząc, co czuje – smutek czy ulgę.

– Nie było – potwierdził Di-Pi. – A jednocześnie – był. Kapłan rzeczywiście wierzył w TajGeddara. I zmartwychwstał w nowym ciele... Kadrah go zabił?

Martin skinął głową:

– Brzemienność kapłana... Nie mógł tego znieść. Samice ich gatunku w ogóle nie są rozumne.

– To głupie – powiedział Di-Pi. – Dogmat okazał się silniejszy od rozumu. Dogmat zabił Kadraha i wskrzesił kapłana... – przeniósł spojrzenie na Irinę. – A kto zabił ją?

– Ją zabił przypadek – odparł Martin. – Pośliznęła się i upadła na miecz Kadraha... przedtem raniąc go śmiertelnie.

Di-Pi opuścił głowę.

– Powiniennem wcześniej skontaktować się z teologami... Uprzedzić ciebie, uspokoić geddara... Biedna kobieta...

Martin pokiwał głową. Ręce miał zakrwawione, cały był we krwi, a martwe ciało ciążyło ku ziemi. Czwarta kopia Iriny Połuszkinej zginęła przypadkiem śmiercią nienaturalną. Znowu na jego oczach. I znowu nie mógł nic zrobić.

Ale tym razem został bez jakichkolwiek nici.

Trzy Iriny, podróżujące gdzieś w galaktyce, mogły spokojnie umrzeć w samotności. Martin Dugin nie przyniesie im pecha.

– Mam wrażenie, że to ja jestem przyczyną jej śmierci – rzekł cicho Martin. – Za każdym razem. Nie zdążam jej pomóc. Czegoś... czegoś we mnie brakuje.

Zacisnął dłoń na żetonie Iriny, szarpnął i schował do kieszeni. To już było. Tego więcej nie będzie.

- Nie rób sobie wyrzutów – poprosił Di-Pi. – Staraleś się. Napiszę książkę o tym, jak się starałeś. O tym, że czasem dogmaty są silniejsze od rozumu i wiary.
- Bardziej ucieszyłaby mnie inna książka, Di-Pi – powiedział Martin.
- Mogę wymyślić szczęśliwe zakończenie – odparł Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela. – Ale czy mogę wymyślić inne życie?

Na Stację kluczników Martin przyszedł dwa dni później.

Miał już za sobą oficjalne wyjaśnienie incydentu – bardzo pomogło mu to, że Di-Pi jako jedyne dziecko Urodzonego Jesienią odziedziczył stanowisko starszego śledczego do spraw przestępstw związanych z przybyszami.

Miał też za sobą pogrzeb Iriny Połuszkinej. Pop cerkwi Ikony Ciał Niebieskich odprawił mszę żałobną. Dziewczynę pochowano na małym cmentarzu za świątynią. Na niewysokiej, drewnianej dzwonnicy smętnie biły dzwony. Przybyli kapłani świątyni TajGeddara, przyszedli dio-dao z Soboru Wszystkich Stygmatów, przyszedło kilku protestantów i jeden buddysta w pomarańczowej szacie.

Ojciec Ambrojusz (imię świeckie – Radość Każdego Poranka) wygłosił po nabożeństwie krótkie kazanie. Językiem cerkiewno-słowiańskim posługiwał się biegle, a śmiercią Iriny rzeczywiście bardzo się przejął. Jedno tylko stropiło Martina: sądząc po kilku wypowiedziach ojca Ambrojusza, duchowny miał nadzieję, że szczątki Iriny Połuszkinej nie ulegną rozkładowi i cerkiew Ikony Gwiazd Na Nieboskłonie zyska własną świętą.

Martin szczerze w to wątpił.

Potem udał się do najbliższego miasta, w którym znajdowała się Stacja. Di-Pi odprowadził Martina i tam pożegnali się serdecznie. Ten, Który Doczekał Się Na Przyjaciela nadal był mały, ale teraz już wyraźnie okrzepł i zmężniał.

Martin wiedział, że najprawdopodobniej widzi Di-Pi po raz ostatni i to obudziło w jego duszy smutek podobny do tego, który czuje człowiek, odwiedzając umierającego przyjaciela.

Być może właśnie to uczucie niezasażonej winy i szczerego żalu odgradzało planety dio-dao od innych ras znacznie skuteczniej niż nudne formalności wizowe czy kontrast między najnowszymi technologiami i archaicznością bytu. Martin pomyślał, że tego uczucia nie da się przewyciężyć. Jeśli traktujesz dio-dao jak równych sobie, jak istoty, z którymi można przyjaźnić się i współpracować, nigdy nie pogodzisz się z rytmem ich życia.

Martin wszedł na Stację kluczników, w myślach żegnając się z Di-Pi, tak samo jak z Iriną Połuszkina.

– Smutno tu i samotnie – oznajmił mały, jakby poskręcany klucznik. Nigdy wcześniej Martin nie spotkał klucznika-kaleki, ale przecież zawsze musi być ten pierwszy raz. – Porozmawiaj ze mną, wędrowcze.

– Mam dług – powiedział Martin.

Nie czuł do kluczników ani nienawiści, ani nawet niechęci. Być może dlatego, że nie był przekonany o ich winie. A może dlatego, że złośczenie się na kluczników byłoby równie głupie, jak denerwowanie się z powodu huraganu czy epidemii?

Klucznik skinął głową:

– Wiem. „A dla tego czegoś małego, żalosego, naiwnego, co nie było ani ciałem, ani duszą, ani

talentem – właśnie dla tego, co stanowiło osobowość mężczyzny, sensu nie znalazł. Próbował robić wszystko jednocześnie – kochać, wierzyć, cieszyć się życiem i tworzyć. Ale sensu życia i tak nie znalazł. Mało tego, mężczyzna zrozumiał, że spośród tych nielicznych ludzi, szukających w życiu sensu, nikt nie zdołał go znaleźć”.

Martin przytaknął i mały klucznik, popijający z wysokiej szklanki jakiś płyn, wyglądający jak mleko, uśmiechnął się do niego.

– Mężczyzna musiał przejść jeszcze wiele dróg – podjął opowieść Martin. – Rzucił się na wszystko, co, jak sądził, niosło w sobie sens. Próbował walczyć, starał się budować. Kochał i nienawidził, tworzył i niszczył. I dopiero wtedy, gdy jego życie zaczęło się chylić ku zachodowi, człowiek zrozumiał najważniejszą prawdę. Życie nie ma sensu, bo sens oznacza zniewolenie. Sens to twarde ramy, w których umieszczamy życie. Mówimy – sens życia jest w miłości. Albo – w pieniądzu. Mówimy – sens jest w wierze. Ale to tylko ramy. Życie nie zawiera w sobie sensu – i to jego wyższy sens i wyższa wartość. W życiu nie ma kresu, do którego musisz dojść – i to jest ważniejsze od tysiąca wymyślonych sensów.

– Rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze – skinął głową klucznik. – Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

– To było tylko dokończenie tamtej historii – przypomniał Martin. – Myślałem, że za wejście będę musiał zapłacić jeszcze jedną.

Czy Martinowi się zdawało, czy klucznik naprawdę się uśmiechnął?

– Wielu ludziom nie starcza życia, by opowiedzieć jedną tylko historię. Każdego dnia zaczynają opowieść, nie znając jej zakończenia... Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Czyżby klucznik odpowiedział na pytanie?

– Czy mogłem uratować Kadraha? – zapytał Martin.

Klucznik wpatrywał się w przestrzeń i pił mleko.

– Nie lubię długów – rzekł Martin. – Chcę opowiedzieć o tych, którzy szukali sensu życia. O geddarze, nauczycielu i kacie, który nie umiał zrezygnować ze swojego sensu. O dio-dao, który zmienił sens życia swojego ro...

– Powstrzymaj się – powiedział klucznik i Martin przerwał w pół słowa. – Powstrzymaj się, Martinie. Teraz jeszcze nie umiesz skończyć tej historii. Kontynuuj swą drogę.

Martin wstał i skinął głową. Poczuł, że jest zlany potem. Wydawało mu się, że na chwilę znalazł się o włos od nieznaney i bardzo niebezpiecznej granicy.

– Dziękuję, kluczniku – wyszeptał Martin. – Do zobaczenia.

# Część piąta

# Błękitna



## Prolog

Najbardziej i najpełniej – nie licząc, oczywiście, emigracji – nostalgia przejawia się podczas podróży służbowych. Wyjazdy turystyczne nie pozwalają odczuć tego słodkiego bólu tęsknoty za ojczyzną – zbyt wiele wrażeń, malowniczych ruin, młodego wina i ciepłego morza. Delegacja natomiast, zwłaszcza nieudana, pozwala tej wzniosłej tęsknocie narodzić się, okrzepnąć i rozkwitnąć bujnym kwieciami patriotycznych chabrów i rumianków.

Wyprawa na Marge była dla Martina właśnie taką nieudaną delegacją. Stracił wszystkie ślady i punkty zaczepienia. Pozwolił Irinie umrzeć po raz kolejny. I wciąż nie wiedział, czego był świadkiem – boskiego cudu czy kaprysu obcej fizjologii.

Najwyższa pora powrócić na łono ojczyzny, wciągnąć w płuca swojski zapach, wypić szklanekę wódki, zagryźć garścią świeżej ziemi i przez kilka miesięcy nie ruszać się z Moskwy.

Albo wyjechać do niezbyt odległych ciepłych krajów. Najlepsza byłaby rodzima Jałta, Odessa albo Sewastopol. Martin wyobraził sobie Jałtę – spadające ku morzu uliczki, małą knajpkę przy dolnej stacji kolejki linowej, gdzie tak przyjemnie napić się wina przed spacerem nad chłodne już morze... Martin odetchnął głęboko. Zapomnieć o Irinie. Nawiązać romans – koniecznie z jakąś mężatką, która przyjechała do Jałty na wypoczynek i nie nastawia się na długi związek. Pić dużo mocnego wina. Palić starą fajkę, porządnego Stanwella, ze srebrzystym kółkiem przy cybuchu. Kupować u Kaukazów szaszłyki, jadalne wyłącznie na gorąco. I wykąpać się w morzu – nago, pod rozgwieżdżonym nocnym niebem. Kruszyć z balkonu wyschniętą bułkę żarłocznym mewom. Malowniczym południowym żebrakom rzucać jałmużnę, dzieciom kupować lody. Wieczorami pogapić się trochę w telewizor, a może nawet pójść do kina lub na koncert przebrzmiałych gwiazd muzyki pop.

I po dwóch relaksujących tygodniach wrócić do Moskwy – wyrzucając z głowy obce planety, cudze problemy i cudze lęki.

O tym wszystkim Martin myślał stojąc w długiej kolejce do kontroli paszportowej, już poza ścianami moskiewskiej Stacji. Kłębił się tutaj tłum, przede wszystkim ludzie, ale widać było również kilku Obcych. Wbrew swoim zwyczajom, Martin nie obserwował ich, by uzyskać informację o pozaziemskiej psychice, tylko marzył o Jałcie i przelotnych radościach aksamitnego sezonu... A może październik nie jest już aksamitnym sezonem? Wszystko jedno – tylko Jałta! Ukraińska „horilka” marki Nemiroff, piwo nikołajowskie, ulubiona fajka... Gorące kobiety – zawsze, i kąpiel w chłodnym morzu – raz.

Kontrola paszportowa ciągnęła się w nieskończoność. Martina przetrzymali dwadzieścia minut – zawiesił się komputer i paszport przeniesiono do innego punktu kontrolnego, gdzie również stała spora kolejka. Ale Martin, jak każdy Rosjanin, który choć raz przechodził przez Szeremietiewo-2, był cierpliwy i nie narzekał.

W końcu sprawdzono mu paszport, wbito wizę wjazdową i Martin mógł przejść przez bramkę i rozejrzeć się w poszukiwaniu taksówki.

Okazało się jednak, że nie musi szukać samochodu i targować się. Ojczyzna już na niego czekała – w osobie Jurija Siergiejewicza, ubranego w szary płaszcz i obracającego na palcu klucze od starej wołgi.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Jurij Siergiejewicz z uśmiechem.

– Dokąd pan sobie życzy – odparł Martin, posłusznie wsiadając do samochodu. Plecak

i winchester wrzucił na tylne siedzenie.

– Chociaż raz właściwe podejście do sprawy – pochwalił czekista, ruszając.

Wołga lawirowała przez jakiś czas po zaułkach, w końcu wyjechała przed Świątynią Zbawiciela i ruszyła prosto do centrum.

– No i dlaczego pan nas tak traktuje, Martinie? – zapytał z wyrzutem Jurij Siergiejewicz, przerywając niezręczną ciszę. – My do pana z sercem na dłoni... Tak nam się dobrze rozmawiało, nawet zapewniłem zwierchnictwo, że towarzysz Dugin od razu poinformuje, jak tylko zdarzy się coś ciekawego...

– Nie bardzo miałem o czym informować – powiedział ponuro Martin. – Za kogo mnie pan uważa, za jasnowidza? Pojawił się pewien domysł... kompletnie idiotyczny...

– No, no? – zachęcił go Jurij Siergiejewicz.

– Irina prosiła rodziców w liście, żeby przekazali pozdrowienia psu, i nazwała go Homerem. A pies ma na imię Bart.

– Nie łapię – przyznał się czekista.

– To z takiego filmu – wyjaśnił Martin. – Tam jest cała rodzinka...

Przedstawił Jurijowi Siergiejewiczowi cały łańcuszek domysłów, które zaprowadziły go na planetę Marge.

– Takie buty... – gwizdnął Jurij Siergiejewicz. – Przyznaję, że faktycznie patykiem na wodzie pisane. Ale mimo wszystko powinien pan do mnie zadzwonić...

– Najpierw postanowiłem sprawdzić to na miejscu – powiedział uparcie Martin. – A na miejscu wszystko potoczyło się błyskawicznie. Pewien geddar narzucił mi swoją przyjaźń...

– Oo? – czekista wyraźnie się ożywił. – O tym opowie pan oddzielnie, geddarowie to nasi jedyni sprzymierzeńcy w galaktyce.

– Juriju Siergiejewiczu – nie wytrzymał Martin. – Obiecuję, że wszystko panu opowiem. Nie mam nic do ukrycia, prócz własnej głupoty i pecha. Ale teraz jestem strasznie głodny!

– No i?... – spytał czekista, uśmiechając się niewinnie.

– Wozi pan łebków po godzinach czy w godzinach pracy? – zapytał złośliwie Martin. – Bo jeśli po godzinach, to może podjedziemy do jakiejś restauracji...

– Niestety w czasie pracy – Jurij Siergiejewicz nie wyglądał na urażonego. – A to znaczy, że pojedziemy, Martinie Igoriewiczu, do dużego szarego budynku z poważnymi wujaszkami przy wejściu.

Martin westchnął i postanowił, że nie będzie niepotrzebnie drażnił czekisty. Ale gdy faktycznie zatrzymali się przed dużym, szarym budynkiem naprzeciwko wspaniałej księgarni „Biblioglobus”, do której Martin wstępował co miesiąc po nową porcję czytadeł, znowu się w nim zagotowało. Wyjął portfel i spojrzał pytająco na czekistę.

– Skąd w panu tyle jadu? – westchnął z goryczą Jurij Siergiejewicz. – Czyżby bezpieka represjonowała panu pradziadka? A może dziadek był dysydem i ukrywał książki Sołżenicyna na antresoli? Albo ojciec dostał wyrok z artykułu o szpiegach-ekologach? A pan jest zdania, że państwo może istnieć bez kontrwywiadu? Jeśli musi pan koniecznie wiedzieć, Martinie, to czasem rzeczywiście dorabiam jako taksówkarz. Bo moja pensja jest dziesięć razy mniejsza niż pańskie zarobki... jeśli mówimy o rzeczywistej sumie, a nie o tej, od której płaci pan podatki.

Martinowi zrobiło się wstyd. Schował portfel, zawahał się przez sekundę i powiedział szczerze:

– Przepraszam. Niepotrzebnie się uniosłem. Ale proszę mnie zrozumieć – wychodzę ze Stacji i trafiam prosto w pańskie objęcia. Specjalnie przetrzymali mnie w kolejce?

– Specjalnie – potwierdził Jurij Siergiejewicz. – Ale czy oficjalne wezwanie ucieszyłoby pana bardziej?

Martin zastanowił się i pokręcił głową.

– A jeść pan dostanie, proszę się nie bać – ciągnął z nutką goryczy Jurij Siergiejewicz. – Żeby po wyjściu od nas nie pobiegł pan do pierwszej lepszej organizacji obrony praw człowieka, by opowiedzieć, jak to bezpieka głodzi zatrzymanych.

Czekista nie skłamał. Przeszli obok poważnych wujaszków, którzy w rzeczywistości byli poważnymi cioteczkami, zjechali starą windą na dół, do podziemi Łubianki, i znaleźli się w ponurym korytarzu (a nie, jak spodziewał się Martin, w lochu oprawcy), który zaprowadził ich do całkiem sympatycznej stołówki.

Z wyszczerbionymi brązowymi tacami w rękach stanęli w krótkiej kolejce i ruszyli zwykłą drogą niewymagającego klienta – od mokrych sztućców w plastikowych korytkach poprzez kompot w szklankach aż do odzianej w biały fartuch dziewczyny przy kasie.

Nieoczekiwanie dla samego siebie Martin z perwersyjną przyjemnością zanurzył się w tę dawno zapomnianą atmosferę zakładów zbiorowego żywienia. Jako przystawkę wziął jajko z majonezem (dwie smętne połówki ochlapane łyżką majonezu), śledzia z cebulką (na pewno będą ości) oraz sałatę z sosem winegret – na oko całkiem świeżą i apetyczną. W ramach pierwszego dania Martin skusił się na barszcz ukraiński, do którego dodawano sympatyczne pampuszki, hojnie natarte czosnkiem i posypane zieleniną. W barszczu pływało kilka ładnych kawałków mięsa, a zresztą, Jurij Siergiejewicz wziął barszcz bez wahania, a kto jak kto, ale on na pewno świetnie znał tutejszą kuchnię. Drugie danie nie dawało zbyt wiele do popisu – kotlety mielone, gołąbki (te same kotlety, zawinięte w liść kapusty), nieodzowny gulasz (nie mający nic wspólnego z prawdziwym gulaszem) i antrykot z kapustą.

Martin wybrał antrykot.

Na deser, posłuszny atmosferze zapomnianego święta smaku, wziął keks, szklankę kompotu i galaretkę.

– Lubi pan sobie podjeść – zauważył Jurij Siergiejewicz, który ograniczył się do gołąbków i barszczu. – Policz razem, Ludeczko – poprosił kasjerkę.

Martin już miał zaprotestować i nawet sięgnął do kieszeni po pieniądze, ale widząc, że cały jego obiad kosztował mniej niż dolara, speszył się i pozwolił się zaprosić. W końcu czekista też miał prawo do złośliwości.

Przy jedzeniu nie rozmawiali o międzygwiazdnych wojażach. Martin zjadł barszcz, sałatę, i wymyślając sobie w duchu od obzartuchów, zrezygnował ze śledzia i oddał go czekaście. Antrykot był całkiem znośny, a kompot z suszu schłodzony i dlatego dobry.

Galaretkę Martin jedynie podziobał widelcem, wzdychając:

– Zawsze to samo... jak jestem głodny, oczami zjadłbym wszystko...

Jurij Siergiejewicz uśmiechnął się, sięgnął do sąsiedniego stolika i zręcznie wyjął z serwetnika plik dla oszczędności pociętych na trójkąty serwetek.

– Niechże się pan hamuje, Martinie. Niech pan nie stara się odgryźć więcej, niż może pan przełknąć.

Martin nie zareagował na kolejną złośliwość, postanawiając jednak, że przy następnej już nie odpuści. W końcu to nie trzydziesty siódmy rok!

Po obiedzie Jurij Siergiejewicz zaprowadził go do pokoju, który, jak domyślił się Martin, nie należał do nikogo konkretnego i służył do rozmów z zatrzymanymi. Szkoda, że czekista nie zaprosił go do swojego gabinetu. Takie szczegóły jak biurko, rozmiar portretu prezydenta, obecność bądź też brak dywanu na podłodze, liczba telefonów i widok z okna, mogłyby mu wiele powiedzieć o Juriju Siergiejewiczu. Do tej pory Martinowi nie udało się odgadnąć stanowiska i stopnia czekisty, a przecież do kapitana i do pułkownika – bo właśnie w takich ramach umieścił Jurija Siergiejewicza – należało się różnie odnosić.

– Jestem podpułkownikiem – powiedział czekista, jakby odgadując myśli Martina. – Mam czterdzieści dwa lata i obawiam się, że awans na pułkownika dostanę tuż przed emeryturą. Mam trójkę dzieci, których prawie nie oglądam, żonę, której mój grafik dyżurów obrzydł dawno temu, i starych rodziców w Penzie – których odwiedziłem ostatnio dwa lata temu. Mam również pracę, którą bardzo lubię. Głupią pracę – szukanie w galaktyce artefaktów... cudów. Czegoś, co mogłoby przynieść pożytek ojczyźnie. Jestem patriotą, rozumie pan? Nie łysym nacjonalistą, nie ultralewicowcem i nie ultraprawicowcem. Kocham swój kraj i to wszystko...

Zrobił przerwę i zapytał:

– Śmieszne, co?

Martin poczuł wstyd i opuścił wzrok.

– Klucznicy – ciągnął niespiesznie Jurij Siergiejewicz – obsypują Ziemię nowymi technologiami. Dzięki nim problem głodu praktycznie przestał istnieć. Życie stało się bardziej bezpieczne, dostatnie i – paradoksalnie! – ciekawsze. Rosja miała szczęście – u nas są aż trzy Stacje, więc opłata też jest wystarczająco wysoka... Co zresztą rozumie pan nie gorzej ode mnie.

Martin rozumiał.

– Rzecz w tym, że ja nie wierzę w darmowe ciasteczka – kontynuował Jurij Siergiejewicz. – Nie wierzę i już. Nawet jeśli dla kluczników te ciastka to okruszki z biesiadnego stołu. Oni czegoś chcą, Martinie. Od nas, geddarów, aranków, od humanoidów i niehumanoidów... I prędzej czy później wystawią nam rachunek.

– Ich poczynania mogą być równie dobrze eksperymentem – zauważył Martin. – Albo formą rozrywki. My kupujemy psy i koty, a klucznicy zorganizowali sobie gromadkę średnio rozwiniętych cywilizacji. I to ich bawi.

– Owszem, taka wersja również jest brana od uwagę – przyznał czekista. – Ale każda zabawa może się w końcu znudzić, a wtedy Stacje znikną równie nieoczekiwanie, jak się pojawiły. Przecież nie dostaliśmy żadnych gwarancji, że sieć transportowa będzie istniała wiecznie. Najstarsza ze znanych nam Stacji powstała osiemdziesiąt sześć lat temu. To sekundy... wobec wieczności.

– Sądziłem... – zaczął Martin.

– Osiemdziesiąt sześć lat, cała reszta to kłamstwo – uciął Jurij Siergiejewicz. – A to znaczy, że żyjemy w niestabilnym świecie i jesteśmy całkowicie zależni od kluczników. Czy oni są dobrzy, czy źli? Czy są tacy mądrzy, czy również korzystają z cudzych technologii? Ponieważ nie znamy odpowiedzi, musimy przygotować się na najgorsze.

– I rozpocząć produkcję wody święconej, gdy tylko zapachnie siarką... – zacytował Martin.

– Podziwiam erudycję – Jurij Siergiejewicz skłonił głowę. – Przy okazji, robiliśmy eksperyment, jak na kluczników działa wino mszalne i woda święcona...

Martin wytrzeszczył oczy.

– Żadnej reakcji – westchnął czekista. – Zresztą, to jeszcze żaden dowód. Tak czy inaczej, klucznicy są poza naszym zasięgiem. Poza tym, próbujemy współpracować z innymi rasami i mamy pewne efekty: nieoficjalna umowa handlowa i pakt o współpracy z radą merów Aranku, kontakty z patriarchą geddarów, szereg interesujących artefaktów... Mamy wiele rzeczy, Martinie. Ale sprawa Iriny Połuszkinej jest potencjalnie najbardziej obiecująca.

– Nie uważa pan, że w takim razie za słabo się nią zajmujecie? – zauważył Martin.

Jurij Siergiejewicz odwrócił wzrok.

– Na własne ryzyko? – dopytywał się Martin. – Czy pierś w orderach, a głowa w krzakach?

– Gdyby zależało to ode mnie – zdenerwował się czekista – wszyscy nasi agenci, posiadający prawo do pracy w galaktyce, szukaliby dziewczyny dzień i noc! Myśli pan, że zagarnąłem tę sprawę dla siebie i nikogo do niej nie dopuszczam?

Martin czekał. Ten niepozorny mężczyzna też czekał – i w końcu detektyw poddał się i pokręcił głową.

– Pojawiła się opinia – podjął Jurij Siergiejewicz – i to na samej górze... żeby dać sobie z tym spokój.

– Dlaczego?

– Dossier wpadło w ręce Iriny przez jej ojca. W przeszłości Ernesto Siemionowicz był jednym z naszych najwybitniejszych analityków, teraz od czasu do czasu również pracuje nad pewnymi materiałami. Jeszcze przed zniknięciem Iriny wygłosił swoją opinię... z którą zgodziła się większość zwierzchnictwa.

Martin słuchał uważnie.

– Zdaniem Ernesto Siemionowicza – powiedział ze zmęczeniem Jurij Siergiejewicz – klucznicy nie są prawdziwymi prekursorami... nie są tą hipotetyczną, starożytną rasą, niegdyś kontrolującą galaktykę. Są przypadkowymi spadkobiercami, którzy otrzymali dostęp do bazy danych, albo do gotowych urzędów prawdziwych władców Wszechświata. Prekursorzy odeszli – na razie zostawmy kwestię, dokąd – a klucznicy znaleźli... – Jurij Siergiejewicz zastanowił się przez chwilę – magazyn? Bibliotekę? Centrum naukowe? Memoriał? Flotyllę przysłowiowych czarnych gwiazdolotów, badających planetę po planecie? Może pan wybrać najbardziej odpowiadającą panu wersję. I teraz nie bardzo wiemy, co z tą potęgą zrobić. Może z jednej strony realizują plan prekursorów, a z drugiej szukają zaginionej supercywilizacji. Ostrożnie. Z obawą. Jak człowiek, który zamieszkał w pustym domu i dręczy go strach, że prawdziwy gospodarz kiedyś wróci... Wszystkie zagadki, znane nam i wyliczone w dossier, są efektem nieumiejętnego obchodzenia się kluczników z potężną techniką prekursorów. Nieudane próby zawładnięcia obcą wiedzą, eksperymenty, pomyłki... I jeśli teraz na poważnie zajmiemy się badaniem tych zagadek, klucznicy wystraszą się. Nietrudno wyobrazić sobie następstwa.

– Zniszczenie Ziemi? – zasugerował Martin.

– Najbardziej humanitarny wariant – odłączenie ziemskich Stacji od sieci transportowej. A w efekcie izolacja i chaos. Wyobraża pan sobie, co się stanie, jeśli klucznicy odejdą? Wybuchnie jeszcze większa panika niż w momencie ich przybycia.

– Jak rozumiem, Ernesto Siemionowicz radził nie badać tych... zagadek? – podsumował Martin.

– Właśnie. Nie zabraniać prowadzenia badań, ale nie zajmować się nimi zbyt intensywnie. Jeśli

jakiś niezależny badacz zacznie grzebać w tych tajemnicach, będzie to prywatna sprawa badacza. Jeśli zagadkami zajmie się struktura państwowa – dojdzie do nieszczęścia. Władze zgodziły się z wywodami Połuszkina. Mało tego, analogiczną decyzję podjęły rządy europejskie i amerykański... Francuzi jak zwykle mieli na ten temat własne zdanie, ale kto by ich słuchał. A gdy decyzja została podjęta, Irina Połuszkina przeczytała raport. Oburzyła się. Wyciągnęła jakieś własne wnioski, odwrotne do wniosków ojca. I postanowiła, że sprawiedliwości musi stać się zadość.

– To fakt?

– Jedyne prywatna opinia. Odwiedziłem Ernesto Połuszkina po tej naszej rozmowie... Zagraliśmy w otwarte karty. Gdy pana wynajmował, miał nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Po trzeciej śmierci przestał w to wierzyć. Jego zdaniem Irinie udało się – nie wiadomo tylko jak – przechytrzyć kluczników i skopiować samą siebie. Po tym wydarzeniu klucznicy stali się czujniejsi... i teraz sukcesywnie likwidują kopie dziewczyny. Rzecz jasna potajemnie.

– I jak brzmi decyzja Połuszkina? – zapytał Martin.

– Nie wtrącać się – powiedział krótko Jurij Siergiejewicz.

– Nieźle – mruknął zgryźliwie Martin. – Całkiem nieźle jak na ojca jedynaczki...

– On wierzy, że klucznicy zlikwidują sześć zbędnych dziewcząt, a siódmej pozwolą wrócić. To praktycznie jedyna szansa Iriny.

– Jednej z siedmiu Irin – zauważył Martin.

Jurij Siergiejewicz skinął głową.

– Nie brzmi to zbyt szlachetnie – stwierdził Martin. – Wygląda to jak loteria, a w dodatku nie ma żadnych gwarancji, że jakiś los w ogóle wygra.

– Ma pan lepsze rozwiązanie? – zgasił go Jurij Siergiejewicz. – Jak rozumiem, uczciwie próbował pan chronić dziewczynę. A efekt? Cztery trupy na pańskich rękach.

– Tak sobie właśnie pomyślałem... – wymamrotał Martin – czy nie ma w tym przypadku mojej winy? Za każdym razem Irina ginęła wtedy, gdy ją znalazłem...

Jurij Siergiejewicz najwyraźniej nie miał zamiaru się nad nim litować.

– To możliwe. Klucznicy i tak nie pozwoliliby wrócić na Ziemię wszystkim dziewczętom. Ale może one mogłyby jeszcze żyć – gdyby klucznicy nie zauważyli, że niebezpiecznie zbliżają się do rozwiązania zagadek.

– Trzeba je ostrzec – mruknął Martin. – Jeśli dwie dziewczyny zostaną w koloniach, to może wtedy dadzą im spokój? A jedna wróci...

– To właśnie próbuję zrobić – przytaknął Jurij Siergiejewicz. – To leży w mojej gestii. Wszyscy nasi ludzie otrzymali listy z instrukcjami dla Iriny. A do pana, Martinie, mam jedną prośbę – niech się pan już nie wtrąca. Nawet jeśli znowu odgadnie pan, na jakiej planecie znajduje się dziewczyna. To oficjalna rada.

Martin skinął głową.

– Czy muszę prosić pana o zobowiązanie na piśmie? – zapytał Jurij Siergiejewicz. – Czy już pan wszystko właściwie zrozumiał?

– Zrozumiałem – mruknął Martin – Przepraszam... Naprawdę czuję się parszywie.

Jurij Siergiejewicz pokiwał głową.

– Jedno mnie tylko niepokoi, wie pan? – powiedział Martin. – Wyglądało na to, że Irina właśnie

chce, żebym jej pomógł. Prosiła mnie o to. Powiedziała, że jest ich jeszcze trzy i że chociaż jedna powinna... Nie wiem, co właściwie powinna... Powiedziała, że klucznicy nie są w stanie... nie wiem, czego nie są w stanie. I że ona próbuje ratować galaktykę.

– No i? – zapytał ironicznie czekista.

Martin skinął głową.

– Faktycznie, przepraszam. Ma pan rację, to głupie, dziecięce fantazje. Rozumiem. Ale mówiła tak poważnie...

– Mój siedmioletni syn całkiem poważnie mówi, że będzie prezydentem całej Ziemi – powiedział Jurij Siergiejewicz. – A córka twierdzi... jest trochę starsza od Iriny... że zostanie gwiazdą w Hollywood.

– Ale przecież i tak zacząłby pan szukać Iriny? – zapytał Martin. – Gdyby to od pana zależało – zaryzykowałby pan?

Jurij Siergiejewicz odpowiedział nie od razu.

– Bardzo bym chciał, żeby mój syn został prezydentem całej Ziemi. Ale na razie jest trójkowym uczniem, nie wymawia „r” i czasami moczy się w łóżku. A córka jest absolutnie pozbawiona talentu aktorskiego. Pomiędzy naszymi pragnieniami i rzeczywistością rozciąga się wielka przepaść, Martinie, i świetnie pan o tym wie.

– Niech mi pan wypisze przepustkę – poprosił Martin. – Już wszystko zrozumiałem.

– Mam nadzieję... gorąco wierzę, że dobrze mnie pan rozumiał – czekista spojrział Martinowi w oczy i dodał: – Jeśli jeszcze raz wyruszy pan na poszukiwanie Iriny, zostanie pan aresztowany.

– Zrozumiałem. Proszę mi powiedzieć, skąd pan wie, co się wydarzyło na planecie dio-dao?

– Europejczycy donieśli – odparł ponuro czekista. – Cholerni sprzymierzeńcy... Przy okazji uznali pana za naszego agenta i byli oburzeni, że nie powiadomiono ich o operacji.

– Już nie będę – powiedział Martin z miną winowajcy.

Jak powinien czuć się człowiek na wieść, że z jego winy zginęły cztery niewinne dziewczęta?

Martin nie wiedział. Może dlatego, że udało mu się przekroczyć tę straszną granicę, którą – na szczęście – przekraczają nieliczni: strzelał, żeby zabić, i zabijał. Czym w porównaniu z prawdziwym zabójstwem jest szereg zbiegów okoliczności, doprowadzających do kolejnej śmierci kolejnej Iriny Połuszkinej? I czy w ogóle jest tu miejsce na poczucie winy? Być może Martina zrozumiałby kierowca karetki, który potrącił przechodnia, wioząc chorego do szpitala. Ale wśród jego znajomych nie było kierowców z tak bolesnymi doświadczeniami. Była jedynie sympatyczna dziewczyna, która miała strasznego pecha do staruszek. Nieszczęsne babcie wpadały pod jej samochód regularnie co pół roku – ale na szczęście kończyło się na złamaniach kończyn.

Ale do pogromczynie staruszek Martin nie zadzwonił. A im dłużej zastanawiał się nad całą sytuacją, tym większe ogarniało go przygnębienie.

Nie uważał się za winnego.

Po prostu czuł się podle i było mu ciężko na duszy – jeśli założymy jej istnienie.

Można było, oczywiście, pójść do cerkwi i opowiedzieć o swoich smutkach mądrymu duchownemu, takiemu, co to i zgani, i pocieszy... Ale Martin nigdy nie był przesadnie religijny, poza tym potrafił sobie wyobrazić, co usłyszy: „Nie zabiłeś ich? Nie przypuszczałeś, że twoje czyny doprowadzą do śmierci? Więc idź w pokoju i nie grzesz więcej!”

A Martin mimo wszystko chciał poczuć swoją winę. Chciał się pomęczyć, ukorzyć i przeżyć oczyszczenie. Owo dążenie rosyjskiej inteligencji, opiewane przez wielkich pisarzy dziewiętnastego wieku, jest zazwyczaj przyczyną alkoholizmu, chorób serca oraz nastrojów rewolucyjnych u osób z wykształceniem wyższym niż średnie.

Więc po półgodzinnej wędrówce po mieszkaniu, po przeprowadzonej w myślach rozmowie z mądrym kapłanem, kierowcą-zabójcą i Dostojewskim, Martin zdecydowanie podniósł słuchawkę i zadzwonił do Ernesto Połuszki.

„Wielodzienny” ojciec odebrał od razu.

– Mówi Martin – przedstawił się krótko pragnący oczyszczenia męczennik. Rzadkie imiona pozwalają na luksus niepodawania nazwiska – w przeciwieństwie do różnych tam Sieriożów, Andriejów i Wołodiów.

– Był pan na Marge – stwierdził Ernesto Siemionowicz.

– Tak. Czy mógłbym do pana przyjechać?

Po dłuższej ciszy Połuszkin jednak się odezwał:

– Nie winię pana za to, co się stało, Martinie. Rozumiem, że chciał pan jak najlepiej. Ale niech mi się pan teraz nie pokazuje na oczy... dobrze?

Martin wyobraził sobie Połuszki w gniewie i wykrztusił:

– Dobrze, oczywiście... Ale chciałbym opowiedzieć, co stało się na Marge...

– Dzwonił do mnie... pański kurator – rzekł z lekkim zająknięciem Ernesto Siemionowicz. – więc jestem zorientowany w sytuacji. Pan, jak przypuszczam, również. Przyznaję, że popełniłem błąd, zwracając się do pana o pomoc i zatajając część informacji.

Martin w myślach podziękował cichemu podpułkownikowi Jurijowi Siergiejewiczowi i rzekł: – Jestem winien...



– Nie jest pan niczemu winien – uciał Połuszkina. – Pan niech zapomni o tym, co się stało, a ja będę czekał na powrót mojej *jedynej* córki. Zegnam.

Połączenie zostało przerwane.

– Żelazny facet – powiedział Martin do siebie, odkładając słuchawkę. – Żelbetowy. Nerwy jak postronki!

Żeby uspokoić własne, nieco słabsze, Martin poszedł do kuchni i w zadumie zrobił sobie gin z tonikiem. Niezbyt wyszukany drink, za to działa jak środek uspokajający. Najważniejsze, to wziąć dobry tonik z prawdziwą chininą, a nie tę chemiczną truciznę z pobliskiej fabryki oranżady.

Tym razem jednak porcja szlachetnego napoju nie przyniosła spodziewanego ukojenia.

Martin zadzwonił do wujka.

– Przypomniałeś sobie w końcu o staruszku – przywitał go swarliwie wujek. – Gdzie cię diabli noszą? W domu nikogo, komórka wyłączona, jeszcze pomyślę, że się włóczysz po galaktyce!

– Interesy... – powiedział Martin, pospiesznie kierując rozmowę na inny, bezpieczniejszy tor. – Przepraszam, ostatnio jestem strasznie zawalony. Wujku, potrzebuję twojej rady...

Wujek od razu zmienił ton. Bardzo lubił doradzać siostrzeńcowi. – No?

– Sprawa wygląda tak... – zawahał się Martin. – Przeze mnie zginął... pewien człowiek.

– Zwariowałaś? – wykrzyknął wujek po chwili ciężkiego milczenia. – Mówisz o takich rzeczach przez telefon? Mam nadzieję, że nie dzwonisz z komórki?

– Nie, nie martw się... – zaczął Martin.

– Zainstalowałaś w telefonie jakiś mechanizm, co? – złagodniał od razu wujek. – To się chyba nazywa scrambler, tak?

Namiętność wujka do różnych „sprytnych” technologii łączyła się z ogromną naiwnością w tej dziedzinie, o czym Martin doskonale wiedział.

– Wujku...

– Najważniejsza sprawa – pozbyć się ciała – zadysponował wujek. – Możesz załatwić dziesięć litrów skoncentrowanego kwasu azotowego?

– Wujku, przestań! Nikogo nie zabiłem! – wykrzyknął spanikowany Martin. Przez sekundę miał wrażenie, że słyszy ciche pstryknięcie na linii, chociaż wiedział, że na jego nowej elektronicznej ATS urządzenia podsłuchowe włączają się absolutnie bezgłośnie. – Chodzi o coś zupełnie innego. No... jakby ci to powiedzieć... próbowałem pomóc pewnej osobie, żeby nie wplątywała się w dość idiotyczną historię. Ta osoba mnie nie posłuchała i na moich oczach...

– To dlaczego mówisz, że zginęła przez ciebie? – oburzył się wujek.

– No bo... nie mogłem jej uratować.

– Ostatnio we Francji wykoleił się ekspres TJV. W tym przypadku nie czujesz się winny? – zapytał rzeczowo wujek.

– To co innego! – wykrzyknął Martin. – Tutaj byłem obok i nie zdołałem pomóc.

– A miałaś taką możliwość?

Martin zastanowił się i powiedział twardo:

– Raczej nie.

– Więc idź i nie grzesz więcej! – wygłosił werdykt wujek.

Martin pomyślał, że właśnie otrzymał rozgrzeszenie od duchownego-samouka.

– Wujku – dla odmiany Martin spróbował odwołać się do jego emocji – nigdy ci się nie zdarzyło, że ginie człowiek, a ty niby nie jesteś winien, ale czujesz się winny?

– Każdy człowiek, który dożył moich lat, widział całe mnóstwo takich sytuacji – złagodniał wujek. – Ech... Zresztą, co ja ci będę mówił? Tobie na pewno też się zdarzało... W końcu nie jesteś chłopcem...

– Zdarzało – przyznał Martin. – A jednak... Więc co mam zrobić, skoro czuję się podle?

– A ładna ta dziewczyna? – zapytał przenikliwie wujek.

– Aha...

– Znajdziesz taką samą, tylko lepszą – kontynuował proroczo wujek. – Co ty myślisz, że jedna taka we wszechświecie?

– Jeszcze przynajmniej trzy – palnął Martin.

– To już lepiej! To głos nie chłopca, lecz męża – ucieszył się wujek. – Oto moja rada – upij się. Chcesz, to do ciebie podjadę, chociaż nie powinienem się truć... albo zadzwoń do brata. Albo do przyjaciela. A najlepiej – upij się w samotności! Przecież nie masz skłonności samobójczych? Wódka przywieje smutek, wino ci nie pomoże... O, koniak! A jeszcze lepiej gin z tonikiem – smutek stanie się lekki, musujący, z goryczką...

Martin zerknął na pustą szklankę i pokręcił głową. Prorok, który czasem drzemał w wujku, znalazł się dzisiaj w swoim żywiole.

– Dzięki, tak właśnie zrobię – powiedział Martin.

– I wyjedź gdzieś, odpocznij, rozerwij się! – Wujek nie przestawał demonstrować talentu jasnowidza. – Do Odessy, do Jałty... Piwo, kobiety i koniak – oto twoi najlepsi przyjaciele! – po chwili wahania wujek mimo wszystko dodał: – Przynajmniej w tej chwili...

Co może powstrzymać od pijaństwa zdrowego, normalnego mężczyznę, u którego alkohol wzbudza stabilne, pozytywne emocje, który ma sporo pieniędzy i kiepski humor, i który do tego wszystkiego jest kawalerem, a w dodatku właśnie doradził mu, by się upił, krewny (można nawet powiedzieć – nauczyciel).

No właśnie.

I Martin zrozumiał, że nie ma innego wyjścia.

Do całej sprawy podszedł bardzo poważnie. Mimo wzmianki wujka o ginie z tonikiem, wyjął z barku butelkę koniaku – niezbyt wyszukanego, ale całkiem odpowiedniego ormiańskiego „Ani”.

Martin nie lubił francuskich koniaków i nie był snobem, z upodobaniem tokującym o wszelakich „curvoisierach”. Niech sobie zarozumiali Francuzi określają wszystko, co wyprodukowano poza granicami prowincji Cognac pobłażliwym mianem brandy! My i tak wiemy, że prawdziwy koniak jest albo ormiański, albo gruziński. I sir Winston Churchill doskonale o tym wiedział, a komu jak komu, ale jemu trudno zarzucić fałszywy patriotyzm!

Przede wszystkim przygotował zakąskę. Zmiał w młynku do kawy cukier na puder i wysypał na spodeczek. Następnie wrzucił do młynka kilkanaście ziaren kawy i przemiał je na pył, nie nadający się nawet do ekspresu. Wymieszał z cukrem. Teraz pozostawało już tylko pokroić cytrynę na cienkie plasterki i posypać je otrzymaną mieszanką. Tak otrzymywało się wspaniałą zakąskę do koniaku, tzw. nikolaszkę, najważniejszy wkład ostatniego rosyjskiego cara w sztukę kulinarną.

Ale po otwarciu lodówki Martin przeżył głębokie rozczarowanie. Cytryn nie było. Zieleniła

się tam jedynie para samotnych limonek, niezbędnych do tequili, ale za ostrych do koniaku. Martin pokręcił głową i zamknął lodówkę. Wprawdzie nie jest snobem o wysublimowanym smaku, ale porządek musi być!

Narzucił kurtkę – przed wieczorem niebo nad Moskwą poszarzało, zapowiadając albo zimny deszcz, albo przenikliwy jesienny ziąb – wyszedł z mieszkania i pobiegł do małego warzywniaka za rogiem. Kupił trzy duże cytryny z grubą skórą, a przy okazji kilka jabłek i piękne, dojrzałe awokado, które od dawna darzył wielką sympatią. Mężczyzna, w skupieniu wybierający gruszki, odsunął się uprzejmie na bok – widocznie jego zakup wymagał namysłu i czasu.

Martin wrócił do domu, po drodze wrzucając do torby z owocami listy ze skrzynki, żeby je przejrzeć w wolnej chwili.

Umył cytrynę pod kranem i sparzył ją wrzątkiem, pokroił na cienkie plasterki, a następnie posypał kawowo-cukrowym mianem. Niektórzy esteci radzili dodać do tej kwaśno-słodko-gorzkiej harmonii jeszcze słoną nutę – szczyptę soli lub odrobinę kawioru. Ale to już wydawało się Martinowi przesadą.

Przygotowania do pijaństwa można było uznać za zakończone.

Martin usiadł w fotelu przed telewizorem, włączył kanał, specjalizujący się w starych filmach, i przyciszył dźwięk. Na stoliku już stała otwarta butelka koniaku, obok talerzyk z mieszanką kawy i cukru, leżała fajka, popielniczka, zapalniczka i tytoń. Obok spoczywała słuchawka telefonu, żeby nie zrywać się, gdy ktoś zadzwoni. Na ten sam stolik Martin wysypał pocztę, po czym na dno pękatego kieliszka nalał trzydzieści gramów koniaku, zamieszał i wciągnął aromat.

Bukiet zapowiadał przyjemny wieczór przed telewizorem, przypomnienie przeczytanej już książki, wyjętej z półki na chybił trafił, być może napoczęcie jeszcze jednej butelki i mocny, głęboki sen.

Ale na pewno nie ciężkie rozmyślenia o czterech martwych i trzech żyjących dziewczętach!

– Oszukałeś mnie, wujku... – wymruczał Martin. – Owinąłeś mnie sobie wokół małego palca...

Mimo wszystko z przyjemnością wypił koniak i odchrząknął, z niepokojem wczuwając się w posmak.

Nie miał ochoty zapijać koniaku, czyli wszystko w porządku. Co najmniej pięć lat leżakowania...

– No, no – powiedział dobrodusznie, nabijając fajkę. Tytoń nieco wysechł, właściwie należałoby otworzyć nowy, a temu pozwolić zwilgotnieć, ale Martin postanowił się dzisiaj nie czepiać. Zapalniczka wypluła języczek płomienia, zapachniało miodem i wiśniowymi liśćmi. – No dobra...

Martin nalał sobie drugą porcję koniaku i zostawiając go, żeby się trochę ogrzał i pooddychał, zajął się pocztą.

Połowę wyrzucał ledwie zerknąwszy na kopertę – reklama. Adresowana niby odręcznie, zgodnie z obecną modą, ale wprawne oko łatwo odróżni „odręczne pismo” drukarki od długopisu, utrzymanego ręką żywego człowieka. Martin wiedział, czego można się spodziewać po takim liście: pół strony radosnej paplaniny, sprawiającej, że człowiek zaczyna przebierać w myślach wszystkie znajome kobiety, a na zakończenie: „...Przy okazji, niedawno podarowano mi fenomenalną rzecz – minibiosferę, małe terrarium z prawdziwymi żywymi pajęczkami. Wygląda ślicznie, a kosztuje niewiele, i można je nabyć w...”

Przyszło również kilka rachunków, które Martin rozsądnie odłożył na później – żeby sobie nie psuć humoru, dwie widokówki oraz list od znajomych – ileż to rzeczy nabiera się w ciągu niespełna dwóch tygodni!

Był również list, który omal nie powędrował do kosza razem z reklamą.

Zamiast adresu zwrotnego widniało tylko imię.

„Irina”.

Martin poczuł ból w piersiach, trzasnął sobie drugą porcję koniaku, tym razem nie delectując się smakiem, i uważnie przyjrzał się kopercie. Charakter pisma Iriny pamiętał słabo, chociaż przeczytał jej pamiętnik.

Zaś adres... adres został napisany inną ręką. Dziwną ręką. Jakby ktoś kopiował litery i przerysowywał je, a nie pisał.

Sądząc po stemplach, list wysłano wczoraj rano z poczty głównej. Można było pogratulować moskiewskiej poczcie operatywności, godnej stolicy wielkiego mocarstwa.

– Co ty wyprawiasz... – wymruczał Martin. I otworzył kopertę.

Ten charakter pisma już był znajomy.

*Martinie!*

*Przede wszystkim – nie wierz.*

*Powiedzą ci, że to twoja wina. Powiedzą ci, że jestem naiwną poszukiwaczką przygód.*

*Nie wierz!*

*Wszystko układa się nie tak, jak chciałam. Wszystko poszło źle – od chwili, gdy zrobiło się nas siedem. Zbyt późno zrozumiałam, co się dzieje, zachowywałam się jak dziecko, zaczęłam cię podejrzywać, co na Aranku omal nie doprowadziło do tragedii.*

*Ale jeszcze wszystko można naprawić. Nigdy nie jest za późno, żeby uratować wszechświat.*

*Martinie, potrzebuję twojej pomocy. Ryzykujemy bardzo wiele, ale już za późno, by się wycofywać. Potrzebuję chociaż jednej osoby obok siebie. Potrzebne mi rozsądne spojrzenie z boku, a mam wrażenie, że jesteś spokojnym i opanowanym człowiekiem...*

Martin napił się koniaku i siłą woli powstrzymał się przed rzuceniem kieliszkiem w ścianę.

Przyjrzał się uważnie listowi. To nie był papier. Coś bardzo podobnego, cienkiego, białego, na czym można pisać, ale nie papier.

*Sam rozumiesz, Martinie, że to, co się dzieje, jest niesłuszne. Nie mam kogo wezwać na pomoc. Ojciec mi nie wierzy – dla niego ciągle jestem małą dziewczynką. Mogłabym prosić o pomoc przyjaciół, ale to jeszcze dzieci i nie zdołają mi pomóc...*

Martin zaśmiał się cicho. Kobięcy brak konsekwencji zawsze go wzruszał, ale prawdziwe perełki trafiały się naprawdę rzadko.

*Nie wiem, jak mam cię przekonać. Nie mogę powierzyć kartce papieru tego, o czym się dowiedziałam...*

– Powierzyć kartce papieru... – powtórzył z przyjemnością Martin i przebiegł wzrokiem ostatnie linijki.

*Zdaje się, że świetnie rozumiesz moje aluzje – skoro przypomniałeś sobie, że lingwista Homer Hejfec był pierwszym człowiekiem, który odwiedził Fuckyou i nawiązał kontakt z dio-dao. Przybądź więc do tego świata, w którym na ciebie czekam. Zrozumiesz, gdzie. Ten list zostanie przekazany na Ziemię rzadką okazją. Proszę cię, pośpiesz się.*

*Irina*

Jeszcze nigdy Martin nie czuł się takim idiotą.

– Homer Hejfec – powiedział. Zachichotał i znowu nalał sobie koniaku.

Irina przeceniła go. Nieprawdopodobny zbieg okoliczności zaprowadził go na planetę, którą Rosjanie i Anglicy różnie nazywali. Ale cuda się nie powtarzają – ponieważ są cudami.

Martin wyprostował nogi, położył je na stoliku i utkwiał wzrok w telewizorze. Szła „Pycha” – popularny talk show, w którym zwyciężał najbardziej zarozumiały i najbezczelniejszy uczestnik. Gra dopiero się rozpoczęła i trzy pary graczy w najlepsze obrzucały się wyzwiskami i obelgami. Przegrywał ten, który pierwszy zniżył się do niecenzuralnych przekleństw albo rękoczynów... Chociaż, szczerze mówiąc, właśnie to uważano za największy smaczek.

– Cuda się nie zdarzają – powiedział na głos Martin.

Ale nie zdarzają się również tak nieprawdopodobne zbiegi okoliczności!

Ten list od Iriny miał drugie dno, podobnie jak jej notatka do rodziców.

Martinowi nie chciało się wstawać do komputera. Wziął telefon, wszedł do yandexu przez WAP. Wpisał „Homer Hejfec” i zaczął przeglądać pierwsze otwierające się hasła.

Owszem, istniał lingwista o takim imieniu. I odwiedził planetę dio-dao, bez względu na to, jak ją nazwiemy. Ale nie był pierwszy.

Wślawił się w inny sposób – był pierwszym człowiekiem, który zaryzykował i wyruszył na planetę z czerwonej listy – absolutnie nie nadającą się dla człowieka. A właściwie pierwszym człowiekiem, który wrócił z takiej planety i któremu udało się nawiązać kontakt z mieszkańcami.

Planeta nazywała się Bezzar, zaś jej mieszkańcy – bez zbędnych udziwnień – bezzaryjczycy. Coś bardzo niejasnego wypływało z pamięci... Martin jeszcze chwilę błądził po stronach, gubiąc ślady i studiując pobyt Homera Hejfeca na planecie dio-dao, a następnie wyłączył telefon i wstał. Poszedł po Garnela i Czystiakową, otworzył na czerwonych stronach i niemal od razu znalazł Bezzar.

Tu również wspomniano o Hejfecu. Nazywano go „fartownym miłośnikiem przygód i zarozumiałym dyletantem”, co jak na dość oschły ton informatora brzmiało niczym bazarowe wyzwiska. Ale trzeba przyznać, że nawet Garnel i Czystiakowa uznawali zasługi Hejfeca w badaniu Bezzaru.

Przez jakiś czas Martin przyglądał się rysunkowi, przedstawiającemu dorosłego bezzaryjczyka obok człowieka, po czym przyznał rację ulubionym autorom – Hejfec był zarozumiałym idiotą. Sam Martin jeszcze nigdy nie odwiedzał planet z czerwonej listy, na żółte zajrzał tylko dwa razy i wspominał te podróże z dużą niechęcią.

Martin wziął do ręki kopertę i uważnie przyjrzał się adresowi. Wyglądało na to, że litery skopiowano starannie z tekstu drukowanego, przy czym „kopista” nie miał odpowiednich do tego celu oczu i rąk.

Dobrze być bezzaryjczykiem. Dla nich czerwona lista niemal nie istnieje.

– Nie, nie i jeszcze raz nie – powiedział Martin, wstając. Przeciągnął się i pokręcił głową. – Ale koniaczek bardzo mi się przyda...

Puste mieszkanie odpowiedziało ciszą.

W gabinecie Martin wyciągnął z biurka małą, ciężką paczkę, leżącą tam od niepamiętnych czasów i schował ją do lewej kieszeni kurtki. Zaś do prawej, lekceważąc wszystkie prawa, włożył rewolwer i garść pocisków. Paszport i tak zawsze miał przy sobie.

Nie wyłączał światła. Butelkę koniaku zatkał korkiem, ale mieszankę cukru i kawy trzeba było zostawić. Do jednej ręki Martin wziął pustą reklamówkę, do drugiej worek ze śmieciami i wyszedł z domu.

Mężczyzna, który w środku pijatyki pobiegł po jeszcze jedną butelkę i przy okazji postanowił wynieść śmieci, nie powinien budzić najmniejszych podejrzeń potencjalnych obserwatorów.

W nocnym sklepiku pod domem Martin obejrzał uważnie sprzedawany tu koniak, odrzucił całkiem porządny gruziński, poskarżył się na zbyt mały wybór ormiańskiego i wygłosił swoją niepochlebną opinię o francuskim przemyśle alkoholowym. W ten wykład zasluchał się mężczyzna, który właśnie przyszedł po papierosy, ale nie bardzo wiedział, jakie właściwie chce kupić. Niezdecydowany miłośnik papierosów przypominał skrupulatnego amatora gruszek jedynie solidnością i skupieniem.

Wychodząc ze sklepu bez butelki, Martin złapał okazję i kazał się wieźć do „Siódmego kontynentu”, [„Siódmy kontynent” – popularny moskiewski market] ale przed sklepem gwałtownie zmienił plany i zasugerował kierowcy, żeby podjechać na Kropotkińską, gdzie jest „absolutnie wspaniały sklepik z winem”.

Tutaj, w okolicach Stacji, mogli go już zatrzymać. Dlatego Martin nie ciągnął roli pijanego snoba, poszukującego rzadkiego gatunku alkoholu, tylko wpadł do sklepiku, kupił butelkę ahtamaru i poszedł prosto do Stacji, prowadzony przez światło pulsującej latarni, niezbyt zresztą widoczne wśród stołecznej iluminacji. Klucznicy żądali umożliwienia wolnego dostępu do Stacji wszystkim chętnym, ale w pewnej odległości zawsze przechadzali się agenci po cywilnemu, wypatrując w tłumie potencjalnych niegodziwców. Wszystko zależało od tego, czy operacyjni dostali już portret Martina, czy jeszcze nie.

Nie miał zamiaru przedzierać się do Stacji ani ostrzeliwać. W bębunku rewolweru nie było nabojów.

Jurij Siergiejewicz nie zawiódł – Martina nikt nie zatrzymywał. Krzepcy młodzieńcy nie łapali go pod rękę i nie prosili, żeby „udał się z nimi”. Jeśli nawet ci z obserwacji zewnętrznej podnieśli alarm, to powolny mechanizm bezpieczeństwa nie zdążył pójść w ruch.

Martin bez przeszkód minął ogrodzenie i wszedł na Stację.

Pokój był co najmniej skromny, jakby moskiewską Stację projektował osobiście Nikita Chruszczow. Dziesięć metrów kwadratowych, kanapa z beżowym obiciem, na której pólleżał klucznik, stół i krzesło dla podróżnika. Na stole – kilka butelek wina, solone sucharki i popielniczka.

Klucznik uprzejmie czekał. To był grubiotki klucznik, lekko zezujący. Rzadko się takich widywało.

A mimo to Martin odniósł wrażenie, że rozmawia ze starym znajomym.

– Chcę porozmawiać o zaufaniu – zaczął Martin. – Nie o tym, które sprawia, że ludzie otwierają

przed sobą duszę i razem ryzykują życiem... Idą na zwiad albo ruszają w góry na jednej linii. O najzwyczajszym zaufaniu, którego uczysz się od dziecka. Jest taka gra „wierzysz – nie wierzysz”. Dzieci zadają sobie pytania i nie wiadomo, czego właściwie się przy tym uczą – wierzyć czy kłamać. Chyba jednak kłamać. Gdy jesteś dzieckiem, masz rodziców, którym bezwzględnie ufasz. Klócisz się z nimi, spierasz – ale ufasz. Wystarczy jednak, że dorośniesz, a znika nawet to zaufanie. Niektórym ludziom udaje się zachować je na całe życie, ktoś inny zamienia je na zaufanie do ukochanej kobiety, wierność ideałom, zaufanie do Boga albo napisów na etykietkach... Tak czy inaczej, ludzkie życie to nieustający wybór: wierzysz albo nie wierzysz. Znam odpowiedź, wierzysz? Wiem, że ona cię nie kocha, wierzysz? Znam dobrą drogę, wierzysz? Wiem, że to zupełnie bezpieczne, wierzysz? Wiem, że fajnie się zabawimy, wierzysz? Każdemu człowiekowi, z którym się kontaktujemy, wystawiamy oceny z zaufania. Jednemu średnie, ale niemal ze wszystkiego, komuś innemu wysokie, ale jedynie z rachunku tensorowego albo historii włoskiej opery. Niestety, innego wyjścia nie ma. Nikt z ludzi nie posiadał prawdy absolutnej. Dlatego staramy się ufać w miarę, żeby nieusprawiedliwione zaufanie nie wyrządziło nam zbytnej szkody. Cała historia ludzkości to historia malejącej potrzeby zaufania. Osobiste zaufanie zastąpiliśmy prawami i zwyczajami. Zbudowaliśmy państwa, którym być może nie ufamy w szczególności, ale ufamy w ogóle. Usiłujemy reglamentować całe swoje życie. Do każdego wydarzenia powinien być gotowy model zachowania. Żeby tylko nie musieć liczyć na zaufanie... Zbyt często nas oszukiwano. Zbyt często ci, którzy żądali zaufania od wszystkich, zdradzali każdego, kto im zufała. Bawimy się w demokrację i wolne wybory – bo podejrzewamy, że pojedynczy władca natychmiast rozkradnie cały kraj. Podpisujemy kontrakty małżeńskie, dzielimy w sądzie rzeczy i dzieci – ponieważ baliśmy się zufała najbliższym ludziom. Bierzemy pokwitowanie od przyjaciół, pożyczając im pieniądze, podpisujemy papierek za papierkiem, robiąc interesy, wyhodowaliśmy specjalny podgatunek ludzi, którzy nie wierzą nikomu i niczemu. Ubezpieczyliśmy się od potrzeby zaufania, pozostawiając je dzieciom. Zostawiliśmy je w przeszłości – gdy ludzie wierzyli Bogu, naród carowi, żona mężowi, a przyjaciel przyjacielowi...

– Bóg Adamowi, Abel Kainowi, Samson Dalili, Tomasz Jezusowi... – odpowiedział klucznik.  
– Nieufność tkwi w naturze człowieka, Martinie. Nie było złotego wieku, gdy zaufanie nie niosło w sobie ryzyka. Nie było i nie będzie. Protezy praw, adwokaci i policjanci, pokwitowania i umowy – to wasza zapłata za postęp. Czego żałujesz, Martinie? Taka jest natura twojej rasy – i wielu, wielu innych... większości ras galaktyki. Kwestia zaufania to nie tylko kwestia wiedzy, ale również myśli. Ufając, musisz nie tylko przyznać, że ktoś posiada znacznie większą wiedzę niż ty. Musisz uwierzyć, że wasze cele są identyczne! Niegdyś, gdy cele były proste – więcej złota, mięsa, wina i kobiet – naród rzeczywiście wierzył swoim wodzom. Gdy zaczęłaś myśleć o czymś więcej, zaufanie runęło. To wasza zapłata za to, że pragnęliście czegoś więcej. Za utopie i projekty, marzenia i fantazje. Za Boga w duszy, za miłość w sercu, za książki i obrazy, za proroków i męczenników. Żałujesz utraconego zaufania? Tylko najprostszymi prawdom czy pojęciom można zufała bez wahania – mleku matki i złotej monecie, krwi wrogów i ciepłu samic. Gdy człowiek przestaje sięgać do matczynej piersi, gdy wroga nie trzeba zabijać, gdy obalono pozłacanych bożków i wybrano miłość, a nie chuć – człowiek odchodzi od bezspornych prawd. Nie warto tęsknić za ślepa ufnością. Pozostaw ją okrutnym bohaterom dawnych czasów, pozostaw je dzieciom, bawiącym się w twardzieli. Jesteś wystarczająco dorosły, żeby zdecydować, kiedy jest miejsce na zaufanie.

– A jeśli nie starcza siła na decyzję? – zapytał Martin. – Jeśli rozum mówi jedno, a serce coś innego? Jeśli zaufania pragną wszyscy, a uwierzyć można tylko jednej osobie?

Klucznik uśmiechał się.

– Czy to znaczy, że dla mnie jeszcze za wcześnie na decyzję? – dociekał Martin. – I muszę wrócić do prostych prawd, które nigdy nie zawiodą? Do szaszłyków nad morzem, mocnego wina i kobiet, pragnących jedynie rozrywki?

Klucznik nie przestawał się uśmiechać.

– Nie mogę – powiedział Martin. – Chcę czegoś więcej, kluczniku. Znudziła mi się wiara w bezsporne prawdy – są zbyt nudne.

Klucznik skinął głową:

– Rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Martin westchnął i wstał, ale zawahał się:

– Dlaczego chcę wierzyć, że otrzymałem odpowiedź? Dlaczego pragnę zaufać?

Ale klucznicy nie udzielali odpowiedzi.

Martin, choć czasem skłonny był do czynów niespodziewanych, nie lubił głupio ryzykować. Dlatego wpatrując się w ekran komputera, wybrał nie Bezzar, lecz Arank. Na Aranku, tuż obok Stacji, mieścił się sklep turystyczny, w którym zamierały serca wszystkich chłopców, bez względu na wiek. Sklep był przeznaczony dla aranków, ale nikt nie bronił zaopatrywać się w nim ludzom. Pieniądze aranków Martin miał, pamiętał nawet cenę bardzo sympatycznego złocisto-purpurowego skafandra. Skafander był przeznaczony dla miłośników ekstremalnych przygód, wybierających się na wycieczkę na planety z żółtej i czerwonej listy. Zgodnie z zapewnieniami producenta, skafander działał nawet na najbardziej tajemniczych i strasznych planetach, gdzie niebezpieczeństwo groziło nie tylko ze strony zatrutego powietrza czy żarłocznych stworów, lecz również praw fizyki – całkowicie odmiennej od fizyki przestrzeni, do której przywykł człowiek. Martin śmiał się w kułak z legend o planetach, na których liczba Pi równa się cztery i z tych rzekomo strasznych konsekwencji, jakie wynikały ze zmiany tej stałej. Za to nie wątpił w istnienie planety, gdzie wszystko – od gleby do istot żywych – jest nadprzewodnikiem. Były takie planety, na których stała Plancka wyrażona jest inną liczbą, na których prędkość światła w próżni nie jest liczbą stałą, istniały planety, na których nie było ani kwasów, ani zasad i planety, na których działały perpetuum mobile drugiego rodzaju. Generalnie istniało całkiem sporo światów, na które człowiek stanowczo nie powinien się wybierać. W porównaniu z nimi Bezzar wyglądał całkiem znośnie.

Ale unosząc palec nad przyciskiem „enter”, Martin zawahał się. Po raz pierwszy w życiu zaczął się zastanawiać, jaką historię opowie, gdy będzie chciał wrócić.

Nigdy przedtem o tym nie myślał, a teraz poczuł niepewność. Nieuzasadnioną, a jednak nie mniej dręczącą.

Co opowie, wchodząc na Stację Aranku?

Może bajkę o księżniczce i kacie? Nic z tego, opowiadał ją pół roku temu. Zepsuł początek, ale w końcu udało mu się wyjść na prostą...

Historię ptaka, który nie lubił śpiewać? Ale Martin jeszcze sam nie wiedział, jak ją zakończyć.

Opowieść o szkle i dmuchaczu? Legendę o podróży na początek świata? Podanie o pustelniku i kalejdoskopie?

Sam o tym nie wiedząc, Martin właśnie przeżywał kryzys, doskonale znany wszystkim pisarzom i poetom: gdy w głowie wirują dziesiątki historii, a wszystkie wydają się jednakowo niedoskonale i nudne. Być może był to efekt napięcia ostatnich dni, a może wypitego godzinę temu koniaku,



w każdym razie, Martin spanikował.

Poza tym, jeśli bezzaryjczycy nie przyjdą mu z pomocą, najdoskonalszy nawet skafander aranków jedynie przedłuży agonię.

Jakby człowiek nie kombinował, cała kwestia znowu sprowadzała się do sakramentalnego „wierzysz – nie wierzysz?”

– Trzeba będzie uwierzyć – powiedział Martin do siebie i przesunął kursor z Aranku na Bezzar.

W końcu na Stacji nic mu nie groziło.

Nic, prócz samych kluczyków.

Najbardziej zaskoczyła Martina miękka podłoga.

Właściwie spodziewał się czegoś podobnego – przecież tworząc Stację, klucznicy zawsze czerpali natchnienie z miejscowego pejzażu. Ale wyobraźnia Martina rysowała raczej łózka wodne i miękkie dywany niż ciemnoniebieską substancję, pokrywającą podłogę niczym warstwa galarety.

Pod ciężarem Martina substancja sprężynowała i ugiwała się, przesuwając się po niej leniwe fale. Martin podskoczył – substancja wygięła się, tworząc lej, i zaczęła powoli wracać do pierwotnego położenia. Martin przykucnął i zanurzył w niej rękę.

Wrażenie zimnej galarety nie było nieprzyjemne. Substancja nie moczyła skóry, chłodząc ją jak mąka lub talk. Gdyby naciągnąć na dłoń gumową rękawiczkę, wysypaną w środku talkiem, a potem zanurzyć rękę w zimnym kisielu, wrażenie byłoby podobne.

Martin wyprostował się, potrząsnął dłonią, chociaż substancja nie zostawiła żadnych śladów, i ruszył korytarzami Stacji po drżących, błękitnych falach.

Ściany były chropowate, jakby wykonane z dziwnego drewna, po którym przeszła piaszczarka, zostawiając na wierzchu drobne żyłki. Ogromne kule pod sufitem dawały ostre, błękitne światło, różniące się od spektrum słonecznego i nieprzyjemne dla oka. W powietrzu unosił się dziwny zapach, który płynął od drewnianych ścian albo niebieskiej substancji na podłodze.

Wszystko tu było nie po ludzku.

Wszystko tu było nie dla ludzi.

Brakowało również werandy, tradycyjnie występującej na humanoidalnych planetach, na której klucznicy witali i żegnali podróżników. Zamiast niej Martin spostrzegł ogromną pochylnię, spadającą na powierzchnię Bezzaru – bezkresnego morza niebieskiej substancji.

Stacja przypominała ogromny owoc, pływający na powierzchni sprężystego, niebieskiego kisielu. Pochylnia, również wykonana z materiału drewnopodobnego, została umocowana przed wejściem do Stacji. W miejscu, w którym pochylnia opierała się o błękitny kiesel, tworzył się rów.

Całą powierzchnię planety, aż po horyzont, pokrywała substancja, w promieniach błękitnego słońca bardzo jasna, niemal przezroczysta. Dziesięć metrów w dół, pod powierzchnią substancji zaczynał się inny świat. Na kamienistym dnie rosły rozłożyste drzewa z ogromnymi, czarnymi liśćmi, powoli sunęły cienie jakichś żywych istot. W kilku miejscach błękitny kiesel przecinały promienie sztucznego światła, wydzielanego przez słabo widoczne obiekty na dnie.

Martin wszedł na pochylnię i rozejrzał się. Dwóch kluczników, siedzących przy stole o dziwnym, wielograniastym kształcie, spoglądało na niego z ciekawością.

– Ten świat jest niebezpieczny dla ludzi – powiedział jeden z kluczników. – Gdy twoje ciało zacznie żyć według praw Bezzaru, umrzesz.

– Twój organizm nie zdoła przeżyć przy podwyższonej sile napięcia powierzchniowego – dodał drugi.

– Dziękuję, wiem o tym – rzekł Martin.

Rzeczywiście wiedział, jakie niebezpieczeństwa czyhają na człowieka na planecie bezzaryjczyków. Miejscowym powietrzem mógł oddychać najwyżej dobę. Jeść i pić nie mógł zupełnie nic. Wprawdzie substancja pod nogami była najzwyczajszą wodą – ale wodą o potwornej sile napięcia powierzchniowego. Planeta była kamienną kulą, równomiernie pokrytą cienką warstwą

wody i całe życie toczyło się tu albo na dnie, albo na powierzchni sprężystej, cienkiej warstwy. Co właściwie doprowadziło do zmiany napięcia powierzchniowego Bezzaru, nie wiadomo, chociaż uczeni skłaniali się do opinii o jakimś czynniku chemicznym, działającym dosłownie w ilościach śladowych. Gdy organizm Martina wchłonie wystarczającą ilość tego czynnika (bądź też zostanie poddany działaniu nieznanego promieniowania – według innej hipotezy) woda w jego ciele również ulegnie zmianie.

Ze wszystkimi wynikającymi z tego faktu konsekwencjami.

A jednak Irina Połuszkińska numer pięć przebywała na tej planecie od ponad tygodnia – jeśli oczywiście prawidłowo odczytał jej aluzję.

Martin podszedł do brzegu pochylni, dotknął substancji czubkiem buta. Stopę odbiło. Gdyby kopnięcie było wystarczająco silne... albo gdyby wziął rozbieg na pochylni i zanurkował głową w dół, wierzchnia warstwa substancji pęknie i wpuści go do „przydennego” świata.

Interesująca metoda samobójstwa.

Nie uciekając się do takich ostateczności, Martin mógł wyruszyć w pieszą wędrówkę po Bezzarze. Śmiertelnie nudna przechadzka po powierzchni bezkresnego oceanu... pod sunącym po niebie słońcem, czasem w samotności, czasem w towarzystwie zwierząt, które wynurzałyby się na powierzchnię sprężystej wody...

Aż w końcu krew w jego ciele zmieni wskaźnik napięcia powierzchniowego i on umrze.

– Ehehej! – krzyknął Martin, wznosząc ręce do czystego nieba. Nie było tu – i nie mogło być – chmur. – Irina!

Klucznicy za jego plecami z zainteresowaniem czekali na rozwój wydarzeń.

Martin też czekał – sam nie wiedząc, na co. Z każdą chwilą rosło w nim podejrzenie, że rebus rozwiązał nieprawidłowo, a Ira Połuszkińska wcale nie wzywała go na Bezzar.

– Hej! – krzyknął jeszcze raz Martin do jasnoniebieskiego nieba, błękitnej Stacji i ciemnych sylwetek na dnie. Odsunął się od krawędzi pochylni, zdjął i rzucił na deski pochylni kurtkę. Usiadł po turecku i zaczął czekać.

Było gorąco i chciało mu się pić, za to nie chciało się myśleć o tym, jakie powitanie zgotuje mu po powrocie na Ziemię podpułkownik Jurij Siergiejewicz wraz z kolegami.

Martin pomyślał o czekiciście i oblizał wyschnięte wargi. Słońce, które przez tę godzinę niemal nie przesunęło się na niebie, paliło go w głowę.

I w końcu coś się zmieniło. Lekka, ledwie uchwytana wibracja przeszła po sprężystej powierzchni wody. Pochylnia zaczęła delikatnie drżeć.

Martin wstał, prostując zdrętwiałe nogi i spróbował przyjąć wygląd spokojnego, pewnego siebie człowieka, któremu niestraszne żadne galaktyczne niebezpieczeństwa.

Kilkanaście metrów od krawędzi pochylni wynurzył się przezroczysty, szklany pęcherz wielkości mikrobusu. Powierzchnia pęcherza niczym nie różniła się od wody i wyglądało to tak, jakby z dna unosiła się gigantyczna, wypełniona przezroczystym gazem kula.

Ale w pęcherzu widać było dwie postacie – w tym jedną humanoidalną.

Martin poczekał, aż sunący po powierzchni puchel zbliży się do pochylni i otworzy, przemieniając się w półprzezroczysty niebieski talerzyk – i pomachał Irinie Połuszkińskiej, stojącej obok dwumetrowego bezzaryjczyka.

Przezroczyste ciało Obcego nie miało tego delikatnego, błękitnego odcienia, właściwego

substancji. Bezzaryjczyk wyglądał po prostu jak wielka żywa kropla wody, a organelle w jego płynnym ciele nie posiadały połączeń.

Bezzaryjczycy byli amebami. Jediną istniejącą jednokomórkową rozumną formą życia.

– Pokój wam! – zawołał Martin, nie odrywając spojrzenia od bezzaryjczyka. W jego duszy rósł strach, pozbawiony wszelkich przesłanek i podstaw... Dziki strach zmieszany z obrzydzeniem.

Przezroczysty bukłak poruszył się i popłynął do przodu, nie zmieniając przy tym swojego umownie pionowego położenia. Czarne receptory wzroku skupiły się na zwróconej ku Martinowi powierzchni ciała. Pomiedzy nimi pojawił się ciemny dysk membrany-rezonatora i Obcy powiedział:

– Pokój i tobie, wielokomórkowy. Bul, bul, bul. Pokój tobie, zniewolona kolonio moich nierozumnych współbraci. Bul!

Głos był łagodny, śpiewny i wilgotny.

Ameba wyplusnęła w stronę Martina nibynóżkę... a może należałoby powiedzieć – nibyrączkę? Martin zacisnął zęby, wyciągnął rękę i dotknął ameby.

Wrażenie niczym nie różniło się od dotyku substancji. Zimne muśnięcie pyłu.

– Pokój tobie, mój jednokomórkowy bracie – odpowiedział Martin, dostosowując się do tonu bezzaryjczyka. Zerknął na Irinę – czy ona naprawdę żyje?

Dziewczyna nie miała zamiaru umierać – przynajmniej na razie. Patrzyła na Martina i uśmiechała się.

– Czy nie ciemniejesz komórek, tworzących twój organizm? – ciągnęła ameba. – Bul, towarzyszu? Czy nie zażywasz trujących środków chemicznych, niszczących ameby? Bul, bul?

– John Buli jest twoim towarzyszem, a nie ja! – nie wytrzymał Martin. – Po co ten cały spektakl?

Ameba zatrzęsała się lekko, membrana wydała kaszlący śmiech. W końcu bezzaryjczyk wyjaśnił:

– Zazwyczaj to działa. Ludzie strasznie się denerwują, rozmawiając z rozumną komórką.

– Czytałem o waszym poczuciu humoru – mruknął Martin. – Owszem, odczuwam pewien dyskomfort – to mój pierwszy kontakt z jednokomórkowcem.

– Czy nie nadajesz określeniu „jednokomórkowiec” obraźliwego znaczenia? – zaniepokoiła się ameba.

– Nie, to zwykły termin biologiczny.

– Wobec tego wejdź do kropli transportowej – zaproponowała ameba. – Twój towarzysz od dawna czeka na ciebie.

Martin popatrzył na „towarzysza”. Dziewczyna wyglądała bardzo kusząco... już dawno Martin nie spotykał takich atrakcyjnych „towarzyszy”. Irina miała na sobie te same szorty i szarą podkoszulkę, co na Bibliotece. Bose nogi i błękitna wstążka na włosach przydawały „towarzyszowi” skromnego, wiejskiego seksapilu.

No tak, trudno spodziewać się po amebach rozróżniania płci. Poza tym, to nie była najlepsza pora na zachwycanie się urodą dziewczyny.

– Cześć, Irina! – powiedział, wchodząc na „spodek”. W porównaniu z substancją kropla transportowa była bardziej zwarta i wyraźnie ciepleja.

– Cześć, Martinie – odpowiedziała Irina spokojnie, po czym nieoczekiwanie zaszlochała cicho, rzucając mu się na szyję. To było tak zaskakujące, że Martin zupełnie się stropił – zaczął niezręcznie gładzić dziewczynę po ramionach, mamrotać jakieś głupstwa, a nawet wstydliwie zerkać na

bezzaryjczyka.

Ameba wyglądała się – Martin nie znalazł innego określenia. Bezzaryjczyk płasał przed klucznikami, wytwarzając nogi, ręce i ogon, pokrywając się przezroczystymi łuskami i sierścią, tak że przez moment wyglądał jak szklana kopia klucznika. Ameba wydawała ciche, kwaczące dźwięki i niemalże składała nibyrażki w obraźliwym geście. Spostrzegłszy spojrzenie Martina, bezzaryjczyk przestał błaznować, odpłynął do tyłu, przerzucając membranę głosową na „plecy”, i oznajmił:

– No co? Nie lubię ich i już! Mam prawo?

– Ta... tak – przyznał Martin, ciągle przytulając Irinę.

– Postanowiliście zająć się mitozą? – zapytał bezzaryjczyk, w jednej chwili oceniając sytuację.

– Nie przeszkadzam?

– Pawlik, przestań – poprosiła Irina, gwałtownie odsuwając się od Martina. – Mój przyjaciel pomyśli sobie o tobie nie wiadomo co!

– A co ja? Przecież ja nic – odparł Obcy, przesuwając się na środek spodka. – Tak tylko żartuję...

– Pawlik? – Martin uniósł brwi.

– Przecież musiałam się do niego jakoś zwracać, prawda? – wzruszyła ramionami Irina. – Ma prawdziwe, fonetyczne imię, ale nie sposób go wymówić... Przepraszam za ten wybuch hysterii. Myślałam, że już nie przybędziesz. Po tym, co się stało...

Irina sposepniała przy tych słowach, ale wcale nie była aż tak przygnębiona, jak można się było spodziewać. Martin rozejrzał się.

– Szukasz czegoś? – zainteresowała się Irina.

– Owszem. Tego, co cię zabije – wyjaśnił spokojnie Martin. Wyjął z kieszeni rewolwer i zaczął ładować bębenek.

– Nie sądzę, żeby to było potrzebne – powiedziała Irina, patrząc na broń.

– Kto wie? Na Fuckyou zabił cię mój przyjaciel.

– Geddar? – po twarzy Iriny przesunął się cień bólu. – On... on też umarł?

– Tak – odparł Martin, nie zagłębiając się w szczegóły. – I nie mam ochoty urządzać ci kolejnego pogrzebu.

– Nie zabiję Iriny – odezwał się za jego plecami bezzaryjczyk. – Nie ma potrzeby do mnie strzelać. To boli. Jesteście gotowi?

Martin zrozumiał, czego dotyczy pytanie, i skinął głową.

– Gotowi.

– No to jazda! – krzyknęła wesoło ameba. Brzegi spodka uniosły się, zamykając się nad ich głowami w przezroczystą kulę. W tym samym momencie kropla transportowa zaczęła się zanurzać.

Cywilizacja bezzaryjczyków praktycznie nie używała metalu czy plastiku, co budziło naturalne zainteresowanie – czym właściwie operuje ich technologia, maszynami czy istotami żywymi? W powszechnym użyciu badaczy Bezzaru były terminy „biokomputer”, „biomaszyna” lub „bioplastik”, ale zdaniem Martina te określenia podjeżdżały kiepską fantastyką, w której próbowano połączyć to, czego połączyć nie można. On sam wolał uznać kroplę transportową za dobrze wytresowane zwierzę, zrosnięte z kabiną z żywego ciała, posiadającą żywy mózg. Ameby wolały hodować niż budować swój świat, a jedynymi, nielicznymi zresztą, przykładami budowli były

obiekty kultu.

– Zaskoczył cię mój list? – przerwała milczenie Irina.

Martin uśmiechnął się, z zainteresowaniem przyglądając się podwodnemu światu Bezzaru:

– Niewłaściwe słowo... Co to jest?

Ciemna sylwetka, która przesunęła się obok kropli, rozmiarami dorównywała młodemu wielorybowi.

– Zwierzę? – zasugerowała niepewnie Irina. Chyba kiepsko orientowała się w tutejszej florze i faunie.

– Inkubator – wyjaśnił uprzejmie bezzaryjczyk.

– Kogo się w nim hoduje? – dopytywał się Martin.

– Nie wiem. Być może dzieci. Być może przedmioty codziennego użytku – odparł melancholijnie Pawlik i nie wiadomo, czy mówił poważnie, czy znowu żartował.

– A w jaki sposób on się porusza? – nie ustępował detektyw.

– Przecież inkubator musi się jakoś odżywiać – zdumiał się Pawlik. – Popływa sobie i wróci na miejsce.

W jego słowach było sporo logiki i Martin przerwał indagację. W końcu teraz i tak najbardziej interesowała go Irina Połuszkina. Żywa Irina!

– Mam do ciebie mnóstwo pytań – powiedział Martin. – Sam nic wiem, od czego zacząć...

– Zaraz będziemy na miejscu – przerwała mu Irina. – Porozmawiamy u mnie.

Martin zrozumiał aluzję i postanowił poczekać z rozmową. Ale już po chwili nie wytrzymał i spytał zdziwiony:

– U ciebie?

– Tak, oddali mi do dyspozycji jedno pomieszczenie. Bardzo sympatyczne.

Martin pokręcił głową.

– Jestem pod wrażeniem twojej umiejętności nawiązywania przyjaźni z Obcymi.

Irina odpowiedziała bardzo poważnie:

– To nie jest trudne, jeśli ma się wspólne cele. Prawda, Pawliku?

– Prawda – potwierdził z zadowoleniem bezzaryjczyk.

– Ach tak? I cóż to za wspólne cele? – zapytał Martin.

– Skopać tyłek klucznikom! – oznajmił radośnie Pawlik. – Prawda, Irino?

– Prawda – potwierdziła tym razem dziewczyna.

Martin jęknął w myślach. Wprawdzie darzył sympatią dzielnych herosów, rzucających wyzwania bogom, samotnie wychodzących naprzeciw całej armii i ratujących świat tuż przed obiadem, ale sam nie miał zamiaru brać udziału w takim szaleństwie. I wolał powstrzymać przed nim Irinę.

– W jaki sposób? – Martin postanowił dowiedzieć się czegoś więcej. Kapsuła mknęła spokojnie przez kisielowate cielsko wód i nic nie zapowiadało końca drogi.

Bezzaryjczyk skupił część organelli w zwróconej do Martina części ciała, tworząc z nich groteskową karykaturę twarzy.

– Brr – powiedział Martin, patrząc na łańcuszek mitochondriów, mających przedstawiać zęby. –

Czy to konieczne?

Zadowolony z efektu bezzaryjczyk zachichotał.

– To w celu ułatwienia rozmowy i nawiązania przyjacielskiego kontaktu.

– A co to za niebieskie draństwo kłębi ci się na górze? – zainteresował się Martin, spoglądając na coś w rodzaju płataniny niebieskich nici albo kłąb wodorostów.

– To jest to, czym myślę – oznajmił Pawlik.

– Niebieski labirynt? – Martin przypomniał sobie termin z Garnela i Czystiakowej. To była jedyna struktura w organizmie bezzaryjczyków nie mająca odpowiednika u ziemskich pierwotniaków.

– Tak jest – powiedział zadowolony bezzaryjczyk. – Niebieski labirynt. Mózg, umysł, łepetyna, mózgowica. Nazwij to jak chcesz.

– Słuchaj, a jakim cudem taka struktura w ogóle może myśleć? – nie wytrzymał Martin. – Nasz mózg to miliardy komórek, a ty masz przecież strukturę jednokomórkową.

– Słyszałeś o ruchach Browna? – zapytał Pawlik.

– Tak.

– To właśnie ten proces umożliwia mi myślenie.

– Brr – powtórzył Martin. – To znaczy, że im wyższa temperatura otoczenia, tym szybciej myślisz?

– Do pewnego stopnia – wyjaśnił uprzejmie Pawlik. – Powyżej czterdziestu stopni ciepła struktura zaczyna szwankować. A przy pięćdziesięciu dostają świra.

– Dobrze, dajmy spokój twojej fizjologii – zdecydował Martin. – Jak postanowiliście dokopać klucznikom? I za co? I po co?

– Jak – zobaczymy, adekwatnie do sytuacji, za co – za niechęć do równouprawnienia, po co – w celu zaprowadzenia pokoju w całym Wszechświecie!

Martin przyjrzał się uważnie amebie i doszedł do wniosku, że Pawlik znowu żartuje. Na szczęście, do rozmowy włączyła się Irina.

– Ja ci wyjaśnię – powiedziała, bezceremonialnie odsuwając Obcego. – Wiesz, że Bezzar to pierwsza planeta, na której wylądowali klucznicy?

– Nie – przyznał się Martin, ale natychmiast przypomniał sobie słowa Jurija Siergiejewicza i dodał: – Osiemdziesiąt sześć lat temu?

– Tak... – Irina wydawała się zbита z tropu. – Bezzaryjczycy wyliczyli to bardzo dokładnie. Wszystkie inne planety zostały podłączone do sieci transportowej znacznie później, pół roku, rok, ale później. Jaki wniosek można wyciągnąć z tej informacji?

– Lokalizacja planety kluczników... – wyszeptał Martin.

– Otóż to! – zawołała Irina. – Jeśli ekspansja zaczęła się jednocześnie we wszystkich kierunkach i wszystkie statki kluczników leciały mniej więcej z tą samą prędkością – a mamy podstawy przypuszczać, że tak właśnie było – możemy stworzyć mapę. Gwiazdny globus.

– A ojczyzna kluczników? – Zapytał Martin.

– Gamma Capelli. Trzy i pół roku świetlnego stąd.

– To... to bardzo ważna informacja – przyznał Martin. – Gdybyśmy mieli gwiazdoloty...

– Mamy gwiazdoloty – wtrącił skromnie Pawlik. – A raczej – jeden gwiazdolot.

Martin musiał policzyć do pięciu, zanim udało mu się zapytać spokojnym tonem:

– Ile lat zajmie lot do Gammy? Na jakiej zasadzie działa silnik? To żywa istota czy technika?

– Nie wierzy – stwierdził ze smutkiem Pawlik. – No cóż, twoje wątpliwości są uzasadnione. Na razie nie zdołaliśmy stworzyć pełnowartościowych statków kosmicznych... a jedynie orbitalną drobnicę. Ale przeniknęliśmy na Stację i udało nam się zbadać technikę kluczników. Wierzysz?

Martin przypomniał sobie niebieską substancję podłogi i skinął głową.

Zdaniem Pawlika, statki kluczników poruszały się wyłącznie w zwykłej przestrzeni i z prędkością ośmiu dziesiątych prędkości światła. Być może zainstalowano na nich Wrota, co czyniłoby podróż komfortową i bezpieczną, ale nie rozwijały prędkości nadświatłowej. Bezzaryjczycy nie kopiowali międzygwiazdnych statków – cztery lata to zbyt długo jak na partyzancki zwiad.

– Wykorzystujemy sieć transportową – wyjaśnił Pawlik. – Za każdym razem, gdy ktoś wyrusza na inną planetę, dochodzi do zakrzywienia przestrzeni i dwa punkty zamieniają się miejscami. Wiesz, że razem z tobą w podróż wyrusza cały segment Stacji? Ta sala, w której umieszczono terminal sterowania Wrotami.

– Domyślam się – powiedział Martin. – Kiedyś nawet sprawdziłem. Jedną kulkę papieru położyłem w rogu przy wejściu do sali, a drugą przy terminalu. Pierwsza zniknęła, druga ocalała. To znaczy, że przerzucany jest nie tylko turysta.

– Zgadza się – potwierdził Pawlik. – To zresztą żadna tajemnica. Ale my zdołaliśmy zrozumieć mechanizmy odpowiedzialne za przerzut. Do planety kluczników zostanie przerzucony nie tylko terminal z turystą, ale również inny obiekt, znajdujący się w określonym miejscu. Tym obiektem będzie nasz gwiazdolot, wyprowadzony na określoną orbitę stacjonarną. Start z planety jest niebezpieczny – na miejsce gwiazdolotu zostałby przerzucony kawałek materii z planety kluczników!

– Ale ich ojczyzny nie ma na liście planet sieci – zauważył Martin.

– To też się zgadza – przyznał zadowolony Pawlik. – Przecież klucznicy nie ryzykowaliby niepotrzebnie. Ale to jeszcze nie znaczy, że nie korzystają z Wrót! Oto, co zrobiliśmy: nasi wysłańcy wyruszyli na wszystkie planety, znajdujące się na liście. Za każdym razem rejestrowaliśmy przy tym zachodzące w przestrzeni zmiany i poznaliśmy służbowy kod każdej planety.

– No i? – zachęcił go Martin.

– No i czekaliśmy. I zauważyliśmy, że mniej więcej raz w tygodniu ze Stacji dokonywane jest przejście do jakiegoś świata, innego niż znane nam planety. Przedtem na Stację nikt nie wchodzi, potem nikt nie wychodzi. Założyliśmy więc, że w ten sposób zmienia się personel Stacji – bądź też dostarczane są ładunki z planety kluczników.

– Doskonale – powiedział Martin. – A więc statek zostanie umieszczony na orbicie stacjonarnej, a potem znajdzie się przy Gammie Capelli... Co dalej? Skoro jest to system gwiazdny, z którego klucznicy prowadzą ekspansję na cały Wszechświat, to powinien być zapchany statkami kosmicznymi jak ulica Twerska samochodami! Zostaniemy natychmiast zauważeni!

– Być może. Ale my uważamy, że klucznicy wcale nie są tacy silni. Że są jedynie samozwańczymi spadkobiercami starożytnej rasy...

– Bla, bla, bla... – skrzywił się Martin. – Wspaniała hipoteza, która na Ziemi również zyskała wielu zwolenników. Poprosiłbym jednak o jakieś dowody! Bo coś mi się wydaje, że nie chcąc uznać kluczników za superistoty, jedynie dajemy upust swojej frustracji!

– Mam pewien pośredni dowód – wtrąciła się Irina. – Wiesz, że klucznicy to ich nazwa własna?

– Wiem.



– I w ten właśnie sposób przedstawili się na wszystkich planetach, we wszystkich językach! Powiedz mi, Martinie, kim jest klucznik? Czy jest panem Wrót, do których klucza pilnuje?

– Cholera! – wykrzyknął Martin. Słowa Iriny były tak nieoczekiwane... i tak logiczne.

– To tylko klucznicy – powtórzyła Irina. – Strażnicy kluczy i Wrót. Słudzy! Stacje i Wrota wcale do nich nie należą! I jeśli zdobędziemy pewność...

– To zwrócimy się do sądu galaktycznego – dokończył Martin. Irina stropiła się:

– Do jakiego sądu?

– Galaktycznego. W którym rozpatrywane są sprawy wszystkich cywilizacji. We wszystkich space operach jest taki organ.

– Podoba mi się twoja ironia – powiedziała gromko ameba, kładąc na ramieniu Martina nibyrażkę. – Ale możemy wyrazić swoje oburzenie w inny sposób. Na przykład, upodobnić planetę kluczników do Bezzaru. Z orbity będziemy mogli dyktować klucznikom dowolne warunki!

– Nie będę w tym uczestniczył – rzekł ostro Martin. – Jeśli nawet klucznicy wykorzystują cudze zdobycze technologiczne, to jeszcze nie powód do zagłady. Oni nie wyrządzają nikomu krzywdy, przeciwnie! A nasze ambicje... to tylko nasze ambicje. Życie jest loterią, w której przewidziano tylko jedną główną wygraną.

Ameba zsunęła organelle, tworząc wzrok, zwrócony na Irinę.

– Miałaś rację, towarzyszu. Nadaje się. Nie ma w nim zbędnej agresji.

Irina uśmiechnęła się przepaszająco.

– Wybacz... Byłam pewna, że nie ma w tobie ślepej wrogości do kluczników. Ale bezzaryjczycy nalegali, żeby poddać cię sprawdzianowi.

– Co jeszcze podlega sprawdzianowi? – zapytał ze zmęczeniem Martin. – Tolerancja wobec obcych form życia? Iloraz inteligencji?

– Tolerancją wykazałeś się, znosząc spokojnie moje wygłupy – powiedział Pawlik. – A iloraz twojej inteligencji nie ma tu żadnego znaczenia.

Wyobraźcie sobie morze, rozdzielone władczy gestem ręki proroka albo wybuchem o potwornej sile. Wznoszące się fale, obnażone dno i owalna dolina pośród wodnej gładzi.

A teraz powstrzymajcie fale, które pragną się zamknąć. Niechaj znieruchomieją, niechaj zastygną, niech na wyschniętym dnie, tuż obok nieruchomych ścian wody pojawią się wymyślne drewniane budowle – złamane linie, ostre kąty... Podręcznik geometrii ze snu Salvadora Dali. A między budynkami niechaj niespiesznie podążają – idą albo płyną – amorficzne ameby, większe od człowieka.

Na górze zawieście słońce – jasne, błękitne, większe od ziemskiego. Jego promienie będą przenikać zastygłe fale, wypalać niebieskie, kiselowate morze, w którym pływają, rozsuwając płetwami sprężystą substancję, ogromne, melancholijne bakterie.

– Jak na filmie przyrodniczym – powiedział Martin, odchodząc od okna. – Pierwotne formy życia. Życie i zwyczaje ameb.

– Te pierwotniaki pod wieloma względami przewyższają ludzi – zauważyła Irina.

– Rozumiem... – Martin podszedł do dziewczyny. Byli sami w drewnianej konstrukcji o kształcie piramidy, w małym pokoiku pod samym czubkiem. Skąd u miejscowych, żyjących w świecie płynnych kształtów, wzięło się samo pojęcie kantów? Czyżby pociągały ich ostre, toporne kształty? Widocznie tak. Nic dziwnego, że ten budynek był obiektem kultu. – Irino, to miejscowe drewno?

– Oczywiście.

Martin z powątpiewaniem postukał w deskę. Teraz wiadomo, skąd klucznicy skopiowali wystrój wnętrza Stacji.

– Więc ich drzewa są wielokomórkowcami?

– Tak – skinęła głową Irina. – Rośliny ewoluowały. A organizmy żywe jedynie urosły. Zdumiewające, prawda?

Martin skinął głową. Zresztą, widział wystarczająco dużo dziwnych rzeczy, żeby nie czuć potrzeby zgłębiania osobliwości miejscowej biologii.

– Znacznie bardziej dziwi mnie to, że nadal żyjesz.

– Aż tak szybko poszło? – spytała dziewczyna.

– Tak. Chociaż na Prerii 2 zdążyliśmy chwilę pogawędzić...

– Pamiętam – przerwała mu dziewczyna i sposepniała.

– Jak możesz pamiętać? – zapytał wprost Martin. – Iro... porozmawiajmy otwarcie.

Dziewczyna roześmiała się cichutko. Nie chciała go urazić, po prostu... Martin pomyślał, że jest w niej coś, co posiada nie każda kobieta... nie wiedział nawet, jak nazwać tę cechę... może – niebabskość?

Ale to określenie było nie tylko niezręczne, ale również niedokładne. Gdy mężczyzna mówi ze złością: „te baby!”, wówczas wkłada w te słowa tę samą wrogość, z jaką kobiety mówią „chłopy”, ale odcienie sensu bardzo się różnią. „Babami” są zazwyczaj płaczące histeryczki, natrętne i niepociągające kokietki, zawzięte plotkarki i ograniczone gospodynie domowe... Zaś „chłopa” może charakteryzować namiętność do alkoholu albo słabość do płci przeciwnej, toporność lub nieokrzesanie, albo po prostu źle obcięte paznokcie.

W Irinie była zarówno kokieteria, jak i histeryczne nutki, a także cała gama typowych, kobiecych wad – ale w lekkiej formie. A może chodziło o ich harmonię? Każdy człowiek w mniej więcej równej mierze składa się z dobra i zła, ale zdarzają się piękne wyjątki, gdy słabości nie odpychają, lecz przyciągają. Krótki moment takiej harmonii przechodzą niemal wszystkie nastolatki, by wkrótce ją utracić i nabyć znowu w wieku balzakowskim. Albo nie nabyć nigdy. Ale zdarzają się również szczęśliwe wyjątki, gdy harmonia zalet i wad występuje bez względu na wiek.

Martin pomyślał, że w Irinie podoba mu się właśnie ta trudno osiągalna harmonia.

– Dobrze, porozmawiajmy otwarcie – zgodziła się Irina. – Chcesz wiedzieć, jak to się stało, że zrobiło się nas siedem?

– Tak! – wykrzyknął Martin.

Niebiosa nie rozstąpiły się, drzwi nie stanęły otworem i do pokoju nie wdarł się tłum rozwścieczonych ameb. Irina nie chwyciła się za serce ani nie upadła rażona gromem.

– Wszystko jest bardzo proste – powiedziała dziewczyna. – Shift.

– Słucham?

– Klawisz shift na klawiaturze. Zastanawiałam się, dokąd mam wyruszyć. Chciałam odwiedzić co najmniej sześć planet i zastanawiałam się, którą wybrać jako pierwszą. No i z przyzwyczajenia wcisnęłam shift, żeby zaznaczyć nazwy w ogólnej liście.

– I zaznaczyłaś? – zapytał głupio Martin.

– Tak. A potem wcisnęłam enter. Nie dlatego, że liczyłam na cudowne podzielenie. Myślałam, że zostanę przeniesiona na jedną, wybraną losowo planetę.

– Dziura – powiedział Martin z roztargnieniem. – Dziura w programie. Oto, do czego doprowadziło kluczników korzystanie z ludzkich terminali!

Irina uśmiechnęła się.

– Podziękujmy Microsoftowi! – powiedział z emfazą Martin. – I co, załatali tę dziurę?

– A skąd mam wiedzieć? Pewnie tak.

Martin pomyślał przelotnie, że skopiowanie Iriny ostatecznie skomplikuje spór o metodę pracy Wrót. Czy przenoszą człowieka na inną planetę, czy też tworzą kopię na nowej planecie, niszcząc oryginał? Ze słów Pawlika wynikało, że przenoszą cały pokój, ze znajdującą się w nim istotą rozumną. Ale jeśli Irina została skopiowana siedmiokrotnie...

A może w tym wypadku zwykłe, ludzkie pojęcia nie mają zastosowania? I między przeniesieniem w jeden punkt przestrzeni a przeniesieniem w siedem różnych punktów nie ma zasadniczej różnicy? Martin nie był fizykiem, ale nie sądził, żeby odpowiedź na to pytanie znalazł najgenialniejszy ziemski uczoney. Ludzi i kluczników rozdzielała zbyt głęboka przepaść.

– Ale jak dowiedziałaś się o swoich duplikatach? – wykrzyknął Martin, mimo woli oddając tej Irinie palmę pierwszeństwa.

– Poczułam je – powiedziała Irina i od razu się poprawiła: – Poczuliśmy się. To jest jak... – skrzywiła się z irytacją, poruszyła palcami niczym człowiek, którego proszą, żeby wyjaśnił, co to takiego drobne zmarszczki na wodzie – to...

– Myśl? Sen? Głos? – podpowiedział Martin.

– Wszystko razem i zupełnie co innego. Najpierw wydawało mi się, że tracę rozum – Ira uśmiechnęła się. – Zapewne zrozumiałby mnie schizofrenik... możemy rozmawiać... – zastanowiła się. – Nie, nie rozmawiać... myśleć razem?

– Stale? Teraz nie jesteś tu jedna, lecz są was trzy?

– Teraz jestem jedna. Takie wspólne myślenie zdarza się od czasu do czasu, ale coraz częściej. A gdy dziewczyny umierały... – głos Iriny nie drgnął – przeżywałam to razem z nimi. Przez wszystkie te dni, gdy byłyśmy rozdzielone. Więc w jakimś sensie one żyją. Byłam na Bibliotece, Martinie. I na Prerii 2, i na Aranku, i na Fuckyou. Wiem, że w tym ciele nie opuszczałam Bezzaru, a jednocześnie przeżyłam również ich życia. Aż do samej śmierci.

O nic więcej nie pytając, Martin sięgnął do kieszeni, wyjął butelkę koniaku i napił się.

– Ja też poproszę – szepnęła Irina. Dzielnie przełknęła łyk, stłumiła kaszel i oddała butelkę. Od razu zaróżowiły jej się koniuszki uszu, nie miała doświadczenia z alkoholem.

– Czy przed śmiercią przesuwano ci się przed oczami całe życie? – powiedział Martin.

– Aha – wytchnęła Irina, ciągle nie mogąc złapać oddechu.

– A może my wcale nie żyjemy? – zasugerował Martin. – Nie żyjemy, lecz umieramy, a życie przesuwa nam się przed oczami... I tylko czasem pamięć szepcze – wszystko już było, było, było... leżę teraz na szpitalnym łóżku, albo z kulą w piersi na obcym bagnie... a przede mną wiruje ostatni bloczek reklamowy minionego życia.

– Wypłuj te słowa! – wzdrygnęła się Irina. – Ja nigdzie nie leżę. Jestem na Bezzarze. Chcę popatrzeć na kluczników w ich gawrze. Dokończyć to, co zaczęłam... i czego nie dokończyły dziewczyny. A potem wrócić do domu, spotkać fajnego chłopaka i narodzić mu dzieci, dopóki nie wymyślą prawdziwej nieśmiertelności i nie zabronią rozmnażania się.

– Program minimum? – zapytał Martin.

– Tak! – odpowiedziała wyzywająco Irina.

Martin skinął głową i odparł poważnie:

– To dobry program. Szczególnie spodobał mi się ten fragment o dzieciach... Irino, skoro już rozmawiamy poważnie, powiedz, czemu chcesz drażnić kluczników?

– Już ci wyjaśnialiśmy – powiedziała Irina, najwidoczniej mając na myśli siebie i bezzaryjczyka.

– Prócz podejrzeń, że klucznicy wykorzystują cudze technologie, niewiele usłyszałem.

– Klucznicy zmieniają świat. Zmieniają galaktykę – Irina westchnęła. – Wyobraź sobie coś takiego. Ludzie po raz pierwszy wylądowali na Marsie i znaleźli tam ogromne kosmodromy, zastawione statkami lotów międzygwiazdnych. I na każdym statku po kilka Stacji. Oraz całe mnóstwo unikatowych i potężnych urządzeń. A wszystko tylko czeka, żeby zacząć z tego korzystać... Stworzyć raj na Ziemi, podbić Wszechświat...

– Chcesz się założyć, że zaczęlibyśmy podbój? Dokładnie tak, jak klucznicy. I daj Boże, żeby starczyło nam mądrości i dobroci, by nie wszczynać z nikim wojny, tylko pomagać innym rasom...

– A nie interesuje cię, co się stało z budowniczymi statków i Stacji? Dlaczego sami nie skorzystali ze swoich wynalazków, co powstrzymało ich od ekspansji?

Martin zastanowił się i wzruszył ramionami.

– Epidemia, wojny... Wszystko mogło się zdarzyć.

– Choroby i wojny nie powinny stanowić problemu dla tak potężnej rasy. Rzecz w tym, że oni zrezygnowali z ekspansji, uznając ją za niepotrzebną albo niebezpieczną. A klucznicy...

Martin klasnął w ręce.

– Irino, wybacz, ale to już twój nastoletni maksymalizm! Przybycie kluczników wyszło Ziemi jedynie na dobre. Po prostu jesteś w takim wieku, że buntujesz się przeciwko każdej władzy... przeciwko rządowi, prawu, wierze, przeciwko klucznikom...

Irina prychnęła.

– Dzięki za komplement. Wiesz, czego szukałam na Prerii 2?

– Starożytnych świątyń? – rzucił nonszalancko Martin.

– Zgadza się. Opowiadałam ci?

– Archeolodzy mi wyjaśnili.

Irina westchnęła.

– Nawet z możliwościami kluczników ciężko przeczesać wszystkie systemy gwiazdne. Istnieje teoria... dość uzasadniona... że oni kierują się na sygnały latarni. Kiedyś, pięć lub może sześć tysięcy lat temu, między planetami istniała pierwsza sieć transportowa. Echa tych kontaktów doszły do nas w postaci mitów i podań...

Martin miał ochotę zawyć. Och, ci Sumeryjczycy, Egipcjanie, Fenicjanie i tak dalej! Słynny paleokontakt, freski z postaciami przybyszów z innych planet, tarasy Baalbeku i Atlantydy, piramidy i miasta w dżungli...

Dlaczego ludzie tak bardzo boją się uwierzyć w geniusz swoich przodków? Dlaczego z taką gotowością przypisują wszystkie osiągnięcia tajemniczemu przybyszom?

– Ale przecież starożytne świątynie rzeczywiście istnieją na wielu planetach! – powiedziała szybko Irina, widząc, jak zmienia się twarz Martina. – To fakt! A w tych ruinach są puste miejsca po obiektach, które stosunkowo niedawno uległy zniszczeniu.

– Dobrze, założmy, że istniała jakaś sieć radiolatarni, na które orientowały się statki kluczników – poddał się Martin. – Co z tego?

– To by znaczyło, że Stacje już kiedyś budowano. A potem zostały zniszczone jednocześnie na wszystkich planetach. Temu procesowi towarzyszyły nieprawdopodobne kataklizmy, mieszkańcy planet cofali się w rozwoju... Wspomnienia o kataklizmach występują w historii każdej rozumnej rasy. Czytałeś Biblię?

Martin doskonale wiedział, że cytaty z Biblii można wykorzystać do potwierdzenia dowolnej tezy – że Chrystus był lekarzem z innej planety, leczącym Judejczyków hipnozą, że Mojżesz był jedynym mieszkańcem Atlantydy, który przeżył – więc nic nie powiedział. Wobec rozmówcy, który wykorzystuje w dyskusji podobne argumenty, medycyna jest bezradna...

– Potop – wygłosiła uroczyście Irina, sprawiając, że niechęć Martina do dyskusji na takim poziomie skamieniała na beton. – Po tym, jak aniołowie zaczęli nawiedzać Ziemię i żenić się z ludzkimi kobietami, Bóg rozgniewał się i zniszczył całą cywilizację. To przecież mowa o pierwszej budowie Stacji! Gdy Ziemia po raz pierwszy weszła do galaktycznej sieci transportowej. Wieża Babel...

– To było później! – jęknął Martin z bólem w głosie.

– Widocznie traktuje o zniszczeniu tych resztek cywilizacji, które ocalały po potopie i próbowały odnowić kontakty z innymi rasami.

– Opisane w Biblii historie są alegoriami! – wykrzyknął Martin. – Czy naprawdę wierzysz, że to Bóg przeszkadza w podróżach międzygwiazdnych?

– Dlaczego zaraz Bóg? – Irina również podniosła głos. I skromnie dodała: – Ja w ogóle nie

jestem przekonana, czy on istnieje, a przecież sprawdzałam... Ale najważniejsze jest to, że sieć transportowa została zniszczona, a ludzkość cofnięta do poziomu barbarzyńców! A kto to zrobił – Bóg, budowniczy sieci czy ich wrogowie – to już nieistotne. Chodzi o to, że wszystko może się powtórzyć. I ktoś znacznie silniejszy od kluczników może zadać cios tym wszystkim planetom, które ponownie włączono do sieci...

– Ale... – Martin zawahał się. W słowach Iriny coś było... – Ale w takim razie, jak my możemy zmienić sytuację? Sama powiedziałaś, że klucznicy nie pytali nikogo o pozwolenie. I żadne groźby nie robią na nich wrażenia. Twój jedynokomórkowi przyjaciele nie powinni liczyć na szantaż.

– Nie chcesz dowiedzieć się prawdy? – spytała Irina.

– Ja? – wzburzony Martin pokręcił głową. – Czego jeszcze każesz mi się dowiadywać? Ile pieniędzy mają oligarchowie na swoich kontach, z kim śpią członkowie rządu, kto zabił Kennedyego i kto tak naprawdę wydał rozkaz ataku na WTC? Zapłata za abstrakcyjną ciekawość jest aż nazbyt konkretna!

– Tchórzysz? – zdumiała się Irina.

Martin zachnął się.

Nigdy nie czuł się tchórzem i nigdy nie zrobił nic, co dawałoby powód do wygłaszania podobnych zarzutów. Wprawdzie nie pchał się specjalnie pod kule, nie ryzykował bez potrzeby, ale...

– Po co? – wykrzyknął. – Po co ci ta wiedza, skoro nie możemy nic zmienić?

W spojrzeniu Iriny mignął żal.

– To dlaczego mnie szukałeś?

– Chciałem ci pomóc... uratować cię – Martin zaśmiał się niezręcznie. – Załóżmy, że mi się spodobałaś.

– To wszystko?

– Nie, doskwierała mi abstrakcyjna ciekawość, gdzie jesteś i co robisz!

Irina stropiła się. Dla niej świat był młody i jasny, czyny nie wymagały motywacji, a głupstwa – usprawiedliwień.

– Szkoda – westchnęła. – Przepraszam... pana. Niepotrzebnie ściągnęłam pana na Bezzar.

– Ira, chcę, żebyś wróciła na Ziemię – powiedział Martin.

– W końcu wrócę – odparła Irina. – A teraz... Wybacz, ale rano wyruszamy na planetę kluczników.

Wieczorem, gdy błękitne słońce zsunęło się nad horyzont, Martin siedział przed wejściem do drewnianej piramidy, w której on i Irina mieli nocować. Nieruchome fale, prześwietlone promieniami słońca wyglądały jak ekran, prezentujący widmowy film z życia Bezzaru. W niebieskiej substancji przesuwwały się niejasne cienie – teraz, pod słońce, można było dostrzec kłębki macek. Dzika zwierzyna? Zwierzęta domowe? Stada bydła? Ryby? Wszystko jedno, tak czy inaczej były to stworzenia jednokomórkowe. Tuż przy dnie stały drzewa-pogrzebane pod warstwą substancji, ale zdumiewająco podobne do ziemskich. Między gałęziami kręciły się drobne bakterie... czyżby się pasły?

Martin melancholijnie popijał koniak – na dnie butelki zostało już tylko kilka łyków – i przypominał sobie przeczytaną w dzieciństwie książkę. Młodzi bohaterowie trafiają do wnętrza

ludzkiego organizmu, zaprzyjaźniają się z leukocytami, walczą z wirusami, podróżują między organami wewnętrznymi, nie gardząc nawet jelitami... Bardzo interesująca wycieczka o charakterze poznawczym.

Na szczęście Martin nie musiał walczyć. Już sama idea walki z ogromną amebą napawała go niesmakiem. Ale wycieczka faktycznie była pasjonująca.

– Nie przeszkadzam? – usłyszał za sobą przymilny głos. Bezzaryjczycy poruszali się bardzo cicho. Martin obejrzał się, stwierdził, że to Pawlik, i zapraszająco skinął ręką.

– Alkohol? – zainteresowała się ameba. – W celu pobudzenia procesów myślowych?

– Raczej w celu zahamowania – wyznał Martin. – Uzywacie?

– Nie, mamy swoje metody – zareagowała żywo ameba. – Inne proporcje, inne substancje... – przezroczyście buklak usiadł obok Martina i dodał: – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zwiększę ilość mediatorów w niebieskim labiryncie.

– Ależ proszę uprzejmie – zgodził się Martin. Ponieważ bardzo lubił własne słabości, był tolerancyjny wobec cudzych.

Przez jakiś czas Martin płukał usta w koniaku, zaś ameba bulgotała. Być może wytwarzając mediatory, albo z innych przyczyn fizjologicznych.

– Masz już niewiele tego alkoholowego płynu – zauważył Pawlik. – Przybyłeś niemal bez rzeczy?

– Tak wyszło – westchnął Martin.

– Daj naczynie – ameba wyciągnęła nibyrączkę.

Martin zawahał się, ale podał butelkę.

Przezroczyście, cienka macka wsunęła się do szyjki, dotknęła płynu i odsunęła się. Przez jakiś czas ameba zastanawiała się, w końcu zawyrokowała:

– To wcale nie jest czysty alkohol. Jest tutaj sporo domieszek. Są potrzebne?

– Są przyjemne.

– Będzie trudniej... – wyznał Pawlik, ale butelki nie oddał. Przez przezroczyście ciało przebiegł dreszcz, między organellami pojawiły się mętne wiry, spłynęły do macki i popłynęły do butelki. Martin w niemym zachwycie patrzył na tę żywą aparaturę do pędzenia bimbru. Wziął butelkę z nibyrączek Pawlika i powąchał podejrzliwie.

– Skład nie uległ zmianie – powiedziała ameba. – Pij.

Martin wahał się.

– Brzydzisz się? – domyślił się Pawlik. – Ale przecież jecie ciała żywych zwierząt, pijecie sok roślin i wydzieliny owadów... Czemu ta ciecz miałaby być gorsza?

– Ty jesteś istotą rozumną – powiedział ponuro Martin. – To... w tym jest coś z kanibalizmu...

– Uwierz mi, dwieście gramów masy tracę niemal bezboleśnie – oznajmiła ameba. – Przy okazji, jedliście przecież zupę?

Martin przypomniał sobie podaną na obiad zupę-krem, przypominającą w smaku ugotowaną na świeżej wieprzowinie grochówkę z chrupiącymi kawałkami – grzankami albo warzywami... oraz mięso na drugie – nieco tłusty, ale miękki i pozbawiony żył kawałek polędwicy...

– O mój Boże – powiedział tylko. – Więc syntetyzujecie jedzenie z własnych ciał?

– To najprostszy sposób – przyznał się Pawlik i zachichotał.

Być może ten śmiech sprawił, że Martin podniósł butelkę do ust i upił potężny łyk.

Ahtamar. Najlepsi ormiańscy winiarze mogliby pozazdrościć bezzaryjczykowi.

– Nie zdołam zsyntetyzować jedzenia na podstawie twoich opisów – wyjaśniła ameba. – Ale na podstawie wzorca – nie ma problemu.

– Czy Irina zdaje sobie sprawę, co jadła? – zapytał Martin.

– Oczywiście. Ona to rozumie. Poza tym, tylko w ten sposób możemy zapewnić wam ochronę przed naszą wodą.

Martin jeszcze raz napił się koniaku.

– Wszystko jedno, jutro i tak wracam do domu. A wy lećcie bombardować kluczników.

– Wcale nie mamy zamiaru ich bombardować – oburzył się Pawlik. – To tylko delikatne ostrzeżenie i wyłącznie w razie konieczności. Najpierw musimy zorientować się w sytuacji.

– Głupota – skomentował Martin. – Głupota i szaleństwo. Skąd pomysł, że sieć transportowa już istniała, że została zniszczona, że to się powtarza?

Nibyrażka poklepała go po ramieniu.

– Popatrz na nasz świat, Martinie.

Martin popatrzył i rzekł:

– Nic innego nie robię przez cały wieczór. Co miałbym zobaczyć?

– Zastanów się. Co wydaje ci się dziwne albo nienormalne?

– Wy – palnął Martin bez zastanowienia.

– I co jeszcze? I dlaczego?

– Rozumne jednokomórkowce nie istnieją! – wypalił Martin. – Nie mogły się pojawić! Tym bardziej, że na waszej planecie są wielokomórkowe rośliny!

Przezroczysty bukłak pokiwał górną częścią tułowia i rzekł:

– Zgadza się. Nie mogliśmy powstać samodzielnie. Zostaliśmy stworzeni sztucznie.

Martin odstawił butelkę, popatrzył na Pawlika – jakby miał nadzieję, że zrozumie mimikę ameb – i zapytał:

– To kolejny żart?

– Nie.

– I kto niby miałby was stworzyć? Klucznicy?

– Nie. Rasa, która żyła na naszej planecie przed katastrofą. Do tego dnia, gdy niebo zapłonęło i runęło ognistym deszczem. Gdy stopniały lody polarne, osiadły góry, a woda zaczęła zmieniać swoje właściwości. Stworzyli nas, wiedząc, że sami nie przeżyją katastrofy. Nowe środowisko stało się rajem dla pierwotniaków i piekłem dla wyższych form życia.

– Skąd o tym wiecie? – wykrzyknął Martin.

– Podania, Martinie. Legendy. To było dawno, zbyt dawno, by zachowały się ślady ich kultury. Oni zmierzali tą drogą, którą idziemy my: zmieniali to, co żywe, nie przerabiając tego, co martwe. Jedyne domy budowali z martwego drewna... A ponieważ nawet to, co martwe, nie jest wieczne, cóż dopiero mówić o żywym? Pozostały jedynie mity... słowa... słowa trwalsze od tego, co żywe, i tego, co martwe.

Pawlik zamilkł.



– Nienawidzisz tych, którzy zniszczyli waszych stwórców?

– Nienawiść do tego, co już się wydarzyło? – zdumiał się Pawlik. – Nie, po co? Widocznie zemsta jest właściwa wielokomórkowym formom życia. Nie chowamy urazy. My jedynie myślimy o przyszłości.

– Kim byli wasi stwórcy? – zapytał Martin.

– Jeśli legendy nie kłamią, niezbyt przypominali ludzi. Wyżsi i szczuplejsi, mieli dużo rąk i dużo nóg. Chociaż... w naszym języku „dużo” zaczyna się od liczby dwa, więc nie dam ci dokładnej odpowiedzi. W spadku po nich otrzymaliśmy tę planetę i prawdopodobnie przez jakiś czas żyliśmy razem – dopóki mogli bronić się przed warunkami zmienionego środowiska. Być może ostatni przedstawiciele ich cywilizacji wymarli, ustępując nam miejsca. A niewykluczone, że zdołali stworzyć międzygwiazdny transport i odlecieć na poszukiwania nowej ojczyzny.

– To dlatego uwierzyliście Irinie? – zainteresował się Martin.

Pawlik zaśmiał się cicho.

– Wiedzieliśmy o tym od zawsze. Wierzymy w swoje legendy, nie mamy nic innego, w co moglibyśmy wierzyć. Ale dziewczyna z Ziemi zwróciła naszą uwagę na kilka innych faktów.

– Na przykład?

– Na podania o globalnej katastrofie, występujące na niemal wszystkich planetach.

– Ludzie pierwotni skłonni byli każdej lokalnej tragedii przydawać znaczenia globalnego – zaprotestował gwałtownie Martin. – A ponieważ lokalnych katastrof było pod dostatkiem, to nic dziwnego, że kilka pokoleń później każda wiosenna powódź urastała w opowieściach do rangi potopu.

– Na wszystkich planetach istniały starożytne kultury, a mieszkańcy oddawali cześć przybyszom z niebios... – ciągnął niezrażony Pawlik.

– A gdzie mieliby żyć bogowie? Tylko tam, skąd wszystko widać – na górze – uciał Martin.

– Na wszystkich planetach, na które przybyli klucznicy, istniały starożytne ruiny, a wśród nich puste miejsce.

– Nic dziwnego – Martin prychnął. – Ołtarz zawsze wykonywano z cennych materiałów, więc łupieżcy nie wynosili cegieł ze ścian, lecz złoto i srebro z ołtarza.

– Nigdy nie zastanawiała cię różnorodność ras w galaktyce?

– Jasne... – zaczął Martin. – Co tu ma do rzeczy różnorodność? Naiwnością byłoby sądzić, że na wszystkich planetach życie przyjmie identyczne formy.

– Nie masz racji – powiedziała ameba. – Mniej więcej jedna trzecia ras galaktyki to humanoidy. Przy czym podobieństwo sięga aż do poziomu DNA – można wyróżnić jednakowe odcinki kodu genetycznego.

– Załóżmy, że jest to dowód istnienia jakichś starożytnych kontaktów... – przyznał Martin.

– Kolejne dwadzieścia procent to formy życia, pochodzące z planet nieziemskiego typu. Inny skład atmosfery, grawitacja... – Pawlik chrząknął. – Nie będziemy się na nich koncentrować. Oni również nieszczególnie się nami interesują. A kolejna połowa to dawne humanoidy. Podobne do nas.

– Co takiego? – osłupiał Martin.

– Podobne do nas, bezzaryjczyków! – powtórzyła twardo ameba. – Nasi twórcy byli humanoidami. Nasza planeta przypominała twój świat. Potem wszystko się zmieniło i pojawiliśmy

się my. Inne rasy zmieniały się inaczej. Przecież były na planecie dio-dao?

– Byłem.

– Jak w drodze naturalnej ewolucji mogła powstać tak nienormalna forma życia? – spytała ze wzburzeniem ameba. – Szybko płynące życie, pamięć przodków, ascetyzm i ograniczenia, oraz istnienie wyższych technologii... Zauważyłeś ich chorobliwą nieakceptację brudu biologicznego?

– Że potrzeby fizjologiczne należy załatwiać wyłącznie w toaletach? – zaśmiał się Martin. – No cóż... Zwykła dbałość o higienę albo wstręt.

– To jedynie zewnętrzny przejaw – nie zgodził się Pawlik. – Oni posiadają cykl produkcyjny pozbawiony odchodów. Ograniczenie potrzeb również wynika z lęku przed zanieczyszczeniem środowiska. Widocznie kiedyś planeta dio-dao przeżyła globalną katastrofę ekologiczną. Ocalałe formy życia – a jest ich bardzo niewiele, na całą planetę jedynie pięćset gatunków żywych istot – przyspieszyły cykl życia i zyskały pamięć przodków. Niezła ewolucja, co?

Martin wzruszył ramionami.

– A Ioll? Dwunogie i dwurękie istoty, bardzo przypominające ludzi...

Martin pomyślał, że dostrzec podobieństwo mieszkańców Ioll do ludzi może wyłącznie ameba, ale nic nie powiedział.

– A jednocześnie to przywiązanie do matki pępowiną! Przez całe życie! – ameba poniosła głos. – To sprzeczne z zasadami zachowania gatunku! To nienormalne, wstrętne i niewygodne! Od dnia narodzin aż do śmierci dzieci czerpią siły z organizmu matki! Jak mogła pojawić się taka forma życia?

– Nie wiem.

– Ale ja wiem – wyskandował Pawlik. – Ich planeta przeżyła własną, osobistą katastrofę. Warunki zmieniły się tak, że mogły przeżyć jedynie kolektywne formy życia.

– Świetnie znasz inne rasy – zauważył Martin.

– To moja praca. Przecież jestem specjalistą od kontaktów z rasami humanoidalnymi – odpowiedziała skromnie ameba. – Tak to właśnie wygląda, Martinie! Poprzednie zniszczenie sieci transportowej uderzyło w cywilizacje, żyjące na planetach ziemskiego typu. Formy życia, oparte na węglu i oddychające tlenem, uległy zmianie. Jedne mniej – ludzie, arankowie, geddarowie są bardzo do siebie podobni. Inne bardziej – w naszym przypadku pierwotna rasa po prostu wymarła, zdążywszy stworzyć nas...

– Chcesz przez to powiedzieć, że zrobiono to specjalnie? – wykrzyknął Martin. – Że nie były to konsekwencje zniszczenia transportu międzygwiazdowego, lecz celowy eksperyment?

– Oczywiście.

– Bzdura – odparł zdecydowanie Martin. – W jakim celu? Rozumiem naturalny chaos po zniknięciu technologii, wojny, barbarzyństwo, epidemie, ale celowy, świadomy eksperyment?

– W jakim celu? Miliardy lat temu fala życia przesunęła się po naszej galaktyce – powiedział Pawlik. – Mniejsza o to, co lub kto był tego przyczyną. Myślę, że sam rozumiesz – bez względu na to, jak długo będziemy napromieniowywać brudną kałużę i przepuszczać przez nią prąd, z substancji nieorganicznych życie nie powstanie. Komórka jest tworem zbyt skomplikowanym, żeby być dziełem przypadku! A jednak powstała i życie ruszyło w drogę. Zyskało rozum. Zaczęło poznawać świat. Po co?

– To naturalnie dążenie rozumu. Pragnienie poznania otaczającego go świata...

– Brednie – ucięła ameba. – Jedynym naturalnym dążeniem rozumu jest maksymalne przedłużenie swojego istnienia. Poznawanie świata to tylko sposób zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Pytam o co innego – po co potrzebny jest rozum? Nie prymitywny życiowy rozsądek, lecz rozum? Mam nadzieję, że umiesz rozróżnić te pojęcia?

– Umieję – odparł Martin. – Rozum potrzebny jest do zapewnienia tegoż bezpieczeństwa. Istota zdolna do abstrakcyjnego myślenia ma znacznie większe szanse przeżycia.

– Jedynie w odległej perspektywie. Dobrze, załóżmy, że w wyniku szeregu zbiegów okoliczności istota otrzymała rozum jako dodatek do rozsądku. Ale przecież większości tak zwanych istot rozumnych rozum tak naprawdę przeszkadza! W zupełności wystarcza im działalność rozsądku. Wykonywanie nieskomplikowanych prac, przestrzeganie praw współżycia społecznego, czerpanie przyjemności z odżywiania się, rozmnażania, różnych rozrywek fizjologicznych... Zwierzę, które żyje w stadzie, cieszy się ze swojego istnienia i nie odczuwa negatywnych konsekwencji posiadania rozumu.

Martin zaśmiał się gorzko.

– Cóż, być może masz rację. Większość ludzkości zadowala się rozsądkiem. Rozum drzemie. I jest to, jak sądzę, typowe dla wielu cywilizacji humanoidalnych. Co z tego?

– Do czego potrzebny jest rozum?

– Jako środek przetrwania...

– Do czego potrzebny jest rozum? – warknął Pawlik.

– Do zadawania głupich pytań! – wrzasnął Martin. – Do zadarczenia się sensem życia! Do tego, żeby bać się śmierci! Żeby wymyślić sobie Boga!

– Tak już lepiej – uznała łaskawie ameba. – Jeśli rozsądkowi wystarcza podstawowy poziom systemu sygnalizacji, to rozum, zmuszony do operowania pojęciami abstrakcyjnymi, tworzy poziom drugi – mowę. To nieważne, jak przekazujemy swoje myśli – za pomocą drgań powietrza, impulsów elektronicznych czy kolorowych wzorów na ciele. Informacja, oderwana od swojego nosiciela, staje się głównym narzędziem rozumu. Środkiem poznania świata i środkiem oddziaływania na świat. Ale zrobimy kolejny krok, Martinie. Rozum – i co dalej? Co będzie trzecim etapem – po rozsądku i rozumie? Jaki system sygnałów stworzy istota nadrozumna? Czy nadal będzie istniała granica pomiędzy myślą i czynem, informacją i działaniem? Istota, nadistota, co to będzie? Czy to już Bóg, czy jeszcze człowiek? Ile etapów musi pokonać życie, żeby ostatecznie wydzielić się ze skostniałej materii? I co sprawia, że walimy w bariery homeostazy, uzyskując niepotrzebne nam właściwości – najpierw rozsądek, potem rozum, potem... potem coś jeszcze, co teraz nie ma nazwy? Co wrywa nas ze zwierzęcego spokoju, co gna nas dalej? W czyich rękach jest marchewka i bat? Kim jest ten Wielki Eksperymentator, burzyciel spokoju, stwórca i niszczyciel? Czy to Bóg? Czy jedynie istota nadrozumna, targana takim samym strasznym pragnieniem jak nasze? Czy rozum jest szczęściem? Czy jest nim nadrozum? Ile jest jeszcze stopni w tej drabinie, zaczynającej się od instynktu? Zwierzęta nie pragną zyskać rozumu, to my czasem próbujemy wyciągnąć je z ciepłych i łagodnych zwierzęcych snów do swojego rozumnego cierpienia. A przecież rozumni nie pragną zrobić kolejnego kroku! Ciągłe żyje w nas ten pradawny strach przed otrzymaniem rozumu, niechcianego i nieproszonego prezentu z góry. Jest nam dobrze na naszym poziomie postrzegania świata. Nie potrzebujemy wiedzy, której nie jesteśmy w stanie pojąć.

Ameba zaśmiała się krótko.

– Kuszą nas słodkie marchewki nieba – absolutne bezpieczeństwo, wieczne życie, ogromna

wiedza... Wystarczy zrobić jeden krok – od rozumu, trochę wyżej. Ale my nie chcemy tracić swojego spokoju. Podejrzewamy – i to nie bez podstaw – że nadrozum przyniesie nam nową gorycz, podobnie jak rozum przyniósł nam niegdyś smutek i cierpienie. I gnieźdząc się na powierzchni brudnych planet, operując jedynie swoim niedoskonałym rozumem, próbujemy wyhodować nowe drzewo poznania dobra i zła. Otrzymać wszystko, nie wymyślając niczego nowego. Stać się bogami, nie przestając być ludźmi. I wtedy to, co stoi ponad nami, chowa marchewkę i wyciąga bat. I płonie niebo, i wrą oceany, i rozumu staje się zbyt mało, żeby zapewnić przetrwanie. Za co wasz Bóg ukarał ludzkość potopem? Za śmiałość? Nie! Za to, że się zatrzymaliście! Za wzgardzenie otrzymanym rozumem, za triumfujący rozsądek! Za próbę pozostania rozumnymi zwierzętami! Nie wolno odrzucać boskich prezentów, Martinie! I jeśli rozum znowu wybudował sobie przytulną norkę i postanowił się zatrzymać – spodziewaj się nieszczęścia. Jesteśmy skazani na ciągłą wspinaczkę coraz wyżej, z błota – ku niebu.

– Ale klucznicy... – zaczął Martin.

– Klucznicy, bez względu na to, jak wspaniałe wydają się ich dary, kuszą nas, byśmy się zatrzymali. Dają rozumnym to, co powinno należeć do nadrozumu: kontrolę nad przestrzenią, nad świadomością, nad życiem i śmiercią. Jako istota rozumna, która czuje się komfortowo i przyjemnie, rad byłbym przyjąć dary kluczników i przestać się rozwijać. Ale jak ustosunkuje się do tego nadrozum? Czy znęci nas nową marchewką, dla której odrzucimy prezenty kluczników? Czy znowu wyciągnie bat?

Ameba wstała i otrząsnęła się jak mokry pies.

– Oto wszystkie nasze zarzuty wobec kluczników, rzekomo niosących galaktyce pokój i dobrobyt. Przekombinowane zarzuty. Ale jesteśmy gotowi zaryzykować i odwiedzić kluczników w ich domu.

Martin siedział, patrząc, jak groteskowa postać z niezwykłą gracją odchodzi w dal. Przed wznoszącą się ścianą nieruchomej wody ameba wysunęła nibyrączkę, pomachała Martinowi i zanurkowała w niebieską substancję. Ściemniało się już i bezzaryjczyk niemal od razu zniknął.

– Marchewka i bat – wymruczał Martin. – Dlaczego zawsze jest taki nędzny wybór? Nie lubię warzyw.

Schował butelkę do kieszeni i wszedł do drewnianej piramidy. Płatanina schodów – spiralnych oraz pionowych pochylni, a także tych najzwyczajniejszych ze stopniami – prowadziła na pierwsze piętro, przemieniając parter w scenografię do telewizyjnego show albo wystawę osiągnięć architektury „schodowej”. Martin wszedł na pierwsze piętro po pochylni i zawahał się przed wejściem do swojego pokoju. Na podłodze leżał miękki materac, wypchany suszonymi wodorostami, obok spoczywały trzy kołdry, stał dzban z wodą i wisiała emanująca łagodnym światłem szklana kula – w piramidzie nie było centralnego oświetlenia. Brakowało również drzwi – wejście do pokoiku zasłaniała jeszcze jedna kołdra, zamocowana do belki na wejściem.

Nieoczekiwanie dla samego siebie, Martin poczuł się przeraźliwie samotny.

Dlatego podszedł do wejścia do drugiego pokoju. Zza zasłony przebijało światło – widocznie Irina jeszcze nie spała.

Pytanie „czy mogę wejść?” wydawało się Martinowi wyjątkowo idiotyczne i dlatego jedynie odchrząknął.

– Nie śpię – odezwała się zza zasłony Irina. A gdy wszedł, dodała:

– Czekałam na ciebie.

Dziewczyna siedziała na materacu, zawinięta w kołdrę. Martin usiadł obok niej na podłodze i wyjął z kieszeni butelkę.

– Napijesz się?

Irina skinęła głową.

– Polecę z tobą – rzekł Martin, gdy upiła łyk. – Mam tylko jedno życie i bardzo je lubię. Ale polecę z tobą, ponieważ są rzeczy ważniejsze niż życie.

Irina patrzyła na niego bez słowa i Martin nagle zrozumiał, że pod kołdrą dziewczyna jest zupełnie naga. I wcale nie dlatego, że lubi spać bez ubrania na gołym materacu.

– Chodź do mnie – powiedziała cicho Irina.

Martin mimo wszystko znalazł w sobie siłę, by powiedzieć:

– Polecę z tobą... nie musisz...

– Głupi – wymruczała Irina i pochyliła się do niego. Na ustach miała smak koniaku. Kołdra zsunęła się i przez kilka chwil Martina prześladowało natrętne wspomnienie pierwszej Iriny Połuszkinej – nagiego ciała, zanurzającego się w wody kanału, i obraz czwartej Iriny – klęczącej nago przed kapłanami TajGeddara...

Ale to ciało było żywe i pragnęło życia – nie mniej niż Martin. A śmierci nie było wcale.

Rzecz jasna, Martin nigdy nie był w kosmosie. Odwiedził około siedemdziesięciu planet, spotkał blisko setkę rozumnych ras, ale nigdy nie uciekał się do tak staromodnego sposobu podróżowania. Suborbitalny lot na Aranku był maksymalnie bliski wyjściu w kosmos.

W dzieciństwie, jak każdy mól książkowy z rodziny inteligentów, Martin zaczytywał się książkami o kosmonautyce – przede wszystkim amerykańskimi, ale czasem trafiały się również utwory rodzimych pisarzy. Z nich Martin dowiedział się, że pierwszym człowiekiem w kosmosie był Jurij Gagarin, a pierwszego satelitę wystrzelono w Rosji, która nosiła wówczas inną nazwę. Kilka razy udało mu się wygrać w dyskusji z kolegami z klasy, przekonanymi, że pierwszym człowiekiem w kosmosie był Neil Armstrong i to od razu na Księżycu, i w wahadłowcu.

Ale Martin nigdy nie marzył, żeby zostać kosmonautą. Wprawdzie był mołem książkowym, ale wystarczająco bystrym, by zrozumieć, czym jest współczesna kosmonautyka – nie miał zamiaru wozić na orbitę ładunków dla zarozumiałych Amerykanów. Więc nieoczekiwana perspektywa wyruszenia w kosmos wcale go nie cieszyła.

Zwłaszcza, że statek kosmiczny bezzaryjczyków rażąco różnił się od ziemskich rakiet. To była taka sama kisielowata platforma jak kropla transportowa, tylko znacznie większa – dwadzieścia metrów średnicy i dziesięć metrów grubości. Pod niewielką kopułą na środku dysku znajdowały się miejsca dla załogi – dwa wgłębienia w kształcie ludzkich ciał i dwie głębokie studnie, do których wpłynęli bezzaryjczycy.

– To Pietieńka – przedstawił Pawlik drugiego członka załogi ze strony bezzaryjczyków. – Jest jeszcze bardzo młody, ale posiada wspaniałą strukturę niebieskiego labiryntu, zapewniającą ogromną prędkość przetwarzania informacji.

Młody Pietieńka – przezroczysty bukłak półtorametrowej wysokości – powiedział skonfundowany:

– Praca z wami będzie dla mnie zaszczytem.

Martin uścisnął nibyrączkę.

– Pietieńka to bardzo udany potomek kierownika naszego projektu, Andriuszki – ciągnął Pawlik. – Andriuszka sam chciał stanąć na czele lotu, ale jego działalność jest zbyt ważna, żeby tak ryzykować. Dlatego wypączkował Pietienkę i osobiście wychował go we właściwym, pionierskim duchu. Nie sądzicie, że to wspaniałe wyjście z sytuacji? – powiedział i roześmiał się rześmie.

Zachowanie Pawlika wydało się Martinowi dziwne. Ta nadmierna gadatliwość, to wzburzenie... Gdyby miał przed sobą człowieka, zacząłby go podejrzewać o nadmierne spożycie alkoholu.

– Umiecie dzielić się swoją pamięcią z dziećmi? – zapytał Martin, przypominając sobie dio-dao.

– Oczywiście, że nie – rzekł Pawlik z niejaką goryczą. – Ale pod pewnymi względami Pietieńka przewyższa nawet swojego ojca. Zuch, Pietieńka! Zuch!

– Pawlik, powiedz mi na miłość boską, dlaczego używacie wyłącznie zdrobniałych imion? – nie wytrzymał Martin.

– Żeby wzbudzić sympatię – odpowiedział uczciwie Pawlik. – Gdybyście zwracali się do mnie Pwchannk, co w przybliżeniu oddaje prawdziwe brzmienie mojego imienia, wasz stosunek do mnie

byłby zupełnie inny. Nawet wojownicze i surowe mię Paweł budziłoby czujność. A Pawlik brzmi miło, łagodnie i niewinnie. To szczerza odpowiedź?

– Bardzo – przyznał Martin.

Nie mieli absolutnie nic do roboty. Start gwiazdolotu planowano za ponad godzinę, żadnej kontroli systemów od załogi, a tym bardziej od ludzi, nie wymagano. Pozostawało jedynie czekać – w spoczywającym na kamienistym dnie, pod warstwą niebieskiej substancji, żywym statku kosmicznym. Czekać i rozmawiać... Chociaż gdyby na statku istniała choćby najmniejsza możliwość odosobnienia, Martin miał pomysł na znacznie ciekawszy sposób zabicia czasu.

Zerknął na Irinę, siedzącą w swoim „fotelu”. Dziewczyna uśmiechnęła się i Martin odwzajemnił uśmiech.

Trzeba przyznać, że trochę obawiał się swoich dalszych stosunków z Iriną... jeśli oczywiście ta wyprawa pozostawi im możliwość jakiegoś „dalej”. Wczoraj wszystko było proste i słuszne. Mężczyzna i kobieta, zupełnie sami na całej planecie i kompletna niewiadoma przed nimi... Słowa nie były potrzebne.

Teraz Martin zastanawiał się, o czym będzie rozmawiał z tą dziewczyną. O klucznikach, odległych planetach i smutnych bogach, którzy stymulowali rozwój ewolucji? Miał dość. O samej Irinie? O szkole, pierwszym roku studiów, złośliwych wykładowcach, nudnych zajęciach i głupich kolegach z roku? Śmieszne. O samym Martinie? Przez chwilę zastanawiał się nad tym pomysłem, ostrożnie obracając go w rękach, niczym przedmiot kruchy i śliski jednocześnie, w rodzaju namydlonej kryształowej wazy. Co powie tej dziewczynie, czym ją zainteresuje? Sztuką przygotowywania drinków? Tajnikami kulinarnymi? Bzdura, takie rzeczy kobiety zaczynają cenić znacznie później. To może przygodami na innych planetach? Polowanie na przestępców, poszukiwanie zbiegłych żon i dzieci? Ale czym były te wszystkie przygody w porównaniu z czterema śmierciami Iriny Połuszkinej? Zabawą w piaskownicy...

Namydlony kryształ wysliznął się z rąk i rozpadł na kawałeczki.

Z lekką paniką Martin rozumiał, że prócz minionej nocy nie mają żadnego tematu do rozmowy. Nic strasznego, oczywiście. Gdyby porozumienie duchowe było warunkiem koniecznym do bliskości seksualnej, przyrost naturalny na Ziemi znacznie by się obniżył.

– Martinie... usiądź – poprosiła Irina.

Martin siadł obok niej – miękka podłoga wgięła się, tworząc wygodny fotel, w którym można było pół siedzieć, pół leżeć. Irina wzięła Martina za rękę i powiedziała cicho:

– Dziękuję.

Martin przywołał na twarz uprzejmy uśmiech i już miał zapytać, co Irina sądzi o ustroju społecznym bezzaryjczyków, gdy dziewczyna odezwała się:

– Siedzę jak głupia i zastanawiam się, o czym by tu z tobą porozmawiać. Przecież nie będę ci opowiadać o uniwerku... ani o obcych planetach, które znasz lepiej ode mnie. Chcesz, to zdradzę ci jakąś tajemnicę państwową?

Martin zakrztusił się przygotowanym zdaniem.

– W końcu mój ojciec jest analitykiem, od czasu do czasu sporządza jakieś analizy dla organów... – kontynuowała Irina. – Może jesteś ciekaw, jak nasi dogadywali się z Amerykanami?

– Stop! – przerwał szybko Martin. – Zupełnie nie jestem ciekaw. I ty też powinnaś o tym zapomnieć. Mniej wiesz, krócej będziesz przesłuchiwany.

Dziewczyna nie obraziła się, ale też nie wzięła jego słów na poważnie. Powiedziała z uśmiechem:

– A ja uwielbiam tajemnice. Od dzieciństwa. Dlatego w to wszystko weszłam...

– Chciałaś pokazać ojcu, że jesteś lepsza od niego? – zapytał Martin. – On ma do czynienia z tajemnicami państwowymi, a ty rozwiązujesz tajemnice Wszechświata...

– Chyba tak – przyznała Irina. – Przeczytałam o teorii bezzaryjczyków, o instynkcie, rozumie i nadrozumie, o konieczności dalszej ewolucji... o tym, że klucznicy swoimi podarunkami przybliżają globalną katastrofę... i w tym miejscu był komentarz ojca – dlaczego nie można brać na poważnie wymysłów rozumnych ameb... Jego uzasadnienie było bardzo... bardzo rozsądne. A przecież kilka linijek wyżej została przytoczona opinia bezzaryjczyków, że każda istota rozumna, która nie zechce przechodzić na wyższy stopień rozwoju, zacznie wynajdywać takie a nie inne argumenty przeciw... A on przytacza dokładnie te same argumenty! Tak się rozżłościłam...

Martin przypomniał sobie Ernesto Połuszkina, który domyślił się, żeby wziąć środki przeciwbólowe na poranną wizytę u prywatnego śledczego, i pokręcił głową:

– Irinko, twój ojciec wcale nie jest głupcem ani ślepcem. On doskonale wiedział, co robi.

– No to dlaczego... – oburzyła się Irina, ale Martin nie dał jej dokończyć:

– Dlatego, że decyzja niewtrącania się już została podjęta. Dlatego, że doświadczony ekspert doskonale wie, jakie informacje klient przyjmie, a jakie odrzuci. I jedyne, co mógł zrobić, to skompromitować własny komentarz w taki sposób, że jeśli przeczyta go człowiek bez kłapek na oczach, od razu dostrzeże słabość argumentów.

Irina milczała przez jakiś czas, a w końcu spytała:

– Myślisz, że ten dokument trafił do mnie przypadkiem?

– Ty powinnaś wiedzieć to najlepiej – odrzekł Martin.

– Wydruk leżał u ojca w gabinecie – ciągnęła Irina. – Może... nie... nie sądzę...

Ale w jej głosie zabrzmiało powątpiewanie.

– Wiesz, co ja myślę? – powiedział ostrożnie Martin. – Wielu ludzi, zajmujących się tymi kwestiami, nie zgadza się z oficjalną polityką... nazwijmy ją polityką nieingerencji.

– Strusią polityką – skomentowała ponuro Irina.

– Najwidoczniej twój ojciec i mój kurator z безпеki również do nich należą – ciągnął Martin. – I może jeszcze ktoś... nieważne. Nie sądzę, by postawili sobie za cel skłonienie cię do rozwiązania zagadek Wszechświata. I wcale nie dlatego, że nie jesteś w stanie ich rozwiązać – dodał szybko Martin. – Ale to niebezpieczne zadanie i nie wyobrażam sobie, żeby twój ojciec zgodził się na coś takiego. Opinie twojego ojca miały raczej sprowokować kogoś z wywiadu wewnętrznego... Ale gdy przeczytałaś te dokumenty i przeszłaś przez Wrota, postanowiono to wykorzystać. Wynajęli mnie.

– Taki jesteś znany? – spytała ironicznie dziewczyna.

Martin zawahał się:

– Cieszę się opinią dobrego specjalisty... Do licha! Nie wiem. Nie jestem aż taki dobry, żeby stawiała na mnie безпеka!

– A jeśli prócz ciebie wyruszyli również inni detektywi i wywiadowcy?

– Trafiłbym przynajmniej na jednego – pokręcił głową Martin. – A przecież nie zwerbowali geddara! Nie wiem, Irinko. Coś mi tu nie pasuje.



– Lubię, gdy tak do mnie mówisz – przełączyła się błyskawicznie Irina.

– I jeszcze jedno – dorzucił szybko Martin. – W ostatniej rozmowie ze mną Jurij Siergiejewicz wspomniał, że najstarsza Stacja kluczników została zbudowana osiemdziesiąt sześć lat temu. Nie nazwał planety, ale... Myślisz, że to zbieg okoliczności? A może próbował mnie nakierować? Poza tym wydawało mi się, że wzywając mnie, żebym się nie wtrącał i nie szukał cię, w rzeczywistości właśnie do tego mnie nakłaniał... Iro, na podstawie jakiego kryterium wybrałaś te siedem planet?

– Na liście była ogólna ocena sytuacji – powiedziała Irina. – A siedem planet omówiono bardzo szczegółowo...

– Siedem?

– Siedem. I wszystkie argumenty były jakieś takie... bezradne. Głupie. Na przykład, kamienie na Bibliotece miały być dziełami sztuki, czymś w rodzaju kamiennego ogrodu, a przecież ta teoria została obalona dawno temu... i tak o wszystkich planetach. O arankach ojciec napisał, że spór na temat tego, czy posiadają duszę, jest bezsensowny, ponieważ nawet u nas obecność duszy staje się przywilejem dewotów.

– No i? – nie zrozumiał Martin.

– On jest wierzący, często chodzi do cerkwi – wyjaśniła Irina. – Nie mógł czegoś takiego napisać na poważnie! A o Prerii 2 napisał...

Martin już nie słuchał. Odchylił się do tyłu – z podłogi wyłoniło się wygodne oparcie – i zamyślił.

Po pierwsze – wysłanie na poszukiwanie Iriny właśnie jego nie było dziełem przypadku. Nie jest najbardziej utalentowanym prywatnym detektywem, ani największym szczęściarzem, ale z jakiegoś powodu wybrano właśnie jego...

Po drugie – Ernesto Połuszkin i Jurij Siergiejewicz doskonale zdawali sobie sprawę, gdzie przebywa Irina. Początkowo faktycznie mogli się zastanawiać, ale gdy już wiedzieli, że dziewczyna skopiowała sama siebie w siedmiu egzemplarzach, powinni wszystko zrozumieć. Więc dlaczego kochający ojciec Ernesto Połuszkin i tak troszczący się o losy mocarstwa Jurij Siergiejewicz nie wyruszyli pod wskazane adresy? Dlaczego nie wynajęto nowych detektywów, nie wciągnięto do akcji etatowych agentów bezpieczeństwa? No i wreszcie, czemu samemu Martinowi nie podano dokładnych informacji?

Wniosek narzucał się sam. Martin musiał szukać Iriny samodzielnie, na podstawie szczątkowych informacji, domysłów oraz intuicji. Z jakiegoś powodu miało to dla spiskowców kluczowe znaczenie.

– Wasza mać! – zaklął Martin. – Szpiegowskie intrygi!

Gdyby doszedł do tego wniosku dobiegł temu, zrezygnowałby z gry na cudzych zasadach i naprawdę przestałby szukać Iriny. Czy to nie świństwo wykorzystywać człowieka jak marionetkę? Fakt, że dla służb specjalnych takie świństwa są chlebem powszednim, bynajmniej nie łagodził gniewu Martina.

A teraz było już za późno. Teraz przejął się ideami bezzaryjczyków i poczuł się odpowiedzialny za losy cywilizacji. Teraz przespał się z Iriną i czuł się zobowiązany do opieki nad nią.

Po prostu dał się złapać.

Musiał jeszcze zrozumieć, dlaczego do roli marionetki wybrano właśnie jego.

To prawda, że Martin miał już wyrobioną reputację, dźwięczne przezwisko Piechur, wysoki

procent zakończonych pomyślnie spraw. Ale to wszystko było jedynie efektem umiejętności wciskania klucznikom kitu i skakania z planety na planetę. W walce wręcz, w strzelaniu, nawet w umiejętności obserwacji i zdolności dedukcji, w tym wszystkim, co było niezbędne prywatnemu detektywowi, Martin był najwyżej mocnym średniakiem. Gdyby spotkał kiedyś na swojej drodze prawdziwego zawodowca, najprawdopodobniej leżałby w gościnnej glebie obcej planety, trując swą obcą organiką naiwne robaczki. Owszem, we wczesnym dzieciństwie, podobnie jak wszyscy chłopcy, którzy naczytali się o przygodach Erasta Fandorina, Martin odbarwił sobie wodą utlenioną włosy na skroniach, chodził wszędzie z lupą i rozwiązywał straszliwe tajemnice zniknięcia dziennika klasowego z zamkniętego pokoju nauczycielskiego (za co dostał wciry od ósmoklasistów). W wieku dojrzałym zabawy w detektywów i złodziei nie są już tak pociągające, szczególnie, jeśli zarabia się w ten sposób na życie.

To by znaczyło, że bezpieka zainteresowała się jego umiejętnością kontaktowania się z klucznikami... Ale w dalszym ciągu wyglądało na to, że ta historia ma jakieś drugie, nie znane Martinowi dno.

– Niedługo koniec świata, a oni trzymają nas w absolutnej ciemności! – wykrzyknął niespodziewanie.

O dziwo, Irina zrozumiała bieg jego myśli.

– Może przy świetle byśmy się przerazili? – powiedziała. – Poza tym, jeśli ma nastąpić koniec świata, powinien nastąpić również koniec ciemności.

Te słowa, nieco naiwne i trochę pompatyczne, odniosły właściwy skutek. Martin popatrzył na Irinę, uśmiechnął się i mocniej ujął jej dłoń.

– Jednego nie mogę zrozumieć... – westchnął. – Dlaczego twój ojciec cię puścił? Nie wierzę, że gotów jest poświęcić córkę w imię uratowania świata. Ludzie to nie arankowie!

– Arankowie są dziwni – przytaknęła Irina. – Ale oni też kochają swoje dzieci.

– W bardzo specyficzny sposób – dodał sceptycznie Martin, przypominając sobie Lergassi-kana, który gotów był zezwolić swojemu synowi na włóczęgę po innych planetach, w dodatku z Obcym. – Tkwi w nich taki ładunek fatalizmu, że zaczynam się zastanawiać, czy rzeczywiście nie mają jakichś problemów z duszą... Irino, na jakich planetach są twoje pozostałe kopie?

– Boisz się, że nagle zginę? – spytała dziewczyna.

– Boję się – przyznał Martin. – Poza tym chciałbym zrozumieć logikę wyboru tych siedmiu planet.

– Talizman i Sheali.

Martin zamyślił się. Talizman rzeczywiście był interesującą planetą. Wprawdzie Martin jeszcze nigdy tam nie dotarł, ale o jego zagadkach rozpisywał się każdy brukowiec. Ale Sheali?... Ojczyzna rozumnych ptaków-nielotów?...

– Dlaczego Sheali? – zapytał.

– Tam był długi artykuł o wielu dziwnych zachowaniach sheali – Irina zmarszczyła czoło. – Wiesz, wszystkie te trudności w nawiązaniu kontaktu, nieadekwatność zachowania... A na samym dole ojciec dopisał grubymi literami „ROZUM???” z trzema znakami zapytania.

– Rozum... – powtórzył Martin. – Jasne.

Irina popatrzyła na niego z szacunkiem, niestety, niezasłużonym – nic nie stało się dla Martina bardziej jasne. Sheali byli najzwyczajszą rasą, choć trzeba przyznać, że ptasie pochodzenie odcisnęło

na nich pewne piętno.

– Przyjaciele! – przerwał ich rozmowę Pawlik. – Startujemy!

– No to jazda – mruknął Martin.

Grząskie cielsko statku zaczęło falować i wibrować, substancja jakby nasunęła się na nich, pozostawiając odkryte jedynie głowy. Martin przypomniał sobie torby do przenoszenia małych, dekoracyjnych piesków, z których dokładnie tak samo sterczały główki chihuahua i yorków, i zrobiło mu się smutno. Ale przynajmniej mógł nadal trzymać Irinę za rękę. Statek mu w tym nie przeszkadzał.

Przez kilka kolejnych sekund nic się nie działo, a w końcu niebieska substancja nad statkiem rozstała się i oni wzbili się w niebo – płynnie, bez jakiegokolwiek przeciążenia. Wyciągając szyję, Martin popatrzył w dół – pod półprzezroczystym dnem statku pospiesznie oddalała się powierzchnia Bezzaru. I żadnych „pochodni” działających silników... Zresztą, niczego takiego Martin się nie spodziewał.

– Jaka jest zasada działania waszych silników? – zapytał Martin, odruchowo podnosząc głos, chociaż w kabinie panowała absolutna cisza.

– Przesunięcie wektora ruchu Wszechświata w stosunku do punktu lokalnego – odpowiedział wesoło Pawlik, również podnosząc głos.

– Tyriampampacja – podsumował Martin, przypominając sobie książkę Strugackich.

– Nie, to bardzo proste – odparł Pawlik, który widocznie zrozumiał dowcip. – Usuwamy moment bezwładności statku i on staje się nieruchomym punktem, podczas gdy galaktyka kontynuuje ruch. W ten sposób, pozostając w miejscu, możemy zmienić swoje położenie w stosunku do innych obiektów. Mówiąc po ludzku – poruszyć Wszechświat, pozostając w bezruchu. Najważniejsze to odpowiednio wybrać moment startu.

– Jak pięknie – szepnęła Irina.

Martin pomyślał, że dziewczyna ma na myśli sposób przemieszczania się bezzaryjskich statków, ale gdy odchylił głowę, zobaczył, jak otwiera się nad nimi niebo.

Czysty, słoneczny błękit powoli zniknął. Na niebie nie było chmur, oko nie mogło ocenić prędkości lotu, ale narastała głębia bezdennej niebieskości – aż do końca zachowując błękitny odbłysek gwiazdy. Potem w ciemnym granacie zapłonęły gwiazdy i „stała się ciemność”, jedynie kosmata tarcza słońca nadal lśniła odłamkiem nieba. I teraz wydawało się, że obce słońce zawisło pod nogami, a pospiesznie oddalająca się kula planety – nad głową. Martin zrozumiał, że pojawiła się nieważkość.

– Zbliżamy się do orbity stacjonarnej – oznajmił Pietieńka. Postronny obserwator mógłby pomyśleć, że młody bezzaryjczyk wcale nie zajmuje się sterowaniem – żadnego pulpitu sterowniczego nie było widać. Prawdopodobnie ameby sterowały swoją techniką, dotykając jej w dowolnym miejscu, a cała kisielowata substancja służyła za pulpit, korpus i silnik. – Weszliśmy w wyznaczony punkt, zatrzymaliśmy ruch.

– Zuch – pochwalił go entuzjastycznie Pawlik. – Brawo, Pietieńka. Jesteśmy z ciebie dumni.

– Staralem się – powiedział skromnie Pietieńka. – Prawda, że ładnie wyszło? Mogę teraz zjeść coś smacznego?

– Oczywiście – zgodził się Pawlik. – Zuch, mądry chłopiec!

Po ciele Pietieńki przebiegł dreszcz, jego wnętrze zmętniało.

Widocznie to „coś smacznego” ameba brała prosto z korpusu statku.

Martin i Irina wymienili spojrzenia. Po prostu nie mogli uwierzyć, że właśnie znaleźli się na orbicie obcej planety, w obcym statku kosmicznym, który pilotowała genialna i jakże infantylna ameba!

– Irino, przyjmij moje gratulacje z okazji pierwszego lotu w kosmos – oznajmił Martin. – Czy zażądamy nadania nam tytułu kosmonautów?

Irina roześmiała się cichutko – i to było super.

– Za jakąś minutę klucznicy zaczną skok – powiedział Pawlik. – Przygotujcie się.

– A jeśli zauważą statek i zrozumieją, co chcemy zrobić?

Pawlik zaśmiał się.

– No cóż, sami wiecie, jak klucznicy rozwiązują problemy. W takim wypadku po prostu nic nie poczujemy!

Czekanie na śmierć to niezbyt przyjemne zajęcie. A jeśli wiesz, że nawet nie poczujesz jej przyścia i nie zdążysz nic zauważyć, wtedy czekanie staje się podwójnie nieprzyjemne.

Chociaż, z drugiej strony, skazańcy pewnie by się z tym nie zgodzili...

Martin znajdował się już w różnych sytuacjach, nawet w takich, gdy szansa przeżycia wynosiła jeden do dwóch albo do trzech i dlatego odniósł się do tego czekania ze stoickim spokojem. Jedynym przejawem emocji było pocenie się oraz przemożne pragnienie wykrzykiwania wulgarnych przekleństw. Dłoń Iriny spocila się wcześniej niż jego ręka, Martin popatrzył na twarz dziewczyny i pojął – w tym momencie nie zgorszy jej najwulgarniejsze nawet przekleństwo. Gdy tylko to zrozumiał, pragnienie przeklinania znikło, podobnie jak strach. Najlepszym lekarstwem dla przestraszonego mężczyzny jest obecność przerażonej kobiety – świadomość, że obok ciebie jest ktoś słabszy, kto boi się znacznie bardziej, od razu dodaje odwagi.

Na szczęście oczekiwanie nie było długie. Nic nie zauważyli, hiperprzejście, podobnie jak śmierć, następuje szybko i bez teatralnych efektów. Tylko niebo wokół statku jakby zamrugało i delikatnie zmienił się rysunek gwiazdozbiorów. Trzy lata świetlne to w końcu nie tak wiele.

– Skoczyliśmy, skoczyliśmy! – wykrzykiwał radośnie Pietieńka. – Ścigam planetę, a ona ucieka!

Pilot miał rację – planeta rzeczywiście uciekała. Mały, żywy stateczek miał swój ciąg w stosunku do układu, do którego się przenieśli – i cały gwiazdny system kluczników odchodził w dal. Martinowi zapało dech w piersiach, gdy za przezroczystym korpusem statku przemknęła – bo trudno to inaczej nazwać – zasnuta białymi obłokami planeta, i niemal natychmiast przemieniła się w oddalającą się kulę. Piłeczka tenisowa, ciśnięta ręką wielkoluda...

Ale mimo wszelkich dziwactw silnika kluczników, mimo infantylności bezzaryjskiego pilota, zarówno silnik, jak i pilot zasługiwali wyłącznie na pochwały. Planeta drgnęła i zaczęła się przybliżać, Pietieńka głośno komentował swoje działania, a Pawlik ochoczo wygłaszał pochwały i donośnie chichotał. Przeciążeń nie było, ale dało się wyczuć lekkie szarpnięcia. Minęło kilka minut – a może kilka sekund? – i statek ponownie zawisł na orbicie.

Ale planeta, która teraz znalazła się pod nimi, wyglądała inaczej, zaś brzeżek słońca, wysuwający się zza jej tarczy, był żółty, ciepły i absolutnie ziemski. Gamma Capelli. Planeta, z której wyszła ekspansja kluczników.

– Na razie żyjemy – oznajmił raźnie Pawlik. – Dziwne, ale przestrzeń wokół jest pusta. Nie widzę satelitów na orbicie, nie ma Stacji ani statków...

Martin zrozumiał, że bezzaryjczyk nie mówi o zwykłym wzroku – zapewne korzystał z jakiegoś systemu obserwacyjnego statku.

– Czy moglibyśmy się rozejrzeć? – zapytał.

– Oczywiście, przepraszam – tym razem Pawlik się nie wygłupiał. – Wyprowadzam na kopułę zsyntetyzowany obraz.

Przezroczysta kopuła nad ich głowami zrobiła się mlecznobiała i pojawił się obraz, nieuchwytnie sztuczny, jak w porządnej grze komputerowej albo wysokobudżetowym filmie w rodzaju Siódmego Epizodu *Gwiezdnych wojen*. Martin dostrzegł coś na kształt celownika, sunącego po kopule-ekranie. W celowniku obraz stawał się bardzo szczegółowy, pojawiały się jakieś małe znaczki, strzałki, kolorowe fiszki... „Celownik” sunął po ekranie z potworną szybkością.

– Bardzo szybko oglądasz, nie zdążamy niczego zauważyć – przyznał się Martin.

– Rozgrzałem niebieski labirynt do maksymalnej dopuszczalnej temperatury – wyjaśnił Pawlik.

– Jeszcze pół stopnia i zacznę bredzić... Przyjaciele, tutaj nic nie ma! Ta planeta jest pusta jak wydmuszka!

„Celownik” zwolnił. Jakby pragnąc zademonstrować ludziom możliwości swojego statku, Pawlik naprowadził go na kilka obszarów planety, obraz został powiększony i można było zobaczyć skały, rośliny, rzeki, a nawet jakieś ptaki, albo istoty podobne do ptaków, krążące nad brzegiem morza.

– Tutaj jest życie! – wykrzyknął Martin.

– Jest życie, atmosfera tlenowa, planeta nadaje się dla humanoidów – potwierdził Pawlik. – Za to brakuje jakichkolwiek śladów cywilizacji. Nie ma fabryk, miast ani silnych źródeł energii.

– Na waszej planecie też nie ma fabryk... – nie dawał za wygraną Martin.

– Owszem, ale klucznicy to cywilizacja technologiczna! – wykrzyknął Pawlik. – Oszukano nas! Ta planeta nie może być ojczyzną kluczników! Poza tym, nie ma tu czarnych gwiazdolitów.

– Mówiłeś, że będą większe stateczki... – powiedział smutnie Pietieńka. – Okłamałeś mnie?

– Wszyscy zostaliśmy okłamani – odparł z goryczą Pawlik. – Pietieńka, czy my naprawdę jesteśmy przy Gammie Capelli? Sprawdź współrzędne.

– Już sprawdziłem. Jesteśmy przy planecie Gammy Capelli.

– Oszustwo – podsumował Pawlik. – Wszędzie oszustwo. Czyżby klucznicy odkryli nasz plan i wysłali nas do niezamieszkanego planety? Co za podłość!

– Przepraszam, a jak stąd wrócimy? – spytała niespodziewanie Irina. – Z tym waszym silnikiem?

– Daj spokój, Irina – powiedział z goryczą Pawlik. – Ten silnik nie jest w stanie rozwinąć niezbędnej prędkości, poza tym nasz zapas energii jest niewystarczający.

– To jak mieliście zamiar wrócić? – uniósł brwi Martin.

– Szczerze mówiąc, prawdopodobieństwo szczęśliwego powrotu było tak niewielkie – wyznał bezzaryjczyk – że nie rozpatrywaliśmy tej kwestii na poważnie. W razie powodzenia chcieliśmy zwyczajnie poprosić kluczników, żeby odesłali nas na Bezzar.

Martin milczał. W końcu pretensje mógł mieć wyłącznie do siebie. Trzeba było zawczasu zapytać, czy powrót jest w ogóle przewidziany.

– Pietieńka, wyprowadź nas na dzienną stronę planety – polecił Pawlik.

Przestrzeń znowu zawirowała i po kilku sekundach pod statkiem załśnił w słońcu rajski świat. Wody na planecie było mniej niż na Ziemi, Martin dostrzegł tylko jeden porządny ocean, za to całe mnóstwo rzek, jezior, kilka potężnych łańcuchów górskich, dość niskich i porośniętych lasami. Niemłoda i pewnie dlatego spokojna planeta.

– Bardzo dobre wskazania temperaturowe – potwierdził jego domysły Pawlik. – Przyjemny, umiarkowany klimat, procesy górotwórcze dawno zakończone, dużo roślinności... Nic nie rozumiem. To mogłaby być ojczyzna kluczników, gdyby były jakiegokolwiek ślady cywilizacji!

– Przynajmniej nie grozi nam śmierć – wtrąciła dzielnie Irina.

Pawlik zaśmiał się cicho.

– Wam – nie. Poza tym, jesteście osobnikami różnej płci i możecie mieć potomstwo. Chcecie

wylądować i skolonizować tę planetę?

– A wy moglibyście tu żyć? – zapytała Irina.

– Mamy pewną ilość odczynnika, zmieniającego właściwości wody – powiedział Pawlik po chwili wahania. – Przecież nie wykluczaliśmy ewentualności szantażu... Moglibyśmy żyć tutaj dość długo, tworząc zamkniętą biosferę. Ale nie zdołamy przetworzyć całej planety. Nie mówiąc już o tym, że po czymś takim ten świat stałby się nieodpowiedni dla normalnych form życia. Jeśli miejscowe zwierzęta okażą się dla was jadalne...

– Powoli, powoli, nie mamy zamiaru bawić się w kosmicznych Robinsonów! – zawołał Martin. – Uspokój się, ochłódź swój mózg i zastanów się. To na pewno jest ta planeta, do której prowadziły Wrota kluczników?

– Byliśmy pewni, że to właśnie ona – przyznał samokrytycznie Pawlik. – Ale sami widzicie...

– To kurort – stwierdził Martin, patrząc na sunące po ekranie krajobrazy – lasy, rzeki, jeziora. Miejsce wypoczynku i relaksu. Klucznicy wyruszają tu, by odpocząć po swojej zmianie. Gdzieś tutaj powinny być Stacje!

– Tylko czy zdołamy je odnaleźć? – zapytał sceptycznie Pawlik. – Poza tym, dla głównego celu naszej misji nie ma to znaczenia. Jeśli to nie jest ojczysta planeta kluczników...

– Przy Gammie Capelli jest tylko jedna planeta? – przerwał mu Martin.

Przez jakiś czas Pawlik milczał, wreszcie wykrzyknął:

– Jaki to był dobry pomysł, żeby wziąć was ze sobą! To przy naszym słońcu jest tylko jedna planeta! Nigdy bym nie pomyślał... Pietieńka!

– Skanuję przestrzeń! – zawołał żwawo Pietieńka. – Stwierdzono gazowego giganta, życie na powierzchni niemożliwe. Stwierdzono małą planetkę, bliską gwiazdzie. Zbyt wysoka temperatura na powierzchni, śladowe ilości atmosfery... Stwierdzono jeszcze jedną planetę o podobnych rozmiarach, o atmosferze z neutralnych gazów... Nie nadaje się do życia... otoczona pasem asteroidów...

Zamilkł i podsumował:

– To wszystko.

– Nie udało się – powiedział Pawlik. – Lądujemy?

Martin milczał. Planeta, nad którą krążyli, rzeczywiście wyglądała cudownie. Zapewne na Ziemi znalazłoby się tysiące ludzi, gotowych kupić bilet w jedną stronę.

Martin do nich nie należał i dlatego myślał.

Co zrobiliby ludzie, gdyby zyskali wszechpotęgę, albo coś bardzo jej bliskiego? Po nakarmieniu głodnych, napojeniu spragnionych, pokonaniu chorób, zakończeniu wojen?

Ludzie próbowaliby przekształcić Ziemię w rajski ogród. W swoim ludzkim rozumieniu. Bujna, triumfująca przyroda. Przytulne, wkomponowane w krajobraz domki – i żadnych fabryk. A zakłady produkcyjne i Stacje przenieśliby na jakąś inną planetę, na Marsa albo Wenus.

– Pawlik, oni gdzieś tu są – odezwał się Martin. – Na tej planecie z atmosferą z neutralnych gazów na przykład. Tam są ich fabryki i miasta.

– A tutaj?

– Tutaj jest raj. Tutaj kąpią się w rzekach, jedzą, bawią się i rozmnażają. Tak jak tysiące lat temu.

– Ale dlaczego? – oburzył się Pawlik. – Po co niszczyć wszelkie ślady cywilizacji technicznej? Najpierw budować, potem burzyć?

– Nawet sobie nie wyobrazasz, jak bardzo przedstawiciele cywilizacji technicznych pragną zniszczyć całą swoją technikę.

– Zaryzykujemy – zdecydował Pawlik, nie spierając się dłużej. – Pietieńka! Co ty na to?

– Z tej odległości nie mogę szczegółowo zbadać pozostałych planet – pisnął pilot. – Lecimy?

– Tak.

– Hura! – zawołał młody bezzaryjczyk. – Wyliczam kurs. Trudna sprawa... czy mogę trochę podgrzać niebieski labirynt?

– Nie, chłopcze – odparł surowo Pawlik. – Jest już wystarczająco podgrzany. Pracuj.

Przez jakiś czas statek krążył nad planetą. Martin wpatrywał się w ekran i próbował wypatrzeć w płynących pod nimi krzakach choćby jednego klucznika. Niestety, obraz nie był wystarczająco ostry.

– Wierzysz, że klucznicy są na innej planecie? – spytała cicho Irina.

– Tak – odpowiedział szeptem Martin. – Próbowałem myśleć tak jak oni. Niewiele osób może zrozumieć kluczników. Ale wydaje mi się, że pod tym względem oni są bliscy ludziom.

– A jeśli tam nikogo nie będzie? – ciągnęła Irina. – Jeśli nie będzie tam żadnej Stacji?

– Cóż, wówczas ja będę polował, a ty będziesz pilnować ognia – odparł Martin.

– Jest jeszcze jedno wyjście – szepnęła Irina niczym spiskowiec. – Jeśli zginę, moje... moje siostry dowiedzą się, co się stało. I spróbują ci pomóc.

– Jak? – Martin pokręcił głową. – Namówią bezzaryjczyków, żeby wysłali ekspedycję ratunkową? Dzięki. Poprzestaniemy na prostszych wariantach.

– Jestem gotów do wyruszenia! – oznajmił rażno Pietieńka. Chyba możliwość pilotowania statku poprawiła mu humor.

– Lecimy – zakomenderował Pawlik.

Planetę pod nimi jakby zwiąło. Statek bezzaryjczyków znowu zaczął przesuwac Wszechświat.

– Mimo wszystko to trudna i nienaturalna droga – rozmyślał na głos Pawlik. – Jeśli cywilizacja osiągnie takie wyżyny jak cywilizacja kluczników, to nie będzie terraformować swojej planety do stanu pierwotnego. Rozumiem, czym jest tęsknota za przyrodą, ale taka tęsknota jest charakterystyczna dla mniej rozwiniętych ras, które już zanieczyściły swoje środowisko, a jeszcze nie przystosowały się do życia w miastach. Weźmy takich aranków – zrekonstruowali przyrodę, nie niszcząc przy tym swoich miast i fabryk. Mają skanseny, a jednocześnie istnieje cała sieć megapolis...

– Mówisz o przypadku naturalnego rozwoju cywilizacji – zauważył Martin. – A jeśli cywilizacja stała na ziemskim poziomie – zatrute rzeki, wyrąbane lasy, toksyczne powietrze – i nagle – wszechpotęga?

– Za to właśnie najbardziej lubię Obcych – za nienaturalną logikę – uśmiechnął się Pawlik. – Sprawdzimy, przyjacielu. Zaraz sprawdzimy.

– Długo będziemy lecieć? – zapytał Martin.

– Siedem godzin – oznajmił melancholijnie Pawlik. – Będzie dużo czasu, żeby przedyskutować najróżniejsze hipotezy.



Faktycznie mieli sporo czasu na dyskusję, jedzenie, sen. A także skorzystanie z systemu urządzeń sanitarnych – funkcjonalnego, ale niezbyt wygodnego z ludzkiego punktu widzenia.

A na dwie godziny przed przybyciem do planety Pietieńka oznajmił, że wokół planety występuje nie pas asteroidów, lecz pierścień sztucznego pochodzenia. Wyobraźnia Martina od razu narysowała opiewany w fantastyce świat-pierścień, w którym mieszkają klucznicy, wielbiący technikę.

Ale wszystko okazało się znacznie prostsze.

Małą, zimną planetę o szaroniebieskiej powierzchni otaczał pierścień, czy nawet kilka pierścieni, składających się z wirujących na wysokich orbitach czarnych statków. Nad pępym, pustym światem, oddzielone dziesiątkami kilometrów, płynęły tysiące ogromnych, czarnych kul. Kilka warstw, na kilku orbitach, niczym konduktory, niczym diadem z czarnych pereł na niebieskim obliczu martwej planety...

– Mieliśmy rację! – wykrzyknął Pawlik. – Mieliśmy rację! Przyjacielu, udzieliłeś nam wsparcia w minucie zwątpienia! Dziękuję!

– W czym mieliśmy rację? – nie rozumiał Martin.

– Klucznicy nie mogli zbudować podobnej floty! – wykrzykiwał podniecony bezzaryjczyk – To wymagałoby rezerw kilku planet urbanistycznych. Klucznicy znaleźli flotę zaginionej starożytnej rasy! Żyli sobie spokojnie, budowali miasta i fabryki. A potem zauważyli, że wokół sąsiedniej planety krąży takie dziwo. Wysłali ekspedycję... i znaleźli magazyn statków! Może jeszcze jakieś konstrukcje na samej planecie? To rzeczywiście klucznicy, Martinie! Nie są budowniczymi Wrót, lecz bezprawnymi użytkownikami!

– Czemu nie spadkobiercami? – zaprotestował Martin. – Na Ziemi bezpieczni majątek należy do tego, kto go znalazł.

– Typowo wielokomórkowe podejście – oznajmił z dezaprobatą Pawlik. – Bezpečni majątek należy do wszystkich!

Martin nie rozumiał, czy bezzaryjczyk żartuje, czy wyjątkowo mówi poważnie. Statek wszedł na orbitę martwej planety. Pawlik z zapalem skanował jej powierzchnię, w końcu oznajmił:

– Żadnych oznak cywilizacji. To znaczy, że znaleźli jedynie statki. Poznali mechanizm działania, doprowadzili do porządku swoją planetę i szczęśliwie sobie na niej żyją. A pojedynczy osobnicy wyruszyli na podbój galaktyki. Ach, jak to się świetnie składa!

Martin poczuł się nieswojo.

– Coś ty wymyślił, Pawlik?

– Należy powstrzymać falę ekspansji – obwieściła ameba. – Zgadzasz się?

– Należy omówić z klucznikami nasze domysły – powiedział z naciskiem Martin. – W końcu są istotami rozumnymi i inteligentnymi.

– No właśnie, rozumnymi – prychnął Pawlik. – Przyjacielu, oni będą przedłużać swoją ekspansję w galaktyce, póki nie będzie za późno. Żadna istota rozumna nie zrezygnuje z podarunku bogów!

– Dobrze. Co w takim razie proponujesz? – spytał Martin. – Porwać jakiś statek? Zaatakować tę spokojną planetę, na której klucznicy odpoczywają po pracy?

– Wątpię, by wystarczyło nam sił na porwanie choćby jednego statku – zauważył rozsądnie Pawlik. – Prawdopodobnie klucznicy przez setki lat studiowali obcą technologię, a nam nie dadzą nawet dwóch dni... Poza tym, porwanie statku to niebywała pokusa – czy sądzisz Martinie, że my nie

chcemy osiąść tej wiedzy? Że nie chcemy przeorać galaktyki wzdłuż i wszerz, wyruszyć do centrum Wszechświata, osiąść tajemnic przestrzeni, czasu i materii? To wielka pokusa, Martinie!

– Pierścień wszechwładzy – powiedział ponuro Martin, patrząc na krążącą wokół planety czarną obręcz. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie zrezygnowałby z czegoś takiego.

– Dlatego musimy zniszczyć wszystkie czarne statki – podsumował Pawlik. – Nie będziemy zadawać definitywnego ciosu zamieszkaną planetę, genocyd to nie nasza metoda. Ale za jednym zamachem pozabawimy kluczników całej floty – i fala ekspansji zostanie przerwana. Nie sądzę, żeby w tej chwili używali więcej niż tysiąca statków... a tutaj są ich dziesiątki, setki tysięcy!

– Jaka jest temperatura twojego niebieskiego labiryntu? – zapytał uprzejmie Martin.

– O stopień wyższa od krytycznej – odparł uczciwie bezzaryjczyk. Część jego receptorów wzrokowych zwróciła się w stronę ludzi. – Zrozum! Nie zdecydowałbym się na taki czyn, gdybym był przy zdrowych zmysłach. Musiałem wprowadzić się w stan kontrolowanego, ograniczonego szaleństwa.

Martin pochwycił wystraszone spojrzenie Iriny i zapytał spokojnie:

– A jak planujesz zniszczyć setki tysięcy statków, wielkości kilometra każdy? Taranem?

– Martinie! – wykrzyknął zawadiacko Pawlik. – Czy naprawdę nie wiesz, że każdy silnik może posłużyć jako broń? Przesuniemy Wszechświat w stosunku do tych statków. Niedużo, tak, żeby weszły w gwiazdę. To potężne maszyny, ale czegoś takiego nie wytrzymają nawet one.

– A ja mogę jeszcze przesunąć je częściami – poparł Pawlika Pietieńka. – Najpierw jedną połówkę kuli, potem drugą!

– Ach ty mój mądralo – powiedział czule Pawlik. – Genialne dziecko, nieprawdaż?

– Pawlik, jesteśmy przeciwni! – zaprotestował głośno Martin. – Skoro już uczestniczymy w tej ekspedycji...

– Nie obiecywałem wam prawa głosu decydującego! – przypomniał bezzaryjczyk. – Lubię ludzi i postaram się o was zatroszczyć... nawet za cenę własnego życia. Ale czarne statki muszą zginąć.

– Pawlik! – krzyknęła Irina. – Nie wspominałeś o podobnych rozwiązaniach!

– Gdy byłem przy zdrowych zmysłach, wydawały mi się one ohydne – przyznał ze smutkiem Pawlik. – Postarajcie się nie denerwować. Wszystko stanie się bardzo szybko.

Bardzo powoli Martin wsunął rękę do kieszeni, wyjął rewolwer i odciągnął kurek. Następnie wysunął rękę przez sprężystą membranę, przyciskając ją do „fotela” i rzekł:

– Pawlik, opanuj się!

Ameba westchnęła:

– Martinie, czy zdajesz sobie sprawę, że znajdujesz się na żywym statku, którym umiemy sterować tylko my?

– Tak – powiedział Martin.

– I rozumiesz, że posłuszny mojemu błyskawicznemu rozkazowi statek może cię zmiażdżyć lub rozerwać na pół?

– Tak.

Pawlik roześmiał się:

– Co za męstwo! Nie wyrządę wam krzywdy, przyjaciele! Nadal uważam was za przyjaciół i sprzymierzeńców. Po prostu jesteście ograniczeni barierami rozumu. Martinie, strzelaj śmiało.

Działania dynamiczne nie są w stanie wyrządzić krzywdy mojemu ciału, kula przejdzie na wylot.

– Nawet jeśli trafię w niebieski labirynt? – zmrużył oczy Martin.

– Nawet – zachichotał Pawlik. – Struktura przepuści kulę i będzie kontynuowała pracę.

– Wcale nie liczę na energię kinetyczną – wyznał Martin i nacisnął spust.

W małym pomieszczeniu kabiny wystrzał zabrzmiał miękko i głucho. W przezroczystym cieple bezzaryjczyka pojawił się kipiący ślad – jakby w wodę wetknięto rozpaloną igłę. Wrzący pas przeszedł prosto przez niebieski labirynt.

Kula przeszła na wylot, z młaśnięciem przebiła kopułę i nie zostawiając śladu, odeszła w kierunku czarnych gwiazdolotów.

– Chi, chi, chi... – powiedział Pawlik. – Skórka. Koronka. Królowa sentencji. Esencja.

Przez chwilę milczał, a następne słowa zabrzmiały jakby całkiem na miejscu:

– Demencja, demencja! Chi, chi. Role, cienia, litania!

– Liczyłem na przejście energii kinetycznej w potencjalną – skomentował Martin i strzelił jeszcze dwa razy.

Wrzące pasy znowu przebiły niebieski labirynt. Bezzaryjczyk wydał cienki pisk i oznajmił:

– Ezh. Ohro. Aaaaa. Rooooo!

Korpus statku zawibrował.

Martin popatrzył na Irinę. Dziewczyna krzyczała, ale on nie słyszał krzyku, jakby świadomość filtrowała niepotrzebne dźwięki.

– Doprowadziłem go do szaleństwa – wyjaśnił Martin. – Wybacz, Irino, ale nie możemy pozwolić, żeby zniszczyli flotę.

– Pawlik ma teraz takie ciekawe myśli! – oznajmił urażony pilot Pietieńka. – Dlaczego tylko on? Ja też chcę!

– Wysadź nas na planecie kluczników – powiedział Martin. – Na tej, na której byliśmy na początku. A ja sprawię, że twoje myśli będą równie ciekawe.

– A stateczki? – zapytał urażony Pietieńka.

– Potem – Martin mówił łagodnie, jak do ludzkiego dziecka. – Potem powrzucasz stateczki w słońce. Najpierw odwieź nas z powrotem.

– Nie oszukasz mnie? – dopytywał się Pietieńka.

Krzyk Iriny dotarł do świadomości Martina w momencie, gdy dziewczyna przestała krzyczeć i zapytała:

– Po co? Po co to zrobiłeś? Idioci!

Martin popatrzył na nią i poważnie wyjaśnił:

– Żeby pozostałe statki kluczników nie rozniosły na pył Bezzaru i Ziemi. On nie rozumie wielokomórkowców. Nie rozumie pojęcia „zemsta”.

Irina zamknęła oczy. Skinęła głową i wyszeptwała:

– Chcę stąd odejść. Martin... Coś się dzieje...

– Ludzie – odezwał się zakłopotany Pietieńka. – Nie zdołam odwieźć was na tamtą planetę. Przepraszam. Te kawałeczki metalu, które rozpedziłeś, dotarły do czarnych statków i uderzyły w kadłub. Statki ozywają.

Martin popatrzył na ekran-kopułę w momencie, gdy girlandy czarnych statków otuliły się przezroczystym białym światłem. Pawlik wesoło bulgotał, „celownik” obserwacyjny miotał się po ekranie, nie zatrzymując się na żadnym punkcie, niczym wzrok niemowlęcia, które jeszcze nie patrzy rozumnie.

To, co mieli przed sobą, nie było cmentarzem. I mimo znikomości ołowianych pocisków, nieznanne mechanizmy odebrały uderzenia w kadłub jako atak.

– Ojej! – zawołał Pietieńka! – Będziemy walczyć! A potem umrzemy, wszyscy umrzemy! Tylko dziewczyna nie umrze, bo jest jej jeszcze dużo, a nas jest mało...

Statek odrzuciło w bok i raczej nie był to efekt przesunięcia Wszechświata. Przeciężenie przejechało po ciele Martina niczym walec. Ściągało ich do czarnych statków, połyskujących martwym światłem. Czy Martinowi się zdawało, czy jeden ze statków rzeczywiście rozpadł się na dwie połówki?

– Martin! Martin!

Popatrzył na Irinę, już domyślając się, co ona powie.

– Boję się! – krzyknęła dziewczyna. – Boję się tych statków!

– Spokojnie – powiedział Martin. – Spokojnie! Mamy szansę!

– Nie chcę – krzyczała Irina, szamocząc się w szczelnym kokonie. – Nie chcę tam iść! Pomocy! Zrób coś!

– Pomóc ci? Chcesz się przestać bać? – zapytał wesoło Pawlik. – Na zawsze?

– Tak!

Martin strzelił do Pietieńki, ale statkiem rzucało tak, że nie udało mu się trafić w niebieski labirynt za pierwszym razem. Najpierw krzyknęła Irina. A potem nastąpił silny wstrząs i Martin stracił przytomność.

# Część szósta

# Niebieska

## Prolog

W każdym człowieku tkwi strach przed ciemnością – będący echem czasów pierwotnych. Jedni ludzie są go prawie pozbawieni, innym udaje się z nim walczyć, a jeszcze inni w ciemności przestają nad sobą panować i wpadają w panikę.

Martin po prostu nie lubił ciemności. Nie wypatrywał w ciemnych kątach zarysów zaczajonych bandytów czy potworów, lubił spacerować po uśpionym mieście i kąpać się nocą w ryczącym, niewidocznym oceanie, gdy jedynym punktem orientacyjnym jest szum przyboju i blask gwiazd na niebie. Ale nie podobała mu się ta nieunikniona negacja, którą niesie ze sobą ciemność. Przecież ciemność to przede wszystkim zwolnienie z prawa do patrzenia.

I teraz, siedząc w nieprzeniknionych ciemnościach nie wiadomo gdzie i czekając nie wiadomo na co, Martin nie wpadł w panikę. Obmacał już rękami swoją celę (bo jak inaczej można nazwać małe, zamknięte, ciemne pomieszczenie?) i stwierdził, że podłoga sprężynuje, do sufitu nie można sięgnąć ręką, a ściany są miękkie i nie ma na nich żadnych szwów czy śladów drzwi.

Jedno było pewne – gdzieś za tymi ścianami są klucznicy.

A teraz Martin myślał o Irinie. O tej hysterii, w którą dziewczyna wpadła po ataku czarnych statków.

Szczerze mówiąc, to była dziwna histeria. Wiedząc, że nasuwają się na nich tysiące gigantycznych statków, z których każdy prawdopodobnie może zniszczyć całą planetę, Martin wcale się nie bał. Wycelowana w twarz lufa, pędzący z naprzeciwka samochód czy agresywny typ, który zaczepił cię późną nocą – oto powody do strachu, zdrowego, naturalnego i mobilizującego siły.

A dziesięć tysięcy statków o kilometrowej średnicy? To nawet nie jest zabawne. W tym momencie skala po prostu przestaje istnieć. Wiele kobiet wpada w panikę na widok myszy lub pająka, ale Martin był absolutnie przekonany, że zjawiskami na skalę kosmiczną nie sposób ich wystraszyć.

Irina, wpadając w histerię, osiągnęła to, co chciała: na wpół obłąkany pilot Pietieńka spełnił jej prośbę. Miękkie kokony „foteli” rzeczywiście umiały niewolić i miażdżyć swoich „podopiecznych”.

Cóż, w jakimś sensie dla Iriny śmierć faktycznie nie istniała – przynajmniej na razie. Dwie pozostałe kopie (jeśli oczywiście jeszcze żyją) zyskają pamięć nieżyjącej Iriny... Jego Iriny. Ale czy to wystarczający powód, by kończyć życie samobójstwem?

Pięć śmierci Iriny Połuszkinej wirowało teraz w głowie Martina.

Pierwsza. Oszalały khannan, dobrodusznia, niemal rozumna istota, jedna z tych, z którymi dzieci na Bibliotece bawią się jak z psami.

Druga. Przypadkowa strzelanina i śmierć od kul tajemniczego kowboja, który wyraźnie polubił Irinę.

Trzecia. Znów przypadkowy strzał przyjaciela, który był przeznaczony dla Martina, a dostał się Irinie.

Czwarta – wyjątkowo głupia. Żeby pośliznąć się na krwi i upaść na miecz geddara!

Piąta. Histryczna prośba, spełniona przez obłąkaną amebę.

Jeśli nawet początkowo Martin podejrzewał, że Irina ginie na skutek czyjegoś (na przykład kluczników) działania, to trzecia, a zwłaszcza czwarta śmierć Iriny zachwiały tą pewnością. Musiałyby założyć, że klucznicy mają władzę nad losem i przypadkiem, że to oni sprawili, że

dziewczyna pośliznęła się i upadła na miecz! To już nie potęga, to wszechmoc! Przy takich możliwościach urządzenie strzelaniny na pokojowej, kolonialnej planecie czy szczucie khannana po prostu nie miałyby sensu!

– Fatum – powiedział Martin na głos. – Los.

Zastanowił się chwilę i dodał:

– Karma.

Mówi się czasem „ten człowiek to długo nie pożyje”, albo „stoi jedną nogą w grobie”. Zazwyczaj określa się w ten sposób ludzi nieuleczalnie chorych, ale czasem absolutnie zdrowy człowiek budzi takie myśli. Swoją intuicją oraz umiejętnością wyczuwania takich ludzi lubią się chełpić tak zwani jasnowidze i prorocy małych, acz wojowniczych sekt. Do wypowiedzi w rodzaju: „Gdy tylko zobaczyłem kapitana mającego wkrótce zatonać statku, od razu zrozumiałem – długo nie pożyje” – Martin zawsze odnosił się bardzo sceptycznie, a nawet z rozdrażnieniem – znaleźli się prorocy po fackie. Ale teraz gotów był przyznać, że ludzie, na których śmierć odcisnęła swoje piętno, rzeczywiście istnieją i widocznie niektórzy naprawdę wyczuwają grożący im los.

Niestety, Martin potrzebował aż pięciokrotnego powtórzenia, by wreszcie zapamiętać lekcję.

Być może Jurij Siergiejewicz miał rację i Martin rzeczywiście występował w charakterze katalizatora? Mimo wszelkich prób chronienia Iriny?

Być może...

Martin oparł brodę na kolanach i objął głowę rękami. Myślał. Próbował zrozumieć, co ma robić dalej, choć nie miał żadnej pewności co do tego „dalej”.

A potem zauważył słabe światło, przeciskające się przez palce. Podniósł głowę i zobaczył, że na przeciwległej ścianie celi pojawił się cienki, jasny prostokąt – zarys uchylonych drzwi.

Nieznani „strażnicy” uznali, że celę można otworzyć.

Martin wstał, prostując zdrętwiałe nogi, i podszedł do świecącego konturu. Nie znalazł żadnej klamki, więc po prostu pchnął drzwi, które otworzyły się posłusznie.

Korytarz. Niemalowane ściany z jasnego drewna, drewniana podłoga, a na suficie albo okna z matowym szkłem, albo lampy. Martin popatrzył na siebie – miał ubranie, ale brakowało butów. I oczywiście rewolweru.

– Mogę wyjść? – rzucił w przestrzeń, ale nie doczekał się odpowiedzi. Dobrze. Kto się nie schował, ten kryje.

Zaczął iść korytarzem, na końcu znalazł jeszcze jedne drzwi, tym razem z okrągłą, drewnianą gałką.

– Puk-puk – powiedział Martin, stukając w drzwi kostkami palców. – Mogę wejść? Uwaga, wchodzę...

Martin otworzył drzwi i wszedł na zalaną słońcem, nieoszkloną werandę. Poczul lekki powiew wiatru.

Gdzieś nieopodal szumiała woda. Nie morze, nie strumień, raczej rzeka – brzmiało to jak równy, silny huk górskiej rzeki. Drzewa, nie przypominające ziemskich, ale z zielonymi liśćmi, podobnym pniem i podobnymi gałęziami, skrywały rzekę przed Martinem.

Na środku werandy stał okrągły, duży stół zastawiony potrawami. Jeden z dwóch prostych, drewnianych foteli o nietypowym kształcie był pusty.

Na drugim siedział wysoki, smukły klucznik.



Odprowadzany jego zamyślnym spojrzeniem, Martin zatrzymał się na progu. Klucznik nie przeciągał milczenia.

– Smutno tu i samotnie – powiedział. – Porozmawiaj ze mną, wędrowcze.

Martin nawet się specjalnie nie zdziwił.

Jakoś nie mógł uwierzyć w przesłuchanie, prowadzone przez kluczników. W dożywotnie więzienie lub rozstrzelanie tym bardziej.

– Czy mógłbym coś zjeść? – zapytał Martin. – Ostatnim moim posiłkiem był befsztyk z ameby, w dodatku jakiś czas temu.

Rzecz jasna, klucznik nie odpowiedział. Ale nalał do swojej szklanki pomarańczowego płynu z karafki.

Martin usiadł przy stole z twardym postanowieniem niezadawania pytań – bo i po co? – i nieudzielania odpowiedzi – z czystej złości.

Ale klucznik nie nalegał na prowadzenie konwersacji. Siedział, pił sok i obserwował jedzącego Martina.

Mimo naturalnego lęku przed niewiadomą oraz napięcia, przygotowane potrawy bardzo Martinowi smakowały. Jako w głębi duszy konserwatysta, egzotyczną kuchnię innych planet Martin traktował z dużą ostrożnością. Oczywiście, jeśli nie miał wyboru, mógł zjeść na obiad dziwaczne mięczaki, befsztyk z ameby lub owoce o nieprzyjemnym kształcie i zapachu. W końcu ziemską kuchnię też obejmuje zgniłą płetwę foki, która pół roku przeleżała w ziemi czukockiej, lekko przysmażoną szarańczę po beduińsku, mózg żywej małpy po tajsku, słynne marmurkowe jaja oraz inne specjały kuchni chińskiej.

Zresztą, najbanalniejsze dania nieprzyzwyczajonemu człowiekowi mogą wydawać się niezbyt apetyczne. Martin pamiętał, z jakim przerażeniem przyglądał mu się znajomy obcokrajowiec, gdy Martin jadł kaszę gryczaną z mięsem; znał dziewczynę, która wpadała w histerię na widok czarnego kawioru, a jego ukochany wujek, człowiek o rozległych upodobaniach gastronomicznych oraz wielki patriota, nie mógł bez wstrętu patrzeć na typowe rosyjskie danie – owsiany kisiel.

Zaserwowane przez kluczników potrawy były jednocześnie egzotyczne i przyjemne dla oka. Plastry delikatnego, różowego mięsa – najprawdopodobniej ryba – zostały lekko przysmażone i polane aromatycznym kwaskowym sosem. Małe gotowane kulki mogły być ziemniakami, ale w smaku wyczuwało się zapach świeżo pieczonego chleba. Przejrzysty bulion również wyglądał apetycznie – pływały w nim kostki rozgotowanych, nie znanych Martinowi warzyw i długie, cienkie paski twardego mięsa – doskonały kontrast konsystencji i smaku. Pomarańczowa ciecz okazała się sokiem, ale nie słodkim, lecz słonym, w rodzaju pomidorowego.

W głębi duszy Martin wiedział, że wygląd zewnętrzny może być bardzo mylący. Pozornie roślinny sok mógł być wydzieliną jakiegoś gigantycznego, krostowatego robala, twarde paski w bulionie wygotowaną skórka larw, a kwaśny sos – nalewką na przemielonych dżdżownicach.

Ale Martin odpędził te nieprzyjemne myśli, jadł z apetytem i został nagrodzony słowami klucznika:

– Te potrawy są maksymalnie bliskie człowiekowi pod względem smaku, wyglądu i pochodzenia. Mnie również smakują.

Martin skinął głową z wdzięcznością. Klucznicy czasem odpowiadali – ale tylko na nie zadane pytania. Coś w ich zachowaniu przypominało rozpuszczone dzieciaki, które nigdy nie spełnią bezpośredniego polecenia, a jednocześnie mogą być miłe i serdeczne z własnej inicjatywy.

– Smutno tu i samotnie – powiedział od razu klucznik, jakby wstydząc się własnej serdeczności.  
– Porozmawiaj ze mną, wędrowcze.

Martin odstawił szklankę z sokiem i skinął głową.

– Chcę opowiedzieć o osieroconych dzieciach – zaczął. – Zdarza się, że dzieci tracą rodziców...

Klucznik czekał.

– Nie wiem dokładnie, dlaczego zniknęli ich rodzice – ciągnął Martin. – Czasem tak bywa. Katastrofa... czyjaś zła wola... i dzieci zostają same. Wcale nie były podobne do rodziców – świat się zmienił, a jedyne, co rodzice mogli im dać, to możliwość przeżycia w nowym świecie. I pamięć. O świecie, który odszedł, o przodkach, którzy zginęli. O tym, że one muszą być inne. Nieważne, lepsze czy gorsze – po prostu inne. I dzieci poczuły się urażone.

Wierz mi, kluczniku, dziecięca uraza to straszna rzecz! Łatwiej rozwiązać zagadkę Biblioteki, niż zgłębić tajniki dziecięcej duszy. Dumni geddarowie wychowują khannanów na istoty rozumne i najbardziej na świecie boją się je obrazić. Arankowie, nieustraszeni i mądrzy, niczego nie odmawiają swoim dzieciom... Może zrozumieli, jak dziecięce łzy odbijają się w przyszłości? Aborygeni z Prerii 2 również są obrażeni na złych bogów, którzy porzucili ich przodków... Ale oni noszą urazę w sobie – a te osierocone dzieci postanowiły rzucić wyzwanie złym bogom. Rasa diodao, posiadając pamięć przodków, straciła swoją historię i zachowała jedynie skostniałe rytuały – a te dzieci pamiętały Armageddon, który odebrał im rodziców...

Klucznik, do tej pory uważnie słuchający Martina, teraz poruszył się niespokojnie:

– Już zrozumiałem. Nie musisz kontynuować.

– Wobec tego nie będę wspominał o Sheali i Talizmanie – rzucił mściwie Martin. – Bezzaryjczycy okazali się zdolnymi dziećmi i godnymi następcami. Stworzyli nową cywilizację... niepozorną, nie zwracającą uwagi, ale zdolną rzucić wyzwanie najsilniejszym rasom galaktyki. Mają poczucie humoru, czyli to, co różni instynkt od rozumu. Wiele umieli, dużo się nauczyli... Nie potrafili tylko jednego – dorosnąć. Pozostali porzuconymi dziećmi, ogarniętymi pragnieniem pomszczenia rodziców. Czasem impulsywnymi, czasem wojowniczymi, a zawsze zarozumiałymi i odrzucającymi myśl o własnej śmiertelności. Gotowi mścić się za tysiącletnie urazy i krzywdy, nie rozumieli, że zemsta prowadzi jedynie do zemsty. Nie sądzę, żeby to była biologiczna cecha ich rasy. Prędzej stereotyp społeczny. Ci, którzy stworzyli bezzaryjczyków, nie zdołali ich wychować.

– Czy ktoś wychowywał ludzi i geddarów? – zapytał klucznik.

– My mieliśmy więcej czasu – odrzekł Martin. – Przeszliśmy swoją drogę. Dorośliśmy... tak, jak zdołaliśmy, ale mimo wszystko dorośliśmy. A bezzaryjczycy jeszcze nie. I nie wiem, czy teraz mają jeszcze szansę dorosnąć.

– Boisz się o bezzaryjczyków?

– Boję – wyznał Martin.

– Co za różnica, czy cywilizacja rozumnych ameb umrze, czy nie? Co dla ciebie znaczy ich śmierć, człowieku?

– Zasmakował mi koniak ich produkcji – uśmiechnął się Martin.

Klucznik zamilkł i pokręcił głową.

– Smutno tu i samotnie, wędrowcze...

– Jeszcze nie skończyłem – przerwał mu szybko Martin. – Bezzaryjczycy to utalentowane dzieci,

ze wszystkimi nastoletnimi kompleksami. Ale nie sędzę, żebyśmy my, ludzie i geddarowie, dio-dao i arankowie, mieli powód do dumy. Według miar galaktyki – ciągle siedzimy w kojcu. I nawet, jeśli nauczymy się raczkować i potrząsać grzechotkami, nadal będziemy na początku drogi.

– Nie jesteście już w kojcu – pokręcił głową klucznik. – Już zrobiliście pierwsze kroki.

– Cóż, być może weszliśmy na pierwszy stopień schodów, prowadzących na pierwsze piętro – poprawił się Martin. – Ale czy nauczymy się chodzić, jeśli będziemy noszeni na rękach? Czy cofniemy rękę przed ogniem, jeśli zostaną schowane zapałki? Czy zrozumiemy, co to takiego prąd, jeśli ktoś pozakleja kontakty, czy nauczymy się gryźć, jeśli będziemy karmieni papką?

Klucznik zaśmiał się cicho:

– Czy dziecko nauczy się utrzymywać równowagę, jeśli najpierw podaruje mu się trzykołowy rowerek? A jeśli pragnie latać – czy powinniśmy wpuścić go na dach? Uspokój się, Martinie. To jako przykład dwuznaczności dowolnej analogii. Wy nie jesteście dziećmi, my nie jesteśmy opiekunami. Nikt nie ma zamiaru was niańczyć. Nikt nie odbiera wam zabawek. Nikt nie będzie przeżuwał waszej kaszy za was. Walcie się po głowie grzechotkami jądrowymi, kopcie w piaskownicy w poszukiwaniu skarbów, modyfikujcie swój genom. Czy czegokolwiek wam zabranialiśmy? Czy sprzeciwialiśmy się rozkręcaniu podarowanych wam zabawek albo przerabianiu łopatek na włócznie?

– Ale... – zaczął Martin.

– To prawda, dzieci często gniewają się na rodziców za nadmierną troskę – ciągnął klucznik. – Ale z drugiej strony, często widzą nadzór tam, gdzie go nigdy nie było.

Martin patrzył na klucznika, daremnie próbując pochwycić choćby cień mimiki... uśmiech... kpinę albo pogardę... Nic. Nieruchoma maska pod gęstym, czarnym futrem.

– No cóż... – rzekł Martin. – W takim razie nadal będziemy bawić się zapałkami. Dopóki nie przyjdą ci, którzy zabiorą niebezpieczne zabawki wszystkim jednocześnie.

– Jesteś pewien, że zabawa zapałkami zawsze kończy się pożarem? – spytał klucznik.

– Jestem pewien tego, że igranie z ogniem kończy się potopem – odparł Martin. – Nie przekonam cię... więc proszę tylko o to, żeby nie karać dzieci, które dzwoniły do straży pożarnej.

– One nie dzwoniły, Martinie – zaprotestował klucznik. – One postanowiły spalić wszystkie zapałki za jednym zamachem... Nie rozumiejąc, że pożar sprasowany do jednej chwili to wybuch.

Klucznik zamilkł. Teraz, z głową podpartą rękami, wyglądał jak człowiek pogrążony w swoich myślach. Martin nie mógł oprzeć się wrażeniu, że klucznik z kimś rozmawia. Omawia jego słowa... podejmuje decyzję...

Wreszcie klucznik podniósł głowę.

– Rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Martin milczał. Nie ruszał się. Nie zadawał bezsensownych pytań, a jednocześnie nie próbował wstać.

– Rodzice mogą dać klapsa psotnym dzieciom – powiedział cicho klucznik. – Tym bardziej, jeśli są to porzucone dzieci... porzucone, ponieważ nie było innego wyjścia... nie zapomniane, ale porzucone na pastwę losu. Rodzice mogą dać dzieciom klapsa, ale nie będą urywać im głowy. Nie bój się o bezzaryjczyków, Martinie.

– Do diabła – wykrztusił Martin. – Wy...

– Ci, którzy nalali wodę rozumu do nowego naczynia, sami wybrali swoją drogę – ciągnął

klucznik. – Nie chcieli, aby Bezzar stał się pozbawioną życia pustynią. Wiele rzeczy zapomnieli i wielu się nauczyli. Nie trwóż się o mieszkańców Bezzaru, Martinie. Kontynuuj swą drogę.

– Irina – powiedział Martin. W głowie miał chaos, wiedział, że pytania nie mają sensu. Ale nie mógł nie zadać tego pytania – Irina pięć znaczyła dla niego znacznie więcej niż wszyscy klienci... niż cztery pierwsze dziewczęta, o tym samym imieniu.

Klucznik nie odpowiedział. Opuścił głowę, utkwiał wzrok w podłódze.

– Nie jesteście wszechmocni – rzekł Martin. – Prawda? I teraz zetknęliście się z czymś, czemu wasza rasa nie potrafi sprostać... Więc dlaczego kontynuujecie grę we wszechpotężnych bogów? Dlaczego nie podacie nam ręki... no dobrze, niechby nie nam... niechby arankom, dio-dao... albo przynajmniej własnym potomkom? Jeśli nie jesteście ani opiekunami, ani nadzorcami czy przewodnikami... czy nie możecie stać się przyjaciółmi? Starszymi braćmi?

Klucznik milczał. Potem popatrzył Martinowi w oczy i ten pochwycił w jego spojrzeniu ironię – gorzką ironię i zmęczenie mędrca, otoczonego głupcami.

A potem klucznik zniknął.

– Audiencja skończona – mruknął nieco stropiony Martin. Jeszcze nigdy klucznicy nie uciekali się do takiego sposobu kończenia rozmowy.

Martin nie od razu ruszył korytarzem – chociaż miał absolutną pewność, że Wrota znajdują się właśnie tam, w miejscu jego niedawnego więzienia. Najpierw wyszedł z domku i obejrzał go z zewnątrz. To był mały, przytulny, drewniany domek, zlewający się z lasem – na pokrytym darnią dachu rosły malutkie drzewka. Już z odległości dziesięciu metrów trudno było na tle lasu dostrzec omszałe, oplecione pnączem ściany. Chyba klucznicy nie potrzebowali takiego maskowania na własnej planecie? Choć trzeba przyznać, że właśnie ten kamuflaż wprowadził bezzaryjczyków w błąd.

Widocznie klucznicy po prostu lubili tak żyć.

Martin doszedł do rzeki i przez chwilę przyglądał się spadającemu z gór strumieniowi. Woda była krystalicznie czysta, migotały w niej szybkie rybki, a tuż przy brzegu jakieś puszyste zwierzątko czyściło sobie sierść. Nie zwracając uwagi na pojawienie się Martina, zanurkowało dopiero po zakończeniu toalety.

Tutaj naprawdę było pięknie...

Martin wrócił do małego domku, przeszedł przez pusty korytarz i stanął przed pulpitem. Terminal był zwyczajny, ziemski. Martin próbował zaznaczyć na liście kilka planet jednocześnie, ale ta niezaplanowana ewentualność już została zablokowana.

Wówczas Martin wybrał Ziemię i Moskwę.

Miasto przywitało Martina ulewnym deszczem. Ukośne strumienie waliły w kałuże, tworząc fontanny bryzgów, z dachów chlustały wodospady, deszcz rozgonił niemal wszystkich pikietujących. Tylko mężczyzna z plakatem „Gala, wróć!” z uporem sterczał przed Stacją. Stary parasol, ponury i czarny, miał kilka złamanych drutów i woda spływała na porzuconego męża (zresztą, skąd wiadomo, że męża?), lała mu się za kołnierz i ściekała po plakacie. Pomarańczowy marker, którym napisano beznadziejne i pozbawione adresu wezwanie, już się rozplątał, przemieniając litery w oryginalny eksperyment kaligraficzny.

Martin podszedł do wolnego punktu. Klucznicy nie oddali mu butów i teraz usiłował kroczyć po kałużach z całą nonszalancją, na jaką było go stać. W końcu chodzenie boso zabronione jest jedynie w metrze.

Naprzeciwko zmokniętego mężczyzny Martin zatrzymał się na chwilę. Spotkali się wzrokiem i mężczyzna lekko skinął głową – jakoś tak krzepiąco, jakby on i Martin znali się od dawna, jakby nie trzeba było żadnych słów i wystarczyło jedynie przyjacielskie spojrzenie.

– Powodzenia – wyszeptał Martin samymi wargami.

– Dziękuję – równie bezdźwięcznie odparł mężczyzna. Martin podszedł do pogranicznika, nudzącego się pod przezroczystym daszkiem, i podał paszport.

Nie patrząc na dokument, pogranicznik zerknął pod swój kontuar.

– To prawda, nazywam się Martin Dugin – przyznał Martin.

– Nie będzie pan stawiał oporu? – zapytał funkcjonariusz. Był bardzo młody i chyba się denerwował. A może przeciwnie, starał się wprowadzić procedurę zatrzymania w jakieś żartobliwe, życiowe koleiny?

– Ależ uchowaj Boże – rzekł Martin. – Po co?

Pogranicznik zawahał się. Nacisnął jakiś przycisk pod kontuarem, ale ochrona wcale nie miała zamiaru wychodzić na deszcz. Burdel, wszędzie burdel...

– Broń? – zapytał.

– Klucznicy zabrali – poskarżył się Martin. – Porządny rewolwer, ulubiony, można powiedzieć. I buty... wyobraża pan sobie?

Pogranicznik ostrożnie opuścił wzrok, studiując boscie nogi Martina, pokrywane się równomierną warstwą błota. Idealny moment, żeby go walnąć w głowę i uciec – gdyby Martin miał zamiar uciekać.

– A to dranie – zdumiał się szczerze pogranicznik. – Ale dlaczego buty?

– Też się dziwię – stwierdził Martin.

Wreszcie podeszła ochrona. Zmieszany funkcjonariusz zmienił ton i ostro polecił:

– Pójdzie pan z nimi, obywatelu. I bez wygłupów!

– Ależ ja jestem posłuszny jak baranek – prychnął Martin. Na wszelki wypadek założył ręce za plecy i poszedł – między swoimi konwojentami – do zarządu straży granicznej, zajmującej dwa pierwsze piętra najbliższego domu mieszkalnego.

Jurij Siergiejewicz przyjechał dopiero wieczorem, gdy Martin dojechał więzienną zupę. Musiał

przyznać, że zatrzymanych przy wyjściu ze Stacji traktowano bardzo przyzwoicie. Umieszczono go w czystej, pojedynczej celi o standardzie europejskim – z muszlą klozetową, łóżkiem i małym zakratowanym okienkiem. Jedzenie też było nie najgorsze – na poziomie stołówki zakładowej. W końcu trafiali tu najróżniejsi zatrzymani – zachodni turyści, którzy po drodze do domu postanowili odwiedzić egzotyczną Rosję, ale zapomnieli o wizach, i nasi obywatele, niezbyt biedni, którzy zgubili paszporty na pylistych ścieżkach odległych planet.

Martin zjadł pozbawiony smaku, ale odżywczy kotlet rybny, zostawiając jedynie makaron i spróbował „sałatki letniej” (ogórki i pomidory z olejem roślinnym). Nie odmówił sobie nawet kawy rozpuszczalnej o niewiarygodnym kolorze i zapachu. I właśnie przy ostatnich łykach napoju zjawił się Jurij Siergiejewicz. Zręcznie wśliznął się przez uchylne drzwi, warknął na strażników, żeby zapewnili im prywatność, i zaczął popielić Martina wzrokiem.

– O, a ja już wszystko zjadłem – zmartwił się obłudnie Martin. – Zostało trochę makaronu, może się pan skusi? Mamy tu właśnie kolację...

Jurij Siergiejewicz z dużą wprawą chwycił go za kołnierz i potrząsnął.

– Co ty wyprawiasz, do ciężkiej cholery?!

Czekista był nie na żarty rozzłoszczony, więc Martin odpowiedział uczciwie:

– Na miarę swoich sił ratuję Wszechświat. Jak tam na zewnątrz, ciągle oberwanie chmury?

Jurij Siergiejewicz od razu go puścił, uspokoił się i usiadł na starannie zasłanym łóżku. Jako człowiek przewidujący, Martin od razu pościelił, chociaż liczył na nocleg w przyjemniejszym miejscu.

– Nie. Zwykła ulewa. I lokalna, pod Moskwą świeci słońce.

– A nad innymi Stacjami?

– Sprawdzali, wszystko w porządku. W Nowosybirsku jasno, w Krasnodarze deszczyk, ale już się kończy, w Stanach... – Jurij Siergiejewicz przerwał i krzyknął oburzony: – Co ja się tu przed tobą melduję? Mów mi zaraz, gdzieś był i coś robił?

– Na pierwszej Stacji kluczników – powiedział niewinnie Martin. – Zgodnie z pańską sugestią.

– Niczego nie sugerowałem – powiedział szybko Jurij Siergiejewicz.

– Spokojnie, przecież nie mówię tego oficjalnie... – uspokoił go Martin. – Nie sugerował pan, to w porządku – nigdzie nie byłem i niczego nie wiem.

Jurij Siergiejewicz westchnął:

– Co się dzieje na Bezzarze?

– Wszystkie znaczące rzeczy już się wydarzyły – odparł Martin. – Bezzaryjczycy skonstruowali statek kosmiczny, wykorzystując technologię kluczników i przetrzucili go do Gammy Capelli.

– Dlaczego właśnie tam? – zdumiał się czekista.

– Dlatego, że to ojczyzna kluczników. Ameby postanowiły ją zniszczyć... czy raczej doprowadzić całą wodę na planecie do bezzaryjskiej postaci. Niezła dywersja, co?

Jurij Siergiejewicz zbladł.

– Niech się pan nie denerwuje – zlitował się nad nim Martin. – Dywersja nie doszła do skutku. Odnaleźliśmy słynną flotę czarnych gwiazdolotów, która znajdowała się przy sąsiedniej planecie, ale zastrzeliłem bezzaryjczyka i...

– My? Ty? – wykrzyknął Jurij Siergiejewicz.

– Ja, on, on, ona – wyliczył z niewinną miną Martin. – Dwie ameby, ja i Irinka. To co, pogadamy w bardziej przytulnym miejscu? Czy mam zacząć walić głową w ścianę, domagać się adwokata i pisać petycje do sądu w Hadze?

– Przecież jest pan rozsądnym człowiekiem... – powiedział Jurij Siergiejewicz, nie z groźbą, raczej aluzyjnie.

– Przecież nic mi nie zrobicie – wzruszył ramionami Martin. – Nie będzie mnie pan bił ani wstrzykiwał narkotyków. A wie pan, dlaczego?

Jurij Siergiejewicz postanowił zabawić się w klucznika i nie odpowiedział.

– Dlatego, że pan też jest rozsądnym człowiekiem – oznajmił Martin. – I wierzy pan w moje słowa. Chodzi o to, że najwidoczniej mam szansę uratować galaktykę. Jakoś tak wyszło... – dodał skromnie.

– Czego chcesz? – spytał Jurij Siergiejewicz po chwili milczenia. Nawet wyjął z kieszeni mały notes.

– Nowy bębenek, prawdziwą szablę, czerwony krawat i małego buldoga... – zaczął wyliczać Martin. – I chciałbym się ożenić...

Jurij Siergiejewicz oderwał długopis od papieru i utkwiał wzrok w nowym Tomku Sawyerze.

– Chcę do domu! – Martin pozwolił sobie na podniesienie głosu. – Po co wam to całe zatrzymanie? Tak jakby nie nakłaniał mnie pan do wyruszenia na Bezzar! Czy ja się ukrywałem? Czy wyszedłem z Wrót w Nowym Jorku i poprosiłem o azyl polityczny? Czy stawiałem opór tym chłopaczkom na punkcie granicznym? Chcę do domu! Chcę się umyć i napić porządnej kawy z koniakiem! A potem chcę z panem poważnie porozmawiać.

– Gdybyś ty wiedział, co to takiego aparat biurokratyczny i urzędnicze igrzyska... – powiedział ze wstrętem Jurij Siergiejewicz. – Cztery godziny walczyłem, żeby cię wypuścili... Chodźmy... Cholerny Skywalker...

Każdy człowiek, jeśli tylko nie cierpi na rzadką formę alergii na wodę i nie jest czcicielem brudu, wie, jaka to radość wziąć prysznic we własnym domu po podróży.

Nieważne, jaką macie łazienkę. Maleńką, z poobijaną wanną i ponurymi, miejscami popękkanymi kafelkami, pamiętającymi czasy Stalina i odwrócenie biegu północnych rzek, czy też przestronną, z wanną z hydromasażem, z bidetem i kabiną prysznicową, która jest jednocześnie łaźnią... W tym drugim przypadku mieliście po prostu więcej szczęścia. Ale zapewniam was, że bez względu na wygląd łazienki, prysznic po podróży będzie ogromną przyjemnością, ba! nawet rozkoszą! Stoisz pod strumieniem gorącej wody, namydlasz się, polewasz zimną wodą, a potem siadasz w wannie, przyglądasz się własnym nogom i czujesz, jak razem z brudem spływa z ciebie zmęczenie...

Ku radości Martina, jego łazienka pasowała raczej do tego drugiego wzoru. I chociaż kabina prysznicowa była dość prosta, bez sprytnych rozpylaczy, spryskujących człowieka wodą w najbardziej niespodziewanych miejscach, a wanna z hydromasażem nie została wyprodukowana przez firmę Jacuzzi i z powodu dość skromnych rozmiarów do igraszek miłosnych z partnerką nie bardzo się nadawała, to wchodząc do własnej wanny albo do kabiny prysznicowej, Martin odpoczywał zarówno duszą, jak i ciałem.

Ponieważ jednak nie chciał znęcać się nad Jurijem Siergiejewiczem, odłożył długą kąpiel w wannie na później i teraz po prostu umył się pod prysznicem – ale za to ze wszystkimi szykanami, polewając się na przemian gorącą i zimną wodą. Wytarł się ręcznikiem, włożył szlafrok i poszedł do

gabinetu.

– Już się bałem, że pan utonął – mruknął posepnie czekista.

I staraj się tu, człowieku!

– Umyłem się najszybciej, jak mogłem – powiedział Martin. – Gdyby pan wiedział, co to takiego higiena!

Ku zdumieniu Martina, Jurij Siergiejewicz roześmiał się i w żartobliwym geście podniósł ręce:

– Poddaję się. Masz rację.

– Niechże się pan określi, Juriju Siergiejewiczu, czy jesteśmy na ty, czy na pan – zauważył Martin.

– Na ty – zdecydował czekista po chwili zastanowienia. – Czego pan... czego jeszcze potrzebujesz? Kolacji? Zajrzałem do twojej lodówki, znalazłem tam jabłko, limonki, zgniłe awokado, pięć przepiórczych jaj i dwie cebule. Nie zaryzykowałem przyrządzania posiłku. Zamówić kolację?

– Nie trzeba – skrzywił się Martin, podejrzewając, że Jurij Siergiejewicz skorzystałby z usług swoich podopiecznych i kolacja składałaby się z hamburgerów lub, w najlepszym razie, z gotowej pizzy. – Na razie wystarczy mi koniak, cytryna i fajka.

– Koniak w fajce? – Czekista uniósł brew.

– Tytoń w fajce – poprawił łagodnie Martin. Usiadł przy stole, nabił fajkę, a w tym czasie Jurij Siergiejewicz przyniósł koniak i pokrojoną cytrynę. – Opowiadać po kolei?

– Tak. – Jurij Siergiejewicz demonstracyjnie wyjął z kieszeni dyktafon i włączył go. – Będzie prowadzone nagranie rozmowy.

Martin machnął ręką i opowiedział wszystko, niczego nie ukrywając.

Dobrego profesjonalistę poznaje się po tym, jak słucha. Czasami Jurij Siergiejewicz zadawał pytania, ale bardzo sensowne i w odpowiednich miejscach, nie zakłócając rytmu opowieści. Zaklął tylko raz, gdy się dowiedział, w jaki sposób Irina stała się w siedmiu jedyna. Opowieść Martina zajęła niecałą godzinę i była w miarę wyczerpująca.

– To znaczy, że nie są opiekunami – podsumował Jurij Siergiejewicz. – I nie zajmują się podciąganiem...

– Czym? – zainteresował się Martin.

– To taki termin... z fantastyki... – skrzywił się Jurij Siergiejewicz. – No, progresją...

– Aha – skinął głową Martin. – Kto ich tam wie. Ale według ich słów, jest im wszystko jedno, co zrobimy z otrzymanymi technologiami, i czy zniszczymy się sami, czy nie...

– Kłamią – mruknął Jurij Siergiejewicz. – Tak ukierunkowana działalność nie może być bezsensowna. Albo oni realizują swój plan, albo Obcy. Innej możliwości nie ma.

– Powiedz mi – poprosił Martin, z pewnym wysiłkiem przechodząc na ty – o co tu właściwie chodzi? Jakie macie sugestie?

– Całą prawdę? – uśmiechnął się czekista. – Dobra. Na początek...

Wyjął z kieszeni kartkę papieru, rozłożył i położył przed Martinem. Martin przeczytał, podniósł wzrok na czekistę:

– Nie jestem majorem, tylko porucznikiem rezerwy.

– Teraz już majorem – powiedział Jurij Siergiejewicz. – W przeciwnym razie nie otrzymałbyś dostępu. Dobra... Skacz przez stopień... Gagarinie.



– Nie mam zamiaru pracować dla bezpieki! – wypalił mężnie Martin.

– A czym zajmowałaś się ostatnio? – zauważył rezolutnie Jurij Siergiejewicz. – Nie przejmuj się tak. Sam widzisz: „tymczasowo, z uwagi na interesy państwa i zaistniałe okoliczności wyjątkowe”.

– A jeśli nie podpiszę? – zapytał czupurnie Martin.

– Nikt ci nie proponuje zatwierdzenia dekretu prezydenta – uspokoił go Jurij Siergiejewicz. – Podpiszesz tylko umowę o przyjęciu do pracy.

– A jeśli...

– A to już będzie zdrada państwa – burknął Jurij Siergiejewicz i Martin nie zrozumiał, czy on żartuje, czy nie.

Na wszelki wypadek zdecydował, że nie, i podpisał wszystkie trzy egzemplarze umowy.

Jurij Siergiejewicz schował kartki i powiedział:

– Przepustkę wystawią ci na rano. Mundur nie jest ci do niczego potrzebny. Aha, jeszcze jedno.

Przysunął teczkę, otworzył i wyjął dziwnie znajomą paczkę.

– Co to? – zapytał czujnie świeżo upieczony major.

– Broń termiczna aranków – powiedział z obrzydzeniem Jurij Siergiejewicz. – Z tym też miałem masę problemów... mamy ich w arsenale ze dwadzieścia, ale... mniejsza z tym, trzymaj. Tymczasowo.

– Po co mi to na Ziemi? – nie zrozumiał Martin.

– A kto ci powiedział, że zostajesz na Ziemi? – zdumiał się Jurij Siergiejewicz. – Dobra, majorze... trzeba oblać te gwiazdki.

Zanim napili się koniaku, Martin schował broń aranków do sejf. Czekista westchnął, zakąsił cytryną i powiedział:

– Wszystko, co powiedziałem w czasie poprzedniej rozmowy, było czystą prawdą. Nikt Iriny nie wystawiał. Dziewczyna przypadkiem przeczytała ojcowskie rekomendacje, zapłonęła świętym oburzeniem i poleciała do Wrót...

– Gdzie zaczynało się kłamstwo? – zapytał cicho Martin.

– Raczej niedomówienia. Nie boimy się, że klucznicy nagle odłączą Ziemię od sieci transportowej. Możesz się nie obawiać, damy sobie radę. I w kosmos sami wyruszymy, dzięki hojnym darom kluczników... I naprawdę sądzimy, że klucznicy są spadkobiercami obcej rasy, która przeprowadzała pierwszą falę gwiazdnej ekspansji. I teraz, chcąc nie chcąc, przybliżają nowe kataklizmy...

– Jakie kataklizmy? – zapytał Martin wprost. – Kto zada cios?

Jurij Siergiejewicz westchnął:

– Gdybyśmy tylko wiedzieli... Wszyscy zostali włączeni: i nasi domowi eksperci od cywilizacji pozaziemskich, i teolodzy różnych wyznań... bo nie odrzucamy również wariantu boskiej ingerencji. W raportach nosi to nazwę „Wieża Babel 2”.

– I co mówią słudzy boży? – zainteresował się Martin.

– Nic odkrywczego. Dzisiejsi protestanci zachowują się niemal jak buddyści... Ich zdaniem Bóg istnieje, lecz w żaden sposób nie przejawia się i nie urządza potopów. Katolicy się przystosowali, może obilo ci się o uszy, że chrzczą Obcych... W Asyżu urządzili wspólną mszę z geddami

i lokso... Za to muzulmanie twardo obstają, że wszyscy Obcy to pomiot szatana...

– A nasi, prawosławni?

– Nasi do dziś nie ustalili nic sensownego. W Biblii wszystko jest rozmyte, u Ewangelistów brak jasnych wskazówek... Generalnie nie wypracowano jednolitej polityki. – Jurij Siergiejewicz uśmiechnął się. – Wszyscy są zgodni co do jednego – idealnym wyjściem byłoby zniknięcie Obcych. Wówczas ogłoszono by, że ich wizyty były diabelską sprawką...

– A Judejczycy? – zapytał Martin z nadzieją. Jako Rosjanin czystej krwi (aż do czasów niewoli mongolsko-tatarskiej) twardo wierzył, że kto jak kto, ale Żydzi nie zawiodą i sprowadzą wszystko do rozsądnej i wygodnej formy.

– Żydzi? – westchnął Jurij Siergiejewicz. – Ogłosili, że całe pozaziemskie jedzenie jest koszerne, Obcych traktują serdecznie, handlują z nimi i szykują się do przeprowadzki na inną planetę...

– Wszyscy jednocześnie? – wykrzyknął Martin.

– A co, nie słyszałeś? Wybrali sobie niezasiedloną planetę, na pierwszy rzut oka niezbyt atrakcyjną... Dopiero potem okazało się, że Hanaan ma całe mnóstwo ukrytych zalet, złoża platyny i uranu, urodzajną glebę... Chcą przenieść połowę Jerozolimy. I warstwę gleby z całego Izraela – grubości dziesięciu centymetrów.

– Niemożliwe! – zawołał Martin, wyobrażając sobie długi łańcuch Izraelitów, wchodzących do jerozolimskiej Stacji ze starodawnymi ceglami, kamieniami i workami ziemi na plecach.

– Pisarzy mają dużo, z przejściem sobie poradzą... – zasugerował Jurij Siergiejewicz. – Dobra, nie ma co wzdychać. Niech sobie antysemita rozpaczają, że za dziesięć lat będą się mogli powiesić. W każdym razie, teolodzy też nam nie pomogą. Nawet najmądrzejsi. Brak informacji, rozumiesz?

– W takim razie wersję o boskiej ingerencji odłóżmy na bok – zasugerował Martin. – Po prostu inna rasa, która na drabinie ewolucyjnej stoi wyżej niż klucznicy.

Jurij Siergiejewicz skinął głową:

– Najwyraźniej. No bo kim są klucznicy? Wzorcem kolektywno-indywidualnego rozumu.

Martin tylko zacisnął zęby i szybko nalał sobie koniaku.

– Tak, tak... – powiedział ze współczuciem Jurij Siergiejewicz. – Czyżbyś sam na to nie wpadł? To, co mówi się jednemu, dociera do wszystkich. I to błyskawicznie... Sprawdziliśmy. A przy tym klucznicy zachowują indywidualne cechy... jeśli nie brać pod uwagę standardowych zdań, którymi witają wszystkich, różnice są łatwo zauważalne. Wierz mi, nasi psychologowie uczciwie zarabiają na swój chleb.

– To znaczy, że klucznicy myślą razem?

– Któż to może wiedzieć? Widocznie w razie konieczności mogą. Ale jak się to dzieje? Czy ich świadomości łączą się w superrozum, czy dochodzi do jakiegoś gigantycznego briefingu... Nie wiem. Skomplikowana sprawa. Ale bez względu na to, jak bardzo przewyższają nas klucznicy, mimo wszystko zachowali indywidualność...

– A dalej? Wspólny rozum?

Jurij Siergiejewicz rozłożył ręce.

– Być może. Ale nawet, jeśli ta superrozumna rasa posiada bezgraniczne możliwości, to Bogiem nie jest na pewno. Bóg powinien być początkiem i końcem wszystkiego. Twórcą Wszechświata.

– Jeśli wierzyć dio-dao... – zaczął Martin.

– Nieokreślony bóg? – podchwycił Jurij Siergiejewicz. – Można to przyjąć jako jeden z wariantów. Albo jako toporną analogię, którą możemy się kierować. Na razie nie musimy wybiegać aż tak daleko. Umrzemy, zobaczymy. Na razie potraktujmy kluczników jako potężny nadrozum, który oczekuje od wszystkich okolicznych cywilizacji podobnej wspinaczki po ewolucyjnej drabinie. Od rozumu indywidualnego do rozumu indywidualno-kolektywnego. A potem kolektywnego.

– A potem po Wszechświecie zaczną się szwendać dwa superrozumy – skrzywił się Martin. – Albo kilkaset. Brr! A może wszystkie umysły połączą się w jedną megaświadomość? Co wtedy? I po co to? Ja nie chcę!

Nie umawiając się, stuknęli się kieliszkami i wypili. Jurij Siergiejewicz powiedział śpiewnie lekko wstawionym głosem:

– A kto mógł wiedzieć, że on jest przewodem, dopóki prądu nie włączyli? Niestety, Martinie, nikt nie będzie pytał nas o zdanie. I nikt nie zostawi nam wyboru.

– I to mi się właśnie nie podoba – mruknął Martin. – Dobrze, wystarczy tego pijaństwa na pusty żołądek. Jedziemy coś zjeść?

– Dokąd? – zainteresował się Jurij Siergiejewicz. – Pewnie lepiej ode mnie orientujesz się w restauracjach...

– Ja się przebiorę, a ty dzwoń – polecił Martin. – Dwieście czterdzieści pięć pięćdziesiąt jeden dwanaście. I zblazowanym głosem zamów stolik. A jeśli wszystko jest zajęte...

– To wyjaśnię, jaką organizację reprezentuję – uśmiechnął się Jurij Siergiejewicz. – Już ty mnie nie ucz. A ta restauracja...

– Ja płacę – powiedział stanowczo Martin. – W końcu czyje gwiazdki oblewamy?

– A nadrozum wie czyje – skrzywił się Jurij Siergiejewicz. – Na razie wszystkie gwiazdki są u kluczników w kieszeni...

Jurij Siergiejewicz siadł za kierownicą, tłumacząc, że po pierwsze ma „szmatę” w kieszeni, a po drugie jest przyzwyczajony do prowadzenia samochodu w dowolnym stanie. Było już po jedenastej, ulice opustoszały, więc stara wołga, rycząc i rozbryzgując kałuże, pomknęła po trzeciej obwodnicy, ominęła Nowodzieviczy i zatrzymała się przed niepozornym budynkiem z napisem „Komisariat”.

– Postanowiłeś oddać mnie w ręce milicji? – zapytał Jurij Siergiejewicz. – Za szantaż i... A! Idziemy tam?

Wskazał świecąca się nieopodal reklamę restauracji „Mimino”.

– Nie. Gruzińska kuchnia pasuje do innego nastroju – powiedział Martin. – Dziś będzie europejska. Idziemy.

Szybkim krokiem – deszcz nie przestawał mżyć, a parasoli nie wzięli – Martin i czekista minęli kilka milicyjnych gazików i doszli do drzwi pod szyldem „Stara mansarda”.

– Mam nadzieję, że jest tu winda? – zainteresował się Jurij Siergiejewicz.

– Winda nie będzie nam potrzebna, schodzimy do piwnicy – uśmiechnął się Martin.

– Przecież to mansarda! – zdumiał się czekista.

– Ale przecież stara! – odpowiedział tym samym tonem Martin. – Warstwa kulturalna narasta, miasto schodzi na dół...

Zeszli do suterenu i rzeczywiście znaleźli się na „mansardzie”. Stare drewniane belki, na

ścianach idylliczne scenki z życia wsi i zardzewiałe żelastwo – od zamków i podków do motyk i łopat. Przez matowe szyby małych okienek sączyło się przymglone światło „dienne”.

– Sprytnie – Jurij Siergiejewicz pokiwał z uznaniem głową. – Nie wiadomo, czy na zewnątrz jest dzień czy noc...

– I o to chodzi – zauważył Martin.

Nie bywał tutaj zbyt często, ale lubił „Starą mansardę” za dobrą kuchnię, sympatyczną atmosferę oraz ciekawych klientów. Wśród nich można było spotkać biznesmenów, artystów i ładne dziewczęta, które po zrzuconiu zbędnych gramów w pobliskim fitness clubie, postanowiły od razu nadrobić braki w tkance tłuszczowej.

Stolik mieli w rogu. Martin zerknął pytająco na Jurija Siergiejewicza, który zrozumiał nieme pytanie i powiedział:

– Piwo.

Zamówili dwa kufle ciemnego niefiltrowanego piwa i, z rekomendacji Martina, dwie porcje golonki. Piwo przyniesiono im od razu.

– Twoje zdrowie – powiedział Jurij Siergiejewicz. – Przyda ci się.

Martin upił łyk piwa i zapytał:

– Dlaczego mimo wszystko ja?

– Nie rozumiem.

– Dlaczego Ernesto Połuszkin przyszedł właśnie do mnie?

– Poleciłem cię – przyznał się Jurij Siergiejewicz.

– Dlaczego? – powtórzył uparcie Martin. – Bardzo mi to pochlebia, ale... jest przecież Andriej Kuzniecowa, jest Losza Filipow...

– Bracia Buszujewowie, Suskar, Tasia Maksimowa... – dokończył Jurij Siergiejewicz. – Przyznaję, ich praca robi wrażenie.

– Przy czym Tasia i Andriej byli wtedy wolni – dodał Martin. – Sprawdziłem. I dałbym sobie rękę uciąć, że Piotr Baturincew pracuje dla was i to od dawna. Dlaczego polecieś właśnie mnie?

Jurij Siergiejewicz westchnął ciężko. Jednym haustem osuszył pół kufła, popatrzył znacząco na kelnera i powiedział, wycierając wargi:

– Dlatego, Martinie, że ostatnio zaszedłeś dalej niż inni.

– Wyjaśnij – zażądał Martin, zaczynając się złościć.

– Nie mogę. Dla twojego własnego dobra. – Jurij Siergiejewicz ze smutkiem pokręcił głową. – Możesz mnie kroić na kawałki, a ja i tak ci nie powiem. Ta wiedza nie przyniesie ci żadnej korzyści, wyłącznie problemy.

– Obserwujecie wszystkich, którzy często podróżują Wrotami – mruknął Martin. – Rozumiem... raporty... wykorzystane opowieści... Dokopaliście się czegoś?

Jurij Siergiejewicz robił męczęńskie miny i odwracał wzrok.

– Cholerny klucznik – nie wytrzymał Martin.

Kelner przyniósł Jurijowi Siergiejewiczowi piwo, rozłożył na stole sztuce. Na chwilę zamilkli.

– Miałem największe szanse uratowania Iriny? – Martin spróbował zająć od drugiej strony.

– Nie... – Jurij Siergiejewicz zawahał się. – Chociaż... i tak, i nie... Teraz, gdy już wiemy, że

Irinie udało się skopiować samą siebie, mogą być z siebie dumni. Rzeczywiście okazałeś się idealnym kandydatem. Ale spodziewałem się czegoś zupełnie innego, Martinie. Spodziewałem się, że w poszukiwaniu Iriny przeczcesz kilka planet, będziesz szedł po jej śladach, nie nadążając... Myślałem, że cała ta sprawa okaże się bardziej banalna.

– Chodzi nie tylko o Irinę, chodzi o mnie... – Martin patrzył na czekistę przenikliwym wzrokiem. – Powiedz, chciałeś, żebym nawiązał z nią romans... Dlatego odrzuciłeś Maksimową i braci.

Jurij Siergiejewicz prychnął.

– Nie odpuszczę sobie teraz! – nie wytrzymał Martin. – Jak ja nie lubię aluzji i niedomówień!

– To akurat dobrze – uspokoił go Jurij Siergiejewicz. – Dobra, dość już o tej twojej wyjątkowości. Nie jesteś wyjątkowy, po prostu znalazłeś się na właściwym miejscu we właściwym czasie. Być może rok później na poszukiwanie dziewczyny wysłałbym Kuzniecowa. A rok wcześniej – Pospieszaja.

– Wołodię Spieszko? – zdumiał się Martin. Pamiętał tego inteligentnego okularnika, który szybko zyskał renomę, a w rozmowie nadużywał słówka „pośpieszymy”. Wołodia pół roku temu wycofał się z zawodu... – Nie słyszałem, żeby go tak nazywali. Słyszałem Spieszok...

– W naszych raportach występował jako Pospieszaj – przyznał się Jurij Siergiejewicz. – Ale teraz już nie pracuje.

Kelner przyniósł golonkę, życzył im smacznego i oddalił się. Martin z przyjemnością obejrzał zamówione danie: podwędzona, delikatna, świeża golonka, serwowana z grzybkami i kaszą gryczaną, z przysmażoną na masełku cebulką i tartym przepiórczym jajkiem na dużym, matowym, okrągłym, białym talerzu.

– Wiesz – zaczął Martin – każda potrawa powinna mieć swój smaczek. Tutaj najważniejsze jest przepiórcze jajko.

– Zdążyłem zauważyć, że masz słabość do przepiórczych jaj. – Jurij Siergiejewicz wziął do ręki sztucce.

– I koniecznie piwo! Świeże, ciemne piwo... A ja w waszych raportach występuję pod przewiskiem Piechur? – błysnął wiedzą Martin.

Starannie gryząc kawałek mięsa, Jurij Siergiejewicz mruknął:

– Yy... faktycznie smaczne... szczerze?

– Szczerze – palnął lekkomyślnie Martin.

– Snob.

Jeszcze nigdy w życiu Martin nie czuł się tak poniżony. Gdyby Jurij Siergiejewicz wsadził mu twarz w kaszę gryczaną z całym tym aromatycznym masełkiem, cebulką i jajkiem – nawet wówczas poniżenie nie byłoby tak dotkliwie.

– Nie gniewaj się – poprosił Jurij Siergiejewicz. – To było jeszcze zanim objąłem tę sprawę...

– Wybrałbyś mi inne przewisko? – zainteresował się Martin.

– Szczerze? – zapytał znowu czekista.

Martin pokręcił głową i utkwiał wzrok w talerzu. W dużym, matowym, okrągłym, białym talerzu.

– Co za różnica, jakimi imionami nas nazywają? – wzruszył ramionami Jurij Siergiejewicz. – Znacznie ważniejsze jest to, jak sami siebie nazwiemy. Sam na sam ze sobą, w samotności, kiedy

słyszysz nas tylko Bóg i diabeł...

Martin podniósł wzrok na Jurija Siergiejewicza:

– Jesteś pewien, że w twojej rodzinie nie było klucznika?

– Był psychiatra, pop i księgowy-defraudant... – wyliczył Jurij Siergiejewicz. – Psychiatra się rozpił, pop u schyłku żywota został pozbawiony godności kapłańskiej... coś się moim przodkom nie wiodło. Był również Tatarzyn i Żyd. Sto lat temu zaplątał się nawet czerwony łotewski strzelec. Kluczników nie było.

Martin uśmiechnął się mimo woli.

– A jak zatytułowałbyś własne dossier?

– Dzięki! – odparł bez wahania Jurij Siergiejewicz. – Dlatego, że upierdliwie walę w jeden punkt. Do skutku. Dłubię i dłubię, czasem trafiając na tłustą larwę, a czasem na próchno.

Ukroił kawałek golonki i nabił na widelec. Zjadł i powiedział:

– Naprawdę smaczne. Dzięki. Bycie snobem musi być przyjemnym zajęciem.

– Myślisz, że nigdy nie zdarzyło mi się głodować, albo dzielić ostatniego suchara na trzy dni? – zapytał Martin. – Pić wody z kałuży, jeść owoców, po których albo dostanę biegunki, albo wyciągnę nogi?

– Wiem, że się zdarzało – powiedział Jurij Siergiejewicz. – Przecież nie mówię, że nazwałbym cię Snob.

– A jak?

– Dandys.

Martin prychnął.

– „Dzentelmen” jest za długie, poza tym, to określenie straciło na wartości – wyjaśnił Jurij Siergiejewicz. – Angielski dandys wcale nie chodził we fraku. W razie potrzeby wyruszał do Indii, żeby tam chorować na malarię na chwałę królowej. Jak trzeba, wszystko powinno być comme il faut... a kiedy indziej nie straszna mu woda z kałuży, pot i krew... Wiesz, co znaczy comme il faut?

Martin skinął głową.

– Nasze narodowe nieszczęście polega na tym – czekista nieoczekiwanie uderzył w wysoki ton – że lubujemy się w skrajnościach. Albo brudny, tępy drab z wielodniowym kacem i przepitym głosem, albo zarozumiały nuworysz, który boi się ubrudzić paluszki i gardzi bydłem. A Europa zrozumiała to już dawno temu – bądź dzentelmenem, jeśli jest ku temu możliwość, cierpliwie znos wszystko, gdy możliwości nie ma. Dlatego angielscy dzentelmeni zbudowali wielkie imperium...

– Dzentelmen na zachód od Suez nie odpowiada za to, co robi dzentelmen na wschód od Suez... – mruknął Martin.

Jurij Siergiejewicz zajaśniał:

– Właśnie! Być może brzmi cynicznie, ale to prawda! Świat jest zbyt różnorodny, żeby był niezmienny. Nie mamy takiego prawa! Podziękujmy naszym wielkim literatom dziewiętnastego wieku, władcom dusz, Dostojewskim i Tołstojom, Kuprinom i Buninom... niezliczonym rzeszom pisarzy! Jeśli już humanizm – to z przebaczeniem wszystkiego, jeśli sprawiedliwość – to natychmiast, wszystkim i od razu. Kucharki na caryce... Puszkina ostrzegał, czym kończy się zadowalanie pragnień kucharek... Ale nie! Zachciało im się budowania rajów na Ziemi! I w efekcie zbudowali komunizm. Zdeprawowali klasę rządzącą i doły. I za to zgnili na obczyźnie, stali się zwierciadłami rewolucji, albo warstwą między sierpem i kowadłem. I dobrze im tak! Jak ja się cieszę, Martinie, że dzisiaj

prawie nie mamy pisarzy, że wszyscy zajęli się tworzeniem historii dla kluczników.

Martin skrzywił się.

– Za mocno powiedziane? – zapytał Jurij Siergiejewicz, pijąc piwo. – Zbyt okrutne? My ze swoim rosyjskim zamiłowaniem do skrajności sami wykopaliśmy sobie grób! A dzięki klucznikom możemy wreszcie swobodnie odetchnąć... Gdyby nie oni, stoczylibyśmy się po równi pochyłej... mniej więcej w dwa tysiące piętnastym roku byłby z nami koniec, tak brzmiały prognozy. I wiedz, że ja popieram twoją skłonność do wykwintnego jedzenia, eleganckich ubrań i dobrej muzyki. Ty na to zarabiasz błotem i krwią, potem i nerwami. I tak właśnie powinno się zarabiać... golonka z przepiórczymi jajkami... – opuścił wzrok na talerz.

Martin zastanowił się i zamówił butelkę „Tullamore Dew”.

Długo jeszcze siedzieli, rozmawiając o wszystkim, prócz sprawy Iriny.

Gdzieś w kosmosie czarne statki kluczników podążały na sygnał niewidocznych latarni, włączając do galaktycznej sieci transportowej nowe planety. Dwie ostatnie Iriny Połuszki zastanawiały się, jak uratować Wszechświat. W gabinetach bezpieczeństwa dyżurni wpinali nominację na majora do teczki Martina Dugina, znanego jako Snob.

A Martin i Jurij Siergiejewicz pili irlandzką whisky. Jurij Siergiejewicz obiecał zaprowadzić Martina do restauracyjki, mieszczącej się na prawdziwej mansardzie ambasady Białorusi. Martin mętnie tłumaczył, że najbardziej na świecie lubi zwykłe posiadówki w kuchni, a te wszystkie restauracje to tylko tak, z ciekawości i dla odprężenia. Czekał opowiadał o swoich wypadach poza granice Ziemi – starannie unikając konkretów i koncentrując się na zabawnych szczegółach życia pozaziemskiego. Prywatny detektyw odwzajemnił się opowieścią (z pominięciem nazwisk) o najciekawszych sprawach: o niewidomym wędrowcu i jego psie przewodniku – Martin gotów był przysiąc, że decyzje o wyborze kolejnej planety podejmuje pies, o dziewięcioletnim chłopcu, który uciekł z domu i przeszedł przez pięć Stacji, nim Martin go dogonił i namówił do powrotu – pomogła tylko przysięga, że naprawdę dostanie upragnione rolki. Potem rozmowa płynnie przeszła do omówienia różnych marek koniaku, a potem restaurację zamknięto, a oni wyszli w chłodną noc. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, ale deszcz wreszcie przestał padać. Jurij Siergiejewicz usiadł za kierownicą, błyskawicznie trzeźwiejąc. Martin zażądał od niego tajnych czekistowskich tabletek-wytrzeźwiaczy, ale Jurij Siergiejewicz zapewniał go, że działa wyłącznie długi trening i poczucie obowiązku. Siłą rozpędu (sekretny wzór na udany wieczór: czas pijatyki równa się serdeczności rozmowy podzielonej przez liczbę wypitego alkoholu) pojechali do „Kropki”. W tym popularnym klubie nocnym wieczór właśnie dogasał – małolaty wyszalały się już i wychodziły, upojone koktajlami energetycznymi, zakochane pary zmęczyły się tańcami, i w ogromnej sali z betonową podłogą zostało najwyżej czterdzieści osób. Jedni grali w bilard na niepoważnie małych stołach, inni dopijali drinki przy barze. Martin i Jurij Siergiejewicz usiedli na obrotowych stołkach i zamówili po szklance whisky – nie było sensu mieszać alkoholi, tym bardziej nad ranem.

Na estradzie niemłody mężczyzna śpiewał przy akompaniamencie gitary:

*Do ręki książkę wziąłem  
Znów przeczytałem Kinga  
Wtedy wreszcie pojąłem  
Ze tak to właśnie było  
Z nitek babiego lata*

*I z dymów w Trafalgarze*

*Utworzyłem fornita*

*I umieściłem w gitarze*

Jurij Siergiejewicz pogroził Martinowi palcem:

– A ty gdzie umieściłeś swojego fornita? [Fornit – postać z opowiadania Stevena Kinga *Ballada o celnym strzale*. Czarodziejska istota, mieszkająca w maszynie do pisania i przyносяca natchnienie]

– Wyprowadził się dawno temu – odpowiedział Martin. Jurij Siergiejewicz pokręcił głową:

– Kłamiesz... każdy, kto umie opowiadać historie, ma swojego fornita. Kiedyś były muzy, ale teraz się zmutowały i mamy fornity.

– Ale tylko wtedy, gdy opowiada się historie ludziom – odparł Martin. – A ja rzucam je na potrzeby kluczników.

– A wiesz, czemu oni chcą, żeby opowiadać im historie? – zapytał szeptem Jurij Siergiejewicz.

– No? – Martin nastawił uszu.

Ale w tym momencie czekista jakby wytrzeźwiał i tylko z uśmiechem pokręcił głową.

A śpiewak uderzał w struny i śpiewał:

*Czasem jest dzielny i śmiały*

*Czasem zupełnie inaczej*

*Gdy wścieka się na wszystko*

*Pije na umór i płacze*

*Lecz gdy powieją złe wiatry*

*Znów na ratunek spieszy*

*Znam dobrze jego imię*

*Wciąż dźwięczy w mojej duszy*

[Wykorzystano fragmenty *Piosenki o fornicie* Olega Medwiediewa]

Martin zaczął bić brawo. W pustej sali oklaski zabrzmiały bezradnie jak puste strzały.



Nigdy nie upijajcie się, jeśli następnego dnia czekają was wielkie czyny.

Przez jakiś czas Martin leżał bez ruchu, myśląc o szlachetnym don Rumacie Estorskim, który błyskawicznie wytrzeźwiał po obłądnym pijaństwie z baronem Pampą. Poprzez ból głowy próbował wyobrazić sobie, w jaki sposób działa sporamina i doszedł do wniosku, że cudowne tabletki po prostu przyśpieszają metabolizm, co powinno pomóc zarówno w gojeniu się ran, jak i w walce z produktami rozpadu alkoholu. Wstał z jękiem, poszedł do kuchni, popił wodą mineralną tabletkę przeciwbólową i zajrzał do gabinetu. Heroiczny czekista spokojnie spał na nierozłożonej kanapie, a na podłodze obok leżała broń termiczna aranków.

Martin pokręcił głową i poszedł pod prysznic.

Gdy Martin wyszedł z łazienki, Jurij Siergiejewicz dziarsko walił naczyniami w kuchni, śpiewając pod nosem:

*On w świecie pierwszy czytywał Kastanedę*

*I w telewizji szukał podniety*

*A z samotności szarpał akordy*

*Tępymi klami głuchej tęsknoty*

*A w świecie drugim motyle i gwiazdy*

*Jak cukier chrzęściły pod jego butami*

*Ale sensu za grosz nie było*

*Ani w jednym ani w drugim działaniu*

*A w świecie trzecim zacisnął zęby*

*Został stalkerem martwych stref*

*Zdzierał dymiący się kożuszek*

*Gdy przez ognisty horyzont szedł*

Martin stanął na progu kuchni, a czekista na jego widok uśmiechnął się wesoło, starannie nacinając nożem kolejne przepiórcze jajko – i wylewając je na patelnię.

– Skąd ma pan jajka? – zapytał ponuro Martin.

– Wczoraj stanowczo odmówiłeś opuszczenia restauracji, dopóki nie sprzedali ci opakowania – oznajmił Jurij Siergiejewicz, przerywając muzykowanie i kucharzenie.

– A co to za piosenka?

Jurij Siergiejewicz zdumiał się szczerze.

– Wczoraj dwa razy zamawiałaś ją na bis, nie pamiętasz?

– Już sobie przypomniałem – burknął Martin. – Niedoczekanie, żebym jeszcze kiedyś pił z czekista...

Jurij Siergiejewicz nie obraził się za „czekistę”. Urząd bezpieczeństwa państwa zawsze

hołdował tradycjom.

– Daj spokój, świetnie się trzymałeś. Proszę... jajka z keczupem, herbata z cytryną...

Martin usiadł przy stole, spojrzał smętnie na talerz i westchnął. Już miał oznajmić Jurijowi Siergiejewiczowi, że wszystkie lecznicze właściwości przepiórczych jaj przejawiają się wyłącznie w postaci surowej, ale przypomniał sobie „Snoba” i nic nie powiedział.

Herbata weszła mu znacznie lepiej. W głowę rykoszetem uderzył nadmiar wczorajszego wieczoru.

– Kac? – zapytał domyślnie przenikliwy Jurij Siergiejewicz.

– Stare drożdże nie rdzewieją – oznajmił Martin. – Po co wyjmowałeś broń termiczną? Chciałeś się ostrzeliwać?

– Broń wyjąłeś ty – przypomniał mu czekista. – Demonstrowałeś, z jaką beztróską obchodzą się z nią dzieci aranków...

– O Boże... – wyszeptał Martin.

– Nic się nie stało, kontrolowałem sytuację – uspokoił go Jurij Siergiejewicz. Popatrzył ze współczuciem i wyjął opakowanie jakichś tabletek. – Weź od razu pięć sztuk, pomoże ci.

– A mówiłeś, że nie ma żadnych tajnych tabletek! – oburzył się Martin, demonstrując, że coś niecoś zachowało mu się w pamięci.

– To nie są żadne tajne tabletki. Zwykły kwas bursztynowy, do nabycia w każdej aptece.

Martin zjadł jajecznicę i popił tabletki. Pokornie wziął od Jurija Siergiejewicza papierosa i zapalił – na fajkę nie miał sił.

– Gdzie chcesz wyruszyć? – zapytał Jurij Siergiejewicz. – Na Sheali czy na Talizman?

Martin drgnął:

– To konieczne?

– A co, masz zamiar zatrzymać się w pół drogi? – zdumiał się Jurij Siergiejewicz. – W drodze wyjątku wyruszysz uzbrojony. Więc dokąd?

– Jeszcze nie wiem – burknął Martin. – Stanę przed terminalem i wybiorę... Jura, co ja mam robić?

– To samo, co wcześniej. Próbuj ratować Irinę.

– Przecież już wiemy, czym to się kończy... – westchnął zrezygnowany Martin. – Dlaczego muszę być sam? Ernesto Połuszkin nie chce szukać córki?

– Naprawdę byś tego chciał? – zapytał drwiąco Jurij. – Zresztą, on się nie ruszy. Stwierdził, że przeżyje tylko jedna Irina, bez względu na to, co będziemy robić. A nie ma ochoty patrzeć bezradnie na śmierć córki...

– A ty? – drażył Martin.

– Poszedłbyś ze mną na zwiad? – zachwycił się czekista. – Nie, Martinie. Nie mogę. Chciałbym, ale nie mogę. Ktoś musi osłaniać twój tyłek. Sam rozumiesz, że nasze działania nie zyskały aprobaty zwierzchnictwa.

– Jura, nie baw się ze mną w ciuciubabkę – poprosił Martin. – Co powinienem zrobić?

– Przekonać kluczników, że ich program transportowy jest niebezpieczny.

– Przekonać kluczników? – Martin roześmiał się gorzko. – Tylko tyle? Próbowalesz kiedyś dyskutować z istotami, które nie reagują na pytania i mogą zetrzeć planetę w pył?

– Martinie, nie ma innego wyjścia. Być może mamy kilkadziesiąt, czy nawet kilkaset lat. A może to ostatnie minuty. Jeśli klucznicy będą nadal tępo łączyć planety w jedną sieć – Wszechświat zginie.

– Oni są innego zdania... – powiedział w zadumie Martin. – Na tym właśnie polega problem... Mają podstawy, by w to wierzyć, a jednocześnie nie podają swoich argumentów... Jak przekonać kluczników, nie wiedząc tego, co wiedzą oni?

– Dowiedzieć się, co oni wiedzą – uśmiechnął się Jurij.

– Nawet, jeśli się dowiem... – Martin napił się herbaty, rzucając błagalne spojrzenie swojemu dręczycielowi. Jurij Siergiejewicz wyjął spod stołu butelkę z resztką koniaku i postawił przed Martinem.

– Dziękuję... – powiedział Martin z głębi serca i dolał koniaku do herbaty. – Jurij! Sam rozumiesz, że wiedza nigdy nie gwarantowała zwycięstwa w dyskusji. W efekcie o wszystkim decyduje władza.

– A więc musisz stać się silniejszy od kluczników – czekista pozostał niewzruszony. Martin zachłysnął się herbatą, a Jurij popatrzył na zegarek i rzekł: – Samochód czeka. Ubieraj się.

– I żadnych komentarzy? – zapytał Martin.

– Żadnych.

Martin westchnął.

– Dobrze. O Talizmanie trochę słyszałem, ale Sheali... co oni tam mają dziwnego na tym Sheali?

– Nasi analitycy... – zaczął Jurij. – A w sumie to nie analitycy, tylko Ernesto Połuszkin w jedynym egzemplarzu. On uważa, że sheali są nierozumni.

– Co takiego? – roześmiał się Martin.

– To naprawdę inteligentny facet – powiedział Jurij. – Skoro wyciągnął taki wniosek, to widocznie miał ku temu podstawy. Ale po wypadku z Iriną odmawia współpracy. Nie chce nawet uzasadnić swoich poprzednich wniosków.

– A nie możecie wydać mu polecenia służbowego?

Jurij Siergiejewicz pokręcił głową.

– Martinie, jeśli człowiek pracuje w takiej strukturze jak nasza, bardzo łatwo nim kierować. Ale wyłącznie do pewnych granic.

– Za dużo wie, żeby można go było przycisnąć? – zrozumiał Martin. – I jeszcze jakieś szpiegowskie gówno... w rodzaju sejfu z dokumentami w szwajcarskim banku?

Czekista milczał. Bardzo wymownie.

– Z waszej firmy nigdy nie wychodzi się do końca – powiedział półgłosem Martin.

– Zdarzają się wyjątki. Wszystko, co wiem, to fakt, że zdaniem Połuszkinina rasa sheali nie ma rozumu. Miej to na uwadze, gdy odwiedzisz ich planetę.

– Bzdura – stwierdził Martin, sięgając po butelkę.

Ale Jurij łagodnie wyciągnął go zza stołu i oznajmił:

– Hrabio, już czas. Czekają was wielkie czyny. Plecak ci spakowałem, na czwartym punkcie stoją nasi ludzie, nie przyczepią się do broni. Chodźmy.

– Ale ja teraz nie wymyślę żadnej sensownej historii! – oburzył się Martin. – Daj mi chociaż ze dwie gotowe, przecież macie zapas!

– Nie mogę – uciał Jurij, wypychając Martina z kuchni. – Wybacz, ale nie mogę.

Dopiero wchodząc na korytarz moskiewskiej Stacji, Martin pozwolił sobie na rozluźnienie. Zatrzymał się, rozmasował pomiętą twarz. Otrzeptał się jak mokry pies. Wyszczrzył zęby – jakby nadal stał przed nim podpułkownik bezpieczeństwa Jurij Siergiejewicz.

– Wasza mać – mruknął Martin. – Niech was nie znam...

No bo dlaczego rosyjskie służby specjalne z takim zapałem stosują metodę kija i marchewki, skoro wystarczy po ludzku pogadać?

Martin zdążył polubić Jurija Siergiejewicza i nawet zgadzał się z większością jego opinii. Ponadto nie miał alergii na organa wewnętrzne, w dzieciństwie zaczytywał się książkami o wywiadowcach i śledczych, jednakowo zachwycając się Sherlockiem Holmesem, Niro Wolfem, Erastem Fandorinem i Stirlitzem. Jamesa Bonda nie lubił z pobudek patriotycznych. Potem na długi czas jego idolami stali się Bogdan Ruchowicz Oujancew-Siu i Bagatur Łobo, [Bohaterowie cyklu powieściowego Holma van Zajczika (pseudonim rosyjskiego autora sf, Wiaczesława Rybakowa) *Złych ludzi nie ma*] nie mógł się tylko zdecydować, kogo naśladować – czy prostego, ale dzielnego i silnego Bagatura, czy przenikliwego i nerwowego Bogdana.

Wystarczyłoby, żeby Jurij Siergiejewicz porozmawiał z Martinem, odwołał się do jego uczuć patriotycznych i mniej lub bardziej otwarcie przedstawił sytuację. Ale Martin wiedział, że w firmie nie siedzą sami idioci. I wszystko: krótki pobyt w celi, wieczorne pijaństwo, zawołowane groźby i kretyński awans na majora miało swój sens.

Najprawdopodobniej.

Zanim Martin podszedł do klucznika, przewiął w pamięci wczorajszy wieczór i noc. Wszystko, co mówił i robił. Wszystkie zmiany nastroju i niesympatyczne teksty, których uważnie wysłuchał czekista.

Dobrze mieć we krwi wysoki poziom dehydrogenazy alkoholowej. A mówiąc po prostu – nie upijać się do utraty przytomności.

Zresztą, Jurij Siergiejewicz też mógł poszczycić się wysoką odpornością na alkohol. On również nic nie powiedział – nic ponad to, co chciał powiedzieć. Nie zdradził, dlaczego służby specjalne wybrały właśnie Martina. Nie przyznał się, jakim cudem Martin może przekonać kluczników.

A może wcale nie trzeba ich przekonywać? Może chodzi o coś zupełnie innego?

Martin westchnął. Domysły i tak nie miały sensu. Trzeba znaleźć Irinę i naradzić się z nią.

A w tym celu należy przejść przez Wrota. Mimo bólu głowy i parszywego samopoczucia.

– Wydaje nam się, że nasze życie to ciągłość – oznajmił Martin, sadowiąc się w fotelu przed klucznikiem. – Fotonowi również może się wydawać, że jest cząsteczką, choć wiemy, że jest również falą.

– Ciekawe – powiedział klucznik i poruszył się w fotelu. To był mały klucznik – albo młody, albo niski z natury. Żywy blask oczu mógł świadczyć o młodym wieku.

– Czy to ja grzebałem w piaskownicy, zatroskany trwałością piaskowych bab? – ciągnął Martin. – Czy to ja błądziłem palcami po zapięciu biustonosza swojej pierwszej dziewczyny i zbyt szybko skończyłem? Czy to ja wkuwałem po nocach, pakując do głowy wiedzę, która nie przydała mi się nigdy w życiu? Czy to jestem ja, który siedzę teraz przed tobą? Atomy mojego ciała zmieniły się po raz kolejny, wszystko, w co wierzyłem, okazało się niegodne wiary, wszystko, co wyśmiewałem,

okazało się jedynie ważne, o wszystkim zapomniałem i wszystko sobie przypominałem... Kim więc jestem? Cząsteczką czy falą? Co jest we mnie z tego chłopca o kędzierzawych włosach, patrzącego spode łba ze starej fotografii? Czy rozpoznałby mnie przyjaciel ze szkoły, czy pamięta moje wargi dziewczyna z równoległej klasy, czy miałbym o czym porozmawiać ze swoimi nauczycielami? We mnie samym, gdy miałem pięć lat, będzie więcej podobieństw do dowolnego pięciolatka niż do mnie dzisiejszego! A ja, gdy miałem lat osiemnaście? Myślałem krocem, jak każdy szczeniak! A mając dwadzieścia pięć lat sądziłem, że życie jest wieczne i nie wdychałem jeszcze powietrza innych światów. Więc dlaczego myślimy, że dano nam jedno jedyne, nieprzerwane życie? Najsprytniejsza pułapka życia to nasza pewność, że jeszcze nie umieraliśmy. A przecież mamy za sobą niejedną własną śmierć. Chłopiec o niewinnych oczach, młodzieniec, który bawił się całymi nocami, nawet ten dorosły Martin, który odnalazł swoje miejsce w życiu, wszyscy oni są martwi. Wszyscy zostali pogrzebani we mnie, zjedzeni i przetrawieni, i wydaleny razem z zapomnianymi iluzjami. Mały chłopczyk chciał być śledczym – ale czy jego marzenia mają coś wspólnego z moim obecnym życiem? Młodzieniec pragnął miłości – ale czy wiedział, że chodzi mu tylko o seks? Dorosły rozplanował swoje życie aż do śmierci – ale czy jego plany się spełniły? Jestem inny i zmieniam się z każdą chwilą! A w mojej przeszłości ciągnie się rząd nagrobków – nie wystarczyłoby Bibliotek, by każdy pochowany Martin otrzymał swój obelisk. I to jest słuszne, kluczniku, to jest nieuniknione. Świat mądrych starców byłby nudny i bezpłodny, świat dorosłych pragmatyczny i suchy, świat wiecznych dzieci szalony i głupi. Dziecko, które odrzuca dzieciństwo, które spieszy się żyć, w podskokach mknąc ku dorosłości, budzi smutek i poczucie winy... Jakby nasz świat był zbyt okrutny dla dzieciństwa. Dorosły, który udaje dziecko, albo po czterdziestce robi z siebie hipisa, budzi zakłopotanie i litość... Jakby nasz świat okazał się niegodny, by dorosnąć. Odmładzający się starcy, przemądrzali młodzieńcy – to zarzut stawiany światu. Zbyt skomplikowanemu, zbyt okrutnemu światu. Światu, który nie zna śmierci i grzebie nas każdego dnia. Gdyby ktoś spełnił upragnione marzenie ludzkości, gdyby ofiarował mi nieśmiertelność z zastrzeżeniem, że zapłata będzie niezmienną – co bym odpowiedział? Co bym zrobił, gdybym w otwierającej się przede mną wieczności był skazany na niezmienną się? Musiałbym słuchać tej samej muzyki, kochać te same książki, spotykać się z tymi samymi kobietami, rozmawiać wciąż o tym samym z ciągle tymi samymi przyjaciółmi? Gdybym myślał o tym samym, gdyby nie zmieniały się moje gusta i przyzwyczajenia? Nie znam odpowiedzi, kluczniku. Ale wydaje mi się, że zapłata byłaby zbyt wysoka. Straszliwa zapłata za wieczność. Nasz problem polega na tym, że – podobnie jak fotony – jesteśmy dualni. Jesteśmy jednocześnie cząsteczką i falą... języczkiem płomienia świadomości, który płąsa na ciężkich, naftowych falach czasu. I nie potrafimy zrezygnować z żadnej z części składowych – podobnie jak foton nie może się zatrzymać, nie może pozbyć się jednej ze swoich składowych. I na tym polega nasz problem, nasza tragedia, zaklęty krąg. Nie chcemy umierać, ale nie możemy się zatrzymać – bo zatrzymanie się byłoby tylko inną formą śmierci. Wiara mówi nam o życiu wiecznym, ale czyje życie ma na myśli? Mnie, małego chłopca, być może najbardziej niewinnego i najczystsze z moich wcieleń? Mnie, naiwnego i romantycznego młodzieńca? Mnie, pragmatycznego i oschłego? Mnie, chorego na Alzheimera starca? Przecież to też będę ja. Ale który „ja” zostanie wskrzeszony w wieczności? Czyżby ten bezsilny i słaby? A jeśli ten przy zdrowych zmysłach, to czym zawinił bezradny staruszek? A jeśli zostanie wskrzeszony każdy ja, to czy w raju starczy miejsca dla mnie samego?

Martin zamilkł na chwilę, z cichą nadzieją, że klucznik coś powie.

Ale klucznicy nigdy nie udzielali odpowiedzi. Mały klucznik siedział w fotelu, spoglądał uważnie na Martina i milczał.

– Tylko iluzja ciągłości daje siłę do życia, nie zauważa tych nas, którzy niczym cienie padają do naszych nóg – ciągnął Martin.

– Przy każdym kroku, przy każdym oddechu. Umieramy i ożywamy, pozwalając martwym grzebać swoich zmarłych. Idziemy, wiedząc, że jesteśmy cząsteczką i mając nadzieję, że jesteśmy falą. Nie mamy wyboru, tak jak nie ma go foton, mknący od gwiazdy ku gwieździe. I może powinniśmy być wdzięczni za to, że nie mamy innego wyjścia.

Martin zamilkł.

– Rozwiąłeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Martin skinął głową, nie wstając z fotela.

– Fotonowi, którego wypluła supernowa, wydaje się być może, że jest cząsteczką. Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy fotony potrafią myśleć – klucznik uśmiechnął się, obnażając białe płytki zębów. – Ale każdy foton kiedyś skończy swoją drogę. Na siatkówce twojego oka czy w fotosferze innej gwiazdy – to nieistotne. Tak czy inaczej, nie zginie bez śladu.

Martin kiwnął głową i wstał.

– Podoba mi się twoja analogia – powiedział klucznik. – Nigdy nie zapominaj, że jesteś nie tylko cząsteczką, ale również falą.

– Kluczniku! – wykrzyknął wstrząśnięty Martin, ale klucznik już wstał z fotela. Był bardzo niski, sięgał Martinowi do ramienia. Śmieszna, futrzana, krótkonoga istota, z głębokimi ciemnymi oczami...

– Najsprytniejsza pułapka życia to pewność, że kiedyś się umrze – rzekł klucznik, nie odrywając wzroku od Martina. – O, jakże łatwo byłoby żyć, wiedząc, że jesteś śmiertelny! Jakże fałujaco być jedynie cząsteczką elementarną, mknącą przez wieczną ciemność! Jak elementarnie być wieczną falą, niezmienną nie tylko w czasie, ale i w przestrzeni! Każda skrajność jest zgubna, Martinie. Odrzucając wieczność, tracimy sens istnienia. Odrzucając zmienność, tracimy sens samej wieczności...

Klucznik zrobił krok w stronę Martina i ten z drzeniem poczuł na nadgarstku dotyk małej, futrzanej łapki.

– Strach to skorupa rozumu, który przestraszył się tego, co niepoznane – wyszeptał klucznik. – Strach jest właściwy każdej istocie. Ale czasem dzieje się tak, że strach staje się właściwy całemu społeczeństwu... Nie wolno się bać, Martinie. Albowiem *strach zabija duszę. Strach to mała śmierć, a wielkie unicestwienie...*

Martin zmarszczył brwi i pociągnął cytat dalej:

– *Stawię mu czoło. Niech przejdzie po mnie i przeze mnie...*

[Klucznik i Martin cytują litanię przeciwko strachowi z obrządku zakonu Bene Gesserit z *Duny* Franka Herberta]

Klucznik rozplątał się w uśmiechu.

– Ruszaj na Sheali, Martinie. I zrób to, co musi zostać dokonane.

I znikł tak szybko, że świadomość odmówiła uznania tego zniknięcia. Martin musiał opuścić wzrok, żeby pozbyć się wrażenia ręki klucznika na swoim nadgarstku.

– Zastrzelić się i nie żyć – wymamrotał Martin, myśląc o tym, co się stało. – Przecież to niemożliwe!

Właśnie otrzymał polecenie od klucznika! Jego, świeżo upieczonego współpracownika służb bezpieczeństwa Rosji, zwerbowali wszechpotężni klucznicy!

– O Boże, i po co ja wtedy podniosłem słuchawkę... – wyszeptał Martin. – Dlaczego nie zostałem na Topieli, czemu nie poszedłem do miasta po wywar z rzadkich wodorostów?

Ale w tych słowach kryło się zbyt wiele strachu, by Martin miał ochotę kontynuować myśl.

Rdzeniem miasta była świątynia.

Samo miasto stanowiło mieszaninę stylów architektonicznych. Nie brakowało tu błyszczących wieżowców ze szkła i stali, przypominających futurystyczne budowle aranków, ani przytulnych domków, otoczonych niewysokimi plotami, nie brakowało stadionów, supermarketów, banków i szkół – a w każdym razie ich miejscowych odpowiedników.

Ale to świątynia była sercem miasta, jego kręgosłupem i kamieniem węgielnym. Wszystkie drogi prowadziły do świątyni – szarego, kamiennego stożka kilkusetmetrowej wysokości. W pewien sposób budowla przypominała wieżę Babel ze średniowiecznych rysunków – swoją solidnością, drogą, spiralnie opasującą stożek i prowadzącą aż na sam szczyt, oraz nieuchwytną nieregularnością, niedokończeniem. Spokojny, niemal niewidoczny w świetle dnia płomień gazowych pochodni drżał na szczycie świątyni i w niszach skalnych. Nocą musiał to być niesamowity widok...

Martin wyjął aparat i pstryknął kilka zdjęć na pamiątkę. Po zastanowieniu uznał, że świątynia sheali przypomina Stację kluczników na Aranku, tylko zbudowaną z naturalnych materiałów.

Ze wzgórza, na którym stała miejscowa Stacja (wyjątkowo zwyczajna i niepozorna), rozciągał się wspaniały widok. Gigantyczny, szary stożek, złote iskry pochodni na tle niebieskiego nieba... Słońce oświetlało Djork i stolica Sheali prezentowała się Martinowi w całej swej krasie. Widać było pajęczynę uliczek wokół świątyni, zielone ogrody, sunące po drogach samochody, małe punkciki przechodniów... nawet stąd w kroku sheali dawało się dostrzec charakterystyczną skoczność, odziedziczoną po ptasich przodkach.

Na Martina nasuwał się powoli wielki cień – ponad jego głowę przepływało właśnie cygaro sterowca – sheali nie lubili zbyt szybkich środków transportu. W błyszczącej, stalowej sieci zawieszanej pod sterowcem Martin zauważył polana. Coś mu to przypominało... jakiś stary rysunek fantastyczny o zbliżającym się ujarzmieniu Syberii. W wieku dwudziestym „ujarzmienie” oznaczało zazwyczaj całkowite rozgrabienie surowców naturalnych. „Człowiek powiedział Dnieprowi...” i tak dalej.

W myślach Martin ściągnął na Sheali słynnego analityka Ernesto Połuszki, zadarł mu głowę, żeby mógł popatrzeć na sterowiec, a potem odwrócił go w stronę miasta, samochodów, świątyni i wieżowców. I wrzasnął, również w myślach: „I co, nadal twierdzisz, że oni są nierozumni, cholerny teoretyku?”

Słońce przypiekało. Porywy wiatru niosły wprawdzie chłód (w tym punkcie planety panowała wiosna), ale wiatr nadlatywał rzadko, a słońce piekło bezlitośnie. Czekając na autobus, Martin spocił się jak mysz, zdjął kurtkę i schował ją do plecaka. Już zaczął się zastanawiać, czy nie rozebrać się do pasa, ale w tym momencie na asfaltowej drodze, biegnącej w stronę miasta, pojawił się autobus – elegancka, sześciokołowa maszyna. Gdyby nie ta jedna, absolutnie zbędna z punktu widzenia Martina, para kół, autobus nie różniłby się od staromodnego mercedesa czy volkswagena.

Autobus zahamował obok Martina, otworzyły się drzwi. Szczupły sheali, siedzący z nogami na przypominającym grzędę fotelu, podniósł ręce i zapytał w turystycznym języku migowym:

– Witaj. Jedziesz?

– Witaj. Jadę – odpowiedział Martin w ten sam sposób. Oczywiście, sheali mieli swój język mówiony, podobnie jak język gestów, wykorzystywany w celach sakralnych i rytualnych, ale z Obcymi porozumiewali się w turystycznym języku migowym – język mówiony nie zdał egzaminu –



ptaki-nieloty nie potrafiły go przyswoić. Sheali rozumieli turystyczny, ale nie mówili tym językiem. Może powodem była szczególna budowa aparatu głosowego, a może przyczyna leżała głębiej? W każdym razie należało się z nimi komunikować za pomocą języka migowego, podobnie jak z rasami, które w ogóle nie używały mowy.

Martin wszedł do pustego autobusu i rozejrzał się. Zachwyciła go różnorodność miejsc siedzących. Niemal połowę stanowiły fotele-grzędy dla sheali, umieszczono też zwykłe fotele, przeznaczone dla istot człekokształtnych oraz dla drobnych i dużych humanoidów. Kilka leżanek różnej wielkości i twardości, trzy wanny (jedna z nich, wypełniona wodą, miała plastikową pokrywę), sprytny system kółek, pierścieni i lin... Martin nie miał pojęcia, jaka istota mogłaby z nich skorzystać, chyba tylko gigantyczny pająk.

Martin usiadł w zwykłym, ludzkim fotelu.

Autobus ruszył i zaczął jechać powoli w kierunku miasta.

Ech, gdyby tak sheali mogli mówić! Martin stanąłby obok kierowcy i porozmawiał o różnych rzeczach, na przykład o tym, czy nie spotkał ostatnio w mieście człowieka-kobiety... Pusty autobus i mała prędkość sprzyjały serdecznej pogawędce.

Ale dekoncentrowanie kierowcy, zwłaszcza takiego, który rozmawia rękami, nie byłoby rozsądne.

Martin zadowolił się patrzeniem w okno oraz przypominaniem sobie wszystkiego, co wiedział na temat sheali.

Szczerze mówiąc, z wyjątkiem ptasiego pochodzenia, rasa sheali nie była zbyt interesująca. Cywilizacja techniczna, pod pewnymi względami przewyższająca ziemską, pod innymi pozostająca w tyle. Umiarkowanie wojownicza, w tym sensie, że na cudze się nie łąsają, ale o swoje gotowi są walczyć do upadłego. Nie cierpią na ksenofobię, handlują ze wszystkimi. Posiadają jedną niewielką kolonię na jakiejś niedużej planecie, ale nie lubią podróżować. Osobniki dwupłciowe, jajorodne. Od ponad stu lat używają inkubatorów, chociaż niektóre osobniki z zasady wysiadują jaja w sposób tradycyjny. W zasadzie monogamiści, chociaż zdarzają się rozwody, a w okresie godów najsilniejszy samiec ma prawo walczyć o dowolną samicę, co w żaden sposób nie odbija się na późniejszych stosunkach. Podobny zwyczaj można by znaleźć również w ludzkim społeczeństwie, wystarczy przypomnieć choćby pogańskie święto Kupały. W kosmos się nie pchają, w ogóle nie lubią zbyt szybkich środków transportu, ale Wrota przyjęli z wdzięcznością i nie mają żadnych pretensji do kluczników. Istnieje kilka odłamów wspólnej religii monoteistycznej, walczących między sobą znacznie bardziej zawzięcie niż z wierzeniami innych ras, jest również sporo ateistów. Ustrój polityczny – sześć państw z małymi państwami-satelitami. Wewnątrz gatunku sheali można wydzielić trzy rasy, ale nie ma między nimi antagonizmów, a przeciętny człowiek nie jest w stanie ich rozróżnić. Ustrój społeczny można z pewnym naciąganiem nazwać kapitalizmem państwowym.

Dlaczego więc Połuszkini uznali sheali za nierozumnych?

I co Martin ma zrobić na tej planecie? Co „musi się dokonać”?

Gdy autobus wreszcie dotarł do miasta, Martin miał już dość podobnych rozmyślań. Wsiadł – za przejazd nie trzeba było płacić, trasa Stacja-Djork była bezpłatna – z jakiegoś powodu sheali nie chcieli otwierać punktów wymiany walut poza granicami miasta. Ale za trasę Djork-Stacja pobierano podwójną opłatę...

Martin przede wszystkim odszukał miejscowy bank. Nie miał zamiaru łątać po całym mieście w poszukiwaniu najlepszego kursu, więc po przywitaniu się z kasjerem od razu spytał w języku

migowym:

– Co z tych rzeczy nadaje się do wymiany na wasze pieniądze?

Sheali z wymyślnie wystrzyżonymi piórami na głowie obrzucił spojrzeniem stół, na którym Martin rozłożył swoje towary, i odpowiedział lakonicznie:

– Wszystko.

Po co sheali tytoń czy aspiryna, Martin nie wiedział i nie zamierzał się nad tym zastanawiać. Kilka kolejnych pytań pomogło w ustaleniu dokładnej ceny za każdy towar, a następnie Martin wymienił na pieniądze połowę przypraw i tytoniu (którego używano tu chyba w charakterze przyprawy), a resztę schował do plecaka. Poważnie wątpił, czy po Sheali od razu wróci na Ziemię.

Wziął od kasjera wiązkę cienkich, srebrnych pręcików i powiedział:

– Dziękuję.

– To moja praca – odrzekł skromnie sheali.

Następnie Martin wyruszył na poszukiwanie hotelu „dla Obcych” i znalazł go w pobliżu banku. Widocznie znaczna część przybyszów lądowała na przedmieściach stolicy, nie wytrzymując prędkości rozwijanych przez lokalny transport. Po krótkiej rozmowie z portierem Martin dostał klucz od pokoju na pierwszym piętrze i wszedł po wznoszących się łagodnie schodach. Nie można powiedzieć, żeby hotel urządzono z myślą o ludziach, ale obecność humanoidów uwzględniono na pewno. Jeden pokój Martin uznał za sypialnię – mieściło się tu szerokie, dwuosobowe łóżko i szafka z bielizną pościelową. Drugi ocenił jako salon – stała tu twarda kanapa oraz cztery trzynogie krzesła wokół owalnego, drewnianego stołu, z inkrustowanym kawałeczkami ołowiu blatem. Był nawet telewizor – toporny agregat z okrągłym ekranem, przywodzący na myśl oscylografy, budowę komunizmu i kosmoloty fotonowe na trasie Ziemia-Wenus-Ziemia. W szafie – również drewnianej, z jakąś abstrakcyjną inkrustacją z drutu miedzianego – znajdowały się naczynia. Martin parsknął śmiechem. Nagle zapragnął wyobrazić sobie, że jest w delegacji – właśnie przybył na zacofaną, prowincjonalną planetę, by zacząć budowę nowych inkubatorów i atomowych snopowiązałek. Zapragnął poczytać Strugackich, a wieczorami pić koniak ze szklanki i wraz z innymi pracującymi tu ludźmi dyskutować do zachrypięcia, czy loty statków do Mgławicy Magellana są usprawiedliwione, czy przeciwnie, na razie mamy wystarczająco dużo nie rozwiązanych problemów we własnej galaktyce...

Powiało smętkiem. Walcząc z chandrą, Martin rozpakował rzeczy. Rewolwer przymocował na pasie, broń termiczną zarzucił na ramię. Popatrzył na mętne odbicie w szybie (lustra w pokoju nie było) i zapytał sam siebie:

– Na polowanie, panie?

I sam sobie odpowiedział:

– Na polowanie, kochanieńki. Na słonkę.

Po czym „rozbroił się” na chwilę i zaczął szukać łazienki. Po dłuższej chwili udało mu się odnaleźć drzwi do maleńkiej toalety, zaprojektowanej zapewne przez kryptowielbiciela oszczędnego stylu Nikity Chruszczowa. Martin doprowadził się do porządku, umył się i wyczyścił zęby. Luster nigdzie nie było, musiał zadowolić się lustreczkiem z neseseru. Szczecina na twarzy jeszcze się nie pojawiła.

Zresztą, dla kogo miałby się golić? Dla ptaszków? Nawet nie zauważą różnicy. Dla Iriny? Najpierw należałoby ją znaleźć...

Martin ponownie obwiesił się bronią i zszedł na dół. Pokazał portierowi zdjęcie Iriny, otrzymał spodziewaną odpowiedź: „Ten osobnik jest mi nie znany”, i wyruszył na przechadzkę po Djorku.

Szczerze mówiąc, Iriny równie dobrze mogło nie być w stolicy. Na Sheali było trzynaście Stacji, a chociaż Djork uważano za najważniejsze miasto planety, to palmę pierwszeństwa próbowało przejąć pięć innych państw. Martin postanowił jednak zaufać swojej intuicji oraz logice – jeśli Irina nie uganiała się za konkretnymi artefaktami, a chciała jedynie przekonać się o rozumności sheali, nie mogła znaleźć lepszego miejsca.

Idąc powoli ulicą, wzruszony delikatnością, z jaką sheali nie zwracali na niego najmniejszej uwagi, Martin doszedł do centrum miasta – do świątyni. Postał chwilę, przyglądając jej się i wymamrotał:

– Spiralostożek... twórcy obcego rozumu...

Ponieważ jednak nie było tu nikogo, kto mógłby docenić ten ciąg skojarzeń, Martin przespacerował się po bulwarze, opasującym świątynię, a potem przysiadł na ławeczce w sympatycznym miejscu. Naprzeciwko niego ogromna fontanna wyrzucała strumień wody na wysokość dziesięciu metrów. Martin nabił fajkę i zapalił.

Poczuł się naprawdę dobrze. Już nie pragnął fotonowych gwiazdolotów, protonowych kultywatorów i gorących dyskusji o plantacji bananów na kole podbiegunowym. Co wyszło, to wyszło. Skoro już zamieniliśmy świetlaną przyszłość świata Południa na mroczną teraźniejszość Stalowego Szczura, grzechem byłoby się skarżyć.

Ale stanie się szcurem jest nie mniejszym grzechem...

Pod sklepieniem koron starych drzew, które rozwinęły nad ławką okrągłe spodeczki liści, nie czuło się upału. Było ciepło, broń aranków przyjemnie ciążyła na ramieniu, a siwy dymek z fajki rozwiewał się nad głową Martina. W takt spadającej wody w pobliżu fontanny rozbrzmiewała jakaś niezwykła melodia... i trzeba przyznać – bardzo przyjemna. Sheali, nadal nie zwracając na Martina najmniejszej uwagi, szli po bulwarze, zabawnie podskakując. Wkrótce do fontanny podeszła cała wycieczka – kilku dorosłych sheali wyprowadziło na spacer całe stadko młodych, zielonych jeszcze piskląt. Zielonych w sensie jak najbardziej dosłownym – pisklęta miały żółtozielone upierzenie, śmiesznie sterczące na wszystkie strony i odsłaniające szmaragdowy puszek. Spokojne, stonowane kolory charakteryzowały osobników dorosłych. Na tym różnice się nie kończyły. Jeśli dorosłe sheali przypominały zagłodzone pingwiny o długich, mocnych, strusich nogach, to pisklaki były puszyste i kruche niczym małe kurczęta. Ich skrzydła wydawały się większe niż skrzydła dorosłych i tak faktycznie było. Może pisklęta umiały latać? Za to prawie nie było widać dziobu, widocznie jego wzrost wiązał się z dojrzewaniem płciowym.

Poza tym, w przeciwieństwie do dorosłych, młode sheali żywo zainteresowały się Martinem. Skupiły się w grupki i zagdakały, pomagając sobie w rozmowie gestami skrzydeł. Korzystając z okazji, Martin przyglądał się im otwarcie, również nie kryjąc ciekawości.

Najbardziej interesujące wydały mu się skrzydła – nie miał ochoty nazywać ich rękoskrzydłami. Sheali mieli dwie dłonie na każdym skrzydle – środkową, słabiej rozwiniętą (choć niektóre osobniki posługiwały się nią całkiem niezłe) i końcową, która przypominała zwykłą ludzką dłoń i była pozbawiona piór. Sprężyste skrzydła piskląt pokrywały długie pióra – u dorosłych tych piór nie było, zaś błona zwisała tak, że skrzydło przypominało rękę w luźnym rękawie.

Może te pióra wypadają w trakcie dorastania? A może są wrywane? Na przykład, podczas pierwszego okresu godowego? I to jest granica między dzieciństwem i młodością, a wraz z nią

przychodzi zdolność do pracy, odpowiedzialność, takt...

Martin zdawał sobie sprawę, że właśnie zajmuje się czymś teoretyzowaniem. Wystarczyło otworzyć przewodnik – wszystkie mniej lub bardziej istotne rytuały zostały w nim dokładnie opisane. Ale palmtop, do którego Martin wprowadził sporo ciekawostek o Sheali, Talizmanie i innych planetach galaktyki, został w hotelu. Zresztą, po co mu teraz zbędne informacje?

Chociaż, z drugiej strony, żadne informacje nie są zbędne. Szczególnie w świetle otrzymanego od klucznika zadania. „Zrób to, co musi zostać dokonane...” Trzeba będzie posiedzieć nad plikami.

Od szczebioczącego stadka sheali odłączyło się jedno pisklę. Zachęcane popiskiwaniami towarzyszy, podeszło do Martina i coś cieniutko powiedziało.

– Niestety, nie znam waszego języka – powiedział Martin z godnością i uśmiechnął się, starannie nie pokazując zębów. Dla wielu ras otwarty uśmiech oznaczał groźbę.

Na wszelki wypadek powtórzył swoje słowa w turystycznym języku migowym.

Pisklak odwrócił się do kolegów, którzy najwyraźniej zachęcali go do kontynuowania kontaktu, i lekko przykucając, i przekręcając słowa, pokazał w języku migowym:

– Mówi pan turystyczny?

– Mówię – odpowiedział odruchowo Martin. No proszę! – Sam uczyłeś się tego języka?

– Nauczyłam się języka w jajku. Mama przeszła przez Wrota. – Gdy rozmowa została nawiązana, pisklak poczuł się pewniej i podszedł bliżej. A może podeszła?

– Jesteś małą kobietą? – zapytał Martin.

– Jestem dziewczynką – odparł dumnie pisklak. – Mało praktyki, kiepsko mówię. Czy mogę niedużo z panem porozmawiać? Polepszą mowę.

– Możesz – zgodził się Martin. – Usiądziesz?

– Tak.

Pisklę nieumiejętnie wdrapało się na ławkę. Usiadło prosto, nie jak człowiek, ale również nie tak, jak dorosły sheali. Jego towarzysze wyglądali na znudzonych – rozmowa w migowym turystycznym była dla nich niezrozumiała. Zagdakali, przywołując kolegę, ale pisklę zatrajkotało coś w odpowiedzi i wyraźnie rozczarowane dzieciaki zajęły się swoimi sprawami.

Martin popatrzył z uśmiechem na „dziewczynkę”, na sterczący żółtozielony czubek i zapytał:

– Jak się nazywasz?

– Jeszcze nie mam imienia. Przecież jestem dziewczynką.

– U nas dziewczynki otrzymują imiona w dniu narodzin – wyjaśnił Martin.

– A chłopcy?

– Chłopcy również.

Pisklak zamyślił się, a po chwili powiedział:

– Możesz nazywać mnie po prostu dziewczynką. Niewiele dziewczynek zna język turystyczny.

– Dobrze, a ty możesz mówić do mnie Martin – odpowiedział Martin, starannie przekazując transkrypcję imienia.

– Żar-rtin – pisnęła dziewczynka.

– Martin – powiedział Martin na głos.

– Martin – powtórzyła dziewczynka.

– Wspaniale wymawiasz dźwięki – pochwalił ją Martin. – Mogłabyś mówić na głos.

– To byłoby trudne i nie jest przyjęte – odpowiedziała dziewczynka i zrobiła gest, wyrażający żal. – Wszyscy dorośli to leniuchy.

Martin roześmiał się. Nagle zrozumiał, że w całej tej sytuacji – i w rozmowie, i w wyglądzie ptaszka – było coś niepoważnego, animkowego. Na miejscu Martina powinien siedzieć wujek Donald z siostrzeńcami i rozmawiać z kaczką z innej planety.

– Co cię tak rozbawiło? – spytała dziewczynka.

– Na naszej planecie ptaki są nierozumne – wyjaśnił szczerze Martin. – Ale w opowieściach dla dzieci czasami jest inaczej, i wtedy one rozmawiają, budują domy... nagle poczułem się jak bohater wymyślonej historii.

– To zabawne – przyznała dziewczynka. – My również mamy bardzo ciekawe historie. Przyjechałeś do nas z rodzicami?

– Nie – odparł z lekkim zdumieniem Martin.

– Puścili cię samego czy uciekłeś? – dziewczynkę wyraźnie zaintrygował ten problem. – Ci, którzy uciekają z domu, mają różne niebezpieczne przygody... ale ciekawie się o nich czyta.

– Nikt mnie nie puszczał, bo nie muszę nikogo pytać o pozwolenie – wyjaśnił Martin. – Przecież jestem dorosły. Gdybym był mały, byłbym twojego wzrostu.

Przez jakiś czas piskłę milczało, spoglądając na Martina z niedowierzaniem. W końcu skrzydła poruszyły się, kreśląc słowa:

– Przepraszam. Nie wiedziałam.

Po czym dziewczynka sheali zerwała się z ławki i pobiegła do swoich kolegów.

Martin westchnął. Szkoda... a tak się sympatycznie rozmawiało. Czyżby przestraszyła się dorosłego przybysza? Chyba nie...

A może zostały złamane jakieś zasady ptasiej etykiety? Może pisklak nie powinien pierwszy zaczepiać dorosłego? To już było bardziej prawdopodobne. Martin znowu nabił fajkę, którą taktownie odłożył, gdy piskłę do niego podeszło, zapalił i spróbował odszukać wśród skaczących przy fontannie dzieciaków figurkę niedawnej rozmówczynie.

Nic z tego. Jak ją odróżnić od takich samych żółtozielonych piskłat?

Tymczasem dzieciaki bawiły się na całego. Sheali nie nosiły ubrań, najwyżej pasy z kieszeniami na różne drobiazgi, ale pasy były przywilejem osobników dorosłych, zaś piskłęta biegały na golasa, jeśli można się tak wyrazić o istotach pokrytych piórami. Wskakiwały do płytkiej fontanny, pluskały się pod strugami wody, straszyły piórka, biegały po płyciźnie, śmiesznie tłukąc skrzydłami o wodę – jakby chciały się wznieść...

– Przecież one były ptakami wodnymi... – wymamrotał Martin, wstrząśnięty tym nieoczekiwanym odkryciem. Nieważne, że dla ziemskich uczonych pochodzenie sheali od dawna nie było tajemnicą, Martinowi spodobała się własna domyślność. Wypuścił kłęb dymu z fajki, sięgnął do kieszeni po butelkę koniaku i upił mały łyk.

Dzień był piękny – tak, jak może być piękna krótka chwila odpoczynku. Dzisiaj czekały go jeszcze poszukiwania Iriny, których Martin niejasno się obawiał, przewidując, jak może się to skończyć. I miał przed sobą misję, powierzoną mu przez kluczników.

Ale na razie mógł podziwiać stożek obcej świątyni, przyglądać się szalejącym dzieciakom obcej rasy, palić starego dobrego Mac Barrena i pić ormiański koniak.

– Snob – przypomniał sobie Martin bezlitosną diagnozę i znowu sięgnął po butelkę.

W tym momencie dzień zdecydował, że wystarczy już tej beztroski.

Kroczący alejką dorosły sheali przesunął po Martinie obojętne spojrzenie i nieoczekiwanie stanął jak wryty. Przykucnął, jakby stracił równowagę i nie chciał się przewrócić, zatrzepotał krótkimi skrzydełkami. Martin, który nie miał pojęcia, co się dzieje, przyglądał mu się spokojnie.

Sheali wyprostował się. Zrobił kilka niezgrabnych kroków. Znowu popatrzył na Martina – a jego spojrzenie stawało się coraz bardziej szalone.

A potem sheali wydał klekoczący syk, którego nie powstydziliby się gigantyczna żmija albo zachrypnięty tygrys. Skrzydła klasnęły, dwie pary dłoni wymacały pas, rozpięły kieszenie...

Martin nadal nic nie rozumiał, pozostałe sheali już tak. Niektóre rzuciły się do ucieczki, inne zaczęły wyganiać pisklęta z fontanny – niestety, zbyt wolno. Huk spadającej wody zagłuszał syczący klekot obłąkanego sheali.

Bo co do tego, że sheali stracił rozum, nie było wątpliwości. Rozłożył skrzydła i w każdej dłoni błysnął ostry, metalowy przedmiot...

Gdyby sheali rzucił się w stronę Martina, detektyw zapewne zdążyłby wyjąć rewolwer i strzelić do Obcego, ale sheali wskoczył do basenu. Skrzydła uniosły się i opadły, rozległ się cienki pisk i zakrwawione małe ciało wpadło do wody.

Krew piskląt sheali była czerwona – zupełnie jak krew ludzi.

Martin już biegł do basenu. Obłąkany sheali skakał pomiędzy rozbiegającymi się pisklętami, wymachując swoją bronią – cienkimi jak sztylety nożami. Niemal każdy cios znajdował swój cel, w powietrzu unosił się zielonożółty puch, woda poróżowiła – a nad tym wszystkim lśniły strugi spadającej wody i rozbrzmiewała cicha, obca muzyka...

– Stój! – ryknął Martin, wskakując do basenu i za jednym zamachem łamiąc z dziesięć omszałych zasad, kategorycznie zabraniających turystom wtrącania się do konfliktów pomiędzy Obcymi – Stój, ty dzieciule!

Oczywiście, sheali nie zrozumiał go, ale odwrócił się na dźwięk, już wznosząc ostrze nad jakimś pisklakiem.

Martin przykucnął, odwracając się do sheali plecami, a ręce same z siebie pokazały:

– Płodzie zbuka! Oskubię ci głowę!

Czy te słowa były ekwiwalentem rosyjskich przekleństw i stanowiły dodatek do turystycznego języka migowego, czy też była to nieoczekiwana improwizacja, Martin nie wiedział.

Ale jak na improwizację wyszło całkiem nieźle.

Sheali zadarł głowę, wydał głośny ryk, odrzucił nietknięte pisklę na bok. I runął na Martina, wymachując skrzydłami. Lśnienie ostrzy zmieniło się w dwa połyskliwe koła.

A Martin spokojnie podniósł rewolwer i wsadził w sheali cały magazynek, łamiąc całą resztę zasad zachowania się turystów na obcych planetach.

Sheali upadł dopiero po czwartej kuli. Leżał tak, podrygując, aż wreszcie znieruchomiał, kołysząc się na wodzie twarzą w dół. Ostrza wysunęły się z jego palców i opadały na pokryte piaskiem dno basenu.

Niedobite, dygoczące pisklę stało pod strumieniami wody. Pozostałe pisklęta były wyciągane z wody przez dorosłe sheali.

– Jesteś żywy? – zapytał odruchowo Martin. W spojrzeniu małej istoty pojawił się przeblask rozumu i pisklę powoli poruszyło skrzydłami:

– Jestem *żywa*. Przecież mówiłam, że jestem dziewczynką.

Martin pokręcił głową. Uratowanie ciekawskiej rozmówczynie warte było popełnionego szaleństwa.

Z tyłu rozległ się klekot sheali. Martin odwrócił się i zobaczył dwóch policjantów – a w każdym razie sheali uzbrojonych w broń palną.

– Ukryj broń. Idź z nami – oznajmił jeden z sheali, nieco koślawo – widocznie nie znał turystycznego, a tych zdań nauczył się bezmyślnie na pamięć.

Martin powoli wyszedł z basenu. Dobrze chociaż, że nie kazali mu rzucić broni... to budziło pewną nadzieję.

Gdy Martin i policjanci oddalili się już od fontanny, detektyw odwrócił się.

Z basenu wyciągano martwe pisklęta. Wyjęto również trupa obłąkanego sheali – i kilkunastu dorosłych szarpało jego ciało dziobami i rozrywało rękami na kawałki.

A pod strugami wody nadal stała dziewczynka sheali i spoglądała na odchodzącego Martina.

Przesłuchanie było krótkie i wyglądało raczej na wypełnienie jakichś rytualnych formalności. Upredzająco greczny sheali poprosił Martina o szczegółowy opis wszystkich jego działań od tego momentu, gdy Martin zobaczył Zszokowanego Rozumem – bo takim, nieco pompatycznym terminem policjant określał szaleńca, który urządził rzeź.

Martin próbował przekazać również motywy swojego postępowania – że początkowo nie rozumiał, co się dzieje, a potem przestraszył się o bezbronne pisklęta i próbował odwrócić uwagę zabójcy... ale policjant dał mu do zrozumienia, że takie szczegóły go nie interesują. Suche fakty. Kolejność działań. Wstał, pobiegł, skoczył, krzyknął, strzelił...

– Widzieć, słyszeć, nienawidzić... [Widzieć, słyszeć, nienawidzić – początek klasycznej rosyjskiej „rymowanki gramatycznej”, pomagającej w zapamiętaniu czasowników o nieregularnej odmianie] – mruknął Martin i zaczął wymachiwać rękami, przedstawiając „fakty i tylko fakty”. Policjant kiwał głową. Martin nawet się nie bał. Może dlatego, że zastawiony kwiatami, przytulny gabinet, z szerokimi oknami wychodzącymi, rzecz jasna, na świątynię, bynajmniej nie przypominał mrocznych kazamatów.

– Wszystko się zgadza i zostało potwierdzone przez świadków – oznajmił policjant po wysłuchaniu opowieści Martina. – Naród sheali nie ma do pana pretensji.

Martin skinął głową, myśląc przelotnie, że „naród sheali” mógłby wyrazić mu wdzięczność za unieszkodliwienie groźnego psychopaty.

– Czy Zszokowany Rozumem był chory? – zapytał.

– Tak – potwierdził policjant. – Był chory na rozum.

– Dobrze, że znalazłem się w pobliżu – powiedział znacząco Martin.

– Źle – odrzekł policjant. – Zszokowany Rozumem pochodził z wioski, zagubionej w górach. Nigdy nie widział Obcych. Gdy zobaczył pana, siedzącego na ławce niczym prawdziwy sheali, świat wewnętrzny Zszokowanego Rozumem rozpadł się. Zszokowany Rozumem nie wiedział, jak powinien zachować się w takiej sytuacji. Miał przy sobie rytualne ostrza, ale uznał pana za zbyt niebezpiecznego i nie odważył się zaatakować. Jego pierwotne instynkty podsunęły mu inny, nieprawidłowy model zachowania – zabić kilka piskląt i uciec, póki drapieżnik pożera ciała.

Martin poczuł się tak, jakby go ktoś opluł. Zaczął płytko oddychać.

– Nie ma w tym pańskiej winy – oznajmił policjant. – Winny jest starosta wioski, który wypuścił Zszokowanego Rozumem bez uprzedniego przygotowania. I on zostanie ukarany.

– Nie wiedziałem... – wyszeptał Martin.

– Oczywiście. Nie jest pan niczemu winien.

Ale mimo wszystko Martin czuł się winny. Przypomniawszy sobie żółtozielony puch pod strugami fontanny, różową wodę, nieruchomą dziewczynkę sheali... Potrząsnął głową, odganiając wspomnienia. Było, minęło. Nie ma sensu o tym myśleć. Życie toczy się dalej. A propos...

– Czy mógłby mi pan pomóc? – zapytał Martin. – Szukam kobiety swojej rasy, która przybyła na Sheali tydzień temu. Oto jej obraz fotograficzny...

– To wymaga czasu – odparł policjant, bynajmniej nie zaskoczony prośbą. – Proszę przyjść wieczorem.

Martin skinął głową:

– Pójdę już. Przyjdę wieczorem. Dziękuję.



– Proszę nie zapomnieć dokumentu na pisklę – policjant podał mu kartonowy krążek, wypełniony drobnym pismem.

– Co to za dokument? – zdumiał się Martin.

– Pańska ingerencja uratowała pisklę, które musiałyby zginąć. Teraz nie należy już ono do naszego miasta. Stało się członkiem pańskiego stada.

Martin podrzucił ręce w geście protestu, zbyt późno uświadamiając sobie, że w turystycznym języku migowym oznacza to najwyższy stopień zachwytu.

– Chwileczkę! Ja nie potrzebuję pisklęcia sheali!

– Ale ono nie należy już do miasta. Należy do pana.

Dyskusja na ten temat trwała co najmniej dziesięć minut – o ile dwa monologi można nazwać dyskusją. Martin tłumaczył, że w ludzkiej kulturze nie ma zwyczaju brania do niewoli czy też adoptowania uratowanych od śmierci istot. Policjant wyjaśniał, że kultura sheali istnieje w oparciu o wiekowe tradycje i uratowana istota przechodzi do nowego stada. Martin zapewniał policjanta, że nie stawiał sobie za zadanie ratowania jakiegoś konkretnego pisklęcia. Policjant odrzekł, że liczni świadkowie potwierdzili, że tylko interwencja Martina uratowała pisklęciu życie. Martin stanowczo odmówił zabrania pisklaka na Ziemię oraz troszczenia się o niego na Sheali. Policjant przyznał, iż Martin ma takie prawo, ale wówczas porzucone pisklę zginie. Martin zapytał cynicznie, czy ma prawo zrobić z pisklęciem, co zechce. Policjant potwierdził, że osobnik niepełnoletni, który „wypadł z gniazda”, nie jest chroniony przez prawo.

Z posterunku Martin wypadł czerwony jak burak, klnąc na czym świat stoi.

Pisklę sheali! Członek jego stada!

Wyobraził sobie gigantycznego kanarka, spacerującego po jego moskiewskim mieszkaniu. Wyobraził sobie, jak pisklę wymachuje skrzydłami i mówi: „Tatusiu, a chłopaki na podwórku powiedzieli, że nie jesteś moim prawdziwym tatą”!

– Bydlęta! – ryczał Martin. – Cymbały! Idioci!

„Dokument na pisklę” parzył go w rękę. Martin uśmiechnął się złośliwie w myślach i już-już miał podrzeć papier, gdy przypomniał sobie słowa pisklaka: „Jestem żywa. Przecież mówiłam, że jestem dziewczynką”.

Gdyby nie zaczął dyskutować z małą sheali...

Zresztą, czy pobiegłby ratować pisklęta, gdyby nie pogawędził wcześniej z „dziewczynką”?

– Ty kretynie... – powiedział Martin sam do siebie.

A jednak zasady postępowania dla turystów stworzono nie na próżno...

Martin schował kartonik do kieszeni i pobiegł do fontanny. Miał wrażenie, że dziewczynka nadal stoi pod strumieniami wody – mokra, zziębnięta istotka, osamotniona i bezbronna...

Dziewczynka siedziała na ławce – mokra, nastroszona i bezbronna. Martin nie wątpił, że to ona – pozostałe pisklęta zabrano, zatarto również ślady jatki.

Martin zwolnił kroku, usiadł na ławce i popatrzył na pisklę.

– Jak to wszystko głupio wyszło. – Dziewczynka odezwała się pierwsza. – Teraz jestem w twoim stadzie?

– Tak – potwierdził Martin.

– Czy u was w ogóle są stada?

– Nie. Są rodziny... narody... państwa. Ale to co innego.

– Tak właśnie myślałam. To niedobrze.

– I co ja mam teraz zrobić? – rzucił Martin w przestrzeń.

– Mówisz w swoim języku?

– Tak.

– Wybacz, ale nie rozumiem, gdy mówisz w innym języku niż migowy. Jeśli weźmiesz mnie ze sobą i włączysz do swojego stada, postaram się wszystkiego nauczyć. Jestem zdolna. Mam jeszcze trochę czasu, żeby się uczyć.

– A bierzesz pod uwagę, że mógłbym cię nie wziąć? – zapytał Martin.

– Tak. Jeśli nie macie stad, a ja należę do innego gatunku biologicznego... będę tylko ciężarem.

– Policjant nawet nie zapytał, czy u nas są stada...

– Policjant jest dorosły. On już nie umie myśleć.

Martin pokiwał głową i drgnął, gdy dotarł do niego sens tych słów.

– Co to znaczy, że nie umie myśleć?

– Nie umieć myśleć oznacza nie umieć myśleć.

– A ty umiesz?

– Oczywiście.

– Inne dzieci też?

– Tak.

– A dorośli?

Dziewczynka zaszczębiotała. Chyba był to śmiech.

– Przepraszam, myślałam, że wiesz. Oczywiście, że nie.

– To dlatego uciekłaś, gdy dowiedziałaś się, że jestem dorosły?

– Tak. To mnie zaskoczyło. Nie od razu domyśliłam się, że jesteś Obcy i umiesz myśleć, nawet wtedy, gdy dorosłeś.

– Ale wasi dorośli mówią – przypomniał sobie Martin. – Pracują, przechodzą przez Wrota, kierują samochodami...

– Umieją to. To...

– Rozsądek? – odpowiedział Martin.

– Rozsądek. Zgadza się. Nauczyli się tego, gdy byli dziećmi i umieli myśleć. Dowiedzieli się wszystkiego, co jest potrzebne do życia. A potem przestali myśleć. Myślenie jest trudne, bolesne i niebezpieczne. Jeśli nie ma na świecie nieznanymi niebezpieczeństw – nie musisz myśleć.

– To dlatego zabójca stracił rozum?

– On go nie stracił, lecz zyskał – wyjaśniła cierpliwie dziewczynka. – Spotkał nową istotę – ciebie. W dzieciństwie nie przygotowano go do spotkania z Obcym. Zachowywał się jak sheali, ale nie był sheali. Rozsądek okazał się niewystarczający i on znowu musiał zacząć myśleć. Został szokowany rozumem. Zachorował. Nie zdołał przemyśleć nowej informacji i zaczął działać jak pierwotny sheali – zabijać słabych, by uratować siebie. Bardzo mi go żal.

– W jaki sposób sheali przestają być rozumni? – zapytał Martin. – Chciałbym wiedzieć.

Dziewczynka przyjrzała mu się uważnie.

- Wybacz, ale dopiero teraz uwierzyłam, że jesteś rozumny. Od razu przyjąłeś nową informację. Przepraszam, że w to wątpiłam.
- Nic nie szkodzi. Opowiesz mi, jak sheali przestają być rozumni?
- Tak. A przyjmiesz mnie do swojego stada?
- Przecież nie mogę cię tu porzucić, bo wówczas umrzesz.
- Spróbuję przeżyć. Jestem mądra, coś wymyślę. Mogłabym zamieszkać w lesie i żyć tam jak dzikusy. To znaczy, jak drapieżniki. Tam są drapieżniki, aleja...
- Jesteś głodna? – zapytał Martin.
- Bardzo – odparła natychmiast dziewczynka.
- Ale ze mnie głupiec... Chodźmy.

Na szczęście dziewczynka nie dziobała przyniesionej przez kelnera kaszy, lecz jadła czymś w rodzaju łyżki. Gdyby zaczęła stukać dziobem w talerz, niebezpieczeństwo „zszokowania rozumem” groziłoby Martinowi.

Ale dziewczynka sheali zachowywała się jak najzwyczajniejsza ludzka dziewczynka, która porządnie zgłodniała i teraz rzuciła się najedzenie. Machając energicznie łyżką, popijała kaszę sokiem owocowym. Martin już miał spróbować kaszy, ale przezornie zapytał kelnera o skład. Tak duże istoty jak sheali nie mogły żywić się wyłącznie kaszą!

Podejrzenia okazały się słuszne – prócz kaszy w skład dania wchodził farsz z „tego, co żyje w ziemi”. Być może chodziło o jakieś miejscowe króliki, żyjące w norach. Ale mając świadomość, że w ziemi mieszkają również robaki, Martin nie dopytywał się o pierwotny wygląd farszu, zrezygnował z kaszy i poprzestał na soku owocowym.

Dziewczynka starannie wytarła dziób serwetką i popatrzyła na Martina:

- Dziękuję. To bardzo smaczne.
- Pojęcia nie mam, co z tobą teraz zrobić – przyznał się Martin.
- Na twojej planecie zostanę uznana za człowieka?
- Człowiek to stworzenie dwunożne pozbawione piór – odpowiedział Martin. – Nie będę cię oszukiwał. Ludzie zaczną przyglądać ci się z obawą, ale nie skrzywdzą cię – Ziemię odwiedza wielu Obcych.
- To nic – powiedziała dziewczynka. – Przyzwyczaję się. Zdamę wypracować nowe instynkty.
- Czy utrata rozumu jest nieodzowna?
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – wyznała dziewczynka. – Skoro u was wszyscy są rozumni... nie, to nie jest konieczne. Ale chyba trudno być przez cały czas rozumnym?
- Bycie prawdziwym człowiekiem zawsze jest trudne – powiedział Martin, znowu czerpiąc ze skarbnicy cytatów. – Ale czy chciałabyś stracić rozum?
- To nie boli – zauważyła dziewczynka. – I wcześniej czy później dosięga każdego. Właśnie spróbowałam sobie wyobrazić, jak to jest, przeżyć życie, zachowując rozum, i przestraszyłam się. Życ i myśleć? Zawsze, aż do śmierci? Czy nie chciałbyś, żeby wszystko stało się łatwe i proste? Żeby nie trzeba było się bać cierpieć, wątpić, rozpaczać, wahać się i kajać?
- Słyszałem kiedyś wypowiedź pewnego staruszka – powiedział Martin. – Występował w telewizji, w talk show... to taki program, w którym zbiera się różnych cudaków ku uciesze

publiczności...

– U nas nie ma czegoś takiego – oznajmiła dziewczynka. – U nas nie ma dorosłych cudaków. Przepraszam, przerwałam ci.

– No i ten staruszek twierdził, że wszystkie nieszczęścia na Ziemi wynikają z miłości – ciągnął Martin. – Wiesz, co to takiego miłość?

– Wiem. To niepokojący stan emocjonalny, jedna z właściwości rozumu. Ja też kocham jednego chłopca.

Martin uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wspaniale. Staruszek wymienił wszystkie nieszczęścia, spowodowane miłością. Mówił, że miłość sprawia, że ludzie dokonują czynów nielogicznych, tracą spokój, a czasem nawet życie. Dlatego radził nie zakochiwać się, a jeśli już do tego dopuściliśmy, to przynajmniej nie rozmnażać się, albo rozmnażać się sztucznie. Mówił, że kiedyś próbował uprawiać seks...

– Wiem, co to jest seks – oznajmiła spokojnie dziewczynka.

Martin wznosił oczy ku niebu.

– Aha. A więc seks też mu się nie spodobał. Zabawny staruszek. Słuchałem go i myślałem, że to brzmi całkiem logicznie. Przecież z powodu miłości ludzie faktycznie często cierpią – jeśli spojrzeć na to z boku. Słuchałem go i zastanawiałem się, w którym miejscu nie ma racji. Zdarza się, że człowiek nie ma racji, a ciężko sprecyzować, w którym miejscu. Trudno argumentować, że miłość to także radość, bo radość nie jest przeciwstawą smutku. Poza tym wtedy wychodzi jakaś waga, na której kładziemy plusy i minusy miłości. I wtedy do mnie dotarło – nieszczęsny dziadek nie rozumiał rzeczy najważniejszej – gdy cierpi się z miłości, to cierpienie jest jasne i dobre. Nawet, gdy miłość jest nieodwzajemniona, gdy niesie smutek i gorycz, nawet wtedy jest radością! Najważniejsze, że ta miłość jest. A staruszek... może miał coś nie w porządku z DNA? Nie wiem. Może jedyne, co potrafił czuć, to smak na języku i miękka sofa pod tyłkiem? Nie sposób wytłumaczyć mu, czym jest miłość, tak jak nie sposób opisać niewidomemu kolorów tęczy. Podobnie jest z rozumem, dziewczynko. Niesie ze sobą wiele goryczy i bólu, a jednak jest szczęściem. I pojąć to może tylko ten, kto go posiada.

– Ten staruszek mówił jak nasi dorośli – zauważyła dziewczynka. – A może u was też są ludzie, którzy przestali myśleć i którym wystarcza rozsądek?

– Możliwe.

– A czy ty kogoś kochasz?

Dziwna to była rozmowa. Mała restauracyjka na obcej planecie. Goście, którzy nie zauważali Martina. Jego rozmówczyni – pisklę sheali. A temat rozmowy – miłość i rozum. To, do czego wszystko się sprowadza...

– Kochałem – powiedział szczerze Martin. – Chyba kochałem. A teraz... – zawahał się i szczerze dokończył: – Teraz nie wiem.

– To znaczy, że kochasz – stwierdziła dziewczynka.

Martin uśmiechnął się.

– Czy ty w dzień śpisz? – spytało pisklę niespodziewanie.

– Przez ostatnie trzydzieści lat nie... – Martin popatrzył uważnie na dziewczynkę i palnął się w czoło. – Jestem skończonym głupcem! Chciałabyś pójść spać?

– My w dzień śpimy. Jak jesteśmy mali – przyznała się dziewczynka.

– Chodźmy. To niedaleko.

„Niedaleko” było określeniem umownym, ale pół godziny później dotarli do hotelu. Martin spojrzął na niebo – słońce znalazło się dość wysoko. Cóż... Położy dziewczynkę spać i wstąpi na posterunek policji, żeby zasięgnąć informacji o Irinie.

Czując się jak Humbert Humbert albo Leon zawodowiec ze starego filmu, Martin minął portiera, trzymając dziewczynkę za rękę. Łapka w jego dłoni wydawała się ludzka, przestał nawet słyszeć szelest piór. Portier obrzucił człowieka obojętnym spojrzeniem, po czym zwrócił na siebie uwagę cichym klekotem i powiedział w języku migowym:

– W pana pokoju będzie kobieta.

– Dziewczynka. Jest z mojego stada – odparł posępnie Martin.

– W porządku.

Dopiero, gdy zobaczył, że drzwi od jego pokoju są uchylone, zrozumiał, że on i portier mówili o różnych kobietach.

– Siedzę tu i siedzę... – zaczęła Irina Połuszkina, zrywając się z sofy. – O rany, kto to jest?

– Dziewczynka – wyjaśnił Martin z miną skazańca.

– Dobrze, że nie chłopczyk – mruknęła Irina i zadeklamowała: – O poranku tu zawitał kosmiczny pedofil, co nieletnie organizmy wciąż ze sobą wodził...

– Popracuj nad rymem – skomentował Martin. – Irino, nie drwij sobie. To idiotyczna sytuacja.

– Idiotyczne sytuacje to chyba twoja specjalność? – powiedziała dziewczyna ironicznie.

– Uratowałem to pisklę od śmierci – wyjaśnił Martin. – I zgodnie z prawem Sheali oddano mi je.

– Ach tak... – Irina zerknęła na Martina z wyraźną konsternacją.

– Coś nie gra?

– Ależ wszystko gra... – Dziewczyna pokiwała głową. – Wszystko w porządku. Biedne dziecko... – dodała z tą intonacją, która jednoznacznie oddziela dziewczęta od kobiet. – Biedna mała... Nakarmiłeś ją przynajmniej?

– Czy to jest kobieta, którą kochasz? – spytała prostodusznie dziewczynka.

Ha, czy na pewno prostodusznie? Martin odniósł wrażenie, że w oczach pisklęcia mignęła chytra iskierka.

– Och, wybac, że się nie przywitałam, nie sądziłam, że znasz turystyczny... – powiedziała szybko Irina, a Martin uśmiechnął się mimo woli. Co by nie mówić, turystyczny migowy wygląda zabawnie.

– Znam, przeszłam przez Wrota będąc w jajku. Ty też należysz do naszego stada?

– Czasami – powiedziała Irina i popatrzyła na Martina.

– Słuchaj, coś ty jej nagadał? Przecież to jeszcze dziecko, według naszych miar może mieć najwyżej dwanaście lat...

– Jeśli dobrze rozumiem, za kilka lat nie da się z nią o niczym pogadać – powiedział Martin i spojrzął uważnie na Irinę.

– Tak, wówczas tracą rozum – Irina skinęła głową. – Już się dowiedziałam...

Znowu zwróciła się do dziewczynki:

– Nie jesteś głodna? Wszystko w porządku?

– Martin mnie nakarmił.

Imię dziewczynka wymówiła na głos. Zabrzmiało bardzo podobnie.

– Jaka zdolna... – zachwyciła się Irina. – Martin, aleś wdepnął... Wyobrażasz sobie, co cię czeka po powrocie na Ziemię?

– Przecież nie zostawię jej tym bezmózgim sheali!

Ira pokiwała głową i zapytała dziewczynkę:

– Chcesz czegoś teraz?

– Chcę spać. Za dużo wrażeń. Poza tym... – dziewczynka zerknęła na Martina i pokazała coś w języku gestów, starannie kryjąc dłonie przed Martinem.

– Chodźmy – powiedziała Irina, biorąc dziewczynkę za ramię. Poszły do toalety.

Martin westchnął, usiadł na kanapie, wyjął butelkę koniaku. Powiedział głośno:

– Już wiem, czym życie różni się od bajki. Calineczka nigdy nie siusiała...

– Nie bądź obrzydliwy! – krzyknęła Irina przez cienkie drzwi. – Pisklęta po jedzeniu muszą wymiotować!

– A taki Kopciuszek nie miał mdłości po balu... – dodał Martin.

– Nie można powierzyć ci dziecka! – powiedziała gniewnie Irina, wyprowadzając dziewczynkę z toalety. – Złośliwiec i w dodatku alkoholik!

– Zostawić ci trochę koniaku? – zapytał Martin niewinnym tonem.

– Zostaw – burknęła Irina, wchodząc do sypialni. – I pokrój cytrynę.

Martin zerknął na swój plecak – nie wyglądało na to, żeby ktoś w nim grzebał. Skąd Irina wiedziała, że ma cytryny?

Gdy dziesięć minut później Irina wyszła, cichutko zamykając za sobą drzwi, wszystko było gotowe – koniak nalany do najbardziej odpowiednich kieliszków, cytryna pokrojona i posypana cukrem z kawą. Na wszelki wypadek Martin wyjął również czekoladę – zakąszanie koniaku czekoladą to bezguście, ale wobec kobiet należy stosować taryfę ulgową.

– Zasnęła – szepnęła Irina. – Ale ją wymęczyłeś! Czy ty w ogóle nie myślisz?

– Nie jestem ornitologiem – mruknął Martin. – I nie mam dzieci.

– Chwała Bogu! Z ciebie taki tatuś, jak...

– Jak z ciebie mamusia. – Martin popatrzył na Irinę. – Nie denerwuj się tak. Sam omal nie straciłem rozumu, gdy wręczyli mi gadające pisklę. Ale nie o tym powinniśmy pogadać, Ira.

Dziewczyna skinęła głową i usiadła obok niego. Spojrzała Martinowi w oczy:

– Jak umarłam?

– Zmiażdżył cię kokon. Na rozkaz Pietieńki, którego o to poprosiłaś – powiedział twardo Martin.

Irina na chwilę zamknęła oczy.

– To pamiętam... Jak wyglądałam potem?

Martin wzruszył ramionami:

– Skąd mogę wiedzieć? Straciłem przytomność i ocknąłem się na planecie kluczników. A wiesz, że oni nie są zbyt rozmowni.

– Chwała Bogu – westchnęła Ira. Na jej twarzy pojawiła się ulga.

– Co masz na myśli?

– Bałam się, że widziałeś mnie martwą. Pięćdziesiąt pięć kilo krwawego farszu w plastikowej torbie. I jak byś mnie po czymś takim całował...

– Kobięca logika... – wyszeptał Martin, zanim ich usta spotkały się i klucznicy, sheali i bezzaryjczycy na jakiś czas przestali istnieć. Ręce Iriny zaczęły go rozbierać, Martin zerknął na zamknięte drzwi od sypialni, wymacał suwak spódnicy. Skóra Iriny była gorąca, jej ciało reagowało drżeniem na jego dotyk.

– Pamiętam cię... wszystko pamiętam... – szepnęła. – Ja i nie ja... to ona była z tobą... Omal nie zwariowałam...

Nie można powiedzieć, żeby Martin miał teraz czas i ochotę nad czymkolwiek się zastanawiać. W takiej sytuacji w pełni zadowalał się instynktem. Ale przez głowę przemknęła mu myśl o tym, że Irina ma rację.

Była inna. Odrobinę inna. To już nie ta naiwna dziewczyna, która umarła na Bibliotece, ani ta romantyczka, która zginęła na Prerii 2. Nie ta wyrachowana Irina z Aranku. Nie egzaltowana panienska z Marge i nie uparta bojowniczką z Bezzaru.

Wszystkie razem i jeszcze coś. Wszystkie razem i coś całkiem innego.

– To byłaś ty... – wyszeptał Martin.

Pół godziny później Martin leżał na kanapie i czekał, aż Irina wyjdzie z łazienki. Miał ochotę na papierosa, ale za bardzo przypominałoby to scenę z amerykańskiego filmu.

Dlatego ograniczył się do łyku koniaku.

Irina wyszła owinięta w ręcznik. Popatrzyła drapieżnie na Martina i z cichym mruzeniem zaczęła skradać się do kanapy.

– Irka, obudzisz pisklę... – Martin próbował ostudzić jej zapędy.

– O rany, mam ochotę powiedzieć coś świńskiego... – Irina przeciągnęła się rozkosznie i przestała mruścić. – W takim razie spadaj pod prysznic.

Martin poszedł.

A kilka minut później Irina wśliznęła się za nim do kabinki.

Dziewczynka sheali obudziła się dopiero wieczorem, gdy Irina i Martin wyglądali już na zamyślonych badaczy obcych światów, a nie na namiętnych kochanków.

Tylko od czasu do czasu chichotali albo uśmiechali się niczym spiskowcy, rzucając sobie czułe spojrzenia. Martin nigdy nie lubił takiego zachowania – te wszystkie ukradkowe spojrzenia, filuterne mrugnięcia i zalotne uśmiechy wydawały mu się zbyt demonstracyjne, nieprawdziwe. A teraz sam z przyjemnością rzucał Irinie chytre spojrzenia i posyłał uśmiechy, wcale się tego nie wstydząc.

– Obudziłam się – oznajmiła dziewczynka, wchodząc do pokoju. – U was wszystko w porządku?

Martin i Irina uśmiechnęli się do siebie.

– To dobrze, gdy w stadzie jest wszystko w porządku – powiedziała dziewczynka.

– Coś mi się wydaje, że wcale nie spała przez cały czas – mruknął Martin i pokazał dziewczynce gestami: – Wszystko wspaniale. Rozmawiamy o waszym narodzie. Opowiesz nam, jak tracie rozum?

– Opowiem.

– Ja już mniej więcej wiem – odezwała się Irina. – I nawet domyślam się, czego chcą od ciebie klucznicy.

– Naprawdę? – zdumiał się Martin. Opowiedział Irinie o swoich przygodach, ale nie zdążył usłyszeć jej opowieści. – I czegoż to?

– Lokalnego Armageddonu.

– Czegoś takiego właśnie się obawiałem – odparł Martin. – Nie rozmieniają się na drobne.

– Sądzę, że tym razem nie będzie ofiar.

– W takim razie będą na pewno. Przynajmniej jedna – palnął Martin i ugryzł się w język.

Irina skinęła ze smutkiem głową i dodała:

– Gdybyś najpierw wyruszył na Talizman...

– Czy coś by to zmieniło? – Martin stał się czujny.

– Wydaje mi się, że z nas siedmiu przeżyje tylko jedna – wyjaśniła Irina. – Ostatnia, do której przyjdiesz. Tak bardzo na ciebie czekałam, a mimo wszystko pragnęłam, żebyś przyszedł później. Po Talizmanie.

– Irinko...

Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Przestań. Sam to świetnie rozumiesz. Mój czyn coś zakłócił. Złamał jakieś reguły. I wcale nie te wymyślone przez kluczników. Jakieś stałe, dotyczące rozumu. Prawda? Ojciec też to rozumie. I twój kurator z bezpieczeństwa.

– Mogę pójść na Stację i wyruszyć na Talizman – szepnął Martin.

– I w ten sposób zabijesz inną mnie? Nie, Martinie. Lepiej zabawmy się w apokalipsę na pojedynczej planecie.



Wspinaczka na szczyt wzgórza była bardzo długa. Zwłaszcza, że nie przewidziano żadnych wind czy ruchomych chodników, ani nawet wozów – choćby najwolniejszych.

Martin, Irina i dziewczynka sheali szli w górę spiralną drogą. Od czasu do czasu mijały ich piskłeta w towarzystwie dorosłych. W dół schodzili wyłącznie dorośli.

Martinowi nie spodobało się to.

– Religia sheali właściwie nie jest religią – mówiła tymczasem Irina. – To raczej nauka filozoficzna o marności bytu. Badaczy wprowadziły w błąd zewnętrzne atrybuty – kult Pierwotnego Jaja, dogmat o Utracie Lotu, obrządek Szponu i Pióra. Widzisz, to wszystko bardzo pasuje do naszych wyobrażeń o sheali. Skoro to ptaki-nieloty, to jaką formę miałyby przyjąć ich uczucia religijne? Jaja, skrzydła, pióra... ale pod tym wszystkim kryje się coś jeszcze. Resztki prawdziwej religii, która, jeśli się nie mylę, przypominała szamanizm. Ale w rzeczywistości kult sheali to tylko sztucznie wypracowany system oddziaływania na psychikę.

– Zabijanie rozumu? – sprecyzował Martin. Droga na szczyt świątyni była dość szeroka, mogła mieć pięć metrów. Po lewej stronie – ściana świątyni, ociosane bloki ciemnoszarego kamienia (na wysokości ramion i pasa kamień był wygładzony dotykiem rąk – dwa pasy ciągnące się od podstawy stożka), po prawej – przepaść i żadnego ogrodzenia.

A w dole – otulone zmierzchem miasto. Płomienie nielicznych gazowych pochodni nie rozpraszały ciemności, jedynie odsuwały ją, tłamsiły światła w oknach, budząc skojarzenia z podziemiem. Niezbyt racjonalny system oświetlenia – sądząc z ryku palników i fali ciepła, płynącego z każdej pochodni, marnowano tu sporo gazu.

– Usypianie rozumu – poprawiła Irina. – Twój przypadek z obłąkanym sheali jest bardzo znamieny. W sytuacji krytycznej, gdy rozsądek sobie nie radzi, rozum może się obudzić. Na jakiś czas.

– W jego przypadku się nie obudził. Sheali działał w oparciu o pierwotne instynkty.

– Ale pozostali potrafili się zaadaptować? Gdy przyszli klucznicy, gdy postawili Stacje, gdy zaczęli przybywać goście z innych planet, sheali umieli się dostosować. Na pewno była panika, mord piskłat, samobójstwa, próby zniszczenia kluczników... A potem rozum dorosłych sheali obudził się i one mogły przemyśleć to, co się dzieje...

– Stop! – powiedział szybko Martin. – Irino, poczekaj. Proponujesz zorganizowanie sheali nowego szoku, który obudzi ich rozum? Ale przecież sama domyślasz się konsekwencji...

Irina zatrzymała się i popatrzyła na Martina ze zmęczeniem:

– One nie są rozumne, rozumiesz? Dorosłe sheali to niemal zwierzęta.

– A piskłeta, które zginą, zanim sheali zyskają rozum? – krzyknął Martin. – Ich już nie bierzesz pod uwagę? A co powiedzą dorośli, kiedy zaczną myśleć? Myślisz, że ci podziękują? Nie sądzę. Oni już dokonali wyboru, zrezygnowali z rozumu!

– Boisz się?

– Boję. I nie wydaje mi się, żebyśmy mieli prawo decydować za obcą rasę!

Irina roześmiała się.

– Martinie... daj spokój. To przecież tylko moje domysły. Klucznicy kazali ci coś zrobić. Pytanie: co różni Sheali od innych światów? Odpowiedź: głównym dziwactwem Sheali jest

nierozumność osobników dorosłych. Pytanie: co powinien zrobić Martin? Odpowiedź: przywrócić im rozum. Pytanie dlaczego? Odpowiedź: dlatego, że ponieważ.

– Odpowiedź jest akurat oczywista. Sheali nie tylko zrezygnowali z postępu rozumu, lecz świadomie doprowadzili do regresji. To właśnie nie podoba się klucznikom. Może takie działania mogą doprowadzić do ingerencji nadrozumu?

– Może – skinęła głową Irina. – A teraz idźmy dalej. Jak ty... albo ja, to nieważne, możemy wpłynąć na rasę sheali?

– Bezczeszcząc świątynię – zasugerował Martin. – Dokonując świętokradztwa... Zhańbienie ołtarzy albo relikwii, zabójstwo kapłanów... to jest ten twój pomysł?

– Nie mam żadnego pomysłu! – Irina tupnęła nogą. – Żadnego! Próbowałam zorientować się we właściwościach tej rasy, trochę udało mi się zrozumieć i wtedy zjawiałeś się ty, z zadaniem od kluczników. Sam wszystko zrobisz!

– Nie mam zamiaru nic robić – stwierdził stanowczo Martin. – Skoro lubią być nierozumni, to proszę bardzo! Dla mnie mogą zejść do poziomu orzęska.

– Zrobisz – powiedziała równie twardo Irina. – Naprawdę nie rozumiesz? Jesteśmy tylko narzędziami w rękach kluczników! Rozumnymi, ale nieposiadającymi wolnej woli. Być może młotek nie chce wbijać gwoździ, ale czy ktoś pyta go o zdanie? Niewykluczone, że świeca nie jest zainteresowana płonieniem, ale czy interesuje cię opinia świecy?

– „Nigdy nie zastanawiałem się nad tym, czy fotony umieją myśleć...” – wyszeptał Martin. – To słowa klucznika, który wysłał mnie na Sheali! Irino, przecież klucznicy robią aluzje do tego, co stanie się z człowiekiem na nowej planecie!

Na twarzy Iriny nie od razu pojawił się uśmiech.

– Martin, kochanie, dopiero teraz to zrozumiałeś? A może ciągle nie wiesz, po co klucznicy zmuszają ludzi do opowiadania historii?

– Nie pójdę do tej świątyni – postanowił Martin. – Niedoczekanie... Poczekaj, co powiedziałaś o historiach?

– Martin, jeśli *nie pójdziesz* do świątyni, to właśnie to stanie się przyczyną apokalipsy u sheali. Nie mamy wolnej woli, rozumiesz?

Mała łapka dotknęła ręki Martina. Popatrzył na dziewczynkę i westchnął:

– Podejźmy do światła, nie widzę, co ona mówi...

Zatrzymali się przy najbliższej pochodni i dziewczynka spytała:

– Kłóćcie się? Coś się stało? Nie chcecie iść dalej?

Martin zerknął na Irinę i wyjaśnił:

– Dyskutujemy. Kobieta uważa, że staniemy się powodem wielkich wstrząsów w życiu sheali.

– Jakich wstrząsów?

– Z naszego powodu dorośli mogą znowu otrzymać rozum. Powiedz, czy wiesz, co się wydarzyło na sheali po przylocie kluczników?

– Doszło do wielkiego szoku. Dorośli zyskali rozum. A potem wszystko było jak dawniej.

– Skoro nawet szok po przylocie kluczników nie pomógł im na długo, co my możemy zrobić? – Martin wzruszył ramionami. – Nie rozumiem, na co oni liczą...

– Jak zrozumiemy, będzie już za późno.

Martin westchnął. Co za uparta dziewczucha! Znowu odwrócił się do dziewczynki:

– Powiedz, czy to będzie dobrze, jeśli dorośli sheali znowu staną się rozumni?

Dziewczynka zadrżała.

– Odpowiedz! – polecił Martin, odruchowo wkładając w gesty polecenie posłuszeństwa.

– Nie wiem! Nigdy o tym nie myślałam! To zbyt trudne!

– Czy ty sama chciałabyś być rozumna – na zawsze?

– Przestań znęcać się nad dzieckiem! – krzyknęła Irina.

– Jesteś moim stadem. Co postanowisz, to będzie słusznie – odparła dziewczynka.

– Sheali to twoje stado! Twoja planeta! Ja jestem tylko Obcym, który przybył z daleka i na krótko! Mów, dziewczynko!

– Nie wiem...

Irina objęła Martina za ramiona, odciągając go od dziewczynki.

– Przestań! To jeszcze dziecko! Jak może podjąć decyzję za całą rasę? I jaką wartość ma jej decyzja?

– A jaką wartość ma nasza decyzja? I kto miałby tu decydować... jeśli nie dzieci tego świata?

Ale mimo wszystko odwrócił się do dziewczynki i powiedział:

– Przepraszam. Denerwuję się, nie wiem, jak postąpić. Nie chcę przynieść twojej planecie nieszczęścia.

– Przebaczyłam ci, jesteś moim stadem – odparła dziewczynka. – Czy masz wybór?

– Nie. Nawet nie wiem, co się stanie i dlaczego. Mogę tylko snuć przypuszczenia.

– Więc dlaczego denerwujesz się na próżno?

– Dlatego, że jestem rozumny... – odparł Martin.

Dziewczynka postąpiła chwilę, potem jej skrzydła wzniosły się w powietrze i Martin przeczytał:

– W takim razie nie chciałabym pozostać rozumna na zawsze. To musi być straszne. Dorośli mają rację, rozum jest złem. Potrzebny jest tylko na początku życia, gdy trzeba przystosować się do świata.

– Gratuluję – powiedziała z przekąsem Irina. – Właśnie udało ci się przekonać dziecko, że myślenie jest złem.

Obok nich przeszła nieduża grupka sheali. Czwooro dorosłych. Wszyscy mieli spokojne, pozbawione ciekawości oczy.

Martin zamknął powieki i oparł się plecami o kamienną ścianę. Gdzieś w głębi świątyni pulsował dźwięk – niski, na granicy słyszalności, ale przyjemny... jak mruczenie wielkiego, zadowolonego kota...

– Chodźcie, dziewczyny – powiedział.

Wyglądało to jak krater wulkanu.

Spiralna droga doszła do kamiennego pierścienia, a na jego środku ziała ogromna, szeroka studnia. Ze studni ku niebu wzbijał się słup światła i ciepła. Podchodząc do krawędzi, Martin z drżeniem dostrzegł w dole ognistą zasłonę. Kamień pod nogami był gorący, spękany.

– Kuchenne wejście do piekła – wyszeptwała Irina zza jego ramienia.

Wokół studni, plecami do krateru stały sheali z pomalowanymi na czarno i czerwono piórami. Martin wyteżył wzrok i zrozumiał, że ci sheali są niewidomi – ich oczy zostały wyklute albo wypalone dawno temu.

– To kapłani świątyni – wyjaśniła Ira. – Rozumiesz? Jeszcze tu nie byłam, ale udało mi się dowiedzieć kilku rzeczy...

– A ci... – Martin nie dokończył, tylko skinął głową w stronę kilku par, chodzących wokół studni. W każdej parze był dorosły sheali i pisklę.

– To pisklęta, które dojrzały do utraty rozumu. Do dorosłego życia. Towarzyszą im rodzice albo starsi przyjaciele...

Dziewczynka odwróciła się do Martina i rozłożyła skrzydła:

– To ostatni rytuał. Chodźcie, będę tłumaczyć, dopóki zdołam. Wszystko zrozumiesz.

W ślad za dziewczynką Martin i Irina zaczęli iść po obwodzie studni. Pierwszy kapłan zawahał się, nim jego skrzydła zaczęły kreślić słowa w języku migowym sheali. Zapewne w krokach Martina i Iriny ślepiec wyczuł chód Obcych. Ale dziewczynka coś głośno zaśpiewała i skrzydła kapłana wzniosły się w górę.

„Ci, którzy urodzili się niewinni... odrzucili przeznaczenie... ci, którzy wzniesli się ku niebu... którzy poznali bieg czasu... rozdzielili słowa i czyny... zajrzeli w dzień jutrzejszy... zobaczyli reguły...”

Skrzydła dziewczynki poruszały się tak szybko, że Martin ledwie nadążał z odczytywaniem słów. Wydawało się, że tak naprawdę dziewczynka nie zdąża przetłumaczyć wszystkiego, jakby gesty kapłana niosły w sobie nie tylko litery czy słowa, ale całe bloki znaczeniowe...

Drugi kapłan podniósł skrzydła bez wahania:

„Ci, którzy poznali dobro i zło... utracili spokój... pragnęli poznać to, co niepoznawalne... zmienili ziemię i wodę... rozdzielili życie i śmierć... nie stali się szczęśliwi...”

– Coś podobnego czytałem również u nas – mruknął Martin tylko po to, żeby otrząsnąć się z uroku.

Irina odpowiedziała cicho:

– Do czegoś takiego dochodzi w końcu każda istota rozumna...

„Tysiąclecia bólu i krwi... poszukiwań i klęsk... w pogoni za bytem... sens sensu... w strachu i smutku... słabe skrzydła burzy... poznając życie – poznajesz śmierć...”

Nagle, z jakąś niespodziewaną, zimną obojętnością Martin zrozumiał, że Adam i Ewa, zjadając owoc z drzewa poznania, wcale nie stali się śmiertelnikami. Oni jedynie zrozumieli, że są śmiertelni. Zrozumieli, ponieważ w tej właśnie chwili otrzymali rozum. Zamienili wieczną ospałość myśli na świadomość przemijania i mękę rozumu.

Kto powiedział, że owoce z drzewa poznania są słodkie? Diabeł? No cóż, to znany oszust. Sok rajskiego jabłuszka był pewnie gorzki jak chinina i ostry jak szkło. Ale gdy zaczynasz czuć ten smak na wargach, już nie potrafisz odrzucić zakazanego owocu. Skowyczysz niczym zwierzę, które polizało zakrwawione ostrze. Szlochasz, zachłystując się krwią – i dalej liżesz śmiercionośną klingę...

Dokładnie tak samo uświadamia sobie własną śmiertelność każda istota, która zasmakowała gorzkiego owocu wiedzy. Uświadamia ją sobie i musi żyć z tą świadomością, nie mając sił, by sięgnąć po słodki owoc drzewa życia. Zawsze masz wybór, jeśli chcesz zrezygnować z życia, ale nie

możesz zrezygnować z rozumu. Możesz zagłuszać go alkoholem i narkotykami, możesz szaleć i dążyć ku nirwanie. Ale tylko sheali znaleźli wyjście ostateczne. Tylko sheali zdołali zwymiotować nieproszone dar, wypluć go pod nogi okrutnych bogów.

Sheali odrzucali rozum, ponieważ niósł w sobie wiedzę o śmierci.

Sheali wybrali spokój.

Nie chcieli cierpieć.

Stali się szczęśliwi.

Tylko dzieci nie boją się śmierci – one wierzą, że będą żyć wiecznie. Dzieci i szaleńcy.

Sheali zrezygnowali z rozumu – i to był ich wybór.

„Odrzucam myśli o sprawach wyższych... odcinam się od zwątpienia... będę szczęśliwy... zawsze... zawsze... zawsze...”

– Ona odchodzi! – krzyknęła Irina, chwytając Martina za rękę. – Martin, na nią to działa!

Dziewczynka sheali rzeczywiście się zmieniała. Jej ruchy stały się płynne, weszła w trans i chyba już nie wiedziała, kto jest obok niej i czemu krąży wokół dyszącej ogniem gardzieli. Dziewczynka tańczyła, mijając mamrocących kapłanów, jej oczy zaszklily się, wypełniła je bezdenna pustka – języki purpurowego płomienia w czarnych głębiach źrenic.

– Ma prawo odejść – powiedział Martin. – Nie bój się, na nas to nie podziała. Z tym trzeba się urodzić i żyć... szykować się, marzyć, wierzyć... wierzyć w szczęście bez rozumu...

Dziewczynka tańczyła. Unosiła i opuszczała skrzydła, krążyła w podskokach obok kapłanów, których recytatyw przeszedł w śpiewne mamrotanie. Teraz każdy nowy kapłan zaczynał mówić razem z poprzednim, oni podchwytywali swoje słowa, głosy wzbijały się w ciemne niebo, skąd płomień krateru wywiał wszystkie gwiazdy i cienki głosik dziewczynki zlał się z triumfalnym chórem.

„Na zawsze, na zawsze, na zawsze! Będę żyć, będę żyć, będę żyć! Myślenie to zło, myślenie to ból, myślenie to strach! Na zawsze, na zawsze, na zawsze!”

Martin zerknął na Irinę – dziewczyna płakała, nie odrywając spojrzenia od tańczącego pisklęcia.

– Sama wybrała! – wrzasnął Martin. – Nie wtrącaj się! Będzie szczęśliwa!

– Zrób coś! – krzyknęła Irina. – No zrób coś! To niesłuszne, to pułapka, to kłamstwo! To przecież śmierć! Powstrzymaj ją!

Zatoczyli już pełny krąg. Ostatni kapłan coś wykrzyknął – triumfalnie i radośnie – dziewczynka krzyknęła w odpowiedzi, rozłożyła skrzydła, co trochę przypominało wezwanie do zwrócenia uwagi, ale to już nie była mowa. Ze śpiewem zachwytu dziewczynka sheali ominęła kapłana i zrobiła krok w stronę gardzieli krateru.

Ciało zareagowało, nim Martin zdążył pomyśleć – skoczył do przodu, odtrącając na bok kapłana, który próbował zagrozić mu drogę. Palce Martina przesunęły się po piórach dziewczynki, lecz nie zdążyły się zacisnąć.

Mała figurka z rozłożonymi skrzydłami spadała w ryczący płomień.

A Martin podążył za nią.

Kamień usunął się spod jego nóg, ciepły wiatr uderzył w twarz, stał się gorący i przemienił się w języki płomienia. Ogień liznął jego ciało i odszedł w górę.

Martin i dziewczynka spadali w rozszerzającym się kamiennym szybie. Gdzieś w górze huczał oddalający się płomień, w dole słabo pulsowała purpurowa ciemność. Martin leciał. Na świadome

działanie nie było miejsca, jakby recytatyw kapłana pozbawił rozumu również jego. Pozostały jedynie instynkty i młodzieńcze doświadczenie kilku skoków spadochronowych. Ciało posłusznie podążało za spadającą dziewczynką.

Gorący wiatr smagał twarz Martina. Przeleciał obok dziewczynki i rozrzucił ręce, odwracając się – z kieszeni wysypały się jakieś drobne przedmioty. Dziewczynka spadała teraz na niego – bezwolna, nieruchoma, z założonymi za plecy, jakby postrzelonymi skrzydłami. Potem szklane spojrzenie przesunęło się po Martinie i pisklę zatłukło skrzydłami, zaczęło krzyczeć, jakby dopiero teraz uświadomiło sobie ognistą otchłań.

– Leć! – krzyknął Martin w turystycznym, w nadziei, że dziewczynka go zrozumie – jeśli nie słowa, to chociaż intonację. – Potrafisz latać, leć! Możesz!

Dziewczynkę, bijącą skrzydłami, podrzuciło do góry. Martin przekręcił się i zajrzał w przybliżającą się ognistą źrenicę.

Czyżby to była taka sama zasłona jak na górze?

A co będzie za nią?

Kamień?

Sheali nie umieją latać. Nawet pisklęta.

Martin rozrzucił ręce. Zerwał z siebie koszulę w nadziei, że między ciałem i rękami rozpostrze coś na podobieństwo skrzydeł.

Koszulę wyrwało mu z rąk, ciałem zakręciło, ognisty szkwał uderzył Martina w twarz i pozostał nad głową.

A Martin spadał dalej – w ryczący strumień powietrza, w wyrzut gigantycznej turbiny, w działający tunel aerodynamiczny. Coraz wolniej – dopóki ciemność nie chlasnęła go sprężystą, giętką siatką, póki nie wgięła się, nie podrzuciła go, wymierzając całemu ciału siarczysty policzek. Martina odrzuciło na bok, w słabe czerwone światło, w spiralny właz...

Dziewczynka sheali gładziła jego twarz miękkim skrzydłem. Martin długo na nią patrzył, zanim spróbował usiąść. Bolało go całe ciało, w głowie mu się kręciło, ale żył i wszystkie kości – jak mu się zdawało – miał całe.

– Żyjesz – stwierdziła dziewczynka. – Bałam się, że się rozbijesz. Wiatr Powitania powinien utrzymać dorosłego, ale ty jesteś cięższy od naszych dorosłych.

Znajdowali się w małym pokoiku o miękkiej podłodze. W ścianie widniało okrągłe oko tunelu, którym Martin i dziewczynka zsuwali się tutaj, na przeciwległej ścianie mieściły się zamknięte, okrągłe drzwi.

– Bałaś się? – zapytał Martin. W pozycji siedzącej niewygodnie posługiwać się turystycznym migowym, ale nie odważył się wstać. – Nie powinnaś się już bać.

– Dlaczego skoczyłeś za mną? – spytała dziewczynka. – Też chciałeś stracić rozum?

– Nie.

– Więc dlaczego?

– Bałem się o ciebie.

– Niepotrzebnie – powiedziała dziewczynka. – Ogień jest słaby, nie może wyrządzić krzywdy. Wiatr Powitania wieje z samego dna i hamuje upadek. Powinnam była miękko upaść – już bez rozumu.

– Nie udało się? – zapytał Martin.

– Nie.

– Przepraszam.

Dziewczynka przytuliła się do niego. Od pierzastego ciała płynął zapach dobrze wysuszonej poduszki i miodu.

– Ja nie żałuję – powiedziała dziewczynka. Mówiła spiętym głosem i niewłaściwie stawiała akcenty – na pierwszej sylabie, ale posługiwała się językiem turystycznym.

– Co teraz będzie? – zapytał Martin.

– Nie wiem – odparła dziewczynka. – Bycie rozumnym jest takie dziwne! Nic z góry nie wiadomo.

– Otóż to – przytaknął Martin. – Pomóż mi, malutka.

Miał zawroty głowy, do gardła podchodziła fala mdłości. Ale opierając się na kruchym ramieniu, mimo wszystko zdołał podejść do drzwi...

... i wejść razem z dziewczynką do ogromnego pomieszczenia z łukowym sklepieniem, pomieszczenia, w którym tłoczyli się kapłani. Oni wychodzili z wąskich szczelin w ścianach, zeskakiwali z balkonów, wyłaniali się z korytarzy... Milczące, szeleszczące skrzydłami postacie, poruszające się tak lekko, jakby ślepotą zupełnie im nie przeszkadzała. Słabe światło gazowych pochodni pod sufitem nie pozwalało ocenić ich liczby. Czy były ich setki? Raczej tysiące...

Martin pożałował, że broń termiczna została w hotelu.

– Nie bój się – rzekła dziewczynka. – Są tylko przestraszeni...

Pierzasta figurka wysunęła się spod jego ręki i zrobiła krok do przodu. Martin pochylił się, ale nie poszedł za dziewczynką.

Dziewczynka odezwała się – i już przy pierwszych jej słowach w sali zapanowała cisza. Ci, którzy nie zdążyli wejść do sali, zamarli na progu.

Dziewczynka mówiła i Martin ze zdumieniem pojął, że w jej głosie nie ma już dziecięcych nutek. Ona nie wyjaśniała i nie prosiła. Ona rozkazywała.

Kapłani upadli plackiem na ziemię. A nieporuszona dziewczynka powoli wiodła po sali uważnym spojrzeniem.

Martin przykląkł na jedno kolano. Dziewczynka popatrzyła na niego i uśmiechnęła się.

– Ty możesz wstać.

Rejestrując w myślach, że „może wstać”, a nie „może stać”, Martin wyprostował się. Czerwono-czarne postacie czółgały się po podłodze – w kurczowych ruchach nie było już żelaznej pewności rozsądku, lecz zaskoczenie wstrząśniętego rozumu.

– Jesteś moim stadem – powiedziała dziewczynka. – Ale teraz muszę tu zostać. Zwolnij mnie, Martinie, albo zostań z nami.

– Zwalniam cię – odparł Martin. – To twoje stado i twój świat. Naucz go latać.

Wyjął z kieszeni „dokument na pisklę” – proszę, jednak nie wypadł – i podarł na strzępy.

Dziewczynka podeszła do Martina i objęła go rękami-skrzydłami.

– Bardzo cię kocham, Martinie – szepnęła. – I dziękuję. Serio nie chcesz tu zostać?

– Serio-serio – wyszeptał Martin.

– Będzie mi ciężko? – spytała dziewczynka.

– Na pewno.

Dziewczynka skinęła głową, wzięła Martina za rękę i poprowadziła między zszokowanymi kapłanami.

O dziwo, autobus nadal kursował. Właśnie czekali na niego na przystanku – Martin, Irina i dziewczynka sheali, otoczona pierścieniem strażników. U każdego z nich, we wszystkich czterech dłoniach, lśniła broń – i to nie tylko rytualne kindżały.

– Kierowca jest jeszcze nierozumny – powiedziała dziewczynka, gdy na końcu ulicy pojawił się autobus. – To nic. Dowiezie was. Tak będzie spokojniej.

Martin zerknął na ochroniarzy – z żadnego ze spojrzeń nie wycierał chłodny spokój. Już prędej ogień fanatycznego oddania. Czerwono-czarne pióra zdradzały w nich kapłanów, ale nie byli ślepcami. Może to nowicjusze, którzy nie przeszli ostatecznego wtajemniczenia?...

– Czy ktoś tutaj może cię zaatakować? – zapytał Martin.

– Może – odpowiedziała po prostu dziewczynka. – Będzie jeszcze dużo szumu. Będzie ogień i krew.

– Nie chciałem tego – westchnął Martin. – Wybacz mi.

– Wszystko w porządku – uspokoiła go dziewczynka. – Tak miało być i tak się stało. „Bezskrzydły przybysz wejdzie w przepaść, żeby dziewczynka jego stada zachowała rozum...” Kto mógł przypuszczać, że zdarzy się to naprawdę? Skąd u bezskrzydłego przybysza własne stado?

– Ach więc to tak... – powiedział przeciągle Martin. – Zawsze marzyłem, żeby zostać bohaterem prorocstwa... I dokładnie tak zostało powiedziane?

Dziewczynka zawahała się:

– Cóż... te prorocstwa są takie dwuznaczne... Dosłownie brzmiało to tak: „Obcy, który nie potrafi latać” – a to mógł być dorosły sheali z innego miasta, a „dziecko jego stada” to prędej chłopiec niż dziewczynka. Kiedyś tak myślano, a teraz wszyscy zaczną myśleć inaczej. Już wydałam rozkaz.

Martin uśmiechnął się mimo woli:

– Rozumiem. Nie będę ci dawał żadnych błogosławieństw i dobrych rad. I tak świetnie sobie poradzisz.

– Jestem bardzo mądrą dziewczynką – przyznała dziewczynka.

Autobus zatrzymał się. Kierowca popatrzył na Martina pustymi oczami i zapytał:

– Witaj. Jedziesz?

– Witaj. Jedziemy – odparł Martin.

I dotknął skrzydła dziewczynki w pożegnalnym geście. Miał ochotę zmierzić ten śmieszny, żółty czubek, ale zacięte spojrzenia ochrony śledziły każdy jego ruch i Martin nie odważył się.

Autobus zaczął pełznąć ulicą. Martin popatrzył z wyrzutem na Irinę, a ona opuściła wzrok.

– Wiedziałaś – stwierdził Martin.

– Wiedziałam. Tylko myślałam, że obcym, który nie umie latać, będę ja. Z prorocstwami zawsze jest ten sam problem – wszystko takie rozmyte, mętne, niezrozumiałe...

Martin tylko pokręcił głową. Nawet nie miał ochoty kłąć. Bolało go całe ciało. Jechali bardzo powoli w stronę Stacji, zostawiając za sobą objęte epidemią rozumu miasto.

– Rozumne sheali... – wyszeptała Irina. – Ale się teraz zaczniesz...



– Jurij Siergiejewicz urwie mi głowę – przyznał Martin. – Zamiast melancholijnych, spokojnych sheali – energiczna, młoda rasa. Tobie też się dostanie, nie masz się co uśmiechać.

– Nie dlatego się uśmiecham. Nadal żyję, rozumiesz? I gdy za pół godziny wejdziemy na Stację – pozostanę żywa. Coś niesamowitego!

Po chwili namysłu Martin położył broń termiczną na kolanach. Autobus spokojnie sunął przez noc.

A z tyłu, w mieście, rozległ się terkot, przypominający serię z cekaemu.

– Ira, po raz pierwszy udało się przeprowadzić coś do końca... – powiedział Martin. – Widzisz? Coś się zmienia...

Irina pokręciła głową.

– To nie mnie się udało, Martinie, tylko tobie.

Przez całą drogę nikt ich nie zaatakował.

Weranda przed wejściem na Stację była pusta. Weszli po schodkach, Martin otworzył drzwi przed Iriną i poczekał, aż wejdzie. Potem się obejrzał.

Ani śladu pogoni.

Za to w mieście wybuchały pożary.

– Powodzenia, dziewczynko – szepnął Martin, patrząc na Djork. Wszedł za Iriną i zamknął drzwi.

Byli na Stacji, teraz już absolutnie bezpieczni. Nikt nie jest w stanie wyrządzić nikomu krzywdy na terytorium kluczników.

– Przeszliśmy – powiedział Martin. – Ira, przeszliśmy!

I oni uśmiechnęli się do siebie.

Pokonali fatalizm. Irina sześć nadal żyła!

– Masz historię dla kluczników? – zapytał Martin. Dziewczyna skinęła głową.

– A ty o czym opowiesz? – spytała Ira.

Martin skinął głową w stronę drzwi wejściowych:

– O tych, którzy zdołali pójść dalej. O tych, którzy pozostaną. O tym, że coś takiego zdarza się nie po raz pierwszy.

– Moja opowieść jest prostsza – przyznała się Irina. – Ale chyba wystarczy.

– W takim razie idziemy – zdecydował Martin. – Opowiadamy bajeczki i...

– Dokąd wyruszamy?

Martin zająknął się. Popatrzył Irinie w oczy i westchnął:

– Na Talizman?

– Tak. Tam jestem inna ja i nie mogę jej tak zostawić. Ona by mnie nie porzuciła.

– A więc Talizman – zgodził się Martin. – A tak strasznie chciałbym wrócić do domu...

– Ja też.

Korytarz zaprowadził ich do poczekalni. Do rozmów z klucznikami przeznaczono małe kabinki, mieszczące się wokół. Drzwi dwóch kabinek były uchylone.

– Czekali na nas – stwierdził Martin.

– Zawsze czekają. Powodzenia!

Zanim rozeszli się do kabinek, pocałowali się. Szybko, lekko. Jak przyjaciele.

– Smutno tu i samotnie... – zaczął klucznik.

– Już wkrótce zrobi się znacznie weselej – odparł Martin, siadając przy stole. Broń termiczną aranków położył na stole. Po prostu musiał uczynić jakiś gest – może pompatyczny, ale zrozumiały.

– Porozmawiaj ze mną, wędrowcze – ciągnął klucznik.

Był chudy, zylasty i wyższy od Martina, a jednocześnie kruchy i niepozorny. Władca galaktyki powinien wyglądać inaczej...

Ale z drugiej strony, czy władcy kiedykolwiek wyróżniali się wzrostem i muskulaturą? Chyba tylko w zachwytach nadwornych lizusów.

– Opowiem o tych, którzy zostają pośrodku – powiedział Martin. – Nie o nieudacznikach – opowieść byłaby zbyt gorzka i smutna. Nie o zwycięzcach – ich historii nie sposób oddać słowami. Ludzie środka – których zawsze jest więcej niż zwycięzców i przegranych. Na każdej planecie, w każdej rasie... nawet u kluczników.

Klucznik patrzył na Martina nieruchomym wzrokiem.

– Kiedyś problemy rozwiązywano w bardzo prosty sposób – ciągnął Martin. – Jeśli jedno plemię zyskało rozum, a drugie nie – to drugie stawało się pożywieniem. Celem dla strzał, których nie zdołało wymyślić. Kościanym grotem dzid. To były proste czasy. Ci, którzy nie nadążyli w wyścigu, którzy zostali choć pół kroku w tyle – stawali się niewolnikami. Zaganiano ich do rezerwatów i enklaw. Wstawali na gwizdek fabryki, z pierwszymi promieniami słońca. Proste czasy, proste rozwiązania. Ale proste czasy minęły.

Klucznik milczał.

– Ktoś zdołał dotrzeć do nieba. Ktoś zdołał zjeść owoc z drzewa poznania. Ktoś zostawił rozum na zapas – tak jak my zostawiamy swoje instynkty na strychu świadomości. Co to było, jedna krótka chwila czy cała epoka? Nie wiem. Ale gdy młodzi bogowie odchodzili, paląc za sobą mosty, za ich plecami zostawiali ludzie środka. Ci, którzy nie zdołali. Ci, którzy nie zechcieli. Ci, którzy wybrali znaną i niestraszną drogę rozumu...

– Bogowie nie palą za sobą mostów – wtrącił klucznik. – Od tego są ludzie.

Martin ugryzł się w język.

– Dziękuję ci za naszą historię – ciągnął klucznik. – Ale opowieść o ludziach środka to bardzo banalna opowieść... Smutno tu i samotnie, wędrowcze.

– Sami zniszczyliście swoją sieć transportową... – wyszeptał Martin. – Tak? Wy albo wasi przodkowie – ci, którzy nie weszli na kolejny stopień.

Klucznik milczał.

– Ludzie środka... – mówił dalej Martin. – Uważaliśmy was za bogów... albo prawie bogów... a wy jesteście tylko ludźmi środka! Tymi, którzy nie zdołali. Tymi, którzy pogodzili się z goryczą porażki i powtarzają próbę. Tak?

– Smutno tu i samotnie, wędrowcze – powtórzył klucznik. Czy to złudzenie, czy w jego głosie zabrzmiało rozdrażnienie? – Słyszałem wiele takich historii.

Martin zmrużył oczy, tak mocno, że aż zobaczył iskry pod powiekami. Prawie odgadł. Prawie zrozumiał. Prawda była tak blisko...

– Nie mogę – powiedział. – Prawie rozumiałem, ale... ja też jestem tylko człowiekiem środka! Nie wiem!

– Bogowie odchodzą w niebo, a nieudacznicy stają się ziemią. Ale pod tym niebem i po tej ziemi chodzą ludzie środka – odezwał się klucznik. – Czego się boisz, Martinie? Co próbujesz zrozumieć? Czy odejdiesz w niebo? Czy staniesz się ziemią?

– Próbuję zrozumieć, dokąd mam iść!

– Talizman da ci klucz do wszystkich odpowiedzi, Martinie. Ale najpierw dokończ historię o ludziach środka.

– Opowiem inną historię – powiedział szybko Martin. – Historię dziewczynki i ptaka...

– Nie przyjmę innej historii – klucznik pokręcił głową. – Zacząłeś opowieść i teraz będziesz musiał ją skończyć.

Martin westchnął:

– Tam, za ścianami twojej Stacji, naród sheali odzyskuje rozum. Nieudacznicy nie przeżyją szoku i zginą. Zwycięzcy zyskają rozum i zaczną rządzić nowym światem. Ale dla większości, kluczniku, nie zmieni się nic, zupełnie nic! Czy zaczną myśleć, czy nadal będą kierować się rozsądkiem – w niczym nie zmieni to ich życia. Nie wszystkim potrzebny jest rozum. Nie wszyscy mogą myśleć. To odwieczna pułapka, kluczniku. Dla ludzi środka, dla tych, którzy nie chcą być ziemią, a nie dorośli do nieba, jest miejsce pomiędzy niebem a ziemią. Zawsze i wszędzie kozłami ofiarnymi stają się ludzie środka. Moja historia nie ma końca, kluczniku... tak samo, jak nie ma wyjścia dla ludzi środka.

– Rozwiałeś mój smutek i samotność, wędrowcze. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

Martin zerknął podejrzliwie na klucznika.

– Nie żądam już od ciebie dokończenia historii – powiedział klucznik. – Nie zadaję pytań. Nie będzie odroczenia. Wejdz we Wrota i kontynuuj swą drogę.

– Coś nie tak? – zapytał Martin.

Ale klucznik zniknął i Martin został sam.

Zirytowany uderzył pięścią w stół. Nie było tego przyjemnego wrażenia małego zwycięstwa. Nie było zadowolenia z opowiedzianej historii.

Klucznik pozwolił mu przejść przez Wrota tak, jakby rzucił jałmużnę. Albo rozczarowany odwrócił wzrok – chcesz, to idź...

Martin wyszedł z pokoju zamyślony i niezadowolony, trzymając broń termiczną. Irina już na niego czekała.

– Wszystko w porządku?

– Przeszedłem – mruknął Martin, przypominając sobie egzaminy wstępne na studia.

– Nie wątpiłam w to – uśmiechnęła się Irina. – Jesteś dobry.

– O czym opowiedziałaś? – zainteresował się Martin.

– O tym, jak zakochałam się pierwszy raz.

Martin uśmiechnął się.

– Myślałem, że z tą historią odeszłaś z Ziemi...

– Wtedy tej historii po prostu nie było – odpowiedziała Irina. Przez chwile patrzyli sobie w oczy. Potem Martin wziął Irinę za rękę.

– Chodźmy... Musimy się spieszyć.

– Dlaczego? – spytała niespokojnie dziewczyna.

– Nie wiem – odparł szczerze Martin. – Po prostu czuję. Coś jest nie tak, rozumiesz? Nie jestem zadowolony ze swojej historii. Czuję się tak, jakbym zawałił egzamin.

Irina patrzyła na niego, gryząc wargę. Potem szepnęła cichutko:

– A ja chciałam zaproponować, żebyśmy zostali tu na dwie godzinki. Odpoczęli... i w ogóle...

Uśmiechnęła się speszona.

– Irinko, musimy się spieszyć – powtórzył twardo Martin. – Czas ucieka. Niemal słyszę, jak nam ucieka. Jeszcze minuta i nie dogonimy go.

– W takim razie chodźmy – skinęła głową Irina.

Niemal wbiegli do centrum Stacji. Sala z Wrotami była pusta i drzwi otworzyły się, gdy podeszli.

– Może stało mi się coś... na Talizmanie? – spytała Irina. – Jak myślisz?

– Poczłabyś – zauważył Martin. – Zresztą, nie wiem. Szybko...

Drzwi zamknęły się za nimi, zaświecił się ekran terminalu. Martin szybko wybrał z listy Talizman. Ulegając chwilowej pokusie próbował zaznaczyć dwie nazwy jednocześnie, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

– Wyjdziemy na głównej Stacji? – spytała Irina.

– A jaką wtedy wybrałaś?

– Żadnej. Wybrałam tylko planetę...

– Czyli powinnaś była wyjść na głównej Stacji Talizmanu... – Martin na wszelki wypadek otworzył podkatalog i skinął głową – I tak są tylko dwie... To co, ruszamy?

– Aha – powiedziała Ira. Wzięła go za rękę, uśmiechnęła się, odchyliła głowę – jakby miała nadzieję, że poczuje błyskawiczny lot przez galaktykę...

Martin wcisnął enter. Pokój nie zmienił się. Ale obok niego nie było już Iriny.

Martin powoli podniósł dłoń i przycisnął ją do twarzy. Skóra zachowała jeszcze ciepło i zapach Iriny Połuszkinej numer sześć...

– Bydlaki! – krzyknął Martin. – Nienawidzę was! Sukinsyny!

Gdyby do sali wszedł teraz klucznik, Martin podniósłby na niego broń, żeby zniknąć tak lekko i ostatecznie jak Irina.

Ale nikt nie wszedł. I nikt nie przeszkadzał mu niszczyć terminalu, kopać w ścianę i płakać przed otwierającymi się posłusznie drzwiami.

# Część siódma

# Fioletowa

## Prolog

Bazant á la boheme to w Rosji danie egzotyczne. Od czasu filmu *Brylantowa ręka* minęło ponad pięćdziesiąt lat, a dziczyzna nadal pozostała symbolem rozbuchanej hulanki, specjałem myśliwych, albo ludzi ze wszech miar podejrzanych.

Za to w niewielkich Czechach dziczyznę można dostać w każdej porządnej restauracji. Niechaj mordziąsci niemieccy urzędnicy i żądni wrażeń rosyjscy turyści rzucają się na „peczeno wewrewo koleno” czy inne potrawy z najlepszego przyjaciela Kubusia Puchatka. Niech amerykańscy turyści, przekonani o dietetycznych właściwościach coli light, jedzą swoje hamburgery w McDonalдах. Człowiek solidny, kontrolujący poziom cholesterolu we krwi i długość paska w spodniach, powinien zwrócić uwagę na dziczyznę we wszystkich jej postaciach. Sznycele z sarny, mięso dzika w sosie miodowym – oto idealny wybór!

Bazant á la boheme to godny przedstawiciel smacznego i zdrowego jedzenia.

Mięso bażanta samo w sobie jest nieco suche, dlatego przed pieczeniem należy owinać je długimi paskami boczku. Bażant powinien piec się co najmniej godzinę i być regularnie polewany własnym sokiem. Później do tego soku dodajemy śmietanę i białe wino – i otrzymujemy doskonały sos. Z mięsem bażanta będzie idealnie współgrać czerwona kapusta, która po uduszeniu nabierze fioletowego koloru.

W warunkach domowych dokładnie tak samo można przyrządzić kurczaka...

Ale tego odległego wieczoru, gdy Martin siedział z wujkiem w małej restauracyjce w Karlowych Warach, na stole stał bażant, w szklankach było piwo, a w małych kieliszkach – nieodłączna w tym mieście beherovka.

– Wspomnisz moje słowa – powiedział ponuro wujek. – Już niedługo nie będzie się tu można precysnąć między Obcymi.

– Przecież oni nie opuszczają swoich Stacji – próbował zaprotestować Martin. Obaj byli wówczas znacznie młodszy, klucznicy stanowili główny temat rozmów, a nazywano ich po prostu „Obcymi”.

– Opuszczą! – zawyrokował wujek. – A jeśli nawet nie oni, to przyjdą inni. Popatrz tylko, jaką mamy cudowną planetę! Nic dziwnego, że przylecieli do nas Obcy...

Martin rozejrzał się i potwierdził, że planetę mamy piękną, zwłaszcza w tym rejonie, a Obcy przylecieli nie na darmo. Ale przecież prócz ekspansji zbrojnej istnieje również pokojowa turystyka, co on i wujek potwierdzają własnym przykładem...

Wujek parsknął oburzony. W młodości służył w oddziałach wojsk radzieckich w Czechosłowacji i dlatego słowa Martina odebrał jako wycieczkę osobistą.

– Martinie, uwierz staremu piernikowi – wujek był wówczas mężczyzną w sile wieku i z przyjemnością nazywał siebie staruszką. – Nie może być mowy o przyjaźni i stosunkach dobrosąsiedzkich między dwoma rasami o tak ogromnej dysproporcji rozwoju, takich różnicach w kulturze i psychice!

– Coś podobnego czytałem już w „Ekspercie...” – burknął Martin, krojąc bażanta.

– I nawet, jeśli oni życzą nam wszystkiego najlepszego – ciągnął wujek – to skąd mamy wiedzieć, co to dla nich znaczy? Przecież my też chcieliśmy dla Czechów wyłącznie dobra... i wszyscyśmy się dziwili, czemu się krzywią na to nasze dobro...

– A o tym to już wszędzie czytałem – zauważył Martin.

– Ech, Martinie, Martinie – powiedział smętnie wujek, odprowadzając wzrokiem sympatyczną, chyba dwudziestoletnią kelnerkę. – Jesteś młody i jeszcze wiele w życiu zobaczysz. I wtedy przekonasz się, że miałem rację. Gdy twoje osobiste interesy, twoje marzenia będą sprzeczne z planami kluczników...

Martin nic nie powiedział. Po powrocie z kurortu, gdzie wujek rzekomo leczył chorą wątrobę, popijając piwem wodę mineralną, a Martin pił piwo, nie gardząc wodą, Martin miał zamiar przejść przez Wrota i popatrzeć na jakąś obcą planetę... Bezpieczną, z której ludzie zazwyczaj wracali... Tym bardziej, że pewien przypadkowy znajomy, dobrze prosperujący biznesmen, gotów był zapłacić spore pieniądze za egzotyczne gadżety z obcych planet...

Więc na razie Martin uważał kluczników za osobiste szczęście, ich przyłot za wielki sukces, a udostępnione ludziom technologie za początek szczęśliwej przyszłości.

– Wcześniej czy później... – powtórzył wujek, nawijając na widelec fioletową kapustę. – Wcześniej czy później zrozumiesz. Wtedy zadzwonisz do mnie, jeśli jeszcze będę żył, i powiesz: „Wujku, miałeś rację...”

...Martin wstał, opierając się na broni. W duszy miał pustkę i gorycz.

– Nie mają tu telefonu, wujku – szepnął. – Ale miałeś rację.

Poprawił wyposażenie, broń zawiesił na pasku niczym szpadę – miała krótką lufę i wyglądało to naturalnie.

Klucznicy nie pokazali się. Nikt się nie pojawił. Martin został starannie zignorowany.

Przeszedł korytarzem, zaglądając do wszystkich napotkanych pokoi. Znalazł dwóch dio-dao, pochłoniętych rozmową, rodzinę humanoidów nieznaney rasy, która popatrzyła na Martina z takim przerażeniem, że detektyw wycofał się szybko, nie chcąc straszyć turystów-debiutantów.

Dopiero na werandzie, już wdychając chłodne powietrze Talizmanu, Martin zobaczył klucznika.

Tylko jednego.

Starego, przygarbionego, z kikutem zamiast lewej ręki. Po raz pierwszy w życiu Martin widział klucznika-inwalidę.

I ten klucznik wyraźnie czekał na Martina.

Wściekłość już wygasła, została przekuta w smutek i głuchy żal. Martin podszedł do klucznika i zajrzał mu w oczy:

– Dlaczego?

Klucznik milczał. Patrzył na człowieka i mrużył niedowidzące oczy.

– Skoro nie mogliście uratować Iriny... – wyszeptał Martin. – Skoro wiedzieliście, że ona zniknie...

– Nie jesteśmy bogami – powiedział klucznik. – I jeśli nawet widzimy, co będzie dalej, to jeszcze nie znaczy, że wiemy wszystko.

– Więc jednak odpowiadacie? – zawołał Martin. – Co, kluczniku? Porozmawiasz ze mną? Rozwiejesz mój smutek i samotność?

Klucznik milczał.

– Kim dla was jestem? – drążył Martin. – I czym jest dla was ludzkość? Czego się boicie? Do



czego dążycie?

– Talizman czeka na ciebie – powiedział klucznik.

– Jeśli dowiem się, jak was zniszczyć – warknął Martin – zrobię to. To groźba.

– Dowiedz się – powiedział po prostu klucznik.

I znikł.

A Martin powlókł się do zejścia z werandy. Do białej piany obłoków, liżącej stopnie Stacji. Do obłoków, pełzających po czarnych, lustrzanych skałach, które niczym góry lodowe wysuwały się z białej równiny. Do białych obłoków pod fioletowym niebem, przybitym nad planetą malutkim, rozpalonym do białości gwoździem słońca.

To było niczym film dla dzieci, kiedy można biegać po chmurach, kotłować się w białej wacie i lepić śnieżki z pary. Martin wiedział, że to nie bajka i jeśli nawet dziwna substancja Bezzaru może utrzymać ciało człowieka, to obłoki Talizmanu nie są zdolne do takich sztuczek.

Ale mimo wszystko, opuszczając stopę na szczelną, białą mgłę, wstrzymał oddech – jakby spodziewając się, że chmura wytrzyma jego ciężar.

Mgła rozeszła się – tak, jak przystało na porządną mgłę.

Martin zaczął iść w dół, czując pod nogami stopnie schodów. Mgła unosiła się coraz wyżej, aż zaczęła sięgać mu do podbródka. Wtedy Martin zatrzymał się na chwilę. Wokół rozciągało się pagórkowate, białe pole, powoli przesuwane wiatrem. Oślepiający punkt słońca palił głowę. W polu widzenia było co najmniej dziesięć skał – najwyższa wznosiła się na wysokość stu metrów. W popękanych, czarnych lustrach odbijała się Stacja z mrugającą nerwowo latarnią.

Stacja wyglądała jak niewielki zamek z czarnego kamienia, pokryty białym dachem – i była piękna.

Trzeba przyznać, że gust klucznicy mieli dobry...

Jak szczęśliwy byłby teraz Martin, gdyby obok niego stała Irina! Jak wspaniale byłoby się wygłupiać, robić sobie zdjęcia, zanurzać się w mlecznym morzu, udawać, że naprawdę stąpa się po chmurach, szukać najlepszego ujęcia i utrwalić odbicie Stacji w lustrzanej skale... Jak słodko byłoby wejść razem w pianę obłoków, trzymając się za ręce, i słuchać swoich oddechów...

Ale Iriny – jego Iriny – nie było już we Wszechświecie.

A przecież nawet nie umarła – po prostu zniknęła. Wykasowano ją niewidocznym kursorem, niczym błąd pisowni, niczym zbędną literę, która przypadkiem pojawiła się na monitorze życia.

Została tylko pamięć. Ciepło dziewczęcej dłoni nadal grzało rękę Martina – tak boli amputowana kończyna, gdy ciało nie może pogodzić się ze stratą...

Martin obrzucił Stację nienawistnym spojrzeniem i zrobił kolejny krok, zanurzając się w oceanie chmur.

Nie przypominało to słynnej londyńskiej mgły... Chociaż, prawdę mówiąc, Martinowi nigdy nie udało się zastać Londynu we mgle. Ale zwykłej mgły, która jesienią ściele się na podmoskiewskich łąkach czy spływa do lotnisk, nie przypominało również. Obłoki Talizmanu błyskawicznie zasłoniły małe, złośliwe słońce, ale pozostały jasne, rozświetlone – i Martin szedł teraz w chmurach płynnego światła. Prawie nie czuło się wilgoci. Sucha para... Jak z parującego dwutlenku węgla, tylko ciepła...

Martin schodził powoli po stromych schodach. Kamień skończył się, zastąpiony przez drewno.

Mgła lśniła. Wydawało się, że nie zasłania otoczenia, tylko rozświetla go sobą. Pod nogami

poskrzypywały drewniane stopnie. Kilka razy Martin uchylał się, natrafiając na mocno naciągniętą linę – zaimprovizowaną poręcz i jednocześnie podporę schodów, ale w końcu poddał się i zaczął iść wzdłuż liny, sunąc po niej ręką.

Nie wiedział, czy jest sam na tych schodach, czy może przed nim schodzą inni, niedawno przybyli wędrowcy, a z naprzeciwka wloką się zmęczeni Talizmanem turyści. Widoczność – maksymalnie trzy metry, dźwięk tonie we mgle. Słychać jedynie ciche, monotonne poskrzypywanie stopni...

A może to nawet lepiej? Martin wiedział, że Stacja mieści się na wysokości dwustu metrów nad powierzchnią planety. W warstwie mgły wprawdzie nie ma wiatru, ale schodzenie ze stromego zbocza po kruchej konstrukcji jest zazwyczaj mało komfortowe...

Światło mgły stopniowo gasło. Pod koniec drogi Martin szedł w nieprzyjemnym półmroku, ale za to z przodu pojawiły się światła elektryczne. Osiedle Amulet, nieoficjalna stolica Talizmanu, tonęło w sztucznym świetle. Tutejsi mieszkańcy nigdy nie musieli oszczędzać energii elektrycznej...

Na pierwszego poszukiwacza Martin natrafił niemal u podstawy schodów. Pod nogami miał teraz lustrzany, czarny kamień, gdzieniegdzie błyszczący i śliski jak lód, ale przeważnie starty i popękany.

Poszukiwacz siedział w kucki przed „sejfem” – wystającym z kamienia okrągłym lukiem półmetrowej średnicy. Luk był z tego samego czarnego kamienia, co i cała planeta.

– Pokój! – powiedział Martin, podchodząc bliżej. Rozmazana sylwetka poszukiwacza stała się bardzo wyraźna.

Poszukiwacz – młody, niechlujny chłopak – odwrócił się, obrzucając Martina czujnym spojrzeniem. Poruszył podbródkiem i odrzekł niechętnie:

– Pokój, pokój...

– Jak leci? – zapytał Martin, wskazując głową „sejf”.

Poszukiwacz wzruszył ramionami. W tym samym momencie jego zegarek pisnął i chłopak, błyskawicznie zapominając o Martinie, zaczął odkręcać pokrywę w kierunku odwrotnym do wskazówek zegara. Pokrywa wyglądała na ciężką, ale chłopak nie prosił o pomoc.

– Zdąży pan? – zapytał Martin. – Może pomóc?

Chłopak sapiąc zsunął pokrywę i zajrzał do wnętrza „sejfu” – małego wgłębienia w kamieniu. Wgłębienie świeciło pustką.

– Następnym razem... – mruknął chłopak i zaczął zakręcać pokrywę. Na kamiennej tarczy widniał namalowany jaskrawą, fosforyzującą farbą ośmiocyfrowy numer i litera „S”. Chłopak skończył i dotknął zegarka, ustawiając timer.

– Odstęp czterdzieści trzy minuty? – błysnął erudycją Martin.

– To szybki sejf, odstęp dwadzieścia cztery i pół... – odparł niechętnie chłopak. – Czego chcesz? Zostać poszukiwaczem? Szkoda zachodu, kiepska robota. Umrzesz z nudów.

– Nie, przybyłem tu w innej sprawie – odparł uprzejmie Martin.

Chłopak od razu złagodniał.

– W takim razie czemu nie, tu jest nawet zabawnie... Nie poczęstowałbyś mnie papierosem?

Martin w milczeniu podał mu napoczętą paczkę.

– Ho, ho – mruknął chciwie chłopak. – Mogę dwa?

– Zostaw sobie wszystkie.

– Wielkie dzięki! – powiedział z radością poszukiwacz. – W dzisiejszych czasach rzadko spotyka się dobrych ludzi. Jestem Andriej.

– Martin – odrzekł Martin, bez entuzjazmu ściskając dawno niemytą dłoń. Usiadł obok. – Często trafia się coś cennego?

– Niezbyt – westchnął poszukiwacz. – Raz na sto, na sto trzydzieści otworzyć uda się coś znaleźć. Układy, purpurowy proszek, spiralki... takie tam duperele. Ale na życie wystarczy.

– A zdarza się coś naprawdę interesującego?

– Zdarza. – Andriej zaciągnął się chciwie papierosem. – Niektórzy mają szczęście... jedna dziewczyna w zeszłym tygodniu znalazła klucz...

– Klucz?

– Tak go nazwali. Taki cylinder – chłopak narysował w powietrzu coś w rodzaju grubego ołówka z nacięciami i wypukłościami. – Pewnie, że to nie musi być żaden klucz, ale na skupie gotowi są dać za niego trzydzieści tysięcy euro!

– Nieźle – przyznał Martin. – Ale przecież jeszcze żadne znalezisko nie znalazło zastosowania?

– Purpurowy proszek leczy katar – odpowiedział poważnie chłopak. – Za jednym zamachem, wystarczy raz powąchać. Spiralki wspaniale przewodzą prąd, podobno tak jak nadprzewodniki... wojskowi chętnie je skupują. I wasi, europejscy, i ci ze Stanów, i nasi...

– Jestem Rosjaninem.

– Z takim imieniem? – Chłopak zachichotał z niedowierzaniem. – Ale numer! Zresztą, co mnie obchodzi, czy to draństwo jest komukolwiek potrzebne, czy nie. Najważniejsze, że sypią kasę.

– Kurort dla stalkerów – westchnął Martin.

– Co to za jedni? – zapytał czujnie chłopak.

– To z takiej książki... nieważne... – powiedział Martin, z zainteresowaniem oglądając luk sejfu. Sejfy były główną przyczyną, dla której na Talizman ściągali zarówno ludzie, jak i Obcy. Nikt nie wiedział, na jakiej zasadzie działają, ale w hermetycznie zamkniętym sejfie od czasu do czasu pojawiały się dziwne, nieznane żadnej cywilizacji przedmioty. Najważniejszą rzeczą było ustalenie, w jakich odstępach działa dany sejf, i otworzenie pokrywy we właściwym momencie – przedmioty znajdowały się w nim najwyżej przed dwie minuty, po czym znikaly bez śladu. Krążyła wersja, że sejfy połączone są w hiperprzestrzenną sieć – żadne widoczne przejścia do nich nie prowadziły, a sejf, starannie wycięty razem z kawałkiem skały, działał tylko przez jakiś czas. Nie znaleziono sensownego zastosowania dla znajdujących przedmiotów, ale wszystkie rasy starały się skupować nieznane artefakty – na wszelki wypadek.

– A ja myślę – powiedział chłopak, przypalając drugiego papierosa – że to nie jest żadna sieć transportowa. Do jakich wniosków doszli ci nasi idioci? Że leżą sobie różne rzeczy w sejfach i skaczą to tu, to tam...

– A ty jak sądzisz?

– Ja myślę – powtórzył poszukiwacz – że to wysypisko śmieci. Gdzieś tam, na dole, mieszkają Obcy. I wszystkie swoje odpadki wyrzucają na górę, do kubłów na śmieci. A my otwieramy te kubły i grzebiemy w odpadkach...

– Interesująca wersja – przyznał Martin, zerkając na chłopaka z większym szacunkiem. – Tylko dlaczego śmieci są takie jednakowe? Dlaczego nie są utylizowane na miejscu? Dlaczego wyrzucone

przedmioty działają? Czemu je wyrzucono?

– Nigdy nie zdarzyło ci się wyrzucić przez pomyłkę dobrej rzeczy? – odparł Andriej. – Na przykład zegarka, pierścionka albo baterii?

– Zdarzyło – przytaknął Martin.

– No widzisz! A dlaczego nie niszczą na miejscu... może są tacy delikatni, że nie lubią palić śmieci w domu? A śmieci są jednakowe, bo większość poddają przeróbce, a wyrzucają tylko drobiazgi...

– Brawo – Martin skinął z uznaniem głową. – Napisz artykuł do „Przeglądu dla podróżników”.

– Taki mam zamiar – powiedział skromnie chłopak. Jego zegarek znowu pisnął i poszukiwacz skoczył do sejfu. Tym razem Martin mu pomógł, chłopak nie protestował. Zsunęli ciężką pokrywę – i w jeszcze niedawno dziewiczo czystym zagłębieniu spostrzegli garstkę purpurowego proszku.

– A jednak! – ucieszył się chłopak. – Dwie setki euro!

Andriej rzucił Martinowi szybkie spojrzenie, wyjął z plecaka szklany słoiczek, małą szufelkę, pędzelek i powiedział:

– Zgodnie z moją wersją, proszek jest eksperymentem Obcych.

– A co, nie leczysz nim kataru? – zainteresował się Martin.

– Leczę – powiedział chłopak, starannie zbierając proszek.

– No dobra, życzę powodzenia – westchnął Martin. – Idę... Gdzie tu można się zatrzymać?

– Pod „Zdechłym Kucykiem” – odparł lakonicznie poszukiwacz.

Martin skinął głową i ruszył w stronę świateł osiedla. Gdy odszedł już spory kawałek, zawołał:

– Słuchaj, a jak nazywa się ta dziewczyna, która znalazła klucz?

– Oho, już widzę, jak się nie interesujesz towarem! – ucieszył się chłopak. – Ma na imię Irina!

– Dzięki! – odkrzyknął Martin.

– Ale ona nie sprzedaje klucza, nie masz się co łudzić... – dobiegło z mgły.

Martin nie odpowiedział. Już szedł po czarnym kamieniu w stronę świateł osiedla. Kilka razy natrafiał na śliskie odcinki, kilka razy upadł i przeturlał się, mogąc dokładnie przyjrzeć się krzywemu odbiciu własnej twarzy w czarnym lustrze.

Po pewnym czasie natrafił na jedną z elektrowni osiedla. Otoczone symbolicznym, niskim ogrodzeniem, ze skały sterczało kilkanaście metalowych prętów, wbitych w kamień. Pręty było połączone parami w łańcuch, a do osiedla biegł gruby, zaizolowany kabel.

Na Talizmanie elektryczność była wszędzie. Wystarczyło tylko głębiej pokopać i poszukać dwóch punktów o różnych potencjałach. Po jakimś czasie wyczerpywały się zasoby tajemniczej elektrowni, ale na rok zazwyczaj starczało.

Martin szedł wzdłuż kabla i wkrótce znalazł się na przedmieściach Amuletu. Nietrudno było zrozumieć, czemu właśnie to miejsce wybrano na osiedle – nieopodal płynęła szeroka, płytka rzeka. Ze spokojnej wody wystawały przysadziste drzewa – źródło pożywienia i materiałów budowlanych. Na brzegu siedział staruszek z bronią na ramieniu i pilnował plantacji. Na Martina popatrzył serdecznie, acz z zawodową czujnością strażnika.

Martin pomachał mu ręką. Nie miał zamiaru dokonywać zamachu na wspólny (a może prywatny?) majątek.

Potrzebował Iriny. Klucza do tajemnic Talizmanu.



Na tej planecie nie lubiano łagodnych kolorów.

Opalizująca, biała mgła „kradła” barwy, przemieniając czerwony w różowy, ultramarynę w szmaragd, khaki w oliwkowy, a brązowy w kolor opalenizny.

Dlatego każdy domek osiedla walczył z przymusowymi pastelami za pomocą krzyczących barw. Jeśli malinowy, to soczysty niczym świeża krew, jeśli lazur – to taki jak niebo nad Morzem Śródziemnym. Zieleń wyłącznie ciemna i głęboka, a niebieski – tylko prawdziwy, w języku angielskim określany mianem royal blue. Po rosyjsku nijak się nie nazywa od czasów Rewolucji Październikowej.

Nawet kremowe ściany tawerny pod „Zdechłym Kucykiem” pomalowano na taki odcień, że skromny, jasny kolor przemienił się w porażający, triumfalny, śmietankowy wybuch, w domek Baby Jagi ze skondensowanego mleka, który zapewne wymyśliliby bracia Grimm, gdyby urodzili się w Związku Radzieckim.

Martin poniewczasie przypomniał sobie, że na Talizmanie największym powodzeniem cieszą się farby. Teraz już wiedział, dlaczego.

A przed drzwiami „Zdechłego Kucyka”, ubrana w krótką, chabrową sukienkę, stała Irina Połuszkina.

Martin zatrzymał się metr przed nią. Nie mówił nic – słowa były bezradne.

Irina podeszła powoli, niczym we śnie. I przytuliła się do jego piersi.

– Nigdzie stąd nie odejdziemy – wyszeptał Martin, chowając twarz w jej włosach. – Słyszysz, Irinko? Nigdzie. Zostaniemy na Talizmanie. Na zawsze. Ty i ja. Słyszysz?

Słowa grzęzły we mgle. Obok nich przechodziły szeleszczące cienie przechodniów, zza zamkniętych drzwi tawerny dobiegała nieznajoma muzyka. Irina nadal wtulała się w Martina, jakby nie potrafiła oderwać się od niego i popatrzeć w oczy swojemu ratownikowi i kochankowi.

– Jak? – szepnęła w końcu dziewczyna.

– Po prostu zniknęłaś – odparł Martin. – Byłaś na Stacji Sheali. Na Stacji Talizmanu już cię nie było.

W końcu odważył się wziąć Irinę za rękę. Dłoń była ciepła i żywa. Taka sama.

– Wiedziałam – szepnęła Irina. – Domyśliłam się po Prerii. Porozmawiałam tu z jednym człowiekiem... I wtedy stało się jasne, jak to się skończy. Dlatego siedziałam na miejscu i czekałam...

– Na mnie?

– Najpierw na staruchę z kosą – odparła spokojnie Irina. – A potem zaczęłam czekać na ciebie.

Oderwała twarz od Martina. Ich spojrzenia spotkały się. Oczy Iriny były spokojne i suche.

– Mam wrażenie, że jestem jej zwiastunem – szepnął Martin.

Irina pokręciła głową.

– Nie. Jesteś jej przeciwnikiem. Ale jeszcze żadnemu człowiekowi nie udało się zwyciężyć w tym pojedynku. Chodźmy, Martinie.

I lekko pociągnęła go do drzwi „Zdechłego Kucyka”.

– Irino...

Dziewczyna przycisnęła palec do ust i szepnęła:

– Cii! Potem. Wszystko potem.

I uśmiechnęła się.

W tym momencie Martin z jasnością skazańca zrozumiał, że nigdy nie będzie mógł się spierać z Iriną Połuszkina, ostatnią, jedyną i prawdziwą. Że to jego „pozostaniemy na Talizmanie” to nie tylko puste słowa – on naprawdę nie zdoła jej opuścić.

I nie potrafi już żyć bez tej dziewczyny.

Więc Martin nic już nie mówiąc, ujął wygodniej broń termiczną i wszedł za Iriną do tawerny pod „Zdechłym Kucykiem”.

Kucyk był jak najbardziej obecny. Stał na kamiennym postumencie przed ogromnym kominkiem i ze smutkiem patrzył na gości szklanymi oczami. Krótka sierść wytarła się – pewnie od przyjacielskiego poklepywania przez zawianych klientów, ale wypchane zwierzę robiło ogólnie przyjemne wrażenie.

– Dlaczego kucyk? – zapytał retorycznie Martin, idąc za Iriną w odległy kąt sali. Gości było niewielu, ale Irina wyraźnie chciała sięść przy najbardziej oddalonym stoliku. Wewnątrz tawerny nie unosił się wszędobylski mgielny welon i człowiek zaczynał się czuć nagi i bezbronny. – Po co ciągnąć tu biedne zwierzę?

– Jako siłę pociągową – westchnęła Irina. Pewnie jej też było szkoda nieszczęsnego kuczka, którego śmierć dopadła na obcej planecie.

– A czemu zdechł?

– A tak jakoś, wziął i zdechł – Irina wzruszyła ramionami. – Wiesz, jak się nazywał? Frodo!

Martin skinął głową. Szczerze mówiąc, spodziewał się czegoś w tym rodzaju.

Właścicielem „Zdechłego Kuczka” był niewysoki, smutny mężczyzna, wyglądający jak sumienna kopia mieszkańca Skandynawii – błękitnooki, z długimi, jasnymi włosami i regularnymi rysami twarzy. Gdyby miał więcej niż metr sześćdziesiąt, wszystkie bywalczynie pubu byłyby jego!

– Pokój wam – powitał smutnie Martina, podchodząc do ich stołu i omiatając czyściutką serwetę plastikową szczoteczką. – Pierwszy raz na Talizmanie?

– Jakoś się wcześniej nie złożyło... – odpowiedział ostrożnie Martin. Właściciel gospody kogoś mu przypominał. Nie chodziło nawet o rysy twarzy, raczej o smutek w spojrzeniu... – Przepraszam... czy opuszczał pan niedawno Talizman?

– A jaki sens? – zapytał niezrozumiale właściciel. I nagle jakby otrząsnął się z zadumy i popatrzył czujnie na Martina. – A co, spotkał pan kogoś podobnego?

Martin zerknął na Irinę. Czyżby nie zauważyła podobieństwa?

– Wie pan, gdyby pana ostrzyc na krótko, zmusić do włóczędzy po różnych planetach, a potem założyć panu jarmułkę i powiesić u pasa rewolwer...

– Aha – skinął głową gospodarz, od razu uspokojony. – Rozumiem. Ireczka już mi opowiadała... Spotkał go pan na Prerii 2?

– Krewny? – sprecyzował Martin, zastanawiając się z udręką, czy powiedzieć o śmierci małego kowboja czy nie.

Gospodarz zerknął pytająco na Irinę, a ona skinęła głową:

– Niech mu pan opowie, Jura. On uwierzy.

Karczmarz w milczeniu podszedł do baru, wrócił z trzema pełnymi szklankami piwa – wyraźnie puszkowego, coś za szybko poszło mu nalewanie. Po drodze zdążył jeszcze wydać jakieś polecenia kelnerce i pogawędzić uprzejmie z innym klientem. W końcu usiadł naprzeciwko Martina, podniósł szklankę i rzekł:

– Na koszt firmy.

– Pańskie zdrowie – odparł Martin.

Karczmarz upił łyk i powiedział:

– Opowiem to tylko raz. Nie będę nic powtarzał, nie będę się również spierał ani nikogo przekonywał. Nie uwierzy mi pan, to trudno... Ja jestem Jurik jeden, a on – Jurik dwa.

Martin uprzejmie czekał na ciąg dalszy. Było jasne, że karczmarz lubi opowiadać tę historię i wypracował sobie pewien rytuał.

– Dziesięć lat temu postanowiłem spróbować szczęścia na Talizmanie i obładowałem Frodo alkoholem i różnym towarem. Rozumie pan, drogi nieznajomy...

– Martin, po prostu Martin – przedstawił się pospiesznie Martin.

– Rozumie pan, Martinie, jestem człowiekiem czytany i doskonale wiem, że w czasie każdej gorączki złota... a co my tu mamy, jeśli nie gorączkę złota? Wzbogacić można się na różne sposoby. Głupiec wyruszy w poszukiwaniu skarbu, pracoś zacznie płukać złoty piasek, miłośnik przygód będzie grabił karawany. A człowiek spokojny... który nawet kiedyś był inteligentem... otworzy tawernę. Wybrałem Talizman – ta planeta zawsze będzie przyciągać ludzi – i postanowiłem otworzyć tu knajpę. Dokąd pójdzie poszukiwacz, który nagle się wzbogacił? Do sklepu? Do swojej nędznej nory? Do banku? Nie, Martinie. Przede wszystkim do mnie! Żeby świętować swój sukces. No to załadowałem kucyka...

– Bardzo rozsądne podejście – potwierdził Martin. Obrzucił spojrzeniem oberżę – mocne, kamienne ściany, stalowa krata przed kominkiem, całe mnóstwo szklanych naczyń i butelek za barem. Albo stary Frodo miał siłę słonia, albo Jurik był genialnym handlowcem, a poszukiwacze na Talizmanie pili na umór...

– Początkowo bałem się przejść przez Wrota – wyznał Jurik. – Za pierwszym razem to nawet na dziewczynę boisz się wejść... Przepraszam, Irinko...

– Nic nie szkodzi – dziewczyna skinęła głową, pijąc swoje piwo. Najwyraźniej słyszała już tę historię, a teraz rozkoszowała się nią powtórnie.

– No i wypilem trochę... dla kurazu. Ale chyba trochę przesadziłem. Jak podszedłem do Wrót – czułem się dzielny jak lew. Nie zna granic ni kordonów!... Wybrałem Talizman i przeszedłem. – Karczmarz napił się piwa, potem popatrzył wyzywająco na Martina i oznajmił: – A na Stacji na Talizmanie podchodzi do mnie klucznik i zaczyna przeproszać!

– Ho, ho! – zachwycił się Martin.

– No właśnie. Słynna technika tym razem zawiodła. Przepraszal, tłumaczył, że niedawno podłączyli Ziemię i na ludziach Wrota nie zostały jeszcze do końca przetestowane... Wyszło na to, że jak przechodziłem pijany przez Wrota, to istniały we mnie jakby dwie osobowości. Jurij jeden i Jurij dwa. A technika kluczników obu uznała za pełnowartościowych ludzi. Ja znalazłem się na Talizmanie, a ten drugi...

– Wyszedł na innej planecie! – wykrzyknął Martin i widząc urażone spojrzenie karczmarza



szybko dorzucił: – Ależ ja panu wierzę, naprawdę!

– Wyszedł, ale nie od razu. I w ogóle wszystko poszło znacznie gorzej. Tego drugiego jakby rozciągnęło pomiędzy wszystkimi Stacjami na wszystkich planetach! A potem zaczęło powolutku wyrzucać – tu jednego, tam drugiego. Jednych od razu, innych po roku czy dwóch. Ostatnich wyrzuciło dwa lata temu. W sumie zrobiło się ich kilkuset, zanim klucznikom udało się zatrzymać proces. Ja im mówię, żeby w takim układzie tych zbędnych wykasowali. A oni nie, że nie można. Że rozum to święty dar i nie będą niszczyć niewinnych sobowtórów. Zwłaszcza, że oni i tak wkrótce zginą – z powodu różnych zbiegów okoliczności. To trochę tak, jakby wszechświat nie mógł znieść takich fenomenów i natura sama z siebie zaczęła je wypierać...

Martin znalazł pod stołem rękę Iriny i mocno ścisnął. Irina skinęła głową.

– No i w efekcie ugrzęzłem tutaj – ciągnął ponuro Jurij. – Problem w tym, że jeśli spróbuję przejść przez Wrota, dopóki żyje choć jeden sobowtór, to zniknę z rzeczywistości. Wejdę we Wrota i już z nich nie wyjdę. Klucznicy obiecali, że dadzą mi znać, gdy już będę mógł wrócić. Ale na razie tamtych jest jeszcze dużo. Początkowo dość szybko ginęli – różne tajemnicze wypadki i nieszczęśliwe zbiegi okoliczności, czasem puszczały im nerwy – klucznicy wyjaśnili im sytuację. Niektórzy zajęli się bandytyzmem... Skoro raz się żyje, no to hulaj dusza!

– To dlatego prześladowali go łowcy nagród! – zawołał Martin.

– Nie sądzę... Tych, którzy zeszli na złą drogę, wystrzelano od razu w pierwszych latach – pokręcił głową Jurij. – Tu chodzi o co innego. Jeśli na przykład mój sobowtór kogoś zabił lub okradł, a potem go przycisną i nie będzie miał wyjścia, zacznie uciekać, pobiegnie do Stacji, przejdzie przez Wrota – ale już z nich nie wyjdzie! On przestaje istnieć, ale łowcy nagród o tym nie wiedzą i pościg trwa dalej. Wcześniej czy później ci sami łowcy natkną się na innego sobowtóra na zupełnie innej planecie. Uznają go za tamtego zbiega i zażądają, żeby poszedł z nimi. A on nie może przejść przez Wrota. No i... – Jurik rozłożył ręce.

– Chwała Bogu – powiedział Martin. – Taki miły, sympatyczny człowiek... nie chciałbym myśleć, że był łajdakiem.

– To ja jestem miłym człowiekiem! – uciął karczmarz. – Jurik jeden. A za Jurika dwa nie odpowiadam.

– Życie go nie oszczędzało... – westchnął Martin. – Wyglądał... na znacznie starszego, zmęczonego, zaszczutego...

Karczmarz zawahał się, ale mimo wszystko powiedział:

– A ja urządziłem wtedy klucznikom taką awanturę... Z ich winy utkwilem tu nie wiadomo na jak długo i co mam teraz robić? Z czego żyć? Kto mi zrekompensuje stracone lata? No to się zrewanżowali. Uczynili mnie młodszym, sympatyczniejszym... i wszelkie ładunki dostarczają mi z Ziemi bezpłatnie.

– Ho, ho... – Martin z szacunkiem pokiwał głową. – Cóż, to tylko dowodzi...

– Że to ja jestem ten prawdziwy – dokończył z dumą Jurik jeden. – Innym nie zrobili takich prezentów.

Pomilczał chwilę, a potem ostrożnie zapytał:

– A ten, który był na Prerii... co to za człowiek?

– Prawdziwy człowiek – powiedział poważnie Martin. – Tylko nie miał szczęścia. Proszę mi powiedzieć, nie czuje ich pan?

Irina kopnęła go pod stołem.

– Iriszka pytała o to samo – uśmiechnął się Jurik. – Nie, żadnej mistyki. Ja istnieję odrębnie i samodzielnie, oni tak samo. Czasem zachodzę do kluczników, dowiaduję się, ilu ich jeszcze zostało, ilu umarło... Ci, którzy pozostali po tych wszystkich nieszczęśliwych wypadkach, jakby się zaadaptowali. A może natura zaczęła ich akceptować? Teraz przeważnie giną w strzelaninach. A jakie rzeczy działy się wcześniej! Jednego pożarli aborygeni, drugi zatrzał się owocami, dwóch wpadło do kraterów wulkanów, siedmiu utonęło, przy czym jeden w wannie. Jeden sobie kupił psa, spaniela, a to bydlę zbiesiło się i w nocy przegryzło mu gardło. Pięciu się udławiło, trzech umarło na grypę, sześciu zostało zastrzelonych przez zazdrosnych mężów, dwóch otrutych przez własne żony...

Karczmarz zerknął czujnie na Martina.

– Powiedz mi, ale tak szczerze, naprawdę mi wierzysz? Bo tu nikt nie wierzy. Nawet przywiało tu takiego jednego z bezpieki, mojego imiennika...

– Jurij Siergiejewicz – domyślił się Martin.

– Właśnie. On też nie uwierzył, zaraza... A ty co, też od nich?

Martin już miał się dumnie obrazić, ale uświadomił sobie, że teraz faktycznie jest pracownikiem urzędu bezpieczeństwa.

– Tak...

– Więc chociaż ty im tam powiedz, co się na świecie wyprawia! – ucieszył się Jurik – Bo... – machnął ręką z rezygnacją. – Dobra. Zjedzcie obiad. Pozwoliłem sobie zamówić wam specjalność zakładu, na koszt firmy. Częstuję wszystkich, którzy przychodzą do mnie pierwszy raz. Skoro mam taką możliwość... – odchylił głowę i krzyknął w sufit: – Dziękuję wam, dobroczyńcy! Za troskę, za opiekę – za wszystko serdeczne dzięki!

Żaden z gości nie zareagował. Widocznie przywykli już do wybryków karczmarza.

Martin poczekał, aż Jurik jeden wróci za kontuar, i odwrócił się do Iriny:

– Wiedziałaś!

– Wiedziałam – skinęła głową Irina. – Od tygodnia. Wiedziałam, że przypadki zaczną zabijać nas wszystkie. A jeśli nawet któraś z dziewczyn dostanie się na Stację – zniknie. Ale przecież nie mogłam im tego powiedzieć! Musiałabym umrzeć, żeby moja pamięć stała się wspólną własnością. A ja...

Martin ostrożnie skinął głową:

– Rozumiem. Nikt nie zdecydowałby się na coś takiego, Irino. Nie zadręczaj się.

– Ale ty wolałbyś poprzednią Irinę – dziewczyna uśmiechnęła się smutnie. – Prawda, Mart?

Martin milczał.

– Ona jest we mnie – szepnęła dziewczyna. – Na tym polega problem. Ona jest we mnie i wszystkie one są we mnie. A ja mogę wrócić teraz na Ziemię. Chyba mogę. Nie musimy pozostawać na Talizmanie do końca świata. Ale ja nie jestem ci potrzebna.

– Irino...

– To głupie – szepnęła dziewczyna, nie patrząc na Martina. – Jestem nią, ale jestem inna. My wszystkie odrobinę się od siebie różniłyśmy. Wystarczał jeden dzień, żebyśmy stały się trochę inne...

Odwróciła się gwałtownie do Martina i uśmiechnęła się – przez łzy.

– To wszystko nie ma sensu. Zapomnijmy o tym, dobrze? Lepiej porozmawiajmy o sprawie.

– O jakiej sprawie?

Irina wzruszyła ramionami.

– Musimy ratować galaktykę.

– Znowu... – szepnął Martin.

– Daj mi kartkę i długopis – zażądała Irina. – Dziękuję... A teraz...

Martin cierpliwie czekał, a Irina zapisywała na kartce:

*Biblioteka*

*Preria 2*

*Arank*

*Marge*

*Bezoar*

*Sheali*

*Talizman*

– Dobrze – potwierdził Martin, żeby w jakimkolwiek stopniu uczestniczyć w tym procesie.

Irina zerknęła na niego drwiąco i dopisała: *Biblioteka – martwy świat, bezsensowna wiedza, pomnik poprzedniej cywilizacji*

*Preria 2 – ludzka granica, kwitnąca kolonia, ekspansja rozumu*

*Arank – obca planeta, rozum doskonały, ślepa uliczka*

– Dlaczego? – oburzył się Martin, przypominając sobie uprzejmego Lergassi-kana i jego wspaniałego synka.

– Dlatego, że jeśli nie masz duszy i jeśli wierzysz, że jej nie ma, twoje życie jest ślepą uliczką – ucięła Irina. – Tu wszystko jest jasne. Dalej jest trochę trudniej.

Dopisała:

*Marge – obcy świat*

*Bezzar – obcy świat*

*Sheali – obcy świat*

*Talizman – niczyj świat*

– No? – spytał Martin.

– No? – przedrzeźniła go Irina. – Myśl, śledczy! Czy głupia dziewczynka ma do wszystkiego dochodzić sama?

Urażony Martin wziął od niej kartkę, zawahał się i dopisał:

*Marge – obcy świat, przeszłość w terażniejszości, ślepa uliczka*

– Brawo – pochwaliła go Irina.

*Bezzar – obcy świat, przyszłość w przeszłości, ślepa uliczka*

*Sheali – obcy świat, rezygnacja z rozumu, ślepa uliczka*

– Tak! – wykrzyknęła Irina. – A dalej?

*Talizman – niczyj świat...*

Przez jakiś czas Martin obracał długopis w palcach, w końcu wzruszył ramionami:

– Wybacz, ale o Talizmanie nie mogę niczego powiedzieć... Zresztą, po co to wszystko?

– Sądziś, że przypadkiem odwiedziłeś siedem planet w takiej kolejności? – spytała Irina.

Martin pokręcił głową.

– Nie, teraz sędzę, że przypadki zdarzają się niezwykle rzadko. Ale...

– Musiałeś przejść przez te światy – powiedziała z przekonaniem Irina. – Przez wszystkie siedem planet. Przejść i zrozumieć... To tak, jak z tymi opowieściami dla kluczników.

– Właśnie, nie wyjaśniłaś mi w końcu, po co potrzebne im te opowieści – przypomniał sobie Martin.

– Opowieści nie są im do niczego potrzebne.

– W porządku, ale dlaczego odrzucają jedne historie, a przyjmują inne?

– Oni potrzebują ciebie... każdego, kto znajduje w sobie siły i śmiałość, żeby przejść przez Wrota. Potrzebują kroku, który robisz na niekończącej się drabinie. Chcą, żebyś przechodząc przez kolejny świat, coś zrozumiał... coś ważnego dla siebie. Historię, którą klucznicy zaliczą tobie, ktoś inny opowie niepotrzebnie. Za każdym razem, gdy siadasz przed klucznikiem, zdajesz egzamin. Egzamin o prawo do dalszej nauki.

– Załóżmy – przyznał Martin. – Brzmi to bardziej prawdopodobnie niż wersja o znudzonych klucznikach... i mogę uwierzyć, że nie na darmo odwiedziłem te siedem planet w takim porządku. Tylko po co?

Irina rozłożyła ręce.

– Nasi coś wiedzą. Nie na darmo te planety znalazły się na liście. Twój kurator nic nie mówił?

Martin pokręcił głową:

– Głównie zaciemniał. Żądał, żebym ruszył na Sheali i Talizman, ale nie podał kolejności. Iro, spróbujemy podsumować to, co już wiemy...

– Dobrze – zgodziła się szybko dziewczyna.

– Ale najpierw odpowiedz mi na jedno pytanie. Czy ty sama nie jesteś czasem z bezpieczki?

Irina nie obraziła się, jedynie pokręciła głową.

– Czy pójdziecie na Stację to był twój wybór? Nie zrobiłaś tego na prośbę ojca lub Jurija Siergiejewicza?

– Martinie, mam osiemnaście lat...

– Będę miała – poprawił Martin.

– Mam nadzieję... W bezpieczce nie ma tak młodych agentów.

Martin westchnął.

– Dobrze. Wybacz, ale czasem te wszystkie ziemskie i niebiańskie intrygi płaczą mi się w jeden kłębek...

Irina popatrzyła na niego błagalnie:

– Martin, daję ci słowo...

– W porządku, nie ma o czym mówić – machnął ręką Martin. – Zastanówmy się... Wiemy, że tysiące lat temu istniała pierwsza sieć transportowa kluczników. Tak?

Irina skinęła głową.

– Istnienie Stacji pozwalało wszystkim rasom naszego kosmosu współpracować, rozwijać się i handlować... – Martin zabębnił palcami w stół. – Co stało się później? Najprawdopodobniej

współpracujące ze sobą cywilizacje straciły potrzebę dalszej ewolucji rozumu... nazwijmy ją ewolucją mentalną. Od zmian jakościowych przeszły do ilościowych, co im w zupełności wystarczyło. Nastął złoty wiek. Powszechna szczęśliwość, nieśmiertelność, nieograniczona wiedza, rozkwit kultury i sztuki. Albo coś w tym rodzaju.

– Aha – potwierdziła Irina. – Mniej więcej ta linia rozwoju, którą nazywa się kulturą masową. Bary na Księżycu, kurorty na Syriuszu...

– Jakże tam mogą być kurorty – wzdrygnął się Martin, przypominając sobie Syriusz. – Dobrze, przyjmijmy, że to pewnik. Rozciągamy Prerię 2 na całą galaktykę... Co dzieje się dalej?

– Potop – uśmiechnęła się Irina. – Globalne kataklizmy uderzyły we wszystkie planety jednocześnie. Kataklizmy, za którymi stał nie konkretny wróg, lecz sama galaktyka! Prawdopodobnie każda planeta otrzymała swój wariant apokalipsy, a efekt był jeden – sieć transportowa przestała istnieć, zamieszkane światy cofnęły się w rozwoju. Być może niektóre planety zginęły.

– Klucznicy? – zapytał Martin i sam sobie odpowiedział: – Część się przekształciła, niektórzy nie do poznania – masz przykład bezzaryjczyków. Powstali nowi osobnicy, zdolni przeżyć w nowych warunkach... część przeszła na kolejny etap rozwoju. A większość wycofała się do swojego systemu gwiazdowego i zaczęła przygotowania do nowego podejścia.

– Było im o tyle łatwiej, że zachowała się flota po pierwszej ekspansji – dodała Irina. – Prawda? Albo jakieś mechanizmy, których nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. Nanoroboty, dryfujące w atmosferze planety-giganta i produkujące nowe statki...

Martin skinął głową, a ośmielona Irina kontynuowała w natchnieniu:

– Stacje nawigacyjne na tych planetach, które niegdyś wchodziły w skład sieci transportowej. Bezpiecznie zamaskowane, wysyłające sygnały nawigacyjne... a może nawet analizujące sytuację na planetach?

– To bardzo prawdopodobne – przyznał Martin. – Załóżmy, że tak właśnie było i idźmy dalej. Biblioteka?

– Pomnik – powiedziała szybko Irina. – Być może w tych obeliskach rzeczywiście kryją się jakieś informacje... historia minionego etapu cywilizacji... ale to nieistotne.

Martin skrzywił się. Śmiałe wyrokowanie, co jest istotne a co nie, zazwyczaj źle się kończy! Ale z braku kontrargumentów powiedział tylko:

– Arankowie?

– Wydaje mi się – zaczęła ostrożnie Irina – że to ludzie. Czy raczej nasi bliscy krewni, chociaż istnieją pewne różnice na poziomie DNA. Gdy doszło do poprzedniej apokalipsy, arankowie podjęli dość dziwne kroki. Zrozumieli, że katastrofa jest karą za powstrzymaną ewolucję mentalną i...

– I coś ze sobą zrobili – podjął Martin. – Na zawsze zamknęli sobie możliwość takiej ewolucji.

– Zrezygnowali z duszy. – Irina rzuciła Martinowi niespokojne spojrzenie, jakby spodziewając się kpiny.

Ale Martin był dzisiaj dobrotliwy i wielkoduszny.

– Można to i tak nazwać. Irino, wychodzi na to, że oni osiągnęli to, co chcieli! Ich społeczeństwo faktycznie jest rozwinięte i szczęśliwe. Dalej?

Irina zerknęła na kart

– Innej nieśmiertelności nie ma! – odparł z zapalem Martin. W tej słownej żonglerce cywilizacjami i epokami, ewolucją i degradacją, apokalipsami i duszami było coś szaleńczego. Jakby

we śnie, albo po libacji alkoholowej, gdy oczyszczone od zbyt powolnych neuronów mózg odważnie operuje śmiałymi kategoriami. – Irinko, z przeszłością wszystko jest jasne...

– Bezzar! – podrzuciła nowy temat Irina.

– Proszę bardzo! Sztucznie stworzona rozumna rasa, długowieczna i absolutnie przystosowana do swojego świata. Ewolucja i nieśmiertelność nie są już potrzebne...

– Geddar?

– Hmm... – Martin zamyślił się. – Tutaj będzie trudniej... Ich społeczeństwo jest niesamowicie przeniknięte teologią, a przy tym geddarowie twierdzą, że ich teologia jest... jak to powiedzieć? Teologią stosowaną! To nie religia, to już magia! Wykonując te czy inne działania, otrzymasz konkretną reakcję Boga. Co jest jeszcze dziwnego u geddarów? Ich kobiety są nierozumne i to powszechnie wiadomo.

– Widywałeś geddarów płci żeńskiej? – zapytała Irina.

– Nie – machnął ręką Martin. – Za to oni próbują rozwinąć rozum w khannanach i nawet osiągnęli już pewne efekty...

– Znasz chociaż jedną planetę, na której istnieją dwie rozumne rasy? – nie ustępowała Irina.

– Nie – Martin pokręcił głową.

– A chociaż jedną rasę, która wszędzie wozi ze sobą swoich pupilów? Pieski, kotki, ptaszki, koniki?

Martin zakrztusił się śliną, a Irina popatrzyła na niego triumfalnie.

– To niemożliwe – Martin pokręcił głową. – Niemożliwe! To różne gatunki biologiczne!

Goście tawerny zaczęli się na nich oglądać. Irina dotknęła jego ręki i szepnęła:

– Cicho! Możliwe! Khannanowie to samice geddarów. Jednocześnie zwierzęta i partnerzy płciowi. Osobniki płci żeńskiej żyją w wodach przybrzeżnych, a płci męskiej polują na lądzie. Bardzo wygodna opcja. Dwa stałe źródła pożywienia, najbardziej produktywny pas nabrzeża szczelnie zasiedlony. Samce ewoluowały – życie na lądzie jest bardziej nieprzewidywalne, więcej wymaga od rozumu... A może taki podział nastąpił dopiero po apokalipsie? Kobiety wróciły do morza, mężczyźni zostali na lądzie?

– Skąd wiesz o khannanach? – zainteresował się Martin. – Z dossier?

Irina pokręciła głową:

– Widziałam, jak geddar parzy się z khannanem. Na Bibliotece. Tak wyszło.

– Zauważyli cię? – zapytał szybko Martin.

Irina wzruszyła ramionami:

– Co najwyżej samica... nie wiem. Zresztą, nieważne. Powiedz lepiej, czy taka sytuacja może być jeszcze jedną próbą uniknięcia ewolucji mentalnej?

– Może – skinął Martin. – I to jeszcze jak. Katastrofa globalna... od dziś rozum to przekleństwo... ale jakiś zbuntowany TajGeddar odmawia powrotu do poziomu zwierzęcia...

– Wszystko obraca się wokół rozumu – skinęła głową Irina. – Dar czy przekleństwo. Etap końcowy czy przystanek po drodze.

– Tych ras, które zupełnie zrezygnowały z rozumu, w ogóle nie zauważamy – wyszeptał Martin. – Planety, które teraz kolonizujemy... Myśleliśmy, że nigdy nie istniało na nich rozumne życie, a ono istniało... Jakieś miejscowe zwierzęta były niegdyś gospodarzami planety!

– Aborygeni Tropy mimo wszystko byli niegdyś rozumni, biedne oułua zdegradowały się, ale nie do końca – zaczęła wyliczać Irina. – Sheali wybrali najbardziej egzotyczny wariant – rozumne dzieci i rezygnujący z rozumu dorośli.

– Niewykluczone, że istnieją również inne warianty – szepnął Martin. – Mój Boże... ale mieliśmy szczęście...

– Tak sądzisz? – spytała sceptycznie Irina. – A układ geddarów ci nie odpowiada? Siedziałyby sobie Irinka w kojcu, jadła i bawiła się... Przyszedłbyś, wybrał i umieścił w przedpokoju na dywaniku. Zawsze się cieszy na twój widok, macha ogonkiem i przynosi kapcie w zębach...

– Tfu! – powiedział Martin, patrząc w jej roześmiane oczy. – Właśnie widzę, jacy szczęśliwi są geddarowie, skoro latają wszędzie ze swoimi kobietami i próbują nauczyć je myśleć.

– Uważaj – Irina patrzyła w sufit w udanej zadumie. – Jeszcze nauczę się języka sheali, przejdę rytuał w ich świątyni...

Martin przechylił się nad stołem i pocałował dziewczynę w usta.

– No właśnie – powiedziała Irina minutę później. – Dobrze, pomyślmy, co dalej. Skoro umiemy myśleć.

Martin rozejrzał się po sali. Ich namiętny pocałunek chyba nie zwrócił niczyjej uwagi. Był wdzięczny poszukiwaczom za takt.

– Nad czym tu myśleć? – Martin wzruszył ramionami. – Poprzednia próba kluczników przyniesienia galaktyce spokoju i obfitości zakończyła się katastrofą. Albo natura, albo surowy Pan Bóg, bo w sumie co za różnica, sprawił lanie swoim leniwym dzieciom. I wtedy niektóre rasy pokornie przeszły na następny poziom ewolucji i teraz nie jesteśmy w stanie ich dostrzec. Inne zeszyły do poziomu zwierzęcia... wariantów może być wiele. Zauważamy je i traktujemy jak zdobycz. A większość jakoś się otrząsnęła, zaczęła rozmnażać i znowu wzięła za stare sprawy. Klucznicy również. Stąd wniosek, że czeka nas nowy łomot.

– Alternatywą jest przekonanie kluczników, że powinni rozerwać sieć transportową.

– Po pierwsze, nic z tego nie wyjdzie – pokręcił głową Martin. – Po drugie, to tylko odroczenie. Prędzej czy później wszystkie rasy dojdą do tego samego punktu.

– Musi być jakieś inne wyjście – upierała się Irina. – Nie na darmo na liście znalazł się Talizman.

Martin westchnął. Ile razy można powtarzać, że jego wiedza o Talizmanie ogranicza się do tego, co przeczytał w „Przeglądzie dla podróżników”, w Garnelu i Czystiakowej, w *Encyklopedii światów* i tym podobnych informatorach.

– Irinko, jeśli masz coś do powiedzenia na temat Talizmanu... – zaczął.

Ale w tym momencie do ich stolika podszedł kelner ze specjalnością zakładu pod „Zdechłym Kucykiem”. I Martin z ulgą zajął się jedzeniem.

Człowiek jest stworzeniem wszystkożernym. I w warunkach ciepłego, łagodnego klimatu, niskiej aktywności ruchowej oraz niezbyt częstej aktywności płciowej może poprzestać na daniach bezmięśnych. O ile roślinności będzie pod dostatkiem, a zamiast wysiłku fizycznego zajmie się osiągnięciem nirwany.

Człowiek jest drapieżnikiem. Kiedyś Martin usłyszał opowieść o hinduskim nastolatku, który od dzieciństwa nie jadł mięsa. Tak się złożyło, że hinduski chłopiec wyruszył do zaprzyjaźnionej Rosji po wygraniu jakiegoś konkursu przyjaźni rosyjsko-hinduskiej. I pierwszym wrażeniem, o którym chłopiec, zachłystując się z zachwytu, opowiadał witającym go rosyjskim przyjaciołom, były „zdumiewająco pyszne brązowe placuszki”, które jadł w samolocie Aerofłotu. Gdy chłopiec dowiedział się, że stewardessa uraczyła go kotletami, zrobiło mu się przykro. Nie ma to jednak żadnego związku z potrzebami organizmu i świadczy jedynie o sile zasad moralnych. Osłabiony wegetarianizmem młody organizm nie miał nic przeciwko mięsu...

Martin odmówiłby jedynie spożycia psa – a i to wyłącznie z powodów estetycznych – więc przyniesione przez kelnera „danie firmowe” bynajmniej go nie zszokowało.

– Konina? – zapytał, spoglądając na kawałki zimnego, gotowanego mięsa.

Kelner skinął głową, czekając na reakcję. Oprócz koniny, w skład dania firmowego wchodziły kawałki gotowanego ciasta w kształcie kopyt, trochę twardego sera w postaci kulek i jakiś napój, przypominający kwaśne mleko. Martin spróbował i zachwycił się – to był prawdziwy kazachstański kumys!

– Doskonale – rzekł Martin, smarując koninę musztardą. Wielu ludzi uważa, że końskie mięso jest wstrętne w smaku. Nieszczęśni głupcy! Pewnie jedzą koninę na gorąco, a może nawet popijają rosółem. A konina jest smaczna wyłącznie na zimno, wtedy żadna wołowina czy wieprzowina nie może się z nią równać...

– Ciebie też nie udało się zszokować – uśmiechnęła się Irina. – To taki dowcip właściciela tawerny. Skoro knajpa nazywa się „Zdechły Kucyk”, to wszystkich nowych częstują koniną.

Martin pokręcił głową i już otworzył usta, żeby wygłosić wykład o uzdrawiających właściwościach końskiego mięsa, o wykorzystywaniu go w procesie przygotowania niektórych gatunków kiełbasy... ale przypomniał sobie napis „Snob” na własnych aktach i przełknął przemowę razem z kawałkiem koniny.

– Niewykluczone, że taki numer faktycznie peszy nowicjuszy – zasugerowała Irina. – Ale ty przeszedłeś tyle planet... Martin, słyszałeś już o kluczu?

Martin skinął głową.

– Oto on – powiedziała dziewczyna i podała zdjęty z szyi łańcuszek. Martin już wcześniej zauważył, że Irina ma aż trzy łańcuszki – jeden pewnie z krzyżykiem, na drugim nosi żeton podróżnika, a trzeci uznał za zwykłą ozdobę.

Okazało się, że właśnie na nim wisiał klucz.

Był mniejszy, niż sobie wyobrażał. Nawet nie ołówek, tylko ogryzek ołówka. Cienki, niebieskawy, przezroczysty cylinderek, z mętными kropkami w środku i otworkiem, przez który przeciągnięty został łańcuszek.

– Co to za badziewie? – zadał retoryczne pytanie Martin. Purpurowy proszek też nie robił



specjalnego wrażenia, ale od niego płynęła przynajmniej jakaś aura obcości. A tu...

– Nie podoba się? – spytała Irina z filuternym uśmiechem.

– Szklana ozdóbka – wygłosił werdykt Martin. – Gdyby na jakimś filmie bohater znalazł coś takiego, od razu byłoby jasne, że to klucz do najważniejszego sejfu Obcych. Albo detonator, który ocalał po Wielkim Wybuchu... Ale nie jesteśmy w filmie, Irinka. To tylko szklany bzdet!

– Zgadza się – powiedziała cicho Irina. – Znalazłam go na Stacji, zaraz po przybyciu. W koszu na śmieci.

Martin wytrzeszczył oczy:

– Ktoś wyrzucił cenny artefakt do kosza?

– A kto ci powiedział, że to cenny artefakt? – spytała szeptem Irina. – Śmieć to śmieć. Nawet jeśli pochodzi z obcej planety.

– I co, postanowiłaś oszukać skupujących? – osłupiał Martin. – Słuchaj, jak oni się dowiedzą...

– Nikogo nie oszukiwałam – odparła Irina z miłym uśmiechem. – I mów ciszej, na Boga! Poza tym nigdy nie twierdziłam, że znalazłam to w sejfie. Po prostu nosiłam na widoku i mówiłam, że znalazłam. A co sobie ludzie dośpiewali, to już nie mój problem.

– Po co? – zapyta! Martin po chwili milczenia.

– Zastanów się – powiedziała Irina, poważniejąc. – Talizman to nie Biblioteka. Ta planeta nie jest martwa. A ta dziwna mgła? I elektrownia pod nogami? Sejfy rzeczywiście działają... i wierz mi, że można w nich znaleźć nie tylko proszek! Jeśli to świat, który pozostał po poprzedniej ekspansji kluczników, to coś w nim jest. Coś bardzo cennego. Może jakieś centrum sterowania imperium kluczników?

– Oni nie mają imperium – burknął Martin, nalewając sobie kumysu. – Mają przytulną planetkę i tysiące statków – to wszystko. A gdyby nawet istniało jakieś centrum, nie wpuściliby tam tłumu dzikusów, żeby dłubali w ziemi.

– Ale z jakiegoś powodu Talizman jest ważny! A to znaczy, że trzeba odgadnąć jego tajemnicę. A jak to zrobić najprościej?

– Pomieszkać tu ze dwa lata. – Martin obrzucił tawernę zamyślonym spojrzeniem.

– Zawrzeć znajomość z długoletnimi mieszkańcami Talizmanu! Zostać swojakiem wśród tych, którzy do czegoś doszli. A co jest do tego potrzebne?

Martin pokiwał głową.

– Rozumiem. Należy sprawiać wrażenie, że jest się w posiadaniu równorzędnej tajemnicy. No i jak? Przyszła do ciebie miejscowa masoneria, by przyjąć cię do loży i podzielić się informacjami?

Irina pokręciła głową.

– No... ciężko powiedzieć. Być może przychodzili. A może przekonałam sama siebie.

– Miejscowa masoneria. Bractwo Talizmanu... – zastanawiał się na głos Martin. – Fartowni i inteligentni poszukiwacze... Ci, którym udało się znaleźć reguły działania sejfów... To co, gramy va banque?

– Zgoda, tylko jak? – zainteresowała się Irina.

Martin zacisnął w pięści klucz razem z łańcuszkiem i schował do kieszeni na piersi. Potem wyciągnął sporą paczkę i położył na stole przed Iriną.

– Co to jest? – spytała Irina.

– Dla obserwatorów – pieniądze za artefakt. A tak naprawdę zwykły zestaw wymienny – czekolada, przyprawy, naboje. Potem mi oddasz.

Irina uśmiechnęła się.

– A mogę sobie zostawić czekoladę?

Bez pośpiechu dokończyli firmowy obiad „Zdechłego Kucyka”. Goście tawerny zerkali na nich ukradkiem i wymiana klucza na paczkę musiała zostać zauważona. Ale na razie panował spokój.

Martin podszedł do karczmarza i poprosił o pokój na jedną dobę. Dostał pokój na pierwszym piętrze tawerny i to nawet za umiarkowaną cenę.

Ale najbardziej ucieszył go fakt, że tuż obok znajdował się pokój Iriny.

Pokoje oddzielały ściany z desek, oklejone zwykłymi papierowymi tapetami. Martin leciutko naderwał tapetę, obejrzał ściankę i usatysfakcjonowany efektem skinął Irinie, obserwującej jego poczynania.

– Idealnie – mruknął. – Kiedy się ściemni?

– Za jakieś dwie godziny. Koło dziesiątej.

– A kiedy ludzie kładą się spać? – Martin zerknął na zegarek. Dziewiętnasta siedemdziesiąt trzy... „Casio-tourist” ustawiony został na tryb „płynnej godziny”. Doba planety dzieliła się na dwadzieścia cztery godziny, ale liczba minut w godzinie była dowolna. Tryb „płynnej doby”, gdy godzina trwała sześćdziesiąt zwykłych minut, za to liczba godzin w dobie nie była w żaden sposób reglamentowana, Martin uważał za mniej wygodny.

– Po dwunastej. A na dole będę siedzieć do rana.

– Doskonale. Jeśli ktoś rzeczywiście uwierzył w twoją grę, to jest ostatnia noc, żeby zdobyć klucz.

– Mogliby również spróbować przejąć go od ciebie w drodze na Stację. Rano.

– Owszem, ale tradycyjnie w tym celu wykorzystuje się noc. Jakby nie było innych zajęć...

Zapadło niezręczne milczenie. Martin odchrząknął i zapytał:

– Jak mylisz, czy ten karczmarz...

– Jurik? – Irina pokręciła głową. – Nie, nie sędzę. On ma dość swojej historii. Po czymś takim człowiekowi odechciewa się grzebania w tajemnicach galaktyki...

– A jednak ty się grzebiesz.

– Ale nas było tylko siedem.

Martin wziął Irinę za rękę, ale ona pokręciła głową:

– Nie. Nie chcę, Martinie. Nie myślisz teraz o mnie, tylko o tamtej Irinie...

To nie była do końca prawda, ale jednak wystarczająca jej część, by Martin puścił rękę dziewczyny i powiedział:

– W takim razie chodźmy się przejść. Jest tu coś ciekawego, prócz tawerny, w której częstują gości koninę?

– Osiedla mieszkalne – Irina ochoczo zmieniła temat. – Kilka tysięcy chałup, w których nocują poszukiwacze... Klimat łagodny, trwałe budowle nie są potrzebne... Wszyscy są mniej lub bardziej przemieszani, chociaż zasadniczo rasy starają się trzymać razem. Są jeszcze dwie karczmy, ale tam zbierają się głównie Obcy.

– Nic dziwnego, że żaden człowiek nie odważył się otworzyć konkurencyjnej tawerny – pokiwał

głową Martin. – Jak tu konkurować z gościem, któremu klucznicy bezpłatnie dostarczają towary...

– Jest również supermarket – spółka dio-dao i ludzi, kilka punktów skupu artefaktów, hotel dla kurierów, wożących towary na inne planety – ciągnęła wyliczankę Irina – stacja badawcza aranków...

– Nawet? – Martin uniósł brwi. – Brzmi interesująco. Nie mają zbyt wielu stacji naukowych poza granicami Aranku.

– Nie mają. Ta planeta faktycznie musi być niezwykła – przyznała Irina. – Wstąpiłam tam kiedyś. Próbowalam połączyć się... ze sobą na Aranku, ale się nie udało. A potem jakoś nie miałam ochoty...

– Chodźmy do nich – zdecydował Martin. – Jest o czym pogadać.

Talizman zapewne pozostałby niezbadaną planetą, gdyby nie elektryczność pod nogami. Nie chodziło nawet o wygodę, jaką ona dawała. Po prostu orientacja w białej mgłę była praktycznie niemożliwa, pole magnetyczne planety okazało się zbyt niestabilne, żeby używać kompasów, eter wypełniały zakłócenia, a okolica nie obfitowała w naturalne punkty orientacyjne. Główne drogi oświetlano latarniami, ale wystarczyło oddalić się od Amuletu na dziesięć kilometrów, by powrót stał się bardzo problematyczny.

Sytuację ratowały wiechy – małe, autonomiczne „boje”, przypominające odwróconą literę V. Wiechy wbijano w lustrzany kamień i wtedy zaczynała działać mała boja kierunkowa na laserze półprzewodnikowym. Różnica ładunków pomiędzy nóżkami boi w zupełności wystarczała na kilka tygodni pracy. Podobne urządzenia robiono również na Ziemi i innych planetach, ale rynek wypełniały przede wszystkim wygodne i lekkie modele *made in Arank*. Duży wybór barw rozbłysków i regulacja odstępu między nimi sprawiała, że każdy poszukiwacz mógł wytyczyć własną trasę.

Irina również miała komplet wiech – pęczek kilkudziesięciu lekkich srebrzystych cyrkli. Trzy niebieskie rozbłyski, przerwa, fioletowy rozbłysk, długa przerwa, niebieski rozbłysk. Jak zauważyła z dumą Irina, kod jej wiech uważano za bardzo udany i łatwy do zapamiętania. Poza tym, niebieski i fioletowy były słabo tłumione przez mgłę, co również miało spore znaczenie.

Irina wspomniała też, że kradzież bądź uszkodzenie cudzych wiech uważano na Talizmanie za jedno z największych przestępstw. Za coś takiego przestępcę czekał lincz – zdjęta wiecha mogła kosztować jakiegoś poszukiwacza życie. Za to do dobrego tonu należało umieszczenie starej, wyczerpanej wiechy kilka centymetrów wyżej i podłączenie do nowego źródła zasilania. Jeśli wiecha z jakiegoś powodu nie działała, należało wbić na jej miejsce nową i zaprogramować na częste, białe rozbłyski.

Martin z przyjemnością spoglądał na Irinę, wyjaśniającą mu subtelności życia na Talizmanie. Dziewczyna zmieniła sukienkę na dżinsowy kombinezon, przy pasie miała pęczek wiech i rewolwer, i generalnie wyglądała na doświadczoną zdobywczynię tajemniczej planety.

– Zauważyłeś, jaka dziwna jest ta mgła? – ciągnęła Irina. Do stacji aranków, mieszczącej się w pewnej odległości od osiedla, prowadziła dobrze oświetlona ścieżka. – Jest jakby wilgotna, prawda?

– Aha...

– Ale gdybyś pospacerował z godzinę w zwykłej mgłę, całe ubranie miałbyś mokre. A tutaj jest jakiś ogranicznik. Trochę nasiąkasz i koniec.

– Dziwna planeta – przyznał Martin. – A pamiętasz Bezzar i sprężynującą wodę?

– Aha! – Irina roześmiała się. – Rzadka przyjemność – móc spacerować po wodzie jak po lądzie!

Zamilkła nagle i popatrzyła z wyrzutem na Martina.

– Ta dziewczyna na Bezzarze to nie byłam ja.

– To byłaś ty – powiedział Martin. – I przestań się nakręcać. To ty byłaś na Aranku. Ty byłaś na Bezzarze. Wszystko w porządku.

Irina nie odpowiedziała i przez jakiś czas szli w milczeniu. We mgle mrugały różnokolorowe wiechy, oddalające się od Amuletu w różnych kierunkach.

– Wiele osób uważa, że im dalej od osiedla, tym częściej trafia się coś ciekawego w sejfach – odezwała się w końcu Irina. – Ale niektórzy doświadczeni poszukiwacze twierdzą, że to bzdura, że szanse są wszędzie jednakowe. Inna sprawa, że w pobliżu osiedla wszystkie dobre sejfy już do kogoś należą...

– Dobrze, to znaczy jakie?

– Te, które znajdują się obok siebie i nie mają wspólnej fazy otwarcia. Dzięki temu możesz chodzić między dwudziestoma sejfami i sprawdzać je po kolei. W niektórych miejscach sejfy występują grupami. Złota Polanka, Wall Street, Złota Uliczka, Srebrne Kopytko...

– Uboga wyobraźnia – uśmiechnął się krzywo Martin.

– A jak ci się podoba Wiaderko bez Denka, Siedź i Patrz, Zagłada Teściowej, Broda Krasnoluda?

– Już lepiej.

– Kiszki na Wierzchu, Protezy Bojowe, Droga Hamowania?

– Dobra, przyznaję, że wyobraźnia miejscowych poszukiwaczy jest nieograniczona! A co to takiego?

– A to jest właśnie stacja badawcza aranków – powiedziała z uśmiechem Irina i Martin pomyślał, że dziewczyna specjalnie go zagadywała, żeby mógł ujrzeć stację w całej krasie.

Pamiętając miasteczko akademickie w Tyriancie, Martin spodziewał się czegoś podobnego – ogromnego, majestatycznego albo racjonalnego, celowego, a w każdym razie czegoś, do czego przywykło oko człowieka.

Ale stacja aranków przypominała raczej domy dio-dao. Skupisko burych pęcherzy o średnicy od dwóch do dziesięciu metrów, niektóre stojące oddzielnie, niektóre połączone... Pęcherze zajmowały co najmniej akr. Przed jednym z nich stało dwóch młodych aranków. Jeden z bronią termiczną (chyba dość popularną wśród aranków), a drugi z ciężkim agregatem, składającym się z plecaka i rury z celownikiem, przymocowanej do plecaka grubym kablem. Ochroniarze nie mieli na sobie tradycyjnych męskich chałatów, lecz połyskliwe, futurystyczne kombinezony.

– No, no... – szepnął Martin. – Czy występują tu niebezpieczne formy życia?

– Porządek musi być – odparła wesoło Irina. – To prawda, że są skończonymi fatalistami, ale nie mają zamiaru niepotrzebnie ryzykować... Ten z plecakiem trzyma bojowy miotacz plazmy. W ciągu dwudziestu sekund wypala pole wielkości boiska do piłki nożnej.

– Biedni piłkarze – westchnął Martin.

Irina pomachała ręką czujnym ochroniarzom i krzyknęła:

– Atera, gasta! Irina!

– Atera – odpowiedział ochroniarz z bronią termiczną. Zrobił krok do przodu i zwrócił się do Iriny: – Doggar-ken – po czym przeszedł na turystyczny: – Znasz nasz język?

– Trochę – skinęła Irina. – Ale mój przyjaciel nie bardzo.

– Za to on ma naszą broń – powiedział ze zdumieniem ochroniarz. Nieco młodszy od Martina, był, jak wszyscy arankowie, zgrabnie zbudowany i miał regularne rysy twarzy. Na Ziemi każdy naród semicki, od Żydów do Palestyńczyków, bez wahania uznałby go za swojaka.

– Mam pozwolenie – wyjaśnił szybko Martin. – Od mera Tyriantu!

– Życie jest pełne niespodzianek... – zauważył sentencjonalnie ochroniarz. – Witajcie, przyjaciele. Zabłądziliście czy może szliście do nas specjalnie?

– Specjalnie – Martin delikatnie przejął inicjatywę. – Badamy Talizman... i chcielibyśmy wymienić poglądy z waszymi naukowcami.

Ochroniarz pomyślał chwilę i podał Martinowi rękę.

– Doggar-ken.

– Martin.

Ochroniarz zawahał się.

– Chyba nie masz dzieci, Martinie? – spytała Irina. Martin pokręcił głową.

– Martin-ken – poprawiła go uprzejmie Irina. Ochroniarz, wyraźnie ucieszony, ponownie wyciągnął rękę.

– W takim razie po prostu Doggar... Chodźcie, akurat czekam na zmiennika. Kieruję jedną z grup naukowych, będziemy mogli spokojnie wszystko omówić.

Mimo całej czujności aranków, żadnych innych formalności nie było. Razem z Doggarem Martin i Irina weszli do luku i znaleźli się w przestronnym przejściu. Martin ostrożnie dotknął ściany – była miękka i ciepła.

– Żywe domy – oznajmił Doggar. – Bardzo wygodne w procesie kolonizacji innych planet, prawda? Wystarczy przynieść ziarenko i posadzić...

Martin westchnął. Dlaczego Obcy urzeczywistniali wszystkie dziecięce marzenia ludzkości?

Przeszedł jeszcze jeden młody arank, wziął broń od Doggara, wymienili kilka zdań i zmiennik wyszedł na zewnątrz.

– Chodźmy – powiedział wesoło Doggar. – Nie cierpię tych dyżurów, ale trzymanie całego oddziału ochrony byłoby strasznie niewygodne, prawda? A tak, każdy dyżuruje trzy godziny co czwartą dobę.

– Istnieje jakieś niebezpieczeństwo? – zapytał Martin, idąc za Doggarem pustymi korytarzami stacji. Z niezbyt skomplikowanego obliczenia wynikało, że na stacji przebywają zaledwie trzydzieści dwie osoby. Albo coś w tym rodzaju. Po warunkiem, że jednocześnie dyżuruje tylko dwóch aranków – a przecież mogły być również wewnętrzne posterunki i patrole – oraz że Doggar nie kłamał.

– Ufaj Allachowi, ale wielbłąda przywiązuj – odpowiedział poważnie Doggar. – To zagadkowa planeta i przybywa tu wielu rozumnych z najróżniejszych światów. Jesteście głodni?

– Dziękuję, niedawno jedliśmy obiad – odrzekł Martin, przyglądając się Doggarowi ze wzrastającym zainteresowaniem.

– W takim razie zapraszam do mnie...

Po kilku minutach, nie spotykając już nikogo po drodze, znaleźli się w pokoju Doggara. Bardzo

sympatycznym, z dużym oknem, z którego otwierał się widok na miasto aranków.

– Nostalgia – westchnął Doggar, dotykając panelu sterowania. Pejzaż zmienił się na coś sielankowego – polanka, rzeka, wodospad... pasące się nieopodal krowy – przysadziste, jakby skrzyżowane z jamnikami. – Każda sroczka swój ogonek chwali. Kiedy byliście na Aranku?

– Całkiem niedawno.

– Ależ wam zazdroszczę... od pół roku nie mogę się wybrać na urlop – poskarżył się Doggar. – Zaraz do was przyjdę, tylko wezmę prysznic. Czujcie się jak u siebie w domu!

Jakby na potwierdzenie własnych słów, Doggar skierował się do łazienki, po drodze rozpinając kombinezon. Nagość nie była u aranków tabu, poza tym do naga Doggar rozebrał się dopiero w łazience.

Irina i Martin uśmiechnęli się do siebie. Nic tak nie łączy ludzi na obczyźnie, jak dziwactwa tubylców. Nawet na Matce Ziemi bogaty rosyjski przemysłowiec z łatwością znajdzie wspólny język z biednym rosyjskim studentem, jeśli los zetknie ich gdzieś w Ameryce. A tematem rozmowy będą, rzecz jasna, ci dziwacy, zachowujący się w sposób budzący rozdrażnienie lub zawiść.

Za oknem-ekranem krowa podniosła łeb i zamuczała przeciągle.

– Niezwykle rozwinięta rasa – powiedział Martin, patrząc w okno.

– Chciałabym urodzić się na Aranku – wyznała Irina.

– A kto ci broni tam wyemigrować? Oni są bardzo gościnni.

– Emigracja to co innego. Tam trzeba się urodzić. Być takim, jak oni. Życ, sądząc, że tak właśnie żyć trzeba.

Martin pokiwał głową.

Doggar wyszedł z łazienki, zawiązując pasek szlafroka i zawołał:

– Płonę pragnieniem wysłuchania waszych nowin! A może kieliszeczek koniaku?

– Kieliszeczek – zezwolił Martin.

– Dwa – skinęła głową Irina.

– Trzy! – powiedział Doggar, otwierając barek. – I odrobina smacznych orzeszków. A dla szanownej Iriny – kryształowy owocowy... A więc, co sprowadza was na Talizman?

– Klucz – strzelił Martin na chybił trafił.

Ręka Doggara drgnęła, koniak polał się obok pękatego kieliszka.

– Ale ze mnie niezgraba... – zmartwił się Doggar. – Jaki klucz?

– Planeta-klucz – burknął Martin.

Doggar delikatnie postawił kieliszki na niskim stoliku, usiadł w fotelu i założył nogę na nogę.

– Siadajcie, siadajcie – zaprosił. – Jaka planeta-klucz?

– Talizman – powiedział Martin, siadając naprzeciwko niego i starannie ignorując zdumione spojrzenia Iriny. – Tylko proszę, niechże mi pan nie wciska kitu, szanowny panie Doggarze.

– Że co? – zdumiał się arank. – Wciskać kit? Gdzie?

– Taka znajomość ziemskich przysłów i powiedzonek – zdumiał się z kolei Martin – a tego wyrażenia pan nie zna?

Doggar uśmiechnął się i podniósł ręce:

– Poddaję się. Nie znam. A co ono oznacza – nie oszukiwać?

– Otóż to. Wcale nie jest pan uczonym. Odpowiada pan za bezpieczeństwo stacji.

Doggar zamyślił się i zapytał:

– Skąd ta myśl, Martin-ken?

– Przeciętny arank nigdy nie użyłby zwrotu „ufaj Allachowi, ale wielbłąda przywiąż”, ponieważ wy absolutnie ufacie swojej technice, a dyżury przed stacją są zupełnie niepotrzebne. Wszedł więc pan specjalnie, gdy czujniki dały znać o naszym przybyciu. To z kolei świadczy o tym, że jest pan specjalistą od kontaktów z Obcymi.

– Z ludźmi – poprawił Doggar. – Myśli pan, że tak świetnie orientuję się w zwyczajach wszystkich ras? Ha! – Napił się koniaku. – Musiałbym mieć łeb jak sklep... Poza tym, nie ma pan racji. Owszem, odpowiadam za bezpieczeństwo, ale wyłącznie w kontaktach z ludźmi. I naprawdę jestem naukowcem. Bezpieczeństwo to moja druga specjalizacja. Wszyscy tutaj jesteśmy wszechstronnymi specjalistami. Rozsądna oszczędność zasobów ludzkich.

– A więc zgadza się pan, że Talizman jest planetą o kluczowym znaczeniu? – Martin kuł żelazo, póki gorące.

– Zależy, co mamy na myśli pod pojęciem „kluczowa” – uśmiechnął się Doggar. – To na pewno szczególna planeta. Ważna. Ale żadnych artefaktów, ruin, czy choćby przejść do innych światów nie stwierdziliśmy. Klucznicy tu nie mieszkają i nie sędzę, by kiedykolwiek mieszkali...

– Szanowny Doggar-ken – przerwał ten wywód Martin. – Ja i Irina odwiedziliśmy szereg planet. Talizman jest ostatnią z nich. I naszym zdaniem właśnie tutaj kryje się coś ważnego.

Doggar westchnął.

– Ale w ten sposób nie mogę wam pomóc. Podzielcie się swoimi domysłami i...

Martin zerknął na Irinę i kiwnął:

– Opowiedz mu. W końcu to w naszym wspólnym interesie.

Irina westchnęła.

– Szanowny Doggar-ken. Jakiś czas temu do moich rąk trafił pewien dokument...

Martin dolał sobie koniaku, odchylił się na oparcie wygodnego fotela. Przyjemnie posłuchać z boku własnych interpretacji i domysłów...

Klucznicy łagodnie, ale nieuchronnie cywilizują wszystkie dostępne im światy: łączą we wspólną sieć transportową, rozwijają technologie i wykorzeniają ksenofobię... Ten proces może doprowadzić rasy rozumne do rezygnacji z dalszego rozwoju – wszystkie potrzeby i tak będą sukcesywnie zaspokajane. Podobne działania prowadzono już tysiące lat temu, ale wówczas zostały przerwane falą kataklizmów, odrzucających cywilizacje wstecz, do stanu pierwotnego... Echa dawnej katastrofy doprowadziły do tego, że szereg cywilizacji wypracował mechanizmy obronne – aż do częściowej rezygnacji z rozumu czy powstrzymania rozwoju technicznego, a teraz działania kluczników przełamiają te zapory... Istnieje pewna siła, posiadająca wolną wolę, porównywalna bądź równoznaczna z prawami natury, która nie dopuszcza do zatrzymania ewolucji i za jakiś czas – za minutę albo sto lat, owa siła ponownie przerwie działania kluczników...

– Jakie jest nasze miejsce w danym procesie? – zapytał bardzo poważnie Doggar-ken.

– Nie mam dowodów – odparł Martin – ale odnoszę wrażenie, że wasza cywilizacja dokonała jakiegoś bardzo radykalnego aktu samoobrony. Wszystkie rozumne rasy, mimo naturalnych różnic, mają jakiś potencjał do dalszego rozwoju. Dla uproszczenia nazwijmy go duszą...

Doggar-ken uśmiechnął się.

– Nie nalegam na religijne rozumienie tego pojęcia – dodał szybko Martin. – Tym bardziej, że dla was byłyby to tylko słowa... czysta abstrakcja. Ale ta dusza daje cywilizacjom takie rzeczy jak uczucia religijne, przeżycia mistyczne...częściowo, jak sądzę, również intuicję... A wasza cywilizacja – niech pan się nie obraża – jest bardzo mechanistyczna. W tym tkwi jej siła – stworzyliście wspaniały świat, racjonalny i komfortowy. Nie utraciliście ani emocji, ani rozumu. Ale zrezygnowaliście z czegoś innego. Być może właśnie to ochroni was przed nową apokalipsą...

– Dlatego, że nie jesteśmy już ważni – dla Boga albo Wszechświata... – wymruczał Doggar. – Tak?

Martin skinął głową.

– Może powinniśmy stworzyć sztuczną duszę? – zapytał Doggar i uśmiechnął się. – Dobrze, założmy, że we wszystkich punktach ma pan rację. Włączając naszą ochronę... bardzo chciałbym w nią wierzyć. Podzielam pański niepokój, Martinie, i pański lęk o los ojczystej planety jest mi bliski. Ale jakie znaczenie w całej tej historii ma Talizman?

– A jakie znaczenie ma on dla was? – odparował Martin. – Podzieliliśmy się naszą wiedzą. Teraz pana kolej.

Doggar westchnął:

– Początkowo zainteresowały nas trzy właściwości Talizmanu: zdumiewająca struktura mgły, nieprzerwana generacja energii przez skały i tak zwane sejfy.

– Dokładnie w takim porządku? – sprecyzowała Irina.

– Dokładnie w takim. Wszystkie zagadki mają swoje rozwiązanie. Tak zwana mgła jest skomplikowaną molekularną zawiesiną koloidową, neutralną dla organizmów żywych i pełniącą rolę ekranu ochronnego. Mgła pochłania promieniowanie twarde gwiazdy, przemienia w energię i przekazuje do skał. Mamy przed sobą zwykłą elektrownię – wielkości planety.

– Ha! – wykrzyknął Martin. – Czy te dane są dostępne?

– Były gdzieś publikowane – wzruszył ramionami arank. – Nie ma tu nic do ukrycia. Wykorzystanie tych technologii nie jest na razie możliwe, zresztą, czy chciałby pan otaczać swoją planetę warstwą mgły? Energię można czerpać w dowolnym punkcie Talizmanu, co właśnie robią wszyscy chętni.

– A sejfy? – spytała Irina.

– Naszym zdaniem sejfy – w głosie Doggara zabrzmiało wahanie – to po prostu syntezatory materii. Ogromną ilość energii, zrzucaną w skały, należy jakoś zutylizować. Najwygodniejszym sposobem jest synteza materii – to bardzo energochłonny proces.

– Przecież w ciągu tysięcy lat sejfy powinny napełnić się po brzegi – powiedziała nieufnie Irina.

– Sejfy nie tylko syntetyzują materię, ale również ją niszczą. Bezsensowna praca. Naszym zdaniem jakaś starożytna rasa, ale nie klucznicy, przemienili planetę w ogromną, autonomiczną fabrykę, produkującą różne przedmioty na życzenie. A gdy fabryka przestała być potrzebna, przestawiono ją na jałowy bieg – ponieważ okazało się to prostsze niż zatrzymywanie całego procesu. Planeta nadal działa w rytmie uruchomionego dawno temu cyklu – produkuje niezrozumiałe i zazwyczaj niepotrzebne rzeczy, a potem je niszczy. Odkryliśmy bezpośredni związek pomiędzy aktywnością słońca a częstotliwością pojawiania się artefaktów. Gdy gwiazda wypromieniowuje więcej energii, znaleziska trafiają się częściej – Doggar-ken uśmiechnął się. – Nie są nawet potrzebne szczegółowe badania, wystarczy obliczyć korelacje, podstawiając ogólnie dostępne dane – liczba poszukiwaczy, liczba znalezisk i aktywność gwiazdy. I wszystko od razu staje się jasne!



– Jakie to proste... – powiedziała rozczarowana Irina. – I to wszystko? Więc co tu jeszcze robicie?

– Próbujemy odnaleźć metodę sterowania sejfami – wyjaśnił Doggar. – Przecież to róg obfitości! A gdy już znajdziemy rozwiązanie tej tajemnicy, podzielimy się nim z innymi rasami! Możecie mi wierzyć, że ta jedna planeta wystarczy dla wszystkich ras!

– Ale na razie żadnych efektów? – zapytał Martin.

Doggar pokręcił głową.

– Niestety. Widzi pan, Martinie, nie może istnieć jakiś ogólny pulpit sterowniczy, wspólny dla wszystkich sejfów i umożliwiający ogólne sterowanie fabryką. To zbyt rozległa struktura. To powinno być znacznie prostsze – podchodzisz do sejfu, robisz coś i otrzymujesz potrzebną rzecz... – Doggar rozłożył ręce. – Tylko co należałoby zrobić? Wymówić hasło? Przyłożyć do sejfu jakiś szczególny klucz?

Martin westchnął, sięgnął do kieszeni i położył przed Doggarem szklany cylinderek.

– Oto on. Mógł pan powiedzieć wprost... To jest ten przedmiot, który Irina podawała za znaleziony klucz...

Doggar popatrzył zaskoczony na cylinderek, a potem bardzo powoli powiedział:

– To nie klucz. To, proszę mi wybaczyć, śmieć. To, bez urazy, wyczerpana bateria. Nasza bateria. Ma pan identyczne w swojej broni... wykorzystuje się je w każdym niemal urządzeniu aranków, wymagającym wysokiej mocy.

– Aha! – ucieszyła się Irina. – Znalazłam to w koszu na śmieci przy Stacji kluczników. Więc to wasza zabaweczka...

Doggar popatrzył na Irinę i skinął głową:

– Rozumiem. Udawała pani posiadaczkę cennego artefaktu, żeby zarobić... nie, chodziło o coś innego... żeby zdobyć większy szacunek społeczny na Talizmanie i poznać jego tajemnice!

– Właśnie – skinęła dziewczyna.

Doggar westchnął.

– Szkoda. Nawet przez chwilę nie wierzyłem w materialność klucza, sterującego sejfami. Ale pani znalezisko bardzo mnie zainteresowało...

Sięgnął po butelkę i dolał gościom koniaku.

– Cóż, będziemy szukać dalej – powiedział. – To nasza praca... Jeśli chcecie, możecie się do nas przyłączyć.

– A więc to wszystko, co wiecie o Talizmanie? – zmartwiła się Irina.

– O Talizmanie wiemy bardzo wiele – pokręcił głową Doggar. – Znamy strukturę skorupy, skład czarnych skał, wzór mgły, topografię terenu, te nieliczne roślinne i zwierzęce formy życia, które tu występują... przy okazji, mamy podstawy sądzić, że zostały wyhodowane sztucznie... Ale nie wiem, kto przemienił tę planetę w fabrykę, nie wiem, jak tą fabryką kierować, i nie sądzę, żeby Talizman krył jakieś inne tajemnice. Szczególnie te, związane z ewolucją rozumu, bo przecież o to chciała pani zapytać?

– Miło porozmawiać z człowiekiem, który używa tak precyzyjnych sformułowań – wtrącił się Martin. – Dziękujemy za poczęstunek. Ma pan wyśmienity koniak.

– Proszę mnie jeszcze odwiedzić! – powiedział Doggar, wstając. – Pogawędka z interesującymi

ludźmi to czysta przyjemność. Rozczarowałem was, tak?

– Jeszcze nie wiem – uśmiechnął się Martin.

Droga powrotna wydawała się dłuższa. Teraz również nie schodzili ze ścieżki, wytyczonej światłem latarni. Szli obok siebie, ale nie rozmawiali, pogrążeni w rozmyślaniach. Dopiero, gdy pokazały się światła osiedla, Irina powiedziała:

– Jestem rozczarowana. Porzucona fabryka, też coś... żadnego romantyzmu.

– A co byłoby romantyczne? – zapytał Martin.

– Hmm... – Irina zmrużyła oczy i uśmiechnęła się z rozmarzeniem. – Centrum dowodzenia statkami kluczników. Za jednym zamachem wszystkie statki znalazłyby się w naszych rękach.

– To nie romantyka – zaprzeczył Martin. – To marzenie o władzy.

– W takim razie... – Irina zamyśliła się. – Niech się okaże, że to najprawdziwsza biblioteka. Wszystkie tajemnice świata...

– To marzenie o wiedzy.

– Jaki ty jesteś...

– Nieromantyczny? – uśmiechnął się Martin.

– Uparty! Więc co twoim zdaniem byłoby romantyczne?

– Stara, nudna, nikomu niepotrzebna rzecz. Gdybyśmy pozostali na Talizmanie, zbudowali dom, mieli dzieci, urządzili sad i ogród – to byłaby klasyczna romantyka.

– Taka romantyka zdecydowanie mi nie odpowiada – Irina pokręciła głową. – Domek, dzieci, ogród? Powinieneś jeszcze dodać „kuchnia i kościół”! To romantyka dla krzepkiej, wiejskiej baby.

– Dobrze – rzekł Martin. – W takim razie powiem ci, co ja uznałbym za romantykę.

– No?

Martin zatrzymał się i popatrzył na Irinę. I bardzo cicho powiedział:

– Chciałbym się dowiedzieć, że jestem fałą.

– Słucham?

– Chciałbym się dowiedzieć, że to wszystko nie dzieje się na próżno. Że nasz Wszechświat to nie pęcherz fluktuacji kwantowej, który musi rozsypać się w bezkształtną pustkę. Że będzie nowe słońce i nowe gwiazdy.

– Globalnie – zauważyła Irina.

– Nie, to bardzo osobista sprawa. Chciałbym się dowiedzieć, że nigdy nie umrę. Że przejdę miliony światów, poznam miliardy ludzi...

– Prześpisz się z trylionem kobiet, złapiesz kwintylion bandytów, zjesz dziesięć do pięćdziesiątej potęgi befsztyków – podsunęła Irina. – Co ta twoja romantyka taka ilościowa?

Martin skinął głową.

– Masz rację. Problem w tym, że nawet marząc o wieczności, nie potrafimy wyobrazić sobie nic odkrywczego. Wychodzi nam, jak tym na Prerii – hot-dogi na każdej planecie. Dobrze, a co ty chciałaś znaleźć na Talizmanie?

– To samo, co ty – przyznała się Irina po chwili wahania. – Tabletki nieśmiertelności, pantofelki do spacerów między gwiazdami, niekończące się hamburgery, wielką księgę z napisem „Najbardziej tajemnicze tajemnice”... To wszystko brednie, Martin! Znaleźliśmy to, co mogliśmy sobie wyobrazić: planetę-fabrykę, która jest w stanie to wszystko wyprodukować. I ciągle nie umiemy nią

kierować...

– Stop! – Martin chwycił Irinę za ramiona. – Co powiedziałaś? Rozumiesz, co powiedziałaś?

– Martin...

Ale Martin już ją puścił. Zakręcił się w miejscu, rozejrzał i pobiegł w bok.

– Martin! – krzyknęła Irina, biegnąc za nim. – Martin, stój! Zabłądzisz!

Martin był dwadzieścia metrów od oświetlonej dróżki. Siedział w kucki przed sejfem bez numeru na pokrywie i właśnie ją zamykał.

– O ile zrozumiałem – powiedział, nie odwracając się – w momencie otwarcia sejfu, wyzerowałem cykl. Więc za czterdzieści trzy minuty, jeśli sejf nie jest szybki, coś się w nim pojawi. Albo się nie pojawi. Nieważne.

– Martin... – powtórzyła stropiona Irina.

Martin odwrócił się. Uśmiechnięty od ucha do ucha, stuknął pięścią w pokrywę.

– To detonator, Irino.

– To sejf – powiedziała z naciskiem Irina, na wszelki wypadek cofając się o krok. Wyglądało na to, że Martin zwariował.

– To sejf – potwierdził Martin z miną idioty, który dostał całe wiaderko lizaków. – A wszystko razem, cała planeta, to detonator.

– Detonator Wielkiego Wybuchu? – spytała ostrożnie Irina.

– Przeciwnie. Detonator końca ostatecznego. Apokalipsy. Ragnaroka. [Ragnarok – wg mit. germ. koniec świata bogów, który nastąpi

po ich tytanicznej walce z olbrzymami; w wyniku tej walki świat i siedziba bogów spłoną, zgasną gwiazdy i słońce, ziemię pochłonie morze, a następnie z morza wyłoni się nowa ziemia i wtedy nastanie nowa, szczęśliwa era]

Martin roześmiał się, wstał i kopnął w luk.

– Dobrze się czujesz? – spytała Irina.

– Doskonale.

Martin obszedł sejf dokoła, kręcąc się jak pies, który ma zamiar się położyć. Zachichotał, zerknął na Irinę.

– Masz absolutną rację, Irinka! Tabletki i pantofelki, czarodziejskie miecze i czapki-niewidki. Chyba świat aranków zrobił na mnie zbyt duże wrażenie. Te wszystkie wieżowce i flaery, broń termiczna i informatoria ogólnoplanetarne. I Preria... To samo, tylko inaczej... Coś tu nie pasuje, rozumiesz?

– Nie!

Martin westchnął. Usiadł obok sejfu i rozłożył palce.

– Stwierdziliśmy, że powstrzymanie rozwoju cywilizacji spowoduje falę kataklizmów. Bat na leniwych. To po pierwsze.

Irina skinęła głową.

– I to było słuszne – oznajmił Martin. – A potem zdecydowaliśmy, że zatrzymaniem ewolucji stanie się postęp techniczny w rodzaju tego na Aranku. Ogromne miasta, gwiazdolot na trawniku za domem, doskonała medycyna i szczepionka na raka. To po drugie. A to już absolutna nieprawda. A wiesz, dlaczego? Dlatego, że w najdoskonalszych miastach będą przeciekać dachy i będzie zatykać się kanalizacja. Gwiazdoloty będą się psuć, a wirusy mutować i uodparniać na lekarstwa. Wszystkie te szklane domy są nic nie warte!

– A planeta-fabryka?

Martin poklepał z uśmiechem pokrywę sejfu:

– Planeta-fabryka? Potężne moce energetyczne, miliony i miliardy kontenerów na całej powierzchni... malutkich kontenerów... I mądrale arankowie doszli do wniosku, że w tych kontenerach można uruchomić seryjną produkcję różnych przedmiotów... A jeśli ja chcę jacht, a jeśli potrzebna mi szafa? Mam ją wyjmować po kawałku?

Irina czekała.

– O ile pamiętam – ciągnął Martin – to w tym momencie planeta produkuje trzy rodzaje materiałów: proszek, układy i spiralki... Układy to niewielkie płytki o bardzo skomplikowanej strukturze wewnętrznego przewodnictwa, indukcyjności i pojemności... czyli element nieznanego systemu elektronicznego. A spiralki? Są przecież organiczne?

– Krzemoorganiczne – uściśliła Irina. – No, powiedz wreszcie, o co tu chodzi!

Zegarek pisał i Martin otworzył sejf.

– No proszę – uśmiechnął się – ale fart! Gwarantowane dwie setki euro!

Zaczerpnął garstkę purpurowego proszku, powąchał i zapytał:

– Nie masz czasem kataru? Podobno ludziom ten proszek leczy katar...

– A nieludziom? – zapytała czujnie Irina.

Martin wysypał proszek z powrotem do sejfu. Westchnął i zaczął zakręcać pokrywę.

– Nieludziom?... Wygląda na to, że w galaktyce istniała rasa, dla której przeznaczony był ten proszek... może go wączali, może jedli na śniadanie, a może wsuwali do niego macki... i otrzymywali cały świat, i jeszcze parę nowych łyżew na dokładkę. Spacerowali między gwiazdami, grali kometami w kometkę, kapali się w mgławicach...

– Przechodzili na następny etap ewolucji! – rozjaśniła się Irina.

– Nie – Martin pokręcił głową. – W tym właśnie rzecz, że nie! Żadnej ewolucji mentalnej. Stary, dobry, sprawdzony rozum. Ze wszystkimi jego plusami i minusami. Żadnych zmian osobowości. Wyłącznie wszechpotęga!

– Jak to możliwe? – spytała Irina. – No, jak?

Martin wzruszył ramionami:

– A skąd ja mogę wiedzieć? Świat tylko wydaje nam się logiczny i podporządkowany prawom przyczynowości. Podnosisz nogę i robisz krok... wszystko wspaniale działa, dopóki patrzymy na molekuły i atomy. A dalej? Za progiem kwantowej określoności? Gdzie nie ma żadnych reguł, determinujących miejsce cząsteczki w przestrzeni? Reguł nie ma, a miejsce jest! I gdy podniesiesz nogę, żeby zrobić krok do przodu, znajdziesz się wprost na Ziemi. Nie straszne ci wybuchy supernowych albo czarne dziury. Nigdy nie umrzesz... jeśli tego nie zapragniesz. Jednym spojrzeniem rozganasz obłoki, jednym splunięciem gasisz wulkany, jednym życzeniem zamieniasz żelazo w złoto, a złoto w popiół... – zerknął na Irinę. – Chciałabyś?

Irina kiwnęła głową jak zahipnotyzowana.

– I ja bym chciał – westchnął Martin. – O to właśnie chodzi. Przy okazji, zwróciłaś uwagę, że czegoś takiego nie obiecuje żadna religia? Najwyżej na początku... gdy szczytem marzeń było najeść się do syta i przez dziurkę w ogrodzeniu rajy podglądać męki grzeszników w piekle. Potem już wszyscy szczerze przyznają – wieczność będzie od ciebie wymagała, żebyś stał się inny. Zupełnie inny, niewyobrażalny. Gryząca listek gąsienica nie jest w stanie wyobrazić sobie tęczy skrzydeł za plecami i smaku nektaru kwiatów... i nagle gąsienicy przymocowują skrzydła.

Martin wstał, nadal patrząc na sejf.

– A ja chcę mieć skrzydła – powiedziała cicho Irina. – Rozumiesz? Nawet, jeśli jestem tylko gaśienicą na liściu! Nie chcę tego niezrozumiałego nadrozumu... który nie wiadomo, czy w ogóle będzie, bo na dwoje babka wróżyła. Chcę leżeć na plaży Eldorado, a od czasu do czasu wyciągać rękę i brać szklaneczkę z margaritą z rąk kelnera w Acapulco. Potem polecieć w kosmos i popatrzeć, jak wygląda mgławica Klepsydry z profilu. Potem pobawić się w wojnę z wojowniczymi geddami, dziesięć razy przegrać, umrzeć, zmartwychwstać, potem zwyciężyć i wyruszyć z nimi do restauracji, żeby świętować zwycięstwo. Popatrzeć, jak geddarowie cywilizują swoje kobiety do absolutnego rozumu i jak potem złapią się za głowę! Nauczyć się czytać pamięć dio-dao i przeżyć razem z nimi tysiąc malutkich żyć! A potem otworzyć antykwariat i przez sto lat handlować osobliwościami z całej galaktyki, a wieczorami chodzić z mężem do piwiarni...

– To już było – powiedział cicho Martin.

– Co było?

– Restauracja już była. A jeśli pociągniesz swoje marzenia dalej, to powtórzysz wszystko milion razy. Zaraz mi opowiesz, jak się zakochujesz, rodzisz i wychowujesz dzieci, jak zajmujesz się nauką i dokonujesz odkryć. Czytasz wszystkie książki, jakie zostały napisane, budujesz pałace... Zapomnij! Nie jesteś półbogiem w świecie ludzi. Jesteś półbogiem w świecie półbogów! I tak znasz wszystkie książki na pamięć i nie masz po co budować pałaców – bo każdy wybuduje sobie pałac. Po setnym dziecku znudzi ci się sam proces – tym bardziej, że w wieku pięciu lat dziecko ci dorówna i zostaniesz pozbawiona zabawki. Prowadzenie wojen z innymi wszechpotężnymi nieśmiertelnikami jest zwyczajnie głupie. Zakochywanie się po raz tysięczny – równie nieromantyczne, co smażenie jajecznic. Popatrzeć na mgławicę z profilu i zajrzeć do czarnej dziury – zajęcie na pół dnia. Żeby dokonać odkrycia naukowego, wystarczy pomyśleć, co właściwie chcesz odkryć. Koniec! Uznajmy, że zwróciłem ci tekst o niekończących się befsztykach i kobietach.

Irina milczała.

– Możesz wszystko – rzekł Martin. – Masz możliwości półboga...

– Dlaczego półboga? – spytała cicho Irina.

– Dlatego, że jesteś pionkiem na cudzej planszy. Nie ty zbudowałaś to pole gry. Nie ty jesteś stwórcą.

– W takim razie zbuduję własne pole – zdecydowała Irina.

– Tuś mi! – ożywił się Martin. – Tak też przypuszczałem! Szalone wybryki są interesujące dopóty, dopóki wszechpotęga jest twoją wyjątkową cechą... Dobrze! Talizman daje ci pełną i absolutną wszechpotęgę! Otrząsas z stóp pył tego Wszechświata, gdzieś w nieskończoności pęcznieje kwantowy pęcherz i tylko ty unosisz się nad powierzchnią wód...

– Martinie, nie bluźnij! Mimo wszystko jestem prawosławna! – powiedziała z rozdrażnieniem Irina.

Martin wybuchnął chichotem. Śmiał się długo i z przyjemnością, dusił się, pochrząkiwał, chichotał, zanosił śmiechem, dławił się, krztusił i rechotał bez końca.

Początkowo Irina patrzyła na niego z niezadowoleniem.

Potem opuściła wzrok i powiedziała:

– Faktycznie, zabawne... ale czy coś stoi na przeszkodzie, bym mogła stworzyć własny świat?

Martin od razu uspokoił się i wzruszył ramionami:

– Zapewne nic. W końcu – dlaczego nie? Tylko co będziesz w nim robić? Zsyłać gromy i błyskawice? Zorganizujesz własny Olimp i będziesz tam ściągać pięknych młodzieńców albo, dla odmiany, piękne dziewczęta? Zsyłać natchnienie prorokom i przerażać grzeszników? Masz do dyspozycji wieczność. Pamiętasz o tym? Będziesz tworzyć jedną religię po drugiej, obserwować, jak z powodu niewielkiej teologicznej różnicy zdań twoje twory podrzynają sobie nawzajem gardła. Potem trochę się ucywilizują i stwierdzą, że jesteś dobra i miłosierna... Nie mam pojęcia, czy w ogóle pasuje tu rodzaj żeński. A potem wyjdą w kosmos. Jedne żywe zabawki spotkają się z innymi, podrapią się po głowach... czy po tej części ciała, w której umieścisz ich mózgi... i stworzą własny Talizman. Oczywiście, możesz przycisnąć ich wcześniej, albo porządnie wychłostać, jak tylko wyciągną rękę po wszechpotęgę. Tylko po co? Przecież oni popłaczą, wytrą łzy i znowu wezmą się za to samo. Przecież nie będziesz tworzyć ubogich duchem robotów, posłusznych twojej woli i ograniczonych w rozwoju... cokolwiek zrobisz, przed tobą będzie wznosił się mur, a na nim gorejący napis: Po co? Po co? Po co?

I wtedy zamkniesz oczy, schowasz się w małym, przytulnym kokonie i zrobisz ten krok, którego spodziewano się po tobie miliardy lat temu – odłożysz swój rozum do magazynu, razem z instynktami.

– Zapewne masz rację – szepnęła Irina. – Ale mimo wszystko chciałabym spróbować.

I popatrzyła na Martina. Ten uśmiechnął się smutnie i powiedział:

– Ja też chciałbym spróbować. W tym cały problem. A wiesz, co jest pocieszające?

Irina spojrzała na niego pytająco.

– Nie wiemy, jak zmusić Talizman, by zaczął dla nas pracować – stwierdził Martin. – I arankowie też nie. A sami z siebie jeszcze nieprędko sięgniemy po wszechpotęgę.

Milczeli, patrząc sobie w oczy. Zegarek znowu pisnął i Martin już miał nachylić się do sejfu, ale roześmiał się i machnął ręką.

– Zimno mi – szepnęła Irina. – Wracamy do osiedla?

Martin zdjął kurtkę i narzucił na ramiona Iriny.

– Chodźmy. Napiłbym się czegoś i zjadł kawałek zdechłego kucyka.

Późnym wieczorem, lub raczej wczesną nocą, Martin i Irina leżeli w łóżku i cicho rozmawiali. Wybrali pokój Iriny częściowo ze względów taktycznych – potencjalni grabieżcy klucza powinni przyjść do Martina, a częściowo ze względów prozaicznych – to łóżko było szersze.

– Klucz nie może być materialny – powtórzyła po raz dziesiąty Irina. – Po prostu nie może.

Martin nie spierał się. Sam wiedział, że złotymi kluczami otwierają drzwi wyłącznie szczęściarze Buratino, [bohater bajki Aleksego N. Tolstoja *Złoty klucz*, czyli niezwykle przygody pajacyka Buratino] ale Irina niezmordowanie mówiła dalej, jakby przekonując samą siebie:

– Planeta jest od tysięcy lat opuszczona, tak? Nie przetrwałby ani metal, ani plastik. Więc to musi być hasło, kod, jakieś zdanie w języku turystycznym...

– Doggar powiedział, że to nie klucznicy stworzyli planetę – mruknął Martin, wtulając się w ramię Iriny. Ramię było ciepłe, miękkie i potrzebne. W odróżnieniu do nocnych domysłów.

– Nie jest wykluczone, że język turystyczny klucznicy również przejęli od poprzednich gospodarzy Wszechświata! – zmiotła jego dowód Irina. – Dobrze, przyjmijmy, że to nie turystyczny. Zwykła myśl. Słuszna myśl. Takie... zamówienie...

– Hej, dawać mi tu wszechpotęgę, a żywo... – wymruczał Martin.

Irina westchnęła.

– Masz rację. Jeśli zdanie musi być jakoś konkretnie sformułowane, możemy zgadywać do końca świata. Nie, powinno być coś jeszcze! Przecież planety nie porzucono, tylko przestawiono na jałowy bieg. A to znaczy, że oni spodziewali się pojawienia nowych konsumentów.

– Konsumentów... Co za okropne słowo – powiedział Martin i usiadł na łóżku. – Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę?

– Stań przy oknie – zarządziła Irinka. – A zresztą, jeśli fajkę, to możesz w pokoju. Tylko nie w łóżku!

– Dobra, następnym razem zdejmę ostrogi – obiecał Martin. – Oraz zejść z konia. Nigdy nie palę w łóżku.

– Cenne przyzwyczajenie – zauważyła Irina. – Jeśli jeszcze nie pijesz, nie grasz w kasynie i nie chodzisz na baby, to zdumiewające, że taki facet się marnuje.

– Już się nie marnuje – powiedział bezczelnie Martin. – Już zajęty. Irino, wszystko powinno być znacznie prostsze.

– Prostsze niż myśl? – zdumiała się Irina.

– Pamiętasz, że nawet arankowie stworzyli technikę czytania w myślach? I prawie nikt z niej nie korzysta. Strasznie niewygodne. Człowiek nie myśli blokami znaczeniowymi, jest zbyt dużo myśli-pasożytów – odbiór szumu otoczenia, wrażenia zmysłowe...

– Na przykład zapachy. Dobry tytoń, tak przy okazji. Szkoda będzie, jeśli nie rozwiążemy zagadki Talizmanu. Wyobrażasz sobie – gdzieś tu, pod naszymi nogami tkwi wszechpotęga. Pierścienie władzy – po dwie sztuki za dwa grosze. A my nie możemy ich podnieść.

– Pierścienie władzy w takiej ilości i za taką cenę mogą produkować wyłącznie w Chinach – mruknął Martin. – I nie należy się po nich zbyt wiele spodziewać.

– Czy kiedykolwiek marzyłeś o wszechpotędze? – spytała Irina.

– O wszechpotędze? – zastanowił się Martin. – Żeby móc absolutnie wszystko? Nie wiem, może w dzieciństwie?... Nie pamiętam.

Irina przekręciła się na brzuch, podparła głowę rękami i popatrzyła na niego – jej sylwetka ledwie rysowała się w słabym świetle, padającym z okna. Zapytała:

– A o czym teraz marzysz?

Martin odpowiedział.

– To nieciekawe i łatwe do zrealizowania – machnęła ręką Irina. – A poza tym?

Martin zastanowił się.

– To pewnie głupio zabrzmia...

– Spróbuj, spróbuj – zachęciła go Irina.

Martin usłyszał słaby szmer na korytarzu i zaczął mówić, jednocześnie nasłuchując:

– Kiedyś przyśnił mi się dziwny sen. Jadę trolejbusem...

– Już mi się podoba – ucieszyła się Irina. – Często jeździsz trolejbusami?

– Często, nie mam samochodu. Przyśniło mi się, że jadę trolejbusem, a on wyjeżdża z miasta, jedzie jakąś pustą drogą... jakby na lotnisko, ale droga kompletnie nieznaną. Stoję przy oknie, patrzę i wszystko mi się podoba. I nagle widzę, że w moją stronę idzie kontroler. Jest coraz bliżej, a ja wpadam w panikę... Dlaczego? Czyżbym nie miał czym zapłacić kary? Nie wiem... A ten kanar



podchodzi do mnie i w tym momencie trolejbus się zatrzymuje. Wyskakuję z niego tuż przed nosem kontrolera i nawet się uśmiecham. Trolejbus odjeżdża, a ja widzę, że od przystanku biegnie droga, jakby wiejska, i wspina się na wzgórze. A na wzgórzu rosną drzewa i stoją domy... Stare, drewniane i bardzo przytulne nawet z daleka...

– Takie domy wydają się przytulne wyłącznie z daleka – zauważyła sceptycznie Irina. – Ojej, przepraszam! Tak ciekawie opowiadasz, aż zapomniałam, że to tylko sen.

– Sen – potwierdził Martin. – Zaczynam wspinać się na to wzgórze i nagle widzę, że znalazłem się w małym miasteczku z dużymi podwórkami, starymi drzewami, z jakimiś starymi pompami... Nie wiem, czy widziałas kiedyś takie miasteczko. Teraz pewnie ich nie ma. Wszystko wokół jest takie... jakby własne, rodzone i od dawna znajome. Czułem się tak, jakbym wrócił do domu. A ludzie, których spotykam, są nieznajomi, ale jakby swoi. Coś takiego się nie zdarza, ale wszyscy się do mnie uśmiechają, a ja uśmiecham się do nich. A potem zatrzymuję się na jakimś podwórku obok piętrowego domu z czerwonej cegły... były kiedyś takie domy, z jednym wejściem na osiem mieszkań...

– Opowiadasz tak, jakbyś tam spędził życie – uśmiechnęła się Irina.

– I podchodzę do ogrodzenia takiego podwórka – niskiego ogrodzenia, symbolicznego, które wcale nie musi niczego chronić czy ukrywać. Spoglądam w dół ze wzgórza i nagle widzę morze. Wyobrażasz sobie? Morze, którego przecież nie powinno tu być! I robi mi się tak dobrze, że postanawiam tu zostać na zawsze. Ale nagle przypominam sobie, że nie zapłaciłem za bilet, a to znaczy, że nie miałem prawa tu przyjechać. Jestem tutaj... nie nielegalnie... po prostu nie powinienem tu być! Wtedy podchodzę do jakiegoś towarzystwa na podwórku – tam są nastolatki, i moi rówieśnicy, i starsi ludzie. Opowiadam im, że nie zapłaciłem za bilet i dlatego muszę odejść. Oni kiwają głowami i odpowiadają, że będą na mnie czekać. Wracam tą drogą, schodzę ze wzgórza, a miasteczko za moimi plecami topnieje i rozplywa się. A ja budzę się – z uśmiechem. I przez cały dzień uśmiechałem się do wszystkich przechodniów na ulicy. Chociaż to się nie zdarza.

Irina spytała – nie od razu, jakby spodziewała się kontynuacji:

– Marzysz o tym, żeby znaleźć takie miasteczko? Żeby tam wrócić?

– Marzę o tym, żeby zawsze płacić za przejazd – odparł Martin. – I nie tylko w sensie dosłownym.

– Rozumiem – powiedziała po prostu Irina. – Nie jestem głupia. Chodź do mnie, Martinie.

Martin odłożył fajkę. Wziął z krzesła spodnie, założył, a potem wyjął z kieszeni rewolwer.

– Coś ty? – szepnęła Irina.

Z zagadkową miną Martin przyłożył lufę pistoletu do ust, jakby mówił: „Cii!”, podszedł do drzwi, delikatnie odsunął zasuwkę i jednym szarpnięciem otworzył drzwi.

Na korytarzu było pusto, ale Martina wcale to nie speszyło. Wskoczył na korytarz i rozległ się huk otworzonych na oścież drzwi sąsiedniego pokoju. Po chwili Martin pojawił się znowu, prowadząc przed sobą szczupłego, pryszczatego szesnastolatka. Irina już włożyła szorty i zapinała bluzkę.

– Czuj się jak u siebie w domu – zwrócił się Martin do jeńca. – Usiądź sobie wygodnie...

Mocne pchnięcie pomogło chłopcu pokonać odległość dzielącą go od krzesła. Kołysząc rewolwerem, Martin podszedł do jeńca, położył ciężko rękę na jego ramię i zmusił go, żeby usiadł.

– Był sam? – zapytała rzeczowo Irina. – Kurcze, a ja nic nie słyszałam...

– Przyszło trzech – wyjaśnił Martin. – Otworzyli drzwi, upewnili się, że nikogo nie ma, potem dwóch zeszło na dół, a tego zostawili, żeby poszperał w rzeczach. Jak się nazywasz, złodzieju?

Chłopak sapnął, ale nic nie powiedział.

– Irinka, nie wiesz czasem, jaka kara przewidziana jest na Talizmanie za kradzież z włamaniem?

– Więzień tu nie ma... Pewnie wyganiają z planety.

– Też mi kara! – prychnął Martin. – Trudno... Na sprawienie lania ten gnojek jest ciut za stary, a zabijać na razie nie ma za co... Kto cię tu przysłał?

– Szedłem korytarzem, patrzę, drzwi otwarte, zobaczyłem porozrzucane rzeczy, no to pomyślałem, wejść, zobaczę, może coś się stało i ktoś potrzebuje pomocy... – wyrecytował wyuczoną kwestię chłopak.

– Ach, więc nie jesteś niczemu winien! – ucieszył się Martin. – Dobra, dosyć tego. Chcę pogadać z tymi, którzy cię przysłali.

– Nikt mnie nie przysyłał – upierał się chłopak. Pierwszy szok minął i teraz z każdą sekundą robił się coraz bardziej bezczelny. – Niech mnie pan puści, bo zacznę krzyczeć! I powiem, że groził mi pan rewolwerem!

– Groziłem? – zmartwił się Martin. – Daj spokój! Jeszcze ci nie groziłem...

Mocne uderzenie w twarz zmiotło chłopaka z krzesła. Chwilę później Martin siedział na jego brzuchu. Lufę pistoletu wsunął jeńcowi w usta.

– Wiesz, jak to było naprawdę? – wysyczał Martin. – Okradłeś mój pokój, gdy ja mocno spałem. Potem wszedłeś do pokoju dziewczyny i próbowałeś ją zgwałcić. Obudziły mnie jej krzyki i zdążyłem w samą porę, żeby cię zastrzelić!

– O, za próbę gwałtu karzą tu bardzo surowo – ożywiła się nagle Irina. – Nawet nie musisz do niego strzelać.

– Ha! – Martin uśmiechnął się radośnie i schował pistolet do kabury. – Gwałciciel! Obywatele Talizmanu! Schwytałem gwałciciela!

– Nie trzeba! – pisnął chłopak.

– A co? – wykrzyknął Martin, jednym szarpnięciem sadzając go z powrotem na krześle. – Nie chcesz? Kto cię tu przysłał? Gdzie oni są?

– Na dole... w barze...

– Idziemy – zarządził Martin, wlokąc chłopaka za sobą. – Rusz się.

Pechowy włamywacz nie kłamał. W pustej sali siedziało tylko dwóch mężczyzn – przypominający Japończyka starszawy Azjata i mężczyzna w średnim wieku, którego Martin ocenił jako ojca przyszczatego złodziejaska. Martin podszedł do nich, popychając ofiarę przed sobą. Mężczyźni za stolikiem popatrzyli na siebie, ale nie spieszyli się, żeby wstać.

– Sprawa wygląda tak – powiedział Martin, stając przed stołem. – Albo ten młodzieniec próbował zgwałcić dziewczynę, albo wy kazaliście mu grzebać w moich rzeczach. W pierwszym wypadku idę do miejscowych władz... Rada poszukiwaczy, jeśli się nie mylę? W tym drugim szczerze rozmawiamy.

W ślad za Martinem zjawiła się Irina. Zatrzymała się przed schodami, oglądając salę z góry. W prawej ręce trzymała winchestera – dość niewygodnie, ale za to efektownie.

– A nie mówiłem? – powiedział ze smutkiem Japończyk do ojca złodziejaska. I popatrzył na

Martina. – Nie musi pan iść do władz. Jestem przewodniczącym rady poszukiwaczy.

– To znaczy, że porozmawiamy? – uściślił Martin.

– Tak.

– A ty idziesz do łóżeczka – poinformował Martin złodziejaszka, popychając go w stronę drzwi. Chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać – widocznie na Talizmanie naprawdę nie lubili gwałcicieli. Martin usiadł przy stoliku z poszukiwaczami, w zadumie popatrzył na stojące przed nimi trzy pełne kufle piwa. Wziął jeden i upił duży łyk.

– Niech pan pokaże klucz – poprosił Japończyk.

– Nazywam się Martin.

– Moje imię brzmi Oono – skinął Japończyk. – Proszę nam pokazać klucz, panie Martinie. Niechże pan będzie tak uprzejmy.

Martin w milczeniu położył „klucz” przed nimi. Przez jakiś czas poszukiwacze obracali baterijkę aranków w palcach, oglądali pod światło, a nawet wachali. Japończyk przyłożył ją do policzka i przez jakiś czas siedział nieruchomo. W końcu pokręcił głową.

– Panie Martinie, wydaje mi się, że został pan wprowadzony w błąd. Na Talizmanie nigdy nie spotykano podobnych artefaktów. Zaryzykuję nawet sugestię, że ten artefakt nie jest artefaktem.

– Zapewne w ten bardzo oględny sposób informuje mnie pan, że dziewczyna mnie oszukała.

– Zakładam taką możliwość.

– Przecież widział pan ten klucz wcześniej – powiedział Martin. – I już pan stwierdził, że jest bezwartościowy. Po co więc ta idiotyczna próba kradzieży?

– A nie mówiłem? – Japończyk popatrzył z wyrzutem na milczącego poszukiwacza, po czym odwrócił się do Martina. – Zmyliło nas to, że klucz został kupiony. Zapewniam pana, że po ponownym obejrzeniu odłożylibyśmy go na miejsce.

– Ależ weźcie go sobie – machnął ręką Martin. – To tylko stara baterijka aranków. I nikt nigdy nie twierdził nic innego.

– A nie mówiłem? – powtórzył Japończyk po raz trzeci. – Proszę przyjąć moje gratulacje, panie Martinie.

– Tylko tyle? – zdumiał się Martin.

– Oraz przeprosiny – dodał Japończyk. – Ale niech mi pan powie, czy nie było innej możliwości, by się spotkać i porozmawiać?

– Skąd mogłem wiedzieć, kto zna tajemnicę Talizmanu? – wzruszył ramionami Martin. – Rada poszukiwaczy mogła okazać się zbiorowiskiem biurokratów.

Japończyk spojrzał wymownie na drugiego mężczyznę.

– A nie mówił pan? – podpowiedział uprzejmie Martin.

– Koleś! – drugiego poszukiwacza w końcu odblokowało. – Zjawileś się i...

– Mogłem zastrzelić twojego synka na miejscu – przerwał mu spokojnie Martin. – A ty nie mógłbyś nic zrobić – przyłapałem go w moim pokoju na grzebaniu w moich rzeczach. A gdybyś chciał zabawić się w wendetę – zabiłbym również ciebie.

Poszukiwacz już zaczął wstawać, ale Japończyk rzucił mu groźne spojrzenie i awantura została stłumiona w zarodku.

– U nas wendeta jest zabroniona – oznajmił Oono. – Pańska broń termiczna również jest

falszywa?

– Ależ nie, dlaczego? Prawdziwa.

– To czemu jej pan nie wziął? Ma pan tak wysokie mniemanie o naszych nerwach?

– To jakoś tak nie po ludzku – skrzywił się Martin. – Do ludzi, z nieludzką bronią... Za to mam rewolwer.

– Obiecuję, że będę z panem szczery – powiedział Oono. – Co chce pan wiedzieć?

Martin z przyjemnością napił się piwa i pochylił się nad stołem. Milczący poszukiwacz mimo woli też się pochylił, a Japończyk przeciwnie, nieco odsunął.

– Znam tajemnicę Talizmanu – powiedział szeptem Martin. – Wiem, że może podarować człowiekowi wszechpotęgę!

Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania Martina. Milczący poszukiwacz zatrzęsł się ze śmiechu. Japończyk uśmiechnął się skapo i powiedział:

– Niech pan poprosi swoją dziewczynę, żeby do nas dołączyła. Nie mamy zamiaru panu grozić... Po prostu nie ma o co walczyć, panie Martinie.

– Wszyscy znają tę tajemnicę Talizmanu! – wyjaśnił przyczynę swojej wesołości ojciec złodziejaska.

Nie pili już piwa. Zaspany kelner sam zaparzył kawę, Japończykowi podał zieloną herbatę, po czym oddalił się do pokoi na zapleczu. Widocznie panowie Oono i Matjas – bo tak się nazywał milczący poszukiwacz – cieszyli się na Talizmanie szacunkiem.

– Nie pamiętam już, kto pierwszy to powiedział – opowiadał niespiesznie Japończyk. – Ale plotki zaczęły krążyć już w pierwszym roku, gdy Amulet dopiero budowano... gdy kucyk Jurija jeszcze żył. A trzy lata temu już wszyscy mówili, że w sejfie można znaleźć detonator.

– Detonator? – zachwycił się Martin. – Naprawdę tak go nazywacie?

– Czasem nazywają to miksturą. Czasami Siłą. A czasem... – Japończyk popatrzył na Matjasa, ten zastanowił się i dodał:

– A czasem ambrosją. Albo proszkiem wrózek. Ale my mówimy detonator.

– Dlaczego? – nalegał Martin.

– Dlatego, że on powoduje eksplozję – odpowiedział poważnie Matjas i od razu dodał z krzywym uśmiechem: – Babach! Był człowiekiem, a został supermanem.

– Słyszałem coś podobnego o kilku innych planetach – stwierdził Martin. – Czy są w ogóle jakieś podstawy tej legendy?

– Są – skinął głową Oono. – Czasami poszukiwacze mówili, że domyślają się, jak otrzymać detonator. A potem znikali i nikt ich więcej nie widział.

Martin uśmiechnął się sceptycznie.

– Nie ma niezbitych dowodów – przyznał Oono. – Ale jeśli człowiek, który latami szukał detonatora, wbiega we mgłę z radosną miną i już nie wraca...

– To znaczy, że zwariował albo zabłądził na pustkowiu – dokończyła Irina. – Albo zabili go inni łowcy wszechpotęgi.

– Wolelibyście inne dowody? – westchnął Oono. – Niestety, nie mam gotowej recepty na otrzymanie detonatora. Rada poszukiwaczy nie trzyma pod kluczem takiej tajemnicy. Wierzę, że Talizman może dać wszechpotęgę, ale nie wiem, jak ją zdobyć. A jak się dowiem, z nikim się nie podzielę.

– Przynajmniej szczerze – przyznał Martin. – Dzięki choć za to.

– A pan podzieliłby się tajemnicą? – zainteresował się Oono. Martin pokręcił głową.

– Wątpię.

– Wszyscy szukają – odezwał się Matjas. – Amerykanie, Rosjanie, Chińczycy... Obcy też szukają. Arankowie zbudowali całą stację...

– Byliśmy u nich – przyznał się Martin.

– Nic nie powiedzą – pokręcił głową Oono. – Talizman bardzo ich interesuje. Taka planeta-fabryka to nawet dla nich poważna sprawa. Wiercą, prześwietlają, ważą i analizują. Słuchają plotek i śledzą naszych poszukiwaczy. Też chcieliby się dowiedzieć... I zachować tę wiedzę dla siebie.

Martin dopił zimną kawę i westchnął. Nadciągało zmęczenie bezsennej nocy.

– Jeszcze raz przepraszamy za naszą bezceremonialną ciekawość – rzekł Oono. – Byliśmy nachalni i niekulturalni. Ale pańskie zainteresowanie kluczem bardzo nas stropiło.

Obaj poszukiwacze wstali, Martin wyciągnął rękę.

– W razie czego, walcie jak w dym – uśmiechnął się Matjas. – A jak zostanie pan supermanem, to niech pan wleci przez okno.

– Obowiązkowo – obiecał Martin.

On i Irina siedzieli w milczeniu, dopóki poszukiwacze nie wyszli z tawerny. Potem dziewczyna spytała:

– Wierzysz im?

– Wierzysz – nie wierzysz... – Martin wzruszył ramionami. – Gdyby wiedzieli, jak otrzymać detonator, nic by ich nie powstrzymało przed wypróbowaniem. A czy ci dwaj wyglądają na bogów? Nie przypominają nawet supermanów.

– Dlaczego, Japończyk to przyjemny facet, inteligentny... – Irina ziewnęła. – Wiesz co, chodźmy spać. Zaraz się przewrócę ze zmęczenia...

Martin pokręcił głową.

– Ja się jeszcze napiję kawy. I tak już nie zasnę. A ty idź się położyć.

– Jutro na pewno wymyślę coś sensownego – obiecała sennie Irina. – Na świeży umysł...

I Martin został sam w dużej, pustej sali „Zdechłego Kucyka”, przy zastawionych pustymi kuflami i filiżankami stole. Był zmęczony, ale naprawdę nie chciało mu się spać. Chciał pomyśleć, wykorzystać tę chwilę złudnej jasności umysłu, jaka zdarza się rankiem po bezsennej nocy. W dzień będzie ziewał, powłóczył nogami i zwlekał z odpowiedziami. A teraz chciał się zastanowić.

Zagadka Talizmanu okazała się tajemnicą poliszynela.

Plotki o ukrytej gdzieś wszechpotędze krążyły od dawna, brakowało tylko dowodów.

Nawet mądrzy arankowie, uzbrojeni we wspaniałą technikę, niczego nie osiągnęli.

To ostatnie z jakiegoś powodu wydało się Martinowi ważne. Arankowie – mądrzy – nie zdołali... Dlatego, że nie mają duszy? Bzdura. Dar Talizmanu przeznaczony jest dla rozumu, a z tym arankowie nie mieli problemów.

Martin pomyślał, że z przyjemnością napiłby się kawy. W duchu obiecał organizmowi, że po powrocie na Ziemię przez tydzień będzie pił ohydną, bezkofeinową lurę i podszedł do baru.

Niestety, ekspres do kawy najwyraźniej nie był przeznaczony dla ludzi bez specjalnego przygotowania. Przycisków i lampek umieszczono na nim więcej niż w dobrym samochodzie.

– Hej, hej! – zawołał półgłosem Martin. Sytuację utrudniał fakt, że nie pamiętał imienia kelnera.

– Halo, garçon... – powtórzył Martin trochę ciszej. W końcu nawet w starej, dobrej Francji zwrócenie się do kelnera per „garçon” groziło splunięciem w zupę. Martin zajrzał za drzwi, za którymi skrył się kelner. Za drzwiami ciągnął się długi, ciemny korytarz. Do licha...

Prościej byłoby dać sobie spokój i pójść spać, ale Martin czuł, że teraz już musi napić się kawy. Tak się zazwyczaj dzieje, gdy przedmiot pożądanego jest niemal w zasięgu ręki.

Zrozpaczony Martin wszedł za bar. Znalazł tam całe mnóstwo rzeczy, nieprzeznaczonych dla oczu postronnego obserwatora – właśnie tutaj nocowało wiadro i szmata do podłogi, a pośród czystych kieliszków walała się brudna ścierka o bardzo nieapetycznym wyglądzie.

Ale był również niewielki przycisk, umieszczony tuż pod ręką hipotetycznego barmana. Po zastanowieniu Martin nacisnął go.

Żadnego efektu. Wówczas zdjął z wystawy napoczętą butelkę koniaku i nalał do kieliszka na dwa palce.

– Rzeczywiście kradną... – usłyszał posępny pomruk od strony drzwi, prowadzących na korytarz.

Martin odwrócił się gwałtownie. Czuł się tak, jakby przyłapano go na grabieniu skarbonki kościelnej. W drzwiach stał zaspany właściciel „Zdechłego Kucyka” – w szlafroku i z okazałą strzelbą w ręku.

– Ja... tego... – zająknął się Martin.

– Chciałem się napić koniaku – podpowiedział właściciel.

– Nie, kawy... a tu nikogo nie ma...

– Nic dziwnego, piąta rano... – westchnął Jurij. – Teraz to i ja chcę kawy.

Postawił broń przed barem i pewnym krokiem podszedł do ekspresu. Martin zrozumiał, że nie będą do niego strzelać, przeciwnie, dadzą mu kawy i to go podniosło na duchu.

– Zapłaciłbym – kajał się Martin. – Rano. Przysięgam.

Jurij machnął ręką. Mruczący aparat wypluwał kawę do filiżanek, właściciel nalał sobie koniaku i dolał Martinowi. Powiedział:

– Nie powinno się pić z samego rana. Ale w sumie nie wiadomo, czy to wczesny ranek, czy późny wieczór...

Stuknęli się i Martin doszedł do wniosku, że właściciel tawerny, mimo swojej nieprawdopodobnej historii, jest sympatycznym facetem.

– Wodzowie już poszli? – zapytał kwaśno Jurij.

– Poszukiwacze? Poszli.

– Czemuś od razu nie powiedział, że szukasz wszechpotęgi? – zainteresował się właściciel. – A ja myślałem, że z ciebie zwykły paser, skoro dałeś Irinie taką forszę za starą baterijkę...

– Więc ty... więc pan wiedział? – Martin był wstrząśnięty.

Jurij skinął głową i wyjaśnił:

– Tutaj baterijki nie są popularne, z wiadomych względów. Komu one potrzebne, skoro masz prąd pod nogami, wystarczy wywiercić dziurę... Ale kiedyś widziałem takie u aranków.

– I nikomu pan nie powiedział?

– A czemu miałem wystawiać fajną dziewczynę? – zdumiał się Jurij. – Jeśli nawet oszuka jakiegoś handlarza... to facet i tak odbije sobie na poszukiwaczach. A może ona potrzebuje pieniędzy na operację dla babci staruszki? Albo na chesne w akademii sztuki...

Martin pomyślał, że równie niewinne spojrzenie na życie mogą mieć tylko ludzie nietuzinkowi, którzy w każdym katorżniku widzą połączenie Robin Hooda z Jeanem Valjeanem.

– Dobry z pana człowiek – powiedział szczerze. – Nie, Irinka nie miała zamiaru zbić fortuny na fałszywym kluczu. Chciała sprowokować do rozmowy kogoś znajomego się na rzeczy...

– Ech młodość, młodość – westchnął Jurij, odrzucając z czoła gęste pukle jasnych włosów. – Nie szuka prostych rozwiązań... – ze smutkiem przejrzał się w lustrzanym szkłe baru i mruknął: – Czemu nie poprosiłem kluczników o dodatkowe dwadzieścia centymetrów wzrostu? Odbiłbym ci dziewczynę jak nic... Wybacz, ale bym odbił.

– Nie oddałbym – pokręcił głową Martin.

– No to byśmy się pojedykowali – zawyrokował Jurij. – Chociaż nie umiem strzelać. No i co, odkryłeś już tajemnicę?

Martin pokręcił głową.

– Chodzimy po elektryczności, a do głównej tajemnicy nikt nie może się dokopać – westchnął Jurij. – Pewnie ci mówili, że ktoś znalazł rozwiązanie, stał się wszechpotężny i wyruszył, by dokonać wielkich czynów? Nie spieram się, różne rzeczy się zdarzają. Ale z tych, którzy teraz są na Talizmanie, nikt ci nie pomoże...

Podniósł kieliszek, dopił koniak i westchnął:

– Skostnieliśmy. Klapki na oczach. Potrzebna jest świeża krew – wtedy Talizman odsłoni swoją tajemnicę.

– Dziękuję – powiedział Martin. Jurij machnął ręką.

– Daj spokój, za co... Jeszcze koniak?

– Nie dziękowałem za koniak – wyjaśnił Martin. – Tylko za to, że otworzył mi pan oczy, Ale nie odmówię jeszcze łyżka.

Właściciel tawerny dolał mu i pogroził palcem.

– A przycisku więcej nie naciskaj. To sygnalizacja alarmowa! Na wypadek nalotu bandytów.

– Zdarzało się już? – zapytał Martin.

– To spokojne miejsce – Jurij uchylił się od odpowiedzi. – Dobra, pójdę jeszcze pospać. Świta...

Martin spojrzał w okno, ale nie udało mu się dostrzec jakichkolwiek zmian w podświetlonej latarniami białej wacie. Widocznie trzeba tu przeżyć wiele lat, żeby wyczuć świt przez grubą pierzynę mgły.

Jurij odszedł. Filizanka kawy, której nawet nie dotknął, stygła na barze. Martin wziął ją i wypił letni napój. Powiedział na głos, patrząc w okno:

– Klapki na oczach...

Poczuł dreszcz – ale nie z zimna, bo klimat na Talizmanie był bardzo stabilny – lecz z podniecenia. Gorzkie owoce drzewa poznania leżały pod nogami i nikt ich nie podnosił!

– To nie może być takie proste – powiedział sam do siebie i sam sobie odpowiedział: – Ale inaczej być nie może.

Szybko wszedł po schodach na piętro, otworzył drzwi do pokoju Iriny – nie zamknęła się – i na palcach podszedł do łóżka.

– To ty? – spytała sennie dziewczyna.

– Ja – szepnął Martin. Po jego senności nie zostało nawet śladu. – Irino, jakie to wszystko proste!

– Co jest proste? – Irina poruszyła się w pościeli. Mrugnęło zielone światełko podświetlonej tarczy zegarka. – Słuchaj, dopiero zasnęłam...

– Wiem, jak aktywować sejfy – powiedział Martin. – Potrzebne ci jeszcze czarodziejskie pantofelki?

Zapłonęło światło. Irina usiadła na łóżku i popatrzyła badawczo na Martina.

– Nie jesteś pijany?

– Nie i nie mam zamiaru być. Upijam się zachwytem. I strachem.

– Jak? – wykrzyknęła Irina. Oczy jej płonęły.

– Oho! – Martin się roześmiał. – To straszna tajemnica i być może od tysięcy lat strzegli jej



mędrcy Szambali. Potem tajemnicę skradli przebiegli masoni, a od nich odkupił ją za straszne pieniądze pewien rosyjski oligarcha...

– Martin! – Irina zerwała się z łóżka, zaczęła się szybko ubierać. – Nie męcz mnie, powiedz!

I nagle zamarła – półnaga, z bluzką w rękę. Popatrzyła badawczo na Martina i zapytała:

– Nie chcesz mówić, tak? Chcesz, żeby to było tylko dla ciebie?

I przez jedną, nieskończenie długą chwilę Martin poczuł, jak coś go kusi, żeby wykrzyknąć: „Tak, tylko dla mnie! Podzielona wszechpotęga nie jest nic warta!”

– Wszystko jest bardzo proste – rzekł Martin, odganiając urok. – Będziesz się śmiała, jak się dowiesz! Arankom to nawet do głowy nie przyjdzie, oni są tacy rozumni... i nigdy nie mieli przesądów.

– Poczekaj. – Irina podbiegła do okna i otworzyła je na oścież – do pokoju wpłynęła mgła, teraz rzeczywiście jasna, nagrzana wstającym słońcem. – Martin!

Z daleka płynął równy huk. Zbliżał się i rósł.

– Co to? – Martin też podszedł do okna. Objął Irinę i przez kilka sekund stali, wpatrując się w mgielną zasłonę. Rozległy się głosy – to budzili się inni goście „Zdechłego Kucyka”, z trzaskiem otwierano okna, a ktoś męczeńskim głosem prosił o odrobinę spokoju.

– Arankowie nie mają przesądów – szepnęła Irina. – Za to mają helikoptery. Martin!

Popatrzyli na siebie z przerażeniem.

– Śledzą poszukiwaczy... – powtórzył Martin słowa Japończyka. – Jacy z nas idioci... Z ich technologią nadajnik można ukryć w drobinie kurzu... i niby przypadkiem rzucić tę drobinę na ubranie...

Irina zaczęła gorączkowo otrząpywać Martina, a potem siebie.

– Za późno! – krzyknął Martin, chwytając ze stołu broń termiczną i zarzucając na ramię winchestera. – Uciekamy! Zostaw rzeczy!

Huk narastał, zadrżały szyby. Zdażyli wybiec z hotelu, omijając oburzonego Jurija, wokół którego biegał kelner i dorodna żona-kucharka, jakichś ludzi, wbiegających do hotelu, gdy zza mgły wyłoniły się helikoptery aranków.

Zresztą, helikopterami można je było nazwać jedynie umownie – nie miały wirników ani śmigła na ogonie. Z opływowego, owalnego korpusu na ażurowych wspornikach wysuwały się cylindryczne turbiny. Poza tym maszyny leciały bez charakterystycznego dla helikopterów przechyłu, tylko absolutnie prosto, jak samolot, który nauczył się startować pionowo przy prędkości pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Tutaj! – krzyknął Martin, ciągnąc za sobą Irinę. Pobiegli za sąsiedni budynek, najwyraźniej niezamieszkały, z małymi zakratowanymi oknami.

Latające maszyny aranków już otoczyły hotel i zalewając go oślepiającym światłem reflektorów, zawisły na wysokości dwunastu metrów. W ich brzuchach otworzyły się włazy – i wysunęły się stamtąd na niemal niewidocznych linach czarne postacie w futurystycznych strojach rodem z wytwórni filmowej.

– Sześć helikopterów, pięciu komandosów w każdym – powiedział Martin, wychylając się zza rogu. – Trzydziestu...

Biegący w stronę tawerny komandosi zatrzymali się, jakby na czyjś rozkaz, i zaczęli się od niej oddalać rozszerzającym się pierścieniem.

– Nie wiem, Doggarze, czy możesz mi odpowiedzieć – odezwał się Martin. – Ale wiem, że mnie słyszysz, ty draniu. Jeśli twoi myśliwi nie zatrzymają się, ja ich zatrzymam!

Komandosi upadli na ziemię, nieruchomiejąc. I rozległ się wzmocniony przez głośniki głos:

– Martin, nie rób głupstw. Wróćcie do hotelu, to porozmawiamy.

– Odwołaj ich – powiedział Martin, otrzepując koszulę, džinsy, mierzwiąc sobie włosy. – Wtedy porozmawiamy. W cztery oczy.

Rozległ się śmiech i głos Doggara:

– Przestań szarpać na sobie ubranie. Nawet pralnia chemiczna ci nie pomoże. Czujnik został umieszczony na skórze i zdążył wejść pod naskórek.

– Niech to szlag – zaklął Martin. – Ty inteligentny, świetnie wyposażony łajdaku!

– I po co tak? – zapytał Doggar. Jego głos brzmiałby łagodnie, gdyby nie był wzmocniany przez głośniki. – Sprawa jest bardzo poważna i sam dobrze o tym wiesz. Porozmawiajmy spokojnie. Uwierz mi, alternatywa nie spodoba ci się na pewno!

– Mimo to chętnie ją poznam! – Martin odruchowo podniósł głos.

– Jest tylko jedna. Będziemy zmuszeni zlikwidować zarówno ciebie, jak i dziewczynę.

– A co z tajemnicą? – oburzył się obłudnie Martin. – Przecież tylko ja znam rozwiązanie zagadki!

– Odtworzymy twój dzisiejszy dzień – wyjaśnił Doggar. – Wszystkie słowa, które powiedziałeś i usłyszałeś, wszystko, co zobaczyłeś. I zrozumiemy to, co ty rozumiałeś.

Irina dotknęła ramienia Martina i szepnęła:

– On nie kłamie... i pewnie im się uda...

– Jestem pracownikiem rosyjskiego urzędu bezpieczeństwa! – krzyknął Martin. – Moja śmierć zostanie odebrana jako akt agresji przeciwko całemu mojemu państwu!

Doggar roześmiał się.

– Co za brak szacunku – Martin popatrzył na Irinę. – Sława KGB nie dotarła jeszcze do Aranku... Dobra, jak sobie chcecie...

W chwilę później podniósł broń termiczną, przesunął bezpiecznik na minimalną moc, jak pokazywał mu kiedyś Gatti, i strzelił w turbinę najbliższego helikoptera.

Promień był niewidoczny i w pierwszej chwili wydawało się, że nic się nie dzieje. Potem helikopter pochylił się do przodu, turbina na lewym pylonie [belka podwieszeń, służąca do zamocowania pod skrzydłami lub kadłubem dodatkowego wyposażenia] wypuła długi język płomienia i zagrzechotała jak wypełniona złomem żelazna beczka. Helikopter poszedł ciężko w dół, ale nim dotknął ziemi, otulił się obłokiem tęczowej piany – milionem baniek mydlanych wielkości pięści. Ogień zgasł i maszyna wylądowała miękko. Pozostałe helikoptery uniosły się wyżej.

Martin chwycił Irinę za rękę i zaczął biec, ciągnąc ją za sobą.

– Dokonałeś wyboru – rzekł Doggar z wyczuwalnym smutkiem. – Bardzo mi przykro.

– Przecież oni nas obserwują, wiedzą, gdzie jesteśmy! – krzyknęła Irina. – Nie zdążymy dobiec do Stacji! A na Talizmanie nie ma nikogo silniejszego od aranków!

Martin nie odpowiadał.

Biegli, oddalając się od głównej ulicy Amuletu, biegli obok wbitych w skalę łomów, ciągnących darmową elektryczność, obok chaotycznie rozrzuconych domków z blachy i desek,

z których wychodzili przestraszeni ludzie i Obcy. W ogólnym zamieszaniu na Martina i Irinę nikt nie zwracał uwagi.

Z tyłu znowu ryknęły turbiny helikopterów.

– Na co możemy liczyć? – krzyknęła Irina.

– Na wszechpotęgę! – odparł w biegu Martin. Dziewczyna zrozumiała i zamilkła. Teraz biegli obok siebie, pochłonięci zwierzęcą walką o życie.

I wpadli prosto na grupę uzbrojonych poszukiwaczy, zmierzających w stronę tawerny. Wśród nich był stary Japończyk, Matjas oraz dwóch geddarów.

Martin zatrzymał się, ciężko dysząc. Odsunął Irinę za siebie.

– Znalazłeś – stwierdził Japończyk. – Tak?

Martin skinął głową.

– Gdzie detonator? – zapytał ostro jeden z geddarów.

– Jeśli umrę, znajdzie się u aranków. U całej planety jednocześnie, to słynni kolektywiści. Jeśli zdążę odejść – odkryjecie tajemnicę sami. Kiedyś – powiedział Martin, łapiąc oddech. – Decydujcie.

Geddar wyciągnął zza pleców miecz, ale Japończyk powiedział coś ostro w języku geddarów, a Obcy skłonił głowę i cofnął się o krok.

– Nie powiesz? – rzekł ze smutkiem Japończyk.

Martin pokręcił głową.

– W takim razie nie oddaj im tajemnicy – burknął Matjas. – To powinno należeć do jednego człowieka, albo do wszystkich istot jednocześnie! Ale nie do jednej jedynej rasy!

Popatrzył na geddarów i oni skinęli głowami. Nie mówiąc już ani słowa, poszukiwawcze ruszyli do przodu, omijając Martina i Irinę. Tylko Japończyk, trzymający w ręku uzi, odwrócił się i powiedział:

– Nie możemy dać ci zbyt wiele... w najlepszym razie – piętnaście minut.

– Potrzebuję przynajmniej dwadzieścia cztery i pół – odpowiedział poważnie Martin.

Japończyk skinął głową i skrył się we mgle.

– To bardzo głupia decyzja – dobiegło spomiędzy chmur. – Rasa aranków nie ma zamiaru panować we Wszechświecie. Po wszechstronnym zbadaniu detonatorów zostaną one udostępnione wszystkim rozumnym rasom.

– Najnowsza wersja... – mruknął Martin, znowu zaczynając biec.

Na górze rozległ się syk i mgłę rozcięły słupy błękitnego światła – jakby helikoptery leciały teraz nad osiedlem z włączonymi reflektorami.

– Nie będziesz miał tych swoich dwudziestu czterech minut... – powiedziała w biegu Irina.

– Zabili ich? – zapytał Martin.

– To coś innego... widziałam na Aranku... paraliż mięśni... dobrze, że nas nie zahaczyło... mieliśmy szczęście...

Martin miał inne zdanie na temat zwrotu „mieć szczęście”, ale nie mógł wyjaśnić tego na głos. Niech arankowie nadal tkwią w przekonaniu, że mają przed sobą głupią dziczą.

Z nieba dobiegł głos Doggara:

– Nie jesteśmy skłonni do bezsensownego okrucieństwa. Nie chcemy zła. Macie jeszcze szansę,

żeby się poddać.

Martin i Irina właśnie zdążyli wybiec z dzielnicy slumsów, gdy wysoko w górze przeleciał helikopter, zalewając osiedle błękitnym światłem. Rozległo się kilka strzałów – ślepych, bezsilnych strzałów w zamglone niebo – i zapadła cisza. Martinowi udało się zauważyć, jak upadają rozbiegający się we wszystkie strony poszukiwacze. Jeśli nawet ktoś zdążył uciec, nie należało spodziewać się po nim pomocy.

– Czego potrzebujesz? – krzyknęła Irina. – Mów!

– Sejfu! I najlepiej szybkiego!

Przeszli w bród dość płytką rzeczkę, na której brzegach w mizernych warstwach żyznej gleby rosły miejscowe drzewa. Od razu zrozumieli, dlaczego osiedle nie rozbudowało się w tę stronę. Wydawało się, że powierzchnia składa się z litych skał – od małych, wzrostu człowieka, do ogromnych, sięgających aż do pułapu mgły.

– Szukaj wiechy! – poleciła Irina. – Tam jest czyjaś ścieżka...

Po łańcuszku zielono-niebieskich wiech dobiegli do kolejnego skupiska sejfów – niezbyt bogatego i raczej nie posiadającego głośniejszej nazwy.

– Wolny, wolny, wolny... – mówiła Irina, pochylając się nad pokrywami sejfów i odczytując numery. – Same wolne! Szybkie mają „S” po numerze!

– Tam są inne – zauważył Martin i pobiegli do drugiego skupiska wiech, otaczających grupę sejfów. Zostało im trzysta metrów, gdy w powietrzu rozległ się huk i mgłę rozciąła kolumna świetlistego błękitu.

– Rozbiegamy się! – krzyknęła Irina, ale nie zdążyli. Kolumna przesunęła po niej brzeżkiem świetlnej plamy i pomknęła dalej.

Martin strzelił w powietrze, rozładowując wściekłość. Gdy chwilę później pochylił się nad Iriną, ona niezgrabnie poruszała się na kamieniach, próbując się czołgać. Miała sparaliżowaną połowę ciała.

– Co za pech... – szepnęła dziewczyna. Jeden kącik warg pozostawał nieruchomy i słowa były ledwie zrozumiałe. – Biegnij! Zdążysz!

Martin mógłby jej wyjaśnić, że pech i fart nie mają tu nic do rzeczy. Po prostu arankowie dysponowali znakomitymi strzelcami i świetnymi systemami naprowadzającymi. Obciążenie uciekającego wroga rannym towarzyszem to manewr znany od tysięcy lat.

– Biegnij! – powiedziała Irina, dotykając lewej ręki Martina. I on poczuł, jak dziewczyna wyciąga z jego kabury rewolwer. – Zatrzymam ich!

– Nie wygłupiaj się! – krzyknął Martin, powstrzymując jej rękę. – Musisz się poddać, rozumiesz?

Musnął jej wargi szybkim pocałunkiem i zaczął biec po czarnym, śliskim kamieniu. Nawet nie czuł złości. Arankowie rzeczywiście nie byli okrutni. Nie zabijali. Nie kłamali. Po prostu metodycznie dążyli do celu.

Niewykluczone, że naprawdę podzieliła się z innymi rasami tajemnicą Talizmanu. Ale nie biorą pod uwagę tego, co tymczasem może się zdarzyć...

Druga grupa sejfów była znacznie bogatsza. Co najmniej kilkanaście kamiennych luków i już na pierwszym widniała litera „S”.

Martin usiadł przy luku i próbował uspokoić oddech. Wyjął nóż – wierną wojskową „Osę” –

i powiedział w przestrzeń:

– Ciekawe, co? Komputery komputerami, ale czegoś wam jednak brakuje...

Doggar milczał. Turbiny helikopterów nie huczały.

Martin uśmiechnął się. Nawet ziemskie helikoptery nie latały z takim łoskotem. Maszyny aranków powinny być absolutnie bezszelestne...

Wziął broń termiczną, przełączył na maksymalną moc i przesunął dźwigenkę ogniskowania, żeby objąć promieniem jak największą przestrzeń.

A potem przez dwadzieścia sekund strzelał po omacku do zamglonego nieba, gdzie helikoptery wisiały bezgłośnie, czekając aż głupi człowiek odkryje mądrym arankom tajemnicę Talizmanu.

Martin dostrzegł na niebie trzy wybuchy i usłyszał upadek pięciu maszyn. Jedna spadła szczególnie głośno, nawet mgła nie mogła stłumić zgrzytu metalu po skale. Albo piana ochronna nie zdołała zamortyzować upadku z tak dużej wysokości, albo system ratowniczy okazał się równie czuły na strzał z broni termicznej, jak silnik.

– Przykro mi – powiedział Martin, odrzucając broń, gdy na kolbie zapaliło się czerwone światełko. – Ale wy zaczęliście pierwsi.

W głosie Doggara, który dobiegał teraz z ziemi, brzmiała wściekłość:

– Martinie! Jeśli moim podwładnym coś się stało, wytoczę z ciebie krew – kropla po kropli!

– Dzięki, zrobię to sam – odrzekł Martin, odkręcając pokrywę sejfu.

W sejfie leżał układ – półprzezroczysta trójkątna płytką. Detonator jakiejś nieznannej rasy... Martin wyrzucił ją.

A potem przejechał nożem po rękę i strząsnął na dno kamiennej czaszy kilka kropel krwi.

To nie była logika, czyli najlepszy przyjaciel rozumu. Ani intuicja – znakomita proteza rozsądku. To wrażenie na granicy snu i jawy.

I tak właśnie powinno być!

Każdy może przyjść i odebrać swoją wszechpotęgę. W tym celu każdy powinien nieść w sobie hasło... A czy może być coś lepszego od krwi?

Od czasów pierwszych, małych bogów, którym oddawali cześć pierwotni praszczurowie. Od czasów okrutnych bogów, którzy tak ukochali smak krwi.

Starożytna pamięć ludzkości przechowywała tę prawdę – być może od pierwszej wizyty kluczników. I gdy łączność między światami została zerwana, gdy Talizman stał się niedostępny, krew nadal lała się na ołtarzach, w daremnej modlitwie do milczących niebios.

Martin zasunął kamienną pokrywę sejfu. Ustawił czas na zegarku – dwadzieścia cztery i pół minuty. I położył się na brzuchu, ściskając w rękę remingtona. Nie wiedział, czy arankowie mogą obserwować jego działania, ale nie wątpił, że będą próbowali mu przeszkodzić.

– Jesteś pewien, że wszystko jest takie proste? – dobiegło z mgły. Wzmocniony głos tracił część intonacji, ale nadal słyhać było w nim ciekawość. Czystą, niezmaconą ciekawość badacza.

– Jestem – powiedział Martin. – No to jak, pokój?

Doggar roześmiał się niewesoło.

– Nie da rady. Za daleko się posunąłeś. Nie mogę powiedzieć o tobie nic złego, ankieta w naszej bazie danych jest bardzo pozytywna... ale nie jesteś arankiem.

– Nie jestem – przyznał Martin. – Wybacz.

– Sam wiesz, że nie pokonasz trzydziestu zawodowców – kontynuował Doggar. – Tym bardziej, że ładunek w twojej broni termicznej powinien się już skończyć.

– Sprawdź – zachęcił go Martin. Poruszył lufą, usiłując pochwycić w celownik optyczny cokolwiek prócz mleczej mgły. Cholera... Był praktycznie ślepy. – Przy okazji, co tam było o zawodowcach? A więc to nie są młodzi uczeni?

– Specjalista przypomina fluksję – odparł Doggar. – A harmonijnie rozwinięta osobowość powinna umieć wszystko. Martinie... mam znakomitą propozycję.

– No? – krzyknął Martin. Obaj grali na czas, a to mogło oznaczać tylko jedno – we mgle podkradają się do niego harmonijnie rozwinięci arankowie.

– Poddaj się, a wtedy darujemy życie tobie i twojej kobiecie. Tymczasowe zesłanie... w jakimś przyjemnym zakątku naszej planety. A gdy otworzymy powszechny dostęp do Talizmanu, zwrócimy wam wolność.

– Kusząca propozycja... – westchnął Martin. We mgle pojawił się ledwie zauważalny cień i Martin pochwycił go w celownik.

– No i jak?

– Nic z tego – odparł Martin, naciskając spust. Krótki okrzyk upewnił go, że ruch nie był złudzeniem.

– Ale z ciebie dureń... – powiedział ze smutkiem Doggar. – Strzelając do moich ludzi, niczego nie osiągniesz.

– Trafiony? – zainteresował się Martin.

– Trafiony – potwierdził Doggar.

– Dobra – rzekł Martin. – A-4!

I strzelił do kolejnego przemykającego się cienia.

– Ranny – skomentował Doggar. – Ale na razie nikogo nie zabiłeś. Masz jeszcze szansę.

– To na co czekasz, do licha? – wykrzyknął Martin. – Oszczędzasz ludzi? Brak ci odwagi?

Mgła. Szczelna, biała mgła. I krople krwi w sejfie – w naiwnej nadziei, że krew przemieni się w detonator.

– Nie chcę cię zabić – odparł spokojnie Doggar. – Jesteś dobry. Odgadłeś tajemnicę Talizmanu. Klucznicy wyraźnie się tobą interesują. Ich zdanie wkrótce przestanie mieć znaczenie, ale mimo wszystko... Po co miałbym niszczyć wroga, który mógłby stać się przyjacielem?

Martin milczał. Miał wrażenie, że Doggar nie kłamał, i to komplikowało sytuację. Jak trudno strzelać do w sumie sympatycznych aranków...

– Wystarczy, że wydam rozkaz – ciągnął Doggar – a wszystko wokół zapłonie. Rozumiesz? Nie muszę wysyłać swoich chłopaków do walki wręcz. Jedna salwa z miotacza plazmy... a zapewniam cię, że strzelca aż swędzą ręce!

– No to na co czekasz? – zapytał znowu Martin. Zostało jeszcze dwanaście minut. Wieczność.

Słaby szum i stłumione głosy sprawiły, że Martin stał się czujny. Po chwili usłyszał wesoły głos Doggara.

– Sytuacja uległa zmianie, Martinie. Mamy twoją kobietę.

– Kłamiesz – rzekł Martin. Musiał coś powiedzieć.

– Irina-ken, niech pani coś powie – poprosił uprzejmie Doggar.

– Martinie, nie wychodź! – rozległ się we mgle głos Iriny. – Nic mi nie zrobią!

– Być może – rzekł Doggar. – Ale czy on jest tego pewien? I czy ty jesteś tego pewna?

– To podłość! – wrzasnął Martin. – Żeby brać kobietę jako zakładnika...

– Jeśli w ten sposób można uratować dwa życia – dlaczego nie? – zdumiał się Doggar. – Proponuję, żebyś wstał i poszedł do przodu. W twoich rękach nie powinno być broni.

Martin zamknął oczy. Poglądził ciepły kamień luku, pod którym dojrzywał detonator.

– Martinie! – krzyknęła Irina.

– Jestem – powiedział Martin, nie otwierając oczu.

– Oni naprawdę mogą użyć miotacza – w głosie Iriny był smutek. – Helikopter Doggara spadł na skały przy urwisku... bardzo wygodnie.

– I co proponujesz? – zapytał Martin. Irina zaśmiała się.

– Kocham cię, Martinie. Nie wychodź!

Lekki szum i cisza.

– Doggar-ken, niech Irina coś powie – poprosił Martin, podnosząc głowę.

Doggar odpowiedział nie od razu.

– Martin-ken, jest mi naprawdę bardzo przykro. Irina nie kłamała. Jesteśmy na dość dużej wysokości. Ona... to mógł być skutek uboczny paralizatora...

Martin próbował wycelować na dźwięk. W duszy czuł pustkę.

– Bardzo mi przykro – powtórzył Doggar. – Skoczyła z urwiska. Widzę ją... niewyraźnie. Jeśli teraz wyjdiesz, spróbujemy ją wyciągnąć. Nasza medycyna...

– Prosiła, żebym nie wychodził – powiedział Martin i otworzył ogień.

Ale albo los się od niego odwrócił, albo mgła przeszkadzała w ocenie kierunku, w każdym razie Doggar tylko westchnął:

– Jest mi naprawdę, bardzo, bardzo przykro...

W chwilę później zagrały cekaemy.

Martin spodziewał się strzałów z broni termicznej. Ale może w tym wypadku uznali zwykle kule za pewniejsze – rozległ się grzechot pocisków o kamienie – jakby ciężki, letni grad uderzył w metalowy dach. Pociski leciały tuż nad jego głową – wysokość nie była aż tak duża – a przed twarzą Martina w kamień wbiła się cienka, długa strzałka ze srebrzystego metalu. Druga odkuła czarny kryształ skały, obsypując Martina kamiennymi bryzgami. Trzecia przebiła lewą rękę – nie poczuł bólu, tylko palce, zmieniające magazynek stały się lepkie i czerwone. I w tym momencie uderzyły pioruny.

Pierwsze wyładowanie Martin uznał za jakąś nową broń, zastosowaną przez zniecierpliwionego aranka. Nad głową pojawił się biały zygzak i wbił się – wysoko, wysoko – w czarną skałę. Uderzył grom. Skała odpowiedziała ciężkim hukiem.

Drugi ładunek przeszedł poziomo nad ziemią – piękna, niespotykana, liliowa błyskawica, od horyzontu po horyzont, jakby otaczała pierścieniem całą planetę. Zapachniało ozonem, włosy na głowie zatrzeszczały od elektryczności statycznej.

– Co to jest? – zawołał Doggar. Trzask cekaemów cichł – to, co się działo, arankowie najwidoczniej przypisali działaniom Martina.

Martin roześmiał się – tak właśnie było.

Talizman „zaskoczył”.

Starożytna fabryka otrzymała nowy program i zaczęła produkcję nowego detonatora – tym razem dla ludzi...

A może tylko dla Martina?

Błyskawice zmalowały, ale waliły bez przerwy. Niebo pokryła ognista siatka, niebo ryczało i gniewało się niczym Zeus Gromowładca. Czarne skały zapłonęły rażącym światłem, mgła stała się bardziej przezroczysta. Powiał wiatr, gwałtowny, ale niezdecydowany, jakby jeszcze nie określił swojego kierunku. Uderzenie gromu zrodziło trąbę powietrzną – małą, wirującą obłąkańczo z prędkością orient ekspresu.

Znowu rozległ się terkot karabinu – ale niepewny, fałszywy, jakby strzelec wstydził się stawać w szranki z szalejącymi żywiołami. Martin pogładził pokrywę. Kamień był gorący.

I tym momencie w jego ciało weszły niemal jednocześnie trzy kule. Pierwsza przebiła rękę w nadgarstku, przygważdżając ją do luku, druga weszła w plecy pod prawą łopatką, trzecia trafiła w nogę.

Martin pragnął wrzeszczeć, ale zagryzł wargę do krwi i opanował się.

Przecież Irina nie krzyknęła, idąc w przepaść, na spotkanie swojej siódmej i ostatniej śmierci.

– Martinie, nie zostawiłeś nam wyboru... – powiedział Doggar.

Martin popatrzył na zegarek. Doggar też liczył czas – musiał liczyć. Nie pozwoli mu wyciągnąć detonatora. A jeszcze aż cztery minuty...



Błyskawica – nieprawdopodobnie rozgałęziona, barokowa błyskawica, z zawijasami i fintifluskami, w kiściach piorunów kulistych, w rozbłyskach fioletowych światła, które niczym ptaki rozleciały się po niebie – uderzyła tuż nad jego głową.

I Martin wyraźnie i jasno zobaczył, jak cyfry na „Casio-tourist” przyspieszyły bieg i w ciągu jednej chwili przeskoczyły cztery minuty.

Martin roześmiał się.

Luk był śliski od krwi i ręce obsuwały się. Martin odkręcał pokrywę w nieskończoność.

A potem, zanim ją zsunął, musiał odpocząć.

– Martinie, poddaj się – usłyszał głos Doggara. – Twoją kobietę jeszcze można uratować! Wstań, nic ci nie zrobimy!

– Rosjanie się nie poddają – wymamrotał Martin, jednym ruchem spychając pokrywę.

Na dnie sejfu drżała kulka złocistej galarety, rozpalona wewnętrznym światłem – czystym i jasnym, jakby padał na nią promień prawdziwego, ziemskiego Słońca.

Martin dotknął jej, a kulka wtoczyła mu się na dłoń. Detonator dla człowieka był miękki i ciepły, palce wyczuwały delikatne ukłucia. Martin przekręcił się na plecy.

Biała mgła nad jego głową wrzała. Błyskały błyskawice, uderzając w szczyty czarnych skał. Od czasu do czasu we mgle pojawiały się rozcięcia i wirujące szaleńczo trąby powietrzne. Rażące światło złej gwiazdy przebiło się przez rozdarcie mgły i uderzyło Martina w oczy.

Martin otworzył usta i położył złocistą kulkę na języku.

Po gardle przesunęła się ciepła fala.

– Martinie, daję ci trzy sekundy! Jedna!

Najgorsze, że nie wiedział, kiedy zacznie działać detonator. Za dzień, za godzinę? Nawet minuta to już zbyt długo...

– Irinko... ciągle nie zdążam... – wymruczał Martin. Ciało przeszył dreszcz i Martin zobaczył słońce poprzez chmury.

– Dwie!

Miał wrażenie, że jego ciało wywraca się na drugą stronę – jakby odrzucając nieproszony poczęstunek, protestując, wszystkimi swoimi zwierzęcymi instynktami czepiając się prostoty i beztroski ludzkiego istnienia. Martin skulił się, hamując mdłości.

– Trzy!

Serce głucho stuknęło w piersi i zamarło. Martin leżał, łapczywie wciągając niepotrzebne powietrze.

A na szczycie wzgórza coś znajomo zaszeleściło i mgła nad jego głową zapłonęła.

Najpierw nad Martinem przeszła fala elektromagnetyczna, mieniając się wszystkimi kolorami tęczy i odchodząc w te części spektrum, których nie powinien widzieć człowiek. Potem przeszedł strumień twardego promieniowania. Martin podniósł rękę i podstawił dłoń pod strumień promieni gamma. Poczł, jak uderzają o jego skórę niczym krople deszczu.

I dopiero potem powietrze zawrzało i uderzyła plazma.

Martin wstał...

Dotknął ciała Iriny, łącząc rozerwane tkanki, uruchamiając serce, wyciągając z ciała produkty rozpadu. Część neuronów...

Bibliotece i wyjaśnia mu, że rozszyfrowywanie nazwisk w nekropolis jest równie produktywne, co i wróżenie z ptasich kości...

zgniatając miotacz plazmy w kostkę i miażdżąc go...

...przestraszył się...

w duszę” z albumu *Ultrazona* z 1999 roku, nie wytrzymał i posłuchał piosenki na żywo...

odrzucając to wszystko głupie, destrukcyjne, płonące, co...

Zajrzał do mieszkania wujka – wujek stał przed zasiadającym w fotelu człowiekiem po cywilnemu i mówił w natchnieniu, na podstawie jakich

miotano się wokół, topiło kamienie, próbował spalić...

z wyrzutem zaglądając w twarze aranków, lekkimi

artykułom konstytucji on nie musi odpowiadać na pytania dotyczące jego ukochanego bratanka...

Dopijając chłodny łyk piwa w „Zdechłym Kucyku”, słuchał, jak wisi w powietrzu akord wirtuozersko zagrany przez Steve’a Vaia w kompozycji „Okno

coraz mocniej, tak, że atomy skrzypnęły niezadowolone...

...przestraszył się...

...już zginęła i on odrobinę odstąpił na osi czasu, kopiując ich strukturę i tworząc je na nowo...

I wreszcie dowiedział się, jakim cudem umieszczają w tubkach trójkolorową pastę do zębów...

...kopniakami nadając im właściwy wektor ruchu – do Stacji kluczników...

Odnalazł na Błękitnych Dalach niemłodą, nieładną i niezbyt mądrą kobietę Galę, która po raz setny próbowała opowiedzieć klucznikom coś sensownego... i cicho, cicho, żeby słyszało...

napisano *Trzech muszkieterów* o bardzo podobnej fabule...

...przestraszył się...

Przeczytał drugą powieść Tego, Który Doczekał Się Na Przyjaciela – *Czterech śledczych* i postanowił, że nie będzie martwił Di-Di wiadomością o tym, że dawno temu...

z dziewięćdziesiątego siódmego, którego ciągle nie mógł kupić, bo wiecznie szkoda forsy.

Westchnął, widząc, że mały Gatti stoi naprzeciwko dyrektora Klima w osiedlu Enigma na Spróbował chateau lafitte z dziewięćdziesiątego czwartego i chateau tenar

wyłącznie jej serce, opowiedział historię o mężczyźnie, który każdego dnia stoi przed moskiewską Stacją z plakatem

Obejrzał swój organizm, kilka rzeczy mu się nie spodobało, więc wprowadził poprawki...

Wszystko od razu.

Jednocześnie.

I na przemian.

Dlatego, że czas nie miał znaczenia.

A potem Martin zatrzymał się i popatrzył w niebo.

W oczy kluczników.

I usłyszał głosy – chór tysiąca głosów.

„Co teraz zrobisz, Martinie?”

„Nie wiem”.

„Zrozumiałeś, że możesz wszystko. Nawet stworzyć swój własny świat. I wiesz, że to ślepa uliczka. Ale możesz stać się jednym z nas, Martinie”.

„Ale ja nie wiem, kim jesteście”.

„W takim razie zapragnij się dowiedzieć”.

I Martin wiedział, że teraz już zna odpowiedź.

„Zdecydowałeś?”

Martin zapragnął i zrobiło się cicho. Tak cicho, że umilkł nawet trzask promieniowania relikтового, płynącego w przestrzeni od czasów stworzenia.

I wtedy Martin wyteżył słuch.

Na małej planecie Talizman, stworzonej pięćset czterdzieści tysięcy trzysta sześćdziesiąt dwa lata trzy miesiące dwa dni cztery godziny osiem minut pięć sekund i szesnaście niepodzielnych jednostek czasu temu, pośród płonących skał stał były człowiek o imieniu Martin. I czas cierpliwie czekał, aż on dokona wyboru.

# Epilog

# Biały

– ...A potem człowiek o imieniu Martin pochylił głowę – rzekł Martin. – Skała pod nogami była rozpalona, parzyła nawet przez podeszwy butów. I podszedł do kobiety, którą kochał. A gdy już przy niej stanął, podeszwy jego butów przepaliły się.

– Smutno tu i samotnie – rzekł klucznik. – Słyszałem wiele takich historii, wędrowcze.

– Łuskowata twoja mać! – ryknął Martin, zrywając się z miejsca. – To są kpiny!

Klucznik roześmiał się, pykając fajką. To był rośli, mocny osobnik, z lśniącym, czarnym futrem, skrywającym łuskę i łagodnym, kojącym głosem.

– Wcale nie. Tylko się śmieję. A co, już pożartować nie można?

– Opowiadam tę historię od sześciu godzin... nawet siedmiu – warknął Martin ze złością, siadając w fotelu. – Pożartować... często sobie tak żartujecie?

– Rzadko. Ale sam przyznasz, że to szczególna okazja.

– Odpowiedziałeś! – zawołał Martin. – Teraz już wyraźnie odpowiedziałeś! Mam cię!

– My zawsze odpowiadamy – odparł z godnością klucznik. – Trzeba tylko zrozumieć, że to odpowiedź.

Martin skinął głową. Wyciągnął rękę – i klucznik włożył w nią starą fajkę Martina, jego ulubioną, którą zostawił na Ziemi i z zasady nie wynosił poza gabinet.

Martin popatrzył na klucznika i zapytał:

– I co dalej?

Klucznik westchnął:

– Żeby to zrozumieć, musisz zrobić kolejny krok. Przestać być rozumnym i wejść stopień wyżej. A ty...

– Przestraszyłem się. Tak samo jak wy... – przyznał z goryczą Martin.

Klucznik pokręcił głową.

– Nie, nie przestraszyłeś się. Przeciwnie, miałeś dość odwagi, żeby wrócić. My się nie zdecydowaliśmy. Wzięliśmy wszystko, co mógł dać rozum. Wszystko, co rozum jest w stanie wytrzymać.

– I wciągnął Ilia Muromiec nieco siły od Swiatogorabohatyra – powiedział Martin – tak żeby ziemia mogła go utrzymać...

– Znam tę historię – skinął klucznik.

– To nie historia, to bajka – poprawił go Martin.

– Wszystkie bajki świata to, ni mniej, ni więcej, tylko historie prawdziwe – odparł klucznik. – Przecież już wiesz, że historia mówi jedynie o tym, kto opowiada.

– I jaką historię mam opowiedzieć na swojej planecie?

– Opowiedz prawdę, Martinie. Opowiedz, że są dwie drogi. Jedna z nich daje wszystko, czego tylko można zapragnąć. Druga coś więcej, ale nie możesz zrozumieć, co.

– I tak wiem, jaki będzie wybór. – Martin zaczął nabijać fajkę. Klucznik pokręcił głową:

– Jesteś pewien? Przecież ty zrezygnowałeś. Przy okazji, dlaczego?

– Chateau lafitte – odparł Martin. – Wino jak wino...

Klucznik ściągnął brwi.

– To było niesłuszne – wyjaśnił Martin. – Rozumiesz? Zbyt proste i dlatego nieciekawe. Zrozumiałem, dlaczego bogowie z Olimpu pili wyłącznie ambrozję – ludzkie wina już nie cieszyły.

– Nadal nie rozumiem – przyznał się klucznik.

– Kocham życie – powiedział po prostu Martin. – Nawet jeśli to oznacza, że jestem snobem. Ale lubię dobrą muzykę i rzadkie wina, ciekawe książki i interesującego rozmówcę. Lubię wschody słońca i lubię, gdy nocą ocean uderza o brzeg. Ale jak można mieć to wszystko od razu? Wypić wszystkie wina jednym haustem i przeczytać wszystkie książki od razu? Otrzymać boską potęgę i mieć marzenia człowieka? To katorga, a nie szczęście! To tak, jakbym siedział w wielkim kojcu razem z niemowlakami i cieszył się, że mogę sięgnąć do każdej grzechotki.

– Ale to wciąż nie jest główna przyczyna – stwierdził klucznik.

Martin skinął głową.

– Masz rację. Po prostu wyobraziłem sobie, jak włóczę się z planety na planetę... dokonuję wielkich czynów... pomagam dobrym i karzę złych... nie powiem, przyjemna rzecz. A potem moimi śladami podążają inni – równie wszechpotężni, nietykalni, nieśmiertelni. Ludzie, arankowie, geddarowie. I wszyscy zazdrośnie strzegą tych ostatnich zwyczajnie rozumnych istot, ponieważ jedyne, co mamy, to ambicja i poczucie wyższości nad nimi... a potem zaczynamy gryźć ściany z nudów...

– Wydaje mi się, że nadal nie jest to rzecz najważniejsza – pokręcił głową klucznik. – Mam rację?

– Trudno cię oszukać... – Martin uśmiechnął się. – Nie jest. Od samego początku... gdy Irina opowiedziała mi o ewolucji... o kataklizmach, karze za zatrzymanie się... od początku wyczuwałem jakiś fałsz. Jeden jedyny, ale za to ogromny. Te apokalipsy... zbyt rozumne dla ślepej przyrody i zbyt ślepe dla nadrozumu. Zresztą, co my obchodzimy prawa natury? Czy biegamy za mamutami, czy tworzymy bomby atomowe, czy skaczymy przez czas i przestrzeń – świat pozostaje ten sam. Tego, co niedopuszczalne, niemożliwe, czy niedozwolone i tak zrobić nie zdołamy. Powiedz mi, czy naprawdę istnieje planeta, na której liczba „pi” wygląda inaczej?

– Ale chodziłeś do szkoły? – upewnił się złośliwie klucznik. – To przecież stała, i w naszym Wszechświecie nie może być inna. Nic ci nie poradzę, wymyśl sobie własną matematykę.

Martin uśmiechnął się.

– Otóż to... A ty wyobraź sobie boga, który najpierw dał swoim twórcom możliwość dorównania sobie, a potem garbuje skórę tym, którzy się odważyli... Wychodzi na to, że to nie bóg, lecz samozwaniec, niepewny swojej władzy.

– Na przykład klucznik-półbóg, który zakosztował wszechpotęgi? – Klucznik skinął głową. – Proszę, nie osądzaj ich. Skoro już znasz naszą historię...

Martin skinął głową.

– Znam i dlatego nie osądzam... No więc, gdy zrozumiałem, że cała poprzednia apokalipsa to dzieło waszych rąk... uspokoiłem się. Przyznaję, że nie wiem, co jest poza granicami rozumu. Ale tam jest coś innego. Coś wielkiego. To coś nie rozwala gwiazd i nie ciska błyskawicami.

– Przecież ci mówiłem, że bogowie nie palą mostów – od tego są ludzie – skinął głową klucznik. – Kiedyś i ja zapragnę dowiedzieć się, co jest dalej. Tak bardzo zapragnę, że przestanę być nieśmiertelny. Ale mam przed sobą tysiące lat. A jeśli się nie zmęczone – to nawet miliony.

– Tysiące, miliony... cóż to znaczy w porównaniu z wiecznością? – Martin wstał. – Mogę pójść na Ziemię?

– Oczywiście. Możesz pójść, dokąd zechcesz. – Klucznik zastanowił się i uroczyście oznajmił: – Przy okazji, nie musisz już wymyślać historii.

– Dzięki, ale przywykłem już do płacenia za przejazd – odparł Martin. – Na razie.

– Do zobaczenia – kiwnął klucznik. – Tak.

– Co – „tak”?

– Przecież chciałeś zapytać, czy Irina skończyła już swoją historię? Skończyła dawno temu. Jest na pierwszym piętrze, w pokoju numer sześć.

Martin uśmiechnął się i wyszedł.

Dzień był gorący i oślepiająco słoneczny. Martin aż jęknął, wychodząc ze Stacji.

– Jesteś pewien, że to Moskwa, a nie Floryda? – spytała Irina, mrużąc oczy.

– Jestem. – Martin odnalazł w tłumie samochód Jurija Siergiejewicza. – Biedaczyna... Siedzi tam tyle czasu, a przecież na pewno nie ma klimatyzacji. Mówię o jednym znajomym taksówkarzu.

– No, no – mruknęła z niedowierzaniem Irina.

Przeszli przez punkt graniczny i Martin pewnym krokiem ruszył w stronę samochodu podpułkownika. Jurij Siergiejewicz siedział za kierownicą – czerwony, spocony, w rozpiętej kraciastej koszuli – i patrzył na Martina jednocześnie ze zniecierpliwieniem i pokorą. Martin pożałował, że w krótkiej chwili wszechwiedzy nie zainteresował się, co tak naprawdę tajniak wie, a czego się nawet nie domyśla. Czy wie, kto mógł wrócić na Ziemię pod postacią Martina? Czy czekał na to pokornie, pogodzony z losem, że to jeszcze nie taki zły wariant, czy śnił o bibliotekach wiedzy wszechświatowej, do których klucz dostarczy mu świeżo upieczony major?

– Cześć – powiedział Martin, ściskając jego wilgotną rękę. – Do domu.

Jurij Siergiejewicz zacisnął zęby, ale włączył silnik. Przegrzany silnik zaskoczył niechętnie.

– Martin... – odezwała się półgłosem Irina. – Nie boisz się?

Martin odniósł wrażenie, że uszy Jurija Siergiejewicza wykręciły się do tyłu, by nie uronić ani słowa.

– A czego miałbym się bać? – zapytał Martin.

– Tego, który jako następny odnajdzie klucz do Talizmanu – odparła poważnie Irina. – Ty zrezygnowałeś... ale jeśli ten następny będzie zwyczajnym łajdakiem, marzącym o wszechpotędze?

Martin mrugnął do Jurija Siergiejewicza w lusterku i powiedział:

– Ira, to nie jest takie proste. Gdy tysiąc lat temu klucznicy odkryli Talizman... I co, nie chce zapalić?

Jurij Siergiejewicz drgnął, nacisnął pedał gazu i wyjechał z parkingu. Martin zaczął mówić głośniej:

– Gdy klucznicy odnaleźli Talizman, z planety skorzystały co najmniej dwie rasy. Obie niehumanoidalne. I chyba domyślam się, dlaczego. We Wszechświecie nie było wówczas warunków dla życia organicznego. Klucznicy, zachwyceni niespodziewanym prezentem, nawet się nie zastanawiali, gdzie są teraz ich poprzednicy. Klucznicy również szli tą drogą – maksymalnie wykorzystać to, co daje rozum, odciągnąć kolejny etap ewolucji. Dostroili Talizman do siebie,

uzyskali wszechpotęgę i dopiero wtedy zrozumieli, na czym polega pułapka. Wszechpotęga przewyższała potrzeby zwykłego rozumu. Rozum nie potrafił wykorzystać całej pełni nowych możliwości! Zapewne większość uświadomiła to sobie dość szybko i...

– I oni umarli – podsunęła Irina.

– Przeszli na nowy etap. Zresztą, z naszego punktu widzenia to jedno i to samo. A mniejszość – chcę wierzyć, że to była mniejszość – zaczęła szaleć. Zabawy w bożków, walki, podróże, zaspokajanie ciekawości... nie głodu wiedzy – jedynie zwierzęcej ciekawości!

– Czyli to, o czym mówiłam? – spytała Irina. – Wiesz co, już zrozumiałam. To przecież nie jest potrzeba rozumu, to poprzedni stopień – instynkt i rozsądek. Być naj naj najładniejszą, najpotężniejszą, żeby wszyscy mnie kochali i bali się... Martinie, ale ja naprawdę tego pragnęłam!

Samochodem rzuciło, Jurij Siergiejewicz zaklął i mocniej ścisnął kierownicę.

Martin uśmiechnął się, zerkając na Irinę.

– Brawo. To właśnie instynkt. To szok człowieka, którego musnął oddech Boga. Nie można pozostać tym poprzednim... albo zmierzasz ku niebu, albo spadasz w błoto. Zawsze znajdują się jedni i drudzy. Wtedy właśnie świat drgnął. Wtedy runęły cywilizacje i rozpadła się pierwsza sieć transportowa kluczników. Setki planet, a na każdej z nich obłąkani półbogowie robią, co chcą... a przede wszystkim niszczą sieć transportową, żeby nie płodzić konkurentów. Setki planet ze swoimi małymi Olimpami i bardzo, bardzo małymi bogami... i powracający na swoją planetę, łączący swoje świadomości we wspólny rozum, zdolny do wykorzystania nowej siły, średni klucznicy. Ci, którzy nie byli gotowi do dalszej ewolucji – ale nie chcieli stoczyć się do poziomu instynktów. I dopiero, gdy mali bogowie się uspokoili – jedni przejrżeli na tyle, żeby odejść w górę, a inni po prostu stracili sens istnienia i zniknęli, dopiero wtedy klucznicy powtórzyli swoją próbę. Wrócili na planety, które sparzyły się na pierwszej próbie wszechpotęgi. Na planety, gdzie powstały podania o wieżach Babel, o karze, która cię czeka, gdy próbujesz dorównać bogu. Na planety, które panicznie boją się samej myśli o rozwoju.

– A jeśli to się powtórzy? – zapytała Irina. – Czy to nie wszystko jedno, od kogo dostaje się po karku – od prawdziwego Boga czy oszalonego półboga?

– To nie takie proste, Ireno. – Martin wziął ją za rękę. – Czy uważasz, że byłem pierwszym człowiekiem, który w ciągu tych wszystkich lat zrozumiał Talizman? Klucznicy wyciągnęli wnioski. Teraz Talizman postępuje z każdym pretendentem indywidualnie. Ci, którzy nie dorośli, nie otrzymają detonatora. Chcesz – przejdź swoją drogę. Zdecyduj, po co dano ci rozum. Czego jest w tobie więcej – zwierzęcia czy człowieka. I przyjmij rezultat. Nie powinienem był walczyć z arankami... Niechże pan uważa na drogę, to przecież mój dom! Sejf i tak by dla nich nie zadziałał.

– Ale przecież ty otrzymałeś swój detonator? Otrzymałeś, chociaż zrezygnowałeś?

Martin wzruszył ramionami.

– Widocznie czasem dają ci go właśnie po to, żebyś mógł zrezygnować. Wstąpisz do mnie, Irinko?

– Zabiją mnie w domu – stwierdziła dziewczyna.

Martin uśmiechnął się.

– Jeszcze się nie przyzwyczaiłaś? Zadzwońisz i uspokoisz. Powiesz, że jesteś już na Ziemi.

– Gdzie na Ziemi?

– U narzeczonego – palnął Martin i ugryzł się w język.



– To jeszcze trzeba przemyśleć – powiedziała surowo Irina. – To zbyt niespodziewane.

– Naprawdę?

– Irino Ernestowna – włączył się do rozmowy Jurij Siergiejewicz – pozwoli pani, że faktycznie zawiozę panią do domu. Pani potencjalny narzeczony i tak będzie musiał sięść i napisać raport.

– A ustnego raportu, który wygłosił tak spontanicznie, pan nie nagrywał? – uśmiechnęła się Irina. – Martinie, pojedę do domu. Jak się będą wściekać – ucieknę do ciebie. Albo na Talizman, żeby stać się wielką i straszną...

– Na razie nie warto – odparł Martin, wychodząc z samochodu. – Poczekaj ze czterdzieści lat.

Każdy dobrze wychowany człowiek wie, że odwiedzanie krewnych w podeszłym wieku to nie tylko męczarnia, ale częściowo także przyjemność. Zwłaszcza, jeśli krewny nie stracił chęci do życia i skargi na słabe zdrowie przemieszane są z dziarskimi wspomnieniami o dawnych czynach.

– Też masz się czym chwalić... – mruknął wujek, wyłaniając się z kuchni z patelnią. – Wielkie mi co, był na innej planecie...

Martin wciągnął zapach „pijanej wieprzowiny”, smażonej w czerwonym winie (przed zdjęciem z ognia nie wolno zapominać o dodaniu świeżego wina zamiast tego, które już wyparowało!), i powiedział:

– Ja się wcale nie chwale...

– I bardzo dobrze! – uciął wujek. – Turysta się znalazł... pewnie, że teraz to proste. Spróbowałbyś w czasach Związku Radzieckiego pojechać do Bułgarii! Zebrać wszystkie zaświadczenia i papierki, udowodnić, że nie masz zamiaru uciec wpływ do Turcji... To dopiero była przygoda!

Martin niejasno pamiętał, że procedura wyjazdu do Bułgarii nawet w tajemniczych czasach ZSRR nie była aż tak skomplikowana, ale nie spierał się, tylko podsumował dyplomatycznie, choć banalnie:

– Każde czasy mają swoje przygody. A ty nie masz zamiaru nigdzie wyjechać?

– W moim wieku można się wybierać tylko w jedno miejsce – odparł kwaśno wujek. – Wino jest w lodówce, skocz no...

Gdy Martin wrócił z dwiema butelkami mołdawskiego cabernet (czy w ostatnich latach winorośl Mołdawii aż tak się poprawiła, czy ludzie stali się lepszymi specjalistami, w każdym razie zaczęło pojawiać się wino naprawdę odstępne, z właściwą zawartością alkoholu, o stabilnym smaku), wujek siedział za stołem, wyprostowany, jakby kij połknął i trzymał w ręku Garnela i Czystiakową.

– Czytałeś? – zagadnął swarliwie wujek, potrząsając encyklopedią.

– A... tak, miałem w rękach – skinął głową Martin.

– Na Bibliotece byłeś, mówisz... – wujek przekartkował stary tomik. – Co za bzdura... też nie miałeś na co tracić historii... cmentarz to cmentarz, nawet galaktyczny... jeszcze się wyleżymy. Co to ja chciałem... – skrzywił się i powiedział: – Wypłacili mi emeryturę, ale nie mam zamiaru wycierać się po trzygwiazdkowych hotelach jak student... Cicho mi bądź! Zdzierać pieniędzy z siostrzeńca też na starość nie będę. Wypatrzyłem tu jedną taką planetkę, naprawdę interesującą...

Martin zerknął na otwartą stronę i nic nie powiedział.

– „Talizman! – odczytał uroczyście wujek. – Planeta otrzymała swoją nazwę po odkryciu tak zwanych sejfów – obiektów nieznanego rodzaju, w których okresowo znajdowane są artefakty jednego

z trzech typów – purpurowy proszek, spiralki i układy...” Taa, to nieważne... „Planeta pokryta jest dwumetrową warstwą szczelnej mgły o złożonej strukturze”. Dobrze się składa! Słońca jest teraz pod dostatkiem nawet w Moskwie... Wezmę ze sobą na wymianę jakieś specjały, tytoń, świeże gazety, naboje... przyprawy wezmę... Młodzi tego nie rozumieją, a przecież przyprawy już w średniowieczu były droższe od złota!

– Wujku... dlaczego właśnie tam? – zapytał Martin, nalewając wino.

Wujek zastanowił się przez chwilę, nałożył sobie wieprzowiny i w końcu powiedział speszony:

– A nawet nie wiem. Tak mnie jakoś ciągnie...

Przez chwilę Martinowi zrobiło się smutno. Tak się zdarza, gdy wiesz, że rozłąka z najbliższymi jest nieunikniona. Ale znalazł w sobie dość siły, by uśmiechnąć się i odpowiedzieć:

– No, skoro ciągnie... to znaczy, że trzeba.

– A może się przyłączysz?

– Nie teraz. Może kiedyś... a kiedy się wybierasz?

Wujek zastanowił się, próbując wino. Usatysfakcjonowany skinął głową i powiedział:

– Za jakieś dwa miesiące. Na jesieni.

– To dobrze – powiedział Martin.

I dolał sobie wina. Przecież każdy myśliwy, nawet taki, który poluje na ludzi lub na przyjemności życia, dobrze wie – nie ma nic lepszego niż dom, do którego na pewno kiedyś wrócisz.

*2001-2002 rok*

# Spis treści

[Strona tytułowa. 1](#)

[Część pierwsza. 3](#)

[Czerwona. 3](#)

[Prolog. 4](#)

[1. 7](#)

[2. 17](#)

[3. 26](#)

[4. 35](#)

[5. 47](#)

[Część druga. 56](#)

[Pomarańczowa. 56](#)

[Prolog. 57](#)

[1. 62](#)

[2. 72](#)

[3. 83](#)

[4. 91](#)

[5. 100](#)

[Część trzecia. 107](#)

[Żółta. 107](#)

[Prolog. 108](#)

[1. 112](#)

[2. 121](#)

[3. 128](#)

[4. 140](#)

[5. 147](#)

[Część czwarta. 153](#)

[Zielona. 153](#)

[Prolog. 154](#)

[1. 157](#)

[2. 169](#)

[3. 177](#)

[4. 186](#)

[5. 198](#)

[Część piąta. 216](#)

[Błękitna. 216](#)

[Prolog. 217](#)

[1. 225](#)

[2. 237](#)

[3. 247](#)

[4. 261](#)

[5. 269](#)

[Część szósta. 278](#)

[Niebieska. 278](#)

[Prolog. 279](#)

[1. 287](#)

[2. 301](#)

[3. 309](#)

[4. 318](#)

[5. 328](#)

[Część siódma. 342](#)

[Fioletowa. 342](#)

[Prolog. 343](#)

[1. 351](#)

[2. 363](#)

[3. 375](#)

[4. 387](#)

[5. 397](#)

[Epilog. 404](#)

[Biały. 404](#)